

Cathy Kelly

Druga szansa

1.

Droga Annie Liczę, że mi pomożesz. Wysłałam za mąż zaledwie dwa miesiące temu, a już się między nami nie układa. Przed ślubem mieszkaliśmy osobno, więc nawet mi do głowy nie przyszło, że będzie tak jak teraz. Pracuję zawodowo, podobnie jak mąż, ale on i tak zostawia cały dom na mojej głowie. Nieważne, o której wracam, i tak powinnam posprzątać, pozmywać i ugotować kolację. Weekendy upływają mi na szorowaniu, praniu i prasowaniu jego koszul. Mój mąż nigdy nie robi zakupów, nawet jeśli ma wolne. Twierdzi, że matka zawsze mu wszystko szykowała. Nie mogę uwierzyć, że niczego nie zauważyłam przed naszym ślubem.

Co mam robić? Z nikim o tym nie rozmawiałam, bo powszechnie uchodzimy za wzorową parę. Błagam, pomóż, zanim moje małżeństwo do reszty legnie w gruzach.

Załamana Dee nie odrywała wzroku od kartki pokrytej drobnym pismem. Czasami odpowiadanie na listy zajmowało jej całe wieki, zwłaszcza jeśli ludzie spodziewali się cudu, a nie rozsądnej rady, by wprowadzić świeży powiew do ich związku, wyjeżdżając na romantyczny weekend we dwoje, bez dzieci, za to z buteleczką aromatycznego olejku do masażu.

Dee nie zawsze była w stanie skoncentrować się na odpowiedzi, i wtedy szukała natchnienia w metalowej puszcze z herbatnikami. Lecz nie dzisiaj. Dzisiaj nie musiała się nad niczym zastanawiać, bowiem, o ironio losu, doskonale знаła odpowiedź na to pytanie.

Droga Załamana Nawet nie wiesz, jak wielu kobiet dotyczy twój problem. Moje biurko ugina się pod listami od dziewczyn, które były święcie przekonane, że wychodzą za księcia z bajki, a tymczasem okazało się, że ich małżonek to Pan Moja-Mama-Zawsze-Tak-Robiła - i wychowała dziesięcioro dzieci oraz piekła domowy chleb na dodatek.

Musisz wziąć sprawę w swoje ręce, bo jeśli tego nie zrobisz, pozostanie ci tylko zafundować sobie fartuszek z wielkim napisem NIEWOLNICA.

Przede wszystkim przestań sprzątać, odkurzać, zmywać, prasować i poczekaj, aż to zauważy. A zauważy, tego możesz być pewna...

Dee przestała pisać. Odchyliła się do tyłu, rozmasowała bolący kark. Czowała się kompletnie wykończona po całym tygodniu w sądzie, gdzie śledziła przebieg procesu o morderstwo, i ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było spędzenie soboty, pierwszego wolnego dnia od dawna, nad rubryką porad.

Marzyła jej się długa kąpiel w pachnącej wodzie, ze szklanką coli z rumem w jednej i opasłą książką w drugiej ręce. Gdyby się zmobilizowała, może nawet ogoliłaby sobie nogi, zanim zaczną wyglądać jakby należały do greckiego taksówkarza. Z drugiej strony, kto w końcu będzie je oglądał? Nie Gary, to pewne. Jedyne nogi, którym ostatnio poświęcał uwagę, były owłosione,

umięśnione, nosiły szorty, a ich właściciele grali w klubie piłkarskim Manchester United.

Westchnęła żałośnie. Kąpiel musi poczekać, dopóki Dee nie skończy kolumny. *Listy do Annie* ukazywały się na łamach „Sentinela” dwa razy w tygodniu, w poniedziałki i środy. Nie ma wyjścia, musi coś napisać, chyba że przytrafi się jej niespodziewany atak epilepsji. W innym wypadku do jedenastej w niedzielę powinna skończyć. Dzisiaj zajmie jej to jeszcze co najmniej trzy godziny. Może kubek pachnącej herbaty i ciasteczko albo dwa sprawią, że napięte mięśnie karku trochę się rozluźnią. Ciasteczka, albo jeszcze lepiej mrożony sernik „Weight Watchers”, ukryty na samym dnie zamrażarki.

Te serniki właściwie nie mają żadnych kalorii, inaczej nie firmowałyby ich „Weight Watchers”. Jeden malutki serniczek jej nie zaszkodzi. Zresztą, na śniadanie zjadła tylko dietetyczne płatki kukurydziane i anemiczne odtłuszczone mleko, więc należy się jej jakaś nagroda.

Wyszła z malutkiego pokoiku gościnnego, który zarazem pełnił rolę jej gabinetu, i ruszyła do kuchni. Próbowała przy tym zignorować przeładowany do granic możliwości kosz na bieliznę, ale nie udało się jej.

Ktoś musi coś z tym zrobić, przemknęło gniewnie przez głowę Dee. Energicznie podniosła kłęb wilgotnych ręczników, piłkarskich skarpetek Gary’ego i jego przepoconych koszulek.

Z naręczem prania schodziła po schodach, starając sienie zwracać uwagi na kłaczki pomarańczowej kociej sierści na śliwkowym dywanie. Dlaczego Smudge z maniackim uporem dokonuje toalety na schodach, a nie w kuchni, na linoleum? - zastanawiała się posepnie. Jakby mało miała rzeczy na głowie, odkurzacz odmówił dalszej współpracy, a nie miała siły, by taszczyć go do naprawy. Przeskoczyła stertę zakurzonych nieco magazynów sportowych Gary’ego, które beztrząsco ułożył u stóp schodów.

- Później to zabiorę! - warknął w czwartek wieczorem, kiedy się o nie potknęła.

- Na Boga, Dee, daj mi spokój! Chyba nie chcesz, żebym spędził całe cholerne życie na sprzątaniu, co?

Z tymi słowami wybiegł do salonu. Dee ledwie odłożyła wypchaną papierami teczkę, a z telewizora już darł się na cały głos prezenter Sky Sports.

Była zbyt zmęczona na kłótnię. W rozumieniu Gary’ego sprzątanie oznaczało opróżnianie popielniczek w ostatnim momencie zanim pety zaczną wypadać na podłogę. Ktokolwiek powiedział: „Jeśli chcesz mnie poznać, zamieszkać ze mną”, miał świętą rację.

Gdy przed czterema laty Dee poznała Gary’ego Redmonda, uważała go za spełnienie swoich marzeń. Po serii nieudanych związków z kolegami po piórze, Dee przysięgła sobie, że nigdy więcej nie umówi się z dziennikarzem. Wszyscy bez wyjątku byli neurotykami, obsesyjnie skoncentrowanymi na swoich tekstach. Potrafili być też chorobliwie zazdrośni, jeśli w danym tygodniu to ona napisała lepszy artykuł. Po trzech nieudanych próbach skreśliła dziennikarzy

jako gatunek z listy potencjalnych podbojów.

Zaledwie miesiąc przed poznaniem Gary'ego cisnęła na redakcyjne biurko poprzedniego narzeczonego jego rzeczy - szczoteczkę do zębów, sweter, który dostał od niej na urodziny, i notes z telefonem nowej dziewczyny nagryzmołonym szminką. Gary, wysportowany i ciemnowłosy, ubrany w kosztowny szary garnitur, oblał ją piwem w barze hotelu „Shelbourne”. Był przy tym tak skruszony, tak uroczy i tak zdecydowanie nie miał nic wspólnego z dziennikarstwem, że zanim się spostrzegła, zgodziła się wypić z nim drinka „To Wszystko Przez Moją Niezdatność”.

Gary robił co w jego mocy, by ją oczarować, a Dee sączyła koktajl z szampanem, który dla niej wybrał, i dziękowała opatrności, że miniony miesiąc spędziła na drakońskiej diecie, skutkiem czego nosiła rozmiar czternasty, a w porywach nawet dwunasty. W innym wypadku nie starczyłoby jej pewności siebie, by flirtować z tak atrakcyjnym facetem. I nie miałyby nawet co marzyć o wbiciu się w obcisłą, czarną sukienkę, która eksponowała jej bujny biust i wspaniałe nogi.

Oczywiście w wyszczuplających rajstopach i majtkach czuła się jak mumia egipska, a po dwóch koktajlach z szampanem i bąbelkami czarna sukienka stała się niebezpiecznie napięta. Żołądek Dee zaczął wykonywać niespokojne ruchy w seksownym opakowaniu z lycry. Trudno, trzeba cierpieć, żeby być piękną, a przynajmniej znośnie wyglądać. Znajomi - szczególnie Maeve, jej najlepsza przyjaciółka - mówili jej ciągle, że jest ładna, seksowna i że ma wspaniałe, pełne wyrazu ciemne oczy. Ale Dee nigdy nie lubiła swoich bujnych kształtów, biustu, na którym przydałby się znak ostrzegawczy, bo mężczyźni gapili się na niego jak zahipnotyzowani, ani niesfornych ciemnych loków, które co rano spryskiwała połową pojemnika lakieru, żeby jakoś wyglądały. Lubiła swoje oczy, tak jest, ale tak naprawdę zawsze chciała być nordycką blondynką, z klasą, figurą i nogami do samej szyi.

Po godzinie spędzonej w towarzystwie Gary'ego Dee została oczarowana jego inteligencją i urodą. Pochlebiało jej też to, że był nią wyraźnie zainteresowany. I, choć księgowi nigdy nie zajmowali wysokiej pozycji na liście atrakcyjnych męskich profesji, Gary ani odrobinę nie przypominał klasycznego przedstawiciela tego zawodu.

- Kojarzysz mi się z kobietami z płócien prerafaelitów - mruknął pochylając się do niej przy barze. Doleciał ją zapach wody po goleniu Armani oraz zdrowych męskich feromonów. - Mają długie, kasztanowe lub rude włosy, wielkie ciemne oczy i miny, jakby tylko czekały, że ktoś zwabi je na zacienione łąki i zrobi coś, o czym grzeczne panienki z dziewiętnastego wieku nie powinny nawet myśleć.

Gdyby coś takiego powiedział jeden z chłopaków w redakcji, Dee parsknęłaby śmiechem i odesłała go do wszystkich diabłów. Tymczasem te słowa wypowiedziane niskim głosem Gary'ego Redmonda wydały się jej niebywale podniecające, a w spojrzeniu jego dziwnych

orzechowych oczu było coś, co sprawiało, że topniała jak czekolada.

- Tak? - mruknęła, podnosząc na niego wzrok. Jeśli ona ma metr sześćdziesiąt wzrostu, on musi mieć trochę ponad metr siedemdziesiąt. To dobrze, jest wyższy, ale nie za bardzo. Nie lubiła zbyt wysokich facetów. Od ciągłego zadzierania głowy boli kark. - Skąd tak dużo wiesz o sztuce?

- Moja matka jest fanatyczką poszerzania horyzontów - odparł z krzywym uśmiechem. - Kiedy byliśmy mali, wozila nas na wakacje do Francji i Włoch. Znam chyba każdy kościół we Florencji i połowę eksponatów w Luwrze.

- Brzmi wspaniale - stwierdziła. Myślała przy tym o corocznych wakacjach rodziny O'Reilly w przyczepie kempingowej gdzieś na irlandzkim wybrzeżu. Jedyne galerie, jakie zwiedzali, to te ze strachami w pobliskim wesołym miasteczku. Dee wołała karuzele, dopóki w wieku lat piętnastu nie odkryła, że do wagonika można wsiąść z chłopcem.

- Myślisz, że już za późno, żeby nauczyć kompletną ignorantkę czegoś o sztuce? - zapytała miękko, posyłając mu przy tym uwodzicielskie spojrzenie, które opracowała do perfekcji dzięki miesiącom ćwiczeń przed lustrem w swoim pokoju. - W ogóle się w tych sprawach nie orientuję.

- Na pewno okażesz się pojętną uczennicą - usłyszała w odpowiedzi.

Dwie godziny później chichotali nad butelką wina w barze „Unicorn”. Po tygodniu byli zakochani. Dee do dzisiaj pamiętała ich trzecią randkę. Wtedy właśnie zrozumiała, że go kocha.

Nieoczekiwanie zjawił się na progu jej mieszkania z piknikowym koszykiem pełnym smakołyków. Był tam kurczak na zimno, bagietka, sałatka ziemniaczana, sześć puszek piwa i lody truskawkowe. Po trzech dniach odżywiania się wyłącznie grejpfrutami i kawą bezkofeinową, żeby nie utyć ani funta, Dee mogłaby sama pochłonąć zawartość koszyka w niecały kwadrans. Robiło jej się słabo na myśl o jedzeniu, a zapach bagietki przyprawiał ją o zawroty głowy.

- Idziemy na piknik - oznajmił Gary, zamykając ją w niedźwiedzim uścisku.

- Piknik? Przecież jest wpół do dziewiątej! - krzyknęła zdumiona.

- Nocny piknik, Dee. - Pocałował ją namiętnie. - Weź ciepłą kurtkę, może być zimno.

Tulili się do siebie w jego samochodzie, słuchali muzyki z radia, wpatrywali się w gwiazdy nad opuszczonym dachem. Na początku rzeczywiście było przejmująco zimno, jednak potem rozgrzało ich piwo, a kiedy Dee poczuła rękę Gary'ego pod swoją bluzą, zrobiło jej się wręcz gorąco.

- I kto powiedział, że księgowi nie są romantyczni? - szepnęła mu do ucha.

Niestety, podczas ostatnich kilku miesięcy o romantyczności nie było mowy, skonstatowała ponuro. Właściwie nie pamiętała, kiedy ostatnio Gary dał jej jakiś choćby błahy dowód uczucia. Na Boga, o mały włos zapomniałby o Walentynkach. Z drugiej strony, oddałaby wszystkie czerwone róże tego świata, gdyby łaskawie pamiętał o opuszczaniu deski klozetowej.

Wepchnęła brudną bieliznę do pralki, obficie sypnęła proszku, na koniec dodała płynu

zmiękczającego i zatrzasnęła wieko. Potem wyjęła kubek ze sterty brudnych naczyń w zlewie i opłukała go pod gorącą wodą. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ulec i nie pozmywać. Nie, do licha. Cholerny Gary może to zrobić.

Prędzej czy później widok sterty brudnych naczyń w zlewie zacznie działać mu na nerwy i sam zabierze się za zmywanie. Sztuka polega na tym, żeby go nie poganiać - niech do tego dojrzeje we właściwym czasie. Być może brudne talerze przewyższą Mount Everest, zanim przyjdzie mu do głowy żeby pozmywać, ale nie obawiaj się. Niech przez tydzień nikt mu nie prasuje koszul, nie pierze majtek ani skarpetek, a zrozumie, że elfy nie istnieją i sam zakasa rękawy. Poczekaj, a sama się przekonasz.

Udzielanie rad a wcielanie ich w życie to dwie zupełnie inne sprawy, uznała Dee. Wiedziała, jak autorka listu powinna postąpić ze swoim uczulonym na obowiązki domowe mężem. Skoro jednak Dee nie udało się skłonić swego leniwego partnera do umycia choćby małego spodeczka, pouczając biedną Załamaną we własnych oczach wychodziła na okropną hipokrytkę.

Powyzszą metodę stosowała od tygodnia. Jak na razie jedno było jasne: Gary woli kupić nową koszulę niż uprać starą, a góra naczyń w zlewie, podejrzana zielona substancja w lodówce i brak czystych skarpetek w szufladzie nie robią na nim najmniejszego wrażenia.

To wszystko wina jego cholernej matki. Rozpuściła go niewiarygodnie. W domu nigdy nie musiał nawet kiwnąć palcem i teraz żył w przekonaniu, że jedynie kobiety posiadły trudną sztukę odkurzania i czyszczenia toalety. A przynajmniej udawał, że tak uważa. Dee bezustannie żaliła się swojej przyjaciółce Maeve, że zaraz po pierwszym spotkaniu z matką Gary'ego powinna była się domyślić, w co się pakuje.

Spotykali się od trzech miesięcy, Gary praktycznie wprowadził się do jej mieszkania przy South Circular Road, aż pewnego dnia zaprosił ją do domu, by poznała jego matkę.

Jest zupełnie inna niż twoja mama, uprzedził. Dee przedstawiła go rodzicom i młodszemu rodzeństwu na koncercie muzyki ludowej w pubie „Submari-ne”. Rodzina O'Reillych powitała Gary'ego z otwartymi ramionami. Robili co w ich mocy, by czuł się swobodnie w ich towarzystwie. Zanim stamtąd wyszli, on i jej ojciec byli dobrymi kumplami, a mama zaprosiła Gary'ego na niedzielny obiad.

Jakby dla kontrastu jego matka zaprosiła Dee na popołudniową herbatkę, którą podała w maciupęnkich filiżankach. Nie omieszkała przy tym poprosić gościa, by pił ostrożnie, „bo to moja najlepsza porcelana”.

Przekonana, że nie miała nic złego na myśli, Dee uśmiechnęła się miło i komplementowała granatowy kostium.

Nie mieściło jej się teraz w głowie, jak mogła nie zauważyć, że Gary wygodnie rozpięra się

fotelu, podczas gdy jego matka krząta się nerwowo, znosi z kuchni filiżanki, spodeczki, talerzyki, wafelki, biszkopciki i pierniczki, jego ulubione. Gary ani razu nie zaproponował, że pomoże. I dlatego nie zdziwiło jej, że namiętny ognisty kochanek nagle przeistoczył się w przymilnego maminsynka.

Niestety, za bardzo zaprzętało ją sprawianie dobrego wrażenia, a potem była zbyt zirytowana niedelikatnym wypytywaniem Margaret.

- Od jak dawna pracuje pani w tej... hm... gazecie, Deirdre?

- Od sześciu lat.

- Rozumiem. Gary mówił, że jest pani w dziale informacyjnym. Czy zastanawiała się pani nad zmianą pracy?

- Nie.

- Och. Kochanie, jeszcze kawałek ciasta? - Kiedy mówiła do Gary'ego, temperatura jej głosu rosła o dobre czterdzieści stopni. Nałożyła synowi kolejny kawał ciasta i ponownie zajęła się przesłuchaniem. - Czym się zajmuje pani ojciec, Deirdre? Też jest dziennikarzem?

- Nie, mechanikiem - odparła, zastanawiając się przez chwilę całkiem poważnie, czyby nie przedstawić ojca jako pianisty w burdelu, który czasem, dla rozrywki, zatrudnia się jako kierowca przy napadach na bank.

- Jest właścicielem warsztatu, tak?

- Nie. Jest mechanikiem. Najczęściej reperuje rury wydechowe.

- Och.

Dee niewiele potrzebowała, by się zorientować, że Margaret Redmond należy do tych kobiet, których zdaniem nikt, absolutnie nikt nie jest dość dobry dla ich najmłodszych synków.

Matka Gary'ego była doskonałą kucharką, zdolną krawcową i pierwszą dewotką w kolejce do komunii na codziennej mszy. Stanowiła podporę kościelnej społeczności Clontarf jako osoba gorąco religijna. Nie piła, nie paliła i nie przeklinała, nigdy nie rozsiadała się przed telewizorem, chyba żeby obejrzeć jakiś pouczający program dokumentalny, a i to pod warunkiem, że nie trzeba było akurat piec tortów na kościelne zebranie czy mozolnie cerować koszul synów. Chodziła na zajęcia z historii sztuki, chociaż zdaniem Dee robiła to wyłącznie na pokaz.

Wychowała pięciu chłopców, z których czterej znaleźli sobie odpowiednie żony, pochowała męża-księgowego i zabijała czas czekając, aż któraś synowa zajdzie w ciążę, żeby móc dziergać kaftaniki i modlić się za wnuka.

Była niska i pulchna - zapewne dzięki zbyt wielu cytrynowym torcikom. Miała siwe włosy, zawsze starannie uczesane trwały, okulary na czubku nosa i w niczym nie przypominała matki Dee. Pod pozorami dobroduszości kryła się żelazna wola.

Gdyby Dee uświadomiła sobie, że romans z Garym oznacza regularne spotkania z jego okropną, snobistyczną matką, prawdopodobnie nie zakochałaby się, mimo jego seksownego

spojrzenia, wspaniałego ciała i wdzięku, który umiał włączyć na zawołanie.

Również na zawołanie umiał go wyłączyć. Westchnęła. W szufladzie ostała się jedna jedyna łyżka - mieszała nią farbę, kiedy bawiła się w odnawianie łazienki. Farba zaschła na kamień. Chyba nie jest trująca?

Zresztą, co to za różnica? Kawa z farbą emulsyjną może się okazać całkiem smaczna. Ostatni mrożony sernik rozpląnął się bez śladu. Rozłożyła wysyłkowy katalog Argos. Wyjęła z szafki paczkę specjalnych niskokalorycznych biszkoptów, którymi zachwyciła się ostatnio cała redakcja, i usiadła przy sosnowym stole, kiwającym się niemiłosiernie, jeśli zapomniała podłożyć kawałek tektury pod jedną nogę.

Na zewnątrz blade majowe słońce przedzierało się przez chmury sprawiając, że krople deszczu na sznurze od bielizny mieniły się jak brylanty. Trawa w malutkim ogródku była już zdecydowanie za wysoka. Zeszłoroczne nasturcje całkowicie zasłoniły cherlawy wrzos i powoli zagarniały dla siebie całą rabatę. Niedługo będzie musiała się tym zająć, ale chwilowo nie miała czasu. W weekend skosi trawę i posadzi jakieś kwiaty. Na szczęście jej ogródka nie oglądał nikt oprócz studentów z sąsiedniego domku, którzy nie powinni narzekać, bo ich trawnik wyglądał sto razy gorzej.

Telefon, który zadzwonił trochę później, przerwał jej rozmyślanie, czy jadowicie zielony koszyk na warzywa, który znalazła w katalogu, będzie pasował do wystroju jej kuchni. Oprócz walorów estetycznych, taki koszyk rozwiązałby również problem ziemniaków puszczających pędy w lodówce. Tak, podjęła decyzję.

- Dee - warknął Ian Mahoń, zastępca naczelnego, który kierował działem informacyjnym w „Sentinel”. Jak zwykle, słysząc pochmurny głos nasycony dymem z czterdziestu papierosów dziennie, wyprostowała się gwałtownie. Zawsze tak reagowała słysząc go przez telefon. Podczas spotkań twarzą w twarz było jeszcze gorzej. Wysoki, przygarbiony i złośliwy, Mahoń cieszył się nienawiścią wszystkich reporterów. W przyływach lepszego humoru nazywali go Stalinem, a było to jedno z najłagodniejszych określeń.

Był bardzo dobry w tym, co robił, choć Dee nie mogła oprzeć się wrażeniu, że byłby jeszcze lepszy, gdyby porzucił denerwujący nawyk stawania nad młodymi dziennikarzami, czytania im przez ramię i krytykowania ich tekstów na cały głos. Po sześciu latach w redakcji na łasce i niełasce Stalina, Dee przywykła do jego humorów. Przynajmniej częściowo.

- Szykuje się niezła historia - zazgrzytało w słuchawce. - Ten australijski piosenkarz, Chazz... dostałem cynk, że zdemolował pokój we hotelu „Conrad”. Nasz fotograf już tam jest, ale nie zrobił żadnych zdjęć. Chciałbym, żebyś spróbowała wkręcić się do środka. Zdaje się, że masz tam jakieś wejścia?

- Tak - westchnęła. Tyle, jeśli chodzi o wolny dzień. Oczywiście Stalin nawet nie zapytał, czy nie jest zajęta. O, nie. Założył z góry, że od razu stanie na baczność.

- Kto tam jest? - Profesjonalizm zwyciężył. Pospiesznie notowała szczegóły w notesie, który zawsze leżał przy telefonie.

- Kevin Mills. Podałem mu twój numer komórkowy, zaraz zadzwoni.

Ta wiadomość poprawiła Dee humor. Kevin Mills był świetnym fotografem, nigdy nie tracił panowania nad sobą i robił doskonałe zdjęcia. I na dodatek posiadał niepokojącą, cygańską urodę. Pracował jako wolny strzelec, miał własną agencję fotograficzną. Specjalizował się w zdjęciach sław, więc Dee, która zajmowała się zwykłymi wiadomościami, miała niewiele okazji, by z nim pracować. Powszechnie jednak uważano go za wysokiej klasy profesjonalistę, a do tego wyglądał o niebo lepiej niż Seanie Keane, z którym zazwyczaj pracowała.

Mało prawdopodobne, by Kevin zanudził ją na śmierć, jak Seanie, kiedy zdawał jej szczegółową relację z remontu swojego dziewiętnastowiecznego domu, który przeprowadzał własnymi rękami.

- Jeśli nie uda się wam sfotografować Chazza ani jego pokoju, spróbujcie chociaż zrobić zdjęcie podobnego apartamentu. Zadzwoni za godzinę - burknął Stalin na zakończenie i odłożył słuchawkę.

Dee pokazała język milczącemu aparatowi.

- Świnia!

Poszła się przebrać. Ukochane szare dresy i powyciągany czarny podkoszulek nie nadawały się na wizytę w jednym z najbardziej luksusowych dublińskich hoteli.

Prosty czarny garnitur wyglądał najlepiej, jeśli nosiła do niego rozpuszczone włosy, ale akurat tego ranka nie myła głowy, więc musiała je upiąć. Spodnie były za ciasne, nie mogła zapiąć najwyższego guzika. Cholera. Na nic chowanie głowy w piasek, omijanie z daleka wagi łazienkowej czy noszenie luźnych portek i męskich koszul - znowu tyła.

To wszystko przez Gary'ego. Ilekroć była zdenerwowana, szukała pociechy w jedzeniu, a ostatnio była zdenerwowana bez przerwy. Wczoraj przed lunchem zjadła trzy batoniki Mars, co wcale jej nie przeszkodziło pochłonąć potem olbrzymiego talerza *tagiatelle carbonara*. Dlaczego nie wygląda jak Maeve? Przyjaciółka była chuda jak patyk, jadła jak koń - *tagiatelle carbonara* i szarlotka z kruszon-kąką deser - i nigdy się nie zdarzyło, by jej spodnie nie dopinały się w talii.

Dee posępnie wpatrywała się w swoje odbicie. Jak zwykle nie zwracała uwagi na ładną, okrągłą buzię o jasnej, delikatnej cerze, na ciemne, pełne wyrazu oczy ani na bujne loki. Widziała jedynie niską, pulchną kobietę, wciśniętą w spodnie rozmiar czternaście, chociaż szesnastka byłaby bardziej na miejscu. Stała bokiem, żeby zobaczyć, czy brzuch bardzo wystaje.

- O Boże - jęknęła.

Była ogromna. Przecież z takim wyglądem nie mogła wyjść z domu. Jej piersi pod różową koszulką wylewały się ze stanika, a talia praktycznie nie istniała. Wyglądała jak świnia, stwierdziła. Niska, ciemnowłosa świnia.

Nie miała czasu, by zamaskować podkładem piegi, ale zdążyła przynajmniej nałożyć na rzęsy grubą warstwę ciemnobrązowego tuszu. Jeszcze tylko obficie spryskała się Opium, porwała torebkę z krzesła, w biegu złapała telefon komórkowy i wsiadła do swojej białej toyoty zaledwie dziesięć minut po telefonie Stalina.

Poczekaj, aż zobaczysz koszty, odgrażała się w myślach. Może to go oduczyci zawracania jej głowy w wolny dzień. Dodatkowe pieniądze przydadzą się, kupi sobie za nie suknię-namiot, przecież niedługo w nic innego się nie zmieści.

- Spotkamy się na Hatch Street o wpół do pierwszej - rzucił Kevin niskim głosem. Na linii coś trzeszczało i buczało. - Nie mogę teraz rozmawiać.

Ruch na ulicach nie pozwolił jej zdążyć na czas. Cholera, zaklęła w myślach, ustawiając lusterko tak, żeby móc się w nim przejrzeć i porządnie umalować usta. Wtedy dopadło ją napięcie, przyływ adrenaliny, którego doświadczała zawsze, ilekroć pracowała nad ciekawym artykułem. W takich chwilach zapominała nawet o swoich problemach z figurą, a to mówiło samo za siebie.

Miała nadzieję, że inni dziennikarze nie zjawią się na miejscu przed nią. Problem z anonimowymi informacjami polegał na tym, że ich autorzy z reguły nie ograniczali się do jednej gazety - nie, dzwonili do wszystkich. A nic nie mogło bardziej zdenerwować reportera niż odkrycie, że konkurencja sprzątnęła mu sprzed nosa smakowity kąsek.

Kevin czekał na Hatch Street. Niedbale opierał się o srebrnego porsche'a, którego sobie zafundował za zdjęcia Liz Hurley na plaży, zrobione podczas zeszłych wakacji, i palił papierosa. Pod zieloną kurtką miał dwa aparaty fotograficzne, których obiektywy smętnie spoglądały na ziemię. Kevin zmrużonymi oczami wpatrywał się w hotel.

- Co się tu dzieje? - zapytała Dee, obserwując go przy tym uważnie. Mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu - żeby robić dobre zdjęcia, trzeba być wysokim i widzieć, co się dzieje, nad głowami tłumu - smukła sylwetka, cień zarostu na mocno zarysowanej szczęce - Kevin zarobiłby równie dużo przed, jak i za obiektywem aparatu.

Nawet jeśli zdawał sobie sprawę, jaki jest wspaniały, a Dee przypuszczała, że tak, bo jeśli wierzyć redakcyjnym plotkom, zawsze ciągnął się za nim sznureczek kobiet, nigdy nie dawał tego po sobie poznać, nie zachowywał się jak najprzystojniejszy facet po George'u Clooneyu. Dee nie znosiła mężczyzn z wielkim ego.

Obciągnęła zakiet, żeby wyglądać jak najszczuplej. Wciągnęła brzuch i stanęła prosto, tak, jak zwykle radzą magazyny kobiece: „Dwa kilo mniej w jednej chwili”, lansując sylwetkę pod hasłem: „Wyobraź sobie, że niewidzialny sznurek podnosi ci głowę do góry.” Dee zadarła głowę i starała się wyglądać na lżejszą nie o dwa, ale o sześć kilo.

Kevin mocno zaciągnął się papierosem, zanim rzucił niedopałek na ziemię i rozgniół go butem marki Timberland.

- Jest wewnątrz. Z tego co wiem, wezwano gliny. Moja informatorka powiedziała mi tylko tyle. Miała się ze mną spotkać pół godziny temu, ale się nie pokazała. Mahoń mówił, że znasz kogoś z personelu.

Dee posłała mu przepaszające spojrzenie.

- Nie znam. Nie mam pojęcia, skąd mu coś takiego przyszło do głowy, ale nie chciałam wyprowadzać go z błędu. Wiesz, jaki on jest.

- W porządku. Chodź, obejrzymy sobie hotel od frontu - zaproponował.

Zrządzeniem losu nie musieli robić nic więcej, by zdobyć materiał na tekst.

Zbliżali się do głównego wejścia, gdy z podziemnego garażu wyjechał na pełnym gazie ciemnoniebieski samochód. Dwaj mężczyźni na przednim siedzeniu byli bez wątpienia z policji. Nie trzeba było teleobiektywu, by dostrzec, że na tylnym siedzeniu, między dwoma krępyimi funkcjonariuszami, siedzi Chazz.

Piosenkarz patrzył w ich stronę, gdy samochód wjeżdżał na jezdnię, co dało Kevinowi szansę. Błyskawicznie podbiegł do samochodu i pstryknął co najmniej dwadzieścia zdjęć. Chazz pochylił głowę, chcąc uniknąć obiektywu, lecz zareagował za późno. Kevin miał go na kliszy.

- Super! - Dee dobiegła do niego, gdy policyjny wóz zniknął im z oczu. - Bomba! Teraz się módlmy, żeby inni nie wydali tego przed poniedziałkiem.

- I tak nie dostaną moich zdjęć - odparł z szerokim uśmiechem. - Idę do baru, a potem postaram się dostać do pokoju, który zdemolował. Idziesz ze mną?

Była to najmiłsza propozycja, jaka się jej trafiła tego dnia. Gary wyjechał na weekend, zaszył się z kumplami w Old Trafford i prawdopodobnie o tej porze był już pijany jak bela. W domu czekała na nią jego brudna bielizna, której nie upierze, choćby poniewierała się po całym domu, i jej rubryka porad. Wizja drinka z przystojnym mężczyzną, który na dodatek nie będzie bez przerwy opowiadał o pierwszej lidze, wydała się bardzo kusząca.

Musiała jednak odmówić. Jeśli Kevinowi uda się sfotografować pokój, napisze tekst na podstawie zdjęć. Teraz najważniejsze to porozmawiać z policją o aresztowaniu Chazza, czyli Charliego Leonarda, lidera Panic Zone. Ponieważ Gary ostatnio, delikatnie mówiąc, lekko irytował Dee, Bóg jeden wie, do czego doprowadziłoby kilka głębszych w towarzystwie Kevina Millsa. Kiedyś była tak wściekła na narzeczonego, który zapomniał o rocznicy ich pierwszego spotkania, że po pracy poszła z kolegami do pubu, i tam podpita skandalicznie wręcz flirtowała z Billem, szczęśliwym mężem prywatnie, a zawodowo zastępcą naczelnego. Popełniła wówczas poważny błąd.

Następny dzień w pracy to było istne piekło. Aż do przerwy na lunch wszyscy zrywali boki ze śmiechu i opowiadali rubaszne dowcipy na jej temat, w dodatku męczył jąkać gigant. Dee wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

- Niestety, nie mogę. Może innym razem. Kevin uśmiechnął się lekko.

- W porządku - dotknął jej dłoni - innym razem. Trzymam cię za słowo. Dee wróciła do samochodu z uśmiechem na ustach. Uśmiechała się nawet dzwoniąc na posterunek ze swój jej ego telefonu komórkowego. Ma nieogolone nogi i tłuste włosy, a Kevin Mills i tak zaprosił ją na drinka. Cóż, służbowo, przyznała, ale ją zaprosił.

Droga Annie Jestem z moim narzeczonym od sześciu lat. Dwa lata temu zaręczyliśmy się, mieszkamy razem. Wczoraj kolega z pracy zaprosił mnie na drinka i miałam wielką ochotę skorzystać z jego zaproszenia. Czy ze mną coś nie w porządku? Kocham mojego narzeczonego i gryzie mnie sumienie, bo chciałam iść na drinka z innym.

Oczywiście nie zrobiłam tego, ale teraz nie mogę opędzić się od myśli, że między moim narzeczonym a mną się nie układa, skoro poczułam coś takiego. Jestem załamana.

Zagubiona Droga Zagubiona Niewykluczone, iż przechodzisz po prostu pewną fazę. Jako kobieta zaręczona, wkrótce mężatka, uważasz zapewne, że jesteś bezpieczna, że nikt inny nie wpadnie ci w oko. To jednak niekoniecznie musi okazać się prawdą.

Setki ludzi szczęśliwych w małżeństwie odczuwa pociąg do osoby trzeciej. Sprawdzianem ich związku z partnerem jest to, czy chwilową fascynację starają się przeciągnąć w coś trwalszego. Nie rób sobie wyrzutów tylko dlatego, że spodobał ci się inny mężczyzna. Nie zrobiłaś nic złego, jesteś normalną kobietą.

Jeśli twój związek znalazł się akurat w trudnej fazie, mogło to spotęgować u ciebie poczucie zagubienia. W każdym związku zdarzają się gorsze i lepsze dni. Musimy się starać, żeby te złe trwały jak najkrócej. Nietrudno się kimś znudzić, ale przypomnij sobie wszystkie powody, dla których zakochałaś się w narzeczonym...

Zanim dojechała do domu, było późne popołudnie. Zdobyła dodatkowe informacje od znajomego policjanta. Kevin zadzwonił, gdy parkowała przed supermarketem, by jej powiedzieć, że udało mu się sfotografować zniszczenia w pokoju hotelowym.

- Właściwie narobił niewiele szkód, ale wezwali policję, bo chciał uderzyć kelnera. Nie tolerują podobnego zachowania. Dyrekcja nawet nie wie, że byłem w środku, więc nie dzwoń do nich z prośbą o komentarz przynajmniej do jutra.

- Jasne. - Znała zasady gry. Gdyby się przyznali, jaki materiał przygotowuję, ktoś z hotelu mógłby zadzwonić do zaprzyjaźnionego dziennikarza i „Sentinel” zamiast niezłego tematu miałby figę z makiem.

- Dostaniesz zdjęcia jutro z samego rana, OK? - W głosie Kevina nie było śladu poprzedniego ciepła.

- OK - odparła radośnie. - Na razie. - Chyba się jej przyśniło, że był nią zainteresowany. Weszła do holu, obładowana jak juczny muł sześcioma siatkami zakupów.

Przynajmniej zjem pyszną kolację, pocieszyła się, upychając w lodówce produkty na potrawkę z kurczaka, a w zamrażarce kilka pudełek miniaturowych ser-niczków. Woda akurat się zagotowała, jednak Dee zmieniła zdanie i zamiast kawy naląła sobie białego wina. Co prawda trochę za wcześnie na drinka, ale uznała, że na niego zasłużyła. Potem zadzwoni Gary, a ona przeprosi go za ostatnią kłótnię i powie mu, że go kocha.

O dziesiątej rano w niedzielę redakcja „Sentinel” była zazwyczaj bardzo spokojna. Choć nad poniedziałkowym numerem pracowało tyle osób co zwykle, wszyscy się spóźniali. W niedzielę chcieli pospać trochę dłużej, wypić kawę w łóżku i przeczytać gazetę od deski do deski, zwłaszcza kiedy lało jak z cebra.

Dee nie znosiła pracować w niedzielę. Była zmęczona, na brodzie wyskoczył jej pryszcz i czuła, jak wielkimi krokami zbliża się zespół napięcia przedmiesiączkowego. Gwoździem do trumny okazał się fakt, że waży siedemdziesiąt jeden kilo. Właśnie zaparzyła dzbanek kawy i buszowała w lodówce w poszukiwaniu śmietanki, kiedy do malutkiej redakcyjnej kuchenki weszła jej najlepsza przyjaciółka, Maeve Lynch. Miała na sobie czarny plastikowy płaszcz i jak zwykle ścisnęła pod pachą wypchaną do granic możliwości teczkę. Wysoka, chuda, o krótkich włosach zawsze ufarbowanych na niesamowity odcień burgunda, Maeve pracowała w „Sentinel” jako redaktor techniczny: zajmowała się również planowaniem graficznego układu gazety.

- Kawa. Bogu dzięki - jęknęła. - Dee, jesteś aniołem.

- Dobrze, że chociaż jedna osoba jest tego zdania - burknęła Dee pod nosem. Gary nie zadzwonił, poszła spać wściekła jak osa. Godzinami układała sobie, co mu powie, kiedy tylko wróci do domu. Lwią część jej przemowy stanowiły słowa niecenzuralne i wściekle okrzyki.

- Co znowu? - zainteresowała się Maeve. - Gary?

- A któż by inny?

- Co się stało? - Maeve wsypała trzy łyżeczki cukru do swojej filiżanki. Dee nigdy nie była w stanie pojąć, jakim cudem przyjaciółka może konsumować takie ilości cukru, a mimo to wyglądać jak anorektyczka. - Zdawało mi się, że wyjechał na weekend?

- Owszem. Nawet nie raczył do mnie zadzwonić.

- Och, wiesz, jacy są faceci - zaczęła Maeve pocieszająco.

- Nie, nie wiem, ale wiem, jaki jest Gary.

Weszły do dużej gwarnej hali. Na każdym biurku stał komputer, pod ścianami szumiały faksy, naprzeciw wejścia ulokowano cztery wielkie telewizory.

Próżno było tu szukać roślin doniczkowych i gustownych reprodukcji, zdobiących inne biura czy redakcje. W „Sentinelu” równo z wybicciem szóstej po południu palacze z lubością zaczęli oddawać się nałogowi - o tej godzinie wychodziła sekretarka naczelnego, zaciekle przeciwniczka palenia. W efekcie żadna roślina nie przetrwała tu dłużej niż sześć tygodni, nawet bluszcz

dziewczyny od kroniki towarzyskiej, chociaż troskliwie faszerowała go sztucznym nawozem.

Dee nie paliła, czasami tylko pozwalala sobie na jednego papierosa w pubie z Maeve, żeby zająć czymś ręce. Momentami żałowała, że nie tkwi w szponach nałogu - podobno nikotyna hamuje apetyt. Oczywiście wyobraźni widziała siebie jako bardzo chudą, bardzo wyrefinowaną piękność, z wystającymi jak u charta żebrami i cienką cygaretką w wypielegnowanej dłoni. Jednak niezależnie od papierosów, kochała jedzenie i na tym polegał jej problem.

Energicznie postawiła kubek na biurku, obok stert gazet z poprzedniego tygodnia. Przesunęła stare numery na bok, usiadła wygodnie, otworzyła notes i u góry kartki napisała dzisiejszą datę. Zawsze od tego zaczynała dzień. Nauczyła ją tej sztuczki jej pierwsza szefowa. Mawiała, że to najlepszy sposób, by nie stracić kontroli nad tym, co się robi, i nie pogubić ważnych telefonów - wszystko zapisywać w jednym notesie.

- Trzymaj. - Maeve podała jej brązową papierową torebkę z trzema paczkami i przysunęła sobie krzesło do biurka Dee.

Dee robiła co w jej mocy, by lekceważyć zapach ciastek. I bez nich była wystarczająco gruba.

- Jeśli nie chcesz, nie musimy rozmawiać o twoim paskudnym weekendzie - zapewniła Maeve. - Zanudzę cię na śmierć, opowiadając o moim.

Dee poprawiła się na krześle, oparła stopy na biurku, napiła się kawy.

- Zwariuję, jeśli o tym komuś nie opowiem - stwierdziła ponuro.

- Więc co zrobił tym razem? - Maeve mówiła niewyraźnie, z ustami pełnymi ciasta.

- Najgorsze jest to, czego nie zrobił. W piątek rano doszło do strasznej awantury na temat sprzątanania. Powiedział, że ma po dziurki w nosie mojego pieprzenia na ten temat. A przecież on nawet nie raczy umyć po sobie szklanki. W zlewie naczynia piętrzą się od tygodnia, skończyły się nam sztuce, a on nadal nie kiwnie palcem...

- Więc sama pozmywałaś... - Maeve wpadła jej w słowo.

- Nie! - zaperzyła się Dee. - Ale to zrobię - dodała. - Dłużej nie znoję tego widoku. Najgorsze jednak, że do mnie nie zadzwonił. Jest taki bezmyślny!

Maeve sięgnęła do papierowej torby, wyjęła okazałe ciastko i podała Dee. Ta przyglądała się łakomie przez ułamek sekundy, a potem wzięła je z westchnieniem.

- Cóż, jeśli to cię pocieszy, mój weekend również był do bani. Czarujący producent telewizyjny, wiesz, ten który pytał, gdzie się podziewałam przez całe jego życie, nie odezwał się ani razu.

- Och, to okropne. Co robiłaś?

- Poszłam do knajpy z sąsiadkami z dołu. Kompletne wariatki. Ile razy z nimi gdzieś wychodzę, koniec końców stoimy o czwartej rano w deszczu przed knajpą i usiłujemy sobie przypomnieć, gdzie mieszkamy, żeby podać adres taksówkarzowi.

Dee nie mogła opanować lekkiego ukłucia zazdrości. Maeve bawiła się doskonale wlewając w siebie kolejne tequile, a ona tkwiła w domu i czekała, aż zadzwoni cholerny Gary. Po raz kolejny zauważyła, że popełniła klasyczny kobiecy błąd. Straciła kontakt z przyjaciółkami z panieńskich czasów, gdy tylko poważnie zaangażowała się w związek z mężczyzną.

Gary tymczasem nadal spotykał się z kumplami, jakby ciągle był młody i wolny.

To nie to, że zabraniał jej wychodzić samej; Dee po prostu uważała, że skoro są parą, powinni wszystko robić razem. Lubiła włóczyć się po starym mieście, szperać w antykwariatach, na pchlim targu wyszukiwać meble do sypialni, a potem godzinami przesiadywać w staroświeckich pubach, sączyć niezliczone kawy po irlandzku i czytać. A Gary wołał pić z kumplami.

- Zapomnijmy o facetach - zaproponowała nagle Maeve. - Po pracy zabieram cię na drinka i w ogóle nie będziemy o nich gadać. Ale najpierw sprzedam ci nowinę.

Dee podniosła głowę. Jak wszyscy dziennikarze, uwielbiała plotki.

- No?

Maeve uśmiechnęła się złośliwie.

- Antonia odchodzi! Hubbie dostał pracę w londyńskiej firmie farmaceutycznej. Najwyraźniej nie zdołał się oprzeć ofercie. Miał zamiar dojeżdżać i wracać na weekendy, ale zaoferowano mu taką kasę, iż Antonia uznała, że spokojnie utrzymają się z jego pensji, więc jadą razem. Liczy, że przez pewien czas popracuje jako wolny strzelec dla brytyjskich magazynów. Dzieci są już duże, więc nie musi się o nie martwić.

Dee zaniemówiła.

- Nie wierzę! - wykrztusiła w końcu. - Pomyśleć, że tak zawzięcie walczyła o stanowisko szefowej działu kobiecego! Nie pojmuję, że rezygnuje z tego, ot, tak sobie. Skąd wiesz? Chyba ci nie powiedziała?

Dee wiedziała, że Antonia i Maeve nie przepadały za sobą. Tak naprawdę nikt nie wytrzymałby ze znerwicowaną, rozhisteryzowaną Antonią, która każdy problem wyolbrzymiała do kryzysu na skalę światową i nigdy nie omieszkła przypomnieć wszystkim wokół, że pochodzi z zamożnej brytyjsko-irlandzkiej rodziny i jedna z jej kuzynek jest księżną.

- Powiedział mi chłopak z działu sportowego. Wczoraj wieczorem spotkałam go w „Slattery ‘s”. On z kolei dowiedział się od stażystki z działu reklamowego, która podsłuchiła rozmowę swojego szefa z mężem Antonii. Panowie razem grywają w golfa. Dyskutowali o rynku nieruchomości w Londynie. Ale nikomu ani mru-mru - ostrzegła Maeve. - Stażystka powiedziała to Tomowi po pijanemu. Na razie nikt o niczym nie wie.

- Rozumiem - wycedziła Dee. Po odejściu Antonii droga ucieczki z działu informacyjnego stanie przed nią otworem. Miała po dziurki w nosie bezpardonowej walki o temat i aż się paliła, by udowodnić światu, że potrafi pisać doskonale artykuły. Pracowała jako reporter tylko dlatego,

że w tym dziale najłatwiej było dostać pracę.

Teraz oddałaby wszystko, byle uciec od tekstów o baronach narkotykowych i brutalnych zabójstwach. A naczelny Nigel Burke wie, że potrafi pisać. Pracowała z nim przez całe Boże Narodzenie, gdy połowa „Sentinela” padła na gripę. Wszyscy piali z zachwytu nad jej cyklem: „Nieznani bohaterowie - ci, którzy ratują życie w Świątą”. Oto szansa, na którą czekała. Antonii nie obchodziły poważne tematy. Pisała wyłącznie o modzie na następny sezon i szminkach - która najdłużej trzyma się na ustach, nie znacząc ani szklanki, ani faceta. Dee aż się paliła, żeby przekształcić strony kobiece z ośmiu stron poradnika urody w poważną część gazety zajmującą się problemami kobiet.

- Wiem, o czym myślisz. I nadajesz się znakomicie na stanowisko Antonii - zapewniła Maeve. - Nawet lewą ręką zrobisz wszystko sto razy lepiej niż ona.

- Z pewnością nie zdołałabym bardziej tego spieprzyć - zgodziła się Dee.

- Świąte słowa - zapaliła się Maeve. - Nie masz pojęcia, ile razy chciałam zamordować tę głupią krowę, bo zmieniała tekst i zdjęcia, kiedy ja już wszystko zaplanowałam. Tłumaczyła, że właśnie znalazła jakiś nowy temat, o którym koniecznie trzeba napisać. Że już nie wspomnę o awanturach, jakie mi robiła, kiedy przerabiałam jej teksty, bo za nic nie trzymały się kupy...

- Już, już, Maeve, nie gorączkuj się - Dee poklepała ją po plecach. - Powiedz, co naprawdę o niej myślisz?

- Uważała się za zbyt dobrą dla tej gazety.

- Tak myślałam. Słuchaj, chciałabyś pracować ze mną? - zapytała. Myślała o tysiącu rzeczy naraz. Tak, oto jej wielka szansa.

- Pewnie - krzyknęła Maeve, po czym dodała przezornie: - Ale pamiętaj, Dee, nie ty jedna ostrzysz sobie zęby na posadę Antonii.

- Jediną osobą, która miałaby szansę, jest Phil Walsh, a ona się nie ruszy ze swojego działu. - Dee zbyła rywalkę machnięciem ręki.

Maeve zgniotła pustą torebkę po ciastkach.

- Tłumy ludzi spoza firmy dałyby się posiekać za tę posadę - zauważyła. - Zresztą, dziwisz się?

- Nigel nie zatrudni kogoś z zewnątrz - Dee zniżyła głos, widząc, że otwierają się drzwi do pokoju naczelnego. - Wiesz, że tego by nie zrobił. - Podekscytowana, mocno uściśnęła ramię przyjaciółki. - To wspaniała nowina. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiem o wszystkim Gary'emu!

2.

Isabel wyjęła mokre rzeczy z pralki i jęknęła głośno. Jedna z dziewczynek znowu zostawiła chusteczkę w kieszeni i całe pranie pokrywały białe kłaczkę ligniny.

- Cholera! - zaklęła pod nosem. Odkąd rano poszło jej gigantyczne oczko w ostatniej parze całych rajstop, wiedziała, że będzie to koszmarny dzień. I miała rację.

Rano zatrzymała się na stacji benzynowej przy autostradzie, a potem musiała czekać dobrych dziesięć minut, zanim udało się jej ponownie włączyć w strumień samochodów. Tym sposobem spóźniła się na zebranie redakcji.

Jej szef, Richie Devine, który najwyraźniej był tego dnia w fatalnym humorze, lodowatym głosem zażądał wyjaśnień, dlaczego przychodzi piętnaście minut później niż inni, zwłaszcza że pracuje jedynie czasowo. Co w podtekście znaczyło „nigdy na stałe”, i Isabel doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Posłała mu swój olśniewający stuwatowy uśmiech, o którym jej mąż kiedyś powiedział, że rozjaśnia całą jej twarz. Tym razem niestety nie odniósł skutku.

Olśniewające uśmiechy działają najlepiej prawdopodobnie wtedy, gdy ma się dwadzieścia lat, sterczące piersi, zero doświadczenia życiowego i żadnych kurzych łapek. Kiedy zaś ma się lat trzydzieści dziewięć, stres związany z rozwodem i przeprowadzką sprawia, że chudnie się gwałtownie i nagle kości policzkowe zdają się główną częścią twarzy, a obojczyki sterczą bardziej niż biust, najbardziej olśniewający uśmiech nie poskutkuje.

- U nas, w redakcji „Motor 2000” mamy pewne terminy i oczekujemy, że nasi redaktorzy będą ich przestrzegać - pouczył ją Richie Devine, zanim pogrążył się w omawianiu „nowej idei wkładki reklamowej o dżipach”. Isabel nie wyobrażała sobie nic nudniej szego niż planowanie numeru o dżipach, ale uśmiechała się miło do Richiego i powtarzała sobie, że bardzo, ale to bardzo potrzebuje tej posady, nawet jeśli pieniądze były marne, a praca równie fascynująca jak kinowa wersja brazylijskiej telenoweli.

Planowanie rozkładu stron i wymyślanie tytułów było ciekawe w porządnym magazynie kobiecym, gdzie Isabel pracowała przez ostatnie dziesięć lat. Lecz te same zadania w trzeciorzędym magazynie motoryzacyjnym, którego naczelny reagował podejrzliwością na najmniejszy ślad oryginalności, stawały się nużące i monotonne. Jakby tego było mało, zadzwonili do niej z banku; znacznie przekroczyła ustalony limit debetu.

Znacznie przekroczyłam wszelkie możliwe limity w życiu, pomyślała z goryczą, przeszukując wilgotne kieszenie w poszukiwaniu zdradzieckiej chusteczki.

- Mamo, gdzie moje levisy? - dobiegło ją wołanie z góry.

- Mokre i w białych paprochach z chusteczki, którą zostawiłaś w kieszeni - wrzasnęła w odpowiedzi, bo akurat wymacała w kieszeni dżinsów mokrą ligninę.

Starsza córka nie odpowiedziała, ale Isabel słyszała, jak zatrzasnęła drzwi do swojego

pokoju. Było to normalne zachowanie piętnastoletniej Robin. Normalne ostatnimi czasy.

Do niedawna Robin była najlepszą przyjaciółką matki, najbliższym sprzymierzeńcem i największą wielbicielką. Wszystko zmieniło się zaledwie trzy miesiące wcześniej, kiedy przeprowadziły się z cichego domku w Oxfordzie do rodziców Isabel w Wicklow. Zdawała sobie sprawę, że dziewczynkom niełatwo było opuścić wygodny dom, prywatną szkołę i licznych przyjaciół, ale nie miała wyboru. Z winy Davida.

Machinalnie zbierała białe kłaczki z prania. Jej również nie było łatwo. Zostawiła dom, w którego urządzenie włożyła całe swoje serce, oraz pracę, która sprawiała jej olbrzymią satysfakcję. A wszystko dlatego, że jej pieprzony mąż stracił ostatniego pensa usiłując ratować swoją głupią agencję reklamową. To był ostatni gwóźdź do trumny ich małżeństwa.

Bez grosza przy duszy, świadoma, że towarzystwo budowlane może lada dzień zająć ich dom za niepłacenie rat, Isabel uznała, że nie ma innego wyjścia, jak opuścić Davida i Oxford, i zacząć wszystko od nowa. Tego mu nigdy nie wybaczy.

Razem przetrzymali wiele burz, dlatego wierzyła, że David Farrell nie ma przed nią żadnych tajemnic. Po szesnastu latach małżeństwa była przekonana, że nie zdziwi ją nic, co on zrobi. I zawsze wierzyła, że pewnego dnia miłość powróci do ich związku. Powinna była wiedzieć lepiej.

Przetrwali jego trzy romanse, dwa lata bezrobocia, nawet fatalny w skutkach flirt Davida z giełdą. Kiedy jednak dowiedziała się, że zaryzykował i stracił ich dom, w dodatku angażując się w interes, który od początku miał małe szanse powodzenia, zrozumiała, że musi od niego odejść. Nie tyle ze względu na siebie, co na dziewczęta. Skoro David ryzykował ich dachem nad głową nawet się nad tym nie zastanawiając, nie mogła z nim zostać ani chwili dłużej. Nie powstrzymała jej nawet świadomość, że i Robin, i dwunastoletnia Naomi będą załamane rozstaniem z ojcem.

David przestał ją kochać przed laty, mniej więcej wtedy, kiedy poroniła. Nie wiedziała, co było gorsze; utrata dziecka, na które się cieszyła i czekała, czy długie miesiące depresji, kiedy mąż nie był w stanie nawiązać z nią kontaktu i nie sprawiał wrażenia, jakby mu na tym szczególnie zależało.

Był sierpień, prawie pięć lat temu, cudownie słoneczny. Isabel spędzała całe dnie na trawniku przed domem, piła wodę z lodem, usiłowała czytać i łagodziła awantury między dziesięcioletnią Robin a siedmioletnią Naomi. Nie miała siły, by na nie krzyczeć, więc biegały po ogrodzie, wpadały do kuchni, goniły po schodach. Isabel tymczasem wierciła się na leżaku, kartkowała magazyny i wymyślała imiona. Była w czwartym miesiącu, święcie przekonana, że urodzi chłopca. Po długich rozważaniach koleżanki z redakcji stwierdziły to samo. Isabel nie posiadała się z radości. Miała już dwie córeczki i cieszyła się na chłopca, zresztą wyczuwała, że David potajemnie marzy o kimś, z kim kiedyś mógłby dyskutować o futbolu i samochodach.

Nigdy nie zapomni bólu, jaki odczuwała po stracie dziecka, po stracie synka. Wszystko stało się tak szybko. W jednej chwili myła sałatę pod kranem, a w następnej zwijała się z bólu, który

oznaczał tylko jedno.

Następnego dnia, zaraz po powrocie z Londynu, David przyniósł kwiaty do szpitala. Nie patrzył jej w oczy. Chciała, żeby ją przytulił, żeby powiedział, że wszystko będzie dobrze. I chciała rozpaczać za dzieckiem, które stracili, a nie słuchać zapewnień, że „niedługo będzie pani mieć następne dziecko, zamiast tego”, jak poprzedniego dnia wyraził się pewien bezmyślny lekarz. Nic nie zastąpi dziecka, które się kochało, pomyślała Isabel i zaniósła się szlochem.

David zrozumie, zapewniała się. A jednak kiedy przyszedł, miała wrażenie, że dzieli ich ocean lodowatej wody. Trzymał ją za rękę, ale mówił same banały.

- Twierdzą, że jutro możesz wracać do domu - oznajmił cicho. - Dziewczynki się ucieszą. Kupiłem Robin tę fantastyczną lalkę na Regent Street. Można ją czesać i malować, a Naomi dostała książeczkę do kolorowania.

- To wspaniale. - Isabel opadła na poduszkę. Czowała w sobie bolesną pustkę, a David opowiada o lalkach i książeczkach, jakby leżała w szpitalu ze skręconą nogą!

Nigdy nie wspominał o dziecku. Początkowo myślała, że mu na nim nie zależało. Albo że czuł się winny, bo go przy niej nie było, kiedy poroniła. Zanim zrozumiała, że był załamany utratą syna, było za późno. Tkwiła po uszy w depresji i nie miała siły, by niańczyć męża. Na Boga, nawet opieka nad Robin i Naomi przerastała jej siły. Wypełniała wszystkie obowiązki automatycznie, jak robot. David był dorosły, musiał sam się uporać ze swoją rozpaczą, tak jak ona ze swoją. Ich małżeństwo cudem utrzymywało się na powierzchni, jak dziurawa szalupa. Dzielili dom, łóżko i stół. I nic więcej.

Może powinna była odejść od niego już wtedy. Miała trzydzieści cztery lata i energię, której jej teraz brakowało, a Robin była potulną dziesięciolatką, która uporałaby się z separacją rodziców lepiej niż teraz. Z drugiej strony, Isabel była wówczas zmęczona rozpaczą i nie miała siły na taką rewolucję. Zresztą, kiedy u licha jest odpowiedni moment na rozstanie? Nie wierzyła, że istnieje właściwa chwila.

Zatrzasnęła wieko pralki i ciężko oparła się o blat, który jej matka godzinami szorowała środkiem wybielającym. Cała kuchnia lśniła czystością, nie wyłączając samotnego geranium na parapecie okiennym. Ma się rozumieć, nie miało ani jednego brązowego liścia.

Isabel nie cierpiała kuchni swojej matki, nienawidziła panującej tutaj szpitalnej czystości. Ta kuchnia wyglądała tak, jakby nikt nigdy nie kruszył w niej tostami, a małe rączki nigdy nie zostawiały tłustych smug na lodówce. Sterylne wnętrza przy Sycamore Avenue były całkowitym przeciwieństwem oksfordzkiego domu Isabel.

Jej kuchnia była ciepła i przytulna, stał w niej stary kredens, podłogę pokrywała terakota. Na parapecie zieleniła się miniaturowa dżungla, opadłe liście niehigienicznie poniewierały się przy suszarce do naczyń. Na tablicy korkowej zabrakło miejsca na notatki, tyle było do niej przypiętych szkolnych zdjęć Robin i Naomi, przepisów z gazet i komiksów, które wycinały.

Żelazko zawsze stało na baczność, bo Isabel nie chciało się go chować po rannej sesji prasowania. Była to kuchnia rodzinna, tylko że nie stanowili już rodziny.

W tej kuchni, podczas ostatniej, okropnej kłótni powiedziała Davidowi, że od niego odchodzi. Siedział w salonie i oglądał mecz piłkarski w telewizji, z puszką piwa w jednej ręce i pilotem w drugiej. Zbiegła po schodach ściskając list od towarzystwa budowlanego.

Był zwięzły i przerażający. Dodatkowa hipoteka, niedawno zaciągnięta na dom, nie została spłacona w przeciągu sześciu miesięcy, w związku z czym towarzystwo podejmie w najbliższej przyszłości kroki prawne, o ile należność nie zostanie uiszczona. Kiedy Isabel czytała te słowa, zrobiło się jej niedobrze. Nagle poczuła się słaba, wyczerpana, zagubiona. A potem wpadła w furię.

- Jak mogłeś nam to zrobić? - wrzasnęła do Davida. - Jak mogłeś? I dlaczego, do cholery, o niczym mi nie powiedziałeś? Myślałeś, że nie zainteresuje mnie wiadomość, że zostaliśmy bez grosza?

- Uspokój się, Izzy - zaczął spokojnym, lekkim tonem, którego używał ilekroć była na niego wściekła. To tylko dołało oliwy do ognia.

- Uspokój się? - Nie wierzyła własnym uszom. - Jak niby mam się uspokoić? Towarzystwo budowlane zabierze nasz dom! Przecież nie mamy pieniędzy, żeby ich spłacić! Czy ty rozumiesz, co to znaczy?

- Oczywiście. - Wstał powoli i wyprostował się z tym leniwym wdziękiem, który kiedyś w nim kochała, a który teraz jedynie ją denerwował.

Przed laty zwrócił jej uwagę swoim wzrostem i uśmiechem. W college'u była najwyższą dziewczyną w grupie - ponad metr siedemdziesiąt, szczupła, długie blond włosy i hippisowskie ciuchy. Nigdy nie wiedziała, co bardziej odstraszało mężczyzn - jej wzrost czy aura niedostępności, którą maskowała paralizującą nieśmiałość. Więc kiedy skrzydłowy drużyny rugby, mierzący metr osiemdziesiąt zaprosił ją na bal kończący semestr, zgodziła się bez wahania.

Osiemnaście lat później patrzyła na śpiącego u jej boku męża. Dziewczęco długie rzęsy rzucały cień na jego gładkie policzki, a Isabel głowiła się, jak mogła się kiedyś w nim zakochać. Jakim cudem nie dostrzegła, że za atrakcyjnym wyglądem i wdziękiem osobistym kryje się notoryczny kłamca? David budował więcej zamków na piasku niż nastolatek marzący o karierze muzycznej.

Teraz widziała to wyraźnie. I zrozumiała, że jeśli zostanie z Davidem Farrel-lem, niegdyś sprzedawcą polis ubezpieczeniowych, obecnie właścicielem agencji reklamowej, która stała na krawędzi bankructwa, to pewnego dnia i ona, i dziewczynki tego pożałują.

Wyminął ją, poszedł do kuchni, wyjął z lodówki nową puszkę budweisera i odgarnął za ucho niesforny ciemny kosmyk. Jego włosy sięgały kołnierzyka niebieskiej koszulki polo.

- Dlaczego nie pokazałeś mi tego listu? - dopytywała się. - Kiedy chciałeś mi o tym powiedzieć? Kiedy przyjdzie komornik? A może kiedy postawią nam tabliczkę NA SPRZEDAŻ przed domem? - Czekala na jego odpowiedź, jeszcze się łudząc, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Jednak widząc, jak David powoli sący piwo i nie kwapi się, żeby jej spojrzeć w oczy, zrozumiała, że to nie sen. Stracili wszystko.

- Izzy, skarbie - zaczął miękko. Odstawił puszkę, chcąc objąć Isabel. Odepchnęła go gniewnie.

- Nie okłamuj mnie, David. I nie próbuj mnie ułagodzić. Po prostu powiedz prawdę, dobrze?

- Izzy - powtórzył urażonym głosem. - Nie jest tak źle, jak na to wygląda...

- Nie kłam!

- Dobrze, dobrze - wycofał się pospiesznie. - Ale i tak nie jest tak źle, jak na to wygląda. Mam pewien plan. Freddie uważa, że powinniśmy ogłosić upadłość i zacząć od nowa. Może tym razem w Londynie... - Zapatrzył się w dal, myślami już przy nowej firmie.

Isabel wiedziała, co miał na myśli - nowa agencja, tym razem nie „Ellis Far-rell”, tylko „Farrell Ellis”. Przecież muszą mieć nową nazwę, skoro ogłoszą upadłość, więc tym razem nazwisko Freddiego będzie drugie. Nowe biuro w dobrej dzielnicy Londynu, starannie, drogo urządzone. Na stolikach z chromu i szkła będą się poniewierały numery „Time’a” i „Campaign”, a telefony będzie odbierała śliczna, młoda recepcjonistka o głupim imieniu i nogach po pachy.

Przed drzwiami - palmy w donicach. Na ścianach w recepcji dwa lub trzy obrazy olejne na dowód, że faceci z reklamy znają się na prawdziwej sztuce, choć prostytuują się za okazałe konta i BMW. Obite skórą fotele, ma się rozumieć te najmodniejsze - niewygodne, ale szykowne. I codziennie świeże kwiaty.

A wszystko za pieniądze pod zastaw innego domu. Domu, w którym Isabel, Robin i Naomi nigdy nie czułyby się bezpieczne, bo wystarczy zły humor urzędników i stracą dach nad głową. Nigdy więcej, postanowiła Isabel. Nigdy więcej nie będzie ryzykowała przyszłości córek dla faceta, który nie potrafił zatrzymać w kieszeni pięciu funtów na dłużej niż pięć minut.

Od tej pory jej córki będą miały zapewnioną przyszłość, choćby musiała sobie urobić ręce po łokcie.

Powoli rozejrzała się po pokoju, błędziła wzrokiem po drobiazgach i bibelotach, pamiątkach po latach, kiedy było ich stać na zagraniczne wakacje. Szczególnym sentymentem darzyła ręcznie malowane talerze z Portugalii. Zakochała się w nich, gdy tylko je zobaczyła na straganie - wabiły wzrok żywymi odcieniami błękitu i różu na białej porcelanie. David uparł się, że kupią serwis.

Oczywiście, w drodze powrotnej to Isabel taszczyła wielką plastikową siatkę, jednocześnie ciągnąc za małą łapkę Naomi i pchając ogromną walizkę. David niósł sześć butelek różowego

wina musującego. Wierzył święcie, że sprowadzając akurat to wino do Anglii zbije fortunę. Niech tylko jego kumpel, gruba ryba w branży, potwierdzi ten wybór, i za rok będą mieli w Algarve własną willę! Sześć butelek powinno go przekonać...

Bardzo lubiła także rosyjskie laleczki, pamiątkę z wyjazdu Davida do Moskwy. Stały na lodówce, jasnoczerwone i złote. Były kiczowate, ale rozkoszne, każda identyczna jak poprzednia, ale odrobinę większa. Stanowiły ulubione zabawki małej Naomi, nieraz Isabel ratowała najmniejszą laleczkę przed śmiercią w nosie córeczki. Odkąd skończyła trzy latka, Naomi wsadzała sobie do nosa dosłownie wszystko, poczynając od makaronu, a kończąc na zielonym groszku. Po drugiej wizycie u laryngologa Isabel całkiem poważnie zastanawiała się nad sprawieniem sobie specjalnych szczypców.

- Odchodzę, David - powiedziała, z trudem odrywając wzrok od rosyjskich laleczek. - Nie wytrzymam dłużej.

- Nie wygłupiaj się - zgnił ją, jakby był to kolejny idiotyczny wymysł. - Dokąd pójdziesz?

- Do domu, do Irlandii. Dokądkolwiek, byle nie tutaj.

- Izzy, bądź poważna. Dlaczego? - dopytywał się.

- Bo nasze małżeństwo nie istnieje, a teraz, kiedy straciliśmy dom, uświadomiłam sobie, że nie zniosę dłużej niepewności życia z tobą. Dlatego, David.

Nagle ogarnęło ją przekonanie, że podjęła właściwą decyzję. Było to dziwne, potężne uczucie, jakby po latach przygotowań zabrała się za sprzątanie zagraconego strychu. Wyrzucić rupiecie i zacząć nowe życie.

Powinna była to zrobić dużo wcześniej. Może wtedy zostałoby jeszcze coś do podziału. Teraz mieli jedynie meble, które własnoręcznie odnawiała, bo nigdy nie było ich stać na nowe.

Jakby wyczuwając zmianę jej nastroju, David podszedł bliżej. Chciał jej dotknąć.

- Nie rób tego, Isabel - poprosił. Chciał ją przytulić, uwięzić w znajomym uścisku. Isabel nie pamiętała czasów, kiedy nie byli razem. Znała jego zapach równie dobrze jak swój. I na tym polegał problem.

Delikatnie, bez słowa, wyplątała się z jego objęć. Oparta o blat stołu, przyglądała się milczącemu mężowi. Pokornie schylił głowę, aż ciemne włosy opadały mu na twarz. To poza a la James Dean. Nabrała się na nią osiemnaście lat temu, ale nie teraz.

- Nie utrudniaj tego, David. Oboje wiemy, że wszystko się między nami skończyło przed laty, po dziecku...

Nie drgnął nawet, a Isabel pomyślała o niezliczonych nocach przeplakanych w poduszkę. Nie zapomniała, co czuła, kiedy patrzyła na nikomu niepotrzebne dziecinne ubranka, kiedy uświadamiała sobie, że żaden maluch nie będzie leżał pod starym białym kocykiem w króliczki.

Ich tragedia polegała na tym, że nigdy nie potrafili o tym rozmawiać, a sprawę jedynie pogarszał fakt, że od tego czasu Davidowi chyba przestało na czymkolwiek zależeć. Isabel

jednak nie chciała spędzić reszty życia na opłakiwaniu tamtej straty. A już z pewnością nie z mężczyzną, którego, jak sobie uświadomiła, już nie kocha, z mężczyzną, który zapomniał o najważniejszych istotach - o swoich córkach.

- Wracam z dziewczętami do Dublina - oznajmiła spokojnie. - Nie stać nas na czesne w nowym semestrze, a nie chcę, by cierpiały tu, w Oxfordzie, patrząc, jak ich przyjaciółki wracają do szkoły. Może nawet zwrócą nam pieniądze za niewykorzystane miesiące.

Łatwiej było rozmawiać o rzeczach praktycznych. Łatwiej sprowadzić ich związek do serii transakcji finansowych i planów podróży niż rozmawiać o uczuciach.

- Powinieneś jechać do Londynu i tam pracować. I tak zawsze tego chciałeś - nie mogła się powstrzymać, by tego nie dodać. - W Irlandii na pewno znajdę pracę. Chcę wrócić, zawsze chciałam, w przeciwieństwie do ciebie.

Milczał. Zastanawiała się, czy usiłuje wymyślić coś, co by sprawiło, że ona zmieni zdanie, czy przeciwnie, cieszy się z rozwoju sytuacji i nie odzywa się na wypadek, gdyby Isabel miała się rozmyślić.

Wtedy się wściekł.

- O czym ty do cholery mówisz? Nie możesz ode mnie odejść. A co z dziewczynkami?

- Szkoda, że nie zadałeś sobie tego pytania, kiedy razem z Freddiem wydawaliście pieniądze jakby się wam znudziły - rzuciła jadowicie. - Wtedy się o nie nie martwiłeś, prawda? A tak przy okazji, ile wyjazdów z klientami był wart nasz dom? Trzy? Cztery? Bardzo chciałabym wiedzieć, ile moich pieniędzy spłynęło w ich gardła w postaci szampana i wyjazdów na wyścig Monte Carlo! A nawet nie zamawiali tyle, by to pokryło wasze koszty!

W tym momencie zaczął wrzeszczeć.

- Jakim prawem mówisz do mnie takim tonem, Isabel? Czy urabiałaś sobie ręce po łokcie, żeby zarobić na utrzymanie? Bo ja tak. Chciałem odnieść sukces, i jeszcze mi się uda! Ale ty, idiotko, nie chcesz czekać! Musieliśmy inwestować w rozrywkę. Tak się robi interesy. To trwa, byliśmy już o krok...

Wyszła, znalazła kluczyki w torebce, wsiadła do samochodu. Miała jeszcze sporo czasu do odebrania dziewczynek z domu ich przyjaciółek, ale nie wytrzymałaby z Davidem. Staruszek volkswagen będzie musiał jeszcze sporo wytrzymać, uświadomiła sobie ponuro, jak zwykle mocując się ze skrzynią biegów.

Mech na ścieżce do domu nie będzie jej już irytował, zauważyła trzeźwo.

Niedługo stąd wyjedzie i inna kobieta będzie wyglądała przez okno, na rabatę z lawendą, na trawnik, i będzie sobie obiecywała, że w przyszłym tygodniu zajmie się ścieżką. Przynajmniej ma o jedno zmartwienie mniej.

Ostatnich kilka dni przed wyjazdem z Oxfordu było koszmarne, na przemian spotykały ją wyrzuty ze strony Davida i ataki rozpacz dziewczynynek.

- Dlaczego to robisz? - wrzasnęła Robin, kiedy się dowiedziała. - Nie możesz tak po prostu zniszczyć naszej rodziny, nie możesz!

Nawet jeśli Isabel święcie wierzyła, że poza powrotem do Irlandii nie ma innego wyboru, nie wiedziała, jak to wytłumaczyć Robin, która świata nie widziała poza ojcem. Isabel nie zniosłaby obcych, którzy będą się kręcić po jej domu, narzekać na wilgoć w łazience i starać się zbić jeszcze kilka tysięcy z i tak skandalicznie niskiej ceny.

Zastanawiała się, co by było, gdyby zostały w Anglii. Byłaby zdana na łaskę i niełaskę przyjaciół, zamieszkałyby w jakimś obskurnym mieszkaniu, bo na dom nie byłoby jej stać. Dziewczynki byłyby załamane.

- Możesz zamieszkać u nas, bardzo cię proszę - błagała jej przyjaciółka Anna, której rodzina wydawała „Today ‘s Woman”, magazyn, dla którego pracowała Isabel. Siedziały w kuchni Anny i osuszały butelkę wina. Nawet nie spojrzały na kanapki i sałatę. - Mamy tyle miejsca, mogłabyś z dziewczynkami zamieszkać na górze. A wkrótce znowu staniesz na nogi.

Isabel usiłowała jej wytłumaczyć, że musi wyjechać. To nie ucieczka, zapewniała. Chciała jednak być tak daleko od Davida, jak to możliwe. Bała się, że rzuci mu się z powrotem w ramiona, kiedy ogarnie ją rozpacz czy zwątpienie. Czytała o takich kobiecych reakcjach i nie chciała, by to samo ją spotkało. Nie mogła do tego dopuścić ze względu na dziewczynki.

- A co z tobą? - zapytała cicho Anna.

Isabel bezradnie wzduszyła ramionami. Nie wiedziała, co powiedzieć.

- Spędziłam tu kawał życia, ale muszę wyjechać - odezwała się w końcu. - Od ślubu podążałam za Davidem, gdziekolwiek się udał. Belfast, Londyn, Oxford. Wyszukiwał miasta, gdzie chciał zacząć odnowa albo gdzie widział szansę na doskonały interes. Chyba dojrzałam do tego, żeby raz pojechać tam, gdzie ja chcę. A w tej chwili zostaje mi jedynie Irlandia. Zatrzymamy się u moich rodziców. Nie uśmiecha mi się to, bo między matką a mną nigdy się nie układało - dodała sucho. - Ale tam zdołam wszystko na spokojnie przemyśleć. Najpierw znajdę pracę, potem uskładam na pierwszą ratę za dom. Dziewczynkom to chyba dobrze zrobi, wiesz, nowy kraj, nowa szkoła. Może dzięki temu nie będą sobie zaprzętały głowy separacją.

Niestety, jej plany spaliły na panewce. Robin praktycznie się od niej nie odzywała przez cały tydzień przed przeprowadzką. A jeśli już coś mówiła, to domagała się zamieszkania z ojcem. Isabel nie wiedziała, jak jej wytłumaczyć, że w planach Davida nie ma miejsca dla nastoletniej córki.

A on już szukał mieszkania w Londynie - kawalerki dla samotnego mężczyzny, który zakłada nową firmę. Wściekłość ustąpiła miejsca entuzjazmowi dla nowego początku. Zdaje się, Freddie znał odpowiednich ludzi.

- Wiesz, to ma sens, Izzy - powiedział. - Może to i lepiej, jeśli przez jakiś czas będę sam - dzięki temu mniej wydam. Nie wyobrażam sobie ciebie ani dziewczynek w obskurnej norze. - Nadal próbował czarować, kokietować.

Patrzyła, jak się rozpromienia na myśl o nowej agencji i nie mogła się nadziwić, czemu została z nim tak długo. Przecież nie zaskoczył jej lekkomyślnością. Zanim Robin przyszła na świat, Isabel wiedziała już dokładnie, za kogo wyszła. Akurat utopił sporą sumę w pewnym interesie. Programy komputerowe, które przez jakiegoś „przyjaciela” kupił hurtem, okazały się wadliwe.

Aż cud, że mu starczyło na drogiego szampana, którym się uparł oblać narodziny pierwszego dziecka. Cały David. Nieważne, w jak głębokim dołku tkwili - zawsze kupował towar najlepszej jakości. Na przykład złote kolczyki od Tiffany’ego na trzydzieste trzecie urodziny Isabel. Tego samego roku zrezygnowali z modernizacji centralnego ogrzewania, bo nie mieli pieniędzy. Podczas ostrej zimy Isabel nieraz dochodziła do wniosku, że wołałaby tańsze kolczyki i nowy olejowy piec.

- Jedyne problem to dziewczynki - David machinalnie gładził jej dłoń, mówiąc te słowa. Niestety, to działało tylko na kobiety, które go jeszcze nie znały. Isabel miała dosyć głaskania po rękę na najbliższe sto lat. - Wątpię, czy uda mi się wynająć coś odpowiedniego dla nich. Mnie osobiście jest wszystko jedno, gdzie mieszkam. Będzie dobrze, Izzy - powtórzył. - Freddie zna faceta, który jest zainteresowany i w nas zainwestuje. Kiedy już rozkręcę interes, wrócisz, prawda?

Nie zapytała, czemu niby ten tajemniczy inwestor nie ratował z opresji istniejącej już firmy, tylko czekał, aż dwaj bankruci złączą na nowo. Po co? David od razu wymyśliłby jakieś wytłumaczenie.

Więc milczała, zajęta pakowaniem wszystkiego, co mogła zabrać do Irlandii. W trakcie tego bolesnego procesu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy skrzynia z garnkami zapadła się pod ziemię, Robin przeszła błyskawiczną metamorfozę z przymilnej córeczki w nastolatkę z piekła rodem. Po dwóch tygodniach w nowej szkole St. Clodagh’s uznała całą swoją garderobę za „same łachy”. Zażyczyła sobie pasemek we włosach, „bo wszyscy je mają”, a jej język pogarszał się w zastraszającym tempie.

Isabel była zarazem wyczerpana i zdenerwowana do granic możliwości wychowywaniem humorzastej, ponurej i agresywnej córki, bardziej zmiennej niż tuzin kobiet w klimakterium. Czasami Robin wydawała się jej jeszcze gorsza niż Richie Devine.

Robin miała przynajmniej wymówkę - była nastolatką, ale Richie Devine, dorosły wydawca magazynu, nie mógł tego o sobie powiedzieć, chociaż zdaniem Isabel zachowywał się gorzej niż wszyscy pryszczaci piętnastolatki, jakich kiedykolwiek poznała. Dobrze chociaż, że dwunastoletnia Naomi była taka jak dawniej - zabawna, przymilna i niezdarna. Ostatnio Isabel

śmiała się we wtorek, kiedy Naomi potknęła się o własny tornister i sama parsknęła zaraźliwym chichotem.

Naomi była prostolinijnym dzieckiem obdarzonym zaraźliwym poczuciem humoru, tak że nie sposób było jej nie wtórować. A gdyby Isabel nie znalazła powodów do śmiechu, życie w domu rodziców byłoby zupełnie nie do zniesienia. Środki antydepresyjne również pomagały, ma się rozumieć. Nikt nie wiedział, że je zażywa. Poszła do lekarza tydzień po przyjeździe, bo codziennie płakała po kilka razy.

Dwa miesiące później nie płakała już wcale, i gdyby nie to, że cały ranek była półprzytomna, nikomu nie przyszłoby do głowy, że cokolwiek bierze.

Podniosła koszyk z bielizną i otworzyła drzwi kuchenne, kiedy zadzwonił telefon. Rzuciła pranie, ale zanim wbiegła do domu, usłyszała tupot Robin. Zbiegała ze schodów, żeby odebrać w pokoju dziadków.

Tup, tup, tup - to znowu Robin.

- Do ciebie - wrzasnęła przez poręcz.

Cuda w biały dzień, stwierdziła Isabel, zdziwiona, że to nie żadna nowa najlepsza przyjaciółka Robin. Wszystkie uświadamiały jej córce, jakie są teraz najmodniejsze, niewiarygodnie drogie adidas, gdzie trzeba sobie zrobić pasemka i jaką koszulkę koniecznie musi mieć na sobotnią dyskotekę.

- Halo?

- Isabel! Mam dla ciebie fantastyczną pracę.

Kuzynka Suzanne była zadyszana, ale też zawsze mówiła, jakby jej brakło tchu, bez względu na rewelacje, jakie chciała przekazać - czy to nudny narzeczony, czy doskonale zdany egzamin z francuskiego. We wszystkim była lepsza niż Isabel.

- Jaką? - zapytała ostrożnie, przekonana, że już zna odpowiedź. Pewnie chodziło o coś głupiego, jak redagowanie lokalnej gazetki za symboliczną sumkę. Suzanne nie mieściło się w głowie, że Isabel nie wróci do Davida, że jest bez grosza, bo firma Davida padła, w związku z czym szuka przyzwoitej pracy na cały etat, żeby w niedalekiej przyszłości wyprowadzić się od matki.

- Tim słyszał o tym w biurze.

Isabel nadstawiła ucha. Mąż Suzanne zajmował się handlem nieruchomościami, i nawet jeśli Isabel nie pojmowała, jak mógłby słyszeć coś o posadzie w redakcji, wiedziała, że Tim ma dziesięć razy więcej oleju w głowie niż kuzynka, i nie wspominałby o pracy dla Isabel, o ile nie byłaby choć odrobinę sensowna.

- O czym? - dopytywała się.

- Widzisz, wszystko zaczęło się od domu przy Sydney Parade. Właściwie to nie dom, a rezydencja, tak mówi Tim. Wiesz, chcą go szybko sprzedać, właśnie dlatego powierzono sprawę

Timowi, normalnie dostałby to Anthony, ale on ma pełne ręce roboty z aukcją na Ailesbury Road...

- Suzanne - Isabel sama nie podejrzewała się o takie pokłady bezgranicznej cierpliwości. - O czym ty do cholery mówisz?

- FitzSimonsowie! Przenoszą się do Londynu, a wiesz chyba, czym ona się zajmuje?

- Ona, czyli kto?!

- Antonia FitzSimons! Jest redaktorką działu kobiecego w „Sentinelu”!

Wszystkie kawałki układanki trafiły na swoje miejsce. W ułamku sekundy.

Wakat. Posada redaktora działu kobiecego w gazecie typu „Sentinel” to szczyt marzeń. Ta gazeta była przeznaczona dla górnej warstwy klasy średniej i miała szerokie grono czytelników. Przed urodzeniem Robin Isabel chciała pracować właśnie w tego typu dzienniku.

Ale posada była naprawdę atrakcyjna, a jej nie było w kraju przez dziesięć lat, więc nie zna w „Sentinel” ani żywej duszy. Z doświadczenia wiedziała, że tego typu stanowiska rzadko dostają się ludziom z zewnątrz - najczęściej zajmują je dziennikarze, którzy od lat pracowali w danej gazecie na zasadzie wolnego strzelca.

Isabel miała wymagane doświadczenie, lecz mogli nie wziąć tego pod uwagę, bo zdobywała je głównie za granicą. Ostatnio pracowała jako zastępca redaktora naczelnego dużego... no, średniego brytyjskiego magazynu kobiecego, a przedtem przez pięć lat pełniła tę funkcję w lokalnej gazecie oksfordzkiej. I nadal pracowałaby w „Today ‘s Woman”, gdyby przez pieprzonego Davida nie musiała wracać do mamusi i tatusia. Posada po Antonii FitzSimons zmieniłaby jej życie, ale czy miała choćby cień szansy, żeby ją dostać?

- Kiedy to było?

Isabel przysunęła sobie jedno z nieskazitelnie białych kuchennych krzeseł matki, żeby móc siedzieć i rozmawiać jednocześnie.

- Wczoraj zadzwonili do agencji. Anthony, to znaczy szef Tima, dzisiaj zlecił mu tę transakcję. Anthony jest wściekły, że sam nie może się tym zająć, ale po czubki uszu tkwi w aukcji na Ailesbury Road. Zdaniem Tima prowizja z Ailesbury starczy mu na...

- Suzanne - Isabel powoli traciła rozeznanie. - Opowiedz mi o FitzSimonsach.

- FitzSimons zadzwonił wczoraj, powiedział, że chce sprzedać dom jak najszybciej się da, bo w przyszłym tygodniu przenoszą się do Londynu i potrzebne im pieniądze na nowe mieszkanie. Tim mówi, że tam ceny są wręcz niewyobrażalnie wysokie - paplała dalej Suzanne. - Aż się wierzyć nie chce: sześć sypialni, pokój muzyczny, kilka łazienek...

- W ich domu na Sydney Parade? Ho, ho, sporo za niego dostaną!

- Nie. W domu, jaki chcą kupić przy Holland Park. Bez przerwy Timowi o nim opowiadał. Właściwie to się przechwalał.

Isabel dała za wygraną.

- Słuchaj, Suz, muszę kończyć. Czy mogę zadzwonić do Tima do biura?

- Dzwon, dzwon - zachęciła kuzynka. - Wszystko ci opowie.

Po rozmowie z Timem Isabel zadzwoniła jeszcze do znajomej ze „Style”, jednego z wiodących irlandzkich magazynów poświęconych modzie. Rhona McNamara była jedyną osobą, z jaką skontaktowała się od przyjazdu. Tłumaczenie wszystkim, czemu wyjechała z Oxfordu, i to sama, bez Davida, byłoby zbyt żenujące. Wołała dać sobie spokój.

Prędzej czy później przyjaciele dowiedzą się o ich rozstaniu, więc oszczędzi sobie upokarzającego opowiadania o plajcie i innych żalonych szczegółach. Rhona to co innego. Na niej można było polegać - nie węszyła, nie zadawała trudnych pytań, ani nie zadzierała nosa, chociaż miała męża, trójkę dzieci i do tego pracowała zawodowo.

- Sama nie miałabym nic przeciwko tej posiadce - zauważyła. - W „Sentinel” dobrze płacą, ludzie dostają diety większe chyba niż posłowie, i wszyscy mają samochody służbowe. Bierz się do dzieła, Isabel, ta posiadka pójdzie jak świeża bułeczka.

- Wiem o tym, Rhona. Jak myślisz, mam szansę?

Isabel machinalnie bawiła się wystrzępionym rękawem starego swetra. Do tej pory rozpakowała zaledwie jedną czwartą swojej garderoby. Ostatnimi czasy najczęściej nosiła stare, sprane rzeczy, w których nie wyszłaby poza próg domu. Po co jednak wkładać eleganckie kostiumy, skoro zobaczy je jedynie rozpuszczony personel „Motor 2000”? Jak by nie było, musi się zająć włosami, które aż się prosiły o farbowanie, bo mysich odrostów nie da się dłużej ignorować. Niestety, nie stać jej na fryzjera. Szykowne ubranie i dwa cale odrostów oznaczałyby bankructwo.

Głos Rhony wyrwał ją z zadumy.

- Przeciwno tobie przemawia fakt, że dotychczas dla nich nie pracowałaś, a większość gazet preferuje na takich stanowiskach swoich, już sprawdzonych ludzi. Z drugiej strony - dodała optymistycznie - słyszałam, że „Sentinel” ma spore kłopoty. Liczba czytelników spada na łeb na szyję. Naczelny, Nigel Burke, pracuje tam od dziesięciu lat i albo zwariował, albo się wypalił, w każdym razie chodzą plotki, że szuka nowej krwi, żeby ożywić zespół. Wiesz, nigdy nic nie wiadomo, może się okazać, że fakt, że jesteś z zewnątrz i przez dziesięć lat pracowałaś za granicą może przemówić na twoją korzyść. Wyślij CV i zadzwon jutro.

- Jezu, sama nie wiem - mruknęła Isabel. - Ostatnio nic mi się nie układa, jestem w rozsypce. Robin prawie się do mnie nie odzywa, paskudny Richie Devi-ne lada dzień wyleje mnie z pracy, a matka bezustannie analizuje moje życie i tłumaczy mi, kiedy i jakie błędy popełniłam. Chyba zwariowałam, że w ogóle brałam pod uwagę ubieganie się o pracę w takiej gazecie.

- Nie wygłupiaj się, Isabel. To stanowisko w sam raz dla ciebie - zachnęła się Rhona. - Zresztą, w dzisiejszych czasach redaktorka działu kobiecego musi mieć skomplikowane życie

prywatne, jak inaczej poradziłabyś sobie z pisaniem wstępniaków typu „żonglowanie domem i karierą”?

- Ja niczym nie żongluję, wszystko rzuciłam - poprawiła Isabel pół żartem, pół serio.

- No i co z tego? Dzięki temu łatwiej ci będzie wczuć się w sytuację czytelniczek.

Po skończonej rozmowie Isabel poszła na górę, wypakowała maszynę i zabrała się za pisanie życiorysu.

Szczegóły jej kariery wystukane na papierze sprawiły, że poczuła się jeszcze mniej pewna siebie. Czy naprawdę pracowała w tych gazetach i miesięcznikach i była z tego zadowolona? Teraz czuła tylko zmęczenie, brakowało jej wiary we własne siły. Czy naprawdę ma szansę na posadę w „Sentinel”?

Dawna Isabel - tak. Isabel przed rozstania, która przywykła do bezustannych komplementów na temat jej gustu, elegancji i umiejętności zachowania zimnej krwi w obliczu choćby największej biurowej katastrofy.

- Jak ty to robisz? - Penny Southark, jej naczelna w „Today’s Woman”, nie mogła się nadziwić, że Isabel jako jedyna w całej redakcji nie straciła panowania nad sobą i udało jej się zminimalizować szkody, kiedy niedoświadczona młodziutka dziennikarka wykasowała z twardego dysku połowę najnowszego numeru.

W odpowiedzi uśmiechnęła się lekko.

- To proste. Moja matka jest fanatyczką doskonałej organizacji, przez całe dzieciństwo wysłuchiwałam jej wykładów na ten temat. Jej zdaniem wpadanie w panikę to najgorsze, co można zrobić. Ukochane słowo mamy to spokój - aż dziw, że nie jest buddystką.

Nie dodała, że dorastanie w domu takiej perfekcjonistki było bardzo, bardzo trudne, zwłaszcza że traciła ona cały osławiony spokój, ilekroć jej córka coś zbroiła.

Ostatnio Isabel miała wrażenie, że utraciła zdolność zachowania spokoju w obliczu klęski. Straciła także ciężko wywalczoną pewność siebie, jakby stopniowa erozja ważnych elementów jej życia niszczyła zarazem jej osobowość. Była smutna, zagubiona, bez wiary we własne siły. Zawsze szczupła, ostatnio schudła dobrych parę funtów, z czym wcale nie było jej do twarzy. Miała bladą skórę, regularne rysy, teraz nieprzyjemnie wyostrome, i wyraz oczu zaszczutego zwierzęcia. Bez makijażu - od miesięcy prawie się nie malowała - jej twarz wyglądała na twarz zaniedbanej, zmęczonej życiem kobiety.

Zawsze mogę sięgnąć po samoopalacz, stwierdziła oceniając się krytycznie w lustrze w sypialni. Musi coś ze sobą zrobić, z takim wyglądem nikt jej nie zatrudni, a musi znaleźć porządną posadę. Może Rhona ma rację. Może poradziłaby sobie w „Sentinel”.

Pamela Mullhearn uznała, że jej córka Isabel mierzy zbyt wysoko, kiedy wspomniała o pracy w „Sentinelu”. Pamela akurat wróciła ze spotkania klubu brydżystów. Zdjęła żakiet z kremowego

jedwabiu i kontrolnie zerknęła do lustra, żeby się upewnić, czy krótkie szpakowate loki trzymają się na miejscu.

Wysoka i szczupła, nadal bez problemów mieściła się w ubrania, które kupiła mając lat dwadzieścia i ten fakt napawał ją wielką dumą. Trzymała się prosto jak trzcina. Nie zapomniała niczego z uwag na temat zachowania damy, którymi faszrowała ją jej matka ponad sześćdziesiąt lat temu.

- To dobra gazeta, Isabel, ale czy naprawdę uważasz, że jesteś w stanie podjąć się takiego wyzwania akurat teraz? - Z powątpiewaniem zmarszczyła kształtny nos, identyczny jak nos córki. Usiadła, założyła nogę na nogę i machinalnie wygładziła jasną spódnicę, nabytą u Harrodsa przed trzydziestu laty. - Nie powinnaś raczej zostać w tym piśmie motoryzacyjnym? Stanowisko redaktora działu kobiecego to poważne zadanie, a przecież dobrze ci tam, gdzie teraz jesteś. Moim zdaniem powinnaś tam zostać. Nie jesteś jeszcze gotowa na zmiany.

Twoim zdaniem nie jestem gotowa do niczego, mam, odcięła się Isabel w myślach. Dlaczego, do cholery, matka jej nie wspiera? Tylko ten jeden raz. No, ale wówczas postąpiłaby inaczej niż przez całe życie. Nieważne, co robiła Isabel, i tak nigdy nie dorówna Luke'owi.

Szczęśliwy starszy brat, Luke, mieszka tysiące mil od Irlandii i nadal jest oczkiem w głowie mamusi. Miarą jego osiągnięć mierzyła wszystkich, głównie Isabel. Gdyby mieszkał tuż za rogiem, może Pamela doszłaby do wniosku, że nawet jej syn-chirurg czasami popełnia błędy. Oczywiście nie tak poważne jak na przykład wyjście Isabel za męża za Davida, ale mimo wszystko błędy. Zresztą, o ile wiedzieli, Luke mógł równie dobrze włóczyć się po Hollywood Boulevard, a nie pracować w prywatnej klinice. Kto wie, co naprawdę porabia, skoro dzwoni dwa razy do roku, a w ciągu ostatniej dekady widzieli się z nim zaledwie kilka razy?

O ileż łatwiejsze byłoby życie w domu, gdyby matka poszła do pracy, gdyby miała jakieś zajęcie, zauważyła Isabel. Tymczasem długie lata obserwowania, jak inni ludzie nie radzą sobie z zadaniami, które Pamela Mullhearn załatwiłaby lewą ręką, napawały ją goryczą i gniewem. Szukała tylko okazji do sprzeczki z Isabel.

Nieświadoma ponurych myśli córki, Pamela otworzyła torebkę szczupłymi palcami o różowych paznokciach, wydobyła srebrne puzderko, a z niego dwie tabletki od bólu głowy.

- Harry, kochanie, podasz mi szklankę wody?

Choć brzmiało to jak pytanie, w rzeczywistości nie prosiła męża o wodę - ona mu rozkazywała. Rozkazywała wszystkim, poczynając od chłopaka w supermarkecie, któremu kazała rozpakować wszystko, jeśli nieopatrznie położył butelkę na szparagi. Tak bardzo to lubi, że marnuje się poza armią, przemknęło Isabel przez głowę. Matka miała nawet szofera. Harry nie grał w brydża, ale trzy razy w tygodniu posłusznie woził ją do domu jej znajomych i wracał po nią cztery godziny później.

Podał jej szklankę wody i tęsknym wzrokiem zerknął w okno. Zapewne nie mógł się

doczekać, żeby uciec do szopy, przebrać się w stare ubranie i zająć swoim ogrodem.

- Co ty na to, Harry? - zainteresowała się Pamela. - Według mnie Isabel ostatnio tyle przeszła. Cała ta sprawa z Davidem - nie tyle wypowiedziała, co wysyczała jego imię - przeprowadzka, sprzedaż domu... Nowa posada to zbyt wiele.

- Zgadzam się z tobą, kochanie - odpowiadał zawsze tak samo. Harry Mul-Ihearn zgodziłby się, że słońce kręci się wokół ziemi, gdyby żona go o to poprosiła. Po czterdziestu pięciu latach wspólnego z nią życia nauczył się, że to wiele ułatwia. Isabel nigdy tego nie pojęła.

Wypełniwszy obowiązki, umknął do ogrodu, dumy i miłości swego życia. Isabel także lubiła ogrodnictwo, pewnie dlatego, że wiele cudownych godzin spędziła wraz z ojcem w nasłonecznionym ogródku obserwując, jak piele, sadzi i kopie - wszystko z dala od żony.

Ogród odwdzieczył się za jego troskę. Cieszył oko idealną symetrią: rosa-rium, warzywniki, ukochany zakątek Isabel, gdzie rosły polne kwiaty, maki, chabry i dziewanny. Matka nie lubiła tego akurat kawałka.

- Mamo - tłumaczyła - to wspaniała posada i byłoby fantastycznie, gdybym ją dostała. Pewnie, że to wyzwanie, ale właśnie tego mi teraz trzeba. Czegoś, co mi pozwoli zapomnieć o Davidzie i separacji.

- Separacji? - zachnęła się Pamela. - Chyba chciałaś powiedzieć „rozwodzie”? Tylko tym sposobem pozbędziesz się tego skunksa.

Isabel puściła tę uwagę mimo uszu.

- Jak mówiłam, jedyny problem w tym, że na to stanowisko będzie wielu chętnych.

Matka wzruszyła ramionami, zła, że Isabel zignorowała to, co powiedziała o rozwodzie.

- Nie musisz się stosować do moich rad, moja droga. Przecież nigdy tego nie robiłaś - rzuciła sucho.

Isabel zacisnęła dłonie tak mocno, że aż paznokcie boleśnie wpiły się w skórę. Żałowała, że w ogóle poruszyła temat pracy.

- Tylko że kiedy będziesz przechodziła załamanie nerwowe, to ja będę się tobą zajmowała. Nie w moim stylu mówić: „Nie przychodź do mnie wtedy”, Isabel, ale tak właśnie czuję.

Isabel zagryzła usta. Po trzech bardzo trudnych miesiącach zrobiłaby wszystko, byle uciec z domu rodziców. Błagam cię, Panie Boże, czy kto tam siedzi na górze, pozwól mi znaleźć porządną pracę i kupić trzypokojowy dom albo mieszkanie, żeby dziewczynki nie musiały zajmować jednego pokoju. I żeby ona nie musiała wysłuchiwać nie kończących się litanii matki, która najwyraźniej lubowała się w wyliczaniu błędów Isabel.

Przede wszystkim, nie powinna była w ogóle zajmować się dziennikarstwem: „Wiesz, Isabel, wolałabym, żebyś poszła na medycynę, jak twój brat. Przecież jesteś zdolna, tylko za mało się uczyłaś”. Małżeństwo z Davidem: „Wiedziałam, że jest guzik wart, kiedy tylko go zobaczyłam”.

I to, że razem z nim wyjechała z kraju: „Szczyt głupoty”.

- Cóż, skoro naprawdę wybierasz się na rozmowę kwalifikacyjną, najpierw zajrzyj do fryzjera - stwierdziła Pamela z dezaprobatą. Jej zdaniem kobiecie po trzydziestce nie przystoją długie włosy, a w wieku lat trzydziestu dziewięciu Isabel była zdecydowanie za stara na włosy do ramion. Krótka, zgrabna fryzurka byłaby zdecydowanie bardziej na miejscu. - Gordon uczesze cię z przyjemnością - dodała zachęcająco.

- Dziękuję, mam, ale moje włosy podobają mi się takie, jakie są.

Isabel nie było stać na farbowanie, więc tym bardziej nie wybuli 25 funtów, żeby Gordon strzelił jej na głowie taki sam hełm, jaki miała matka. Isabel w skrytości ducha podejrzewała, że Gordon umie strzyć tylko w jeden sposób, mianowicie tak, jak chciałby sam wyglądać.

- Zrobisz jak zechcesz - mruknęła Pamela. - Jednak uważam, że przydałoby ci się dobre strzyżenie. Claudia ma taką ładną fryzurę.

Claudia, żona Luke'a. Była wcieleniem elegancji, jedną z tych kobiet, które nie wyjdą z domu nie zaaplikowawszy sobie wszystkich produktów z najnowszej serii pielęgnacyjnej Estee Lauder. Miała zawsze doskonałą manicure i co rano zużywała co najmniej pół puszkę lakieru do włosów.

- Mam, ani jej, ani Luke'a nie widzieliśmy od tak dawna, że od tego czasu mogła zapuścić warkocze po pas - Isabel próbowała zachować zdrowy rozsądek.

- Moja droga, chyba zapomniałaś, że twój brat zaprosił i mnie, i ojca do Los Angeles w zeszłym roku. To nie jego wina, że nie mogliśmy pojechać akurat wtedy, kiedy miał wolny tydzień.

Isabel wstawiła czajnik pod kran. Nie ma sensu komentować nieco dziwnego faktu, że ktoś, kto odnosi takie sukcesy jak jej brat, może sobie pozwolić jedynie na tydzień urlopu. Dobry Boże, proszę, daj mi tę pracę, żebym mogła wyprowadzić się z domu, modliła się.

Wszystko, naprawdę wszystko jest lepsze niż gryzienie się w język co pięć minut. Nic dziwnego, że przed dziesięciu laty tak entuzjastycznie zareagowała na propozycję Davida, by wyjechali do Anglii.

Robin wśliznęła się do kuchni. Miała na sobie obcisłą czarną koszulkę, której Isabel nigdy dotąd nie widziała, i nic pod nią, oraz czarne dzinsy. Włosy, tego samego koloru co matki, zwisały po obu stronach twarzy, oczy niemal nikły pod zbyt długą grzywką, ale nie na tyle, by zasłoniły obfitą warstwę tuszu Isabel. Ze względu na wzrost - była prawie równa matce - i szczupłą sylwetkę, której pozazdrościłaby jej każda modelka, Robin wyglądała na więcej niż piętnaście lat. W pełnym makijażu mogłaby spokojnie uchodzić za dwudziestolatkę, który to fakt coraz bardziej martwił Isabel.

Słodka, posłuszna Robin z przeszłości nie spędzałaby jej snu z powiek swoimi przyjaciółmi, lecz inaczej miała się sprawa z tą naburmuszoną nieznajomą. Isabel prześladowały niepokojące

wizje córki, szalejącej w klubach nocnych w nieodpowiednim towarzystwie.

Chciała zapytać Robin, skąd wzięła nową koszulkę, lecz gdyby tylko otworzyła usta, Pamela zrobiłaby z tego aferę. Rodzinne kłótnie w jej obecności przekształcały się w wojny atomowe. Robin otworzyła lodówkę, wyjęła jogurt i zaczęła go jeść, zupełnie się nie przejmując, jakie wrażenie robi na babce.

- Na razie - mruknęła skończywszy. Niedbale cisnęła kubeczek do kubła, a łyżeczkę do zlewu.

- Dokąd się wybierasz o tak późnej porze? - zapytała Pamela.

- Wychodzę. - Robin spojrzała na nią obojętnie.

- Jest wpół do dziewiątej, a jutro szkoła! Powinnaś odrobić pracę domową - zauważyła Pamela. - To chyba nie jest najlepszy pomysł, młoda damo...

- Nie jesteś moją matką! - odcięła się Robin.

- Nie odzywaj się do mnie w ten sposób! - uniosła się Pamela.

- Robin! Mamo! Przestańcie! - włączyła się Isabel. - Mamo, to sprawa między Robin a mną. Robin, nie zwracaj się do babci w ten sposób!

- Nie ma prawa mi rozkazywać, nie jest moją matką, do cholery! Ani moim ojcem! - usłyszała w odpowiedzi. - Nienawidzęj, ciebie, tego domu! Chcę do taty!

Wybiegła z roziskrzonym wzrokiem i łzami na policzkach. Razem z nimi spłynęła znaczna część tuszu. Po chwili trzasnęły drzwi jej pokoju. Pamela skoncentrowała się na Isabel.

- Nie po to przyjąłem cię pod swój dach, żeby znosić takie traktowanie - syknęła. - Wiesz, jak fatalnie wpływają na mnie takie awantury. I kiedy słyszę, jakim tonem twoja córka się do mnie odzywa, zastanawiam się, jak ją wychowałaś.

Isabel przemilczała fakt, że to jej matka zaczynała większość owych awantur, co jednak nie tłumaczyło skandalicznego zachowania Robin.

- Wiem, mamó. Przepraszam - powiedziała tylko. - Robin bardzo to wszystko przeżywa.

- A my to nie? - odcięła się Pamela. - Idę się położyć. Głowa boli mnie coraz bardziej.

Dumnym krokiem opuściła kuchnię. Isabel ciężko oparła się o zlew. Miała nogi jak z waty. Czowała, jak u podstawy czaszki narasta paskudna migrena. Nie znosiła kłótni wszelkiego rodzaju, a jeśli nie znajdzie mieszkania dla siebie i dziewczynek, czeka ją jeszcze wiele awantur.

3.

W redakcji było gorąco jak w piecu. Już przy drzwiach powitał Dee podmuch ciepłego powietrza. Okna były otwarte na oścież, a na biurku sekretarki naczelnego szumiał potężny wiatrak, przy okazji wypełniając salę zapachem Chanel nr 5.

- Klimatyzacja padła - poinformował półgłosem ktoś z działu sportowego, mijając Dee w pośpiechu. - Idę na mecz! - wrzasnął do swojego zwierzchnika, który, błądy jak ściana, akurat wychodził z gabinetu naczelnego. Zapewne miał... okazję wysłuchać jednej ze słynnych awantur Nigela Burkę'a.

- Pewnie leci do domu i będzie oglądał mecz na Sky Sport - szepnęła Maeve. Dee przysunęła sobie krzesło do jej biurka.

- Farciarz. Od upału jest mi słabo, a od tych cholernych perfum robi mi się niedobrze. - Maeve jeszcze bardziej zniżyła głos. Nikt nie śmiał krytykować Sheili Smyth, sekretarki naczelnego, bo miała doskonały słuch i o wszystkim niezwłocznie donosiła Nigelowi.

Dee zerknęła na nią ukradkiem i napotkała jej surowe spojrzenie.

- Kapral Smyth ma nas na oku - wycedziła przez zęby. - Lepiej zajmij się pracą, bo naśle na nas swoich zbirów i obudzimy się na dnie rzeki, z nogami w wiadrze z betonem. - Z tymi słowami podniosła się z krzesła. Maeve oparła jej dłoń na ramieniu.

- Poczekaj - szepnęła. - Byłam na lunchu z Phil Walsh i mam najnowsze wiadomości o Antonii. Chodźmy do kuchni, to ci opowiem. I tak muszę zrobić sobie krótką przerwę.

W małej kuchence Maeve błyskawicznie zaparzyła sobie kubek kawy.

- Więc Antonia powiedziała Nigelowi dzisiaj z samego rana. Od tej pory szef jest nie do zniesienia. Nawrzeszczał na fotografów, że nikt nie zrobił zdjęć, kiedy Johnny Depp był w hotelu Clarence wczoraj wieczorem. A ta nowa praktykantka z Cork tak bardzo przejęła się jego wrzaskami, że teraz wyplakuje się w dziale reklamy.

- Boże, co za sukinsyn - skomentowała Dee. - Swoją drogą, nie chce mi się wierzyć, że Antonia nie powiedziała mu od razu. Przecież wiadomo, że najważniejsze dla niego to usłyszeć o wszystkim w pierwszej kolejności.

- Cóż, wiesz, jaka ona jest. Prawdopodobnie nawet nie przyszło jej do głowy, że chciałby wiedzieć o tym jako pierwszy. W każdym razie, wybiegła od niego zalana łzami, tak mówiła Phil, bo obrzucił ją wszelkimi możliwymi obelgami, i poszła do domu... nawet nie dokończyła swojego cholernego artykułu, i teraz muszę tam nawsadzać masę zdjęć...

- Co Nigel jej powiedział? - Dee sprowadziła rozmowę na właściwe tory. - Mówił coś o osobie na jej miejsce?

Maeve uniosła brew.

- Z tego, co mówiła Phil, do Antonii dotarło niewiele więcej niż „głupia krowa”.

- Żałuję, że tego nie słyszałam - Dee westchnęła smutno. - Czy twoim zdaniem mam tam pójść teraz i zgłosić się na jej stanowisko? Przez całą noc myślałam, jak ulepszyć dział kobiecej. Wydrukuję to z dyskietki i jestem gotowa.

Redaktor działu sportowego wszedł do kuchni z kubkiem w ręku i ponurą miną na twarzy. Zazwyczaj flirtował z każdą kobietą, teraz nawet się do nich nie uśmiechnął. Tak ludzie reagowali na wybuchy Nigela Burkę'a.

Jako redaktor naczelny „Sentinela”, był bezpośrednim zwierzchnikiem redaktorów pięciu działów: kobiecego, sportowego, informacyjnego, reportaży i fotograficznego. Spośród nich tylko jedna osoba dorównywała Nigelowi temperamentem, a był to redaktor działu informacyjnego, Ian Mahoń. We dwóch robili więcej hałasu niż pozostali pracownicy razem wzięci. Kiedy się kłócili, w powietrzu latały iskry, a czasami nawet popielniczki.

- Wiesz, Dee, długo nad tym myślałam - zaczęła Maeve - lepiej nie idź do niego dzisiaj. Daj mu dzień, żeby ochłonął. Jeśli dzisiaj przedstawiś mu swoje pomysły, będzie jasne, że wiedziałś o odejściu Antonii przed nim, a wtedy uzna cię za zdrajczynię, bo mu o tym nie powiedziałaś.

- Racja. Poczekam do jutra.

Przechodziły akurat koło gabinetu Nigela, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i czerwony jak burak naczelny stanął w progu.

- Mahoń! - wrzasnął w stronę gabinetu Iana, który znajdował się dokładnie po przeciwnej stronie sali. - Jestem ciekawy, kto ponosi odpowiedzialność za tę stertę pozwów o zniesławienie! - Groźnie wymachiwał plikiem faksów. - Pozwał nas chyba każdy pieprzony adwokat w tym kraju! Masz dbać, żeby takie rzeczy się nie zdarzały, ale chyba za mało się przykładasz, do jasnej cholery! A gazeta musi za to słono płacić!

Nigel przemaszerował przez salę robiąc tyle hałasu, co słoń w składzie porcelany.

Dee w ślad za nim udała się do działu informacyjnego, gdzie dziennikarze załatwiali prywatne rozmowy telefoniczne, od niechcienia bawili się długopisami i machinalnie przekładali sterty papierów czekając na temat. Na widok naczelnego wszyscy rzucili się do pracy jak opętani.

Dziewczyna od kroniki towarzyskiej, której biurko stało najbliżej gabinetu Stalina, upuściła puderniczkę od Ives St Laurenta, chwyciła słuchawkę i energicznie przemawiała do ciągłego sygnału:

- Doprawdy? To wspaniale. A kto z rodziny królewskiej ma przyjść na bal? Księżniczka Anna? Och, cudownie!

Nigel Burkę nie zwrócił na nią uwagi. Kierował się prosto do gabinetu Stalina. Zatrzasnął za sobą drzwi tak mocno, że zadrżały szyby.

Na nieszczęście szefa działu informacyjnego, szklane ściany, dzięki którym obserwował

podwładnych nie ruszając się z miejsca, nie były dźwiękoszczelne. Wszyscy słyszeli doskonale każde słowo, które wrzeszczał Nigel. Dział sportowy słuchał szczególnie uważnie - cieszyli się, że oberwało się również komuś innemu poza nimi.

- Ty głupi sukinsynu! - darł się Nigel.

Dziennikarze z działu informacyjnego kulili się przy biurkach modląc się, aby to nie bohaterowie ich tekstów pozwali redakcję o zniesławienie.

- Dalsze pozwy? - zwróciła się Dee do Gerry'ego, korespondenta politycznego.

- To już trzeci dzisiaj - odparł, nie odrywając wzroku od ekranu komputera. - Nigel odchodzi od zmysłów ze złości. Ledwo co pogodził się z tym, że musieliśmy wybulić pięćdziesiąt patyków facetowi, którego mylnie wzięliśmy za handlarza narkotyków.

- Słyszałeś o Antonii? - zainteresowała się, włączając komputer.

- Tydzień temu. Bardzo dobrze, że odchodzi. I tak nie przetrwałaby następnych sześciu miesięcy.

Dee nie ukrywała zdumienia.

- Przecież, pomijając dzisiejszy ranek, ma się rozumieć, Nigel ciągle piał nad nią z zachwytem, nieważne, jak beznadziejne teksty pisała. Dlaczego to mówisz? Czyżbyś wiedział więcej ode mnie, Gerry? - Z każdą chwilą była coraz bardziej podejrzliwa.

Skończył akapit, zanim odpowiedział.

- Ujmę to w ten sposób: Bogowie nie są zachwyceni poczynaniami naszego ukochanego Nigela. Jeśli poczytność będzie nadal spadała w tak zastraszającym tempie, gazeta zacznie przynosić straty.

- Jezu! - Dee zaniemówiła. - Nie wiedziałam, że jest aż tak źle. - Pobladła na myśl o gigantycznej pożyczce, którą wzięli na dom, o wakacjach na Florydzie, które planowali od miesięcy, i wydatkach związanych ze ślubem w przyszłym roku. Cóż, przynajmniej miała nadzieję, że ślub się odbędzie.

- Nigel powinien ostro zakasać rękawy, jeśli nie chce stracić posady - zauważył Gerry na zakończenie. - A ty pewnie masz ochotę na miejsce Antonii?

- Gerry, czy jest coś, o czym nie wiesz? - Jego pytanie wyrwało ją z ponurych rozmyślań o stanie własnych finansów.

Uśmiechnął się pod nosem. - Niewiele.

Ledwie Dee otworzyła drzwi wejściowe do domu, w nos uderzył ją aromat pieczonej jagnięciny i czosnku. Od razu ślinka napłynęła jej do ust. Świetnie. Więc w końcu Gary postanowił zabrać się za gotowanie. Jednak przejął się jej narzekaniem, że ma na głowie całe pranie, gotowanie i sprzątanie.

- Już jestem, Gary. Pachnie smakowicie. Czy to naprawdę moje ukochane jagnię w czosnku i rozmarynie?

- Deirdre, wreszcie jesteś - dobiegł ją z kuchni słodziutki głos przyszłej teściowej. - Obiad prawie gotowy. Wysłałam Gary'ego po mleko, bo w lodówce macie tylko to odłuszczone paskudztwo, a to wcale nie jest zdrowe. I jeszcze po porządną kawę. Nie cierpię rozpuszczalnej.

Cholera! Kiedy do licha przeklęta matka Gary'ego zdecydowała się ich odwiedzić? I dlaczego Gary jej nie uprzedził? Cisnęła teczkę na podłogę i pobiegła na górę. Za żadne skarby świata nie wejdzie do kuchni i nie przywita się z Marga-ret Redmond w tym, co miała na sobie. Margaret nieustannie wyrażała swoją dezaprobatę dla kobiet w „wulgarnych, obcisłych ubraniach”; oba te przymiotniki pasowały jak ulał do koszulki Dee. Nie, żeby Margaret знаła się na modzie. Mogła sobie nosić drogie kostiumy z ekskluzywnych butików na przedmieściach, a i tak wyglądała jak czołg w pokrowcu. Mamuśka nie tylko lubi piec tony bisz-kopczków i beżów, równie chętnie je pochłania.

- Zaraz przyjdę, Margaret - krzyknęła przeskakując po dwa stopnie naraz. Przynajmniej zdążysz schować miotłę, ty stara czarownico.

- Nie spiesz się, Deirdre. Mam wszystko pod kontrolą. Gdzie są te lniane serwetki, które dostaliście ode mnie z okazji zaręczyn? Nie mogę ich znaleźć.

- Bo od trzech miesięcy leżą na samym spodzie kosza z brudami, poplamione czerwonym winem - mruknęła pod nosem. - Stara wiedźma mnie sprawdza, i tyle.

- Są brudne, Margaret! - krzyknęła głośno. - Weźmiemy papierowe, leżą w trzeciej szufladzie od dołu!

Następny minus. Dee bynajmniej nie odpowiadała wyobrażeniom Margaret o przyszłej synowej. Jako córka rzeźnika, Margaret Redmond zaliczała się do górnej warstwy klasy średniej, i Dee, pochodząca z rodziny robotniczej, mówiąca prawdę w żywe oczy, nie była kobietą, którą Margaret widziała u boku ukochanego synka.

Dla Dee było to jasne jak słońce: Margaret nie po to posyłała syna do muzeów, galerii i na drogie lekcje gry na skrzypcach, żeby ożenił się z córką zwykłego mechanika. Mamuśkę zadowoliliby jedynie panna z rodowodem jak koń wyścigowy, która umiałaby strzelać, polować, a co najmniej jedno z jej rodziców mówiłoby z arystokratycznym akcentem.

- Wścibska stara krowa - podsumowała ją przebieając się szybko.

Zdażyła już wyciągnąć z szafy ukochane czarne narciarki, zanim do niej dotarło, że jej zwykły domowy strój - narciarki i luźny sweter zakrywający brzuch - to nieodpowiednia kreacja na kolację z tym akurat gościem.

Niech szlag trafi Gary'ego! Dlaczego jest taki gruboskórny? Jeśli wiedział, że matka się do nich wybiera, mógł chociaż zadzwonić do niej do redakcji. Trzasnęły frontowe drzwi.

- Kupiłem twoją ulubioną kawę! - Było oczywiste, że Gary mówi do ukochanej mamuski, a nie do Dee. Czyj to dom, do cholery? Jej czy ich? I czemu się czepia kawy rozpuszczalnej?

Dee zacisnęła zęby, wyjęła z szafy jasnożółty golf i czarną spódnicę. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę tego wieczora, była wymuszona konwersacja z przyszłą teściową, która nie omieszka skrytykować wszystkiego, poczynając od braku lnianych serwetek i porządnego jedzenia w lodówce.

- Cześć, Dee. Jak ci minął dzień? - Po głosie odgadła, że Gary jest lekko zdenerwowany. I dobrze, pomyślała z satysfakcją, energicznie szczotkując włosy.

- Cudownie, kochanie - odrzyknęła.

Wpadła do łazienki, żeby poprawić makijaż. Kiedy wyciągnęła rękę po kawałek papieru toaletowego, żeby wytrzeć odrobinę tuszu z policzka, zdała sobie sprawę, że rolka jest pusta, więc schyliła się do szafki po nową. W tym momencie wypadło na podłogę pudełko prezerwatyw o smaku truskawkowym. Dla żartu kupiła je Gary'emu przed kilkoma miesiącami. Zużyli tylko jedną i zapomnieli o nich. Dee już miała je wepchnąć w najdalszy kąt szafki, ale nagle zmieniła zdanie.

Postawiła je na parapecie, w takim miejscu, żeby Margaret na pewno je zauważyła. Najwyższy czas, żeby mamuska się przekonała, że jej syneczek nie jest święty, pomyślała złośliwie.

Obiad był jednanie kończąca się torturą. Gary starannie unikał wzroku Dee. Jak zauważyła, włożył biały sweter, prezent od matki na poprzednie urodziny. Zazwyczaj snuł się po domu w spranych dżinsach i powyciąganych koszulkach, ale dla mamusi się przebrał. Zresztą było mu w tym do twarzy, biel podkreślała opaleniznę, rezultat wielu godzin spędzonych na boisku. Dee jednak nie była w odpowiednim nastroju, by się zachwycać urodą narzeczonego po tym, jak nie zawiadomił jej o wizycie swojej matki, której na dodatek podlizywał się teraz bezwstydnie.

Ponieważ nadal nie znalazła się tekturka podkładana pod nogę od stołu w jadalni, Gary mocował się z pudełkiem po płatkach kukurydzianych. Po przydługiej modlitwie Margaret zaczęła nakładać jarzyny jak biblijna bogaczka, rzucająca grosze żebrakom.

- Deirdre, ziemniaki? - zapytała chłodno, i po chwili, dużo cieplej: - Zrobiłam takie, jakie lubisz, Gary, z serem.

Cokolwiek można jej było zarzucić, Margaret gotowała doskonale i na samą myśl o jagnięcinie Dee ślinka napływała do ust. Jednak nie sposób rozkoszować się jedzeniem, kiedy obok siedzi teściowa, ostentacyjnie ogląda nóż pod światło, a następnie poleruje go o serwetkę, na dodatek papierową. W oczach Margaret papierowe serwetki były równie niewybaczalne jak podawanie herbaty w kubkach, a śmietanki w kartoniku, nie w dzbanku.

- Jak ci smakuje, kochanie? - niespokojnie zapytała syna.

- Pyszne. Nie ma to jak domowa kuchnia. - Gary z uśmiechem wsadził do ust kopiasty widelec.

Zdrajca, zżymała się Dee. Tak energicznie wbiła swój widelec w ziarnko groszku, że odrobina sosu chlapnęła na czerwoną podkładkę. Gdybym nie pracowała, codziennie mogłabym robić cholerne jagnię i ziemniaki z serem. Albo gdyby sprzątanie i pranie nie zajmowało mi aż tyle czasu, bo twój cholerny syn nie kiwnie w domu nawet palcem.

- Gary uwielbia jagnię - oznajmiła czule Margaret z ciepłym blaskiem w złośliwych oczkach. - Moi chłopcy przepadają za moją kuchnią. Wiesz, Deirdre - dodała ze sztuczną słodyczą - mam w domu bardzo dobrą książkę kucharską, mogę ci pożyczyć. Jest tam kilka ukochanych dań Gary'ego. Wiesz, na przykład uwielbia placek z mięsem, ale tylko dobrze zmielonym.

Dee kipiała ze złości. Ta kobieta wprosiła się do jej domu, krytykowała zawartość jej lodówki, a teraz jeszcze śmiała insynuować, że Dee nie umie albo nie chce gotować! Mocniej zacisnęła zęby i wyobraziła sobie, co chciałaby powiedzieć...

- Doprawdy, Margaret, rozpieszczasz swoich chłopców. Biedny Gary, na przykład, jest rozpuszczony jak dziadowski bicz do tego stopnia, że biedaczek nie jest w stanie ugotować nawet jajka na miękko i nie poradzi sobie z jakimkolwiek przepisem kulinarnym bardziej skomplikowanym niż zamówienie pizzy przez telefon, mam rację, skarbie? - Dee uśmiechnęła się, wyobrażając sobie szok na twarzy teściowej in spe. - Za to jest oczywiście fantastyczny w łóżku. Nie dalej jak wczoraj mało brakowało, a urwałby żyrandol, kiedy się na nim huśtał, zanim skoczył na łóżko!

Wyobraziła sobie, jak Margaret krztusi się wodą i pluje do szklanki. Cóż by to była za awantura! A Dee nie dałaby jej dojść do słowa.

Widzisz, w partnerskim związku ludzie sobie pomagają. I dlatego wczoraj postanowiliśmy z Garym sprawiedliwie podzielić wszystkie obowiązki, prawda, Gary?

- Jeszcze wina, Dee? - jego głos wyrwał ją z tych rozkosznych marzeń. Trzymał w ręku butelkę, a na jego twarzy malował się wyraz błogiego samozadowolenia. Pewnie, ma się z czego cieszyć, pomyślała gniewnie. Sprawił mamusce przyjemność, to najważniejsze. Kogo obchodzą uczucia Dee?

Prawie się nie odzywała do końca posiłku. Kiedy Margaret podał pudding ryżowy, odeszła od stołu, wykręcając się pracą. Dee nie znosiła puddingu ryżowego prawie tak samo jak galaretki, innego przedszkolnego przysmaku, za którym Gary przepadał. W kucharskiej książce Margaret na pewno roi się od podniecających przepisów na pudding ryżowy. Faj! Gdyby ta baba przestała krzątać się przy synach jak kwoka przy kurczętach i od czasu do czasu pozwoliła sobie na szklaneczkę wina, o wiele łatwiej byłoby z nią wytrzymać. Z drugiej strony, kieliszek chianti nie wystarczy, by z Margaret Redmond zrobić człowieka.

Na górze Dee włączyła komputer, ale nie napisała ani słowa. Była wściekła, wściekła i

urazona. Gary powinien był jąprzedezić o wizycie Margaret. Żeby dolać oliwy do ognia, jasno dał do zrozumienia, że zawsze zatańczy tak, jak mu mamusia zagra, a dla Dee nie kiwnie nawet palcem. Nie pamiętała, kiedy ostatnio poszedł do sklepu, jeśli nie liczyć wizyt w wypożyczalni kaset wideo. Ale ledwie Margaret skinie tłustym paluchem, a już maszeruje jak żołnierz na paradzie. Tyle, jeśli chodzi o spokojny wieczór w domu z Woody Allenem. A w telewizji akurat pokazują *a, Hannah i jej siostry*.

Dee przyniosła sobie z sypialni kryminał, który akurat czytała, oparła stopy na biurku i zjadła całą paczkę toffi. Podsumowała dzień: dwa duże posiłki, pięć czekoladowych herbatników w redakcji, cztery kieliszki wina i do tego cała paczka toffi. Cholera, cholera, cholera. Jutro nie weźmie do ust nic prócz kawy i owoców, obiecała sobie.

Jej dżinsy, rozmiar czternasty, robiły się nieprzyjemnie ciasne. Oto skutki wspólnego mieszkania z kimś, kto może jeść co zechce i nie przybiera na wadze. Gary ciągle przynosił czekoladę i wielkie torby chipsów. Poniewierały się po całym domu i Dee nie mogła się im oprzeć. A potem miał czelność krytykować jej figurę!

Droga Annie Od dziecka byłam duża. Nie gruba, tylko trochę pulchna. Nie zaszkodziłoby mi, gdybym zrzuciła piętnaście, no, dwadzieścia funtów. Większość z trzydziestu dwóch lat mojego życia spędziłam na diecie. A teraz mam problem z moim chłopakiem.

Kiedy się poznaliśmy, byłam trochę szczuplejsza. Powtarzał, że bardzo mu się podoba moja figura, ale nie cierpi kobiet, które się odchudzają. Jego zdaniem można jeść, co się chce i nie tyć, bo on tak robi.

Więc jem to samo co on i tyję, co mu się nie podoba. Muszę ukrywać przed nim moje książki o odchudzaniu i dietetyczną żywność, bo każe mi wyrzucić „te brednie”. Powtarza też, że szczuplejsza wyglądam lepiej. Nasze życie seksualne jest w zaniku. Jestem przekonana, że już mu się nie podobam. Aż się boję wejść na wagę, a jednocześnie jem więcej niż kiedykolwiek. Zaczynam się nienawidzić. Co mam robić?

Usłyszawszy o wpół do jedenastej odgłos zamykanych drzwi wejściowych, Dee wyłączyła komputer i zeszła na dół. Gary chował czyste talerze do kredensu. Zlew był pusty, blat stołu lśnił czystością.

Gdyby to Gary posprzątał, Dee byłaby w siódmym niebie, ale skoro dokonała tego jego cholerna matka, zapewne cały czas mamrocząc pod nosem, że całemu domowi nie zaszkodziłoby porządne wiosenne sprzątnięcie, porządek w kuchni tylko ją drażnił.

Całkowicie ignorując Gary'ego, postawiła wodę na herbatę i zdjęła kubek z suszarki. Chociaż miała mu wiele do powiedzenia, nie ufała sobie na tyle, by otworzyć usta.

- Przepraszam, Dee, powinienem był cię uprzedzić, że przyjdzie. Ale kiedy rano do mnie dzwoniła, była taka smutna, że musiałem ją zaprosić - zaczął pojednawczo Gary. - Wiesz przecież, jak bardzo przeżywa rocznicę śmierci ojca, sama jedna w tym wielkim domu...

Ciekawe dlaczego, pomyślała wojowniczo. Energicznie odkręciła słoik z kawą. Stara krowa zraziła do siebie większość sąsiadów, wszystkie synowe. Jedyni, którzy z nią rozmawiali, ba, czcili ziemię, po której stapała, to jej synkowie, piątka małych szowinistów.

- Nie ma nikogo - powtórzył Gary.

Dee gwałtownie podniosła na niego wzrok.

- Nie przeszkadza mi obecność twojej matki, jeśli naprawdę czuje się samotna, natomiast przeszkadza mi fakt, że nieustannie mnie krytykuje! Nie karmię cię odpowiednio, nie dbam o właściwe zaopatrzenie lodówki, używam odtłuszczonego mleka, kawy rozpuszczalnej, i, Boże bądź miłościw mnie grzesznej, żądam nawet, żebyś skalał swoje dziewiczo białe rączki domowymi pracami! - syknęła. - To mi przeszkadza, to jej ciągle utyskiwanie.

- Wcale taka nie jest - zaprotestował.

- A wiesz, co jest najgorsze? To, że zawsze trzymasz jej stronę. „Nie martw się, mamuśka, durna Dee nigdy nie będzie gotować równie dobrze jak ty, więc może wpadniesz raz w tygodniu i podkarmisz zagłodzonego syneczka?” Masz w ogóle pojęcie, w jakiej mnie to stawia sytuacji? Nigdy mnie nie bronisz przed tą cholerną babą!

- Na Boga, Dee, daj spokój - rozłożył bezradnie ręce. - Nie wiem, o co ci chodzi. Niewiele ma przyjemności w życiu, a skoro gotowanie dla mnie ją bawi, jestem zadowolony.

- Ale ja nie! - Traciła panowanie nad sobą. - Jesteś głuchy czy co? Naprawdę nie słyszysz, jak bez przerwy mi dokuczają? Nie zastanowiło cię, jakim prawem tak po prostu wkracza do mojej kuchni i kręci nosem na to, jak prowadzę dom? Bo - przerwała, żeby zaczerpnąć tchu - ja prowadzę ten dom, ty nawet nie kiwniesz palcem.

Pojednawczo położył jej dłoń na ramieniu, ale strąciła ją gniewnie.

- Nie próbuj mnie ułagodzić, Gary. Ja nie żartuję. Mam po dziurki w nosie tego, że mnie traktujesz jak niewolnicę. Pracuję tyle samo co ty, czasami nawet dłużej, zarabiam tyle samo, a ty oczekujesz, że będę ci prała i sprzątała. I tu się mylisz. Od dzisiaj to się zmienia.

- Dobrze, dobrze, będę ci pomagał. Tylko że moim zdaniem sprzątasz częściej, niż to potrzebne - zauważył spokojnie.

Dee miała ochotę zgrzytać zębami. Czasami okazywał się wręcz bezgranicznie głupi. Nic nie rozumiał.

Gdyby rzeczywiście sprzątała, kiedy Gary uzna, że zaszła taka potrzeba, mieszkaliby w chlewie, nie w domu. Gary bowiem nigdy nie twierdził, że czas posprzątać. Po tygodniu wróciliby do punktu wyjścia, czyli dzikich awantur z jej strony.

- Ta rozmowa nie ma sensu, Gary. Jeśli nie szanujesz mnie na tyle, by podjąć się pewnych

obowiązków domowych, jak mogę oczekiwać szacunku od twojej matki? Traktuje mnie tak, a nie inaczej, bo ty robisz tak samo. Wie, że może mówić, co jej się żywnie podoba, ty i tak nigdy się temu nie sprzeciwisz.

- Nie dramatyzuj - zaprotestował. - Mówimy o zmywaniu naczyń, a nie o przyszłości cywilizowanego świata!

- Nadal nic nie rozumiesz, prawda? - Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Ta rozmowa i tak jest bez sensu. Gary nigdy nie pojmie jej punktu widzenia.

- A przy okazji - odezwał się dużo spokojniej - mama pytała, czy może się z nami zabrać na ślub Simona.

Dee wymownie spojrzała w górę. Wystarczająco denerwujący był fakt, że Gary przyjął zaproszenie na ślub kuzyna i nie raczył jej o tym poinformować aż do zeszłego tygodnia, a co dopiero wizja transportowania Margaret aż do Ashford w Wicklow. Co najmniej godzina w jedną stronę, sześćdziesiąt minut zgryźliwych komentarzy i uszczypliwych uwag. Jęknęła bezgłośnie.

- Świetnie - warknęła.

Simon był synem siostry Margaret, właścicielki równie wścibskiego nosa i ostrego języka. Jego ślub z jedyną córką znanego adwokata miał być, jak to określiła kochana cioteczka Margaret, „towarzyskim wydarzeniem roku”. Dee robiło się słabo na samą myśl. Dostyc się nasłuchiwała o przyjęciu, które Delahunto-wie wydadzą w swojej posiadłości w Ashford. Posiadłości, na którą składały się cztery akry ziemi, a na nich rosarium otoczone żywopłotem, kilka rzeźb, fontanna i kort tenisowy.

- Rodzice Yvonne są uroczy. Przyjęcie w ich rezydencji to doskonały pomysł. Mają nawet kryty basen - zachwyciła się Margaret.

Bóg raczy wiedzieć, w co się ubiorę, rozmyślała Dee posępnie. Musi sobie coś kupić, w innym wypadku będzie się za bardzo wyróżniać z tłumu pastelowych różowych, niebieskich i żółtych sukienek od Thomasa Browna, po pięćset funtów za sztukę, które bez wątpienia włożą wszystkie zaproszone kobiety, do nich rodzinne perły na szyi. Następny wydatek. Cóż, niech Gary kupi prezent ślubny, może zrobić chociaż tyle.

- Wiesz co? - Gary stanął za jej plecami, zaczął masować kark i barki. - Mam pomysł. Chodźmy w piątek na romantyczną kolację we dwoje. Co ty na to?

Podniosła na niego wzrok.

- Bardzo chętnie.

- Kocham cię, Dee - powiedział, delikatnie obrysowując palcami kontury jej twarzy.

Jest zmęczony, zauważyła nagle. Ścisnęło się jej serce. Miał cienie pod oczami, cały wieczór tłumiał ziewnięcia.

- Zdaję sobie sprawę, że mama jest trudna, ale mam straszne wyrzuty sumienia, kiedy dzwoni, a ja jej nie zapraszam - tłumaczył się. - Przecież postąpiłabyś tak samo, gdyby chodziło o

twoją matkę, prawda?

- Tak. - Dee odprężyla się trochę. Może rzeczywiście odrobinę przesadza. Praca ostatnio bardzo dawała się jej we znaki. Chociaż jeśli dostanie posadę Antonii, to się zmieni. Kto wie, może w piątek będą oblewali jej nowe stanowisko! To by dopiero była okazja!

4.

Nigel Burkę zamknął za sobą drzwi gabinetu dyrektora. - Może podać kawę? - zaproponowała sekretarka Teda Hol-ta, mniej więcej czterdziestoletnia brunetka o smutnej, nieruchomej twarzy.

Isabel usiadła w wielkim fotelu z czarnej skóry i natychmiast zapadła się w przepastne poduchy.

- Przepraszam... nie, dziękuję. - Usiłowała usiąść prosto. Dlaczego w tyłu biurach stawiają fotele, w których można się zapaść bez śladu? Trudno wyglądać profesjonalnie i spokojnie, kiedy gramolisz się z miękkiej poduchy, spódnica podjeżdża w górę i widać ci bieliznę.

W końcu ponownie dotknęła nogami ziemi. Starła się uśmiechać do sekretarki, uparcie wpatrzonej w monitor, i przybrać minę osoby, której nie wyprowadzają z równowagi nieprzewidziane pułapki w postaci skórzanych foteli. Obok klawiatury stał parujący aromatycznie żółty kubek. Isabel żałowała, że podziękowała za kawę.

Oddałaby pół życia za łyk czegoś gorącego po niemal godzinnej rozmowie kwalifikacyjnej z dyrektorem „Sentinela”, Tedem Holtem, i Nigelem.

Wypytywali ją dosłownie o wszystko. Omówili każdy etap jej dotychczasowej kariery, padały najróżniejsze pytania, od: „Dlaczego w ogóle wyjechała pani za granicę?” po dokładne śledztwo, czemu zdecydowała się zrezygnować z pracy w brytyjskim magazynie. Byli ciekawi, co zmieniłaby w dziale kobiecym, gdyby zdecydowali się ją zatrudnić. Isabel spodziewała się tych pytań i poprzedniego wieczora przez dwie godziny ćwiczyła odpowiedzi z Naomi w roli Nigela.

Siedząc na twardym krześle pod baczny wzrokiem Nigela i Teda dziękowała Opatrzności za wczorajszą próbę generalną. Ma się rozumieć, nie powiedziała Naomi, że wróciła do Irlandii, bo odeszła od męża i bierze pod uwagę rozwód.

Na słowo „rozwód” w oczach Nigela pojawił się cieplejszy błysk. Zrobiła chyba na nim wrażenie jej czarna spódnica przed kolana, zgrabne nogi w cieniutkich rajstopach i czerwony zakiet. Nie sposób jednak odgadnąć, czy polubił ją Ted Holt, i, co ważniejsze, czy uznał ją za odpowiednią kandydatkę. Z jego bystrych małych oczu nie dało się niczego wyczytać. Niedbale rozpiął się na krześle z rękami splecionymi na obfitym brzuchu. Ledwie skończyła odpowiadać na jedno pytanie, już rzucał następne. Sądząc po jego minie Isabel wątpiła, czy ma choćby cień szansy.

Zadzwonił telefon na biurku sekretarki. Isabel podskoczyła nerwowo.

- Sekretariat pana Holta. Nie, nie chciał, żeby mu przeszkadzano. Oddzwoni za pół godziny.

Za pół godziny? Isabel zdziwiła się. Tyle ma czekać, aż skończą naradę, czy dać jej tę posadę czy nie? Była jedenasta czterdzieści pięć, a o dwunastej powinna być w pracy.

Rano zadzwoniła i udała, że strasznie boli ją ząb. Richie, jej szef w „Motor 2000” będzie wściekły, kiedy Isabel przyjdzie później, zwłaszcza że nie wygląda na ofiarę dentysty. A może wypcha sobie policzek gigantyczną landrynką, żeby udawała opuchliznę?

Uśmiechnęła się pod nosem. Jeśli zatrudnią ją jako redaktora działu kobiecego, będzie miała w nosie napady furii Richiego. Jeżeli jednak...

Poprawiła spódniczkę. Nagle ogarnęły ją wątpliwości, czy dokonała właściwego wyboru. Może zamiast mini powinna była włożyć szatę po kostki? Może uznali krótką spódnicę za zbyt prowokującą? Miała wrażenie, że na ostatnim interview z prawdziwego zdarzenia była setki lat temu. Praca w „Motor 2000” się nie liczy, nie szukali nikogo na stałe, i byle niedoświadczony student poradziłby sobie z tym.

„Sentinel” szukał kobiety z wyczuciem mody, więc nie mogła się zjawić w zgrzebnej szacie, prawda? Daj spokój spódnicy. Już po wszystkim. Pał sześć, co sobie o tobie pomyśleli, upomniała się. Z westchnieniem zerknęła na gazety na stoliku. Czekanie było nie do wytrzymania - chyba wołałaby siedzieć na fotelu dentystycznym i cierpieć przy borowaniu. Tam przynajmniej dawali znieczulenie.

Nagle drzwi do gabinetu otworzyły się gwałtownie i w progu stanął Ted Holt. Nie marnował czasu na zbędne uprzejmości typu skinienie głową w stronę Isabel czy zwrócenie się do sekretarki po imieniu. Warknął tylko:

- Niech podstawią mój samochód! Proszę zadzwonić do restauracji i uprzedzić, że się spóźnimy. Muszę jeszcze skontaktować się po drodze z prawnikiem.

Sekretarka najwyraźniej przywykła do takiego traktowania, bo nawet nie mrugnęła okiem.

- Dobrze. Przekazać panu wiadomości teraz czy potem?

- Potem. - Popatrzył na Isabel. - Proszę wejść - odezwał się cieplejszym głosem.

Ze wszystkich sił starała przywołać na twarz uśmiech. Wróciła do tego samego pokoju, w którym odbyła się rozmowa kwalifikacyjna. Jej serce waliło tak głośno, że Nigel musiałby być głuchy, żeby tego nie słyszeć. W ustach miała istną Saharę. Ted wyglądał sympatycznie po raz pierwszy od rana. Ciekawe, czy chce uspić jej podejrzliwość i dopiero potem poinformować, że niestety, nie mogą jej zatrudnić? A może właśnie zaproponują jej posadę? Któż to wie? Z drugiej strony, jeśli traktuje podwładnych tak jak sekretarkę, to czy na pewno chce dla niego pracować?

Przycupnęła na tym samym twardym krześle co poprzednio, ostatkiem woli splotła dłonie, ale nie zacisnęła ich kurczowo. Oto do czego się nadają wszystkie artykuły o zachowaniu zimnej krwi w sytuacji stresowej. Są do niczego.

Obaj mężczyźni uśmiechali się szeroko.

Ted pochylił się nad szerokim mahoniowym biurkiem, otworzył drewnianą szkatułkę i wydobyl z niej cygaro grube jak parówka.

- Chcielibyśmy zaoferować pani stanowisko redaktora działu kobiecego - oznajmił. - Moim

zdaniem, trzeba to oblać.

- Proszę, proszę. - Nigel podsunął mu zapalniczkę.

Isabel nie wiedziała, co powiedzieć. Nie wierzyła własnym uszom. Proponowali jej pracę! Została nową redaktorką działu kobiecego w „Sentinel”!

- Dziękuję... Zgadza się, oczywiście. - Posłała im promienny uśmiech. - Nie będziecie panowie tego żałować, zapewniam - dodała żarliwie.

- Nigel i ja nie mamy w zwyczaju czegokolwiek żałować, prawda? - Ted puścił do naczelnego oko. - Isabel, czy zje pani z nami lunch? Musimy omówić sporo szczegółów, jak na przykład pani wynagrodzenie, a wolę rozmawiać o interesach przy lampce wina, zwłaszcza w tak uroczym towarzystwie!

Zarumieniła się słysząc komplement i jednocześnie pomyślała o artykule na trzy strony, który czekał w redakcji „Motor 2000”, aż go przerobi na fascynującą lekturę o kupowaniu właściwego samochodu dla małego przedsiębiorstwa. Co prawda Ri-chie Devine był potworem, ale nie lubiła nie wywiązywać się ze swoich obowiązków.

Po chwili namysłu uznała jednak, że błędem byłoby odmówić nowym przełożonym zaraz pierwszego dnia, nawet jeśli postępowali nieco nieodpowiedzialnie, spodziewając się, że rzuci wszystko i skorzysta z ich zaproszenia.

Isabel preferowała uporządkowany styl życia, czuła się bezpieczniej planując wszystko tydzień naprzód. David doprowadzał ją do szału, zapraszając przyjaciół na kolację i informując ją o tym dzień wcześniej. Była to jedna z przyczyn ich licznych kłótni.

- Jak, do cholery, mam cokolwiek przygotować na szóstą, jeśli pracuję do późna? W południe nie zdążę zrobić żadnych zakupów, a dom wygląda jak pole bitwy - wrzasnęła, kiedy ostatnio do tego doszło.

Może Ted Holt również robi wszystko pod wpływem impulsu, w ostatniej chwili, zwłaszcza że umówiono ją na rozmowę kwalifikacyjną zaledwie dwa dni po tym, jak przysłała list motywacyjny i życiorys.

- Z przyjemnością - i znowu posłała im olśniewający uśmiech, który poprzedniego wieczora ćwiczyła przed lustrem w łazience. - Ale najpierw muszę wykonać jeden telefon.

- Proszę bardzo - Ted machnął rękaw stroną drzwi. - Z telefonu w sekretariacie. Za dziesięć minut wychodzimy.

- Ted powiedział, że mogę skorzystać z tego telefonu - zwróciła się do sekretarki. - Nie przedstawiono nas sobie. Isabel Farrell - wyciągnęła rękę.

- Marion - usłyszała w odpowiedzi. - Na miasto dzwoni się przez dziewiątkę. Może jednak napije się pani kawy? Ted nie wyjdzie tak szybko, a akurat zaparzyłam cały dzbanek.

- Bardzo chętnie - przyznała. - Dziękuję.

Marion wyszła, a Isabel szybko wybrała numer redakcji. Na szczęście Ri-chiego nie było.

- Przekaż mu, że jutro przyjdę wcześniej, żeby skończyć artykuł, nad którym obecnie pracuję - poprosiła koleżankę. - Tak, wiem, że wpadnie w szal, ale nic na to nie poradzę. Do zobaczenia jutro.

Odłożyła słuchawkę.

Marion wróciła niosąc małą tacę z cukierniczką, dzbanuszką mleka i czekoladowymi herbatnikami.

- Witamy w „Sentinel”. - Postawiła tacę na biurku.

- Dziękuję. - Nie miała pojęcia, skąd sekretarka wiedziała, że Isabel dostała pracę i że wybiera się na lunch z Tedem i Nigelem, Może ma zdolności parapsy-chologiczne?

- Nigdy nie wychodzą na czas - rzuciła Marion wyjaśniająco. Wzięła kilka herbatników i usadowiła się wygodnie za biurkiem, gotowa uciąć sobie dłuższą pogawędkę.

- „Sentinel” to wspaniała redakcja. Jestem tu od dziesięciu lat, zaczynałam za poprzedniego dyrektora, przed Tedem, i mówię ci, nie zamieniłabym tej pracy na żadną inną. Tu panuje specyficzna atmosfera, nie tak jak w innych biurach, w których dawniej pracowałam. - Odgryzła kawałek ciasteczka i mówiła dalej z pełnymi ustami: - Fajnie, że dołączają do nas nowi ludzie, zastrzyk świeżej krwi wszystkim nam dobrze zrobi. - Uśmiechnęła się szeroko. - Antonia jest bardzo miła, ale trochę zadziera nosa, wiesz, co mam na myśli?

Isabel nie wiedziała, ale była zbyt zaintrygowana, by dać to po sobie poznać, więc tylko skinęła głową i uśmiechnęła się zachęcająco.

- Wszyscy ją lubią, no, prawie wszyscy - ciągnęła dalej Marion. - Pracowała tu od początku, doskonale zna się na modzie. A ty? Od dawna zajmujesz się modą?

- Właściwie nie. W Anglii sporo pracowałam w magazynach kobiecych, ale nigdy nie prowadziłam działu kobiecego w dzienniku - przyznała Isabel.

- Tak? A dlaczego właściwie odeszłaś z tamtej posady? - Marion ciekawie nadstawiła ucha.

- To długa historia... - Isabel wahała się. Czy naprawdę ma opowiedzieć swoje życie sekretarce dyrektora?

- No, mów, mów, Ted jeszcze długo stamtąd nie wyjdzie - Marion zerknęła na biurko. Czerwone światełko na telefonie oznaczało, że szef rozmawia. - Uwielbiam takie pogawędki.

Zanim Ted i Nigel wyszli z gabinetu, Isabel dopiła drugi kubek kawy i miała nieodparte wrażenie, że Marion wie o niej wszystko, natomiast ona o niej nic, oprócz tego, że uwielbia plotki i ciasteczka czekoladowe, o czym świadczyła obszerna bluzka. Isabel przeklinała zdenerwowanie, które skłoniło ją do nadmiernej wylewności wobec sekretarki.

- Przepraszamy, że musiałaś czekać, Isabel. - Ted dopiął ostatni guzik marynarki. - Nie wrócę już dzisiaj - rzucił przez ramię do Marion. - Jeśli będę potrzebny, złapię cię pod

komórką.

W restauracji zaczęli od białego wina. „Żeby nam się lepiej zamawiało”, jak to określił Nigel. Następnie na stole pojawiły się dwie butelki czerwonego, odpowiedniego *do filet mignon* Teda. Isabel ledwie maczała usta w kieliszku, zdecydowana za wszelką cenę zachować panowanie nad sobą i nie upić się w środku dnia. Jednak Ted i Nigel bynajmniej nie mieli takich oporów.

Pili, jakby skosztowali alkoholu po raz pierwszy w życiu, w przerwach pochłaniając ilości jedzenia, którymi z powodzeniem można by wypchać niewielki materac. Isabel zadowolona się solą z grilla i sałata, oni natomiast wybrali dania do tego stopnia nafaszerowane cholesterolem, że równie dobrze mogłyby się nazywać: „Na zawał serca”.

- Nie cierpię wymysłów nowoczesnej kuchni, mikroskopijny kotlecik i dwa cholerne kartofle na wielkim półmisku - oznajmił Ted niepotrzebnie, wbijając krwisty kawałek mięsa na widelec. - Porządna irlandzka kuchnia, oto co lubię.

Do tego w dużej ilości, zauważyła Isabel. Na zakończenie Ted zamówił nieprzyzwoicie drogi portwajn do deski irlandzkich serów.

I Nigel, i on stanowili zajmujące towarzystwo, a od ich opowieści i anegdot można było boki zrywać ze śmiechu. Uwagi Isabel nie uszło jednak, że Nigel, choć jowialny i dobroniosny przy lunchu, nie jest człowiekiem, w którym chciałaby mieć wroga.

- To była sprawa roku, ba, nawet dekady - opowiadał gestykulując z przejęciem. - Biskup i jego dwoje wnucząt, o których istnieniu nikt nie miał pojęcia. Krążyły plotki, że w młodości miał córkę, ale pytany o to, zawsze mówił tylko: „Każdy popełnia błędy w młodości”. Nam tymczasem udało się odnaleźć tę córkę w Kanadzie. Miała dwóch synków - bliźniaków. - Pociągnął spory łyk porto.

- Te maluchy to skóra zdarta z biskupa. Przez pół roku pracowałem nad tą sprawą i już już mieliśmy wszystko wydrukować, kiedy ten skurczybyk Dick Morgan sprzątnął mi to sprzed nosa i wypuścił na pierwszej stronie „Ireland Today”. Przysięgłem, że mi za to zapłaci, i tak się stało.

Na twarzy Nigela zagościł błogi uśmiech. - Żona Morgana miała mały ro-mansik z moim starym kumplem. Już ja o to zadbałem, żeby dowiedział się o tym i Morgan, i każdy dziennikarz w Dublinie. Mało go szlag nie trafił.

- Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie - podsumował uroczyście Ted.

- Wypijmy za to - zaproponował Nigel ochoczo.

Nie ma chyba rzeczy, za którą by nie wypili, przemknęło Isabel przez głowę, ale posłusznie podniosła kieliszek.

Zanim przeszli do rzeczy, obiad się skończył.

- Było spore zainteresowanie tą posadą, uwierz mi - zaczął Ted, zapalając cygaro. - Ledwie

Antonia złożyła rezygnację, a już mieliśmy sześć zgłoszeń.

- Naprawdę? - fakt, że pokonała tylu rywali, mile polechtał próżność Isabel.

- To odpowiedzialna i bardzo ważna dla gazety praca - wyjaśnił Ted. - Dlatego też musieliśmy od razu znaleźć kogoś na jej miejsce. Słuchaj, głowiłem się, skąd wiedziałaś o wakacie? Nie było o tym powszechnie wiadomo. Zaimponowało mi tempo, z jakim się do nas zgłosiłaś, zwłaszcza że od lat przebywałaś za granicą. Masz chyba niezłe kontakty. - Uśmiechnął się przytomnie. Było oczywiste, że aż się skręca z ciekawości, kto z redakcji „Sentinela” dostarczał jej informacji.

Isabel nie odpowiedziała od razu. Jeśli uważają ją za dziennikarkę ciągle trzymającą rękę na pulsie, tym lepiej. Nigdy się nie dowiedzą, że o wakacie powiedział jej mąż kuzynki, agent handlu nieruchomości. Ani że wyciąganie dyskretnych szczegółów idzie jej tak fatalnie, że sekretarka dyrektora wie o niej wszystko, natomiast ona o niej - nie wie nic.

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- To tajemnica zawodowa, panowie. Ted parsknął śmiechem.

- Dasz im radę we wtorek - stwierdził z zadowoleniem.

Isabel uśmiechała się dalej; jeszcze chwila, a rozbolą ją policzki. Da sobie radę z kim? Zabrzmiało to złowroźnie.

- Widzisz - Ted wychylił porto do końca i niecierpliwie rozejrzał się za kelnerem. - Otrzymaliśmy sześć zgłoszeń. Ty byłaś jedyną osobą nie z branży i nie związaną z „Sentinelem”. Obaj z Nigelem uważamy, że gazecie dobrze zrobi zastrzyk świeżej krwi. Nie chcemy, żeby ludzie nam gnuśnieli, rozumiesz, a ostatnio właśnie do tego doszło. Jeszcze raz to samo! - zawołał do kelnera unosząc pusty kieliszek. - Tak więc, Isabel, sprzątnęłaś posadę sprzed nosa nieliczej grupce! Ale chyba o tym wiesz? Nie mogę się doczekać, aż zobaczę ich miny we wtorek rano, na zebraniu! - Zachichotał złośliwie.

Obaj z Nigelem zanieśli się gromkim śmiechem. Isabel nie bardzo rozumiała, co ich tak bawi, choć powoli zaczynała się domyślać. O stanowisko redaktora działu kobiecego ubiegało się pięciu dziennikarzy z „Sentinela”, a dostała je ona - osoba z zewnątrz. Co gorsza, Nigel nie pozwoli, by odrzuceni mogli w samotności uporać się z porażką. Właściwie prawdopodobnie w ogóle im nie powie, że im się nie udało. O nie, we wtorkowy rano przedstawi Isabel jako nowego redaktora działu kobiecego i będzie zacierał ręce, gdy zebrany opadną szczęki.

W oczach dziennikarzy wyjdzie na wtyczkę Teda i Nigela, kogoś, przy kim trzeba uważać na każde słowo. W co ona się do cholery wpakowała?

- Zmieniłam zdanie - zwróciła się do kelnera, który przyniósł dwa kieliszki portu. - Ja też proszę.

- Mamo, jesteś wspaniała! - wrzasnęła Naomi, kiedy się dowiedziała. Oprócz ciemnych

włosów i błękitnych oczu, odziedziczyła po ojcu również optymizm, pozbawiony jednak bez troski i filozofii „raz się żyje”.

Tańczyła i skakała po całej kuchni. Mocno objęła matkę w talii.

Dzięki ci Boże za Naomi, pomyślała Isabel po raz tysięczny od wyjazdu z Oxfordu.

- Cieszę się, że przynajmniej jedna osoba jest tego zdania. Twoja siostra w ogóle się do mnie nie odezwała dzisiaj rano. Ciągłe się dąsa, bo nie pozwoliłam jej iść na całonocną imprezę w piątek. A babcia jest na mnie wściekła, ponieważ powiedziałam, żeby się nie wtrącała w nie swoje sprawy.

- Nie przejmuj się nimi, mamó - Naomi zbyła je machnięciem ręki. - Zachowują się jak dzieci.

Isabel uśmiechnęła się pod nosem. Naomi miała rację. Tamte dwie sprawiały więcej kłopotów niż najmłodsza wiekiem domowniczka.

- Robin niedługo przejdzie. Po prostu szuka kozła ofiarnego.

- Wiem - Isabel westchnęła głośno. - Tylko zastanawiam się, czemu zawsze pada na mnie.

Pochyliła się nad kuchenką, gdzie na patelni szklily się posiekana cebula i czosnek. Szykowała prawdziwy sos prowansalski do kurczaka. Chciała w ten sposób uczcić dobrą wiadomość. Jeśli przypali cebulę i czosnek, z sosu będą nici. Było wpół do szóstej. Rozkoszowała się swoim sam na sam z Naomi. Pamela wybrała się na zakupy do centrum.

Jedną z głównych wad mieszkania z rodzicami było to, że praktycznie nie miała możliwości porozmawiać z córkami w cztery oczy. Co prawda Robin chyba to nie przeszkadzało. Godzinami przesiadywała u przyjaciółek. Rzekomo odrabiały razem prace domowe, choć Isabel podejrzewała, że jest to ostatnia rzecz, na którą poświęcają czas.

Jednak dobrze było pobyc trochę tylko z Naomi, zupełnie jak w Oxfordzie.

- Kiedy zaczynasz? - Naomi ściągnęła wytartą kurtkę dzinsową, spadek po Robin, i przycupnęła na taborecie.

- We wtorek. Jeszcze nawet nie widziałam redakcji, bo nie mieli czasu, żeby mnie oprowadzić. Gabinet dyrektora jest na innym piętrze. - Przemilczała fakt, że gdyby mieli pokazać jej redakcję, perfidny plan Nigela spaliłby na panewce.

- Będziesz miała własny gabinet? - dopytywała się Naomi.

- Nie, chyba nie. Nic o tym nie mówili.

Wysypała posiekane pomidory na patelnię. Rozległ się głośny syk.

- Znasz już innych dziennikarzy?

- Nie, jeszcze nie, ale...

Przerwało jej trzaśnięcie drzwi wejściowych. Donośny głos matki docierał nawet do kuchni.

- Dzięki Bogu, jesteśmy już w domu! Nie znoszę metra! Taki tłok, przepychanie! I ci okropni młodzi ludzie z walkmanami na uszach! Aż mnie głowa rozboleła od szumu ich słuchawek. I

nikomu nie ustąpią miejsca... Nie wiem, do czego to doprowadzi...

Isabel i Naomi wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Koniec błędnego spokoju. Naomi wybiegła z kuchni.

- Dzień dobry, babciu. Udały się zakupy? - zapytała niewinnym głosem, jakby nie słyszała przed chwilą głośnych narzekań. Isabel uśmiechnęła się pod nosem. Co za spryciula!

- W porządku, skarbie. - Pamela, jak większość ludzi, ulegała urokowi Naomi. - Gdzie mama?

- W kuchni, babciu. Nie mogła się doczekać twojego powrotu, chce z kimś porozmawiać, a ja prawie zanudziłam ją na śmierć.

Kiedy jej matka wmaszerowała do kuchni, Isabel stała na wszelki wypadek tyłem i ze wszystkich sił starała się nie parsknąć śmiechem.

- Dzień dobry, Isabel. Co gotujesz? - Pamela pociągnęła nosem.

Isabel przeszył dreszcz.

Było coś w tym, jak matka się do niej zwracała, co bezustannie przywodziło jej na myśl dzieciństwo. Nawet teraz wydawało się, że Pamela mówi do nieśmiałej dwunastolatki, a nie trzydziestodwuletniej matki dwóch córek. Pamela nie umiała nie wydawać rozkazów. Czasami Isabel spodziewała się usłyszeć, że ma natychmiast posprzątać w swoim pokoju i że nie wyjdzie z domu z makijażem na twarzy.

Jako przewodnicząca korporacji wygrywałyby niezliczone konkursy na businesswoman roku, jako niespełniona gospodyni była zwykłą złośnicą.

Isabel przywołała uśmiech na twarz, chyba po raz setny tego dnia, i odwróciła się w jej stronę.

- Mamo, jak się udały zakupy?

Pamela westchnęła ciężko. Odłożyła skórzaną torebkę na krzesło i sięgnęła po czajnik, odruchowo poprawiając idealną fryzurę.

- W sklepach sama tandeta. Nie wiem, czemu w ogóle zawracałam sobie głowę. A ojciec nie mógł za mną nadażyć, narzekał, że brak mu tchu i musi odpocząć. - Zachnęła się. - Dlatego wracamy tak późno. Co gotujesz? Pachnie jakoś dziwnie. Mam na dzisiaj kapustę z boczkiem.

Której nie lubi nikt prócz ciebie, dodała Isabel w myślach.

- To francuska potrawa, mamo. Naomi i Robin za nią przepadają. Ponieważ dzisiaj świętujemy, pomyślałam, że sprawię im przyjemność.

- Nie cierpię, kiedy dobre jedzenie się marnuje - matka boczyła się nadal. - Powinnaś była mi powiedzieć, że chcesz ugotować coś innego, Isabel. Jak zwykle nie myślisz, prawda?

Isabel puściła tę uwagę mimo uszu i skosztowała odrobinę sosu z drewnianej łyżki. Jeszcze trochę bazylii, odrobinę. Ale i tak jest pyszny. Wdychając aromatyczny zapach, przypomniała sobie, kiedy ostatnio przyrządziła tę potrawę: na urodziny Robin, w lutym. David podarował

małej kupon wartości pięćdziesięciu funtów do sklepu „Miss Selfridge’s”. Była wniebowzięta.

We czwórkę usiedli do stołu, ale Robin skończyła szybko. Chciała natychmiast zadzwonić do przyjaciółki i powiedzieć, że sukienka z fioletowego szyfonu, którą od dawna podziwiała na wystawie, nie będzie już tylko nieosiągalnym marzeniem.

- Zaraz wracam, wiem, że upiekłaś tort urodzinowy, mamó - zawołała i uściskała Isabel serdecznie, zanim wybiegła.

Isabel nie pamiętała, kiedy ostatnio Robin była tak wylewna. I to ją najbardziej bolało. Kiedyś córka była najbardziej prostolinijnym, serdecznym dzieciakiem, jakiego można sobie wyobrazić. Teraz chodziła wiecznie naburmuszona, nigdy się nie przytulała, nawet w czasie kłótni, które zdarzały się często, okazywała niewiele emocji.

Isabel wyrwało się westchnienie. Tyle się zmieniło.

- A co świętujemy? - zainteresowała się matka. Starannie złożyła ścierkę, którą Isabel niedbale rzuciła na zlew.

- Dostałam posadę w „Sentinelu”, mamó.

- Czyżby?

- Owszem. Nie musisz być taka złośliwa. - Isabel pochyliła się nad piekarnikiem.

- Nie jestem złośliwa, tylko zaskoczona, że tak szybko cię powiadomili. Nie mieli innych kandydatów?

Nie denerwuj się, Isabel. Zachowaj spokój.

- Pewnie, że mieli, ale znali wszystkich innych i zdecydowali się właśnie na mnie. Zaczynam we wtorek i już się nie mogę doczekać.

- Gratuluję - odezwał się ojciec od progu.

Isabel nawet nie zauważyła, kiedy wszedł do kuchni. Zazwyczaj omijał to miejsce szerokim łukiem, jako terytorium żony.

- Dziękuję, tato - uśmiechnęła się ciepło. Dlaczego matka tego nie powiedziała?

- Pamela, oto twoje tabletki od bólu głowy - podał żonie niewielką buteleczkę.

- Tato, kupiłam butelkę wina - oznajmiła Isabel. - Stoi na parapecie. Otwórz ją, napijemy się po kieliszku, zanim jedzenie będzie gotowe. - I zanim zamorduję matkę gołymi rękami.

- Dla mnie sherry, Harry - wtrąciła się Pamela. - Wiesz, że nie mogę pić wina, kiedy mnie boli głowa. Od tego czuję się jeszcze gorzej, o czym ty również powinnaś wiedzieć, Isabel - zakończyła z wyrzutem.

Tym więcej zostanie dla mnie, skomentowała Isabel w myśli. Nie wspomniała o drugiej butelce. Przyda się, jeśli rodzinny posiłek u Mullheamów okaże się równie okropny jak zazwyczaj.

Szklaneczka sherry nie wystarczy, by ułagodzić Pamelę.

- Mam nadzieję, że nie podpisałaś takiej umowy, według której mogą cię wylać po pół roku? Jakiś prawnik powinien rzucić na to okiem, Isabel. Ty w ogóle się nie znasz na tych sprawach. Mogłabyś poprosić tego miłego przyjaciela Luke[^], ma teraz własną kancelarię - poradziła Pamela. - Na pewno nie zażąda od ciebie dużo, biorąc pod uwagę okoliczności. Chyba ci zaproponowali godziwą pensję? Jak by nie było, porzucona kobieta z dwójką dzieci...

- Mamo, nie jestem porzuconą kobietą. Odeszłam od męża. To nie David mnie zostawił, tylko ja jego. To różnica, znacząca różnica. I nieprawda, że się „w ogóle nie znam na tych sprawach”. Skąd do cholery, twoim zdaniem, miałam dwie posady w Anglii? Zatrudnili mnie z litości czy co?

- Nie unosz się honorem, Isabel.

- Nie unoszę się. - Ale ręce jej drżały, gdy wylewała sos pomidorowy na kurczaka. Uspokój się, poleciła sobie. - Dostanę bardzo przyzwoitą pensję, co jednak nie ma żadnego związku z moją sytuacją. Spraw finansowych nie rozwiązuje się w ten sposób, mammo, bo wtedy na świecie nie byłoby żadnych biedaków.

- Cóż, Isabel, sama nie wiem. To okropne, że teraz musisz sama utrzymać dziewczynki. Nie żeby David był odpowiednim dla nich ojcem, ale przynajmniej trochę zarabiał. - Zamilkła, żeby napić się sherry. - Poza tym, nie liczysz chyba, że w twoim wieku jeszcze kogoś poznasz, prawda? Właśnie dzisiaj rozmawiałam z twoją ciotką Janet. Wyobraź sobie, Annette znowu zerwała ze swoim chłopakiem, co mnie zresztą wcale nie dziwi. Jeśli do trzydziestu pięciu lat kobieta nie wyszła za mąż, jest bez szans.

- Proszę. - Ojciec podsunął Isabel pod nos kieliszek napełniony po same brzegi.

- Dziękuję, tato.

- Napij się. - W jego wzroku błysnęły iskierki współczucia i zrozumienia.

Co tam, napij się. Isabel pociągnęła spory haust i skrzywiła się gwałtownie.

Z całą pewnością nie było to najlepsze wino, jakie zdarzyło się jej pić. Niestety, miała tak mało pieniędzy, że nie pozwoliłaby sobie na nic droższego niż pięć funtów za butelkę. David znał się na winach i zawsze kupował coś dobrego, nawet za niewygórowaną cenę, ona jednak nigdy się tego nie nauczyła. Cóż, wszystko przed nią. Już nie potrzebuje Davida.

- Jedzenie będzie za pół godziny - oznajmiła. Postanowiła, że w żadnym wypadku nie da się wyprowadzić z równowagi. - Mamo, odpocznij dzisiaj. Naomi pomoże mi nakryć do stołu.

Pamela uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Padam z nóg - przyznała. - Chyba się położę na chwileczkę.

- Bardzo dobrze.

Ledwie została sama, Isabel porwała ze stołu gazetę, którą zostawił tam ojciec. Kartkowała ją nerwowo, aż znalazła dział ogłoszeń. Mały czy duży, siedlisko nietoperzy czy pomalowany na

kanarkową żółć - nieważne, jaki dom kupi, byle wyrwać się od matki.

Kolacja okazała się kląpą. Po pierwsze, Robin spóźniła się pół godziny. O wpół do siódmej kurczak uległ częściowej kremacji, więc Isabel nie chciała czekać dłużej. W myślach przeklinała córkę za spóźnienie.

- Przecież mówiłam, że mam trening siatkówki - zaczęła Robin, zobaczywszy gniewny wzrok matki, kiedy tylko weszła do kuchni. Koński ogon dziewczyny wyglądał równie świeżo i delikatnie co rano, po półgodzinnej sesji w łazience z suszarką. Nie przypominała osoby, która przez ostatnią godzinę uganiała się po boisku, ale Isabel wolała milczeć. Nie miała siły na następną kłótnię.

Pamela nie skomentowała, do tego stopnia absorbowano ją grzebanie widelcem w talerzu. Jej mina wyraźnie mówiła, co sądzi na temat wysuszonego kurczaka po prowansalsku. Nie umywał się do kapusty z bekonem.

- Robin, przecież to twoje ulubione danie - zachęcała siostrę Naomi. Usłużnie odsunęła jej krzesło.

Nastolatka usiadła z pochmurną miną.

- Nie jestem głodna - stwierdziła.

- Mama dostała pracę - poinformowała Naomi.

- Miałam nadzieję, że się ucieszysz - rzuciła sucho Isabel. Robin zawstydzona się wyraźnie.

- To świetnie, mamo - powiedziała. - Naprawdę super.

Isabel z uśmiechem nałożyła jej na talerz małą porcję kurczaka i pieczonych ziemniaków. Robin spojrzała na mięso takim samym wzrokiem jak wcześniej babka.

- Przygotowałam tego kurczaka specjalnie dla ciebie, skarbie - zachęcała Isabel. - Niestety, mięso strasznie wyschło.

- Nie chce mi się wierzyć, że to zrobiłaś! - Głos Robin był nienaturalnie wysoki. - To ulubione danie taty. Wiesz, kiedy ostatnio to jedliśmy - w moje urodziny. Jak mogłaś?

Odepchnęła talerz od siebie i z płaczem wybiegła z kuchni.

- Nie zwracaj na nią uwagi - Isabel poczuła na ramieniu rękę ojca. - Wiesz, jakie są nastolatki. Pamiętam cię w jej wieku. - Poklepał ją czule. - Byłaś nieznośna.

- Wstyd, i tyle! - Pamela skorzystała z okazji, by odsunąć nietkniętą kolację. - Rozpuściłaś ją. Zapamiętaj sobie moje słowa. Będziesz jeszcze miała kłopoty z tą dziewczyną. Jest krnąbrna i...

- Daj spokój, Pamelu.

Podniesiony głos Harry'ego Mullhearna zaszokował wszystkich. Isabel nie pamiętała, kiedy ostatnio się czymś zdenerwował.

- Przecież to tylko zagubiona nastolatka. Niepotrzebne jej twoje rady. Pamelu, niech Isabel sama rozwiązuje problemy swojej rodziny.

Rozwścieczona Pamela przypuściła kolejny atak.

- Nie pozwalam na takie zachowanie w moim domu. Przyjęłam Isabel i dziewczynki z otwartymi ramionami i proszę, jak jestem traktowana. Ta dziewczyna wywiera fatalny wpływ. Jest niewy chowana i samolubna. Sama nie wiem, czemu to toleruję.

Isabel ciągle stała. Uniosła dłonie do skroni. Miała ochotę zakryć uszy, żeby nigdy więcej nie słyszeć wrzasków i utyskiwań. Chciałaby zakopać się pościeli, nakryć głowę poduszką, a potem obudzić się i stwierdzić, że to był tylko koszmarny sen.

Wstanie ze swojego wygodnego łóżka w domu w Oxfordzie. Przez uchylone okno dotrze do niej zapach kwiatów z ogródka, słońce będzie się sączyło przez jasnozielone zasłony. Robin nuci jakąś piosenkę i starannie nakłada skromny makijaż, na który pozwalają w szkole. Naomi stara się jak najdłużej zostać w łóżku, a David właśnie wchodzi do sypialni z filiżanką herbaty dla Isabel...

Nie, to nie sen, to nierealne marzenie. David nigdy nie zaparzył jej herbaty, ani razu. Zawsze to ona szykowała mu posiłki, nie odwrotnie.

Pamela nadal mamrotała, teraz już cicho, pod nosem.

- Mamo, jak się czujesz? - Naomi przyglądała się jej niespokojnie. Miała łzy w oczach.

- Kochanie. - Isabel objęła ją mocno. To nie fair wobec Naomi. Choćby się waliło i paliło, muszą się stąd wyprowadzić.

- Wszystko będzie dobrze, skarbie - oparła podbródek na głowie córki. - Obiecuję. W weekend pojedziemy szukać domu - szepnęła. - To będzie nasza tajemnica, twoja i moja, dobrze?

5.

Dee skręciła na parking przed redakcją „Sentinela” i podjechała do miejsca w rogu, gdzie zazwyczaj zostawiała samochód, o ile zjawiła się dość wcześnie. Niestety tego ranka stał tam już sfatygowany zielony volkswagen na angielskiej rejestracji. Cholera! Lało jak z cebra. Ostatnie wolne miejsce było koło budki strażnika. Dalej od wejścia nie dałoby się zaparkować! Zanim dojdzie do drzwi, przemoknie do suchej nitki. A ma się rozumieć nie wzięła parasola.

- Dobrze ci w takiej fryzurze - zauważył jeden z fotografów, gdy zdyszana Dee wpadła do recepcji.

- Bardzo śmieszne - prychnęła i pobiegła do łazienki chcąc się przekonać, czy szkody na głowie da się jakoś naprawić. Nieważne, ile lakieru zużyła rano - wystarczy kilka kropel deszczu i pieczołowicie ułożona fryzura zmieniała się w kopę brudnego siana.

Przetrzęsała akurat zawartość przepastnej torby w poszukiwaniu grzebienia i małej buteleczki lakieru, kiedy usłyszała szum spuszczonej wody. Po chwili drzwi kabiny otworzyły się i wyszła z niej wysoka, szczupła blondynka. Była wyższa od Dee i o mniej więcej dwadzieścia kilo lżejsza, miała ładne, delikatne rysy, duże niebieskie oczy i kształtne usta. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Cześć - powiedziała. Nerwowo zerknęła w lustro, zanim pochyliła się nad umywalką. Mężatka, domyśliła się Dee widząc na jej palcu wąską złotą obrączkę i staroświecki pierścionek z brylantem. Do tego zamożna. Beżowy garnitur kosztował co najmniej trzysta funtów, a takich pantofelków i torebki z kremowego zamszu nie dostanie się w domu towarowym. Co więcej, jej fryzurze deszcz nie wyrządził najmniejszej szkody. Dee zrezygnowanym gestem poprawiła ciężkie loki. Z zazdrością przyglądała się jasnym włosom nieznajomej - każdy najmniejszy kosmyk na swoim miejscu.

- Okropna pogoda, prawda? - Kobieta znowu uśmiechnęła się nieśmiało.

- Owszem. - Dee zastanowiło, dlaczego komuś tak eleganckiemu i szczupłemu może brakować pewności siebie.

- Oczywiście zapomniałam cholernego parasola - rzuciła, chcąc nieco rozluźnić nieznajomą. Może to kandydatka na stanowisko sekretarki do działu reklamowego, przyszło jej do głowy. Biedactwo, wygląda na zbyt delikatną, by dać sobie radę z rubasznymi dowcipami w tamtym dziale. Blondynka wyjęła kontu-rówkę i drżącą ręką poprawiła zarys ust. Boże, ależ się denerwuje.

Dee postanowiła spełnić dobry uczynek.

- Piękny garnitur - powiedziała uprzejmie. - Gdzie go kupiłaś?

- Dziękuję. - Uśmiech rozjaśnił całą twarz nieznajomej. - Na wyprzedży w małym butik w Oxfordzie, jakieś dwa lata temu. To mój ulubiony sklep... to był mój ulubiony sklep.

Przeprowadziłam się niedawno i chyba już tam nie wrócę - zakończyła smutno.

- Aha. - Dee wyczuła, że poruszyła niewłaściwy temat. - W każdym razie jest śliczny. Ciągłe szukam fajnych rzeczy do pracy, ale i tak zawsze kupuję nudne czarne ciuchy, jak to. - Ze śmiechem wskazała na swój czarny aksamitny żakiet, czarną spódniczkę mini i bluzkę z kremowej koronki. Tego ranka wydała się sobie tak monstrualnie wielka, że postanowiła ubrać się na tyle wyzywająco, aby nikt nie zwrócił uwagi na jej tuszę. Nie poskapiła makijażu, a w uszach zawiesiła ulubione długie kolczyki. Miała nadzieję że osiągnęła zamierzony efekt.

- Do twarzy ci w czarnym - zaprotestowała blondynka. - Przy twoich włosach wyglądasz w czerni doskonale, a ja - jak wypłowiwała mysz.

- Dzięki. - Komplement bardzo ucieszył Dee. Doskonale, no cóż. Przy śniadaniu Gary był zbyt pochłonięty gazetą, by zwrócić uwagę, co Dee ma na sobie, co zresztą nie wydarzyło się po raz pierwszy.

Westchnęła. Może dobrze im zrobi weekend we dwoje. Tak, to jest to! Weźmie dzisiaj prospekty i przejrzą je razem.

- Do zobaczenia. - Nieznajoma uśmiechnęła się z wahaniem.

- Cześć - odparła Dee. -1 powodzenia.

Isabel uśmiechała się nadal idąc do gabinetu Teda Holta. Czego właściwie się obawiała? Kobieta w toalecie była miła, wbrew jej najgorszym obawom.

Była prawie pewna, że to Dee O'Reilly, bo dzień wcześniej widziała jej zdjęcie w gazecie. Ale biało-czarna fotografia nie oddawała jej urody, jej niepowtarzalnego kolorytu. W rzeczywistości Dee wyglądała dużo lepiej. Była bardzo atrakcyjna ze swoją jasną, mleczną karnacją, piegami i ciemnymi oczyma. Miała też wprost niewiarygodne włosy. Isabel oddałaby dużo za taką burzę ciężkich, gęstych loków. Co prawda Dee nie była szczupła, ale to najwyraźniej jej nie przeszkadzało. Miała doskonały gust, była bardzo atrakcyjna i wręcz tryskała pewnością siebie. Szkoda, że tak niewiele kobiet o bujniejszych kształtach zachowuje się jak ona, przeszło Isabel przez głowę. Jasne! Doskonały pomysł na pierwszy reportaż o modzie - ubrania dla kobiet, które noszą rozmiar szesnaście albo większy.

Zadowolona, że dodaje kolejny pomysł do swojej listy, Isabel zatrzymała się na sekundę, zanim weszła do sekretariatu Teda. Upewniwszy się, że na korytarzu nikogo nie ma, jednym szybkim ruchem poprawiła sobie stanik. W porządku. Co prawda Dolly Parton i tak nie dorówna, ale specjalny biustonosz z wszytymi po-duszeczkami nie zaszkodzi.

Oby brązowy puder nie osypał się na żakiet.

Ted i Nigel na nią czekali. Nigel zrezygnował z marynarki, którą miał na rozmowie kwalifikacyjnej, na rzecz jadowniczej zielonej koszuli i czarnych, lekko błyszczących spodni. Ted

natomiast założył szary garnitur w prążki i lustrował Isabel małymi świńskimi oczkami.

- Gotowa? - zapytał Nigel. Sięgnął do kieszeni po papierosa i zapalił go wprawnym ruchem doświadczonego palacza.

- Gotowa. - Prawie. Dużo czasu upłynęło, odkąd ostatni raz przebywała w redakcji dziennika. Hałas i gwar uderzyły ją, zaledwie Nigel otworzył szerokie drzwi. Weszli do wielkiej hali, zajmującej całe piętro budynku, która tętniła życiem. Dziennikarze rozmawiali przez telefon, przeglądali dokumenty, zaciekle walili w klawisze komputerów.

Naprzeciwległej ścianie szumiały dwa wielkie ekrany telewizyjne. Na jednym cały czas leciały wiadomości CNN, na drugim widniała telegazeta. Z rogu pomieszczenia dobiegł ich głośny śmiech. Isabel ledwie widziała rozbawioną grupkę.

Nieliczni odrywali się od pracy i ciekawie zerkali na Isabel, jednak większość nie zwracała na nich uwagi. Wszyscy byli pochłonięci rozmowami albo pisaniem. Poczowała, jak nogi się pod nią uginają. Tyle czasu minęło, dokąd pracowała w dzienniku, tyle czasu, odkąd stanowiła część szalonego świata, którego hasłem przewodnim jest zdążyć z tekstem przed terminem.

Sądząc po ilości biurek, tylko w tej redakcji pracowało około sześćdziesięciu osób. Bóg jeden wie, ilu jest w innych częściach. „Sentinel” nie sprawiał wrażenia miejsca, gdzie poznaje się przyjaciół na resztę życia. Całkowite przeciwieństwo poprzedniej posady Isabel, gdzie w malutkiej redakcji wszyscy wiedzieli wszystko o wszystkich.

- To pomieszczenie to serce naszej gazety - wyjaśnił Nigel. - Nie ma tu wielu poszczególnych działów na różnych piętrach. Wolę mieć oko na całość, więc wszystkie działy są tutaj, tuż pod moim nosem. Tylko fotografowie są w piwnicy. A to mój gabinet. - Otworzył drzwi i oczom Isabel ukazało się przede wszystkim wielkie biurko. Ściany poźółkły od nikotyny, powietrze śmierdziało starym dymem papierosowym. Wszędzie: na podłodze, na ławie i na kanapie piętrzyły się stosy gazet.

Na biurku poniewierały się karteczki z numerami telefonów, zgniecione w kulki faksy i długopisy.

- Usiądźmy. - Nigel opadł na fotel za biurkiem.

Isabel ostrożnie przesunęła plik gazet i przycupnęła na kanapie. Uspokój się, nakazała sobie. Zdobyłaś wspaniałą posadę, więc nie panikuj teraz. Pomyśl o Robin i Naomi - robisz to także dla nich. Ze względu na dziewczynki musisz znaleźć dom.

Nigel przeglądał kartki przy telefonie.

- Jezu, popatrz na to! - wrzasnął, wymachując faksem. - Zdaniem prawników nie mamy nawet cienia szansy wykręcić się przeprosinami w tej sprawie, gdzie błędnie wymieniliśmy gościa jako fałszerza pieniędzy. Zabiję idiotę, który zmienił mu inicjały. Smyth P. Mitchell stał się Smythem P. J. Mitchellem - wytłumaczył Isabel. - Smyth P. J. nie był zachwycony, kiedy w zeszłym tygodniu zobaczył swoje nazwisko na pierwszej stronie gazety. Oskubie nas do czysta -

dodał pod adresem Teda.

Ted usiadł z głośnym westchnieniem.

- Miałeś porozmawiać z Mahonem.

- Redaktor działu informacyjnego - wyjaśnienie Nigela było przeznaczone dla Isabel.

- Jeśli tak dalej pójdzie, niedługo były redaktor działu informacyjnego - poprawił Ted. - Przy następnym pozwie będzie bulił odszkodowanie z własnej kieszeni. Może wtedy zaczniesz bardziej uważać. Nie możemy sobie pozwolić na głośny proces, nie teraz.

- Nigel - rozległ się kobiecy głos w interkomie - telefon do ciebie na drugiej linii.

- Oddzwonię, jestem zajęty! - burknął.

- To Simon Walsh. Twierdzi, że pilne.

- Mam zebranie.

- Chce usłyszeć odpowiedź natychmiast.

- Oddzwonię o dwunastej.

- Dobrze.

- Głupia suka, nigdy nie wie, kiedy może mi przeszkadzać, a kiedy nie - burknął.

Przemily facet, przemknęło Isabel przez głowę. Starła się nie dać nic po sobie poznać. Przebywała tu zaledwie od dziesięciu minut, a naczelny i dyrektor zdążyli już skrytykować dwie osoby w jej obecności. Nigel wręczył jej i Tedowi po pokaznym pliku kartek.

- Oto lista tematów na zebranie redakcji - oznajmił. - Ściągnę wszystkich do sali konferencyjnej. Za pół godziny, tuż przed końcem, będziecie mieli wielkie wejście. - Uśmiechnął się złośliwie. - Narobimy trochę zamieszania.

Isabel nawet nie siłowała się na uśmiech. Pobieźnie przeglądała plan, ale nie mogła się na niczym skupić. Czekał ją istny horror - miała stanąć oko w oko z ludźmi, którzy ubiegali się o jej stanowisko.

Uporałaby się z tym, gdyby nie zaczęło kiełkować w niej podejrzenie, że prawdziwym powodem wybrania właśnie jej było, jak to ujął Nigel, „narobienie zamieszania”.

- Dzisiaj porozmawiam z Nigelem. Antonia zostaje tylko do końca tygodnia. Koniecznie potrzebujemy nowego redaktora działu kobiecego, czyli, mam nadzieję, mnie. Co ty na to? - Dee przysiadła na biurku Maeve i niespokojnie spojrzała na przyjaciółkę. - Odchodzę od zmysłów, wyobrażając sobie, co o mnie myśli. Jeśli do tej pory ze mną nie rozmawiał, to dobry czy zły znak?

Maeve skończyła pisać i odwróciła się na krześle.

Tego dnia miała na sobie luźny, krwistoczerwony sweter, usta pomalowała taką szminką. Ani jedno, ani drugie nie pasowało do jej bladej cery i krótkich włosów w kolorze burgunda.

Czasami Dee miała ochotę wziąć przyjaciółkę na bok i zaproponować całkowitą zmianę stylu. Zaczęłyby od wyrzucenia całej zawartości szafy Maeve. Za żadne skarby świata jednak nie sprawiłaby jej przykrości, a dawanie komuś do zrozumienia, że za grosz nie ma gustu, byłoby bardzo przykre. Będzie więc dalej kupowała Maeve jasne pastelowe sweterki na urodziny i Gwiazdkę i modliła się, żeby przyjaciółka pewnego dnia przejrzała na oczy.

- Jeśli chodzi o Nigela, wszystko jest złym znakiem: i to, że z tobą nie rozmawiał, i gdyby coś o tobie wspomniał - stwierdziła. - Dee, wiesz doskonale, że uwielbia gierki. Ty czekasz, a on kombinuje, komu dać stanowisko Antonii - to dla niego wielka frajda. - Wyjęła z szuflady paczkę papierosów i zapalniczkę. - Idę o zakład, że w tej chwili myśli intensywnie, kogo mianować redaktorem działu kobiecego, żeby zagrać na nerwach jak największej liczbie osób.

Dee westchnęła głośno. Maeve pewnie ma rację. Przy Nigelu Machiavelli wydawał się niewinny jak baranek. Naczelny uwielbiał wbijać ludziom nóż w plecy. Maeve wstała.

- Chodź, muszę zapalić przed zebraniem.

Choć oficjalnie w całym budynku obowiązywał zakaz palenia, zatwardziali palacze jak Maeve palili w toaletach albo, o ile nikt ich nie przyłapał, na korytarzu przy sali konferencyjnej.

Stały przy otwartym oknie. Maeve zaciągała się dymem, a Dee myślała intensywnie. Cholerny Nigel. Dlaczego nie powie jej szczerze, czy w ogóle traktuje poważnie jej kandydaturę? Przez to oczekiwanie nabawi się wrzodów żołądka. Złożyła swoje podanie przed kilkoma dniami. Ile czasu zajmie mu ułożenie listy kandydatów? Miesiąc?

Nigel kroczył korytarzem pogwizdując wesoło. Wydawał się bardzo z siebie zadowolony.

- Cześć, dziewczynki - skinął im głową i wszedł do sali konferencyjnej.

Dziewczynki! Dee nie cierpiała, kiedy się tak do niej zwracał. Są kobietami, nie dziewczynkami. Ile jego zdaniem trzeba mieć lat, żeby być kobietą? Pięćdziesiąt?

- Wydaje się w doskonałym humorze - mruknęła Maeve pod nosem.

Miała rację. Ale co go wprowadziło w taki nastrój, głowiła się Dee. Zastanawiała się dalej pięć minut później, kiedy naczelny skończył się pastwić nad Maho-nem i Henrym, niefortunnym autorze tekstu o fałszerzu z dodatkowym inicjałem.

Dee wierciła się niespokojnie. Raz po raz otwierała i zamykała swój notatnik. Z trudem powstrzymała ochotę, by zacząć bazgrać, lecz Nigel czuł wyjątkową niechęć do ludzi, którzy nie słuchali uważnie tego, co mówi, czy raczej - wrzeszczy.

Bazgranie było oczywistym dowodem braku skupienia. Za karę pisało się koszmarnie teksty o inwazji szczurów. Trzeba było wtedy godzinami wysłuchiwać skarg mieszkańców i ich utyskiwań na brak reakcji ze strony władz lokalnych. Fotografowie, którzy podpadli Nigelowi, również byli odsyłani do szczurów, z tym, że oni byli w jeszcze gorszej sytuacji - mieli zdobyć zdjęcie zwierzęcia. Jeden z reporterów utrzymywał, że zna fotografa, który wyłącznie w tym celu

trzyma w zamrażarce martwego szczura.

Naczelný skończył rozszarpywać biednego Henry'ego i uśmiechnął się. Dee poruszyła się niespokojnie. Wydatki - tu jest pies pogrzebany. Zgłaszali zbyt duże koszty i Nigel zaraz ich skarci. Przepadał za wymyślaniem ludziom.

On tymczasem nie powiedział ani słowa o wydatkach. Omawiał po kolei wszystkie punkty, jak zwykle krzyczał i warczał. Cały zespół redakcyjny dowiedział się po raz kolejny, że są do niczego, że brak im kompetencji, inteligencji i zapału, i że wylecą z pracy na zbity pysk, jeśli w najbliższym czasie nie spłodzą doskonałych tekstów, które da się wydrukować nie narażając się na zbyt wiele procesów o zniesławienie. Innymi słowy, wszystko jak zwykle.

Dziwne było jedynie to, że ani Nigel, ani Mahoń nie przydzielili Dee żadnych tematów. Nie pojmowała dlaczego, dopóki nie dostrzegła w tym promyka nadziei. A może Nigel mimo wszystko zaproponuje jej stanowisko Antonii? Dlatego nie dają mi innych zadań, wytłumaczyła sobie radośnie. W końcu, po sześciu latach, mnie docenili!

Korciło ją, by zaraz podzielić się tą obserwacją z Maeve, ale się powstrzymała. Jeszcze może się mylić. Jednak przez resztę zebrania była w szampańskim humorze.

Oczyrna wyobraźni widziała już, jak mówi Gary'emu. Ciągłe się złościł, że w dziale informacyjnym Dee pracuje do późna. Teraz będzie zachwycony. A jej rodzice? Będzie pierwszą z O'Reillych, która nie dość, że skończyła studia, to w wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat dostała kierownicze stanowisko! Dee przypomniała sobie, jacy dumni i szczęśliwi byli rodzice, kiedy dostała pierwszą pracę jako dziennikarka. No, niech tylko się teraz dowiedzą!

Po zebraniu Nigel nie pożegnał dziennikarzy swoim zwykłym: „Do roboty! Teksty nie napiszą się same, kiedy siedzicie beczynnie na tyłkach!” Zamiast tego otworzył drzwi i wprowadził dyrektora w towarzystwie wysokiej szczupłej blondynki, którą Dee widziała wcześniej w toalecie.

Kobieta uśmiechnęła się niepewnie do trzydziestu osób przy stole i szybko usiadła obok Nigela.

- Albo nam powie, że nakład idzie w górę, co tłumaczyłoby obecność Holta, albo wytłumaczy, że muszą oszczędzać i musimy ponownie przedyskutować ostatnie umowy płacowe. A blondynka to księgowa, poprze ich liczbami - szepnęła Maeve.

Belinda, dziewczyna od kroniki towarzyskiej, jęknęła głośno słysząc te słowa. Właśnie kupiła sobie nieprzyzwoicie drogą bluzkę.

- Nie wygląda mi na księgową. - Tony, szef działu sportowego, z uznaniem pokręcił głową. - A jeśli nią jest, chciałbym, żeby prowadziła moje księgi.

- Moje też - zawtórował ktoś z działu informacyjnego.

- Idę o zakład, że to wtyczka. Będzie obserwowała, ile czasu zajmuje nam pisanie artykułów

w przerwach między parzeniem kawy. A wam, chłopcy, niepotrzebna księgowa - szepnęła Dee. Była w siódmym niebie. Żadna księgowa, żadna wtyczka nie popsuje jej humoru. - Jeśli zresztą chcecie, ja poprowadzę waszą księgowość - dodała ze śmiechem. -1 to od ręki: wszystkie pieniądze przepuszczacie w pubie. Należy się dwieście funtów, płatne gotówką albo kartą, przyjmuję też czeki.

- Doskonale, Dee. Ja też chciałbym...

- Ćśś - syknął ktoś.

Umilkli. Szef działu informacyjnego nerwowo bawił się krawatem. I dobrze mu tak, pomyślała Dee zawzięcie. Gdyby nie zmuszał ich do pisania kilku tekstów dziennie, biedny Henry nie strzeliłby tej gafy z inicjałem. Był po prostu przepracowany, jak wszyscy w dziale. A za ich błędy przyjdzie gazecie słono zapłacić.

- Dzień dobry - odezwał się Ted Holt. Rozglądał się z bardzo zadowoloną miną, jak Salomon przed wygłoszeniem bardzo mądrego wyroku. - Wybaczcie, że tak wpadam na zebranie redakcyjne, jednak chciałbym wam kogoś przedstawić.

Maeve i Dee wymieniły znaczące spojrzenia.

- Księgowa - szepnęła Maeve.

- Wtyczka - odpowiedziała Dee.

- Jak wam wszystkim wiadomo... - zaczął uroczyście Ted.

Dee wzniosła oczy do nieba. Będą tu siedzieć cały dzień, jeśli Holt ma zamiar wygłosić jedno ze swoich kazań.

-.. Jedna z naszych redaktorek opuszcza „Sentinela”. Będzie nam jej bardzo brakowało.

Dee oprzytomniała w jednej chwili. Co się dzieje? Ostatnią rzeczą, jakiej by się spodziewała po Tedzie, było pożegnalne przyjęcie dla Antonii. Zgodnie z jego filozofią ten, kto odchodził, przestawał istnieć, zatem nie warto w niego inwestować i wydawać pieniędzy na pożegnania. Nie, to nie to.

W grę wchodziła tylko jedna alternatywa: zaraz ogłosi, kto ją zastąpi. Nie, nie zrobi tego, błagam, Boże!

- Jednak my w „Sentinelu”, kujemy żelazo póki gorące. Chciałbym przedstawić wam...

Panie Jezu, a jednak!

- ...Isabel Farrell, nową szefową działu kobiecego. - Wskazał dłonią kobietę siedzącą obok niego. - Isabel, wstań i przywitaj się ze wszystkimi.

Isabel podniosła się powoli. Nie czas na zdenerwowanie, już nie. Dostała tę pracę i koniec. Nie może się wycofać, ziemia się pod nianie rozstąpi, w każdym razie nie wcześniej niż dopadną ją rozczarowani kandydaci na jej posadę. Musi wykonać pierwszy ruch.

Kiedy tak stała i patrzyła na zaciekawione twarze - pewnie wszyscy się zastanawiają, czy jest

wtyczką szefostwa - poczuła nagły przypływ odwagi.

Poradzi sobie z pracą, nie miała co do tego wątpliwości. Była dobra w swoim fachu, zawsze doskonale układały się jej kontakty z podwładnymi. Miała głowę pełną nowych pomysłów, brakowało jej jedynie pewności siebie, by przeforsować swoje zdanie. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Bardzo się cieszę, że mogę was poznać - zaczęła. Celowo obniżyła głos o jeden ton, żeby ukryć zdenerwowanie. - Pewnie się zastanawiacie, skąd się wzięłam i dlaczego mnie nie znacie. Przez ostatnie dziesięć lat mieszkałam w Anglii, gdzie pracowałam głównie w magazynach kobiecych. Przez pięć lat byłam zastępcą redaktora naczelnego „Today ‘s Woman”.

Przerwała. Kątem oka dostrzegła kasztanowe loki. To Dee O'Reilly. Rozmawiała szeptem z bardzo szczupłą kobietą o krótkich, niemal fioletowych włosach. Żadna z nich nie patrzyła na Isabel.

Z tego co wiedziała, Dee była doskonałą reporterką. Nowa redaktor działu kobiecego obchodziła ją prawdopodobnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Ludzie z działu informacyjnego zazwyczaj uważali swoją część gazety za najważniejszą, ich zdaniem dział kobiecy i reportażu stanowiły jedynie marny dodatek. Isabel podjęła urwany wątek mowy, którą szlifowała przez cały weekend.

- Na dobre wróciłam do Irlandii. Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę mogąc pracować w dzienniku tej klasy i w tak wspaniałym towarzystwie. Zapewne nieco czasu upłynie, zanim poznam was wszystkich. - Tu posłała im ciepły uśmiech. - Ale wierzę, że będzie nam się razem doskonale pracowało.

Jeszcze jeden uśmiech i mogła usiąść. Serce jej waliło jak po długim biegu. Dzięki Bogu, już po wszystkim. Redagowanie działu kobiecego to pestka w porównaniu z tym, co właśnie przeżyła: stanęła oko w oko z tłumem nieznanym.

- Świąte słowa! - krzyknął Nigel. Wstał, poklepał japo plecach. - Jak widzicie, Isabel stanowi doskonale uzupełnienie naszej załogi. Później przedstawię jej was wszystkich po kolei. Najpierw jednak, co powiecie na lampkę szampana, żeby uczcić nową redaktor działu kobiecego?

Dee patrzyła z niedowierzaniem, jak Sheila, sekretarka Nigela, bezceremonialnie stawia na stole plastikowe kubeczki i cztery butelki wina musującego.

- Nie upijemy się tym, to pewne - szepnęła do Maeve. - Cztery marne butelki! Co za skąpcy!

Kiedy wszyscy mieli już po mniej więcej centymetrze wina na dnie kubków, Nigel wzniosł entuzjastyczny toast: - Na zdrowie!

- Sukinsyn! - syknęła Dee. - Co za sukinsyn. Mógł nam przynajmniej powiedzieć. Okazać choć tyle szacunku, o to mi chodzi. - Aż poczerwieniała ze złości. - Przed zebraniem rozmawiałam z tą babą w łazience. Na Boga, ależ byłam dla niej miła! Idę o zakład, że wiedziała, kim jestem. - Dee gwałtownie odepchnęła krzesło, niecierpliwie założyła za ucho niesforny lok. - Nigel na pewno opowiedział jej, kto się ubiegał o to stanowisko, więc wie, kogo nabiła w

butelkę. Cóż, jeśli jej się zdaje, że będzie zadzierać nosa wobec mnie, to się myli. Nawet się do suki nie odezwę!

- Dee - Maeve starała się ją uspokoić. - Ciszej. - Złapała przyjaciółkę za ramię. - Chyba nie chcesz sprawić mu satysfakcji okazując złość? Przecież właśnie o to draniowi chodziło.

- Tak? Więc dzisiaj dzięki mnie będzie w siódmym niebie! - warknęła. Porwała notatnik ze stołu i wymaszerowała z sali w obłoku ciemnych włosów.

Najchętniej zaszyłaby się w jakimś ciemnym kącie i płakała rzewnymi łzami.

Droga Annie, ubiegałam się o nowe stanowisko, byłam pewna, że je dostanę, a teraz, kiedy odrzucono moją kandydaturę, jestem załamana. Wstydziłam się spojrzeć w oczy kolegom z biura, a tym bardziej osobie, która dostała moją wymarzoną posadę. Byłam przekonana, że to mnie wybiorą. Czuję się jak balon, z którego spuszczone powietrze. Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

W ogólnym rozgardiaszu Isabel nie zauważyła wyjścia Dee. Oni są naprawdę mili, uświadomiła sobie po mniej więcej dziesięciu minutach ściskania rąk różnych dziennikarzy i fotografów. Nawet szef działu sportowego zdawał się cieszyć na jej widok.

- Tony Winston - przedstawił się z szarmanckim ukłonem. Przytrzymał jej dłoń w swojej nieco dłużej niż to było konieczne, przy okazji zerkając na jej dekolt.

Był bardzo przystojny, ciemnowłosy i śniady, i doskonale o tym wiedział.

- Musimy się wybrać razem na lunch. - Błysnął białymi zębami w uśmiechu.

- Cześć, jestem Maeve Lynch - Isabel napotkała wzrok sąsiadki Dee O'Reilly. Nie była chyba zbyt zadowolona. Może ona również ubiegała się o stanowisko redaktor działu kobiecego?

- Cieszę się, że cię poznałam, Maeve.

- Maeve pracuje w dziale Antonii... to znaczy, twoim - wyjaśniła sekretarka Nigela. Najwyraźniej polubiła Isabel i teraz przedstawiała jej wszystkich. Tak, skoro Maeve pracowała w jej dziale, prawie na pewno ubiegała się o tę posadę.

- Bardzo się cieszę, że będziemy razem pracowały - Isabel uśmiechnęła się... Maeve nienawidzi mnie z całego serca, pomyślała. Jeszcze tego jej było trzeba - współpracownicy, która życzy jej jak najgorzej. Musi spróbować jakoś ją do siebie przekonać. Może zacząć od tego, że Maeve rozmawiała z Dee.

Isabel rozejrzała się ciekawie.

- Widziałam, jak rozmawiałaś z Dee O'Reilly. Przed zebraniem spotkałam ją w łazience. Nadal tu jest?

- Eeee, nie, musiała już iść - zaimprovizowała Maeve w pośpiechu.

- Szkoda. Chciałabym ją lepiej poznać - w głosie Isabel brzmiał szczery żal.

- Jeszcze będziesz miała ku temu okazję, Isabel - zapewnił gładko Nigel. - Chodź, pokażę ci twoje biurko. Sheilo, znajdź Dee i powiedz, że za... - zerknął na zegarek - za kwadrans chcę ją widzieć u mnie w gabinecie.

Maeve zajrzała do hali, gdzie przekonała się, że Dee nie ma przy biurku. Co sił w nogach pobiegła na tył budynku. Przyjaciółka przechadzała się nerwowo i łapczywie zaciągała papierosem.

- Nie wierzę własnym oczom! Ty palisz! - krzyknęła Maeve.

Dee odwróciła w jej stronę zaczerwienione oczy.

- W takich chwilach zastanawiam się, czemu nie palę nałogowo - mruknęła. - Chociaż camele są dla mnie za mocne. Dostałam go od strażnika. Podobno pomagają się uspokoić. - Pociągnęła jeszcze raz, zanim zdusiła niedopałek. - Daj twojego, są słabsze.

- Dobrze, ale nie prosz mnie nigdy więcej. Nie dalej jak wczoraj palnęłaś mi niezłą mówkę, że jeszcze nie rzuciłam.

- Wczoraj to co innego - chlipnęła Dee. - Wczoraj uważałam, że mam wspaniałą pracę i szansę na awans. Dzisiaj jestem nikim.

- Nie przesadzaj. - Maeve wyjęła zapalniczkę. - Potraktuj to jako małą komplikację. Ciągłe możesz awansować.

- Ale nie na stanowisko, na którym mi naprawdę zależy - krzyknęła Dee ze złością. - Chcę być redaktorką albo działu kobiecego, albo reportażu, a nie mam na to szansy, chyba że biedna Phil albo ten potwór Isabel padną trupem! Mam rację? - chodziła coraz szybciej.

- Masz - przyznała Maeve. - Dee, wracajmy. Znowu pada, przemokniesz do suchej nitki.

Dee poczuła łzy w oczach. Cholera. Dlaczego jest taka uczuciowa? Dlaczego nie jest jedną z tych opanowanych kobiet, które nigdy nie uronią nawet łzy? Szlochała przy każdej okazji, poczynając od *Przeminęło z wiatrem*, na programach o porzuconych świnkach domowych kończąc. Będzie miała czerwone oczy i wszyscy się domyśla, że płakała i dlatego. Jakie to upokarzające.

Ostrożnie wytarła łzy, starając się nie rozmazać tuszu po policzkach.

- Wyglądam okropnie? - zapytała przyjaciółkę. - Tak, sama o tym wiem - nie dała jej nawet odpowiedzi. - Zrobisz coś dla mnie? Nie mogę w takim stanie pójść do redakcji. Błagam, wynieś ukradkiem moją torebkę, a ja wyskoczę do knajpy na pół godzinki, dopóki nie zacznę wyglądać normalnie.

Od kawy wołałaby podwójny dzin z tonikiem, to jednak miałyby fatalne skutki. W „Magee’s” nie było mowy o jednym drinku. Po pierwszym pojawiał się drugi, trzeci, i zanim się zorientowałaś, był środek nocy i któryś z mniej zalanych kolegów puszczał do ciebie oko. Dee

zawsze się głowiła, kogo opłotkowała albo, co gorsza, jakie posępne sekrety zdradziła.

- Niestety, dziecino - Maeve pokręciła głową. - Nigel cię szuka. Masz natychmiast iść do jego gabinetu. Właśnie dlatego cię szukałam - nie chciałam, żeby przede mną dopadła cię sierżant Smyth.

- Cholera! Daj jeszcze jednego papierosa!

- Co z tobą? - zainteresowała się Maeve. - W jednej chwili zachowujesz się jak najzagorzalsza przeciwniczka papierosów, w następnej palisz jak stary górnik. Może chcesz cygaro?

Udało się. Dee się roześmiała.

- Skoro Demi Moore i Sharon Stone palą cygara, ja też mogę. Może wredny Ted Holt poczęstuje mnie swoim kubańskim, na otarcie łez.

- Niestety, marne szanse - stwierdziła Maeve. - Żeby na nie zasłużyć, trzeba się ostro podlizywać. Dlatego też Nigel zawsze ma ich pod dostatkiem.

- Może na tym polegał mój błąd. Może trzeba się było podlizywać. - Dee zaciągnęła się mocno. - Przynajmniej miałabym posadę, o jakiej marzyłam. I jestem przekonana, że właśnie tym sposobem dostała ją ta blond laleczka. Jest pewnie doskonałym klakierem. Jeszcze zobaczysz, Maeve - perorowała gorzko Dee - co pięć minut będzie latała w tę i z powrotem do gabinetu Holta, żeby na nas kablować. Może nawet ma z nim romans. Teraz się obściskują w gabinecie Nigela. Już to widzę - oni na kanapie, a Nigel na straży, czy nikt nie idzie...

Dokładnie w tej chwili Isabel podziwiała swoje nowe biurko. Naprzeciwko niej siedziała szefowa działu reportażu. Z wyjaśnień Sheili wynikało, że Antonia zabrała już swoje rzeczy i ostatni tydzień pracowała w domu. W środę miała wpaść do biura i wtajemniczyć Isabel we wszystkie sekrety. Da jej także listę wszystkich najważniejszych telefonów - począwszy od osób zajmujących się public relations w domach mody, skończywszy na schroniskach dla maltretowanych kobiet. Jako że Isabel przez ostatnie dziesięć lat pracowała za granicą, nie miała w Irlandii żadnych kontaktów, więc bardzo liczyła na listę Antonii.

- Cześć - rzuciła Phil Walsh. Przciskała ramieniem słuchawkę do ucha. - Witamy w domu wariatów.

- Na razie sprawia normalne wrażenie - stwierdziła Isabel z uśmiechem.

- Och, nie słuchaj mnie - mruknęła Phil. - Pracuję tu od dziesięciu lat, jestem zgorzkniałą staruchą. Dziesięć lat z Nigelem Burką doprowadzi każdego do szału. - Tak - krzyknęła do słuchawki. - Czekam od pięciu minut i już nie mogę słuchać „Bolera” Ravela.

Isabel z przyjemnością rozejrzała się dokoła. Ci w środkowej części hali redakcyjnej musieli się zadowolić otwartą przestrzenią, lecz ona i Phil miały do swojej dyspozycji kąci przy oknie,

oddzielony od reszty sali szarymi przepierzeniami. Ich maciupeńki gabinecik był bardzo przytulny. Sądząc po wystroju części, którą zajmowała Phil, pasję jej życia stanowiły dzieci i konie. Połowę jej przestrzeni zajmowały zdjęcia wielkiego gniadego konia z najróżniejszymi rozetami przy uździe, drugą połowę - podobizny czwórki roześmianych nastolatków, prawie zawsze w bryczesach i na coraz to innych rumakach.

Część Antonii była pusta. Isabel uznała, że bez nadmiaru ozdób biurko wygląda lepiej. Fotografie Naomi i Robin na blacie oraz kalendarz na ścianie to wszystko, zdecydowała. I nic więcej.

Widok z okna nie był zbyt zachęcający - pod nimi rozciągał się parking. Dla Isabel nie miało to znaczenia. Lubiła wyglądać przez okno, nawet jeśli widziała jedynie zakurzone samochody i kilka motocykli.

Z domu przyniosła parę drobiazgów: żółty fajansowy kubek, w którym trzymała ołówki i długopisy, notes z bezużytecznymi teraz oksfordzkimi telefonami i kaktus. Rano dostała go od Naomi i Robin.

- Czyżby to była niezbyt zawoalowana aluzja do stanu moich nerwów ostatnimi czasy? - zapytała żartobliwie rozpakowawszy zgrabną paczuszkę.

- Skądże - Naomi zachichotała głośno. - Dostajesz kaktusa, bo tylko to udało nam się wczoraj dostać. Duże kwiaty były za drogie, ale Robin uznała, że ten ci się spodoba.

- Bardzo wam dziękuję... - Isabel uściskała córki serdecznie. Brylantowa kolia nie sprawiłaby jej większej radości niż ten kolczasty prezent. Fakt, że Robin w ogóle zadała sobie trud, żeby jej coś kupić na pierwszy dzień w nowej pracy, miał dla niej wielkie znaczenie. Sprawdziła, z której strony monitora kaktus wygląda lepiej. Z lewej.

Przynajmniej komputer jest taki sam, jak w „Motor 2000”. Biedny Richie Devine, pomyślała nagle.

- Miałem zamiar zaoferować ci stały etat! - krzyczał, kiedy mu powiedziała, że odchodzi.

- Doprawdy? - Uśmiechnęła się słodko. - Szkoda, że mi o tym nie powiedziałaś, Richie, wówczas nie szukałabym innej posady. - Ciągle miała wyrzuty sumienia, że zostawiła go na lodzie, ale Richie sobie poradzi.

- Pomyślałam, że przyda ci się parę drobiazgów - Sheila wsadziła głowę za przepierzenie i wtaszczyła do środka stertę notesów, podkładki, długopisy i zszywacz.

- Wybierz sobie wzór wizytówki, to ci zamówię. Ty i Phil macie wspólną sekretarkę, ale akurat w tym tygodniu jej nie ma. Jeśli masz coś do przepisania, możesz dać mnie.

- Dziękuję. - Isabel była mile zaskoczona jej gorliwością.

Phil odłożyła słuchawkę.

- Nie wiem, czym sobie na to zasłużyłaś - oznajmiła po wyjściu Sheili, która wymusiła na Isabel obietnicę, że po nią zadzwoni, o ile będzie czegokolwiek potrzebować. - Rzadko kiedy zawraca sobie nami głowę.

- Jak ona się nazywa, bo zapomniałam? - zapytała Isabel.

- Sheila Smyth albo sierżant Smyth, w zależności od tego, jak cię traktuje. W tym miejscu powinnam nadmienić, że dla wszystkich oprócz swojego szefa i Teda Holta jest sierżantem. Co oznacza, że jesteś uprzywilejowana.

- To dobrze czy źle?

- Dziwnie. Potrafi być miła tylko dla gwiazd miesiąca. Z drugiej strony, jeśli zechcą cię wylać, będziesz wiedziała wcześniej. Kiedy tylko się dowie, zacznie cię traktować jak powietrze, a z pewnością dowie się przed tobą - zaznaczyła Phil.

- Super. - Isabel od razu polubiła Phil. Przynajmniej nie owija w bawełnę.

Najwyraźniej nie interesowała się modą. Miała około pięćdziesiątki, pulchną figurę, a tego dnia ubrała się w granatowy męski sweter i dżinsy tak sprane, że prawie białe. Spinała długie, proste ciemne włosy w koński ogon i chyba nigdy się nie malowała.

Mądre szare oczy przyglądały się Isabel zza okularów w drucianych oprawkach.

Isabel rozważała, czy starczy jej odwagi, by zapytać Phil, kto spośród dziennikarzy ubiegał się o stanowisko redaktor działu kobiecego. Uznała jednak, że to za wcześnie. Jak by na to nie patrzeć, Phil właściwie jej nie znała.

Zadzwonił telefon na jej biurku. To Nigel, słodki jak cukierek:

- Isabel, kochanie, czy mogłabyś na chwilę wpaść do mojego gabinetu? Chciałbym cię komuś przedstawić.

- Oczywiście. - Ciekawe, czy do wszystkich kobiet zwraca się per „kochanie”, zastanawiała się.

Nigel nie chciał rozmawiać o jej pomysłach udoskonalenia działu kobiecego, choć przyniosła wszystkie swoje projekty. Spędziła nad nimi cały weekend. Nie obchodziły go nowe pomysły. Chciał z nią porozmawiać o jej zastępcy.

- Do tej pory takie stanowisko nie istniało - tłumaczył bawiąc się od niechcienia długopisem. - Ale sytuacja się zmienia. Gazeta się rozrasta, mamy coraz więcej wolnych strzelców, więc przyda ci się chyba osoba do pomocy.

Isabel słuchała uważnie i próbowała odgadnąć, do czego Nigel zmierza. Gdyby postanowił zatrudnić jako jej zastępcę goryla po operacji mózgu, i tak nie mogłaby nic na to poradzić.

- Dział kobiecy i reportaże mają dużo wspólnego, nie wyłączając dziennikarzy. Musisz ściśle współpracować z Phil, żebyście się nie powtarzały. Nie zabraknie pracy dla dodatkowej pary rąk.

Jak sądzisz?

- Chyba tak - odparła. - Pomoc będzie mi bardzo potrzebna, zwłaszcza na początku. O kim myślałeś?

Nie odpowiedział, bo rozległo się energiczne pukanie do drzwi.

- Wejść! - wrzasnął.

W progu stanęła Dee O'Reilly. Nie zauważyła Isabel, siedzącej w fotelu najbliższej drzwi.

- Nigel, chciałeś się ze mną zobaczyć - powiedziała oschle.

- Tak, Dee. - Uśmiechnął się. - Przedstawiam ci Isabel Farrell, nową szefową działu kobiecego.

Dee odwróciła się na pięcie.

- Cześć. - Isabel wstała i wyciągnęła rękę.

- Cześć. - W głosie Dee słychać było chłód. Nie powiedziała: „Witamy w Sen-tinelu” ani nic takiego.

- Dziewczęta, chciałem, żebyście się poznały, bo będziecie razem pracowały - oznajmił Nigel. - Dee od dawna miała dosyć działu informacyjnego, a wiem, że bardzo ją interesuje dział kobiecy. Wpadłem na genialny plan, który zadowoli was obie - mianuję ją twoim zastępcą, Isabel.

Milczenie. Isabel obserwowała, jak twarz Dee z kredowobladej robi się purpurowa. Boże drogi, o co tu chodzi?

- Isabel, nie uważasz, że to doskonały pomysł? - Nigel zwrócił się do niej przymilnie. - Dee ma lekkie pióro i doświadczenie.

- Jeśli Dee zechce, to wspianale - odparła spokojnie. Nie przychodził jej do głowy inny powód złości Dee oprócz tego, że Nigel chce ją przenieść z działu informacyjnego.

- Dee gorąco interesuje ten właśnie dział, a informacji miała dosyć od dawna - Nigel podniósł do ust kubek z kawą. - Zdaję sobie sprawę, Dee, że marzyło ci się inne stanowisko, jednak szefem musiał zostać ktoś z doświadczeniem Isabel, a że w reportażu nie ma żadnych etatów, uznałem, że moje rozwiązanie ci się spodoba...

Więc to tak, domyśliła się Isabel. Dee ubiegała się o jej stanowisko, a teraz Nigel proponował jej nagrodę pocieszenia. To okropne. Straszny z niego drań. Czy nie pojmuje, jak bezdusznie postępuje oferując Dee pomniejsze stanowisko w obecności zwycięskiej rywalki?

Dee cały czas milczała.

Isabel wstała.

- Przedyskutujcie to w cztery oczy - powiedziała. - Dee, bardzo bym chciała z tobą pracować, jeśli się zdecydujesz - rzuciła przed wyjściem.

Na zewnątrz ciężko oparła się o ścianę. Zdobyła pracę marzeń i jednocześnie wpadła z deszczu pod rynnę.

Trudno, narzekaniem nic nie działa. Ma dużo pracy, a nie może polegać na nikim prócz siebie. Jak zwykle, pomyślała gorzko.

6.

Ledwie Maeve wlała do jej szklanki resztkę dietetycznego toniku, Dee już sięgnęła po drinka. Upiła potężny łyk i zanosła się głośnym kaszlem, kiedy poczuła palący smak podwójnego dżinu.

- W porządku? - zatroskała się Maeve.

- Jasne. - Dee poprawiła się na barowym stołku. - Proszę dwie paczki chipsów serowo-cebulowych - zwróciła się do barmana.

Było dopiero kilka minut po piątej i przestronny bar w „Magee’s” świecił pustkami. Największy ruch zaczęło się za godzinę, kiedy stali klienci, popołudniowa zmiana z „Sentinela”, wyjdą z pracy. Między piątą a szóstą barman pozwalał sobie na, jak sam uważał, zasłużony wypoczynek przed spotkaniem ze spragnioną hordą. Będą się domagali piwa, whisky, kanapek z serem i, po wyjątkowo dobrym artykule, szampana.

Dee podała Maeve jedną torbę chipsów, sama otworzyła drugą i jadła, jakby od miesiąca nie miała nic w ustach.

Oczywiście miała, ale lunch się nie liczy. Była w takim szoku, że wmusiła w siebie za ledwie kilka kęsów kanapki z tuńczykiem. Nie poszła do kuchni ani razu, choć zazwyczaj wypijała sześć kubków kawy. Dzisiaj nie chciała przechodzić koło gabinetu Nigela z obawy, że albo zacznie na niego wrzeszczeć, albo szlochać. Podlec! Na szczęście Maeve urwała się z pracy wcześniej, żeby pójść z nią na drinka, w innym wypadku Dee postradałaby zmysły. Jej telefon dzwonił bez przerwy jak oszalały, więc w końcu powiedziała centrali, że jej nie ma dla nikogo. Chciała zwłaszcza uniknąć wszelkich rozmów prywatnych.

W pracy mogła robić dobrą minę do złej gry, ale w rozmowie z przyjaciółmi rozkleiłaby się zupełnie. Jedno szczere: „Jak się masz, Dee?” i rozpląnęłaby się w potoku łez.

Zjadła garść chipsów, popiła je dżinem.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że mi to zrobił, po prostu nie mieści mi się to w głowie - stwierdziła tępo, wpatrując się pustym wzrokiem w butelki za barem. Światła odbijały się w szkockiej i whisky, zmieniając alkohol w płynny bursztyn.

- Ja tam mogę. - Maeve założyła nogę na nogę. - Nigel to skurczybyk pierwszej wody. Najbardziej lubi uprzykrzać życie innym, chyba o tym wiesz.

- Ale dlaczego mnie? - jęknęła Dee.

Maeve poklepała japo ramieniu.

- Pamiętasz, co jakiś facet odpowiedział na pytanie, czemu się wspinał na Mount Everest? Bo jest. Tak samo Nigel Burke. Przesunął cię do działu kobiecego, bo leżało to w jego mocy. Poza tym chciał nam wszystkim udzielić lekcji na temat: „To moje królestwo i ja tu rządę.”

Dee zjadła resztę chipsów.

- Nie pojmuję, jak miałę czelność zaproponować mi tę pracę w obecności Isabel Farrell. To chyba było najgorsze, zupełnie jakby to razem uknuli.

- Ona przynajmniej wyszła - zauważyła Maeve.

- Tylko dlatego, bo widziała, że nie pisnę ani słowa, póki tam będzie. Miałam dziką ochotę powiedzieć Nigelowi, że brzydzę się stanowiskiem zastępcy. Powinnam...

- Nie, nie powinnaś. - Maeve skinęła na barmana i zamówiła dwa nowe drinki. - Gdybyś to zrobiła, do końca życia opisywałabyś lokalne konkursy piękności i wybory do rad szkolnych. A tak przynajmniej awansowałaś.

Dee potakiwała jej posępnie.

- To początek kariery. - Przyjaciółka nie dawała za wygraną. - Nie wiadomo, co z tego wyniknie.

- Wiadomo. Dostanę dożywocie za morderstwo. Mam tylko jeden problem - nie zdecydowałam jeszcze, w jaki sposób pozbawię Nigela życia. Jak myślisz, co jest bardziej bolesne - tortura tysiąca cięć, ostatnio o tym czytałam, czy zwykłe zadżganie na śmierć igłą do szycia?

Maeve parsknęła śmiechem.

- O'Reilly, kiedy tak żartujesz, widzę, że już z tobą lepiej.

Dee posłała jej ponure spojrzenie.

- Ja nie żartuję. No, może troszeczkę. - Dopiła drinka do końca i sięgnęła po nową szklankę. - Więcej chipsów - oznajmiła. - Oto, czego nam trzeba.

Trzy kwadransy, dwie paczki chipsów i trzy drinki później humor Dee uległ znacznej poprawie.

Zdjęła zakiet i powiesiła go na oparciu krzesła. Wcale jej nie martwił fakt, że pod przezroczystą bluzką doskonale widać stanik. Tusz z rzęs spłynął na policzki, aż Maeve wręczyła jej chusteczkę, żeby się wytarła. Po porannej fryzurze nie został nawet ślad.

Kiedy jednak obserwowała się zamglonym wzrokiem w lustrze, uznała, że wygląda dobrze. Jest duża, tak, ale ładna. Prawie pociągająca. Nie gruba, co to to nie. Najdziwniejsze zaś, uświadomiła sobie otwierając paczkę słonych orzeszków, które Maeve jej łaskawie zamówiła, że wcale nie czuła się pijana. Ani odrobinę. Właściwie była zupełnie trzeźwa.

- Od dawna tu siedzicie? - Gerry Deegan usiadł na sąsiednim stołku.

- Od niedawna. - Dee uśmiechnęła się leniwie. - Wypiłyśmy dopiero trzy drinki.

- Cztery - poprawiła Maeve. - A może pięć?

- Pięć? To niemożliwe - zdziwiła się Dee.

- Owszem, możliwe. A ty na początku piłaś podwójne.

- Ojej! - Dee wyrwał się chichot.

- Co świętujemy? - zapytał Gerry. Kątem oka cały czas obserwował, jak barman nalewa mu guinnessa.

- Porzucam dziennikarstwo i wstępuję do zakonu - oświadczyła Dee. Machinalnie kręciła kosmyk włosów na palcu i uśmiechała się sennie. - Zastanawiam się nad jednym z tych zakonów o zaostrej klauzurze, gdzie nie wolno rozmawiać z ludźmi. Nie mam ochoty otwierać ust.

- To ci dopiero - odezwał się ktoś za ich plecami. Był to Tony Winston w towarzystwie innego dziennikarza z działu sportowego. - Jak byśmy sobie poradzili bez takich wspaniałych osób jak ty, Dee, które wnoszą tyle życia do redakcji? - Uszczypnął ją w policzek. - Nie wyobrażam sobie ciebie w habicie, chyba że pod spodem miałabyś pończochy i szpilki, i była w drodze na bal przebierańców.

- Spadaj stąd, ty chodzący zbiorniku hormonów! - burknęła Maeve i dzieliła go gazetą Gerry'ego.

- Nie zasypiałeś gruszek w popiele, co? Czarowałaś nową szefową działu kobiecego? - syknęła ostro Dee, która już słyszała o jego zabiegach wobec Isa-bel. - Pewnie miałeś na końcu języka propozycję, że jej pokażesz najlepsze kawałki z Mistrzostw Świata.

- Ach tak - poważnie skinął głową. - To dlatego.

- Co i dlaczego? - zainteresowała się Dee.

- Dlatego obie upijacie się do nieprzytomności. Chciałaś dostać jej posadę, prawda, Dee? Zignorowała go.

- Opowiedz Tony'emu - kusił. Pochylił ku niej ciemną głowę. Dee doszedł zapach jego wody po goleniu. Był to duszący, słodki aromat, choć zdaniem Tony'ego sprawiał, że żadna kobieta nie była w stanie mu się oprzeć.

- Spadaj, Tony. - Odepchnęła go z całej siły, aż wpadł na Gerry'ego i jego prawie nietknięte piwo. Guinness wylądował na różowej koszulce Tony'ego i butach Gerry'ego.

- Przepraszam, Gerry - Dee się zarumieniła.

- A ja? - domagał się Tony. Z obrzydzeniem odciągnął od ciała mokrą tkaninę. Dee spojrzała na niego z politowaniem.

- Zmykajmy stąd, zanim Tony się wkurzy - szepnęła Maeve. Zniknął w męskiej toalecie z przekleństwem na ustach.

- Chodźmy. - Maeve złapała swój plecak, wypchaną torbę przyjaciółki i ramię tejże.

- Przepraszam, Gerry - powtórzyła Dee. - Nie chciałam, żeby tobie się dostało.

- Nie ma sprawy, większość wylądowała na butach. Nic mi nie jest. Szkoda, że nie dostałaś stanowiska Antonii - stwierdził nagle. - Przeczuwałem, że Nigel odwali taki numer. Mianował cię zastępcą, tak?

Dee skinęła głową. Plotki rozchodziły się tak szybko jak zwykle.

- Posłuchaj dobrej rady człowieka, który z niejednego pieca chleb jadł. Rób, co do ciebie należy, i rób to najlepiej jak umiesz. Nie daj Nigelowi satysfakcji, niech nie myśli, że wygrał. Na tym mu najbardziej zależy. Wkładaj serce w to, co robisz, a będziesz miała sporą frajdę. Poza tym - Gerry uśmiechnął się pod nosem - nie wiadomo, jak długo Nigel z nami zostanie. Wyobraź sobie, jak się upijemy, kiedy odejdzie!

- Dzięki, Gerry! - Dee rozchmurzyła się nieco.

Maeve ciągnęła ją do wyjścia.

- Zadzwoń do Gary'ego i powiedz, że musi po ciebie przyjechać, bo sama nie jesteś w stanie prowadzić - poleciła, ledwie wyszły z baru.

Dee niezgrabnie wystukała domowy numer. Po trzech dzwoneczkach włączyła się sekretarka automatyczna.

- Nie ma go - stwierdziła żałośnie. Nagle z całego serca zapragnęła zobaczyć Gary'ego. Chciała, żeby ją przytulił i powiedział, że wszystko będzie dobrze. Że ją kocha mimo tego, iż szef jej nie docenia. A tymczasem nie ma go w domu. Więc on również ją lekceważy. Znowu miała łzy w oczach.

- Miał wyjść dzisiaj wieczorem? - zapytała Maeve.

- Nie pamiętam - mruknęła Dee.

Maeve otoczyła ją ramieniem.

- Pojedziemy do ciebie taksówką. Zrobię nam coś do jedzenia, obejrzymy *Thelmę i Louise*, co ty na to?

- Bosko. Dziękuję, Maeve. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

- Nie dziękuj. - Maeve energicznie zamachała na przejeżdżającą taksówkę. - Poczekaj, aż zobaczysz mój rachunek!

Maeve doskonale gotowała. Wystarczyło kilka starych pieczarek, wiekowa cebula, pomidory, zaskakująco świeży ser i jajka, a wyczarowała omlet po hiszpańsku, któremu szef najlepszej kuchni nie miałby nic do zarzucenia.

- Chciałam jeszcze zrobić sałatę - mruknęła, buszując w lodówce - ale wszystko jest jakies nieświeże. - Wyrzuciła do śmieci żalosne szczątki główki sałaty.

- W tym tygodniu Gary sprząta i robi zakupy - mruknęła Dee z kanapy.

- Coś takiego!

Dee zwlokła się ostatkiem sił, nakryła do stołu, położyła serwetki - papierowe - i niezdarnie otworzyła butelkę czerwonego wina.

- Nie wypiję ani kropli więcej - ostrzegła Maeve wnosząc talerze z omletem do pokoju. Dee akurat nalewała wina do wielkich kielichów. - Jutro zacznym rano. Nie mogę sobie pokwilić na kaca.

- Nie ma sprawy. - Dee uśmiechnęła się krzywo. - Tym więcej dla mnie.

Włączyły *Thelmę i Louise*. Był to jeden z jej ulubionych filmów, oglądała go często, gdy wpadała w depresję. Siedziały obok siebie na kanapie, zjadały pyszny omlet i wzruszały się akcją.

- To jest to, Maeve. - Dee pociągnęła nosem. - Thelma przekroczyła pewną granicę, nie ma dla niej powrotu. Ja tak samo. Nie pójdę tam, nie będę pracowała z tą durną babą. - Spojrzała na przyjaciółkę przez łzy. - Nie mogę.

O wpół do jedenastej Maeve wezwała taksówkę.

- Idź spać, Dee. Rano poczujesz się lepiej.

- Będę miała kaca - odparła ponuro.

- Fakt. - Maeve przytuliła ją serdecznie. - Idź spać. Wyłączę telewizor. Zanim wyjdę, masz wejść na górę.

- Tak jest, panie władzo. - Dee zaczęła mozolną wspinaczkę na piętro. - Dzięki za wszystko, Maeve. Jesteś wspaniałą przyjaciółką - wymamrotała już na górze. - Idę spać. Jestem bardzo zmęczona. Pomyślę rano.

Isabel opadła na niewygodny fotel w saloniku matki i zmrużyła oczy. Co za dzień! Czowała się, jakby brała udział w biegu maratońskim. Nigdy więcej nie założy tych cholernych pantofli! Co z tego, że są ładne, skoro tak piekielnie niewygodne. Oto skutki kupowania za małych butów z przeceny.

Zsunęła je z obolałych stóp, ściągnęła żakiet i przez chwilę wyobrażała sobie, jak rozkosznie byłoby siedzieć tak beczynn timer przez cały wieczór i oglądać w telewizji opery mydlane i głupawe quizy. Nie miała ochoty na rozmowę z kimkolwiek prócz Naomi i Robin, a zwłaszcza z matką.

- Cześć, mamo. - Naomi wbiegła do pokoju. Z impetem wskoczyła na kanapę. - I jak było?

- Dobrze, skarbie. Wszyscy byli dla mnie bardzo mili. Mam ładne biurko obok Phil Walsh, szefowej działu reportażu. Jest bardzo sympatyczna.

- Nie dali ci osobnego gabinetu? - Naomi była zawiedziona.

- Skarbie, nikt nie ma gabinetu, oprócz naczelnego. Pracujemy wszyscy razem w wielkiej hali z mnóstwem biurek. Ja i tak mam szczęście, bo siedzę przy oknie i mamy przepierzenie, które nas zasłania przed wzrokiem ciekawskich.

- Kiedy mogę przyjść to obejrzeć?

Naomi była częstym gościem w jej poprzednich pracach, poza „Motor 2000”, ale nie wiadomo dlaczego Isabel miała wrażenie, że w „Sentinelu” nie będą patrzyli przychylnym okiem na takie wizyty.

- Nie wiem, skarbie, może w lecie.

Mina dziewczynki zrzędła.

- No, może wpadniemy tam w którąś sobotę - Isabel zmięła. Ponieważ dziennik nie wychodzi w niedzielę, będzie wówczas pusto.

- Bomba! Robin powiedziała babci, że dzisiaj ona robi kolację - powiadomiła Naomi. Isabel uniosła brwi w zdziwieniu. - W szkole nauczyła się robić zapiekankę z ryżem.

Isabel miała nadzieję, że córka będzie miała więcej szczęścia z gotowaniem ryżu niż ona. Zawsze był albo za twardy, albo całkiem rozgotowany. Nie pomagało staranne odmierzenie proporcji wody i ryżu ani mierzenie czasu. Oby Robin okazała się lepszą gospodynią niż ona. Lubiła gotować, to jedno jest pewne. Kilka tygodni temu zachwyła wszystkich *lasagne* z warzywami.

- Ja przygotuję deser - pochwaliła się Naomi. - To niespodzianka. Nie musisz nic robić, mamo. Mus czekoladowy - szepnęła. - Ale miałam ci nie mówić.

- Nie pisnę ani słówka. Zapowiada się bardzo smakowicie, Naomi, a jeśli nie muszę wam pomagać, już jestem w siódmym niebie.

- Masz ochotę na drinka, mamo? Powiedziałam babci, że lampka wina dobrze ci zrobi, bo lubisz pić wino do kolacji i masz za sobą pierwszy dzień w nowej pracy.

Isabel stłumiła westchnienie. Jeszcze tego brakowało. Matka uzna, że jest na krawędzi alkoholizmu.

Kieliszek sherry wieczorem, lampka koniaku z okazji katastrof rodzinnych - oto jak wyobrażała sobie Pamela konsumpcję alkoholu. Nie było sensu tłumaczyć, że od lat raczyli się z Davidem winem wieczorami. Ani że lubiła, kiedy nie było go w domu i sama mogła decydować, czy woli białe czy czerwone, i rozkoszowała się alkoholem przed snem.

- Jak babcia zareagowała na wzmiankę o winie? - zapytała córkę. - Co powiedziała?

Naomi wzruszyła ramionami.

- Nic. A co?

Isabel uśmiechnęła się szeroko.

- A, tak pytam. Co w szkole? Pani oddała eseje z angielskiego? Naomi skrzywiła się.

- Tak. Dostałam D. W domu zawsze dostawałam co najmniej B.

- Wiem, skarbie. Niełatwo jest przywyknąć do nowej szkoły, nauczycieli, programu. Minie trochę czasu, zanim się przestawisz. - Uściskała ją mocno. - I tak wiem, że pewnego dnia będziesz świetną dziennikarką, Naomi.

Największym skarbem córki była stara maszyna do pisania. Naomi z całego serca pragnęła iść w ślady matki. Isabel chciałaby przed końcem roku kupić dziewczynkom dobry komputer, bo David zatrzymał ich Maca. Na razie jednak ciągle była bez grosza.

- W St Clodagh's może jeszcze o tym nie wiedzą. A teraz idź i namów swoją siostrę, żeby mi

zrobiła herbaty, dobrze?

Naomi zerwała się natychmiast. Isabel postanowiła, że rano zadzwoni do dyrektorki szkoły. Kiedy zapisywała Naomi przed paroma miesiącami, prosiła dyrektorkę o ulgowe traktowanie nieśmiałej dwunastolatki, dopóki ta nie odnajdzie swojego miejsca w nowym kraju i nowej szkole. Pani Robinson twierdziła, że rozumie.

Isabel wiedziała jedno: bez względu na to, ile czasu zajmie Naomi wyrównanie poziomu w innych przedmiotach, z ukochanym angielskim nie powinna mieć żadnych kłopotów. Była istnym mołem książkowym, czytała wszystko, od siostr Bronte po Enid Blyton. Tak więc wiadomość o złej ocenie za esej uświadomiła Isabel, że chyba w St Clodagh's nie słuchano jej uważnie.

Wcale mnie pani nie zrozumiała, pani Robinson, pomyślała gniewnie. Niech no pani poczeka do jutra.

Skorzysta z okazji i dowie się o postępy w nauce Robin. Starszą córkę czekały w czerwcu egzaminy, których się bardzo bała.

Najbardziej cierpiała z powodu tego, że Robin się do niej nie odzywa. Isabel ubolewała nad faktem, że wypowiedzi córki pod jej adresem ograniczały się do „na nic mi nie pozwalasz” i „gdyby tatuś tu był, wszystko wyglądałoby inaczej”.

Jakby jeszcze tego było mało, rano czekała ją konfrontacja z Dee O'Reilly. Jeśli sądzić po jej minie podczas ostatniego spotkania, darzyła Isabel i Nigela równą niechęcią.

Nie po raz pierwszy podziękowała Bogu za twórców środków antydepresyjnych. Bez pomocy medycyny nie dałaby sobie rady.

- Herbata. - Robin wniosła na tacy filiżankę i talerzyk z biszkoptem. Isabel nie posiadała się z radości. Nie na widok herbaty, lecz dlatego, że Robin coś dla niej zrobiła. Posłała córce promienny uśmiech.

- Dzięki, Robin, jesteś cudowna.

Napiła się herbaty, ugryzła ciasto.

- Jak w pracy? - Robin przysiadła na oparciu fotela. Nadal miała na sobie szkolny mundurek - szarą spódniczkę i sweterek, białą bluzkę i krawat w grana-towo-szare prążki. Znowu wyglądała jak uczennica, a nie zmanierowana kobieta w obcistej koszulce.

- Niełatwo - przyznała Isabel. - Moja zastępczyni ubiegała się o moje stanowisko, więc chyba nie będziemy przyjaciółkami od serca. Ogólnie ludzie są mili. Już po jednym dniu widzę, że to będzie spore wyzwanie. - Przeciągnęła się ziewając. - Szczerze mówiąc, jestem ledwo żywa.

- Dzisiaj nie musisz się o nic martwić, mamo. Ja robię kolację.

- Wiem, Naomi mi mówiła. Co to będzie? Pachnie wyśmienicie. Robin uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Jagnię z pomidorami i fasolką.

- Och! Już mi leci ślinka!

- Będziemy jeść dopiero za dwadzieścia minut, przed chwilą wstawiłam ryż - uprzedziła córka. - Babcia poszła się położyć, znowu ma migrenę. Chciała, żebym ugotowała ziemniaki, ale ja wolałam ryż. Zawołam cię, kiedy będzie gotowe.

Isabel ułożyła się wygodnie na kanapie i włączyła telewizor. A jednak może sobie pozwolić na wieczór lenistwa. Jak to kiedyś powiedziała Scarlett O'Hara, jutro też jest dzień.

Następnego dnia, w słoneczny majowy poranek Isabel czuła, że upora się z wszelkimi przeciwnościami. Niewiele jednak było trzeba, by jej dobry humor rozplątał się bez śladu. Po zaledwie pięciu minutach w redakcji i jednej rozmowie telefonicznej z wściekłością cisnęła słuchawkę na widelki. Antonia FitzSi-mons wycofała się ze wcześniejszych obietnic pomocy. Była wyraźnie rozczarowana odprawą, zaproponowaną przez Teda Holta.

- Rozumiesz chyba, że w tych okolicznościach nie czuję się do niczego zobowiązana - oznajmiła, kiedy Isabel zadzwoniła z pytaniem, o której się spotkają.

- Antonia, to mój drugi dzień w pracy. Potrzebuję pomocy - starała się nie okazać ogarniającej ją paniki.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w grę - usłyszała w słuchawce. - Idź do Nigela i powiedz, że bardzo mi przykro, tyle mogę ci poradzić.

Isabel ponuro wpatrywała się w słuchawkę. Boże, co ona zrobi tej leniwej krowie, jeśli kiedyś ją dorwie w swoje ręce! To, że Antonia może sobie pozwolić na porzucenie pracy ot, tak, bo jej męża stać na utrzymanie domu, nie znaczy, że inni sąw równie uprzywilejowanej sytuacji.

Isabel nerwowo zerknęła na wielki zegar na ścianie.

Było wpół do dziesiątej. O drugiej miała spotkanie szefów działów, a bez telefonów od Antonii miała ręce nie tyle związane, co wręcz skute.

Cholera, cholera, cholera!

Antonia posunęła się w sabotażu jeszcze dalej: zabrała ze sobą wszystkie nadesłane ostatnio zdjęcia z pokazów mody i prospekty reklamowe. Tak więc trzeba przygotować wszystko od podstaw.

Nie zadzwonił nikt z wolnych strzelców. Isabel musi zabrać się do pracy, w przeciwnym wypadku w jutrzejszej gazecie będzie wielka dziura tam, gdzie zwykle znajdowały się strony kobiece. Nie jest to idealny początek nowej pracy.

Jakby tego jeszcze było mało, Dee O'Reilly, jej nowo mianowanej następczyni, nigdzie nie było widać. Nie było nawet Phil, ostatniej deski ratunku.

- Phil ma dzisiaj wolne - poinformowała Jackie, ich wspólna sekretarka. Nie budziła zaufania

swoim wyglądem. Miała mniej więcej dwadzieścia lat, mini spódniczkę niewiele większą od plastra opatrunkowego, martensy na nogach i kruczoczarne farbowane włosy. Sprawiała wrażenie osoby bardzo apatycznej.

- Może kawy? - zapytała wróciwszy z łazienki ze świeżą warstwą kredki do oczu na powiekach, co ją upodobiło do starożytnego Egipcjanina.

- Tak, czarną, bez cukru - poprosiła Isabel.

Jackie oddaliła się ospale. Isabel obserwowała ją posępnie. Potrzebowała chociaż jednej tryskającej entuzjazmem osoby u swego boku. To chyba nie będzie Jackie, zdecydowała.

Sekretarka wróciła po dziesięciu minutach z kawą białą od śmietanki i stertą korespondencji do szefa działu kobiecego.

Isabel zignorowała kawę i łapczywie rzuciła się na koperty. Na większości z nich były stemple albo adresy domów towarowych i pracowni projektantów, więc domyśliła się, że zawierają zdjęcia nowych letnich kolekcji.

Miała w nosie, że były zaadresowane do Antonii. Przecież dała jej jasno do zrozumienia, że los Isabel i całego „Sentinela” obchodzi ją tyle co zeszłoroczny śnieg. Otworzy korespondencję, bo zaadresowano ją do redaktora działu kobiecego w „Sentinelu”, czyli do niej, a Antonia niech się wypcha. Materiały prywatne i tak przesłano by na adres domowy, a Isabel musi mieć czym zatkać sześć stron w jutrzejszym wydaniu.

- Super! - krzyknęła, gdy na biurko wysypały się zdjęcia nowej kolekcji kostiumów kąpielowych, nowej serii sukienek z dzianiny i kilka fotografii najnowszych modeli Paula Costelloe. Z modą ma spokój na najbliższych kilka dni.

W innej kopercie znalazła bardzo dobry artykuł o niepłodności i pomysły na dalsze teksty. Przesłała je Jane Wood, regularnie pisująca dla „Sentinela”.

Dzięki ci, Jane! Isabel z radością odłożyła artykuł na bok, do jutrzejszego wydania. Zapisała telefon Jane Wood w notesie, zanim zabrała się za dalsze przeglądanie korespondencji. Na razie miała materiał na cztery strony.

- Przepraszam, podałam ci złą kawę - Jackie szybko wymieniła kubki. - Dopóki nie zaaplikuję sobie pierwszej dawki kofeiny, jestem nieprzytomna - dodała przepaszająco.

Isabel uśmiechnęła się. Może Jackie denerwuje się pierwszego dnia z nową szefową. Może jeszcze wszystko się ułoży.

- Wstawaj, Dee! Spóźnisz się!

Co się stało Gary’emu? - głowiła się sennie. Dlaczego mówi gdzieś z krańca tunelu? Co się dzieje? Przecież jest środek nocy?

Ktoś brutalnie ściągnął kołdrę z łóżka. Dee niechętnie uniosła oczy i popatrzyła na

narzeczonego. Był już w garniturze. Miał bardzo, ale to bardzo złą minę.

- Budzę cię po raz ostatni, Dee. Wołałem cię pięć razy. Jeśli natychmiast nie wstaniesz, spóźnisz się do pracy! - warknął.

- Jak to, budziłeś mnie przedtem? - zdziwiła się. - Przecież bym pamiętała.

Usiadła i natychmiast poczuła falę mdłości.

- O Boże - szybko opadła z powrotem na poduszkę. Jeśli usiądzie, zwymiotuje. Może jej przejdzie, jeśli będzie leżała bez ruchu i głęboko oddychała. - O Boże, co się stało?

- Też chciałbym to wiedzieć - syknął Gary. Wydawał się bardzo zły. Włosy, ciągle mokre po prysznicu, zaczesał gładko do tyłu. Przy goleniu zaciął się w policzek. To miejsce znaczył skrawek papieru toaletowego, którym usiłował zatamować krwawienie. - Kiedy wczoraj wróciłem do domu, byłaś zalana w trupa. Na całe gardło wykrzykiwałaś coś o Nigelu Burke'u i jakiejś kobiecie nazwiskiem Farrell. Usiłowałem cię uspokoić, więc mnie spoliczkowałaś wrzeszcząc, że nikt nie będzie ci rozkazywał.

- Przepraszam. - Twarz paliła ją ze wstydu i gryzły wyrzuty sumienia. - Bardzo cię przepraszam, Gary. Poszłam z Maeve na drinka...

- Wiedziałem, że to Maeve, wiedziałem! - tryumfalnie wpadł jej w słowo. - Ta kobieta ma na ciebie zły wpływ. Nie może sobie znaleźć faceta, więc wyciąga ciebie, żebyś z nią piła przez pół nocy. To mi się nie podoba, Dee!

Zmobilizowała resztki sił, żeby zaprotestować:

- Nic nie rozumiesz, Gary. To nie jej wina, tylko moja.

- I twoim zdaniem to poprawia sytuację? - wrzasnął. - Jest za kwadrans dziewiąta, godzinami nie mogłem zasnąć, bo się wierciłaś i kręciłaś po pijanemu. Zaspałem, spóźnię się do pracy. Do zobaczenia wieczorem.

I wyszedł, a Dee została sama, nieszczęśliwa i z potężnym kacem. Z powrotem naciągnęła kołdrę na głowę. Zdławiła szloch. Chciała tylko, żeby ktoś ją pocieszył, a Gary'ego nie było. Może gdyby wiedział, czemu się tak upiła, wykazałby więcej zrozumienia?

Było jej niedobrze, miała wrażenie, że lada chwila potężnie zwymiotuje. Najlepiej jeszcze trochę poleży.

Po dziesięciu minutach rozdzwonił się telefon. Podskoczyła jak oparzona.

- Halo - rzuciła gniewnie do słuchawki. Niechcący zrzuciła stertę książek i krem do rąk, kiedy sięgała do telefonu.

- Nie powiesz mi, że jeszcze leżysz - zainteresowała się Maeve.

- Nie krzycz - poprosiła Dee. - Głowa mi pęka.

- Nic dziwnego. Wczoraj wlałaś w siebie cysternę alkoholu.

- Pamiętam. Nie powiedziałam nic okropnego, prawda? - Wróciła pod kołdrę razem z

telefonem.

- Nie, byłaś bardzo zabawna, dopiero pod koniec zaczęłam się obawiać, że albo stracisz przytomność, albo wyruszysz w noc z zamiarem dokonania operacji na otwartym sercu Nigela posługując się nożem kuchennym.

- Więc byłaś zabawna.

- Wstałaś już? - powtórzyła Maeve. - Co za głupie pytanie. Mówisz jakby z dna kopalni, więc pewnie chowasz się pod kołdrą. Dochodzi dziewiąta, a dzisiaj zacznasz współpracę z tą suką z piekła rodem.

Dee jęknęła głośno.

- Nie przypominaj mi o tym! Nie mam siły! Nie uwierzysz, co zrobiłam wczoraj!

- Co?

- Spoliczkowałam Gary'ego. W ogóle tego nie pamiętam, ale jest na mnie bardzo zły. Obawiam się, że będzie chciał się ze mną rozwieść.

- Nie może, jeszcze nie macie ślubu. No, wstałaś? Wczoraj zarzekałaś się, że udowodnisz wszystkim, jaka byłabyś doskonała jako redaktor działu kobiecego i że Nigel i Ted pożałują, że wybrali Isabel. Dalej - Maeve nie dawała za wygraną. - Wstawaj. Zamówię ci taksówkę na dziewiątą czterdzieści pięć, dobrze?

Dee nie miała wyjścia.

- Dobrze. Ale nie wiem, czy dam radę.

- Nie masz wyjścia. Do zobaczenia w redakcji.

Ilekcroć taksówka podskakiwała na wybojach, Dee żołądek podchodził do gardła. Może po kawie poczuje się lepiej. Batonik chyba też nie zaszkodzi.

Nie chciała nawet myśleć o śniadaniu, zresztą potrzebowała czasu na prysznic i makijaż, żeby choć trochę upodobnić się do ludzi. Mimo dużej ilości różu i pełnych barw wojennych była bardzo blada.

Kurczowo ściskając plastikowy kubek podeszła do swojego biurka. Po chwili przypomniała sobie, że Nigel wyznaczył jej nowe, niedaleko Isabel.

Na starym biurku poniewierały się jej notatki, dyskietki, długopisy. Cała powierzchnia była upstrzona czarnymi plamami. Były to pamiątki po wieczornych palaczach, którzy zostawiali niedopałki na stole. Jutro przeniesie wszystko, dzisiaj nie ma na to siły.

Cisnęła kilka drobiazgów na nowe biurko i sięgnęła po dzisiejszy egzemplarz „Sentinela”. W redakcji panował spokój i nigdzie, na szczęście, nie było widać cholernej Isabel.

Od przyjemnej lektury oderwał ją spokojny głos:

- Dzień dobry, Dee.

Przy jej biurku stała Isabel, uśmiechnięta, szczupła i elegancka w lnianym garniturze. Jasne włosy jedwabście opadały na ramiona, delikatny makijaż idealnie podkreślał niebieskie oczy. Ona nie umierała na kaca. Suka.

- Dzień dobry - odparła Dee, choć nie widziała w nim nic dobrego.

- Ponieważ Phil ma dzisiaj wolne, może usiądziesz wyjątkowo przy jej biurku? Musimy porozmawiać o wydaniu na ten tydzień i planach na przyszłość - zaproponowała Isabel. - Antonia nie zostawiła mi żadnych wskazówek, kto się czym zajmuje w dziale kobiecym. Może ty mi pomożesz się w tym zorientować.

- Dobra - burknęła Dee.

- Świetnie. Jackie zaraz nam poda listę telefonów. Podzielimy się po połowie. Musimy mieć pewność, że zebrałyśmy dość materiału na najbliższych kilka wydań. Potem porozmawiamy o naszej współpracy. Powiesz, co cię najbardziej interesuje.

- W porządku - Dee miała się na baczności. Nie wiedziała, czy uwierzyć w gadkę o współpracy. Podejrzewała, że to podstęp, żeby zbić ją z tropu. Lada moment Isabel pokaże jasno, kto tu rządzi.

Niechętnie przeniosła się na miejsce Phil. Telefon Isabel zadzwonił niemal natychmiast. Kiedy rozmawiała, Dee przyjrzała się jej części biurka.

Chyba miała dzieci, bo przy monitorze stało zdjęcie jej i dwóch dziewczynek - bardzo ładnej nastolatki i drugiej, kilka lat młodszej. Po figurze Isabel nikt by się nie domyślił, że ma dzieci. Była bardzo szczupła, niemal zbyt chuda. Nie żeby w oczach Dee ktoś mógł być za chudy, lecz Isabel miała wątlą figurę modelki z niedowagą. Dee widziała zarys obojczyków pod białą bluzką, bardzo cienkie nadgarstki i kostki. Wyglądała doskonale, z klasą.

Jedyne, co wskazywało, że nie jest rozpuszczoną bogaczką, to jej paznokcie. Krótko obcięte, nie były nawet polakierowane. Dziwne, bo sądząc po jej wyglądzie, Dee przysięgłaby, że Isabel Farrell nie brak ani czasu, ani pieniędzy na wizyty w salonach piękności. Prawdopodobnie ma nieprzyzwoicie bogatego męża, który płaci wszelkie rachunki, a je pensja to „kieszonkowe” na ubrania i kosmetyki.

Dee zerknęła na swoje paznokcie. Czekoladowy lakier był nieco nieświeży, podobnie jak ona sama tego dnia. W porównaniu z elegancką Isabel Dee uznała swoją prostą brązową spódnicę i kawową koszulę - wypuszczoną na wierzch, żeby zamaskować wypukłości jej figury - za strój tandetny i niechlujny. I do tego wygląda w tym grubo. Nie, nie wygląda grubo. Jest gruba, koniec kropka. Westchnęła ciężko.

- Dee, jesteś zmęczona? Może napijesz się kawy? - Isabel odłożyła słuchawkę.

Wyrwana z zadumy, Dee skinęła głową. Pewnie krzyknie do Jackie, żeby przyniosła, domyśliła się. Sama się przecież nie ruszy. Ku jej zdumieniu, Isabel wstała.

- Mleko? Cukier?

- Tak, z mlekiem i dwiema kostkami cukru - poprosiła. - Dziękuję.

Isabel wróciła po kilku minutach z dwoma kubkami kawy i pączkiem dla Dee.

- Goniec mi go przyniósł. Chyba ci się przyda zastrzyk energii. Nie musisz jeść, jeśli nie masz ochoty - dodała po chwili z wahaniem.

- Dzięki za wszystko. - Dee była pod wrażeniem. - Nie wiem, czy dam radę cokolwiek zjeść. Nie najlepiej się dzisiaj czuję. - Nie powie przecież, że ma potężnego kaca, skutek ostrego zapijania rozpacz, że Isabel dostała jej wymarzoną posadę.

- W porządku. Dasz radę pracować?

- Pewnie. - Uraziła ją aluzja, że pierwszego dnia na nowym stanowisku mogłaby uciec z podkulonym ogonem. - Od czego zaczniemy?

Isabel opowiadała o artykule, który przyszedł pocztą, a Dee piła kawę. Nie tknęła pączka. Jego słodki, maślany zapach kręcił ją w nosie. Nagle jej żołądek się uspokoił. Poczuli się dużo lepiej.

Nie lubiła jednak jeść przy nieznanym. Jeśli Maeve nie mogła iść z nią na lunch, zadowalała się owocami i jogurtem. Dopiero przy przyjaciółce nurzała się w rozpuszczeniu i pochłaniała danie za daniem.

Za żadne skarby świata nie zje pączka na oczach Isabel Farrell, choćby krzyczał „zjedz mnie”. Isabel i tak pewnie uważa, że Dee odżywia się wyłącznie ciastkami z kremem i lodami. Jeśli zobaczy, jak Dee wsuwa taką bombę kaloryczną, pomyśli sobie: „Dlatego jest taka wielka - nie może przestać jeść”.

Dee odsunęła torebkę z pączkiem i zabrała się do pracy.

Z pomocą Jackie namierzyły wszystkich, którzy pisywali dla działu kobiecego. O dwunastej zjawiły się dwie dziennikarki związane z działem kobiecym i reportażu. Problem polegał jedynie na tym, że i Emily, i Carol-Anne zaprzeczały, jakoby ostatnio Antonia przydzieliła im jakieś zadania.

- Zaczęłam dla Phil tekst o głośnych rozwodach, ale mogę go przerobić i dać wam - zaproponowała Emily, urocza brunetka.

- Świetnie. Puścimy go w sobotę. - Jej entuzjazm spodobał się Isabel. - Wymień jak najwięcej słynnych par, żebyśmy mogli upchnąć dużo zdjęć gwiazd.

- Nie ma sprawy. - Emily zaczęła czegoś szukać na swoim biurku.

Isabel zwróciła się do Carol-Anne:

- Czy przychodzi ci do głowy coś, o czym mogłabyś szybko napisać do piątkowego numeru?

- Nie. - Carol-Anne bezczelnie patrzyła jej w oczy. Miała popielatoblond włosy i worki pod oczami od ciągłego balowania. Uważała się za wyrocznie w kwestii dobrego smaku - miała czerwone usta, paznokcie i samochód. Jako że pracowała w redakcji od lat, uważała, że nie musi

nikogo słuchać.

Dee obserwowała ją ciekawie. Jej zdaniem Carol-Anne biła wszelkie rekordy w lenistwie. Plotka głosiła, że kiedyś wylano ją z pracy za recenzję z przedstawienia, które się nie odbyło. Jednak od studiów przyjaźniła się z Antonią. Ta zawsze dawała jej proste, miłe zlecenia, jak testowanie nowych kosmetyków i pokazy mody. Dee wiedziała z pewnego źródła, że Carol-Anne także ubiegała się o stanowisko Antonii. Nie trzeba mieć wysokiego ilorazu inteligencji, żeby się domyślać, co czuła do Isabel.

- Nic? - Isabel nie ukrywała zdumienia.

- Nic. - Carol-Anne uśmiechnęła się z zadowoleniem. Wróciła do biurka i lektury porannej gazety. Dee po raz setny chyba zastanowiła się, czemu ta kobieta nie zostawi dziennikarstwa, skoro dzień w dzień dawała wszystkim do zrozumienia, że nie cierpi swojej pracy i starała się robić tak mało, jak to tylko możliwe. Niestety, w przeciwieństwie do Antonii, nie wyszła bogato za mąż, więc praktycznie nie miała wyboru: albo „Sentinel”, albo zasiłek dla bezrobotnych.

Dee przeniosła wzrok na Isabel, która wpatrywała się w plecy Carol-Anne i myślała intensywnie.

- Carol-Anne - powiedziała nagle. - Skoro nad niczym obecnie nie pracujesz, mam świetny temat dla ciebie. Gdzieś w redakcji na pewno mamy dossier tej głośnej sprawy o napastowanie seksualne w Stanach. Napisz mi o tym artykuł, z odnośnikami do sytuacji w Irlandii, wiesz, z uwzględnieniem naszych przepisów. Na, powiedzmy, tysiąc słów.

Hohoho, pomyślała Dee, ale jej się dostało. Musi przyznać, że Isabel najwyraźniej poznała się na Carol-Anne i postanowiła zmusić ją do pracy.

Carol-Anne podniosła na nią wściekły wzrok. Myśli, że może jej rozkazywać!

Jeden zero dla Isabel, oceniła Dee. Ale nie zna Carol-Anne. Będzie miała szczęście, jeśli dostanie ten tekst na przyszlą środę.

- Aha, Carol-Anne! - Isabel powiedziała to na tyle głośno, żeby słyszeli ją wszyscy w pobliżu. - Chcę to na jutro, na dziesiątą.

Gem, set i mecz dla Isabel! Z tą szefową Carol-Anne nie poradzi sobie tak łatwo.

- Maeve, żałuj, że nie widziałas miny Carol-Anne! - Dee zwijała się ze śmiechu.

Siedziały w kafejce naprzeciwko redakcji. Dee zajadała frytki, bo na kacu jej organizm domagał się węglowodanów. Maeve zdecydował się na *lasagne*, bo zawsze miała wilczy apetyt.

- Muszę to przyznać Isabel: jest godną przeciwniczką Carol-Anne.

- Czy to ta sama osoba, do której miałaś się nie odzywać? - dopytywała się Maeve nad talerza.

- Wiem, wiem - Dee zirytowała się. - Mogę baby nie znosić, a jednocześnie dostrzegać jej zalety. Naprawdę dała łupnia Carol-Anne.

- Nie byłabym taka pewna - ostrzegła Maeve. - Poczekamy, zobaczymy. Jak znam życie, jutro koło dziewiątej trzydzieści Carol-Anne zadzwoni z wiadomością, że jest bardzo chora, lekarz kazał jej leżeć przez co najmniej tydzień, i nie może przyjść. Oczywiście nie zadzwoni do Isabel, tylko do naiwnej sekretarki, która uwierzy we wszystko, co się jej powie.

- No tak, zapomniałam o wymówce zdrowotnej: „Niestety, nie przyjdę do pracy, noga/głowa/żołądek/ paluszek tak mnie boli, że przez miesiąc nie ruszę się z łóżka”. Niepotrzebne skreślić - Dee parsknęła śmiechem.

- Więc powiesz Isabel o metodach Carol-Anne, czy będziesz czekała, aż sama się dowie? - Maeve spoważniała.

- Niczego jej nie powiem! Sprzątnęła mi awans sprzed nosa!

- Przed chwilą mówiłaś, że zasługuje na traktowanie fair. Teraz znowu wymyślasz jej od ostatnich. Daj spokój, a przynajmniej bądź konsekwentna.

Dee zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że trzymasz moją stronę!

Maeve odłożyła widelec.

- Trzymam, trzymam, ale nie powinnaś wszczynać wojny, która może trwać latami. Isabel postępowała wobec ciebie uczciwie...

- Jak na razie - wtrąciła Dee.

- Jak na razie. Może to test, tak jak sztuczki Carol-Anne. Jeśli zaczniesz wojnę, może ona potrwać tak długo, jak długo Isabel będzie szefową, czyli nawet całe lata. Chcesz tego?

- Nie. Ale jej nie ufam.

- W porządku. Po prostu daj jej szansę, Dee. Tylko tyle chciałam ci powiedzieć.

- A co z tym pączkiem? - Dee nie mogła się uspokoić. - Cały ranek nad tym myślałam. Może mi go dała, bo uznała, że jestem strasznym żarłokiem i będę, dosłownie, jadła jej z ręki za jedno ciastko?

- Dee! - Maeve opadły ręce. - Czasami pączek to tylko pączek. Masz obsesję, nie doszukuj się podtekstów w każdym drobiazgu. Idę o zakład, że mnie też by poczęstowała, gdybym kiepsko wyglądała.

- Może tak. - Dee nie była przekonana. - Ona jest taka szczupła, Maeve. Przy niej czuję się jak hipopotam. Ciekawe, czy jest na diecie. A jeśli tak, na jakiej?

- Prawdopodobnie, tak jak ja, może jeść co chce i nie tyje. - Maeve z rozkoszą zabrała się za szarlotkę.

- No, świetnie. - Dee przewróciła oczami. - Dwa takie zjawiska w jednej redakcji. Od jutra zacznym się odchudzać. Przechodzę na płatki z błonnikiem.

- Nie wiem, jak możesz to jeść - zauważyła Maeve. - Przecież to smakuje jak tektura.

-1 o to chodzi. Jest tak ohydne, że psuje ci apetyt na inne rzeczy, a jednocześnie wypełnia żołądek. Ta dieta odmieni moje życie.

Po lunchu Dee i Isabel przez dwie godziny omawiały, jak ulepszyć dział kobiecy. Kiedy Isabel zaproponowała duży wywiad co tydzień, Dee nie mogła opanować entuzjazmu. Dokładnie tym chciała się zajmować od lat.

- Doskonały pomysł! - krzyknęła. Oczy jej rozbłysły.

- Chciałabyś przeprowadzić pierwszy? - zapytała Isabel. - Miałabyś czas do poniedziałku wieczorem.

- Z wielką chęcią.

- A więc załatwione.

Kwadrans po czwartej kac Dee ustąpił miejsca zmęczeniu. Nagle ledwo starczyło jej energii napisanie. Najchętniej poszłaby do domu wcześniej, ale przecież nie może tego robić dwa dni pod rząd.

Isabel przeszła obok jej biurka z naręczem starych gazet. Uśmiechnęła się przy tym szeroko. Może powinna jednak urwać się do domu... niewiele z niej będzie pożytku do końca dnia, zresztą wcześniej odwaliła kawał dobrej roboty.

Co tam, ucieka stąd. Drzemka przed powrotem Gary'ego dobrze jej zrobi. Jako przeprosiny ugotuje mu pyszny obiad. Co prawda w domu nie ma nic do jedzenia, ale wskoczy do supermarketu po zakupy. Placek z mięsem, o tak. To jego ulubione danie. Nigdy wcześniej go nie robiła, ale chyba nie jest bardzo trudne?

Szybko ułożyła papiery na biurku i wyłączyła komputer. Akurat w tej chwili przy jej biurku zjawił się Nigel Burke. Uśmiechał się od ucha do ucha, jak kot, który się opił śmietanki.

- Jak leci, Dee? - zapytał. - Dogadujesz się z nową szefową?

- Eee, tak - bąknęła. Znacząco spojrzał na zegarek.

- Chyba trochę za wcześnie do domu, co?

- Sama ją odesłałam - usłyszeli spokojny głos. Isabel patrzyła Nigelowi prosto w oczy. - Jutro będzie pracowała do późna, ma zrobić wywiad, a dzisiaj i tak odwaliłyśmy kawał roboty.

- Dopóki wy, dziewczęta, się dogadujecie, ja nie mam nic przeciwko - wycofał się pospiesznie. - Jutro chcę się spotkać z wami dwiema - dorzucił energicznie, zanim odszedł.

- Dzięki. - Dee była zdumiona.

- Naprawdę dużo dzisiaj zrobiłaś, Dee. Nie jestem zwolenniczką stałego czasu godzin pracy. W naszej branży lepiej się sprawdzają ruchome godziny - odparła Isabel. - Do zobaczenia jutro.

Dee powoli wsiadła do samochodu. Nic nie było tak, jak się spodziewała. Zamiast się boczyć, kłócić, sprzeciwiać Isabel na każdym kroku, pracowała z nią ręką w rękę przez cały dzień. A na koniec szefowa broniła jej przed naczelnym!

Na razie Isabel okazała się całkowitym przeciwieństwem tego, czego Dee oczekiwała. No, ale to dopiero początek.

7.

Dee wykręcała się na wszystkie strony, żeby jak najdokładniej obejrzeć się w lustrze. Nie, nie ma najmniejszych wątpliwości - w tej sukience wygląda okropnie. Kreacja z zielonego jedwabiu na wieszaku zdawała się odpowiedzią na jej błagalne modły. Była droga i wręcz emanowała klasą i szykiem, dlatego Dee uznała ją za idealną na uroczyste połączenie węzłem małżeńskim rodów Delahuntych i Thomasów.

Niestety, na Dee, która dojrzała już do przyznania się sama przed sobą, że nosi rozmiar szesnasty, suknia wyglądała, jakby się skurczyła o dobrych kilka numerów. W zielonym jedwabiu jej pośladki przypominały worek fasoli, nie wspominając o brzuchu. Nawet wyszczuplające rajstopy nie dokonają cudu, zresztą ich szew byłby widoczny pod cieniutkim materiałem.

Z trudem rozsunała zamek błyskawiczny. Dziękowała losowi, że wybrała się po zakupy do jednego z najbardziej ekskluzywnych sklepów w Dublinie. Nie szkodzi, że większość kreacji kosztuje więcej niż przeciętny robotnik zarobi w tydzień - przynajmniej mają tu osobne przymierzalnie.

Myśl o publicznych przymierzalniach w zwykłych domach towarowych działała na nią jak kubeł zimnej wody. Ilekroć do nich zajrzała, tłoczyły się tam chude jak patyki nastolatki w mikroskopijnych skrawkach lycry i martwiły się, czy nie wyglądają za grubo. Ludzie tacy jak Dee przyglądali się im z rozpaczą, po czym dokonywali cudów zręczności, przymierzając ubrania tak, by nie pokazać ani centymetra skóry i ani wałeczka tłuszczu.

Tu, w „Brown Thomas”, ekspedientka dyskretnie czekała na zewnątrz. Przez kotarę zapytała, czy coś podać, zamiast bezczelnie wtykać głowę do kabiny.

- I jak sukienka? - zapytała taktownie.

Wyglądam jak zlane zielonym sprayem, pomyślała ponuro.

- Nie, nie pasuje do mnie.

Robiło jej się słabo na myśl, że ma się ubrać i na nowo desperacko wędrować wzdłuż wieszaków. Zazwyczaj kupowanie ubrań sprawiało jej wielką przyjemność, wyjątek stanowiły zakupy na specjalną okazję. Wtedy zawsze okazywało się, że jakimś cudem znikły wszystkie wspaniałe, wyszczuplające kreacje, na widok których skręcało ją z zachwyty i żalu, że nie ma tyle pieniędzy. Stawała na głowie, żeby wyszukać coś znośnego.

Dokładnie to samo miało miejsce dzisiaj. Co gorsza, zdawała sobie sprawę, że niedługo nie znajdzie dla siebie nic mniejszego niż namiot. Wystawiła głowę zza zasłony.

- A może pani widzi coś dla mnie?

Sprzedawczyni uśmiechnęła się radośnie.

- Mam kilka sukienek, które mogłaby pani przymierzyć, ale osobiście polecałabym kostium.

- Nie chcę klasycznego kostiumiku do kolan, w pastelowych kolorach, jakie się nosi tylko na śluby i nigdzie indziej - sprzeciwiła się Dee. Oczywiście wyobraźni widziała, jak niknie wśród tłumu podobnie ubranych kobiet.

- Proszę się nie obawiać, to coś w zupełnie innym stylu.

Pół godziny później rozpromieniona Dee wędrowała Grafton Street radośnie wymachując torbą z nazwą sklepu. Kostium był świetny i doskonale na niej leżał. Brakuje jej jedynie opalenizny, jakby dopiero co wróciła z Hiszpanii, ale naprawi to samoopalaczem.

Ciemnorudy kostium składał się z krótkiej spódniczki i żakietu o długich połach. Biała bluzka - wybrała ją mając w pamięci strój Isabel - była na tyle głęboko wycięta, że jeśli zdejmie żakiet, będzie wyglądała pociągająco. O ile odważy się zdjąć żakiet.

Oczywiście, wydała mnóstwo pieniędzy, dobre ciuchy w rozmiarze większym niż czternastka kosztują krocie. Uznała jednak, że było warto - wygląda tak ładnie, i tak bardzo poprawił jej się humor.

Nawet wredna Margaret Redmond nie będzie mogła narzekać na gust przyszłej synowej! Nie tym razem! A Dee będzie się chwaliła awansem na zastępcę redaktora działu kobiecego i tym, że jest najmłodszą osobą w historii gazety, której zaproponowano to stanowisko. Bomba!

Cóż, naprawdę jest najmłodszą osobą na tym stanowisku. Margaret nie musi wiedzieć, że zarazem pierwszą i jedyną.

Gdyby umiała, zagwizdałaby co sił w płucach. Co za cudowny dzień! Rano przez dwie godziny rozmawiała z jedną z najbardziej znanych kobiet w irlandzkim biznesie. Wywiad okazał się bardzo udany. Donna Fratelli była miła, ale i twarda - nic dziwnego, przecież sama wyprowadziła podupadającą rodzinną firmę na szerokie wody. Była także bardzo praktyczna, rzeczowa i dowcipna. Jej poczucie humoru dawało się doskonale przekazać w tekście.

Na pytanie Dee, czy jest jakiś mężczyzna w jej życiu, nie odpowiedziała bezpośrednio. Mężczyźni boją się kobiet sukcesu, zaczęła.

- Wie pani, gdybym dostała pensa za każdego faceta, który przechwala się przede mną, jaki to z niego biznesmen, a potem ucieka gdzie pieprz rośnie słysząc, co ja osiągnęłam, miałabym dwa razy większy dom - stwierdziła Donna.

Dee zrobiło się jej żal. Donna zbliżała się do czterdziestki, była bardzo atrakcyjna - ciemnowłosa i ciemnooka - bogata jak Krezus i najwyraźniej bardzo samotna.

- Proszę mi uwierzyć - zakończyła - sukces kobiety odstrasza mężczyzn skuteczniej niż kastracja.

Perełka, nie zdanie, idealne zakończenie wywiadu. Było to zarazem bardzo smutne, wiele mówiące stwierdzenie.

Droga Annie Moi przyjaciele uważają, że mam wszystko - pieniądze, karierę, urodę. Ja

tymczasem jestem samotna. Mężczyźni, których poznaję, są albo żonaci, albo nie chcą się wiązać, albo uciekają na wieść o moich sukcesach zawodowych. Czy naprawdę jestem Królową Śniegu? (Tak mnie nazwał jeden facet).

Kobieta Sukcesu Droga Kobiety Sukcesu Nie jesteś Królową Śniegu. To określenie źle świadczy nie o tobie, tylko o mężczyźnie, który tak cię nazwał. Obawia się niezależnych kobiet, zdolnych wziąć ster w swoje ręce. Sam nie jest w stanie tego dokonać, więc mści się dokuczając ci i pomniejszając twoje osiągnięcia.

Prawdziwy problem to fakt, że jesteś zamożna i robisz karierę. Tym samym coraz bardziej oddalasz się od wyobrażenia przeciętnego mężczyzny o kobiecie. Potrzebny ci człowiek, którego nie przeraża twój majątek ani przedsiębiorczość. Prawdopodobnie on sam również odniósł sukces. Jestem przekonana, że kiedyś, pewnego dnia...

- Dee, widzę, że jest pani zaręczona. - Donna zauważyła pierścionek na jej palcu.

- Tak - uśmiechnęła się ciepło. To nie do wiary. Donna miała fantastyczną biżuterię, w tym pierścienie z platyny na szczupłych palcach, a mimo to zazdrośnie patrzyła na jej skromny pierścionek z brylantem.

-I narzeczony nie ma nic przeciwko temu, że pani pracuje i jest niezależna?

- Nic a nic - zapewniła.

I to prawda, pomyślała, płacąc za parking. Gary bardzo się ucieszył z jej awansu. Wybaczył jej i pijaństwo, i to, że go uderzyła. Od razu pobiegł po szampana, żeby mieli czym popić jej placek z mięsem.

- Pomyśl, udana z nas para - rozmarzył się wieczorem. Jedną ręką obejmował Dee, w drugiej trzymał kieliszek. - W styczniu zaproponują mi partnerstwo w firmie, ty pracujesz w „Sentinelu” na szczelbu kierowniczym. Nieźle, co?

Dee wtuliła się w niego mocniej. Nie gniewał się już i cieszył jej awansem.

Jego entuzjazm był zaraźliwy. Koniec końców kochali się na kanapie, na wpół ubrani. Zdarzyło się im to po raz pierwszy od miesiący. Na samo wspomnienie Dee robiło się gorąco.

Jedyną chmurką na horyzoncie była jej waga. Gary zaproponował, żeby zapisali się do fitness klubu, najlepiej jednego z tych supernowoczesnych i bardzo drogich w centrum miasta.

- To nam dobrze zrobi - pieszczotliwie dźgnął Dee łokciem pod żebro. - A skoro jesteś wschodzącą gwiazdą dziennikarstwa, powinnaś pozbyć się zbędnych kilogramów, na które ciągle narzekasz. Już cię widzę w takiej długiej szyfonowej sukni na przyjęciu gwiazdkowym, szczupłą i seksowną. Inni faceci oszaleją z zazdrości. - Pocałował ją w kark. Zastygła w bezruchu.

- Daj spokój, Dee - zaprotestował, wyczuwając jej napięcie. - Wiesz przecież, że kocham cię taką, jaka jesteś. Uwielbiam twoje rubensowskie kształty. To ty w kółko powtarzasz, że chcesz

schudnąć, a ja chcę ci w tym pomóc. Nie rozumiesz, kochanie?

Ilekcóć patrzył na nią w ten sposób, prosząco i żałośnie, ulegała mu. Przecież on chce tylko pomóc. To fakt, sama ciągle narzeka na swoją figurę.

- Wiem - mruknęła w końcu.

- Może aerobik? Dziewczyny w biurze mają świra na tym punkcie - zaproponował. - Jutro popytam.

Dee ma szczęście i musi sama zacząć to doceniać. Obiecała sobie przestać utyskiwać, że Gary nie sprząta. Jej ciągle gderanie nie skutkowało. Jedynym rezultatem była lodowata atmosfera między nimi. Od dziś, przysięgła uroczyście, będzie nową kobietą - chłodną i opanowaną. Już nigdy nie wpadnie w furję, bo zapomniał opuścić deskę klozetową albo nie wyprał sterty swoich skarpet. Tak, tak, tak. Nowa Dee O'Reilly nie da się wyprowadzić z równowagi intrygami w pracy i nauczy się konwersować z Margaret Redmond bez myślenia o tym, że najchętniej by ją udusiła gołymi rękami.

Jestem zbyt uczuciowa, niespokojna, uznała. Wszystko przez ogniste włosy O'Reillych, żartował ojciec. Dee jako jedyna odziedziczyła koloryt po dziadku ze strony ojca, wybuchowym Irlandczyku z Cork.

Dziadek O'Reilly umarł jako nieszczęśliwy człowiek. Nikt z krewnych z nim nie rozmawiał. Nie chciała tak skończyć. Co z tego, że Gary nie pomaga w domu? Jej ojciec nie odróżniał jednego końca szczotki od drugiego, a matka jakoś dawała sobie radę. To tylko kwestia odpowiedniej organizacji.

8.

Dee uśmiechnęła się widząc, jak najmłodsza drużna delikatnie wyplątuje z włosów różową wstążkę, beztrąsko rzuca ją na trawnik, po czym siada i ściąga pantofelki. Dokonawszy tego, czterolatka pognęła do ogrodu z okrzykiem radości, a w ślad za nią - rasowy dalmatyńczyk Delahuntych.

Jak na razie był to jedyny przejaw naturalnego zachowania na weselu. Całe wydarzenie stanowiło w oczach Dee szczyt snobizmu i sztuczności. Zastanawiała się poważnie, czy aby Yvonne Smyth, z domu Delahunty, nie zatrudniła specjalisty z pisma „Bride Magazine”, żeby zorganizował ślub idealny.

Widziała to oczyma wyobraźni: Yvonne odsuwa kosmyk długich, tlenionych włosów pulchną wymanikiowaną ręką i mówi: „To ma być ślub roku, prawdziwe dzieło sztuki”.

Niestety, efektem było nie dzieło sztuki, ale sztuczna impreza, stwierdziła Dee kwaśno. Ceremonia przypominała spektakl w operze. Chór wyglądał pretensjonalnie w długich sukniach, Simon i druzbowie śmiesznie we frakach, a trzej księża przy ołtarzu mieli chyba stanowić trzykrotne potwierdzenie, że Yvonne naprawdę wyszła za mąż.

Kościół wręcz tonął w różowych kwiatach i wiązkach. Tren sukni panny młodej był tak długi, że niosło go sześć druhen w różowych sukienkach, a sześć małych dziewczynek sypało kwiatki. Pomagał im bardzo naburmuszony chłopczyk w aksamitnym ubranku.

W posiadłości Delahuntych na orszak weselny czekał kwartet smyczkowy. Zawzięcie pastwili się nad „Czterema Porami Roku” Vivaldiego. Kelnerzy w czarnych frakach roznosili szampana w prawdziwych kryształowych kieliszkach, co nie uszło uwagi Dee. Goście skwapliwie sięgali po maleńkie kanapeczki z łososiem. Obiad podadzą najwcześniej za godzinę, bo dwóch fotografów dopiero zabierało się do pracy.

Miejmy nadzieję, że zabrali dużo pończoch, żeby zakładać na obiektywy i tym sposobem nadać zdjęciom romantyczny charakter, pomyślała Dee. Yvonne bowiem, mimo niezliczonych lekcji tenisa, gimnastyki i sesji w salonie piękności, nawet w sukni wartości małego samochodu nie była zapierającą dech w piersiach piękną.

Stanowiła również wyjątek od reguły, że w przedślubnym stresie przyszłe panny młode gubią dobrych parę kilo. Przeciwnie, w kreacji z brukselskiej koronki wyglądała, jakby jeszcze utyła, odkąd Dee ostatni raz ją widziała.

Gdyby miała w sobie choćby odrobinę ciepła, gdyby nie była tak niemożliwie rozpuszczona, cieszyłaby się większą sympatią. Dee współczuła jej z powodu bioder, które rosną na sam widok sernika, bo знаła ten problem z autopsji. Yvonne jednak była tak pewna siebie, tak gorąco wierzyła, iż od wynalezienia tosterka świata nie spotkało większe szczęście niż ona, że krytykowanie jej sprawiało Dee perwersyjną przyjemność.

W dodatku ciągle ubolewała nad złośliwą uwagą na temat „tej okropnej gazety, w której pracuje Dee”. Gary nie cierpiał Yvonne i twierdził, że jego kuzyn żeni się z nią tylko dlatego, że jej ojciec jest właścicielem dużej kancelarii adwokackiej.

- Straszna z niej snobka - narzekał półgłosem. Podał Dee kieliszek szampana. Jest najprzystojniejszy ze wszystkich, stwierdziła z zadowoleniem. Falujące włosy zaczesał do tyłu, tak że odsłaniały jego silne, męskie rysy. Spoglądał promiennym wzrokiem na Dee ubraną w nowy, piękny i bardzo drogi kostium.

- Skoro Yvonne jest snobką, to i Simon - odcięła się. Z trudem powstrzymała się od dodania: „I twoja matka też”.

- No, nie jest aż tak źle - Gary nieco spuścił z tonu. - Ale podobno wpadła w histerię, kiedy jej powiedzieli, że zamiast szampana Cristal podadzą Moeta.

Nie mogła w to uwierzyć.

- Co za rozpuszczony bachor! Ciekawe, czy ma choćby blade pojęcie o prawdziwym świecie? To nie do wiary.

Pokręcił głową.

- Wątpię. Może Simon sprowadzi ją na ziemię. Jest uparty. Może przy nim zrozumie, że tatuś nie będzie za wszystko płacił i nauczy się oszczędzać.

- Oszczędzać? - Parsknęła śmiechem. - Yvonne uważa, że robi doskonały interes, wydając na spódnicę tylko sto pięćdziesiąt funtów! Pewnie sądzi, że „normalne życie” to nazwa hiper-ekskluzywnego butik w Londynie, gdzie na wejście pokazujesz złotą kartę American Express i powołujesz się na przyjaźń z Nicole Kidman.

Gary parsknął śmiechem.

- Dee, jesteś niezastąpiona. - Pocałował ją czule. - A w tym kostiumie wyglądasz słodko. Mam ochotę cię zjeść.

Spojrzała na niego spod oka.

- Może zakradniemy się na górę i poszukamy pokoju gościnnego? - zaproponowała. - Twoja mama bez przerwy powtarza, że mają tu aż dziesięć sypialni, więc chyba się nie obrażą, jeśli skorzystamy z jednej?

- Nie kuś - szeptał. Dyskretnie wsunął rękę pod jej zakiet i dalej, pod bluzkę. Dee oparła się o niego, nagle ogarnęła ją fala podniecenia. Połączenie szampana, wypitego na pusty żołądek, i słońca sprawiło, że miała ochotę na seks.

Co więcej, była świadoma tego, że w nowym kostiumie wygląda rewelacyjnie, a nic nie jest lepszym afrodyzjakiem niż świadomość własnej urody.

- Gary i Deirdre... - zbliżała się do nich Margaret Redmond w towarzystwie kobiety o końskiej szczęce. Gary wyrwał rękę spod bielizny Dee.

- ...Czy poznaliście już panią de Vere-Smyth? Jej syn studiuje w Londynie, na tym samym wydziale, co kilku twoich kolegów, Gary. A jej mąż - tu Margaret znacząco zniżyła odrobinę głos - pracuje w bankowości.

- Doprawdy? - Dee była wściekła, że zakłócono jej i Gary'emu jedyne chwile sam na sam. - To fascynujące. Przepraszam, muszę z kimś natychmiast porozmawiać.

Zostawiła Margaret z szeroko otwartymi ustami i podbiegła do Millie, żony Dana, starszego brata Gary'ego.

Millie siedziała samotnie na białej ławeczce z kutego żelaza, z talerzem kanapek na kolanach. Dan, jako družba Simona, uwiecznił się na niezliczonych fotografiach.

- Widziałam, jak uciekłaś - wybełkotała Millie z pełnymi ustami.

- Musiałam. - Dee ciężko usiadła obok. - Wystarczająco mnie zmordowała przez półtorej godziny w samochodzie. Nie chcę przez całe przyjęcie słuchać o jej wspaniałych synach, wspaniałym domu, wspaniałych rzeczach, które robi dla biednych, i ostatecznie wystawie, na jakiej była. Ten potwór nie zauważyłby dobrego obrazu, choćby spadł jej na głowę. Jest straszną snobką. - Dee podkraśniała Millie jedną kanapkę.

- Myślałam, że jesteś na diecie w związku z waszym wyjazdem do Portugalii - zauważyła mimochodem. - Ojej, jakie to dobre.

Millie uśmiechnęła się lekko.

- Nie mów nikomu, zwłaszcza mojej teściowej, ale jem za dwoje. - Znacząco poklepała się po brzuchu.

- Wspaniale! - Dee ucieszyła się szczerze. - Moje gratulacje! Od kiedy? Jeszcze nic nie widać.

Millie była pulchna, jak zwykle. Jasna sukienka i biały sweter podkreślały jej delikatną karnację i złociste włosy. Uśmiechnęła się ponuro.

- Dopiero trzeci miesiąc, a już przytyłam cztery kilo. W tym stroju nic nie widać, ale na co dzień - i owszem. Nie chcieliśmy na razie nikomu mówić. Margaret mnie zameczy, kiedy się dowie. Wyobrażasz to sobie? Nie jedz tego, nie rób tamtego, a pracować w czasie ciąży... Bój się Boga!

Roześmiały się obie. Millie była żoną Dana od pięciu lat. Pracowała w banku. Dee zaprzyjaźniła się z nią od razu. Obu nieźle się dostało od Margaret. W jej oczach żadna z nich nie nadawała się na synową. Millie jednak nie była tak wrażliwa jak Dee i ukłucia teściowej rzadko sprawiały jej ból. Dee tymczasem często cierpiała, chociaż starała się tego nie okazywać.

- Mam termin na koniec listopada, więc chcę pracować do początku miesiąca - tłumaczyła Millie. - Margaret dostanie szału, kiedy się dowie, że nie chcę siedzieć w domu z nogami w gorze i czekać na narodziny jej pierwszego wnuka. Ale w domu zanudziłabym się na śmierć, a nie

jestem przecież szczególnie wåtła ani nic.

Sięgnęła po kanapeczkę.

- Chyba wyobraża sobie swoje synowe jako małe, bezradne stworzonka. Jej zdaniem to bardziej eleganckie. Nigdy się do końca nie pogodziła, że pochodzę z wielodzietnej chłopskiej rodziny. - Millie była najmłodsza z jedenastki rodzeństwa. - Duże rodziny są bardzo prowincjonalne, wiesz.

- Cóż, wy macie przynajmniej dużą farmę i szacunek lokalnej społeczności - Dee zręcznie naśladowała nosowy akcent Margaret. - Ale mnie nigdy nie daruje ojca mechanika i matki, która sprząta w szkole. - Wbrew jej zamierzeniom, zabrzmiało to gorzko. Dee była w gruncie rzeczy dumna z rodziny. - Wszyscy O'Reilly'owie pracują ciężko, zawsze tak było - powiedziała. - Nikt z nas nie wyciąga ręki po zapomogę, a to, że moja mama nie ma rodowych sreber, a ojciec zamiast do filharmonii chodzi do pubu oglądać mecz w telewizji, nie znaczy, że Margaret Redmond może się wywyższać! - Urwała gwałtownie, świadoma, że za bardzo dała się ponieść emocjom.

Millie poklepała ją po kolanie.

- Nie denerwuj się, Margaret nie jest tego warta. Obiecuję, że zadbam, abyś była w pobliżu, kiedy jej powiem, że mimo ciąży będę pracowała dalej. Nie mogę się doczekać jej miny! Na szczęście Dan nie pozwoli matce na żadne paskudne uwagi.

Oto podstawowa różnica między braćmi, zauważyła Dee. Dan sprzeciwiał się Margaret, zawsze stawał w obronie Millie. Gary tymczasem wolał być jej pupilem, najmłodszym, beniaminkiem, więc przymykał oczy na jej wady, nawet jeśli zachowywała się karygodnie wobec Dee.

Muzycy dali spokój Vivaldiemu i zabrali się za kiczowatą wersję marsza weselnego. Przy wtórce muzyki pojawiła się rozpromieniona Yvonne w towarzystwie druhen.

Dan podbiegł do żony z kieliszkiem szampana. W spodniach w prążki jego długie nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Nie był nawet w połowie tak przystojny jak Gary, poza tym zaczynał łysieć, za to był prawdziwym dżentelmenem i uwielbiał żonę.

- Jak się masz, Millie? - Pocałował ją w czoło. - Zachowałaś dla mnie coś do jedzenia?

- Niestety, okazałam się łakomą świnką i sama wszystko spałaszowałam. Ale nie martw się, zaraz podadzą lunch. - Millie wsadziła mu w usta ostatnią kanapkę. - Umieram z głodu. Powiedziałam Dee o dziecku. Dzisiaj powiemy też twojej mamie, żeby zdążyła wydziergać wyprawkę na drutach.

- Moje gratulacje. - Dee cmoknęła go w policzek. Dan pękał z dumy.

- Zapraszam państwa do namiotu, obiad podano - zaanonsował uroczyście kelner.

- Czy dwie piękne damy dotrzymają mi towarzystwa? - Dan wyciągnął do nich ręce.

- Może poczekamy chwilę, inaczej nas stratuują. - Dee obserwowała, jak wygłodzeni goście

weselni szturmują pasiasty namiot.

- Nie wiadomo, po co się tak spieszą - zauważył Dan. - I tak przy nakryciach są bileciki z nazwiskami.

- Wypisane ręcznie złotym atramentem na czerpanym papierze, w srebrnych podstawkach, zgadłam? - rzuciła Millie złośliwie.

- Ma się rozumieć - odparła Dee. - A ty co sobie myślałaś, Millie? Że to zwykły ślub? Roześmiali się zgodnie.

- Spodziewam się, że ty i Gary wyprawicie podobne wesele - zażartowała Millie. - Szampan, kwartet smyczkowy, drogie zakąski i tuzin druchen, które obsypią cię płatkami róż, gdy będziesz szła do ołtarza.

- Nie licz na to - odparła. - Moja rodzina nie lubi takich imprez.

- Za to Margaret tak - szepnęła Millie z uśmiechem.

Robin przejechała palcem po parapecie i obejrzała go z niesmakiem.

- Tu jest brudno - oznajmiła.

Isabel zamknęła szafę na bieliznę i spojrzała na córkę znużonym wzrokiem.

- Robin, to tylko brud. Posprzątam. Postaraj się nie zwracać uwagi na odrobinę kurzu.

- Odrobinę kurzu? - Robin zachnęła się wychodząc z pokoju w butach na platformach. - Nie będę spała w chlewie.

Nie chcąc powiedzieć czegoś, czego by potem żałowała, Isabel przeszła do małego saloniku. Co do jednego zgadzała się z Robin - w domu przy Eagle Terrace dwanaście było brudno. Mały, przytulny domek o trzech sypialniach byłby śliczny, gdyby poprzedni właściciel choć raz zadał sobie trud, by go pomalować.

Obdrapane ramy okienne i obłaząca farba nadawały mu posępny wygląd już od ulicy. W środku było niewiele lepiej. Wystrój kuchni sięgał lat sześćdziesiątych. Fioletowe esy floresy przypominały modne niegdyś tkaniny od Gucciego. Na koszulach wyglądały wspaniale, ale nie na tapetach.

Salonik, utrzymany w tonacji ciemnej purpury, przywodził na myśl podupadły burdel. Sypialnie na piętrze miały niegdyś białe ściany i brązową wykładzinę na podłodze. Malutka łazienka przerażała odcieniem wściekłego różu. Mówiąc krótko, nawet w okularach słonecznych można dostać zawrotu głowy, podsumowała Isabel.

Mocowała się z oknem w saloniku, chcąc się przekonać, czy ogródek na tyłach naprawdę jest taki straszny, jak jej się zdawało. Od drzwi kuchennych widziała wąski pas chwastów, pośrodku którego, niczym gigantyczny pająk, usadowił się stary grill. Okno otworzyło się gwałtownie. Niestety, widok z saloniku był nie lepszy niż z kuchni. Zrezygnowana odeszła od okna.

Dom jest paskudny, trzeba go gruntownie odnowić, za to - tani. Poza tym, przynajmniej na

pierwszy rzut oka nie odkryła żadnych poważnych usterek. Ogrzewanie działało, przed bramą czekało miejsce na samochód. Stał przy cichej, wąskiej uliczce, w spokojnej dzielnicy, więc nie martwiłaby się o dziewczęta w ciemne zimowe popołudnia. Co ważniejsze, niedaleko mieszkali jej rodzice, czyli dziewczynki mogłyby u nich zostać, gdyby miała wrócić później.

Robin zbiegła ze schodów.

- Sypialnie są małe - narzekała.

- Nieprawda.

- No, nie są takie duże jak w domu - Robin dąsała się nadal.

A czyja to niby wina? - chciała warknąć Isabel. Twojego cholernego ojca, nikogo innego. Gdyby nie jego głupie pomysły, nie stracilibyśmy domu, nie musiałybyśmy wyjeżdżać z Oxfordu. A ja nie musiałabym zapożyczać się u rodziców, żeby było mnie stać choćby na tę ruinę. I nie musiałabym zadłużać się po uszy.

Milczała. Czekala, aż gniew opadnie.

Biedna Robin. Naomi była córeczką Isabel, obecność matki wystarczała jej do szczęścia, chociaż tęskniła za ojcem. Robin natomiast uwielbiała Davida. Bardzo przeżywała ich rozstanie i musiała na kimś wyładować złość. Tym kimś była oczywiście Isabel.

W tym momencie wrócił agent handlu nieruchomościami. Żegnał się z innymi oglądającymi.

- I co pani na to? - Zadał to pytanie takim tonem, jakby pokazał jej co najmniej ekskluzywny apartament, a nie domek tak brudny, że stanowił zagrożenie dla życia i zdrowia.

- Zastanowię się - odparła Isabel.

- Chciałbym zwrócić pani uwagę na fakt, że nieczęsto się zdarza, by na rynek trafiała nieruchomość w tak niskiej cenie - zauważył od niechcenia. - Nowi właściciele chcą po pierwsze pozbyć się domu jak najszybciej, po drugie wymaga on odrobiny pracy.

Isabel miała nadzieję, że Robin nie słyszała słów „nowi właściciele”. Gdyby wiedziała, że poprzedni lokator umarł we śnie, uciekłyby z wrzaskiem. Agent wzruszył ramionami.

- Inni są również zainteresowani, wie pani.

- Dziękuję. Niedługo się z panem skontaktuję. Chodźmy, Robin - skinęła na córkę.

- Co powiesz na kawę i ciastko? - zapytała, kiedy wyszły na dwór.

- Super! - Robin rozpromieniła się natychmiast. W gruncie rzeczy jest jeszcze dzieckiem, chociaż bardzo chce uchodzić za dorosłą. To spostrzeżenie rozczuliło Isabel. Właściwie dobrze, że Naomi złapała grypę. Dzięki temu może porozmawiać poważnie ze starszą córką. Może to poskutkuje.

Po kawie, dwóch ekierkach i czekoladzie na gorąco, Isabel przedstawiła swój punkt widzenia.

- Robin, musimy mieć własny kąt, zdajesz sobie z tego sprawę. Twój ojciec jest w Anglii.

Ubiegam się o pożyczkę w towarzystwie budowlanym, a to nie jest proste. Zazwyczaj udzielają pożyczek parom, gdzie dwie osoby pracują. Ja jestem sama, więc dostanę mniej pieniędzy, rozumiesz, prawda?

Robin spochmurniała. - Tak.

- I dlatego oglądamy domy tańsze niż nasz w Oxfordzie. Nie stać mnie na nic lepszego.

- A tata? Nie przyjedzie do nas?

Isabel upiła łyk kawy.

- Robin, wiesz przecież, że twój ojciec i ja jesteśmy w separacji. Nie mam pojęcia, co będzie dalej. Kocham go i wiem, że ty także...

Robin miała łzy w oczach.

- ...ale stracił wszystkie nasze pieniądze. To nie jest najgorsze - dodała pośpiesznie. - Najgorsze, że zaprzepaścił dom, który stworzyliśmy dla ciebie i Naomi. Z tym nie mogę się pogodzić i dlatego się rozstaliśmy. Ryzykował waszym bezpieczeństwem.

- Nie musiałaś od niego odchodzić - mruknęła Robin. - Załatwiłby to jakoś.

- Tego nie sposób załatwić, Robin. Byliśmy bankrutami. Gdybym została, nie miałibyśmy ani pensa. Nie mogłam na to pozwolić. Powrót do Irlandii był jedynym wyjściem. Proszę, zrozum - błagała Isabel.

Robin odepchnęła ciastko. Patrzyła na matkę zaciętym wzrokiem. Isabel się poddała. Robin była jak David. W tym nastroju nic jej nie przekona.

Isabel akurat prasowała, kiedy o siódmej wieczorem zadzwonił telefon. Robin była u swojej przyjaciółki Karen. Miała wrócić o wpół do dziewiątej. Naomi, opatulona w koc, oglądała telewizję. Rodzice Isabel poszli odwiedzić znajomego w szpitalu.

Ponieważ nikt nie wrzasnął: „Ja odbiorę”, Isabel sama podniosła słuchawkę. Nie był to nikt z małomównych znajomych Robin. Dzwonił David.

- Cześć, Izzy - powitał ją. - Co u ciebie? I u dziewczynek?

- Wszystko w porządku. Mam nową pracę.

- Tę, o której mówiła Robin?

- Tak. W „Sentinelu”. Jestem szefową działu kobiecego - wyjaśniła zwięźle. - I co, fajnie?

- Fajnie? - Nie wierzyła własnym uszom. - Nie, tyranie w pocie czoła na nowym stanowisku nie bawi mnie wcale.

Zignorował jej wybuch.

- Dobrze płacą?

- Tyle, że stać mnie na pożyczkę na dom - odparła jadownicie.

- W przeciwieństwie do mnie, tak, Izzy? - dokończył.

- Skoro sam to powiedziałaś... tak, w przeciwieństwie do ciebie - zgodziła się z goryczą. - Potrwa trochę, zanim załatwię wszystkie formalności, ale kiedy już kupię dom, zapłacę każdą ratę w terminie. Koniec z tekstami: „Och, Izzy, mam debet na koncie. Darujmy sobie ratę w tym miesiącu, zapłacimy im później, i tak nie zwracają na to uwagi”.

- Przecież tak było tylko kilka razy - sprzeciwił się.

- Kilka razy? - Aż się zatrzęsała z oburzenia. - Proszę cię, Davidzie. Może inni dają się na to nabrać, ale ja nie. Już nie - poprawiła się. - Kiedyś wierzyłam w twoje głupkowane tłumaczenia. Teraz przestałam. Dałeś mi ostrą lekcję. Na przykład zima w nieogrzewanym domu, bo zabrakło na piec. - Nawet teraz, kilka miesięcy po rozstaniu, zaskakiwała ją gorycz we własnym głosie. Wystarczył jeden telefon i miała ochotę go zabić, wtłoczyć mu z powrotem do gardła wszystkie obietnice bez pokrycia.

- Uspokój się, Izzy - poprosił leniwie. - Nie irytuj się. Matka działa ci na nerwy, co? Zawsze tak było.

Isabel starała się zachować panowanie nad sobą. Na próżno.

- To nie moja matka jest problemem, Davidzie, lecz ty - syknęła. - A przy okazji... nie odzywałeś się przez ponad dwa tygodnie. O ile ja obejść się bez ciebie do końca życia, twoje córki, choć tego nie rozumiem, tęsknią za tobą. Kochają cię, a ty nawet nie zadasz sobie trudu, żeby zadzwonić...

- Miałem pełne ręce roboty w nowej firmie. Jeździłem służbowo do Niemiec, dopiero co wróciłem. Wiesz, jak to jest - tłumaczył się.

- O, tak, wiem. Jak ma na imię? Heidi? Bettina?

- Jezu. - Teraz i on się zdenerwował. - Zawsze wykręcasz kota ogonem, co?

- A jak myślisz, dlaczego to robię? Wiem doskonale, jak się zachowujesz, kiedy na horyzoncie pojawia się coś lub ktoś nowy. Znam symptomy. Żaden interes nie budzi w tobie takiego entuzjazmu. - Nagle ogarnęło ją zmęczenie. Dlaczego w ogóle wdała się w tę dyskusję? Odeszła od niego, wszystko skończone. Może robić, co mu się żywnie podoba, z Heidi, Bettiną albo obiema naraz. Jeśli o nią chodzi, może sobie utrzymywać cały harem.

Liczy się tylko to, jak traktuje dziewczynki. Mógłby zapamiętać, że są na świecie dwie osoby, które kochają go całym sercem. Nie widział ich od miesiąca, odkąd złożył w Dublinie niezapowiedzianą jednodniową wizytę.

W typowym dla niego stylu zaplanował dzień pełen wrażeń: kręgle, obiad w McDonald's, kino, kolacja w restauracji „Planet Hollywood”. Nic dziwnego, że po jego wyjeździe Robin szlochała w poduszkę. Przez cały dzień z ukochanym ojcem nie miała ani jednej okazji, by z nim porozmawiać. Typowe dla niego. Nie znosił rozmów.

- Nie jestem dzieckiem, mam - skarżyła się zapłakana Robin. - Chciałam z nim pogadać, a

nie bawić się od rana do nocy.

Za to on nie chciał, pomyślała Isabel. Taki dzień pełen rozrywek ma jedną wielką zaletę - nie ma w nim czasu na poważne rozmowy. A poważnych rozmów ojciec nie lubi najbardziej, o czym biedna Robin sama się wkrótce przekona.

- Słuchaj, Davidzie - rzuciła energicznie. - Nie kłóćmy się. Chciałabym porozmawiać o dziewczynkach. Musisz dzwonić do nich częściej i odwiedzać je bardziej regularnie. Robin bardzo źle znosi rozstanie z tobą.

- Przyślij je do Londynu na weekend - zaproponował.

- Nie mogę, do cholery - zachnęła się. - Nie stać mnie na bilet dla obu, zresztą i tak nie wysłałabym ich samych. Naomi jest za mała. Bądźże realistą.

- Dobrze, dobrze. Wpadnę w weekend za dwa tygodnie. Mam dobrą wiadomość. Udało mi się spłacić odsetki, więc towarzystwo ubezpieczeniowe nie zajmie naszego domu. Co ty na to?

Zaniemówiła. Więc nadal są właścicielami domu! To świetnie. Po sprzedaży będzie mogła zapłacić pierwszą ratę na nowy dom. A David zacznie w końcu płacić na dziewczynki. Ciekawe, skąd wzięł pieniądze na odsetki?

- Domyślam się, o co mnie zaraz zapytasz, Izzy. Wszystko było zgodnie z prawem, słowo. To długa historia...

- Opowiedz.

- Opowiem, kiedy się zobaczymy.

- Teraz! - zażądała ostro. - Co miało znaczyć, że wszystko było zgodnie z prawem?

- Izzy, nie mogę teraz rozmawiać, spieszę się. Zadzwoń w przyszłym tygodniu. Czy dziewczynki są w domu?

- Naomi tak, Robin poszła do koleżanki - powiedziała cicho. Jeśli David nie chciał mówić, nic go do tego nie zmusi. - Naomi złapała grypę, biedactwo, i nie najlepiej jej idzie w szkole, więc spróbuj ją pocieszyć, dobrze?

- Nie musiałbym pocieszać jej przez telefon, gdybyś nie odeszła - zauważył miękko. - W starej szkole radziła sobie doskonale.

- Nie zaczynaj - jęknęła głośno.

- Tęsknisz za mną, Izzy? Bo ja za tobą bardzo. Nie ma żadnej Bettiny ani Heidi, przysięgam. Pewnie.

- Cześć, David. - Zawołała Naomi do telefonu. Po tej rozmowie nie mogła ponownie skupić się na prasowaniu.

Nie ma żadnej Heidi ani Bettiny, przysięgam.

Od kiedy jego przysięgi miały jakąkolwiek wartość?

Przysięgam, Izzy, ona dla mnie nic nie znaczy. To się zdarzyło, tak po prostu. Byliśmy

pijani, zdjęcia się udały. Wszyscy świętowali. Tylko raz, Izzy. Nie sprawiłbym ci przykrości naumyślnie. Kocham cię...

W przyszłym roku będzie lepiej, obiecuję. Interes rozwija się świetnie. Niedługo będziesz mogła przestać pracować. Pomyśl, kupimy domek w Portugalii. Co ty na to?

Żelazko syczało na koszulce Robin. Isabel prasowała zawzięcie. Niech go szlag trafi, jego i jego głupie plany. Nie nauczył się niczego na własnych błędach.

A ona?

Isabel powiesiła koszulę na wieszaku, sięgnęła po następną. Jestem jak David, uświadomiła sobie nagle. Po osiemnastu latach powinna w końcu przejrzeć na oczy. Ale nie, ona cały czas wmawiała sobie, że pewnego dnia wszystko się uda. Albo że David nagle wydorosleje i zdecyduje się na nudną posadę, która zapewniłaby mu stały dochód i poczucie bezpieczeństwa, tak potrzebne dzieciom.

Była głupia. On się nie zmieni. A ona nigdy nie miała dość siły, by odejść. Do tej pory. Jest bez grosza, ma kłopoty, ale przynajmniej dokonała właściwego wyboru. Taką przynajmniej miała nadzieję.

9.

Miałeś doskonały pomysł, Gary - stwierdziła Dee. - Kocham Wexford. Kocham słońce i wino. A najbardziej - pocałowała go delikatnie - kocham ciebie. Leniwie przeciągnęła się na leżaku i wyprostowała nogi, żeby się równo opaliły. Było bardzo gorąco. Taras hotelu „Ferrycarraig” był skąpany w sierpniowym słońcu. Goście podziwiali widok na zatokę, sączyli drinki. Ciszę zakłócały jedynie krzyki mew i śmiech pasażerów małej łódki, która wypływała na wody zatoki. Dee i Gary, w szortach i podkoszulkach, oddawali się błogiemu lenistwu. Niedawno zjedli pyszny lunch - sałatkę z krabów, którą popili połową butelki rozkosznie zimnego białego wina.

Błogi nastrój potęgowała cicha muzyka dobiegająca z baru i szmer rozmów innych gości. Spokoju nie zakłócały nawet nieliczne dzieci - upał sprawiał, że robiły się śpiące.

- Powinniśmy przyjeżdżać tu co tydzień - rzuciła Dee rozmarzona.

- Racja. Dzięki temu, że nie pracujesz już w tak zwariowanych godzinach, możemy wyjeżdżać częściej - zauważył. - Co powiesz na wypad do Amsterdamu w październiku? Kolega z pracy wyrwał się tam z żoną. Bawili się doskonale.

- Bardzo chętnie. - Nie ukrywała entuzjazmu. - Ale czy nas na to stać? Przecież powinniśmy oszczędzać na ślub i wesele. To jest, o ile kiedykolwiek ustalimy datę - dodała.

- Mam lepszy pomysł - zachował kamienną twarz. - Skoczymy do Las Vegas, gdzie nam udzieli ślubu sobowtór Elvisa. Będzie taniej. - Żartobliwie trącił ją w bok. - Żartuję tylko, wiem, że marzy ci się uroczystość z wielką pompą.

- Nieprawda!

- Jak to nie? A te sterty „Bride’s Magazine” pod łóżkiem to co? Pewnie śni ci się po nocach długa suknia z koronki, z trenem na pół kościoła i tuzinem drухen!

- Broń Boże! - Oddała mu kuksańca. - Jeśli liczysz, że wystąpię w białej sukni z krynoliną, jesteś w błędzie. Wyglądałabym jak czołg w firance.

- Przestań. Wcale nie. Nie masz dużej nadwagi. - Był zirytowany. - Masz obsesję na punkcie swojej figury, Dee. Daj sobie z tym spokój, dobrze?

Potulnie skinęła głową. Wiedziała, że nie lubi, kiedy się nad sobą użala. Nie rozumiał, jak to jest być kobietą z nadwagą, przekonaną, że wyglądałaby sto razy lepiej szczuplejsza o dwadzieścia kilo, z brzuchem jak deska do prasowania. Gary jadł za trzech i nie tył ani uncji. Dee wystarczyło rzucić okiem na ciasto czekoladowe i ważyła dwa kilo więcej. Ukradkiem wsunęła dłoń pod koszulkę i obmacała brzuch.

Jak to było w reklamie? Jeśli masz kilka centymetrów tłuszczu... ple, ple, ple. Miała dobrych kilka centymetrów, skonstatowała ponuro. Bóg jeden wie, przez ile lat musiałaby się

żywić płatkami dietetycznymi i odtłuszczonym mlekiem, żeby wyglądać jak bohaterki reklam telewizyjnych.

To nie w porządku. Przez cały tydzień, ze względu na weekendowy wyjazd, była bardzo zdyscyplinowana. Ograniczyła ilość cukru w kawie, na lunch jadła tylko sałatki, choć towarzyszyła Maeve, która odżywiała się jak koń i miała figurę modelki. Co więcej, zrezygnowała z batoników Mars do kawy. Niestety, nie mogła się oprzeć lodom czekoladowym raz na jakiś czas. Doprowadzą mnie do klęski, stwierdziła gorzko.

Gary dolał jej wina.

- Co powiesz na deser? - zapytał. - Mają tu sernik.

Sernik. Dee napłynęła ślina do ust. Sernik. Żadnego ciasta nie darzyła tak gorącym uczuciem. Problem w tym, że wieczorem idą na kolację, a nie może jednego dnia zjeść dwóch obfitych posiłków. Ukochane czarne spodnie i tak piły ją w pasie, a nie zabrała ze sobą sukienki z czarnego aksamitu. Gary bardzo ją lubił, bo wyglądała w niej jak w trzecim miesiącu ciąży.

- Nie, nie dam rady - skłamała. - Za to ty zamów i poproś o dwa widelce.

- No tak, żebyś zjadła mój kawałek? - Skrzywił się komicznie. - Wiesz co? Od razu wezmę dwie porcje.

Raz się żyje, pomyślała. W końcu jest na wakacjach.

- No, dobrze.

Po posiłku zaproponowała spacer nad zatoką, żeby spalili te miliony kalorii. Szli trzymając się za ręce, odprężeni, pogodni, szczęśliwi. Przed nimi wędrowała rodzina z trójką dzieci i rozbrykanym seterem.

- Tu jest cudownie - zachwyciła się Dee. - Tak spokojnie. Gary zerwał czerwony mak i wręczył jej z głębokim ukłonem.

- Szanowna pani, oto maleńki dowód mojej szaleńczej miłości.

- Moglibyśmy tu zamieszkać - rozmarzyła się. - Pomyśl tylko, codziennie chodzilibyśmy na takie spacerki, z dala od miejskiego zgiełku.

- Takie słowa z ust kobiety, która zachowuje się jak narkoman na głodzie po dwóch tygodniach z dala od pracy? - Nie wierzył własnym uszom.

- Nieprawda, już się tak nie zachowuję. Objął ją ramieniem.

- Przepraszam. Trzy tygodnie, ostatnimi czasy. Uchylił się, gdy żartobliwie uderzyła go kwiatkiem.

- Dobrze, dobrze, przyznaję, odkąd awansowałaś, jest sto razy spokojniejsza - uśmiechnął się.

- Naprawdę? - Zdziwiło ją to.

- Oczywiście. Kiedy pracowałaś w dziale informacyjnym, byłaś jak króliczek z reklam

baterii. Nigdy się nie zatrzymywałaś. Teraz jesteś mniej spięta. Chyba współpraca z Isabel Farrell dobrze ci robi.

- Chyba tak - przyznała. Jeszcze nie do końca wybaczyła Isabel, że ukradła jej posadę, mimo to ich współpraca układała się doskonale.

Cotygodniowy wywiad stał się domeną Dee. Sama wybierała bohaterów, wymyślała tematy i bardzo jej to odpowiadało. Miała także więcej czasu na rubrykę porad, co oznaczało, że nie żyła w ciągłym stresie.

Isabel okazała się zaskakująco dobrą szefową. Była spokojna, troskliwa, nie skąpiła zasłużonych pochwał. Stopniowo zmieniała i charakter, i wygląd działu kobiecego, z dużą pomocą Maeve, Emily i Dee. Po latach historycznych krzyków Antonii i jej indywidualnego podejścia do gramatyki praca z Isabel stała się przyjemną odmianą, przyznała kiedyś Maeve.

W głębi ducha Dee była tego samego zdania. Od pierwszego spotkania w gabinecie Nigela były dla siebie nadzwyczaj uprzejme. Isabel zawsze pytała o Gary'ego - nie poznała go osobiście, ale często słyszała przez telefon. Dee odwdzięczała się pytaniami o jej córki.

Od Marion, gadatliwej sekretarki Teda Holta, dowiedziała się, że Isabel jest albo rozwiedziona, albo w separacji, a jej były mąż nadal mieszka w Anglii. Inic więcej. Isabel była bardzo skryta, nigdy o sobie nie mówiła. Dee nie miała pojęcia, gdzie mieszka ani czy się z kimś spotyka. A kogoś tak ciekawego jak Dee bardzo to męczyło.

Mówiąc krótko, nowa szefowa działu kobiecego była bardzo tajemnicza. Dee tylko raz udało się wyciągnąć z niej strzępki informacji o życiu osobistym. Tamtego dnia wróciła z lunchu wcześniej niż zwykle i złapała Isabel na tym, jak z ponurą miną studiuje wyciąg z konta.

- Nie cierpię tego - rzuciła Dee, zdejmując żakiet. - Zawsze wydaję za dużo, zwłaszcza na ciuchy.

Isabel podniosła głowę.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio wydałam za dużo na ciuchy - odparła. - Kiedy się ma dwie nastoletnie córki, pieniądze rozchodzą się z prędkością światła. Że już nie wspomnę o astronomicznych rachunkach, kiedy się kupuje dom.

- Kupujesz dom? Gdzie? - zainteresowała się Dee.

- W Bray. Mówiąc dom, mam na myśli rudere w szeregowcu - poprawiła się Isabel. - Trzeba w niego włożyć dużo pracy i pieniędzy, a ja nie mam ani jednego, ani drugiego - dodała.

- Powinnam oszczędzać na wesele - przyznała Dee. - Ale chyba nie jestem w tym dobra.

- Wyznaczyliście już datę?

- Nie. Jakoś nigdy nie możemy się za to zabrać.

Nie chciała tłumaczyć, że Gary okazał się wyjątkowo oporny w tym względzie. Wszelkie jej propozycje zbywał zdawkowym: „Może wrzesień?”. W zeszłym roku mówił to samo. Dee była ciekawa, wrzesień którego roku ma na myśli.

- Braliśmy ślub w pośpiechu, to była skromna ceremonia - przypomniała sobie Isabel. - Miałam okropną sukienkę, zdaję sobie z tego sprawę dopiero teraz. Kupowałam ją właściwie w biegu. Było na niej pełno kokardek i zakładek, a w takich ozdóbkach nie jest mi do twarzy. - Zerknęła na swoje białe spodnie i koszulę z białego lnu. - Chyba dlatego zazwyczaj ubieram się w proste, klasyczne rzeczy. Zdjęcia ze ślubu na dobre obrzydziły mi koronki i wstążeczki.

Dee obrzuciła jej figurę zazdrosnym spojrzeniem. Ona nigdy w życiu nie założyła białych spodni, miałyby w nich tyłek jak hipopotam, a w białej koszuli na dodatek mogłaby konkurować z ludzikiem Michelina.

Nielatwo było pracować z kobietą o takiej figurze i takim stylu jak Isabel. Zawsze nienagannie ubrana, sprawiała, że Dee czuła się brzydka i tandetna. Poza tym Isabel była bardzo miła.

Nie wszyscy byli tego zdania. Carol-Anne nienawidziła jej z całego serca i korzystała z każdej okazji, by ją obgadywać za plecami. Dee intrygowało, jak Isabel poradzi sobie z kimś, dla kogo narzekanie było sposobem na życie.

- Poczekaj, aż jaśnie pani przeżyje Nigela w ataku szału - rzuciła kiedyś kąśliwie Carol-Anne widząc, jak uprzejmie naczelnym odnosi się do Isabel. - Wtedy przestanie się tak uśmiechać!

Isabel nie dawała po sobie poznać, czy słyszała jadowite uwagi Carol-Anne, ale mało prawdopodobne, żeby ich nie słyszała. Była wobec niej uprzejma, lecz stanowcza. W rezultacie Carol-Anne pracowała trzy razy tyle co w czasach Antonii.

Za to ja pracuję mniej, a jest mi z tym dużo lepiej, zastanawiała się Dee. Nie powie o tym nikomu, ale właściwie lubiła pracę z Isabel.

Słońce schowało się za chmurą, znad zatoki zerwał się lekki wietrzyk. Dee zadygotała.

- Wracajmy - zaproponowała. - Zobacz, ile chmur, słońce jeszcze długo nie wyjdzie.

- Maruda - odparł Gary. - Zdaje się że mówiłaś coś o spacerze? No chodź, trochę ruchu dobrze ci zrobi. - Lekko poklepał ją po pupie. - Zrzucisz troszkę sadelka z rufy.

- Co to miało znaczyć? - Zabolęła jąta uwaga. - Dziesięć minut temu mówiłaś, że przesadzam i mam obsesję na punkcie figury. Teraz jestem tłusciochem miesiąca, któremu potrzebny spacer, żeby spalił tłuszcz!

Bezradnie rozłożył ręce.

- Oto dlaczego nigdy nie możemy rozmawiać o twoim problemie z wagą. Od razu się złościś.

- Moim problemie z wagą? - powtórzyła piskliwie.

- Daj spokój, Dee - stracił cierpliwość. - Oboje wiemy, że masz problemy z wagą. Kiedy się poznaliśmy, byłaś dużo szczuplejsza. Byłaś chuda, na Boga. A teraz? Popatrz na siebie! Zapuściłaś się i wcale mi się to nie podoba. Ale - spojrzał na nią zimno - nie śmiałem nic na ten

temat mówić.

- Teraz śmiesz - syknęła.

Puścił jej uwagę mimo uszu i rozkręcił się na dobre.

- Nawet nie wiesz, ile razy miałem ochotę kupić ci jakąś ładną sukienkę albo seksowną bieliznę, kiedy wyjeżdżałem z chłopakami z klubu, ale nigdy tego nie zrobiłem, a wiesz, czemu? Bo wpadłabyś w szal, gdybym przyniósł do domu coś w rozmiarze szesnastym.

Wpatrywała się w niego w milczeniu, niezdolna wypowiedzieć ani słowa.

- Ty wiesz, że nosisz rozmiar szesnaście i ja o tym wiem, ale nie można wspominać o tym głośno, co to, to nie.

Jemu to sprawia przyjemność, zauważyła. Naprawdę sprawia mu przyjemność. Pewnie dusił to w sobie od kilku miesięcy... lat? Skąd wie, jaki ona nosi rozmiar? Od tygodni ukrywała to sama przed sobą, zdecydowana nie chować rzeczy w mniej szym rozmiarze na tył szafy, żeby zrobić miejsce dla namiotopodobnych sukienek. Gdyby to zrobiła, pogodziłaby się z otyłością, zamiast starać się z nią walczyć.

- O nie, musimy udawać, że twoje dodatkowe kilogramy to tylko trudna faza, przez którą przechodzisz. W rzeczywistości sprawy mają się zupełnie inaczej. Jesteś gruba, Dee, i to od dobrych trzech lat. Czy zastanawiałaś się kiedykolwiek, jak ja się z tym czuję? - zapytał. - Jak myślisz, jak się czuję, kiedy na przyjęciu w pracy dziewczyny wszystkich facetów stroją się w obcisłe malutkie sukieneczki, a ty paradujesz w bezkształtnym żakiecie i ukrywasz się za toną kosmetyków? Chyba że akurat pokrywasz zdenerwowanie wódką z sokiem pomarańczowym, ma się rozumieć - zapalał się coraz bardziej. - Myślałem, że to się zmieni, kiedy awansowałaś, że dotrze do ciebie, iż jako zastępca szefa działu kobiecego powinnaś być elegancka, dobrze ubrana i szczupła. Ale nie, ty jedynie malujesz się jeszcze mocniej.

Urwał nagle, odetchnął głęboko. Dee przychodziło do głowy wiele rzeczy, które mogłaby teraz powiedzieć, na przykład: „Zabrakło tchu, kochany?”. Nie mogła jednak. Nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Miała wrażenie, że i jej serce, i usta były skute lodem.

Już wcześniej słyszała, że jest gruba. Dzieciaki w szkole nie skąpiły jej przezwisk. Była znana jako Dziesięcotonowa Deirdre albo Twix O'Reilly. Najbardziej nie znosiła lekcji wychowania fizycznego, cierpiała, ilekroć wkładała brzydki strój gimnastyczny i ciężkim truchtem biegała po boisku. Zawsze znalazł się ktoś gotów jej dokuczać, obrażać, upokarzać.

Tylko że tym razem nie mówiła tego pryszczata nastolatka, zazdrosna o jej wyniki w angielskim. Nie, to jej chłopak, jej narzeczony mówił te wszystkie okropne rzeczy. Dee nie mogła w to uwierzyć.

- No, nic nie powiesz? - zdziwił się Gary. - Będziesz się na mnie tak gapić bez słowa?

Była na krawędzi łez, ale postanowiła, że nie rozklei się przy nim, nie po tym, co powiedział.

- A co mam powiedzieć? - zapytała prosto. - Ująłeś to jasno - jestem gruba i głupia, i przynoszę ci wstyd. Nie wiem, co mogłabym dodać.

Odwróciła się na pięcie i odeszła najszybciej jak mogła. Chciała wrócić do hotelu, spakować się i uciec do domu. Nie wytrzyma ani minuty dłużej w jego towarzystwie.

Wyprzedził ją, zatarasował sobą ścieżkę. Był lekko zdenerwowany.

- Dee, przepraszam. Nie powinienem był mówić tego tak brutalnie, otwarcie, ale musiałem. Dlatego, że cię kocham.

W tym momencie się rozplakała.

- Dlatego, że mnie kochasz? - powtórzyła przez łzy. - Zrobiłeś to z miłości? Odniosłam inne wrażenie.

- Dee - objął ją mocno. Zesztywniała.

- Nie dotykaj mnie. Nie zniosę tego, nie po tym, co powiedziałaś. Nie puścił jej.

- Kocham cię, Dee, wiesz o tym, ale chcę być z tobą szczerzy. Od dawna chciałem ci to powiedzieć. Nie uważasz, że powinniśmy być ze sobą szczerzy?

Nie była w stanie odpowiedzieć, szlochała mu w ramię.

- Chcę dla ciebie jak najlepiej, w tym także tego, żebyś świetnie wyglądała. Chcę ci w tym pomóc. Proszę, Dee, nie płacz.

Trzymając ją za rękę, zaprowadził z powrotem wąską, krętą ścieżką do hotelowego baru.

- Nie wejść do środka, strasznie wyglądam - mruknęła z pochyloną głową. Włosy zakrywały jej twarz.

- Nikogo nie ma, wszyscy siedzą na tarasie - zauważył. - Dwie brandy, podwójne - rzucił do barmana.

- Nie chcę - sprzeciwiła się przez łzy, gdy stanął przed nią pękaty kieliszek.

- Wypij - polecił Gary.

Upiła najpierw mały łyżeczek, potem spory haust złotego trunku. Starannie omijała wzrokiem Gary'ego. Wpatrywała się w dal, w zatokę. Nie tak dawno ten widok wprawiał ją w błogi nastrój, zanim Gary roztrzaskał jej świat na kawałeczki.

Jak to się stało? Jakim cudem z błogostanu popadła w skrajną rozpacz w przeciągu kilku minut? Zaczęło się tak pięknie - wspólny weekend nad morzem, plany wypadu do Amsterdamu za kilka miesięcy, cieszyła się z nowej pracy. I nagle - totalna klęska. Gary nie tyle zniszczył jej wiarę w siebie - zniszczył ją.

Wybrał jeden jedyny temat, na który reagowała tak emocjonalnie - jej wagę. Paskudne, grube ciało, które nie mieściło się w połowę ciuchów; ciało, które zdradzało ją przez całe jej życie. I Gary też ją zdradził.

Poczuła jego dłoń na kolanie.

- Nie złość się, Dee - poprosił miękko. - Chcę ci pomóc. Ktoś musiał ci to powiedzieć.

Ale dlaczego akurat ty? Ty zdrajco, ciebie Kocham najbardziej. Zagryzła usta.

- Skończ drinka, Kochanie. - Przysunął jej kieliszek. Podniosła na niego pociemniałe, szkliste oczy.

- Nie tak dawno zarzucałeś mi, że na przyjęciach czerpię odwagę z alkoholu - stwierdziła z goryczą. - Teraz oczekujesz, że wychylę podwójną brandy w mgnieniu oka, bo mnie uraziłeś, a nie masz pod ręką soli trzeźwiących, zaś kobiety szlochające publicznie są prawie równie odrażające jak kobiety grube. Nie chcesz przecież, żeby ktokolwiek pomyślał, że płacę przez ciebie, prawda?

- To nie tak, Dee. Ty...ty...jesteś w szoku - wykrztusił. - Przykro mi z tego powodu. Jeśli tylko zechcemy, uporamy się z tym.

Dobre sobie, pomyślała. Prędeż mi kaktus na dłoni wyrośnie. Cóż, jeśli chce, skończę drinka. Jednym haustem opróżniła kieliszek. Brandy minimalnie złagodziła ból. Zakręciło jej się w głowie. To i tak lepsze niż czarna rozpacz.

- Zamów mi następną. Idę do łazienki poprawić makijaż i nałożyć nową warstwę - dodała zgryźliwie. Minęła go, w drodze do wyjścia odsunęła parę krzeseł. Idąc do drzwi czuła każdy kilogram swojego ciała. Miała wrażenie, że jest wielka i niezgrabna, jak jumbo jet na małym lotnisku. Czy wszyscy się na nią gapią? Pewnie goście i kelnerzy głowią się, czemu taki tłuścioch nie siedzi w domu, w towarzystwie lodówki, tylko wychodzi na dwór, do normalnych ludzi.

Nagle przypomniały jej się wszystkie stare dowcipy i uwagi.

Coś równie dużego widziałam ostatnio w telewizji, ekolodzy usiłovali zepchnąć wieloryba z powrotem do morza...

Co motorower ma wspólnego z grubą babą? I na jednym, i na drugim fajnie się się jeździ, ale na obu wstyd się pokazać. Ha, ha, ha.

W łazience z niesmakiem przyglądała się swojemu odbiciu. Zaczerwienione oczy, purpurowy nos - kiedy płacze, wygląda okropnie. Po długich poszukiwaniach znalazła w torebce tubkę z podkładem, lecz w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Czemu ma sobie zawracać głowę? Jediną osobą, która ją zobaczy, będzie Gary, a on wystarczająco jasno dał jej do zrozumienia, co o niej sądzi. Czemu marnować dla niego dobre kosmetyki? Zresztą zarzucił jej, że się chowa za tapetą. Nie popełni po raz drugi tego błędu.

Szybko uszmiłkowała usta i starła rozmazany tusz z policzków. Wahala się, czy nie poprawić rzęs, ale uznała, że nie warto. Grubaski mogą sobie tuszować rzęsy ile chcą, i tak będą tłuste.

Czekała na nią nowa brandy.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Gary.

- Doskonale - wycedziła. - Najbardziej na świecie lubię bezlitosną krytykę z ust mojego

chłopaka. Mogłabym tego słuchać cały dzień. Chodźmy na dwór. Może to cię zainspiruje do nowych obelg. Wiesz, zaraz przyplynie prom, mógłbyś wyliczyć, ile muszę utyc, żeby mu dorównać rozmiarem.

Z kieliszkiem w dłoni ruszyła do drzwi.

- Prosimy jeszcze dwa razy to samo! - zawołała do barmana.

- Nie możemy się upić, bo nie pojedziemy do Wexford na kolację - zauważył Gary.

- Możesz sobie jechać, gdzie ci się do cholery podoba, kochanie - burknęła. - Ja tam wolę się upić w blasku słońca.

Po następnych trzech podwójnych brandy oboje byli mocno wstawieni. Dee miała zawroty głowy, chciało jej się spać, a mimo to pamiętała każde słowo Gary'ego.

O czwartej zachmurzyło się na dobre. Dee oznajmiła, że idzie do pokoju po sweter.

- Pójdę z tobą. - Gary dźwignął się z krzesła.

- Jak chcesz.

W pokoju włączył telewizor, rozsiadł się w fotelu i oglądał piłkę nożną. Cholera, typowe dla niego zachowanie. Dee przysiadła na łóżku. Otulona swetrem, usiłowała czytać kryminał. Może to pozwoli jej zapomnieć o jego słowach.

I może podsunie jej kilka dobrych pomysłów na morderstwo idealne, pomyślała w przebłysku czarnego humoru.

Obudziła się o wpół do ósmej, otumaniona snem i alkoholem. Gary siedział obok, delikatnie ją całował.

- Jak się czujesz, kochanie? - zapytał czule.

- Fatalnie.

Muskał ustami jej nos, czoło, policzki, aż dosięgnął ust. Poczula jego język, gorący i namiętny.

- Kocham cię, Dee, wiesz chyba - szepnął. Jego dłonie odnalazły jej piersi pod koszulką.

- Głowa mnie boli - burknęła wrogo. Tak łatwo mu się nie uda. Mały numerek i znowu je mi z ręki? O, nie. Po tym, co powiedział, nie pozwoli mu się dotknąć ani na siebie patrzeć. Każda pieszczota byłaby torturą, miałyby wrażenie, że ocenia, jaka jest gruba.

- Dobrze. Chodźmy coś zjeść. Zarezerwowałem stolik tutaj, bo żadne z nas nie może usiąść za kierownicą.

- W porządku.

Nie zadała sobie trudu, by się szykować. Wystarczą czarne spodnie i szara koszula. Od niechcenia przeczesła włosy grzebieniem, musnęła usta szminką. Zje kolację z Ga-rym, bo jest głodna, a nie ma sposobu, żeby tego wieczora wrócić do Dublina, i tyle.

Siedzieli w milczeniu i studiowali kartę dań. Chociaż niemal burczało jej w brzuchu z głodu, postanowiła, że nie zamówi nic dużego. Zje tylko sałatę. Pokaże mu. Podjęła decyzję - weźmie

sałatkę z awokado jako przystawkę i sałatkę z owoców morza jako danie główne, kiedy przy ich stoliku zjawił się kelner z butelką szampana w kubelku i z długą czerwoną różą...

- Na przeprosiny - powiedział Gary.

Dee nigdy nie umiała się oprzeć romantycznym gestom. Róża i szampan! Zaaranżował to, kiedy spała. Naprawdę ją kocha, wiedziała o tym. A ona kocha go do szaleństwa. Jak jednak może mu wybaczyć? Albo zapomnieć? Nie wiedziała, czy potrafi. Każde słowo wciąż dźwięczało jej w uszach.

Patrzyła, jak kelner zręcznie otwiera butelkę. Ludzie przy sąsiednim stoliku zaczęli klaskać. Pewnie myślą, że coś świętujemy, może zaręczyny. Do diabła, co za ironia losu.

Oddałaby wszystko, byle móc porozmawiać z Maeve, zapytać, czy Gary ma rację. Maeve jej nie okłamie. Gdyby uważała Dee za grubą bełę, powiedziałaaby jej to prosto z mostu. Również gdyby się przesadnie malowała albo ubierała w złym guście.

Tylko że nigdy jej o to nie zapyta. Nie powtórzy, co usłyszała od Gary'ego. Było jej wstyd, że ukochany narzeczony sprawił jej taką przykrość.

Aż nie do wiary, że niedawno litowała się nad Maeve. Współczuła, że przyjaciółka nie potrafi utrzymać mężczyzny przy sobie na dłużej niż przez weekend, a ona, Dee, ma przystojnego narzeczonego, śliczny dom i plany na przyszłość. Można boki zrywać ze śmiechu. Teraz ten sam przystojny narzeczony zrujnował jej życie, a Maeve bawi się doskonale ze znajomymi, pije guinnessa i dowodzi, że mężczyźni są kobietom do niczego niepotrzebni.

- Dee? - poczuła na sobie wzrok Gary'ego. I kelnera.

Mam wypić, dotarło do niej. Posłusznie wychyliła kieliszek do dna. Gary uśmiechnął się ciepło. Odpowiedziała tym samym. Nigdy nie musiała zmuszać się do uśmiechu, aż do dzisiaj.

- Co zamawiasz? - Gary zachowywał się, jak gdyby nigdy nic. Dla niego wszystko wróciło do normy. Nieprawda, miała ochotę wrzasnąć. Ugryzła się w język. Zepchnęła ból na dno świadomości. Później się tym zajmie.

- Poproszę sałatkę z awokado, a jako danie główne sałatkę z owoców morza - zwróciła się do kelnera.

- Bardzo mądrze - Gary z aprobatą skinął głową. - Zachowujmy się, jakby nic się nie stało.

- Dobrze. - Dee dochodziła do perfekcji w fałszywych uśmiechach.

Stuknęli się kieliszkami.

Gary spał smacznie i głośno chrapał, jak zwykle. Ostrożnie, żeby go nie obudzić, obróciła się na bok i zerknęła na budzik. Nawet w ciemności widziała fluorescencyjne wskazówki: za dziesięć druga. Podobnie jak Gary, sporo wypila, ale nie mogła zasnąć.

Udawała, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki. Łatwiejsze to niż opędzanie się od

zalogów Gary'ego, który chciał, by mu wybaczyła.

Ułożyła się na wznak. W ciemności niewyraźnie majaczyła jasna plama ładnej akwarelki na przeciwległej ścianie.

- Deirdre, nie możesz dzisiaj zostać w domu. Opuściłaś już jeden dzień w szkole w zeszłym tygodniu. Dyrektorka nie uwierzy, że znowu źle się czujesz. - Elizabeth O'Reilly na próżno starała się przybrać groźną minę. Trudno było gniewać się na jej czternastoletnią córkę, taką odpowiedzialną, dobrą, kochaną dziewczynę. Zazwyczaj nie sprawiała rodzicom najmniejszych zmartwień. Miała tylko jeden kłopot - była za ciężka jak na nastolatkę mającą pięć stóp wzrostu.

- Nie jestem za gruba, tylko za niska - żartowała dzielnie.

Elizabeth widziała jednak coś, co córka starała się zamaskować dowcipami - Deirdre bardzo cierpiała. Nocami szlochała w poduszkę. Pocieszanie jej miało się z celem - natychmiast ocierała oczy i zapewniała, że wszystko jest w porządku.

Elizabeth nie wiedziała, skąd się wzięła nadwaga dziewczynki. W rodzinie nikt poza Deirdre nie miał takich problemów. Shane, jej dziesięcioletni braciszek, był chudy jak szczapa, ojciec szczupły, a sama Elizabeth nadal zachowała młodzieńczą figurę.

- Proszę, mamó. Dzisiaj jest dzień sportu. Nie mam na to siły. Proszę, pozwól mi zostać w domu - błagała Deirdre.

Wiedziała doskonale, co ją czeka w szkole, jeśli tam pójdzie. Nauczyciel wychowania fizycznego uprze się, żeby wszyscy uczniowie wzięli udział w sztafecie albo w biegach, albo w meczu siatkówki. Deirdre skóra cierpła na samą myśl.

Po minucie biegania traciła oddech. Na pewno w pobliżu znajdzie się ta krowa, Julia Myers, i będzie jej dokuczać:

- Co jest, Dziesięcotonowa Deirdre? Za dużo ciastek z kremem?

Dee wpatrywała się w hotelową ścianę niewidzącym wzrokiem. Dziesięcotonowa Deirdre. Nic dziwnego, że skróciła imię zaraz po college'u. Rodzinie powiedziała, że to będzie lepiej wyglądało w gazecie. W rzeczywistości chciała wymazać z pamięci okropne przezwiska. Oczywiście nie wszyscy w szkole byli tacy wredni. Miała wielu przyjaciół, którzy nie wahali się mówić sukom typu Julii, gdzie sobie mogą wsadzić takie obelgi. A jednak właśnie Julię i jej cztery koleżanki zapamiętała najlepiej. Poczowała pieczenie pod powiekami. Dee sądziła, że wystarczająco dużo łez wylała w poduszkę jako gruba nastolatka, ale najwyraźniej była w błędzie.

10.

Są dla mnie jakieś wiadomości, Jackie? - Isabel przeszła koło sekretarki żwawym krokiem. Rzuciła torebkę na krzesło i sięgnęła po kubek stojący obok monitora. Marzyła o filiżance herbaty, o czymś gorącym, słodkim i poprawiającym humor. Bolało ją gardło, chyba złapała grypę. Dwie godziny w ciasnym pomieszczeniu bez okien, w towarzystwie dziennikarzy zajmujących się modą, jedynie pogorszyły jej samopoczucie. W dodatku wszyscy palili jak kominy.

Isabel żałowała, że nie wyszła wcześniej na znak protestu. Pokaz mody rozpoczął się nie o dziesiątej, jak planowano, lecz o jedenastej. Sama nigdy się nie spóźniała i nie tolerowała tej cechy u innych. Jakby tego było mało, kolekcja okazała się tragiczna. Składały się na nią głównie powiewne malutkie sukieneczki. Osiemnastoletnie chudziutkie modelki wyglądały w nich jak ucieleśnione marzenia więźniów, ale każda inna kobieta wyglądałaby po prostu śmiesznie.

Jackie nie odpowiadała.

- Nikt do mnie nie dzwonił? - Isabel po raz pierwszy tego dnia spojrzała na asystentkę. Z wyglądu Jackie raczej przypominała piosenkarkę rockową niż sekretarkę. Jak zwykle miała na sobie czarną mini, czarne włosy zaplotła w gruby warkocz, na piersi kołysał się wielki srebrny krzyż na satynowej wstążce, czarnej ma się rozumieć. Zazwyczaj była skora do pracy, oczywiście po pierwszej dawce kofeiny. Dzisiaj jednak oczy, obrysowane grubą czarną kreską, były zaczerwienione i nieszczęśliwe.

- Co się stało, Jackie? - Isabel przeraziła się zobaczywszy jej minę. Ukucnęła koło niej. - Wszystko w porządku?

- Kupiono nas. Nie ma już Teda Holta, nie ma Nigela. Na pewno będzie dużo zwolnień. Pracuję tu zaledwie od stycznia, więc pójde na pierwszy ogień. - Jackie się rozplakała.

Isabel wpatrywała się w nianie nie rozumiejącym wzrokiem.

- Jak to, kupiono nas? O czym ty mówisz?

- „Sentinel” ma nowego właściciela - Phil Walsh postawiła na biurku Jackie kubek mocnej kawy. - Kupił nas Roark International. Jesteśmy teraz własnością największego wydawnictwa prasowego na świecie.

- Aha. - Na inną odpowiedź nie było Isabel stać. - Ale to wcale nie znaczy, że wylecisz z pracy, Jackie. Prawda? - zwróciła się do Phil.

- Oczywiście, że nie. - Phil uśmiechnęła się szeroko. - Jackie, jesteś bardzo dobra w tym, co robisz. Ani ja, ani Isabel nie damy cię wyrzucić. Obiecuję.

- Ja też - włączyła się Isabel. Objęła Jackie ramieniem. - Dopóki my tu jesteśmy, nikt cię nie ruszy. Jesteś najlepszą asystentką, jak mi się kiedykolwiek trafiła. Nie pozwolę cię zwolnić,

jasne?

Jackie uśmiechnęła się przez łzy.

- Dzięki - chlipnęła. Phil podała jej chusteczkę.

- Pójdę do łazienki. - Jackie podniosła się z krzesła. - Wyglądam okropnie.

- Wcale nie. - Phil i Isabel zaprotestowały jednocześnie.

- Nie spiesz się. - Isabel poklepała japo plecach. - Będę odbierała telefony. Po jej wyjściu ze strachem spojrzała na Phil.

- Kawę na ławę, Phil. Powiedz szczerze, na czym stoimy. Myślisz, że nas wyleją?

- Kto to wie? Ale za nami stoi związek dziennikarzy, a Jackie nie ma nawet tego.

- Poważnie? - Isabel była w szoku. - Przecież Roark International jest właścicielem „Irish Telegraph” i „Ireland Today”, a nie słyszałam o masowych zwolnieniach.

- Nie? Szkoda, że cię nie było w kraju dwa lata temu. W tydzień od przejęcia dosłownie wypatroszyli „Ireland Today”. Nie twierdzą, że mała redukcja nie była im potrzebna - dodała Phil refleksyjnie. - Mieli tylu ludzi, że spokojnie mogliby wydawać jeszcze tygodnik. Jednakże zwolnienia były bezpardonowe i brutalne. Ofiary określiły to Nocą Długich Noży, kiedy w końcu wytrzeźwiały, ma się rozumieć. A nastąpiło to dwa dni później.

- O Boże. - Isabel ciężko osunęła się na krzesło Jackie. - Phil, a co, jeśli naprawdę będą zwalniać na zasadzie: kto ostatni przyszedł, pierwszy odchodzi? Dopiero co kupiłam dom, muszę myśleć o dziewczynkach... Wystarczająco trudno było znaleźć tę posadę, a nową... Co ja mam robić, do cholery?

Wpadła w panikę. Nieważne, jaki klucz przyjmą nowi szefowie przy redukcji personelu - w ciągu tygodnia może wylądować na bruku. Nadal nie zapłaciła prawnikowi, zbliżał się też termin uiszczenia drugiej raty za dom.

Co gorsza, Robin stanowczo domagała się nowych, drogich adidasów, przyszedł rachunek za elektryczność, i trzeba jeszcze zapłacić za pralkę. Bóg jeden wie, skąd weźmie na to wszystko pieniądze.

Phil przysiadła na rogu biurka, założyła ręce na piersi. Jaki ma ładny jasnoniebieski sweterek, zauważyła odruchowo Isabel. Chciała myśleć o czymkolwiek, byle nie o nadchodzącej katastrofie. I na dodatek bardzo kobiecy, a Phil zazwyczaj gustowała w obszernych, męskich pulowerach.

Przestań, nakazała sobie w myśli. Dlaczego u licha w takiej chwili myślisz o ciuchach?

- Słuchaj, nikt nie ma pojęcia, co się stanie - tłumaczyła Phil. - Wszystko zależy od tego, kogo Roark mianuje naszym dyrektorem. Jack Carter, prezes australijskiej filii Roark, ma kilku kandydatów na to stanowisko. Możliwe, że trafi się nam przyzwoity facet, którego celem będzie rozbudować gazetę, a co za tym idzie, i redakcję. Możliwe też - urwała - że się nam trafi jakaś

siekiera.

- Jakie są na to szanse?

Uśmiechnęła się lekko.

- Isabel, nie histeryzuj. Odwalasz kawał dobrej roboty. Musieliby postradać zmysły, żeby cię wylać, nie widzisz tego?

Isabel bezradnie wzruszyła ramionami.

- Phil, przez ostatni rok nauczyłam się jednego: to, co widzisz, i to, co się dzieje naprawdę, to dwie zupełnie różne rzeczy. Fakt, że moim zdaniem sprawdzam się na tym stanowisku, nie znaczy wcale, że nie wylecę z hukiem, jeśli nowy zarząd ma kogoś na moje miejsce.

- Z tego punktu widzenia nikt nie jest bezpieczny - wpadła jej w słowo Phil. - Mogą wylać nas wszystkich, ale pomyśl, ile ich by to kosztowało! Nie będą działać pochopnie, mówię ci. Uspokój się.

Chciałabym, zachnęła się w myśli.

- Jaki jest ten Jack Carter? Bezwzględny karierowicz czy rozkoszny pluszowy miś? - Isabel nie ukrywała sarkazmu.

- Nie znam go - zaczęła Phil. - Wiesz, to typ kowala własnego losu - rzucił szkołę mając piętnaście lat, zaczynał jako goniec, i tak dalej. Jest po czterdziestce, bardzo bogaty, żonaty z Elizabeth Carter. Jego żona nie opuści żadnego balu, żadnej akcji charytatywnej, kwestuje na wszystko, od jednouchych osłów po oszalałe szympansy.

- Raz ją widziałam - włączyła się Jackie. Wróciła z łazienki blada, z czerwonymi oczami, za to z uśmiechem. - Jest śliczna. Prawdziwa piękność. Podobna do Cindy Crawford, tylko starsza.

- Dużo starsza - poprawiła Phil. - Zbliża się do pięćdziesiątki, choć tego po niej nie widać. To albo kwestia błękitnej krwi - jej wujek był jakimś tam lordem - albo zasługa dobrego chirurga. Błyszczą na balach, ale Jacka nie spotkasz na takiej imprezie.

- Może będzie chciał uprawiać dobroczynność naszym kosztem - podsunęła Isabel.

- Nie słyszałam o nim nic złego - ciągnęła Phil. - Za to o niej mówi się, że chętnie sięga po kokainę. On podobno jest w porządku, twardy, ale sprawiedliwy. Słuchajcie, moje drogie, nie wiem jak wy, aleja mam jeszcze sporo pracy. Jeśli jutro nie wypuścimy porządnego numeru, możemy rzeczywiście się pakować.

O trzeciej redakcja aż huczała od plotek. Najczęściej słyszało się, że Eugene Slasher Flynn odejdzie z „Ireland Today”, czołowego tytułu Roark International w Irlandii, rozbije „Sentinel” w drobny mak i odbuduje go jako całkowicie nową gazetę.

- Chodźmy do pubu, chłopaki - zaproponował zastępca redaktora działu sportowego. Slasher darzył wielką niechęcią i sport, i dział sportowy. Jako najniższy i najslabszy chłopak w klasie był obiektem ciągłych kawałów i żartów. Nigdy tego nie zapomniał.

Według drugiej wersji Jack Carter sprowadzi z australijskiej filii firmy nowych ludzi,

zastrzyk świeżej krwi. Ta perspektywa odpowiadała wszystkim o wiele bardziej.

- Super! - zawołał szef działu fotograficznego, rodowity mieszkaniec Sydney.

- Super ekstra! - poprawiła Maeve. Wyobraźnia już jej podsuwała wizje umiędzionych sobowtórów Mela Gibsona, mających wnieść ożywczy powiew do redakcji i do jej życia.

Tego dnia niewiele pracowano. Stalin wrzeszczał jak zwykle, ale tym razem nikt nie zwracał uwagi na jego groźby. I bez rozdrażnionego szefa tkwili po uszy w kłopotach. Zresztą, jak zauważyła Phil, bardzo często zdarza się, że stary zarząd spada na sam dół. Wizja Stalina, na kolanach szorującego podłogę w bufecie, poprawiła humor całej grupie.

Isabel była tak zdenerwowana nową sytuacją, że bezmyślnie wpatrywała się w monitor. Starła się nie zwracać uwagi na plotki.

Pisała akurat artykuł o najnowszych osiągnięciach w walce z rakiem skóry. Niestety, nieważne ile razy i jak uważnie czytała dane z Ministerstwa Zdrowia, cały czas miała przed oczami rachunki do zapłacenia. Robiło jej się słabo na myśl, że straci pracę zaledwie trzy miesiące po jej rozpoczęciu.

O szóstej połowa redakcji siedziała w „Magee’s”, a druga połowa udawała, że pracuje. W rzeczywistości starali się przewidzieć, co będzie, kiedy w „Sentinel” pojawi się potomek Hannibala.

Isabel miała tego dosyć. Porwała torebkę z biurka i wybiegła. Po drodze usiłowała sobie przypomnieć, czy rano wyjęła kotlety z zamrażarki czy nie. A co tam, stwierdziła znużona, wyjeżdżając z parkingu. Znajdzie coś w supermarkecie, i tak nie ma ochoty na gotowanie. Przy okazji kupi tonik, jako dodatek do resztek dzinu. Co prawda w obliczu katastrofy nie powinna uciekać w alkohol, ale co tam. Może potężna dawka dzinu pozwoli jej zapomnieć o kłopotach.

W supermarkecie tłoczyli się ludzie, którzy jak ona robili zakupy po pracy. Po całym dniu wysłuchiwania krytyki w biurach chcieli jakoś rozładować agresję. Zanim dotarła do kasy, trzykrotnie staranowano jej wózek.

Dopiero wtedy zorientowała się, że zapomniała o toniku. Prawie się popłakała. Nie było szans, żeby przepchała się przez ludzi stojących za nią w kolejce, pobiegła do półki z napojami i wróciła, nie narażając się na gniewne uwagi innych klientów. Po okropnym dniu najchętniej usiadłaby na podłodze na środku sklepu i zalała się rzewnymi łzami. Dlaczego nic jej sienie udaje? Dlaczego zawsze coś spieprzy?

- Płaci pani gotówką czy kartą? - kasjerka pytała po raz drugi.

- Gotówką. - Skoncentrowała się z trudem. Oby tylko miała wystarczającą ilość pieniędzy w portfelu. Uśmiechnęła się do kasjerki. O, proszę, znowu to samo. Uśmiecha się jak gdyby nigdy nic, a w głębi ducha skręca się z rozpacz.

Na tym polega mój problem, skonstatowała ponuro pakując zakupy. Uśmiecham się, chociaż

mam złamane serce i nie daję nikomu poznać, co naprawdę czuję. Promienny uśmiech nigdy mnie nie zawodzi. Zachichotała. Przynajmniej jedna rzecz nigdy jej nie zawodzi.

W domu Robin siedziała na schodach ze słuchawkami na uszach.

- Cześć - powiedziała na widok matki. Isabel wtaszczyła siatki z zakupami i ciężką teczkę. Przyniosła w niej artykuły i gazety, których nie zdążyła przejrzeć w redakcji.

Nie wypuszczając toreb z rąk, pochyliła się z trudem, cmoknęła Robin w policzek i poszła do kuchni. Naomi siedziała przy stole i oglądała jakiś serial w małym telewizorze stojącym na kuchennym blacie. Przed nią stała miseczka płatków kukurydzianych.

- Cześć, mam - radośnie podniosła głowę. - Nie mogłam się doczekać kolacji.

- Przepraszam. - Isabel z ulgą pozbyła się ciężaru. Energicznie poruszała zdrętwiałymi dłońmi. - Czy Robin coś zjadła?

- Tosta.

- A ty? Jadłaś coś poza tym? - Wskazała na miskę z płatkami.

Naomi przecząco pokręciła głową.

- To za mało, skarbie. Zaraz przygotuję coś lekkiego. Robin nie może się odżywiać wyłącznie tostami, a ty płatkami. Jak ci minął dzień? Przyszłyście od babci na piechotę czy dziadek was przywiózł?

Kiedy rozmawiały, Isabel rozpakowała zakupy. Naomi sprawnie pochowała wszystko na miejsce i nakryła stół.

Isabel umyła główkę sałaty, pomidory, ogórka i pieczarki, i napędce skleciła sałatkę. Ze świeżą bagietką, serem i resztkami salami z lodówki będzie z tego całkiem smaczny posiłek.

- Zawołaj siostrę, dobrze?

Robin ledwie rzuciła okiem na sałatę.

- Nie jestem głodna, już jadłam - oznajmiła. Wyjęła z lodówki puszkę dietetycznej coli. Usiadła przy stole, bez zainteresowania przeglądała gazetę.

- Tost to za mało - powiedziała Isabel spokojnie. Widać było, że Robin dojrzała do kolejnej awantury, co się zdarzało bardzo często ostatnimi czasy. Wydęła usta, ściągnęła brwi ledwie widoczne pod zasłoną z jasnych włosów, które zakrywały prawie całą jej twarz.

- Zjedz chociaż trochę sałaty, Robin - zachęcała Isabel. - W tostach nie ma żadnych witamin.

- Nie chcę. - Córka nawet nie podniosła głowy znad gazety. Isabel odetchnęła głęboko.

- Co jadłaś na lunch?

- Boże, zlituj się. Czy to przesłuchanie? - zapytała Robin gniewnie. Cisnęła gazetę na podłogę i hardo spojrzała matce w oczy. Naomi wpatrywała się w talerz.

- Nie, to nie jest przesłuchanie. Chcę mieć pewność, że się odpowiednio odżywasz, i tyle. Jeśli nie chcesz jeść, nie zmuszę cię. Po takim dniu jak dzisiaj nie mam siły na kłótnie,

rozumiesz? - patrzyła na nią surowo. Wystarczy jedna uwaga ze strony Robin, a wybuchnie.

Wyjątkowo nastolatka wyczuła, że matki w takim nastroju lepiej nie drażnić.

- Tak - mruknęła. Wyszła. Nie trzasnęła drzwiami. Po chwili z jej pokoju dobiegły dźwięki muzyki. Dobrze, że nie włączyła jej na pełny regulator.

Isabel wbiła widelec w kawałek pieczarki. Nie wiadomo kiedy przeszedł jej cały apetyt.

- Pyszne, mamó - zapewniła Naomi chcąc jakoś pomóc. Isabel odprężyła się odrobinę.

- Dziękuję. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Po kolacji Naomi zajęła się zmywaniem, a Isabel poszła do saloniku z mocnym postanowieniem zerwania tapet przy kominku. Odkąd miesiąc temu przeprowadziły się do domu przy Eagle Terrace, odnawiała pokój po pokoju. W weekendy zrywała paskudne tapety i sama malowała ściany. Po czterech dniach pracy pokoje dziewczynek nadawały się do zamieszkania. Robin znalazła w „Home & Garden” zdjęcie, według którego chciała urządzić swój pokój. Isabel pomalowała ściany na chłodny, zielony kolor, a resztę zostawiła do uznania Robin.

Robin najpierw pokryła swoje stare meble: komodę, toaletkę i stolik ciemnozieloną farbą, a następnie ozdobiła je delikatnym złotym wzorkiem. Kiedy podłogę przykryła kremową wykładziną, a w oknie zwisły kremowe zasłony w jasnozielone listki, pokój okazał się bardzo przytulny. Ozdobiła złotym wzorkiem także ściany tuż pod sufitem. W sklepie z używanymi rzeczami wynalazła poduszki z brązowego brokatu. Isabel musiała przyznać jedno - córka okazała się bardzo zdolna.

- Twój pokój jest prześliczny, powinnaś zdecydować, jak umeblujemy salonik - zaproponowała, chcąc zachęcić córkę do dalszej pracy nad urządzaniem domu. Niestety, przez minione dwa tygodnie Robin była tak opryskliwa, że Isabel nie miała okazji, by ponownie poruszyć ten temat.

Przy pomocy ojca wykleiła pokój Naomi tapetą w łączkę w odcieniu różu. Zrobiła znaczną wyrwę w skromnym domowym budżecie i kupiła horrendalnie drogie mosiężne łóżko, białą narzutę i haftowane poduszki. Efekt był dokładnie tak dziewczęcy i słodki, jak Naomi mogła sobie zamarzyć. Brakowało tylko porządnej nocnej lampki, stara drewniana w ogóle nie pasowała do nowego wnętrza. Isabel obiecała sobie, że będzie oszczędzać na nową, mosiężną.

W swoim pokoju ograniczyła się do pokrycia ścian tanią farbą w kolorze magnolii i pociągnęła ramy okienne białym lakierem. Stare żółte zasłony z Oxfordu nie bardzo pasowały do nowych okien, ale powiesiła je mimo wszystko. W oczekiwaniu na całkowity remont, przykryła obrzydliwą wykładzinę szmacianymi chodnikami. Urządzenie pokoi dziewczynek kosztowało więcej, niż przypuszczała.

Godzinami zrywała stare tapety, malowała ściany i wymierzała linoleum, ale koniec końców kuchnia była jedynym pomieszczeniem na dole, gdzie dało się przebywać. Dlatego też

dziewczęta tutaj oglądały telewizję.

Tego wieczora miała zamiar zabrać się za tapetę przy kominku w saloniku. Kiedy jednak przebrała się w stare legginsy i koszulkę, całkiem opadła z sił. Z westchnieniem usiadła na podłodze. Była wykończona pracą na dwóch etatach - w redakcji w ciągu dnia i jako dekoratorka wnętrz nocami. Naomi chciała pomóc, ale Isabel odmówiła stanowczo.

- Możesz pomagać przy sprzątaniu, ale nie powinnaś się przemęczać. Poza tym - objęła córkę ramieniem - kto by mi robił niezliczone filiżanki herbaty, gdybyś miała ręce po łokcie wymazane klejem do tapet?

Robin nie oferowała się z pomocą od dawna. Ostatnio udzieliła wsparcia matce, kiedy miała dosyć odrabiania matematyki. Isabel pamiętała dokładnie, w jakim kontekście temat matematyki pojawił się w domu pań Farrell. Była to nader dziwna rozmowa.

- Nie widzę sensu uczenia się matmy - narzekała Robin. Przygotowywała się do letnich egzaminów. - Przecież w życiu nie będę liczyła sinusów czy całek, prawda? Do niczego mi się to nie przyda, kiedy będę podróżowała po świecie i pracowała.

Isabel pobladła słysząc te słowa.

- Jak to - podróżowała po świecie i pracowała?

- Siostra Susie tak robi. Zaczęła w Indiach, teraz jest w Tajlandii i wybiera się do Australii. - Oczywiście Robin wyjaśniały, gdy opisywała tradycyjny szlak młodego podróżnika. - Przysłała Susie fantastyczny zegarek Gucciego, oczywiście fałszywy, ale wygląda jak oryginalny. Ma tylko dziewiętnaście lat - dodała.

- Ty też chciałabyś tak podróżować po skończeniu szkoły? - zapytała Isabel. - A co ze studiami?

Robin zbyła ją machnięciem ręki.

- Wszyscy rodzice mówią to samo. Rok podróży to coś więcej niż studia, cały czas zdobywa się doświadczenie. A na uniwersytet można iść później.

- Na razie zostało ci jeszcze kilka lat szkoły - zauważyła Isabel. - Pewnie nieraz zmienisz zdanie.

- Nie.

Robin dorastała w zastraszającym tempie. Aż nie do wiary, że nie tak dawno jej największym marzeniem był kucyk. Za trzy lata będzie mieć osiemnaście lat, Naomi piętnaście, a Isabel czterdzieści trzy. Czterdzieści trzy! Tak dużo! Nagle poczuła się stara. W niedalekiej przyszłości, już w przyszłym miesiącu, czaiły się jej czterdzieste urodziny.

Fakt, że skończyła trzydziestkę, nie podziałał na nią deprymująco, w przeciwieństwie do wielu znajomych. David zaczął się praktycznie staczać. Oznajmił, że zakończył szalone lata dwudzieste i że od tej pory będzie miał z górki. Isabel parsknęła wtedy śmiechem i powiedziała,

że podobają się jej starsi faceci. Nigdy nie bała się starości. Nigdy nie dała się skusić reklamie i nie kupowała kosmetyków, których producenci obiecywali, że odzyska wygląd siedemnastolatki. Ludzie się starzeją i już.

Zawsze bawiły ją kobiety, które na całe lata zatrzymały się przy trzydziestych dziewiątych urodzinach. Ale teraz, na myśl, że wkrótce przekroczy czterdziestkę, robiło jej się słabo. Rozwódka po trzydziestce brzmi znacznie lepiej niż rozwódka po czterdziestce.

Przejrzała się w lustrze. Ma coraz więcej zmarszczek wokół oczu. Oczy stanowiły jej chlubę, odkąd pamiętała. David kiedyś powiedział, że są jak woda morska na białej plaży. Był ekspertem od prawienia komplementów. Cóż, w tej chwili jej oczy nie kojarzą się już z wodą morską, zauważyła posepnie. Otaczały je zmarszczki, rozmazany tusz i cienie.

- No i co z tego? I tak nikt mnie nie widzi - powiedziała na głos. Ostatnim, który posłał jej zachęcający uśmiech, był strażnik przy wjeździe na parking, chłopak na tyle młody, że mógłby się umawiać z Robin. Pewnie kokietował ją, bo się założył: „Zobaczymy, czy ci się uda poderwać tę blondynę po czterdziestce, wiesz, tę wysoką, pomarszczoną i płaską jak deska”.

Nie ma sensu się nad tym rozwodzić. We wrześniu skończy czterdzieści lat, czy jej się to podoba, czy nie. Uzbrojona w drapaczkę, butelkę wody i płynu do zmywania, wróciła do salonu. Podeszła do kominka. Był tu chyba odkąd wybudowano dom w latach trzydziestych i prawdopodobnie od tego czasu nikt go nie czyścił.

Ku jej rozczarowaniu nie był to jeden z autentycznych kominków w stylu art deco, które prezenterzy telewizyjni ciągle odkrywali w domkach na przedmieściu. Tego beżowego monstrem szczerze nienawidziła. Niech się dzieje co chce, zainstaluję nowy kominek, zdecydowała. Oczywiście pod warunkiem, że utrzyma pracę. Cholera! Prawie zapomniała o kłopotach w redakcji. Kto wie, co będzie dalej?

Zamartwianie się nic tu nie da. Spojrzała na zegarek. Za kwadrans ósma. Popracuje do wpół do dziesiątej, a potem weźmie długą kąpiel i wypije drinka.

Myśl o pachnącej pianie pozwoli jej wytrwać te dwie godziny. Skoro już musi być czterdziestoletnią rozwódką, bardziej pomarszczoną niż suszona śliwka, będzie przynajmniej rozwódką odprężoną, bardzo czystą, i, jeśli znajdzie w domu sok pomarańczowy zamiast toniku do dżinu - trochę wstawioną.

O wpół do dziesiątej następnego ranka do redakcji nie dałoby się wcisnąć nawet szpilki. Stawili się wszyscy - dziennikarze, reporterzy i wolni strzelcy, którzy normalnie rzadko tu zagładali. Wszyscy oczekiwali na nowiny, czy to radosne, czy grobowe.

- Przez całą noc nie zmrużyłam oka - skarżyła się Belinda, autorka kroniki towarzyskiej. - „Ireland Today” nie ma działu towarzyskiego, więc może i z „Sentinela” go wyrzucą? Nie wiem, co jeszcze mogłabym robić. Piszę tę kronikę od dziesięciu lat i nie znam się na niczym innym.

Dee chciałyby ją pocieszyć, nie wiedziała jednak jak. Sama była w rozpacz. Odkąd Maeve zadzwoniła z wiadomością, że Roark International kupiło „Sentinel-la”, nie mogła usiedzieć na miejscu. Oddałaby wszystko, żeby poprzedniego wieczora pobiec do „Magee’s”, gdzie wszyscy w nieskończoność omawiali wszelkie aspekty nowej sytuacji i gdzie istniała nadzieja, że da się z kogoś coś wyciągnąć.

Zamiast tego poszła z Garym na śmiertelnie nudne przyjęcie z okazji czterdziestych urodzin jego kolegi z pracy. Bezustannie uśmiechała się sztucznie do ludzi, którzy bez cienia taktu pytali ją, czyjej pozycja w „Sentinelu” się zmieni, kiedy gazetę przejmie legendarna grupa Roark.

- Bardzo się zdziwiłam, kiedy usłyszałam o tym w wiadomościach. Wyleją was? - dopytywała się żona jednego z księgowych. Nie znosiła Dee, odkąd jej mąż flirtował z nią na potęgę na zeszłorocznym przyjęciu gwiazdkowym.

Świadoma tego Dee poszła jej uśmiech, jak miała nadzieję, tajemniczy.

- Niestety, nie wolno mi o tym rozmawiać, ale i tak niedługo się dowiesz.

- Krowa! - piekliła się w drodze powrotnej w samochodzie. Liczne drinki, którymi chciała poprawić sobie humor, szumiały jej w głowie. - Gdyby to jej firmę przejął inny właściciel, nie cieszyłabym się jak głupi do sera i nie pytałabym, czy straci pracę!

- Oczywiście, że nie. - Gary nie odrywał wzroku od jezdni. - Zżera ją zazdrość, bo jesteś śliczna i pociągająca, a ona to wychudzona suka bez cienia osobowości.

Zastygła w bezruchu. Wychudzona suka? Czy to możliwe, że Gary w końcu zrozumiał, jak bardzo ją zabolął incydent w Wexford? Na pozór zachowywała się normalnie, choć w głębi ducha była zmrożona jak paluszki rybne. Z drugiej strony, Bóg chyba pominął Gary’ego, kiedy rozdawał intuicję.

Gary położył jej rękę na udzie i przesuwając ją w górę, pod portfelową spódnicę. W zeszłym tygodniu zrzuciła dwa kilo dzięki diecie cud. Poskutkowało, pomyślała, znowu nie może mi się oprzeć.

- W każdym razie, Dee, mają chyba na tyle oleju w głowie, że nie pozbędą się kogoś z twoim talentem i zapalem do pracy.

- Nigdy nic nie wiadomo.

Teraz, w redakcji, martwiła się nadal, popijając wyjątkowo mocną kawę.

- Dasz mi papierosa? - zwróciła się do Maeve.

- Jasne. - Razem wyszły na korytarz, gdzie dołączyły do grupki zdenerwowanych palaczy.

- Sam nie wiem, czy mi się ręce trzęsą z nerwów czy od kaca. - Dziennikarz o pozieleniałej cerze nerwowo zaciągnął się marlboro.

- Od kaca - zawyrokowała Dee. - Ciebie, Noel, nikt nie zwolni, sprzedałbyś własną matkę za dobry temat, więc jesteś cennym pracownikiem.

Uśmiechnął się zadowolony.

Drzwi do sali redakcyjnej otworzyły się gwałtownie.

- Idą na górę! - wrzasnął ktoś.
- Kto? - zainteresowała się Maeve.
- Faceci w garniturach.
- Ktoś znajomy?
- Tak, Eugene Slasher Flynn. - Żartujesz!
- Nie.

Eugene Flynn odchrząknął i obrzucił zebranych uważnym spojrzeniem zza okularów o grubych szklach. Był niski, łysy i chudy, wydawał się całkiem nieszkodliwy. Garnitur, na pewno bardzo drogi, był na niego odrobinę za duży. Na pierwszy rzut oka Flynn sprawiał wrażenie mężczyzny, któremu kobiety chętnie matkują.

Potem się odezwał.

- Mam przyjemność poinformować was, że od dzisiaj jestem dyrektorem naczelnym „Sentinela”. - Z zadowoloną miną czekał na reakcje. Nikt się nie poruszył, wszyscy byli w szoku.
- Domyślam się, że obawiacie się o pracę. Od razu chcę was uspokoić - Roark International nie przewiduje zmian kadrowych. Nie będzie żadnych zwolnień... przynajmniej nie w tym i nie w przyszłym roku - dodał. - Nikt z nas nie wie, co przyniesie przyszłość, jednak chciałem zapewnić, że honorujemy wszelkie umowy i postanowienia zawarte z poprzednim zarządem.

W całym pomieszczeniu dało się słyszeć westchnienie ulgi. Dee odprężyła się po raz pierwszy tego dnia.

- Nie da się jednak uniknąć pewnych zmian, co chyba zrozumiało. Najpoważniejsza z nich to nowy redaktor naczelny. Stanowisko to obejmie Malley McDonnell z naszej filii w Melbourne.

Jaki Malley? - zastanawiała się Dee. Nigdy nie słyszała o dziennikarzu o tym nazwisku.

Wszyscy wyciągali szyję, żeby zobaczyć, który z pięciu mężczyzn w garniturach podejdzie do Flynnna. Tymczasem naprzód wysunęła się jedyna kobieta w grupie, wysoka brunetka w garniturze o męskim kroju. Górowała nad Flynnem wzrostem. Zmarszczki na szerokiej, mocnej twarzy świadczyły, że musi mieć ponad czterdzieści lat, ale przeczyła temu szczupła, wyprostowana sylwetka.

- Witajcie. Nazywam się Malley McDonnell. - Miała niski głos z ledwie słyszalnym australijskim akcentem. - Zdaję sobie sprawę, że jesteście nieco zagubieni - z dnia na dzień zmienia się wasz pracodawca. Ale - rozejrzała się uważnie po twarzach zebranych - ta zmiana dobrze zrobi gazecie. Kiedy lepiej poznacie Roark International, a zwłaszcza mnie, przekonacie się, że wasze zadowolenie leży nam na sercu. Chcemy zrobić z „Sentinela” dziennik dwudziestego pierwszego wieku. Ostatnio spadał nakład, za kilka lat i tak zostalibyście bez

pracy. Ale teraz to się zmieni. Jestem dumna z tego, co osiągnęłam w gazetach Roark w Hongkongu i Filadelfii. Chciałabym, żebyście ze mną współpracowali i żebyśmy wspólnymi siłami zrobili z „Sentinela” fantastyczny dziennik, by w przyszłości nie obawiać się o pracę.

Kiedy Eugene Flynn zaczął bić brawo, zawtórowały mu energiczne, pełne entuzjazmu oklaski.

Malley wróciła na poprzednie miejsce z lekkim uśmiechem na twarzy.

- Albo była to najlepsza i najbardziej szczerza mowa z cyklu: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego, albo jesteśmy robieni w balona przez mistrzynię tej sztuki - skomentowała Maeve szeptem.

- Mam nadzieję, że to pierwsze - odparła Dee. - Całe to zamieszanie to dla mnie za dużo. Jeżeli nie dorobiłam się wrzodów żołądka po tej aferze z nowym stanowiskiem, na pewno wyhoduję je teraz.

Po dalszych dziewięćdziesięciu minutach przemów Slasherera i Malley wyłaniał się coraz wyraźniejszy obraz sytuacji. Dopóki nowy zarząd nie pozna lepiej zasad funkcjonowania gazety, nie będzie żadnych zmian.

Malley i Flynn planują serię spotkań z szefami poszczególnych działów. Będą polegali na ich opinii.

A żeby im udowodnić, że Roark International wierzy w „Sentinela”, i co ważniejsze, w obecny zespół redakcyjny, szefowie działów i ich zastępcy są zaproszeni na bal dobroczynny w domu Jacka Cartera w Dalkey. W sobotę wieczorem, podczas kolacji, poznają więcej szczegółów.

- Chcemy was przekonać, że naszym celem jest nie rozbić „Sentinela” w drobny mak, lecz stworzenie dziennika o olbrzymim nakładzie - tłumaczył Eugene Flynn z podejrzanie łagodną miną. - Pan Carter zapewni was osobiście, że doceniamy wasze zaangażowanie i doświadczenie.

- Dlaczego te same słowa w ustach Malley McDonnell wydają się bardziej wiarygodne? - zapytała Phil Walsh cynicznie.

- Bo Flynn na odległość śmierdzi podstępem - wyjaśniła Dee. - Nie mamy wyjścia, musimy mu zaufać. Najbardziej mnie wkurza, kiedy mówi, że odniesiemy sukces. Co on sobie do cholery myśli, że „Sentinel” to jedna wielka kłapa?

- Chyba chodzi mu o sukces trzykrotnie większy - wtrącił się Gerry Deegan.

Otoczyli go zwartym kółkiem.

- Gdzie ty się podziewałaś przez ostatnie dwa dni? - zainteresowała się Maeve. - Idę o zakład, że już w zeszłym tygodniu wiedziałeś, co się będzie działo. Ty świnió! Dlaczego nie pisałaś ani słówka?

Gerry wzruszył ramionami.

- Wiedziałem co nieco, ale dałem słowo.

- No więc powiedz nam teraz - zażądała Dee. - Nie do wiary, wczoraj pozwoliłeś nam umierać ze strachu. Przez całą noc nie zmrużyłam oka - skłamała. W rzeczywistości zasnęła jak kamień, gdy tylko dotknęła poduszki, co się wcale nie spodobało trzeźwemu, w przeciwieństwie do niej, Gary'emu.

- Przykro mi, dziewczyny, ale nic z tego - Gerry puścił do nich oko. - Lada moment mam spotkanie ze starą kumpelką, Malley. Prosiła mnie o radę, kogo wylać.

Maeve spojrzała na niego podejrzliwie.

- Jak to? Znasz ją?

- Tak, ale żartowałem, nie powiem, kogo ma wylać. Jest dobra w tym, co robi, pracowałem z nią w Filadelfii. Nie musicie się jej obawiać. Jest bardzo profesjonalna i sprawiedliwa.

- Jej się nie obawiamy - warknęła Maeve. - Za to na myśl o Slasherze przechodzą mnie dreszcze.

- Witaj w klubie - odparł Gerry. - Znam go od lat i też za nim nie przepadam. Muszę lecieć, dziewczyny. Do zobaczenia. - Uśmiechnął się przez ramię.

- Co dalej? - zastanawiała się na głos Maeve. - Ciekawe, kto jeszcze o tym wiedział i kto zna Malley jak własną kieszeń. Dziesięć do jednego, że połowa fotografów chodziła z nią do szkoły, a Tony Winston był z nią w łóżku...

- Fuj! Chyba ma lepszy gust! - skrzywiła się Dee. - Miała fantastyczny garnitur od Calvina Kleina. Żadna kobieta, która się tak ubiera, nie polecą na umizgi Tony'ego. A skoro o ciuchach mowa: co zakładasz na to przyjęcie w sobotę?

11.

Phil starała się zaparkować duże, poobijane kombi między czarnym BMW i srebrnym lexusem. Isabel w tym czasie podziwiała dom widoczny w oddali. Na ciemnym niebie lśnił księżyc, odbijając się srebrnym światłem w stawie przed budynkiem. Tempie Isis, klasyczna rezydencja ukryta wśród drzew w jednej z najbardziej ekskluzywnych podmiejskich dzielnic Dublina, była warta majątek.

- Niezła chałupa, co? - rzuciła Phil. - Facet się całkiem dobrze ustawił.

- Na oko mój dom zmieściłby się tutaj dobre dziesięć razy i jeszcze zostałyby miejsce na spory basen - odparła Isabel. Dyskretnie usiłowała wyplątać stopę z końskiej uprzęży, która nie wiadomo jakim cudem poniewierała się pod siedzeniem. - Swoją drogą ciekawe, czy mają basen?

Phil wygramoliła się zza kierownicy.

- Nie mam pojęcia, ale zapytaj Belindy. W panice szperała w starych miesięcznikach i sprawdzała, członkinią jakich organizacji dobroczynnych jest Elizabeth Carter. Chce zrobić dobre wrażenie na żonie szefa. To część skomplikowanego planu i batalii o pracę.

- Mam przykre obawy, że szperanie w starych gazetach i pochlebstwa nie uratują nikogo z nas, jeśli Eugene Flynn stanie nad nieszczęśnikiem z siekierą w dłoni - zauważyła Isabel. - Jeśli jest choć częściowo tak straszny, jak głosi plotka, lepiej zabierzmy się za pisanie CV.

Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się zbyt ponuro jak na osobę idącą na przyjęcie, więc szybko zmieniła temat.

- Ciekawe, w co się ubierze Belinda? Wczoraj mówiła mi, że nie może się zdecydować, czy włożyć długą, czarną jedwabną suknię, która jest piękna, ale nie projektował jej nikt sławny, czy może różową koktajlową od Yves St Laurenta, którą znalazła w sklepie z używanymi ciuchami. Niestety, ma fatalny kolor oraz mnóstwo koronek i falbanek.

- O ile znam Belinę, zjawi się w YSL. Nigdy nie mogła się oprzeć czarowi projektantów. Podobnie jak ja - zażartowała. Miała na sobie prostą granatową sukienkę z domu towarowego. Wyglądała w niej na jeszcze tęższą niż w rzeczywistości. - Miałam do wyboru albo to, albo mała czarna od Chanel. Ach, te decyzje!

Isabel parsknęła śmiechem.

- To zupełnie tak jak ja. Godzinami zastanawiałam się, czy zbędne setki funtów wydać na kreację na dzisiejszy wieczór - oznajmiła sztucznie wytwornym tonem - czy może zapłacić rachunki za gaz i światło.

- Świetnie wyglądasz - zauważyła Phil. Obrzuciła krytycznym spojrzeniem szerokie spodnie i zakiet w kolorze bursztynu, pod który Isabel włożyła czarne body.

- To stare ciuchy! - zaprotestowała. Daremnie usiłowała strzepnąć z nogawek kłaczki rudej sierści. - Kupiłam ten komplet na styczniowej wyprzedaży jakieś osiem lat temu, za grosze, a

body to zwykła bielizna od Marks & Sparks.

- Masz doskonale wycucie, jeśli chodzi o modę - zauważyła Phil. - Ja dałam sobie spokój jakieś dwadzieścia lat temu, kiedy poważnie zajęliśmy się końmi, a dzieciaki były małe. Wtedy zawsze byliśmy bez grosza, a jeśli nawet skądś nam wpadło kilka funtów, inwestowaliśmy w stajnie albo w nowe konie. Zresztą nie sposób myśleć o ciuchach mając w domu trzy kudłate psy - dodała na zakończenie, zdejmując z kłapy żakietu Isabel rudy kłaczek. - Miałam w samochodzie taśmę klejącą, doskonale się na nią ściąga sierść, ale akurat mi się skończyła.

- Nie szkodzi. - Isabel zatrzasnęła drzwiczki. - Wśród gości jest zapewne tylu sławnych i bogatych, że nikt by nawet nie zauważył, gdybyśmy wkroczyły ubrane wyłącznie w psią sierść. A nie wiem, czy słyszałaś, że pewna kobieta przędzie z tego wełnę i robi na drutach swetry i chodniczki.

- W takim razie u mnie w domu nie posiadałaby się z zachwytu - stwierdziła Phil. - Z dywanu w dużym pokoju miałaby dosyć przędzy na kilka swetrów i jeszcze długi szalik. Dzieciaki mają odkurzać, ale jakoś nigdy nie mogę ich do tego zapędzić.

Roześmiane, weszły do wielkiego, zdobnego holu i skierowały się w stronę, z której dobiegały głosy gości. Po drodze minęły piękne mahoniowe schody. Po obu stronach poręczy stały wielkie chińskie wazy.

Goście zajmowali duży salon, kłębili się w przestronnej sali balowej, wylewali na taras i do ogrodu przez otwarte drzwi. Wśród drzew migotały lampiony. Kelnerzy bezszelestnie uwijali się roznosząc tace z przekąskami i alkoholem.

Ściany sali balowej pokrywał jasnoróżowy jedwab, na tle którego złociły się ramy obrazów. Kruche stoliczki o złożonych nóżkach zdawały się uginać pod ciężarem wspaniałych kompozycji kwiatowych, dzięki czemu pomieszczenie wyglądało jak oranżeria.

- Belinda chyba mimo wszystko trafiła w dziesiątkę z St Laurentem - szepnęła Isabel. Wszędzie wokół siebie widziały bardzo eleganckie kreacje. - I pomyśleć, że podobno ostatnimi czasy projektanci wcale tak dobrze nie zarabiają. Czuję się, jakbym miała miejsce w pierwszym rzędzie na pokazie mody w Mediolanie.

- Suknia nie powinna kosztować więcej niż koń - stwierdziła Phil stanowczo. - To grzech. Nie znam tu ani żywej duszy - dodała, lustrując tłum mężczyzn w ciemnych garniturach i kobiet w drogich kreacjach, z klejnotami połyskującymi na szyjach i w uszach. Blondynki i brunetki nie pierwszej młodości, w sztywnych hełmach z włosów na głowach, w klasycznych sukniach koktajlowych i na wysokich szpilkach, stały ramię w ramię z zapierającymi dech w piersiach dwudziestoletnimi modelkami, które miały na sobie skandalicznie mało i powoli sączyły szampana.

Przyjęcie było bardzo wytworne i bardzo oficjalne. Nikt nie sprawiał wrażenia, że ma ochotę po kilku głębszych rozpuścić włosy i zatańczyć kankana.

- Ja też nie - szepnęła Isabel. - Daremnie szukała w tłumie znajomej twarzy.

- Czekamy tutaj na kogoś z naszych czy idziemy na zwiady?

- Dziewczyny, wy spóźnialskie, gdzieście się podziewały? Ominęli was tajlandzcy tancerze. -

Nieważne, że był pierwszą osobą, którą znały wśród tylu obcych - Tony Winston natychmiast działał im na nerwy. - Nasi są po przeciwnej stronie, przy bufecie.

- Chyba chciałeś powiedzieć, przy barze? - rzuciła złośliwie Isabel.

- Nie. - Tony śmiało objął ją w tali, gdy szli przez salę. Isabel zeszywniała.

Jego włosy błyszczały od brylantyny i wylał na siebie chyba pół butelki wody kolońskiej. - Żarcie jest takie dobre, że nikt jeszcze nie zaczął pić.

- Więc cuda jeszcze się zdarzają - zdumiała się Phil.

- Ładne perfumy. - Tony pochylił się nad karkiem Isabel. - Jak się nazywają?

- Odwal się - burknęła Phil. Isabel wywinęła się z jego ramion.

- Zabawna nazwa - powiedział przeciągle. Udał, że nie pojął aluzji.

- Więc dla ciebie to zabawne? Niedługo wypuszczana rynek nowe, Podejź Za Blisko, A Padniesz Trupem. Chyba je komponowali z myślą o tobie - syknęła Phil.

- Coś dzisiaj jesteś kaśliwa, Phil - zauważył ironicznie. - Co jest, PMS? Idę o zakład, że Dick nie posiadał się z radości, mogąc się ciebie pozbyć na chociaż jeden wieczór.

- Tony, jeśli nie stać cię na rozmowę na wyższym poziomie, odejź, proszę - rzuciła lodowato Isabel.

- Tylko jeśli będziesz mi towarzyszyć, skarbie - mruknął. - Pojedziemy do mnie... - Pochylił się ku niej ze znaczącym uśmiechem.

- Nie wiedziałam, że w szcurzej norze mieści się dwoje - odparła gładko.

Poczerwieniał ze złości i odszedł.

- Doskonale. - Phil z aprobatą skinęła głową. - Od dawna obserwowałam, jak robi do ciebie baranie oczy. Byłam ciekawa, kiedy wreszcie będziesz miała tego dosyć.

- Mam ochotę rozbić mu łeb butelką - zachnęła się Isabel. - On naprawdę przekracza wszelkie granice. Jakbym mogła polecieć na takiego typa! Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki on jest okropny!

- Owszem, wyobrażam sobie. - Phil porwała dwa kieliszki szampana z tacy.

- To człowiek pierwotny, homo vulgaris. Na początku roku zalecał się do dziewczyny z działu graficznego, aż się wkurzyła, oblała go zimną herbatą i zagroziła, że go oskarży o molestowanie seksualne. Nie zrobiła tego, ale dał jej spokój.

- Chyba powinnam była zareagować wcześniej. - Isabel westchnęła głośno. - Od początku doprowadzał mnie do szału. Wystarczy, żebyś poszła do kuchni zrobić sobie kawę, a już skrada się za mną i mamrocze: „Och, przepraszam, że cię trąciłem, Isabel, ale tak tu ciasno, ha, ha, ha”. Jest obleśny.

Umoczyła usta w szampanie.

- Nie najlepiej sobie radzę z mężczyznami. Przynajmniej w stosunkach prywatnych - poprawiła. - Gdybyśmy razem pracowali i kłócili się o sprawy merytoryczne, dałabym sobie z nim radę. Ale jeśli chodzi o facetów pokroju Tony'ego...

- Którzy cię molestują? - podsunęła Phil.

- Tak, chyba można to określić tym mianem. Nie potrafię być dla nich niemiła. A jednocześnie wiem doskonale, że tylko to dotrze do Tony'ego.

- Zdziwiasz mnie, Isabel. Wyglądasz na kogoś, kto sobie poradzi w każdej sytuacji.

- Wygląd jest zwodniczy - odparła zwięźle. - Fakt, że przez tyle lat byłam mężatką sprawił, że zapomniałam wszystko, co wiedziałam o mężczyznach.

- Jak to możliwe, że ja, kobieta z dłuższym niż twój stażem małżeńskim, nie muszę się opędać od tłumów nachalnych wielbicieli - zażartowała Phil. - Wyglupiam się, Isabel. Jesteś bardzo atrakcyjna, a teraz, będąc znowu wolna, musisz się nauczyć radzić sobie z mężczyznami.

- Na Boga, Phil, w przyszłym miesiącu stuknie mi czterdziestka! - obruszyła się Isabel.

- No i co z tego?

- Phil, czterdziestolatka samotnie wychowująca dwójkę dzieci nie stanowi raczej męskiego ideału kobiety. Zwłaszcza taka z hipoteką na karku, którą skończy spłacać mając lat sześćdziesiąt pięć, czyli kiedy będzie już za późno na lifting.

- Nie bądź taką pesymistką, Isabel. Niewykluczone, że pewnego dnia poznasz tyleż rozkosznego, co samotnego milionera po osiemdziesiątce, bez krewnych, za to z posiadłością na każdym kontynencie i żywotnością komara. Założę się że dzisiaj, tutaj, aż się od nich roi. A wiesz, co mówią: „Nie spotkałam milionera, który by mi się nie spodobał”.

Isabel parsknęła śmiechem.

- Obiecuję ci, że jeśli jakiegoś poznam, ty pierwsza się o tym dowiesz. Niestety, nie żywię wielkich nadziei, bo nawet jeśli takowy się znajdzie, na sto procent będzie u jego ramienia wisiała prześliczna aktorka lub modelka, gotowa wzrokiem zabić każdą kobietę, która choćby na niego spojrzy, a nie daj Boże podejdzie bliżej niż na dwadzieścia metrów.

- Chodźmy - Phil pociągnęła ją za rękaw. - Poszukajmy naszych. Ciekawe, czy Tony poinformował już wszystkich, że jesteś zadeklarowaną lesbijką.

Nietrudno było odnaleźć zespół „Sentinela”. Ponad trzydziestu dziennikarzy było w szampańskim humorze, w przeciwieństwie do reszty bardziej opanowanego towarzystwa. Inni goście raczej sączyli niż wlewali w siebie szampana.

Stalin, nadal, o dziwo, jak skomentowała to Phil, członek zespołu, z niepewną miną palił cygaro. Miał na sobie najlepsze ubranie - ciemnoniebieski komplet w stylu Dzikiego Zachodu, włącznie z krawatem z rzemyka ze spinką z turkusów w srebrze. Błyszczące łąty na koszuli

pasowały do jego lśniącej od potu twarzy.

- Isabel! Phil! - pisnęła radośnie Belinda. Odwróciła się ku nim, szeleszcząc taftową kreacją w kolorze fuksji, która Isabel natychmiast skojarzyła się ze strojem jednej z lalek Barbie Naomi. - Nigdy nie zgadniecie, co się stało: rozmawiałam z Elizabeth Carter! I ona wiedziała, kim jestem! Ale bomba, co?

- Taak, Jack Carter był tu ze Slasherem Flynnem i z nami rozmawiał - włączył się Fred, naczelny fotograf.

- Jest taka miła, piękna, ale przystępna - zachwycała się Belinda. - A Jack był taki szarmancki, strasznie długo trzymał moją rękę...

- Słuchaj - przerwał jej Tom, redaktor techniczny, przewodniczący związków zawodowych i urodzony pesymista zarazem - nie mów hop, póki nie przeskoczysz. Fakt, że szefowie są mili, o niczym nie świadczy. Dzisiaj mogą być do rany przyłóż, a w poniedziałek wylać nas wszystkich. No, ale wtedy będą mieli ze mną do czynienia.

Stali tak i rozmawiali przez pół godziny, pochłaniając niezliczone kanapki z krewetkami w sezamie i pijąc, na co im przysłała ochota: piwo, wino, szampana, wódkę - mają tu wszystko, jak zapewniał mocno już wstawiony Stalin. Najwyraźniej próbował wszystkiego i teraz z trudem trzymał się na nogach, co mu jednak nie przeszkadzało raczyć się tequilą. Nigdzie nie było widać Dee O'Reilly. Isabel uznała, że to bardzo dziwne; jej zastępczyni nie dalej jak wczoraj wydawała się bardzo podekscytowana myślą o przyjęciu.

Isabel sączyła drugi kieliszek szampana i ciekawie rozglądała się dokoła. Była zmęczona po całym tygodniu pracy. Pozostali goście należeli do innej kategorii niż zespół „Sentinela” - grali raczej w lidze: „Nigdy więcej do pracy, a co to takiego: hipoteka?”

Ciekawe, ilu z nich włosy stanęły dęba ze strachu na wiadomość, że ich firmę przejął nowy właściciel i lada dzień zostaną bez pracy, z bardzo realną wizją bankructwa? Ani jednemu, odpowiedziała sobie na pytanie, patrząc na złote łańcuchy i brylantowe kolie.

Po co w ogóle to przyjęcie? Gdyby Jack Carter chciał opowiedzieć zespołowi o nowym zarządzie, mógłby zrobić to w redakcji, bez tego całego zamieszania. Ale nie, on łaskawie zaprosił ich do swojej rezydencji i pozwolił raz jeden rzucić okiem na świat bogatych i potężnych.

Odnosiła wrażenie, że zrobił to właśnie dlatego, żeby poczuli się nie na miejscu, żeby pokazać, kto jest szefem. W tym momencie nienawidziła samej myśli o Jacku Carterze. Co z tego, że zdaniem wszystkich to porządny facet. Po tym przyjęciu będzie się musiał bardzo starać, żeby jej zaimponować.

Zerknęła na zegarek. Za pięć dziesiąta. Zaraz się zacznie *Ostry dyżur*. Gdyby była w domu, ułożyłaby się na kanapie z lampką wina i miską serowego popcornu.

U Naomi nocuje koleżanka. Pewnie teraz szykują śpiwór dla Joannę, choć w głębi duszy nie

mają zamiaru nawet zmrużyć oka. Robin obiecała, że spojrzy na nie, w przerwach między oglądaniem na video *Buntownika bez powodu* i oddawaniu się marzeniom o jej ostatnim idolu, Matcie Damonie.

O ileż wołałaby być z nimi, a nie stać bez sensu w sali balowej, słuchać urywków rozmów i patrzeć, jak ludzie coraz bardziej się upijają.

Co więcej, z minuty na minutę było coraz bardziej gorąco. Za dużo tu ludzi i tyle. Isabel czytała kiedyś, że damy z towarzystwa zapraszają na imprezy dobroczynne o dwadzieścia pięć procent więcej gości, wychodząc z założenia, że część i tak nie przyjdzie. Jeśli zatłoczona do granic możliwości sala balowa w Tempie Isis miała z tym cokolwiek wspólnego, nikt nie zignorował zaproszenia Elizabeth Carter. Isabel gorąco żałowała, że sama nie mogła tego zrobić.

Energetycznie wachlowała się chusteczką. Czuła, jak jej jasna skóra pokrywa się nieładnymi czerwonymi plamami. Nieważne, ile wylała na siebie perfum przed wyjściem, zaraz i tak spoci się jak koń wyścigowy. Usiłowała skupić się na rozmowach stojących najbliżej osób. Phil była akurat w środku bardzo długiej i bardzo skomplikowanej opowieści o kimś, kogo najwyraźniej znała i ona, i Belinda. Belinda chętnie słuchała opowieści o koniach, pod warunkiem, że ich właściciele byli na tyle bogaci, że mieli własne stajnie, własnych trenerów i co najmniej jednego konia, który startował w wyścigu Cheltenham.

Tony opowiadał sprośne kawały i co jakiś czas łypał na Isabel spode łba. Stalin kiwał się radośnie i nie rozmawiał z nikim. Lada moment straci przytomność.

- Duszno mi - rzuciła. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Odwróciła się na pięcie i zaczęła powoli przeciskać przez tłum w stronę drzwi na taras. Ludzie rozstępowali się, by ją przepuścić. Niejeden mężczyzna z zachwytem śledził ją wzrokiem, delektując się wysmukłą, elegancką sylwetką, delikatnymi rysami i ciemnoblond włosami, splecionymi w klasyczny francuski warkocz.

Isabel nie była pierwszą osobą, która wpadła na pomysł odetchnięcia świeżym powietrzem i na tarasie było niemal tak tłoczno, jak wewnątrz. Zbiegła po kamiennych schodkach do ogrodu. Szła ostrożnie, żeby obcasy nie zapadały się zbyt głęboko w trawę. Nocne powietrze było jak balsam dla jej rozpalonej skóry. Oddychała pełną piersią.

Odeszła zaledwie kilka metrów od przyjęcia i gości, gdy natknęła się na drewnianą ławeczkę, koło której pięła się pięknie pachnąca róża. Usiadła z ulgą. Zastanawiała się, kiedy będzie mogła dyskretnie na dobre opuścić przyjęcie.

- Dobrze się pani bawi? - usłyszała. Mężczyzna wynurzył się z cienia i szedł w jej stronę. Był wysoki, mocno zbudowany, a w blasku lamp z tarasu dostrzegła opaloną, smagłą twarz i wąskie oczy, którymi zdawał się prześwietlać ją na wylot. W ciemnym, doskonale skrojonym garniturze i jedwabnym krawacie nie był przystojny, ale na pewno - intrygujący.

- Wewnątrz jest tak gorąco, że wyszłam zaczerpnąć świeżego powietrza - wyjaśniła. -1

musiałam odpocząć od przyjęcia.

- Rozumiem. - Pokonał trawnik kilkoma krokami i stanął tuż przed nią. Za nim biegł mały kudłaty piesek bliżej nieokreślonej rasy. Radośnie podskoczył ku Isabel i natychmiast oparł mokre łapki na jej kolanach.

- Przepraszam - odezwał się mężczyzna. - Kerry, na ziemię. - Zrobił ruch, jakby chciał złapać psiaka za obrozę, ale Isabel go uprzedziła.

- Nic nie szkodzi, proszę go zostawić - Uśmiechnęła się szczerze po raz pierwszy, odkąd zjawiała się na przyjęciu razem z Phil. - Uwielbiam psy. - Pochyliła się, żeby podrapać zwierzątko za uszami. Ciekawie wsunął nos do jej rękawa.

- To dobrze - rzucił z cieniem sardonicznego humoru w głosie. - Bo zbliża się jeszcze jeden.

Jakby na zawołanie, wielki złoty retriever pokonywał trawnik ogromnymi susami, wywiesiwszy jęzor. Kierował się prosto ku Isabel.

- Duke, spokój! - polecił mężczyzna. - Siad!

Duke nie zwrócił nań najmniejszej uwagi, podbiegł do Isabel i trącił Janosem w bok.

- Duke! Proszę się nie obawiać, jest bardzo przyjazny - rzekł przepraszająco.

- Taka forma wyrażania przyjaznych uczuć jest do zaakceptowania u psów - zachichotała. - Ale nie u ludzi.

Miał głęboki, gardłowy śmiech, który wydobywał się jakby z głębi potężnej sylwetki. Kiedy się śmiał, znikła gdzieś jego powaga, a głębokie bruzdy koło ust łagodniały i stawał się bardzo atrakcyjny.

Bardzo męski i bardzo drapieżny, jak wilk. O, właśnie. Nawet włosy miał podobne do wilczej sierści, ciemnobrązowe, rozjaśnione złotem i bursztynem. Była gotowa się założyć, że w dotyku są równie miękkie jak sierść Duke'a...

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Nie do wiary, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy! Zauroczona nastolatka? U licha, bohaterki opowiadań z tygodników Robin były bardziej dojrzałe.

Zawstydzona, pochyliła się nad Duke'em i ukryła dłonie w miodowej sierści. Kerry szczerknął żałośnie i przysunął się bliżej.

- Nie, wcale o tobie nie zapomniałam, skarbie - zapewniła go łagodnie. Prawą dłonią głaskała małego psiaka, a lewą drapała Duke'a za uchem. Psisko niemal mruczało z rozkoszy.

- Podbiła pani dzisiaj dwa serca - odezwał się mężczyzna. - A może nawet trzy.

Poczuła, że się czerwieni. Jeszcze bardziej pochyliła się nad psami.

- Zawsze podczas przyjęć stają się nerwowe. - Usiadł na ławeczce obok niej, zajmując praktycznie resztę miejsca. Jest naprawdę duży, uświadomiła sobie patrząc, jak rozprostowuje nogi. Wyższy od niej. Do jej nozdrzy dobiegł leciutki powiew wody toaletowej Armaniego,

mniej więcej milion razy subtelniej szy niż pół flakonu tego, czym pachniał Tony. Duke ustawił się bokiem, tak, że teraz i jego pan, i Isabel mogli głaskać go jednocześnie.

- To piękne psy - Isabel leciutko pociągnęła Kerry'ego za ucho. - Takie przyjazne.

- Duke ma cygańską naturę, łąnie do każdego, za to Kerry jest bardzo wybredny. Ma pani w sobie coś wyjątkowego. - Odwrócił się w jej stronę. Isabel podniosła głowę.

Teraz, kiedy nie patrzył w stronę domu, jego twarz nikła w cieniu i Isabel nie czuła się już tak skępowana tym, że go obserwuje. On przecież również nie mógł jej wyraźnie widzieć, taką przynajmniej miała nadzieję. Była pewna, że jest czerwona na twarzy - efekt gorąca i zawstydzenia - i śmierdzi kiepskimi perfumami i resztkami dezodorantu Robin. Nie wspominając o fackie, że jej niezmywalny tusz do rzęs panoszył się już prawdopodobnie na policzkach.

- Moja matka nie lubi psów, czy jakichkolwiek innych zwierząt - wyjaśniła. Odnalazła plecami oparcie, byle ukryć twarz w cieniu. - Kiedyś dostałam od taty cocker-spaniela na Gwiazdkę, ale kazała nam go oddać, kiedy pogryzł nogę stołową. - Zawsze łąy wzbierały jej pod powiekami na samą myśl o Sashy, szczeniaku, którego kochała całym dziesięcioletnim serduszkim, i któremu musiała znaleźć nowy dom.

David również nie przepadał za psami. Kiedyś kupił dziewczynkom dwie złote rybki, jednak szybko o nich zapomniał, i koniec końców to Isabel biegała do sklepu zoologicznego po następną, ilekroć jedna zdechła. Przy Flipperze Szóstym obu dziewczynkom rybki się znudziły. David twierdził, że nienawidzi gryzoni, więc chomika w domu nie będzie.

- Bardzo bym chciała mieć psa - oznajmiła gwałtownie. Duke i Kerry wpatrywały się w nią miłosnym wzrokiem. - Niestety, całymi dniami jestem poza domem i nie miałby kto z nim wychodzić.

- A pani mąż?

- Rozstaliśmy się - odparła krótko.

- Przepraszam. - Lecz w jego głosie nie było skruchy.

- A pan? - Niech sobie nie myśli, że te wszystkie niedyskretne pytania ujdą mu na sucho.

- Mam żonę.

- Więc dlaczego włóczy się pan samotnie po ogrodzie i zagaduje nieznajome kobiety? - zapytała drwiąco.

Odpowiedział bez chwili wahania.

- W ciemności mam większe szanse. Nie dostrzeże pani mojego garbu, bielma na oku i tiku nerwowego. Wie pani, lewa brew podskakuje mi około czterdziestu razy na minutę. Trafiłem dzięki temu do Księgi Rekordów Guinnessa, ale kobiety tego nie lubią.

Parsknęła śmiechem.

- Jest pan szybki, tego nie da się ukryć.

- Ależ to prawda! - Obruszył się komicznie. - Mówiąc serio - dodał po chwili - ja też

musiałem przez chwilę odpocząć. Mam ograniczoną tolerancję, jeśli chodzi o bale dobroczynne. Nie wytrzymałbym kolejnej nic nie znaczącej pogawędki z ambasadorem takim a takim czy drinka w towarzystwie kogoś, kogo w głębi duszy nie cierpię. W tej chwili najchętniej rozwalilibym się na kanapie po dobrej kolacji i szukał czegoś fajnego w telewizji.

Tęsknie skinęła głową.

- Myślałam o tym samym. Właśnie leci *Ostry dyżur*.

- Ja tam wolałbym western, najlepiej bardzo stary, taki z Johnem Waynem. Zazwyczaj nie zagaduję nieznanym kobietom - dodał miękko. - Akurat szedłem na spacer z psami, zobaczyłem panią... i poczułem, że muszę z panią porozmawiać. Nie mam nic więcej na swoje wytłumaczenie.

- Pochlebia mi pan - powiedziała cicho. - Ale czy nie jest to trochę ryzykowne na przyjęciu? Przecież lada chwila pańska żona może zacząć się zastanawiać, co pan robi z nieznaną w ogrodzie po ciemku.

Roześmiał się. Z goryczą, jak zauważyła.

- W tej chwili mógłbym uprawiać tu seks z Kim Basinger i Michelle Pfeiffer, jeśli chodzi o moją żonę - spojrzał na Isabel kątem oka - choć żadna z nich nie umywa się do pani.

Nie zdążyła zareagować, kiedy dodał:

- Właściwie powinienem się przedstawić. Jack Carter. - Wyciągnął do niej dużą dłoń. Isabel wpatrywała się w niego zdumionym wzrokiem.

Jasne, że to Jack Carter. Bal odbywa się w domu Carterów, a on wyprowadził psy na spacer, psy, które się denerwują, ilekroć trwa przyjęcie. Kim do cholery miałyby być, jeśli nie panem domu? Co z ciebie za idiotka, Isabel! Powiedziałaś, że chciałabyś stąd uciec! To się dopiero nazywa gafa!

- Isabel Farrell. - Z wahaniem ujęła dłoń mężczyzny.

Uścisk jego ręki był silny i ciepły, całkowite przeciwieństwo bezwładnych, wilgotnych dłoni, których nie znosiła.

Ledwie ją puścił, wstała gwałtownie. Psy podniosły na nią pytający wzrok.

- Lepiej wróć do środka - poinformowała go. Teraz, kiedy go już poznała, kiedy rozmawiała z nim jak równy z równym, nie chciała mu mówić, kim jest - że nie przyniosła czeku na dziesięć tysięcy funtów na cele dobroczynne, lecz należy do zwykłych ludzi, jego pracowników, dla których, o czym była przekonana, on nigdy nie ma czasu.

- Do widzenia - powiedziała sztywno. Poglaskała psy na pożegnanie i odwróciła się na pięcie.

- Przepraszam, powinienem był wcześniej się przedstawić - stwierdził Jack. - Chyba pani nie wystraszyłem?

- Skądże znowu. - Szła w stronę domu, obcasy grzęzły jej w trawie, tak szybko chciała dotrzeć do tarasu. Wewnątrz odnalazła zespół redakcyjny „Sentinela”. Otaczali ciasnym wianuszkciem ciemnowłosą kobietę w obcisłej sukni z czerwonego aksamitu.

Wysoka, szczupła, o kremowej karnacji kogoś, kto odżywia się wyłącznie wodą mineralną i owocami, mogłaby uchodzić za starszą siostrę Cindy Crawford. Miała pełne, czerwone usta, regularnie sklezione brwi i burzę loków - bez wątpienia efekt godzinnej sesji u fryzjera. Brakuje tylko pieprzyka, pomyślała Isabel, i w tym momencie dotarło do niej: to jego żona!

- Isabel, poznaj Elizabeth Carter. - Phil wciągnęła ją w sam środek kółka, czyli dokładnie tam, gdzie Isabel nie chciała się znaleźć.

- Miło mi. - Kobieta miała niski, gardłowy głos.

- Dzień dobry - wykrztusiła Isabel. Nie zamknęła jeszcze ust, a Elizabeth już skoncentrowała się na kimś innym. Zwracała się do mężczyzn z redakcji. Najwyraźniej wszyscy byli pod jej wrażeniem.

- Bardzo się cieszę, że tu dzisiaj przyszlście - przy tych słowach patrzyła w oczy każdemu po kolei. - Bal Fundacji zazwyczaj odbywa się w hotelu, lecz w tym roku postanowiliśmy obniżyć koszty i wydać go w domu. Jedyny problem to ciasnota. - Niedbałym gestem wskazała przestronną salę balową. - Tu jest po prostu za ciasno. Czy ktoś poczęstuje mnie papierosem?

Błyskawicznie wszyscy palacze, i niejedyn niepalący, zaczęli gorączkowo obmacywać kieszenie.

- Dzięki - mruknęła, wybrawszy papierosy Freda, który nosił swoje Dunhil-le w srebrnej papierošnicy.

- Więc czym się pan zajmuje? - zapytała go.

- Jest naczelnym fotografem. - Biedak aż się zarumienił pod jej spojrzeniem.

- To fascynujące. Może mógłby pan kiedyś zrobić dla mnie kilka zdjęć domu? Myślałam o tym od dawna...

Phil dała Isabel dyskretny sygnał i obie wycofały się niepostrzeżenie.

- Jest niewiarygodna - mruknęła Phil. - Wygrałaby mistrzostwa świata we flircie.

-I to lekką ręką - zgodziła się Isabel. - Sądząc po minach chłopców, z ochotą czołgaliby się na klęczkach przez pustynię Kalahari, byle jej podać filiżankę kawy. Tony wręcz się ślini.

- To akurat nic nowego. Wątpię jednak, czy chciałaby kawy. Raczej zainteresowałoby ją parę działek kolumbijskiej kokainy - poprawiła Phil. - O ile się nie mylę, jest nagrzana.

- Jak to? - Isabel nie wierzyła własnym uszom. Jej zdaniem Elizabeth wyglądała bardzo dobrze. Więcej, wyglądała przepięknie.

- Jest naćpana, na haju, nazwij to sobie jak chcesz - szepnęła Phil, rozglądając się przy tym uważnie, czy nikt nie podsłuchuje. - A nie jest to normalny stan dla dam z towarzystwa wydających bale dobroczynne. Mój szwagier ostro brał, był kokainistą, i widzę objawy na

kilometr. Elizabeth trzyma się świetnie, to trzeba jej przyznać. Udaje jej się to ukryć przed większością ludzi. Pewnie niewielu obecnych domyśla się, że jest na haju. Mogę się założyć, że im bardziej jest naćpana, tym wytworniej szy ma akcent.

- Jezu! - Isabel była zdumiona. Wyciągała szyję, żeby dokładnie przyjrzeć się Elizabeth Carter. W przykuwającej uwagę sukni zdawała się ucieleśnieniem dobrego smaku. Isabel przypuszczała, że duchota i upał nie dają się jej we znaki jako jedynej na całym przyjęciu.

- Oczywiście, mogę się mylić - kontynuowała Phil. - Ale jest za bardzo pobudzona jak na przyjęcie tego typu. Zazwyczaj gospodynie na takich balach krążą po sali sącząc od czasu do czasu szampana, a porządnego drinka szykują sobie dopiero po wyjściu gości. Nasza gospodyni pewnie wciągnęła kilka działek, zanim ktokolwiek przyszedł, a teraz poprawia alkoholem. Niech się dzieje co chce, jak mawiał mój biedny szwagier.

- Nadal bierze? - zainteresowała się Isabel.

- Nie. Doprowadził do bankructwa i siebie, i moją nieszczęsną siostrę. Kiedy się skończyły pieniądze, musiał przestać. Mało przy tym nie umarł.

- Kochany! - Elizabeth zatrzymała przechodzącego kelnera. - Jeszcze raz to samo, wódkę z martini, bez oliwki, z odrobiną lodu. - Delikatnie odstawiła pustą szklankę na tacę i wróciła do przerwanej rozmowy.

Phil spojrzała na Isabel z miną „a nie mówiłam”.

Nowy drink Elizabeth, szklanka wypełniona po sam brzeg, wystarczył na dokładnie dziesięć minut. Zamawiała właśnie kolejnego, kiedy pojawiła się Dee O'Reilly, w obłoku rozwianych kasztanowych loków, z twarzą błyszczącą od potu.

W obcisłej czarnej kreacji z aksamitu wygląda rewelacyjnie, zauważyła Isabel z leciutkim uczuciem zazdrości. Jest duża, ale niewiarygodnie seksowna. Podobnie jak Elizabeth Carter, Dee wręcz emanowała zmysłowością i nic dziwnego, że mężczyźni na nich skupiali uwagę.

Były całkowicie różne, jedna chuda jak modelka, druga o rubensowskich kształtach, lecz obie miały w sobie owo niedefiniowalne coś - Isabel czuła się przy nich jak brzydka starsza siostra. Bardzo brzydka, kompletnie nieatrakcyjna starsza siostra. Przypomniała sobie mężczyznę z ogrodu i to, co sobie o nim pomyślała, zanim się dowiedziała kim jest. Wydawał się być nią zainteresowany, a może sobie to tylko wmawiała?

- Przepraszam za spóźnienie - wy sapła Dee. - Gary przywiózł mnie tutaj moim samochodem. Po drodze złapaliśmy gumę. Strasznie dużo czasu zmarnował na wymianę, bo schowałam lewarek nie tam, gdzie trzeba. - Uśmiechnęła się krzywo. - I tak dobrze, że tam był. Ja godzinami głowiłabym się, jak podnieść samochód bez lewarka, a on po prostu wezwał pomoc drogową. I jeszcze na niego nakrzyczałam, że gdyby nie rozbił swojego bezcennego alfa romeo, nie prowadziłby mojego wozu i do całego zamieszania w ogóle by nie doszło.

- W każdym razie już tu jesteś. Niewiele straciłaś - zapewniła ją Isabel z uśmiechem. - Napijesz się czegoś? Mały drink chyba dobrze ci zrobi.

- Och, tak! - zapaliła się. - Oddam wszystko za porządnego drinka i umieram z głodu. Kto to? - wskazała Elizabeth.

- Pani domu - mruknęła Phil. - A oto pan.

Isabel podniosła wzrok. Do grupki dołączył wysoki mężczyzna. W świetle włosy Jacka Cartera jeszcze bardziej kojarzyły się z wilczą sierścią. Oczy, którymi tak intensywnie się w nią wpatrywał, były szare jak stal.

- Jak się bawicie? - zapytał.

- Doskonale. - Stalin chwiejnie uniósł szklankę.

- Cieszę się. Jedliście już coś?

- Łosoś marynowany w wódce jest boski - powiedział Tony. Elizabeth zachichotała.

- Mamy coś takiego? Nie wiedziałam. Szkoda wódki, nieprawdaż? Jediną rzeczą, którą lubię marynować w wódce, jestem ja sama. Tak, kochanie? - zwróciła się do męża.

Uśmiechnął się z przymusem.

- Ojej, co tu się dzieje - szepnęła Phil.

Isabel jej nie słuchała. Patrzyła na Jacka, nadal lekko zmieszana ich spotkaniem w ogrodzie. Czowała ucisk w żołądku. Nie rozumiała uczuć, które w niej budził, nie chciało jej się wierzyć, że jakikolwiek mężczyzna sprawił, że na nowo poczuła coś takiego.

Proszę bardzo, oto on, u boku pięknej żony, w imponującym domu, wśród przyjaciół i pracowników, a ona się zastanawia, czy mu się spodobała. Co się z nią dzieje? Czyżby perspektywa czterdziestych urodzin wszystkim kobietom mąciła umysł?

Dee przedstawiła się gospodarzom.

- Przepraszam za spóźnienie - usprawiedliwiła się. - Kłopoty z samochodem.

- Nic nie szkodzi - zapewnił Jack spokojnie. - Bardzo się cieszę, że panią poznałem, Dee. Dużo o pani słyszałem.

Poczerwieniła.

- Dobrego - dokończył.

Poczerwieniła jeszcze bardziej.

Przeniósł wzrok na Isabel. Przez chwilę przyglądał się jej bez słowa. Czeka, aż się odezwę, uświadomiła sobie nagle.

- Isabel Farrell, redaktor działu kobiecego - przedstawiła się oficjalnie, najchłodniejszym głosem, na jaki było ją stać.

Nie odwrócił wzroku.

- Bardzo mi miło. - Z tymi słowami zaczął się oddalać.

Więc tak chce to rozegrać, pomyślała. Do tej pory nie widzieliśmy się na oczy. Bardzo

dobrze, ona też to potrafi.

- Chodź, Elizabeth, czas byś wygłosiła mowę - rzucił Jack przez ramię. - Do zobaczenia w redakcji „Sentinela” w ciągu tygodnia.

- Boże, czyż on nie jest wspaniały? - Dee duszkiem wychyliła swojego drinka. - Szczęściara ze starej Liz.

- Tak - powtórzyła cicho Isabel. - Szczęściara ze starej Liz.

12.

Gdzie one są, do cholery? Dee niezdarnie przetrząsała torebkę w poszukiwaniu kluczy do domu. Znalazła przy tym niezliczone szminki, batonika Twix, długopisy, zużyte chusteczki, do połowy rozpakowany tampon, rachunki za benzynę... wszystko, tylko nie klucze. Chyba jest bardziej pijana, niż się jej zdawało. Wszystko przez Tony'ego, spoiją szampanem. Powinna była mu odmówić, ale pochlebiał jej fakt, że ma u boku nadskakującego mężczyznę, nawet jeśli to tylko wiecznie napalony redaktor działu sportowego. Ciągłe zaglądał jej w dekolt. Jemu najwyraźniej podobała się jej figura, choć bynajmniej nie przypomina Kate Moss.

W każdym razie nie próbował uwieść Dee w samochodzie, jeśli nie liczyć ręki na jej udzie, aż musiała go rąbnąć pięścią w klatkę piersiową. Za kogo ją uważa, do licha? Zadrzała. Bardzo zimno jak na sierpień. Na dodatek zapomniała żakietu. O do licha, na pewno został w samochodzie Tony'ego.

Telefon komórkowy wypadł z torebki robiąc przy tym masę hałasu. Coraz lepiej. Teraz już na pewno Gary ją usłyszał. Nie chciała go budzić, bo wiedziała, że będzie strasznie zły, kiedy zobaczy, jak bardzo jest pijana.

W drodze na przyjęcie oznajmił, że ma jej coś bardzo ważnego do powiedzenia. Niestety akurat wtedy złapali gumę i nie było okazji, żeby pogadać. Obiecała, że wróci wcześniej i porozmawiają w spokoju.

Ponieważ było bardzo późno, a ona, po konsumpcji dużej ilości alkoholu, nie nadawała się do prowadzenia poważnych rozmów, Gary na pewno się wścieknie.

Tu są! Dee tryumfalnie wyjęła klucze. Teraz jeszcze tylko musi wkraść się bezszelestnie, rozebrać na dole i cichutko jak myszka przedostać do sypialni. O, żeby nie zapomniała - musi zabrać ze sobą szklankę wody na porannego kaca. Wiedziała, że obudzi się marząc o niezliczonych butelkach 7Up.

Jej plan spalił na panewce. Kiedy niemal na czworakach, najciszej jak umiała, ze szklanką wody w dłoni, odziana jedynie w bieliznę, stanęła w drzwiach sypialni, okazało się, że Gary nie śpi. Czytał. Na jej widok znacząco spojrzął na zegarek. Wskazywał wpół do czwartej, a Dee obiecała wrócić mniej więcej trzy godziny wcześniej.

- Obudziłam cię? - zapytała fałszywie. Usiłowała wyglądać na niewiniątko. - Starłam się być cicho.

- Jeżeli dla ciebie cicho oznacza dziesięć minut pod drzwiami, podczas których wyrzucasz na ziemię zawartość torebki i klniesz tak, że słyszy cię pół ulicy, to twoje starania się powiodły - warknął. - Niestety, moje rozumienie tego słowa znacznie różni się od twojego.

- Przepraszam - wymamrotała. Dlaczego jest na nią wściekły? Przecież była na przyjęciu

służbowym, nie włączyła się po klubach czy dyskotekach. Poza tym musiała iść do Carterów, to nie tak, że sama tego chciała.

Osobiście wolałaby zostać w domu z Garym. Bo kochała go nadal, mimo tych wszystkich okropnych rzeczy, które jej powiedział. Od pamiętnego weekendu w Wexford gryzła się tym, co od niego usłyszała, lecz szampański, w dosłownym tego słowa znaczeniu wieczór, roztopił lód w jej sercu. Po alkoholu czuła się kochana i szczęśliwa.

Postanowiła powiadomić o tym Gary'ego.

Cisnęła sukienkę na podłogę, odstawiła szklankę na nocny stolik i rzuciła się na niego, gniotąc mu przy tym gazetę.

- Przepraszam - mruknęła. - Kocham cię, Gary. Bardzo, bardzo mocno. Co z tego, że byłeś okropny, i tak cię kocham. Szaleję za tobą. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

Nie odpowiedział.

Usiadła na nim okrakiem, wycisnęła wilgotny pocałunek na jego czole, przesunęła usta na jego wargi. Będzie się z nim kochać, to mu poprawi humor, jak zwykle. Musnęła ustami jego szyję.

- Mam sama zdjąć stanik czy mi w tym pomożesz? - zapytała gardłowo. Wyprostowała się i zsunęła ramiączko stanika, aż jej piersi wylewały się z fiszbinowych miseczek. - Ojej! - zachichotała, kiedy o mały włos nie spadła z łóżka. Nie, nie była aż tak pijana. Gary zepchnął ją z siebie.

- Jesteś zalana, Dee. Znowu. - Z miną posepną jak chmura gradowa wygramolił się spod kołdry i zarazem spod Dee. - Nie mieści mi się w głowie, że akurat dzisiaj musiałaś się upić. Wiedziałaś, że chcę z tobą porozmawiać. „Nie martw się, Gary, wrócę najpóźniej o dwunastej, więc nie kładź się, pogadamy wieczorem”. Przypomina ci to coś?

Wzdrygnęła się słysząc, jak ironicznie powtarza jej słowa. Naprawdę chciała wrócić wcześniej, ale tak się złożyło. Phil i Isabel podrzuciłyby ją do domu, gdyby chciała, ale zbierały się do wyjścia tuż po jej przybyciu. To nieładnie wychodzić tak od razu. Chciała mu to powiedzieć, lecz nie dał jej dojść do słowa.

Stał przy łóżku, najwyraźniej bardzo zły i nie w humorze na seks, choć miała na sobie seksowną bieliznę i jego ulubione czarne pończochy, w dodatku siedziała po jego stronie łóżka.

- Chciałem, żebyśmy omówili coś bardzo ważnego...

- Przecież nadal możemy... - szepnęła błagalnie.

- Nie musimy - syknął. - Minęła odpowiednia ku temu chwila. Wobec twojego postępowania, Dee, tym łatwiej przyszło mi podjąć decyzję. Zaproponowano mi półroczny staż w Londynie. Przyjmuję tę ofertę.

Patrzyła na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Londyn. Pół roku. Wyjazd na pół roku. Chyba nie mówi poważnie? Coś takiego nie mieściło jej się w głowie.

- A... a... ale nie możesz - wyjąkała. - Dlaczego? Jakim cudem? Jak możesz tak mnie zostawić? Co to ma znaczyć? - Jej mina rzedła w miarę jak docierała do niej waga jego słów.

- Jesteś zbyt pijana, żeby logicznie myśleć - odparł zimno. - Idź spać, porozmawiam z tobą rano.

Wyszedł. Słyszała, jak szuka czegoś w bielizniarce. Wskoczyła z łóżka, wybiegła na korytarz. Gary stał na schodach z zapasową kołdrą pod pachą.

- Dokąd z tym idziesz? - zdziwiła się.

- Na kanapę-usłyszała. Zatrzasnął za sobą drzwi do salonu. Dee żałośnie opierała się o poręcz. Gdzie popełniła błąd? On chyba nie mówi poważnie? Z trudem powstrzymała łzy. Wróciła do sypialni, położyła się po jego stronie, szczelnie otuliła kołdrą. Poduszka pachniała jego płynem po goleniu, i to odrobinę poprawiało jej humor.

Chyba jej nie zostawi? Wie przecież, że musi wypić kilka drinków, żeby się odprężyć na przyjęciach. Trzeźwa, uważała się za nieznośnie tłustą i brzydką. Alkohol pomagał jej się wyluzować, i tyle. Gary nie ma pojęcia, jakie to uczucie znaleźć się w jednym pomieszczeniu z modelkami o taliach osy i drobnych piersiach, które nie wylewają się ze staników. Nie ma nic gorszego niż życie grubaski w świecie chudych. Gary po prostu tego nie rozumie.

Pierwszą rzeczą, którą poczuła rano, nie był gigantyczny kac, lecz dziwne uczucie pustki, gdy wysunęła nogę w stronę Gary'ego, a w łóżku nikogo nie było. Z trudem uniosła powiekę. Wpół do dwunastej. Pewnie poszedł grać w piłkę, skoro jej nie obudził.

Zazwyczaj, jeśli nie pracowała w niedzielę, podawał jej do łóżka filiżankę kawy, zanim uciekał pograć z chłopakami. Kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, razem z nim chodziła na mecze, stała przy samym boisku, dopingowała co sił w płucach i wrzeszczała na przeciwników, jeśli faulowali. Jego drużyna jednak nie rozgrywała spotkań ligowych w lecie, a Dee nie chciało się rano wstawać z łóżka, jeśli nie musiała.

Oby był w lepszym humorze, kiedy wróci do domu. Może po kilku godzinach na boisku złość mu przejdzie. Co do wyjazdu do Londynu, niemożliwe, żeby mówił poważnie. Za dobrze mu szło w Dublinie, żeby zostawiał wszystko na pół roku i wyjeżdżał do innego miasta.

Obieca, że nie tknie alkoholu, przestanie zawracać mu głowę sprzątaniami, zacznie się odchudzać. Zrobi wszystko, byle naprawić swój błąd. Czego sobie tylko zażyczy, ona to zrobi, cokolwiek. Udowodni mu, że są dla siebie stworzeni, wtedy jej nie zostawi.

Przeciągnęła się leniwie. Właściwie czuła się dobrze, nie miała kaca, za to umierała z głodu. W domu chyba nie ma nic jadalnego. Zaraz, zaraz... ma mrożone rogaliki, trzeba je tylko upiec. W drodze po gazetę może kupić jajka. Kiedy Gary wróci, będzie na niego czekało smakowite późne śniadanie. O, tak, to mu się spodoba.

Zachwycona swoim planem, energicznie zerwała się z łóżka. Wzięła prysznic, umyła włosy,

cały czas podśpiewując. Miała przed oczami wizję nowej Dee O'Reilly - szczupłej, eleganckiej Dee w szykownym kostiumie rozmiar dziesiąty, z ładną, klasyczną fryzurką z prostych włosów, zamiast niesfornej burzy loków. Do tego delikatny makijaż. Może pójdzie do stylistki przy stoisku Lancôme w domu towarowym i wreszcie nauczy się tak malować oczy, żeby nie wyglądać jak po czterech rundach z Mikiem Tysonem.

Zamieni przepastną torbę na jedną z tych eleganckich małych teczek, które wyglądają tak profesjonalnie. I będzie się odchudzać jak wariatka, nigdy nawet nie spojrzy na Marsy, będzie się odżywiać owocami i piła dziennie osiem szklanek wody mineralnej, a nie osiem kubków kawy z nadzieją, że tym sposobem zaspokaja codzienne zapotrzebowanie organizmu na płyny.

Tak, nowa Dee sprawi, że Gary zakocha się w niej na nowo i na śmierć zapomni o wyjeździe do Londynu.

Wyglądam słodko, stwierdziła, kiedy się ubrała. Grubo, ale słodko. Włożyła stare dzinsy i obcisłą bluzeczkę z różowego aksamitu, która prowokacyjnie opinała jej biust. Włosy upięła na czubku głowy, jak mała dziewczynka z Jaskiniowców, i obficie skropiła się waniliowymi perfumami. Gary nie będzie w stanie jej się oprzeć.

Do piątej przeczytała wszystkie gazety, pochłonęła i jego, i swoją jajecznicę oraz większość rogalików. Smudge smacznie spał na fotelu. Od czasu do czasu leniwie ruszał łapką - pewnie przez sen polował na myszy. Miał brzusek wzdęty jak balon, bo uraczyła go resztkami jajecznicy.

Znudzona, cisnęła na ziemię trzeci dodatek telewizyjny. Ciągle ani śladu po Garym. Nie dzwonił. Zabrał ze sobą komórkę, ale jej nie włączył. Znalazła jego torbę treningową w schowku pod schodami. Jeśli nie gra w piłkę, gdzie się do cholery podziewa? I dlaczego się nie odzywa? Chyba nie jest na nią nadal wściekły?

Droga Annie Bardzo się pokłóciłam z moim chłopakiem. Wyszedł z domu bez słowa. Nie dał mi się wytłumaczyć, a to nie fair, bo przecież nie można iść na przyjęcie służbowe i nie wypić choćby drinka, prawda?

Nie wraca do domu, a ja nie jestem pewna, czy się martwię, czy wściekam. Jak może mnie tak traktować? Jak twoim zdaniem powinnam go powitać - wrzaskiem czy lodowatym milczeniem?

Zaparzyła sobie kolejną kawę i po raz piąty przeczytała horoskop w gazecie. To nie jest dobry tydzień dla Skorpionów jeśli chodzi o życie uczuciowe, nie da się tego ukryć.

Przygotuj się, że utracisz coś, o czym marzyłeś od dawna. Z ruchów gwiazd wynika, że w ten wtorek staniesz na rozstajnych drogach. To, co teraz zrobisz, będzie miało olbrzymi wpływ na całe twoje życie... wyczytała w jednym.

Twoim kolorem jest zieleń, numerem dziesiątka. Skorpiony samotne już we wtorek spotkają mężczyznę swojego życia. Natomiast Skorpiony związane mogą się spodziewać złych wieści... głosił drugi.

Nie wygląda to najlepiej. Żeby się czymś zająć, włączyła telewizor. Nic, same wiadomości, a tych miała po uszy.

O szóstej poczuła przyływ energii. Z maniackim entuzjazmem wysprzątała kuchnię, powycierała wszystkie naczynia, wyszorowała piecyk i stół, i zlała środkiem odkażającym wszystko, co jej wpadło w rękę.

O siódmej kuliła się na kanapie jak kupka nieszczęścia. Coś się musiało stać. Gary nigdy nie zniknął na tak długo, nie zadzwoniwszy do niej.

Maeve podniosła słuchawkę po piętnastym dzwonku.

- Byłam w łazience - wysapała. - Goliłam sobie nogi, farbowałam włosy i usuwałam włoski z brody.

- Wszystko naraz? Czy to aby bezpieczne? - zaniepokoiła się Dee.

- Chyba nie, ale inaczej nie zdążę, a Karl przyjdzie po mnie za godzinę. Jeśli się nie ufarbuję, dowie się, że nie jestem naturalnym rudzielcem. Jak było na przyjęciu w wielkim świecie? Czy ktoś zrobił z siebie idiotę?

- Ja. - Dee skrzywiła się smutno.

- Co przeskrobałaś? - Zainteresowała się.

- Właściwie na przyjęciu - nic takiego. To raczej kwestia tego, ile czasu tam spędziłam, ile wypiłam i co się działo, kiedy wróciłam do domu.

- Nie musisz mi mówić - Maeve wpadła jej w słowo. - Boski Gary się wkurzył, bo się upiłaś, i dąsa się na ciebie do tej pory, tak?

- Mniej więcej. - Nie do wiary, jak szybko Maeve odgadła, o co chodzi. - Zaproponowano mu posadę w Londynie i chciał ze mną o tym porozmawiać...

- A ty wtoczyłaś się do domu o wpół do piątej nad ranem, niezdolna do normalnej rozmowy, rozchichotana, z pijacką czkawką i plikiem karteczek z numerami telefonów wielbicieli, tak? - Maeve zdawała się wiedzieć dokładnie, co usłyszy.

- O wpół do czwartej, gwoli ścisłości, i bez telefonów. Chociaż musiałam dać Tony'emu Winstonowi po łapach, kiedy odwoził mnie do domu... Nie, to za długa historia - urwała pospiesznie. - Kiedy weszłam do domu, Gary powiedział, że chciał porozmawiać o tej pracy w Londynie i zapytać, co ja o tym sądzę. I zaraz dodał, że już podjął decyzję, bo ma mnie dość. Spał w salonie. Nie widziałam go od rana - zakończyła ponuro.

- Och, biedactwo - W głosie Maeve słyhać było szczere współczucie. - Tylko nie wpadaj w panikę, Dee. Wiesz, że prawdopodobnie po prostu wykorzystuje sytuację. Pewnie i tak chciał jechać do Londynu, tylko szukał pretekstu.

- To jeszcze gorzej! - Miała łzy w oczach. - To znaczy, że chce ode mnie odejść. A ja go kocham, Maeve, wiesz o tym. Jeśli chce, żeby się zmieniła, zrobię to. Nie wyobrażam sobie życia bez niego.

- Dee - Maeve nie traciła zdrowego rozsądku. - Zastanów się, co mówisz. Nie zmienicie się, ani ty, ani on. Spójrzmy prawdzie w oczy - chciałabyś, żeby tak się stało, ale to niemożliwe. Jest mężczyzną, a mężczyźni się nie zmieniają.

- Kiedy ja wcale nie chcę, żeby się zmienił! - Dee szlochała już otwarcie. - Chcę tylko, żeby wrócił!

- Miesiąc temu chciałaś, żeby się zmienił. Chciałaś, żeby pomógł ci sprzątać i nie rozrzucał wszędzie swoich rzeczy. I żeby mówił ci coś miłego także bez okazji, nie tylko wtedy, kiedy chce iść do łóżka.

- To było w zeszłym miesiącu. Och, Maeve, gdzie on się podziewa? Dlaczego nie wraca? Co mam robić?

- Wyłączył komórkę? - Tak.

- Jak myślisz, gdzie mógł pójść?

- Nie wiem. Może do Lena. Albo do takiej knajpy niedaleko jego domu, „Bleeding Horse”.

- W takim razie zadzwoń do Lena albo do tej knajpy.

- Nie mogę.

Maeve westchnęła głośno.

- Więc daj mi telefon, ja zadzwonię.

Gary odnalazł się w domu Lena.

- Był zalany w trupa - Maeve skrupulatnie zdawała przyjaciółce relację z wywiadu. - Od dobrych kilku godzin chleją whisky. Len posunął się do tego, że mnie tam do nich zaprosił. Muszą być ledwo przytomni. Kiedy ostatnio się z nim widziałam, powiedział, że nie umówiłby się ze mną, choćbym była ostatnią kobietą na ziemi. To dlatego, że wyraziłam przekonanie, że ma małego, co tłumaczyłoby jego obsesję na temat porsche'a. I to dziesięcioletniego porsche'a...

- Co powiedział Gary? - zapytała Dee nieśmiało.

- Nie chciał ze mną rozmawiać. Słyszałam, jak wrzeszczy, że wróci, kiedy będzie miał ochotę. Doprawdy urocze.

Dee nie była w stanie nic powiedzieć. Miała wrażenie, że uszło z niej całe powietrze. Usiadła na najniższym stopniu, opłótła kolana ramionami. To sen, tylko koszmarny sen. Jej życie rozpada się na kawałki, a ona nie może nic na to poradzić.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Maeve.

Szczytem nieuczciwości byłoby zwać swoje problemy na przyjaciółkę. Maeve była w siódmym niebie, kiedy Karl, trener z fitness klubu do którego się zapisała, zaprosił ją na randkę.

Dee nie może jej zepsuć pierwszego wspólnego wyjścia z facetem, który jako jedyny w ciągu ostatnich miesięcy dotrzymał obietnicy, że zadzwoni.

- Dobrze, dobrze. Dzięki. Maeve, wracaj do farbowania. Nic mi nie jest, naprawdę.

- Nie jesteś...

- Wszystko w porządku - zapewniła bohatersko. - Szykuj się do wyjścia. Wiem, jak bardzo ci na tym zależy. Nie chcę, żebyś mnie obarczyła winą, kiedy Karl się dowie, że nie jesteś ruda - zażartowała.

- Nie zostawię cię w takim stanie.

- W jakim? Do cholery, jestem w takim samym stanie od dawna. - Starła się mówić przekonująco. - Znasz mnie i Gary'ego - ciągle się kłócimy. Wróci, kiedy się uspokoi.

Chyba udało się ją przekonać.

- Naprawdę. - Maeve nie była zbyt pewna. Dee miała ochotę wrzasnąć: „Nie!” Chciała, żeby przyjaciółka przyjechała do niej i pocieszała ją opowieściami o głupich, tępych facetach, którzy koniec końców i tak wracają do domów. Wiedziała jednak, że miałyby pretensje do samej siebie, gdyby pierwsza randka Maeve z Karlem nie doszła do skutku z jej powodu. Karl zaś, z opisu Maeve zabójczo przystojny, umięśniony i na dodatek wypłacalny, był zbyt cenny, by go stracić, zwłaszcza że Maeve miała szczęście do okropnych, bezrobotnych typów.

- Nie wygłupiaj się, Maeve. Wiem, gdzie jest Gary i już jestem spokojna. Wcale się nie martwię. Właściwie, żeby zrobić mu na złość, chyba wyjdę wieczorem z domu. Przez cały tydzień nie widziałam się z rodzicami - dodała, żeby zabrzmiało to wiarygodniej. - Wpadnę do nich. Mama ma grype, więc trochę ich rozruszam.

- Dobrze. - Maeve kamień spadł z serca. - Nie powinnaś sama siedzieć w domu.

- Wiem - odparła Dee, która właśnie to miała zamiar robić. W lodówce jest cała butelka cytrynowego Absoluta, do tego karton soku pomarańczowego i paczka mini-batoników Mars. Spędzi wspaniały wieczór.

- Baw się dobrze, a jutro opowiesz mi wszystkie pikantne szczegóły - poleciła. - Obwód uda i innych, hm... części ciała, stan konta, plany zawodowe... zapomniałam o czymś?

- Nie, wzięłaś pod uwagę każdą okoliczność - roześmiała się Maeve. - Nie martw się, Dee. Zobaczmy się jutro. Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Gary cię kocha.

- Wiem, wiem - mruknęła. - Cześć, i dzięki za wszystko. Prawdziwa z ciebie przyjaciółka. - Cieszyła się, że Maeve nie widzi też wielkości grochu, które znowu spływały jej po policzkach.

- Cześć.

Jeszcze długo siedziała na schodach z telefonem na kolanach. Potem poszła do kuchni i otworzyła lodówkę. Choćby miała czekać na niego całą noc, nie pójdzie spać.

Kiedy w końcu przyszedł, wypila zaledwie dwa słabe drinki. Miała zamiar upić się w pestkę, żeby zapomnieć wszystko to, co powiedział poprzedniego wieczora, ale nie miała ochoty na

alkohol. Nadal się rumieniła na wspomnienie tego, jak się zachowywała na przyjęciu. Doszła do wniosku, że nigdy więcej nie chce się tak zalać. Liczyła, że strumień szampana pomoże jej uporać się z brakiem pewności siebie, a tymczasem wpadła z deszczu pod rynnę.

Alkohol niczego nie załatwia, skonstatowała z niejakim zdumieniem, wspominając wszystkie okazje, kiedy była wręcz przeciwnego zdania.

Ponieważ wódka odpadała jako środek znieczulający, a desperacko potrzebowała czegoś, co odwróci jej uwagę od kłębiących się w głowie ponurych myśli, postanowiła obejrzeć kilka odcinków *Absolutely Fabulous* na wideo. Przy tym serialu miała pewność, że będzie się skręcać ze śmiechu, a tym samym - nie będzie myśleć.

Co chwila stawał jej przed oczami Gary mówiący, że odchodzi, i jednocześnie w uszach rozbrzmiewały jego słowa, że jest gruba, gruba, brzydka i przynosi mu wstyd. Ilekroć czuła łyzy w oczach, koncentrowała się na perypetiach Ediny i Patsy. Joanna Lumley jest taka chuda, zauważyła z zawiścią. Pali - to na pewno dlatego.

Odcinek świąteczny był tak zabawny, że Dee udało się całkiem skutecznie zapomnieć o swoim tragicznym położeniu. Akurat wtedy, o wpół do jedenastej wieczorem, usłyszała, jak Gary otwiera drzwi wejściowe. Natychmiast zgasła telewizor.

Nie krzyknął: „Już jestem”, co zazwyczaj robił. Zatrzasnął za sobą drzwi i wszedł do salonu.

- Cześć - powitała go nieśmiało. - Martwiłam się o ciebie. Z niesmakiem popatrzył na butelkę wódki na stoliku.

- Znowu piłaś. - Stwierdził raczej niż zapytał.

- Właściwie nie... - zaczęła.

- Nie zwracaj sobie głowy wymyślaniem usprawiedliwień - warknął. - Jeśli o mnie chodzi, możesz robić, co ci się żywnie podoba, pić i jeść do woli. Rano odchodzę.

Odwrócił się na pięcie i poszedł na górę.

Dee wzięła głęboki oddech. Więc jednak. Nic, co powie, nie zmieni jego decyzji. Przez kilka minut wpatrywała się w czarny ekran telewizora. Nadeszło to, czego się obawiała przez cały dzień - Gary od niej odchodził.

Nie wiadomo dlaczego nie załamała się, nie wpadła w czarną rozpacz. Zazwyczaj płakała z byle powodu, a teraz była całkowicie opanowana, choć nastąpił kataklizm, którego tak bardzo się bała. W kuchni zaparzyła sobie herbaty, usiadła przy stole i sporządziła listę w nieodłącznym notesie dziennikarza.

Kiedy wyjeżdża do Londynu? Co z domem? Dalej płacić raty czy go sprzedać i przesłać mu połowę pieniędzy?

Stłumione odgłosy z pokoju gościnnego zdradzały, gdzie Gary ma zamiar spędzić tę noc. I dobrze. Dee nie zniosłaby go w tym samym łóżku. Nienawidził jej, brzydził się nią.

Widziała to w jego oczach, gdy wrócił do domu. Patrzył na nią wrogo, z obrzydzeniem.

Lepiej spać na ulicy niż obok mężczyzny, który się tobą brzydzi.

Kiedy zszedł na dół kilka minut później, podała mu kartkę. Podejrzliwie przyglądał się jej suchym oczom, zanim przeczytał pytania.

- Powinniśmy chyba porozmawiać o sprawach praktycznych - powiedziała spokojnie.

- Eee, tak - wystękał.

- Co zrobimy z domem?

- Sprzedamy? - odparł. Szybko odzyskał panowanie nad sobą.

- Kiedy wyjeżdżasz do Londynu? - indagowała. Nie mogła się nadziwić, że mówi tak spokojnie.

- Pod koniec września.

- Ach, tak. - Mniej więcej w tym czasie planowali weekend w Amsterdamie. Przez chwilę wyobrażała sobie, że włóczą się po urokliwych uliczkach, zwiedza-ją dom Anny Frank. Było to coś, co chciała zrobić, odkąd jako nastolatka przeczytała słynny pamiętnik. Jakie ona miała okropne życie, w ciągłym strachu, że przyjdą Niemcy i rozdzielią rodzinę na zawsze. Pomyśleć, że tak łatwo stracić tych, których się najbardziej kocha.

Stracić tych, których się kocha najbardziej... Miała gulę w gardle. Pełna obaw, że się rozplacze mimo wszystko, cisnęła kubek do zlewu i pobiegła na górę. Nie będzie szlochała przy nim.

Tej nocy praktycznie nie zmrużyła oka. Słyszała, jak Gary położył się o pierwszej, kiedy skończyła się transmisja z meczu w telewizji. Słyszała, jak szoruje zęby w łazience... znajome odgłosy, które zwykle oznaczały, że zaraz znajdzie się w łóżku, koło niej. Tego wieczora skierował się do pokoju gościnnego.

Leżała w ciemności, zmęczona rozpaczą, jednak nie mogła spać. Czasami płakała bezgłośnie, a łzy spływały jej po policzkach. Świtało już, kiedy zasnęła.

Obudziła się o siódmej. Zazwyczaj w poniedziałkowy rano po omacku wyłączała budzik i wpół do dziewiątej półprzutomna zwlekała się z łóżka, żeby zdążyć do redakcji na dziesiątą. Tego ranka zaparzyła sobie kawy, przygotowała grzankę i na tacy zabrała na górę. Chciała uniknąć spotkania z Garym - nie miała na nie siły, nie zniosłaby pogardy w jego wzroku. W dodatku jej oczy były czerwone jak u królika.

Słyszała, jak Gary bierze prysznic o wpół do ósmej, je śniadanie za dziesięć ósma i zamyka drzwi pięć po. Kiedy wyszedł, wstała, włączyła radio na pełny regulator i zaczęła szykować się do pracy. Nie miała ochoty na makijaż. Po co? Była blada, zmęczona, miała smutne, zapuchnięte oczy.

Niechętnie nałożyła tusz i cienie do powiek. Żaden makijaż nie sprawi, że będzie podobna do ludzi, uznała, krytycznie przeglądając się w lustrze. Ciemne oczy były ponure i bez życia,

kremowa zazwyczaj karnacja wyglądała szaro i niezdrowo.

Nie miała siły na prasowanie jedwabnej bluzki w odcieniu winogron, którą chciała tego ranka założyć, więc wyciągnęła z szafy starą białą koszulę. Właściwie już jej nie nosiła, podobnie jak nieśmiertelnych szerokich czarnych spodni. Całość stroju uzupełniała długa czarna marynarka, tuszująca krągłości Dee. Nie był to może zestaw numer jeden w jej kolekcji, ale ostatecznie...

Włosy były nadal wilgotne po prysznicu i skręcały się w loki, a nie chciało jej się bawić z lakierem. Upięła je więc w prosty kok, nawet nie zadając sobie trudu, by wyciągnąć kilka pasemek, które zwykle łagodziły surowość fryzury. Zdarzało mi się wyglądać lepiej, stwierdziła mijając lustro. Dużo, dużo lepiej.

Maeve podbiegła do jej biurka tanecznym krokiem.

- Cześć. Czyż nie cudowny dzień? Nie, nie - zapewniła z promiennym uśmiechem. - To nie dlatego, że boski Karl nie wypuszczał mnie z łóżka do białego rana. Jestem szczęśliwa, bo go znalazłam - mężczyznę moich marzeń! Lepiej odpukać w niemalowane! - Dopiero teraz uważnie przyjrzała się Dee i jej uśmiech znikł natychmiast. - Dee, Boże drogi, co się stało? Jak się czujesz?

Dee zdobyła się na uśmiech.

- Doskonale. Jestem znowu wolna, roz... jak to się nazywa: rozręczona? wyręczona? w poszukiwaniu nowego mieszkania. Poza tym wszystko w porządku.

- O nie. - Maeve serdecznie objęła ją ramionami. - Moje biedactwo. Co się stało? A może nie chcesz o tym mówić?

- Nie wiem, czy jestem w stanie o tym mówić - poprawiła Dee. - Nie chcę znowu rozplakać się w redakcji. To mi zaczyna wchodzić w krew. Powiem ci przy lunchu.

- Dobrze. Zrobić ci kawy? - zaproponowała Maeve.

- Tak, bardzo proszę.

Maeve odeszła, a Dee poczuła, że chce powiedzieć przyjaciółce o wszystkim, natychmiast. Porwała torebkę - jeśli się rozszłocha, będzie mogła naprawić szkody w makijażu - i pognęła do kuchni.

Spotkały się w połowie drogi. Maeve niosła dwa parujące kubki.

- Masz fajki? - zapytała Dee. Przyjaciółka skinęła głową.

- Chodźmy do kibla. Przy papierosie opowiem ci wszystko.

Zanim Dee skończyła, każda wypaliła po trzy silk cuty. Automatycznie zmieniały temat rozmowy na rozważania o pogodzie, ilekroć w toalecie znajdował się ktoś prócz nich. Ku swemu zdumieniu Dee nie płakała, nawet kiedy doszła do natychmiastowej sprzedaży domu.

- Jezu, co za zimny drań - Maeve pokręciła głową.

- Ja też zachowałam spokój - zauważyła Dee.

- Byłaś w szoku. Zalewasz się łzami widząc przejechanego kota na poboczu drogi. Nie wpadłaś w histerię tylko dlatego, że byłaś w szoku. Ale uprzedzam, w którymś momencie to cię rąbnie jak młot pneumatyczny.

- Może. - Dee zastanawiała się przez chwilę. - Mam wrażenie, jakbym zamarzła, jakby nic z tego nie działa się naprawdę.

- Jak we śnie? Ejże, chyba za dużo oglądasz *Frasiera*.

Obie roześmiały się lekko.

- Wiesz, właściwie masz rację - stwierdziła Dee. - Frasier to psychiatra z kompletnie nieudanym życiem prywatnym, a ja prowadzę rubrykę porad, podczas gdy moje życie prywatne jest w rozsypce. Uważasz, że powinnam sprzedać prawa do przerobienia mojej marnej egzystencji na serial komediowy?

- Czemu nie? - Maeve zerknęła na zegarek. - Jezu, spójrz, która godzina! Jeśli zaraz nie zabiorę się do roboty, nie zostanie po mnie nawet ślad. Nie mam takiego szczęścia, jak wy, zastępcy szefów! Możecie sobie przychodzić i wychodzić, kiedy wam się żywnie spodoba. - Przytuliła Dee z całej siły. - Obiecuj, że mi powiesz, jeżeli później wpadniesz w rozpacz. Urwę się na godzinę i pójdziemy do „Magee’s”. Nie chcę, żebyś sama cierpiała. Obiecujesz?

Dee aż do lunchu nie miała czasu, by rozmyślać o Garym. Malley McDonnell, nowa redaktor naczelna, spędziła cały ranek w dawnym biurze Teda Holta, a obecnie - Eugene Flynna. Po kolei zapraszała do siebie szefów poszczególnych działów i omawiano, jakie nastąpią zmiany. Oprócz nieobecności Nigela, Teda i Marion, jego gadatliwej sekretarki, personel sienie zmienił. Na razie, dodawano w myślach.

- Ściągniemy kilka nowych osób - wyjaśnił gładko Eugene podczas spotkania z działami kobiecym i reportaży. - Mianujemy dwóch dyrektorów wydawniczych - jeden będzie odpowiadał za dział informacyjny, drugi za was - za działy: kobiecy, reportaży i całą resztę.

Całą resztę? Tym dla niego jesteśmy? - obruszyła się Dee. Nie lubiła Flynna. Wyglądał na faceta, któremu przyjemność sprawia wrywanie nóżek pająkom. I cóż to za nowy system wprowadza? Dyrektorzy wydawniczy? Nowe stanowisko. Gdzie jest ich miejsce - podlegają bezpośrednio naczelnemu, a zatem są zwierzchnikami redaktorów poszczególnych działów? Któż to może wiedzieć? Jeśli sądzić po dotychczasowych poczynaniach Flynna, niedługo będzie dziesięciu wodzów na jednego Indianina i nikt nie będzie pracował, bo wszyscy będą się prześcigać we wzajemnym zwalaniu winy na siebie.

- Jack Carter liczył, że tu będzie i opowie wam o wszystkim osobiście, niestety musiał służbowo jechać do Belfastu - Malley przeszła do rzeczy.

Dee zauważyła, że z niepojętego powodu Isabel odetchnęła w tym momencie z ulgą. Odkąd

tu weszły, siedziała wyprostowana jak trzcina, jakby denerwowała się przed najtrudniejszym egzaminem.

- Dyrektorem wydawniczym działu informacyjnego będzie Chris Schriber, natomiast do was dojdzie Tanya Vernon - Eugene podjął przerwany wątek. Nacisnął guzik na telefonie. - Niech Tanya wejdzie.

Drzwi się otworzyły. Dziennikarki spojrzały na nową szefową z ciekawością... i niedowierzaniem.

Tanya Vernon była dokładnie taka, jaką Dee chciałyby być. Wysoka i szczupła, wyglądała, jakby zeszła ze stron żurnala mody. Lśniące czarne włosy, przystrzyżone w zgrabną czuprynkę, przylegały do kształtnej czaszki i eksponowały wystające, słowiańskie kości policzkowe. Wrażenie elegancji potęgował biały kostium, szare zamszowe szpilki, srebrny naszyjnik i chyba zero bielizny pod żakietem. Krótka spódnica eksponowała nogi, na widok których mężczyźni prawdopodobnie tracili rozum. Na kimkolwiek innym efekt byłby tandetny, nachalnie erotyczny. Dee wyczuła jednak, że tylko ktoś bardzo głupi wzięłby Tanyę Vernon za kociaka.

Szare oczy w kształcie migdałów, podkreślone grafitowym cieniem do powiek, przesuwwały się po zebranych jakby rozważała, kogo wylać najpierw. Potem się uśmiechnęła, zimno, z pewnością siebie.

- Nazywam się Tanya Vernon, a ty jesteś... - Wyciągnęła rękę do Phil, która podała swoje nazwisko i przedstawiła pozostałych.

Dee usiłowała zidentyfikować neutralny akcent nowej przełożonej, gdy ta witała się ze wszystkimi po kolei. Nie amerykański, a przecież słyszy w nim dalekie echo zachodu... może australijski?

Ponieważ w gabinecie nie było wolnych krzeseł, Tanya oparła się o ścianę i przysłuchiwała rozmowie Isabel i Dee z Malley i Flynnem.

Dee obawiała się, że wpada w manię prześladowczą, jednakże czuła na plecach przenikliwy wzrok Tanyi.

Po zakończonym spotkaniu ona i Isabel wyszły jako pierwsze.

- Nie znoszę, kiedy ktoś sterczy mi za plecami - szepnęła Dee w drodze do redakcji. - Czułam jej wzrok na plecach.

- Ja też - odparła Isabel. - I nie wiadomo dlaczego odniosłam wrażenie, że nie podobało jej się to, co zobaczyła. To chyba ostra baba.

Dee nie posiadała się ze zdumienia. Nie przypuszczała, że Isabel podzieli jej opinię. Isabel przecież sprawiała wrażenie osoby zawsze pewnej siebie, której nikt nie wyprowadzi z równowagi, nawet Tanya Vernon.

- Wiesz coś o niej? Pracowała w Irlandii? - zapytała już normalnym głosem Isabel.

- Nie. I nie mam pojęcia, skąd pochodzi. Ma dziwny akcent. Właściwie w o-góle nie ma akcentu - poprawiła się Dee. - Może wcale nie pochodzi z ziemi - zażartowała. - Może pewnego dnia przyleciała statkiem kosmicznym.

- Jeśli jest z kosmosu, mam nadzieję, że należy do tych ufoludków, które przybywają w pokojowych zamiarach - westchnęła Isabel. - Ostatnio prześladują mnie koszmary, w których bezlitośni nowi szefowie wylewają połowę redakcji na bruk, a pozostałe pięćdziesiąt procent dostaje zawału z przepracowania. Oby rzeczywistość nie okazała się równie straszna.

O trzeciej po południu Dee była pewna jednego - Tanya Vernon bynajmniej nie spadła z obłoków. Wręcz przeciwnie, przybyła z najgłębszych czeluści piekielnych odrzutową windą.

Nie minęło pięć minut, odkąd weszła do redakcji, a zdążyła zarekwirować dla siebie pokoik przy oknie, gdzie fotografowie liczyli swoje koszty i wykonywali rozmowy telefoniczne.

- Macie cały dół dla siebie - zbyła Freda, głównego fotografa, gdy nakrył ją na niedbałym wrzucaniu jego dokumentów do kartonowego pudła. - To miejsce wam niepotrzebne.

Ogłosiła, że tego dnia nie będzie przerwy na lunch dla działu kobiecego i reportażu: „Mamy zebranie w sali konferencyjnej. Wyślijcie kogoś po kanapki.” I na dodatek zarekwirowała Jackie jako osobistą asystentkę, dopóki jej sekretarka sienie zjawi.

- Będzie mi potrzebna przez tydzień - oznajmiła Phil i Isabel. - Przez ten czas poradzicie sobie bez niej.

Oczy Phil zwięzły się nagle, ale nic nie powiedziała.

- Sekretarka, jeszcze czego! Jeśli przez cały czas będzie się tak zachowywać, przewiduję dwie możliwości: zbiorowe zwolnienia albo zbiorowy bunt - mruknęła do Dee. Tanya tymczasem udała się na poszukiwanie krzesła, odpowiadającego jej gustom.

- Nie będzie przerwy na lunch, co? - Maeve poklepała Dee po ramieniu. - Chcesz wyskoczyć wieczorem na drinka? Umówiłam się z Karlem o ósmej, ale będziemy miały co najmniej godzinę...

- Chętnie - mruknęła Dee. Rozważała, czy nie poprosić przyjaciółki, by udzieliła jej gościny na tę noc. Nie chciała wracać do domu. Gary ma się dzisiaj wyprowadzić. Wyobrażała sobie, jak pusto będzie w domu bez jego rzeczy.

Im więcej o tym myślała, w tym większą wpadała depresję. Stolik z salonu był jego, podobnie jak kryształowa lampa Waterforda. Zasłony podarował im jeden z braci Gary'ego. Kiedy rok temu kupili dom, nie mieli złamanego grosza, więc Dan sprezentował im swoje stare, z brązowego brokatu. Dee nie cierpiała ich na początku, potem jednak przywykła i nigdy nie zadała sobie trudu, by je zmienić. Bez rzeczy Gary'ego dom będzie się wydawał pusty. Bez Gary'ego będzie pusty.

- Dee. - Nie sposób było zignorować rzeczowy, lekko złośliwy ton Tanyi. - Idziemy na zebranie. Interesuje cię to?

Zerwała się na równe nogi.

- Oczywiście.

Jackie kupiła akurat takie kanapki, jakie Dee lubiła najbardziej. Razowe pieczywo, a na nim posiekane jajko pływające w majonezie, żółty ser i sałatka z białej kapusty, oraz kanapki z warzywami: pomidory, zielona sałata, sałatka ziemniaczana, oczywiście obficie polane majonezem.

Od śniadania minęło sporo czasu, więc Dee ochoczo zabrała się za jedzenie i napełniła swój talerz kanapkami. Czemu ma się odchudzać, skoro narzeczony ją zostawił? Jeśli jedzenie poprawia jej humor, będzie jadła z apetytem.

Tanya ledwie tknęła kanapkę z serem, za to wypiła kilka filiżanek czarnej gorzkiej kawy omawiając nowe pomysły.

Dee nie mogła się skoncentrować. Zgodnie z tym, co mówiła Maeve, była w szoku po odejściu Gary'ego. Teraz, dwa i pół dnia od rozstania, powoli docierało do niej, co się stało. Wbiła zęby w kanapkę.

Tanya znowu coś do niej mówiła:

- Jeśli skończyłaś, Dee, może będziemy kontynuować? - rzuciła lodowato. - Zadałam ci pytanie.

Dee poczuła się jak grube dziecko przyłapano z rękaw puszcze z ciasteczkami. Zaczerwieniła się.

- Tanya, podaj mi kawę, proszę. - Isabel powiedziała to głosem o kilka stopni chłodniejszym niż głos nowej przełożonej. - Jeśli już musimy spotykać się podczas przerwy na lunch, zjedźmy coś przynajmniej.

Tanya podała dzbanek, a jej oczy były zimne jak agaty.

- Nie jadam obfitych lunchów - z pogardą spojrzała na Dee.

- *Chacun son gout* - odparła Isabel bezbłędną francuszczyzną.

Tanya patrzyła na nią nie wiedząc, o co chodzi, czerwona ze złości. Nie zrozumiała, domyśliła się Dee i od razu poprawił jej się humor. Ona przepadała w szkole za francuskim i zrozumiała wypowiedź Isabel od razu.

- Każdemu wedle gustu - przetłumaczyła Phil i z przesadnym współczuciem poklepała Tanyę po ramieniu. - Ja też poproszę kawy. Isabel ma rację, moja droga. Jeśli już musimy pracować, zjedźmy coś przynajmniej.

Atmosfera rozluźniła się wyraźnie, wszyscy żwawo zabrali się do jedzenia, a Phil nawet wysłała gońca po ciasteczka.

- Koniecznie czekoladowe, dobrze? - poprosiła, jakby wybierały się na piknik i omawiały wyższość ciasteczek w czekoladzie nad zwykłymi.

U szczytu stołu Tanya pieniała się ze złości. Niedługo powetowała sobie porażkę.

- Powinnyśmy zamieszczać więcej artykułów adresowanych do młodych kobiet - stwierdziła.

- Chciałabym, żebyśmy puścili cykl o współczesnej Irlandce - jej celach, jej idolach, wiecie, coś w tym stylu. Zaczniemy od tekstu o fitness klubach. Wiecie, tych najbardziej popularnych. Taki wywiad z kobietami, którym zależy na dobrej kondycji fizycznej i młodym wyglądzie. - W tym miejscu odnalazła wzrok Dee. - To twoje zadanie na najbliższe dni - dwuczęściowy artykuł o klubach sportowych, ze szczególnym uwzględnieniem ich młodych klientek.

Wnętrznosci Dee fiknęły salto. Ma iść do fitness klubu i przeprowadzać wywiady ze szczupłymi pięknościami? Pytać, czemu ćwiczą? Ona? Siedemdziesiąt dwa kilo żywej wagi? A może już siedemdziesiąt trzy?

- Zabierz też fotografa, niech zrobi ci zdjęcia, jak z nimi rozmawiasz - dodała Tanya. - Lubię, kiedy artykuły mają ataki osobisty charakter, zdjęcie autorki daje czytelnikowi poczucie bliskości.

Dee wiedziała doskonale, jaki efekt przyniosą zdjęcia jej w towarzystwie wysmukłych miłośniczek aerobiku w kostiumach z lycry. Wyjdzie na tłąstą krowę, co bez wątplenia było zamiarem Tanyi.

- Nie uważam, żeby to było konieczne w artykule tego typu - wtrąciła Isabel. - Nie piszemy o reakcji Dee na temat, tylko o stosunku do ćwiczeń tych kobiet. Nie znoszę dziennikarstwa, w którym autor jest ważniejszy niż podmiot. To zarozumiałstwo. Czytelniczki nie chcą czytać o nas - podkreśliła. - Chcą czytać o tych, którzy są bohaterami naszych tekstów.

Dee dostrzegła światełko w tunelu. Może jej się upiecze. Tanya jednak nie dawała łatwo za wygraną.

- Nie! - krzyknęła. - Chcę też zdjęcia autorki.

Dee notowała coś zawzięcie z pochyloną głową. Tanya nie raczyła do końca spotkania nawet na nią spojrzeć. O trzeciej wszyscy byli wykończeni, poza Tanya, ma się rozumieć, która przeciągnęła się zwinnie, uśmiechnęła do pobladłych kobiet i wyszła sprężystym krokiem.

Kiedy wracały do swoich biur, Isabel dyskretnie wzięła Dee pod rękę.

- Chyba nie pomyślałaś, że wtrącam nos w nie swoje sprawy, Dee? Odniosłam jednak wrażenie, że myśl o tych zdjęciach nie napawa cię szaleńczą radością.

- To mało powiedziane. Nie wyobrażam sobie nic gorszego, no, może poza spacerem Grafton Street z tablicą z napisem CZY UWAŻASZ, ŻE POWINNAM SCHUDNAĆ na plecach. Co za suka. Mam dzisiaj fatalny dzień.

Isabel spojrzała na nią ciepło.

- Jeśli chcesz, porozmawiajmy o tym. Możesz na mnie polegać. Mówię poważnie - zapewniła.

- Dzięki. I za to, że stanęłaś po mojej stronie. Chyba tym sposobem zrobiłaś sobie wroga.

Panna Vernon raczej nie przywykła do tego, że ktoś się jej sprzeciwia. Albo robi z niej idiotkę.

Uśmiechnęły się jednocześnie na wspomnienie głupiej miny Tanyi, gdy Isa-bel odezwała się do niej po francusku.

- Nie martw się, poradzę sobie z nią - uspokoiła Isabel. - To dręczycielka, a takim ludziom nie można niczego darować. Błędem jest pytać: „Jak wysoko?” gdy mówi: „Skacz”.

- Cóż, może sama skacze wzwyż - zażartowała Dee.

- Ona może tak, ale chyba nie nowa naczelna. Gerry Deegan twierdzi, że Malley to porządna kobieta, więc może nie pozwoli Tanyi rządzić żelazną ręką, nawet w rękawiczce od Gucciego.

- Nie byłabym taka pewna - westchnęła Dee. - Jak znam życie i mojego pecha, Tanya już główkuje, pod jakim pretekstem wywalić mnie z pracy. A może tak mi zatruje życie, że sama zrezygnuję, dzięki czemu zaoszczędziliby na odprawie.

Zaledwie otworzyła drzwi wejściowe, wiedziała że Gary się wyprowadził. Z wieszaka zniknęły jego płaszcze i marynarki. Różowy płaszczik Dee zwisał smętnie i żałośnie.

Zabrał wszystkie swoje rzeczy ze schowka pod schodami, poza starą torbą treningową. Nawet nie zadał sobie trudu, by wynieść ją na śmietnik, skonstatowała. Za to zostawił zasłony w salonie. Zniknął stolik, odtwarzacz płyt kompaktowych - faktycznie, w większości były to jego płyty, Dee miała swoich tylko pięć, i magnetowid.

Ciężko opadła na kanapę. Czego brakuje na kominku? Oczywiście, ramki ze zdjęciem z zabawy sylwestrowej. Bardzo je lubiła - wyglądała wtedy doskonale, prawie szczupło w czerwonej obcisłej sukience, z wysoko upiętymi włosami. Fotograf uchwycił ją pod najwłaściwszym kątem, bez drugiego podbródka. Gary, bardzo przystojny we fraku, tulił ją do siebie ze śmiechem i machał w stronę aparatu.

Jego matka podarowała im srebrną ramkę na Gwiazdkę, pewnie dlatego ją zabrał. Należała do niego, podobnie jak srebrne sztuce, które zapewne także spakował, i indyjska komódka z przedpokoju.

Zostawił fajansowe jeże, które Dee wynalazła w Kerry's, i grube woskowe świece, które paliła, żeby stworzyć romantyczny nastrój. Zaraz, co tam leży na podłodze? Liścik? Podeszła bliżej. Było to ich wspólne sylwestrowe zdjęcie. Bez ramki smętnie poniewierało się na podłodze.

Nie chciał tej fotografii, nie chciał pamiątki po najszcześniejszym okresie ich wspólnego życia. Nigdy nie był zbyt sentymentalny. A jeśli już nosiłby jakieś zdjęcie przy sobie, byłaby to fotografia jego drużyny piłkarskiej.

Dee miała w portfelu dwa jego zdjęcia. Wyrzuci je, zdecydowała. Nie ma sensu rozpaczać. Gary odszedł.

Będzie myślała pozytywnie. Proszę, ile ma teraz miejsca na ciuchy! I dieta - już nie musi kupować żadnych tuczących smakołyków dla Gary'ego, które będzie mu później podkradać z lodówki. Od dziś będzie się żywiła chrupkim pieczywem i wodą mineralną, a gdyby miała ochotę coś przekąsić, zadowoli się surową marchewką.

Bez niego zacznie nowe życie jako szczupła, pewna siebie, doskonale zorganizowana kobieta.

13.

Isabel zatrzymała się przy wejściu do restauracji „Lionceaux” i rozejrzała się ze zdumieniem. Spartańskie zazwyczaj wnętrza oryginalnie zaaranżowano. W jednym końcu nad stolikami zwieszały się sztuczne gałęzie oblepione śniegiem, w drugim - konary pochylały nad stolikami nieliczne złote liście. Obrusy były wrzosowe i rdzawe, w kolorach jesieni. Ściany zdobiły girlandy z liści i owoców. Przy kominku stał wielki kosz sosnowych szyszek. Chociaż był środek lata, na dworze świeciło słońce, a ludzie pocili się w upale, wnętrza restauracji przypominało przytulny wiejski domek w połowie listopada.

- Co ty na to? - zapytała Penelopa, odpowiedzialna za kontakty z prasą w domu mody, na pokaz którego przyszła Isabel. - Uznaliśmy, że całkiem zabawnie będzie pokazać kolekcję jesienno-zimową w klimacie... właśnie jesienno-zimowym!

- Cudownie - Isabel rozglądała się z podziwem. - O ile nie będę musiała siedzieć przy kominku, bo się upiekę żywcem. - Większość stolików była już zajęta, poza jednym, przy samym kominku, a tam Isabel absolutnie nie chciała siedzieć.

- To jedyny minus - przyznała Penelopa. Skrzywiła się lekko, szukając wzrokiem wolnego miejsca. - Kiedy to wymyślaliśmy w lipcu, było tak paskudnie zimno, że wszyscy stracili nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek zaświeci słońce. Pomyśl o modelkach. Biedaczki się uduszą w zimowych paltach. Obawiam się, że jedyny wolny stolik to ten przy kominku - stwierdziła ze skruchą. - Poproszę kelnerów, żeby go odsunęli, ile się da.

Dzięki prowizorycznemu wachlarzowi z karty dań i dużym ilościom wody z lodem Isabel udało się przetrwać pokaz. Modelki, jak zauważyła, pod koniec były jakoś nienaturalnie rumiane.

- Ten długi do ziemi zamszowy płaszcz wykańczany owczą skórą nie pozwoli ci zmarznąć w najbrzydszy nawet grudniowy dzień - zachęcał prezenter, a po wybiegu przechadzała się wysoka blondynka, spocona jak mysz.

- Ten płaszcz to miesięczna pensja - szepnął zbulwersowany Joe, fotograf, który towarzyszył jej na pokazie.

Wychudła, blada dziennikarka, siedząca przy ich stoliku, posłała mu złowrogie spojrzenie.

- Nie powinno się nawet wspominać o kosmicznych cenach - odparła Isabel scenicznym szeptem i puściła do niego oko. - Za to pisze się, że ten płaszcz to absolutny szlagier sezonu, że ma doskonałą linię. A potem odmawiasz zapłacenia pełnej ceny i domagasz się zniżki, bo przecież namawiałeś czytelniczki.

Joe uśmiechnął się, a blada dziennikarka prychnęła głośno.

Isabel nie miała zamiaru zostać na lunchu, ale przekonała ją do tego Rhona McNamara. Rhona się spóźniła i oglądała pokaz od progu, potem jednak przepchała się do stolika Isabel, i

namawiała ją energicznie.

- Jeśli pójdziesz, wydasz mnie na pastwę tych dwóch harpii - szepnęła jej do ucha. - Przez cały lunch będą narzekały na pokaz, na jedzenie, na wino, a przy wyjściu będą się przymilały do Penelopy, żeby dostać drobne upominki. Im najbardziej by się przydała kielnia murarska do nakładania pomarańczowego podkładu.

Isabel niemal parsknęła śmiechem. „Harpie”, jak je określiła Rhona, były znane w świecie mody. Zachowywały się jak primadonny. Choć niewiele starsze od Isabel, obie cziły chudość i opaleniznę, więc ich zapadłe, brązowe twarze wyglądały o wiele starszej niż jej. Wprawiały w zakłopotanie młodych rzeczników domów mody, domagały się olbrzymich zniżek na wszystko, o czym wspomniały w swoich tekstach, i wiecznie narzekały na drobne upominki, które domy mody tradycyjnie wręczają dziennikarzom po pokazie.

Tego dnia ubrały się w pastelowe, jak dla małych dziewczynek, kostiumiki, trzepotały rękami w stylu Barbary Cartland, w uszach miały wielkie kolczyki ze sztucznej biżuterii, perfekcyjnie uformowane sztywne hełmy z włosów i ponure miny na wychudzonych obliczach. Jak zwykle, Vera i Linda krytykowały cały pokaz.

Vera władczo kazała pewnej nieszczęsnej modelce zatrzymać się przy ich stoliku tylko po to, by pomacać brokatowy zakiet. Niesmak na jej twarzy nie zostawiał wątpliwości, co sądzi o tkaninie i kroju.

Isabel serdecznie nie znosiła ich obu. Jeśli akurat nie starały się udowodnić jej swojej wyższości, bezustannie marudziły, jaką kiepską gazetą jest „Sentinel” i jak podupadł dział kobiecy, odkąd wyjechała droga Antonia.

Isabel zacisnęła zęby widząc, jak zmierzają do jej stolika i dumnie zasiadają naprzeciwko niej. Każdy normalny dziennikarz omijał ich stół szerokim łukiem. Dlaczego akurat tutaj, nie pojmowała Isabel.

- Gdyby nie ty, uciekłabym - mruknęła do Rhony.

-I słusznie - odparła Rhona przez zęby. - Nie wiadomo, może to jakiś wirus, i kiedy spotkałybyśmy się następnym razem, dołączyłabyś do grona narzeczonych Frankensteina. - Uśmiechnęła się do Very i Lindy i podniosła kieliszek w toaście.

Joe poszedł zrobić zdjęcia modelkom w kreacjach, które wybrała Isabel, więc ona i Rhona mogły spokojnie porozmawiać - po cichu, ma się rozumieć.

- Co u Naomi i Robin? - Rhona zaciągnęła się mentolowym papierosem. Ciągle usiłowała rzucić palenie. - Pomyśl, ile bym utyla, gdybym przestała - tłumaczyła, ilekroć ktoś krytykował jej nałóg. Rhona - pulchna, dowcipna, inteligentna - była wspaniałą towarzyszką. Już w college’u była duszą towarzystwa, a od tego czasu nic się nie zmieniło.

- Przywykły już do Bray, do nowego domu? - wypytywała.

- Chyba tak. - Isabel się zawahała. - Ale wiesz, obawiam się, że akurat dzisiaj, kiedy to powiedziałam, po powrocie do domu Robin urządzi mi karczemną awanturę, że ją rozdzieliłam z ojcem, zabrałam ze szkoły, od przyjaciół, że zniszczyłam jej życie...

- Biedactwo. - Rhona objęła ją ramieniem. - Nawet nie chcę myśleć o dniu, w którym moi wejdą w trudny wiek.

- To nie jest wyłącznie kwestia dojrzewania - zauważyła Isabel. - Naomi ma prawie trzynaście lat, a jest cudowna. Szczerze mówiąc nie wiem, co bym bez niej zrobiła. Mama szalała wczoraj wieczorem, chyba Robin niegrzecznie się do niej odezwała. Naomi odebrała telefon, powiedziała, że się kąpię i nie mogę podejść, a potem zdjęła słuchawkę z widełek.

- Mądra dziewczynka. Chętnie ją zatrudnię jako moją sekretarkę, kiedy będzie trochę starsza. Potrzebny mi ktoś, kto umie łączyć jak z nut. W każdym razie, zmęczona czy nie, wyglądasz bardzo dobrze. - Rhona z aprobatą spojrzała na strój przyjaciółki - błękitną koszulę, granatowe spodnie i srebrny naszyjnik. - I nadal jesteś taka szczupła! Gdyby nie to, że cię bardzo lubię, Isabel, znenawidziłabym cię za to, że nadal masz taką samą figurę jak w college'u! W moim przypadku jedyny chudy element to portfel.

Isabel uśmiechnęła się złośliwie.

- Tak? A co powiesz na willę w Wicklow? I ciuchy od najlepszych projektantów?

- Jakie ciuchy? Od jakich projektantów? - Rhona niewinnie zatrzepotała rękami. - Chyba nie mówisz o tym? - Z komicznym zdumieniem spojrzała na swoją wełnianą sukienkę z najlepszego domu mody w Dublinie. - To od projektanta? Och, ależ ze mnie głuptas!

Plotkowały i gawędziły przez cały posiłek.

- Powiedz, jaka jest ta Tanya Vernon? - zainteresowała się Rhona.

- Diablica z piekła rodem - odparła Isabel, z zapalem zajądając sporego kraba. - Strasznie się uwzięła na biedną Dee O'Reilly Nie wiem dlaczego, coś ma przeciwko niej. Jej ostatni pomysł to wysłać Dee na obóz dla płetwonurków do Donegal.

- Ojej! W skafandrze do nurkowania nikt nie wygląda dobrze, a Dee jest tak jak ja, raczej przy kości.

- Dee tłumaczyła jej, że próbowała kiedyś nurkować i tego nie znosi, za to Emily, dziewczyna z działu reportażu, aż się pali, żeby tego spróbować. Niestety, pani Vernon się uparła, by wysłać Dee. Problem w tym - dodała po chwili - że nie wiem, czy Dee chce, żebym się za nią wstawiła. Ciągłe zachowuje wobec mnie pewien dystans, pewnie dlatego, że chciała dostać moją posadę. Jest jednak taka miła, że pomogłabym jej bardzo chętnie.

- Nie powinnaś z nią najpierw o tym porozmawiać? - zasugerowała Rhona.

- Sama nie wiem. Dee chyba niedawno rozstała się z chłopakiem, przepraszam, narzeczonym, więc akurat teraz może być wyjątkowo drażliwa. Co i tak nie ma znaczenia, bo Tanya Vernon największego optymistę doprowadziłaby do czarnej rozpaczki w rekordowym

tempie. Jest bardzo atrakcyjna: świetna figura, wzrost, kości policzkowe. Ale jest twarda jak skała i chyba dochodzi do celu po trupach.

- Rany! Musi być straszna! Nigdy nie mówiłaś o nikim z takim jadem w głosie. Isabel uniosła brew.

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jaka ona jest. Przerazająco ambitna kobieta.

- Nie twierdzę, że to coś złego, tylko że przez to stała się bezwzględna. I podlizuje się Flynnowi z zapalem godnym lepszej sprawy. Chociaż, z drugiej strony... - na chwilę zawiesiła głos. - Przynajmniej daje nam spokój, kiedy jest u niego w gabinecie.

- Jesteś pewna że on, hm... nie pokazuje jej swojej kolekcji znaczków pocztowych? - Rhona miała na myśli seks, ma się rozumieć.

- Nie wiem. Tanya wygląda mi na taką, która uprawia miłość, w czarnej skórce i z batem w rękę. A ponieważ w gabinecie Flynn'a nie widziałam kajdanków ani dybów na ścianie, nie brałabym seksu pod uwagę.

- Dlaczego u licha - zastanawiała się głośno Rhona - kobietom sukcesu wydaje się, że muszą gnębić inne? Przecież wszystkie się cieszymy, kiedy kobieta zajmuje ważną posadę w wydawnictwie. Przynajmniej ta McDonnell wydaje się w porządku.

- Bo jest.

- No, dobrze, przynajmniej jedna uczciwa kobieta na wysokim stanowisku. Za to jej bezpośrednia podwładna to faszystowska świnią. Od lat narzekamy na wrednych szefów-mężczyzn, zarzucamy im seksistowskie traktowanie, a tymczasem okazuje się, że niektóre kobiety są gorsze od najbardziej zatwardziałyłch męskich bigotów.

- Gorzej. Nie wyobrażam sobie, by jakkolwiek szef płci męskiej wysyłał kobietę na reportaż po to tylko, by sprawić jej przykrość i wpędzić w kompleksy - zauważyła Isabel.

Rhona aż się wzdrygnęła.

- To cios poniżej pasa. Chyba trzeba się lepiej przyjrzeć pannie Vernon. Mówiłaś, że nie wiecie, skąd pochodzi?

- Nie mamy zielonego pojęcia.

- Brzmi podejrzenie. Poszperam trochę. Na pewno ma jakieś ciemne sekrety, trzeba tylko być taką samą suką jak ona, żeby się do nich dogrzebać. Poznałaś już Jacka Cartera? - Rhona gwałtownie zmieniła temat. Wypiła resztę wina. Isabel rozglądała się za kelnerem. - Widziałam go kilka razy, ale nie poznałam osobiście. Jest bardzo pociągający, chyba dlatego, że ma władzę.

Nagle Isabel całą uwagę skupiła na krojeniu różyczki brokułów.

- Poznałam go... rozmawiałam z nim przez chwilę na przyjęciu u niego w domu.

- Tempie Isis, tak? Czy jest równie imponujące, jak na to wygląda w kolorowych tygodnikach? - Rhona obdarzyła uśmiechem kelnera, który napełniał jej kieliszek burgundem.

- Tak. - Isabel odetchnęła z ulgą, że zeszły z niebezpiecznego tematu Jacka Cartera. Dużo o nim myślała od tamtego spotkania, zdecydowanie za dużo, zwłaszcza że facet jest jej szefem, ma żonę i najwyraźniej w ogóle się nią nie zainteresował.

- Sala balowa jest ogromna, w całym domu pełno obrazów olejnych...

- Nie reprodukcji, dobrze się domyślam?

- Doskonałe, same oryginały. A podłogi są marmurowe. Kiedy sobie przypomnę, ile mnie kosztowała wykładzina do pokoju dziewczynek... Mój umysł odmawia posłuszeństwa, gdy próbuję sobie wyobrazić, ile kosztuje metr kwadratowy posadzki z marmuru.

- Słyszałam - Rhona ściszyła głos - że Elizabeth nie gardzi kokainą.

- Jesteś drugą osobą, która mi to mówi - Isabel nie posiadała się ze zdziwienia. - Sama nigdy bym na to nie wpadła. Koleżanka z pracy twierdziła, że na kilometr rozpoznaje objawy uzależnienia. Owszem, na przyjęciu Elizabeth sporo wypila, ale nie wychodziła z łazienki z białym proszkiem pod nosem. A gdzie ty właściwie o tym słyszałaś?

- Jo Denton, moja zastępczyni, to żona Marka Dentona, wiesz, tego wydawcy. Mark dość dobrze zna Jacka, bywał na wielu imprezach dobroczynnych z Carterami. Powiedział Jo, że Elizabeth bierze regularnie. Nie rozpowiadaj tego na wszystkie strony - poprosiła. - W ich kręgach ludzie są dyskretni. Wiesz, na zasadzie: ja nie powiem o tobie, ty nie powiesz o mnie.

- Czy panie mają ochotę na deser? - kelner skłonił się uprzejmie.

- Och, pewnie! - Rhona zareagowała entuzjastycznie.

- Mamy suflet Grand Marnier, truskawki ze śmietaną, sorbet szampański, migdałowe placuszki z malinami i Niespodziankę Czekoladową.

- Niespodzianka Czekoladowa... to brzmi smakowicie. Co w niej jest? - indagowała Rhona.

- To niespodzianka - odparł kelner.

- Uwielbiam niespodzianki i przepadam za czekoladą. Poproszę.

- Jesz deser, Rhono? - Vera nie wierzyła własnym uszom.

Rhona posłała jej niewinny uśmiech.

- Wiesz, Vera, jak to się mówi: w pewnym wieku kobieta musi podjąć decyzję - albo twarz, albo figura. Jeśli wybierasz twarz, musisz się pogodzić z pewnym zaokrągleniem kształtów. Jeśli natomiast wybierasz figurę - tu obrzuciła znaczącym spojrzeniem kościste członki Very - wyglądasz jak zasuszona staruszka. I z bitą śmietaną tę Niespodziankę proszę! - zawołała za kelnerem.

- To był jedyny sposób pozbycia się tych harpii - wyjaśniała Rhona w chwilę po tym, jak Vera i Linda wyszły z wielce obrażonymi minami. Przciskały do boków identyczne torebki, które, jak zauważyła złośliwie Rhona, posiadają, odkąd tylko projektant zaczął je lansować.

Isabel zwijała się ze śmiechu.

- Rhona, to było boskie. - Otarła łzy z oczu.

- To było wredne, wiem o tym - przyznała przyjaciółka. -1 wiem, że przez moją złośliwość niewątpliwie dołączę do ukochanego tatuśka Tanyi Vernon w piekielnych otchłaniach... ale... - uśmiechnęła się - ... warto było!

W taksówce, która wiozła ją do redakcji, Isabel myślała o Jacku Carterze. Kiedy się dowiedziała, że musi służbowo wyjechać i przez tydzień nie pojawi się w „Sentinelu”, zaskoczyło ją, jak bardzo była zawiedziona. Chciała go znowu zobaczyć, chciała się przekonać, czy między nimi naprawdę coś zaiskrzyło, czy tylko to sobie wyobrażała.

Chcę go znowu zobaczyć, szeptał cichy głos w jej głowie. Zapomnij o nim, odpowiadał drugi. Przy biurku udało jej się na szczęście skupić na pisanym artykule.

- Tanya cię szukała przed lunchem. - Phil postawiła jej przed nosem ciastko z owocami i kubek kawy. - Podobno ktoś pochrzanił podpisy pod zdjęciami kostiumów kąpielowych, musi z tobą omówić kwestie konkursu z nagrodami na przyszłą niedzielę i w ogóle biega jak kot z pęcherzem, bo Jack Carter będzie tu o wpół do czwartej. Ta kobieta nigdy nie odpoczywa, jest w ciągłym ruchu. Zachowuje się jak wariatka, odkąd się dowiedziała, że szef przyjdzie spotkać się z zespołem...

Isabel nie słuchała. On zjawi się w redakcji za... - spojrzała na zegarek - dwadzieścia pięć minut, a ona wygląda jak strach na wróble! Na pewno jest czerwona na twarzy po wypiciu kieliszka wina, w dodatku jako przystawkę zjadła pieczarki w sosie czosnkowym i pewnie śmierdzi na odległość.

- Przepraszam, Phil, muszę lecieć do łazienki - burknęła. Porwała torebkę i wbiegła najszybciej jak mogła, a Phil zastygła w bezruchu z szeroko otwartymi ustami.

W toalecie Isabel energicznie nałożyła nową warstwę podkładu, żeby złagodzić rumieniec, i obficie spryskała się perfumami. Zrobiła co się dało z włosami, poprawiła cienie na powiekach. Niestety, nie miała szczoteczki do zębów, więc musiała się zadowolić starym miętusem, który od wieków plątał się po jej torebce.

Usłyszała szum spuszczonej wody. Isabel nie pomyślała, że w toalecie jest ktokolwiek prócz niej. Po chwili otworzyły się drzwi jednej z kabin i stanęła w nich Tanya Vernon z torebką w dłoni. Po intensywnym zapachu Chanel No 5 i nieskazitelnej karnacji Isabel odgadła, że Tanya poprawiła makijaż w zaciszu kabiny.

Phil miała rację - rzeczywiście zachowywała się jak wariatka przed przybyciem Jacka Cartera. Ale czy nie dotyczy to nas wszystkich, zastanowiła się Isabel.

- Chciałaś ze mną rozmawiać? - zapytała.

- Na zewnątrz - rzuciła Tanya.

Isabel wzruszyła ramionami.

- W porządku. - Podeszła do drzwi. Kątem oka dostrzegła, jak Tanya wyciąga z eleganckiej torebki buteleczkę płynu do ust. Płyn do ust? Co ona chce z nim robić, do licha? Suka! Czy tym sposobem zaszła tak wysoko?

Isabel pomaszerowała z powrotem do biurka. Po drodze wzięła z kuchenki puszkę dietetycznej coli. Nie wiadomo dlaczego, było jej bardzo gorąco, może zimny napój pozwoli jej ochłonać. Tylko świadomość, że jej artykuł o opiece nad dziećmi ma się ukazać w jutrzejszym wydaniu, zmuszała ją do pracy, ale i tak ciągle pisała nie to, co chciała, a jej palce na klawiaturze były wyjątkowo niezgrabne.

Niewykluczone, że Jack Carter to jeden z tych mężczyzn, którzy podrywają każdą spódniczkę. Albo może lubi flirtować na przyjęciach?

Kilka miłych słów w ogrodzie nie oznacza romansu, prawda? Niektórzy mężczyźni zawsze tak się odnoszą do kobiet - z galanterią, szarmancko.

Poza tym jest żonaty, tłumaczyła sobie. Ona tymczasem ma odrosty i w porównaniu z jego żoną, sobowtórem Cindy Crawford, wygląda jak Kopciuszek. Zresztą żaden facet nie wplątałby się w związek z czterdziestoletnią rozwódką z dwójką dzieci. Jack nawet nie ma swoich dzieci, pewnie ich nie cierpi. Dlaczego miały w ogóle zwrócić na nią uwagę, zwłaszcza jeśli gustuje w Tanyach Vernon tego świata? Im więcej o nim myślała, tym mocniej waliła w klawisze. Zapomnij o Jacku Carterze!

- Isabel, Phil! - wysapała Jackie. - Jest! Siedzi w gabinecie Flynnna, zaraz tu przyjdzie.

Kieliszek burgunda i pieczarki w sosie czosnkowym tańczyły tango w żołądku Isabel. Wpatrywała się w ekran tępym wzrokiem i starała się opanować rozdygotane nerwy.

Oddałaby dużo za możliwość przejrzenia się w lustrze, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, ale nie mogła tego zrobić, nie w obecności Phil, całkowicie pozbawionej próżności. Całkiem możliwe, że Phil wychodząc z domu nawet nie zerknął w lustro, bo często włosy stały jej dęba i była cała w psiej sierści. Gdyby Isabel zaczęła przeglądać się w pudernicze i majstrować ze szminką, Phil zaczęłaby coś podejrzewać.

- Jest tutaj! - oznajmiła Jackie scenicznym szeptem.

Cały zespół zebrał się w hali redakcyjnej, rozmawiali i przekomarzali się między sobą. Choć umierali ze strachu, co usłyszą od nowego szefa, nikt nie miał zamiaru się do tego przyznać.

- Peruki na głowę! - wrzasnął ktoś spod ściany.

- Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają - zauważył młody reporter. Zajął strategiczne miejsce obok działu reportażu, żeby móc obserwować Jackie.

- Mam nadzieję, że nasz nowy pan i władca będzie miał coś ciekawego do powiedzenia - mruknęła Maeve, która stała obok Isabel.

- Ach, tak. - Isabel jej nie słuchała, wyciągała szyję, żeby zobaczyć, jak Jack Carter wejdzie do sali. Nie musiała się wysilać. Przy nim Eugene Flynn wyglądał jak karzeł. Górował nawet nad

Malley, która miała co najmniej metr osiemdziesiąt pięć wzrostu.

Zaledwie przekroczył próg, w hali zapadła cisza. On tak działa na ludzi, zauważyła Isabel z czymś w rodzaju dumy.

W granatowym garniturze, białej koszuli i czerwonym krawacie wyglądał na tego, kim był: człowieka sukcesu, który wszystko zawdzięcza sobie. Przyprószone siwizną skronie tylko podkreślały opaleniznę. Jednak z tłumu wyróżniało go coś jeszcze oprócz wzrostu, wilczych włosów i aury sukcesu. Co - nie wiedziała, nie potrafiła tego zdefiniować.

Gdy Jack Carter taksował wzrokiem swoich podwładnych, panowała cisza jak makiem zasiał. Isabel wpatrywała się w niego intensywnie, chciała, by ją dostrzegł. Jego oczy zatrzymały się na niej. Wstrzymała oddech na te kilka sekund, zanim nie spojrzał na kogoś innego. Chyba jej nie poznał.

Nie wiedziała, co mówił do zespołu. Słuchała jego głosu, niskiego i głębokiego, gdyby jednak ktoś kazał jej powtórzyć choćby słowo, nie byłaby w stanie.

Widziała natomiast, jak Tanya Vernon z nim rozmawia, stojąc stanowczo za blisko. A jej biodra, opięte zamszową spódniczką, zachęcająco muskały jego uda.

Isabel obserwowała, jak tamta zanosi się dziewczęcym chichotem, odsuwa wyimaginowany kosmyk z twarzy, opiera Jackowi rękę na ramieniu. Uśmiechnął się do niej tak samo, jak do Isabel w ogrodzie.

Odwróciła się, zniechęcona. Najwyraźniej opary perfum Tanyi odniosły zamierzony efekt.

- Lubię go - zdecydowała Maeve, gdy wszyscy wrócili na miejsca. - To szef z prawdziwego zdarzenia, a nie oślizły Ted Holt, który się wiecznie rozglądał, gdzie by tu położyć swoje ohydne łapska.

- Ted? - Zdumienie na chwilę wyrwało Isabel z rozpaczy.

- Ted, Ted. - Maeve pokiwała głową. - Do mnie się nie dobierał, ale przepadał za Dee. Na imprezach biurowych zawsze się koło niej kręcił. Mawiał, że „lubi dziewczyny, które mają na czym siedzieć i czym oddychać”.

- Uroczy!

- Biedna Dee, nie ma szczęścia do mężczyzn - westchnęła Maeve.

- Chciałam cię o to zapytać - zaczęła Isabel nieśmiało. Nie była pewna, czy powinna rozmawiać o tym z najlepszą przyjaciółką Dee, ale wiedziała, że musi coś zrobić. Jej zastępczyni od tygodnia chodziła z zapuchniętymi oczami. Isabel miała nadzieję, że może jej jakoś pomóc.

- Czy Dee ma jakieś kłopoty w domu? Pytam tylko dlatego, że się o nią martwię. A to, jak Tanya jej dokucza, nie poprawia sytuacji.

- Krowa! - wybuchła Maeve. - Gdyby Dee nie była w depresji, dałaby sobie z nią radę. Niestety, Gary, jej narzeczony, ją rzucił. Jest załamana, choć stara się tego nie okazywać.

- Biedactwo.

- Tak. Na razie nie chce się z tym pogodzić. Łudzi się, że jak nie będzie o tym myślała, okaże się, że to zły sen.

- Wiem, że się z nią przyjaźnisz, dlatego zwróciłam się do ciebie... Jeśli mogłabym jakoś pomóc, powiedz mi. Nie chcę pchać się jak buldożer i walczyć z Tanyą zamiast Dee, ale bardzo mi się nie podoba jej stosunek do podwładnych... Nie cierpię tego - to nie zarządzanie, to terroryzm. W każdej chwili jestem gotowa wstawić się za Dee.

- Dzięki. - Maeve uśmiechnęła się gorzko. - Wiem, że mówisz poważnie. Poczekajmy, może panna Vernon wpadnie we własne sidła.

- W jej wypadku możemy czekać długo. - Telefon na biurku Isabel zadzwonił. - Później porozmawiamy - krzyknęła do Maeve. - Słucham, tu Isabel Farrell.

- Isabel.

Dźwięk jego głosu sprawił, że przeszył ją dreszcz.

- Chciałbym porozmawiać z tobą prywatnie - ciągnął Jack Carter. - Ale na spotkaniu nie było ku temu okazji. Co robisz w piątek, w południe?

Isabel nie musiała tego sprawdzać w kalendarzyku. W piątki, w czasie przerwy na lunch robiła zakupy na weekend, a później przegryzała kanapkę w redakcji.

- Jestem wolna - odparła ostrożnie.

- Świetnie. Spotkajmy się w restauracji w hotelu „Herbert Park” o wpół do pierwszej. Nie mogę się doczekać - dodał na koniec.

- Doskonale. Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę. Pół godziny temu na zebraniu właściwie ją ignorował, wprawiając ją w czarną rozpacz. A teraz zaprosił na lunch.

Chciałbym porozmawiać z tobą prywatnie... Nie mogę się doczekać.

Była w siódmym niebie. Zaprosił ją na lunch, chce się z nią zobaczyć. I na pewno nie chodzi o pracę, bo sprawy służbowe mógłby załatwić tutaj! Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się jak zakochana nastolatka, ale nie obchodziło jej to ani trochę. Po tym, co ostatnio przeszła, było to bardzo przyjemne uczucie.

Radośnie stuknęła w klawisze, jakby grała na fortepianie.

Phil spojrzała na nią badawczo.

- Dobrze się czujesz? - zatroskała się. Isabel podniosła na nią błyszczące oczy.

- Wspaniale - odparła. - Cholernie wspaniale.

14.

Dee wpatrywała się w zdjęcie, niezdolna oderwać od niego wzroku, choć była to jej najgorsza fotografia, jaką kiedykolwiek widziała. Stała na małym kamiennym molo, z płetwami w dłoni, szeroko uśmiechnięta, ubrana w granatowo-czerwony kombinezon do nurkowania. Mokre włosy ciężko opadały na plecy, twarz bez makijażu wyglądała czysto i młodo, i każdy zbędny kilogram jej ciała był doskonale widoczny pod obcisłym strojem. Przypominało to zdjęcie „przed” z reklam preparatów odchudzających, tyle że nie istniało żadne zdjęcie „po”, na którym, smukła jak trzcina, otulałaby się zbyt luźnym kombinezonem i twierdziła, że teraz zmieściłaby się w niego dwa razy.

Istniały także inne zdjęcia z weekendu Dee w podwodnym świecie Done-galu: ujęcia fantastycznie ubarwionych ryb, przepływających między jej palcami czy fotografie malowniczej osady, gdzie ona i niemal czterdziestu zapaleńców rzucało się w chłodne fale Atlantyku. Jedno było całkiem niezłe - siedziała na nim z instruktorem nurkowania w rybackim pubie. Instruktor był jednym z tych facetów, którzy minęli się z powołaniem, bo powinien był zostać modelem. Pochłaniali razem porcję smażonej ryby. Miała czarną koszulkę, rozpuszczone włosy, i w przytłumionym świetle knajpki była w miarę podobna do człowieka.

Niestety, najbardziej rzucało się w oczy to zdjęcie, na którym wyglądała jak wieloryb wyrzucony na brzeg. Było tak straszne, że nie mogła przestać na nie patrzeć. I oczywiście, rozmiarami przewyższało wszystkie inne fotografie.

Fotograf, wolny strzelec, obiecał, że prześle jej zdjęcia jako pierwszej, żeby mogła ocenzurować najgorsze ujęcia. Niestety, Tanya Vernon zadzwoniła do niego, jakimś cudem skłoniła, by przesłał zdjęcia do niej, i osobiście wybrała najgorsze do niedzielного wydania.

- O co ci chodzi? - Mick, redaktor techniczny, który składał artykuł, nie rozumiał, czemu w panice złapała się za głowę. - To świetne zdjęcia. Ujęcia podwodne są wspaniałe, spójrz na te kolory.

- To nie to! - jęknęła. Wiedziała, że w obcisłym skafandrze nie jest jej do twarzy, ale ponieważ w urządzonym spartańsko hotelu dla nurków nie było luster obejmujących całą sylwetkę, nie wiedziała, jak fatalnie wygląda. Przekonała się o tym pięć dni później, w redakcji „Sentinela”, kiedy się zorientowała, że Mick składa jej artykuł.

- Nie możesz użyć innych? - poprosiła błagalnie. - Na pewno są lepsze. Wypstrykał masę filmów...

Mick był zakłopotany.

- Mam tylko te - wskazał sześć fotografii na biurku. - Tanyi wyjątkowo zależało na użyciu akurat tych.

- Aleja się nie zgadzam - upierała się Dee. - Obiecał, że najpierw prześle je mnie...

- Przykro mi, Dee. Dostałem tylko te. Tanya chce, żeby poszły do druku. Nie ma jej w redakcji, więc nie mogę nic na to poradzić. Świetnie wyglądasz - dodał na pocieszenie.

- Wielkie dzięki - rzuciła opryskliwie i wybiegła.

Chociaż w sobotę nie pracowała, wstała bardzo wcześnie i zanim wypita pierwszą filiżankę kawy, pobiegła do kiosku po gazetę. Musiała się przekonać na własne oczy, jak strasznie wypadła. Zdjęcia przyciągały jak magnes.

Zapłaciła i zaczęła gorączkowo kartkować gazetę, aż doszła do artykułu o nurkowaniu. Było jeszcze gorzej niż się spodziewała. Oto ona w całej swojej krasie: wielka, tłusta, wylewająca się ze skafandra. Może byłoby lepiej, zastanawiała się zrozpaczona, gdyby miała ponurą minę, znak, że jest świadoma swojej groteskowości. Ale nie, uśmiechała się promiennie, jakby dopiero co dostała od narzeczonego pierścionek z brylantem i nie miała pojęcia, że wygląda jak tył autobusu.

Maeve zadzwoniła, kiedy kończyła trzecią miseczkę dietetycznych płatków kukurydzianych.

- Cześć, Dee - zaczęła bardziej radośnie niż zwykle. - Co u ciebie?

- Widziałaś zdjęcia?

- Taak. Jak się czujesz?

- Fatalnie. Od jutra zaczynam dietę. Zagłodzę się; sok grejpfrutowy, woda, pięć-milowe biegi i nic więcej. Może po pół roku takich tortur upodobnię się do człowieka.

- Dee, wyglądasz w porządku. Jesteś strasznie krytycznie do siebie nastawiona. Nikt poza tobą nawet nie spojrzy dwa razy na to zdjęcie.

Wzdrygnęła się.

- No pewnie, wyglądam makabrycznie. Nic dziwnego, że Gary mnie zostawił.

- Zostawił cię, bo jest rozpuszczonym gnojkiem. Zasługuje na codzienną lewatywę z kilograma proszku do prania - rzuciła Maeve impulsywnie. - Z radością podjęłabym się tego zabiegu. Świnia! Odzywał się do ciebie?

- Nie. Minęły prawie dwa tygodnie, odkąd się wyprowadził, a nawet nie zadzwonił, żeby się dowiedzieć o sprzedaż domu. A ja nie mam czasu, żeby dzwonić do agencji handlu nieruchomościami i tak dalej.

Nie dodała, że odwlekała taką rozmowę, wbrew zdrowemu rozsądkowi wierząc, że pewnego dnia Gary stanie na progu z torbą brudnej bielizny w jednej dłoni, bukietem róż w drugiej i skruchą na twarzy.

Wyobrażała sobie tę scenę nieskończenie wiele razy, zwłaszcza leżąc w szerokim małżeńskim łóżu. Otaczała się wtedy ramionami, żeby mieć wrażenie, że Gary ją przytula.

- Dee, jesteś tam? - zaniepokoiła się Maeve. - Chciałam zapytać, czy nie masz ochoty wyjść

dziś wieczorem. Idziemy z dziewczynami na pizzę i potem do jakiegoś klubu. Pójdiesz z nami?

Wahała się. Nie była pewna, czy wytrzyma taką noc; fakt, że od niedawna jest samotna, będzie psuł jej zabawę. Ilekroć usłyszy jakąś ckliwą piosenkę o miłości, będzie uciekała do ubikacji, żeby jakiś neandertalczyk nie poprosił jej do tańca.

- Nie wiem - odparła powoli.

- O'Reilly, idziesz, choćbym miała wyciągać cię siłą - zdecydowała Maeve. - Możesz nocować u mnie, jeśli dasz radę zasnąć na tej okropnej rozkładanej sofie. Jedyne problemy to Nancy i Ronnie - nie chcą spać gdziekolwiek indziej, więc się nie zdziw, jeśli w środku nocy skoczą na ciebie dwa kudłate potwory.

Ronnie i Nancy były to ukochane koty Maeve - jeden rudy, drugi bury.

- Nie ma sprawy. - Dwa ciepłutkie ciała obok mogą być miłym przeżyciem po dwóch tygodniach pustki. Smudge niestety nie miał w zwyczaju spędzać nocy u boku swojej pani. Dee dała za wygraną i przestała wabić go do sypialni. - Jeśli chcą, mogą się nawet na mnie położyć, proszę bardzo.

- Bomba. Przyjedź do mnie powiedzmy o wpół do ósmej - zaproponowała Maeve. - I załóż coś wystrzałowego.

- Co powiesz na akwalung?

- Daj spokój. Potraktuj to jako jeszcze jedno doświadczenie życiowe, pamiątkę po suce Vernon. Daję słowo, ta kobieta aż się prosi o kłopoty. Mam co do niej pewne plany.

- A co, lepszą jej woskową podobiznę i wbijasz szpilki? - zainteresowała się Dee.

Maeve prychnęła głośno.

- Poważnie brałam to pod uwagę, naprawdę. Nietrudno byłoby zebrać trochę jej włosów, ciągle się czesze w kiblu. Można by pomyśleć, że się szykuje do reklamy szamponu. Jest w sobie zakochana, nie sądzisz? Cóż, ktoś musi. Do zobaczenia. Pamiętaj, jeśli się spóźnisz, przywlokę cię siłą - zakończyła.

Dee nie zdążyła nawet zebrać resztek energii, by otworzyć szafę i rozejrzeć się za czymś wystrzałowym, a telefon zadzwonił ponownie. Tym razem dzwoniła Millie, jej była przyszła bratowa.

- Dee, bardzo mi przykro z powodu ciebie i Gary'ego. - Jej głos był pełen współczucia. - Właśnie się dowiedziałam. Jak sobie radzisz?

Do tej chwili radziła sobie całkiem nieźle. Nieszczęsne zdjęcie w akwalungu sprawiło, że zapomniała o wszystkim innym. Jednak znajomy głos Millie przyprawił ją o łzy.

- Dobrze - mruknęła.

- Nie słychać tego. Zaraz do ciebie wpadnę.

- Nie! - wrzasnęła. Dom przedstawiał obraz nędzy i rozpacz. Sierść Smudge'a była

właściwie wszędzie, kuchnia wyglądała jak po dzikiej imprezie; talerze, garnki i kubki stały na każdym skrawku wolnej powierzchni, zaś łazienki nie sprzątała od wieków, bo skończyły się jej wszelkie środki czystości. - Umówmy się gdzieś na kawę, dobrze?

Millie przedstawiała sobą okaz zdrowia. Miała błyszczące oczy, promienny uśmiech i duży brzuch w dżinsowych ogrodniczkach, pod które założyła niebieską koszulkę w kwiatki.

- Wiem, to taki trochę hippisowski strój, poza tym zdaje się krzyżać: „Patrzcie, jestem w ciąży” - zaczęła, serdecznie całując Dee na powitanie. - Ale w tych dyskretnych sukienkach ciążowych, wiesz, zbieranych pod biustem, wyglądam jakbym szła na super wytworne przyjęcie. Nie znoszę tych dziwacznych ozdóbek na kołnierzyku, które mają odwrócić uwagę od brzucha. To znaczy gdzie masz patrzeć, do cholery?

Założyła za ucho kosmyk jasnych włosów, który wysunął się z kucyka.

- Co zjemy do kawy? Wiem, za wcześnie na lunch, ale i tak wezmę kanapkę z serem. Ostatnio mam ciągle apetyt na ser. Wczoraj w południe zjadłam sama całą paczkę dojrzałego cheddara, i do tego dwie paczki chipsów i jogurt o smaku kiwi.

Millie poprawiła się na szerokiej ławie pod oknem, upiła łyk kawy i serdecznie uścisnęła dłoń Dee.

- Aż do wczorajszego wieczora nie wiedziałam, że rozstałaś się z Garym - zaczęła. - Dan wyjechał na jakieś szkolenie, a teściowa praktycznie się do mnie nie odzywa, bo nie powiedziałam jej o dziecku, jak tylko zaszłam w ciążę - machinalnie oparła dłoń na brzuchu - więc w ogóle do mnie nie dzwoni. Gdyby Adrian nie zatelefonował z Londynu, żeby zapytać o jakiś drobiazg, do dzisiaj nie mielibyśmy o niczym pojęcia.

- Adrian wie? - zdziwiła się Dee. Adrian, kolejny z braci Redmond, był starszy od Gary'ego, młodszy od Dana, i robił karierę w świecie wielkiego biznesu jako makler. Mieszkał w Londynie razem ze swoją żoną Natashą, która także robiła karierę, również jako makler.

Dee ledwo ich znała, spotkali się tylko kilka razy. W towarzystwie żony Adriana, pięknej, drobnej pół-Hinduski, na dodatek podobno wyśmienitej kucharki, czuła się onieśmielona i skrzępowana.

- Gary zatrzyma się u nich, kiedy przyjedzie do Londynu w przyszłym tygodniu - ciągnęła Millie. - Miał zamieszkać w hotelu, ale Margaret musiała oczywiście wsadzić wszędzie swój wielki nos i ubłagała Adriana, żeby na jakiś miesiąc udzielili mu gościny. Nie sądzę, żeby Natasha szalała z radości - dodała. - Gary i ascetyczne, nieskazitelne czyste mieszkanie chyba nie idą w parze.

Dee w milczeniu mieszała swoją kawę i rozważała, jak szybko wszystko się zmienia. Dwa tygodnie temu była narzeczoną Gary'ego Redmonda. Dzisiaj jej niedoszła bratowa opowiada, co Gary porabia, jakie ma plany, gdzie zamieszka, kiedy zacznie pracę w nowym mieście. Miała

wrażenie, że to wyjątkowo przykry, długi, koszmarny sen. Bardzo chciała się z niego obudzić.

- Przepraszam, nie powinnam była o tym mówić - zreflektowała się Millie. - Myślałam, że wiesz, gdzie się zatrzymał. Myślałam, że z nim rozmawiałaś...

- Nawet do mnie nie zadzwonił - powiedziała Dee spokojnie. - Odkąd wyszedł z domu, nie odezwał się ani razu. Nic, cisza.

- Boże, Dee, tak mi przykro. W głowie mi się nie mieści, że już nie jesteście razem. Między wami układało się tak dobrze. Co się stało? Nie - wycofała się natychmiast. - Nie mów. Nie przyszedł tu, żeby wyciągać z ciebie smakowite szczegóły. Chcę ci pomóc, to wszystko.

- Nie szkodzi, mogę ci powiedzieć.

Jednak kiedy mówiła te słowa, wiedziała, że w gruncie rzeczy nie chce się w ogóle odzywać. To, co usłyszała od Gary'ego, nappełniało ją gorzkim, palącym wstydem. Jest gruba, brzydka, przynosi mu wstyd. Jak może powiedzieć to kobiecie, której mąż, w dodatku brat Gary'ego, czcił ziemię, po której stąpała? Millie tego nie zrozumie, skoro nawet Dee miała z tym poważne kłopoty. Powiedzieć jej wszystko... to zbyt upokarzające.

Przez ułamek sekundy niemal nienawidziła Millie, co było zadziwiające, bo nikt nie mógłby jej nienawidzić. Jednak Millie miała to, co Dee kiedyś. Ba, szczerze mówiąc, nawet więcej: jej mężem był zakochany po uszy Redmond, mężczyzna, który nie pozwoli swojej paskudnej matce jej dokuczać. Spodziewa się dawno upragnionego dziecka. Jest kochana. Kochana, doceniana, wielbiona.

Dee zaintrygowało, czy kiedykolwiek do tej pory zdawała sobie sprawę z wagi tych słów. Teraz były to puste dźwięki, zwłaszcza dla mężczyzny jej życia, tego właśnie, który miał ją kochać, szanować i czcić.

- Trudno mi o tym mówić - zaczęła z wahaniem. - Widzisz, to Gary mnie rzucił, nie odwrotnie. - Otarła oczy pogniecioną chusteczką. - W każdej chwili przyjąłabym go z powrotem, ale się nie odzywał. W zeszłym tygodniu dzwoniłam do niego na komórkę, nagrałam się na sekretarkę, ale nie oddzwonił. - O tym nie opowiadała nawet Maeve.

Millie milczała.

- A co Dan na to? - zapytała Dee. Chciała zmienić temat. Fakt, że powiedziała Millie, co zrobiła, tylko pogorszył jej humor. Jedyne kobiety całkowicie pozbawione ambicji wydzwanają do byłych narzeczonych, błagają o telefon i godzinami tęsknie wpatrują się w aparat. Tylko nieudacznice bez krzty silnej woli przerywają dopiero co zaczęłą dietę i pochłaniają całe opakowanie lodów truskawkowych ze zdenerwowania.

- Dan jest w szoku - odparła Millie. - Chciał pomówić o tym z Garym przez telefon, ale Gary nabrał wody w usta. Chwilowo zamieszkał u Margaret - dodała.

- No, ona nie posiada się z radości - mruknęła Dee z goryczą. - Nigdy mnie nie lubiła.

Uważała, że nie jestem dość dobra dla jej bezcennego syneczka. Teraz on pewnie przyznaje jej rację. Gdyby piła, na pewno uczciłaby to najlepszym szampanem.

- Nie pozwól, by Margaret was rozdzieliła - poradziła Millie. - Ty i Gary jesteście dla siebie stworzeni, wiesz przecież. Prędzej czy później znowu będziecie razem.

- Millie, nie rozumiesz. - Dee straciła cierpliwość. - Myśmy się nie rozstali z powodu głupiej kłótni o to, kto ma dzisiaj posprzątać. Gary uznał, że ma mnie dosyć, powiedział mi, że jestem gruba i że się mnie wstydzi.

Słyszała, jak Millie gwałtownie wciąga powietrze, ale puściła to mimo uszu.

- Zaproponowano mu pracę w Londynie i zdecydował się wyjechać. Zaręczyny zerwane, on chce, żebym sprzedała dom. Koniec, kropka. Jeśli sądzisz, że po tym wszystkim jeszcze będziemy razem, jesteś wyjątkiem! - Głos Dee się załamał. Ukryła twarz w dłoniach.

- Biedactwo. - Millie odsunęła talerz z nietkniętą kanapką i przytuliła Dee do siebie. - Nie miałam pojęcia. Zabiję go. Poczekaj, niech tylko Dan się o tym dowie!

- Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, co się stało - szlochała Dee.

- Dobrze, dobrze, ale muszę powiedzieć Danowi. Kocha cię, a jeśli ktokolwiek zdoła przemówić Gary'emu do rozumu, to właśnie Dan. Nie będziemy siedzieć beczynnie i z założonymi rękami obserwować, jak Gary rujnuje życie i tobie, i sobie.

Dee gwałtownie uniosła głowę.

- Obiecuj, że nie powiesz Danowi. Obiecuj! - poprosiła. - Nie chcę, żeby ona się dowiedziała, wiesz, Margaret. Na pewno chciałaby poznać wszystkie szczegóły. Błagam, nie mów jej.

- Nawet mi to przez myśl nie przeszło! - obruszyła się Millie. - Jeśli o mnie chodzi, nie powiedziałabym tej babie nawet która godzina. To jej wina, że Gary jest tak strasznie rozpuszczony. Zepsuła go do szpiku kości. Gdyby przez tyle lat nie był ukochanym syneczkiem mamusi, nie miałabyś z nim takich problemów. Posłuchaj, Dee, Gary cię kocha, nawet jeśli chwilowo o tym zapomniał. Wróci, jestem tego pewna.

- Ja nie. - Dee przestała płakać. Ostatnio płakała tak często, że łzy kończyły jej się po kilku minutach. I dobrze, inaczej ciągle chodziłaby z czerwonymi oczami. - To koniec, Millie, wiem na pewno. Nie umiem tylko się z tym uporać. Jestem zagubiona.

- Co za bzdura! - odparła energicznie. - Nie jesteś kobietą, która sobie nie poradzi bez faceta.

- Nie jestem? - zdziwiła się.

- Oczywiście że nie. Weźmiesz się w garść i zaczniesz nowe życie. A kiedy skruszony maminsynek przybiegnie z ogonem podkulonym pod siebie, ty będziesz dyktować warunki.

Była to bardzo pociągająca wizja i Dee snuła ją bardzo często. Niestety, równie często widziała siebie jako zszarzałą, wyblakłą grubaszkę, na którą żaden mężczyzna nawet nie spojrzy.

- Nie wyobrażam sobie tego, Millie - westchnęła. - Może gdyby zamieszkał u was, miałabym

jakaś szansę na odzyskanie go. Bóg jeden wie, co Margaret wbija mu do głowy, odkąd ma go w domu. Od początku uważała mnie za karierowiczkę pochodzącą z dołów społecznych, która nie jest godna szorować jej podłóg, a co dopiero poślubić jej syna - wyrzuciła z siebie z pasją. - Teraz ma okazję, by mu to w kółko powtarzać. Mówiłam ci, co od niej dostałam na pierwszą Gwiazdkę, kiedy zaczęłam chodzić z Garym? Sportowe skarpety! A moja biedna matka oszczędzała, żeby mu kupić porządny krawat znanego projektanta.

To wspomnienie nadal wyprowadzało ją z równowagi. Na zawsze zapamięta tamten świąteczny poranek. Oficjalne wręczanie prezentów w równie oficjalnym domu pani Redmond, gdzie nawet choinka nie śmiała gubić igieł.

Starannie opakowała prezent dla Margaret w złoty papier. Oczywiście Gary sam nie zadbał o prezent dla matki, Dee miała się tym zająć.

Jako że spotykała się z nim od paru miesięcy, zdążyła już dobrze poznać Margaret i wiedziała doskonale, co wybrałaby dla niej najchętniej: podręcznik dobrych manier, w którym podkreśliłaby na czerwono wszystkie ustępy o przyzwoitym traktowaniu dziewczyny syna. Opanowała się jednak i kupiła wielki flakon ulubionych perfum Margaret.

Dee uwielbiała dawać prezenty, więc radość Margaret po rozpakowaniu podarunku wprawiła ją w dobry humor, mimo że ostentacyjnie wyczuła Gary'e-go i podziękowała mu za pamięć. On zachwycił się koszulą w prążki i poszedł do łazienki ją przymierzyć, Dee tymczasem otworzyła swoją paczuszkę. Znalazła w niej dwie pary sportowych skarpet do aerobiku, różowe i białe.

- Nie przejęłabym się tym tak bardzo, gdyby nie to, że wtedy Margaret wiedziała już, że nie jestem typem sportowym.

- Mnie na pierwszą Gwiazdkę obdarowała gwiazdą betlejemską, która zwiędła zaraz następnego dnia - pocieszyła ją Millie. - Więc rok później kupiła mi książkę o pielęgnacji roślin doniczkowych.

- Brawo! - Dee się roześmiała.

- Wiedziałam, że to cię rozbawi. Słuchaj, co robisz dzisiaj wieczorem? Może wpadniesz do nas na kolację? Ostrzegam tylko, że gotuje Dan, więc będzie piekielnie ostre chilli. Zabierz Smudge'a i przenocuj u nas.

- Dzisiaj nie mogę.

- Nie chcę, żebyś sama siedziała w domu.

- Nie, nie! - obruszyła się. - Wychodzę ze znajomymi z pracy, z Maeve ściśle mówiąc. Idziemy poszaleć.

- Więc wpadnij do nas jutro.

- Też nie mogę. Obiecałam rodzicom, że ich odwiedzę.

- Powiedziałaś im?

- Tak. Zachowali się wspaniale. Obawiałam się, że zaczną truć, jak to od początku wiedzieli, że Gary nie jest dla mnie, ale nic podobnego. - Uśmiechnęła się krzywo. - Mama chyba nie mówi o nim nic złego, bo się obawia, że znowu będziemy razem.

- Będziecie, jestem pewna - oświadczyła entuzjastycznie Millie.

Dee skończyła kawę. Nie podzielała tej pewności.

- Bomba. - Maeve podciągnęła suwak w czerwonej obcisłej koszulce i obrzuciła Dee uważnym spojrzeniem. Dee rozważała, czy powinna zapiąć nowy żakiet w tygrysi wzór, czy może zostawić rozpięty.

- Nigdy dotąd nie nosiłaś takich wzorów, a szkoda, bardzo ci w tym do twarzy.

- Odbiło mi - odparła, ciągle bawiąc się paskiem. - W sklepie ten żakiet wyglądał ładnie, ale teraz sama nie wiem... Wyglądam jak gruba, stara Spice Girl!

- Wyglądasz super.

Dee krytycznie przejrzała się w lustrze w sypialni Maeve.

Żakiet, narzucony na obcisłą czarną sukienkę, upodabniał ją do piosenkarki bluesowej, która zaraz zacznie tęsknie nucić „Cry Me a River” w zadymionym nocnym klubie. Sprzedawczyni w „Big Babies”, sklepie z odzieżą w dużych rozmiarach, nie uważała, że kobiety bujniejszych kształtów powinny ukrywać się w bezkształtnych namiotach w pionowe pasy.

Miała wielki dar przekonywania i namówiła Dee na żakiet i sukienkę, zamiast luźnej koszuli, którą miała zamiar kupić. Jednak to, co w sklepie z dyskretnym oświetleniem i sprzedawczynią dwa razy od niej grubszą wydawało się porządku, niekoniecznie musiało się nadawać do nocnego klubu pełnego chudych jak modelki dziewczyn.

- Idziesz w tym. Wyglądasz bombowo - zdecydowała Maeve, która doskonale wiedziała, co się dzieje w głowie przyjaciółki. - Wcale nie grubo, przysięgam. Raczej jak seksbomba. Zobaczysz, będziesz się opędać od facetów jak od much. Przydałby ci się jakiś płyn odstraszający samce.

Dee uśmiechnęła się krzywo. Wiedziała, że jest w sytuacji bez wyjścia. Albo pójdzie w nowym stroju, albo w szarym dresie, który przywiozła na jutro.

- Tina Turner? - Maeve pochyliła się nad odtwarzaczem płyt kompaktowych.

- Może być. Puść „Better be good to me” - Dee uwielbiała tę piosenkę. - Ze szczególnymi życzeniami dla cholernego sukinsyna Gary’ego Redmonda!

Muzyka wypełniła cały pokój. Dee musiała się powstrzymać, żeby nie podrygiwać w trakcie nakładania makijażu. Z wyraźnie podkreślonymi oczami i wisiorkiem w głębokim dekolcie, wyglądała zabójczo. Może w to uwierzy, kiedy wypije drink Maeve na odwagę - śmiertelną miksturę wódki brzoskwiniowej, zwykłej wódki i soku pomarańczowego.

- To koktajl czy resztki z twojego barku? - Dee skrzywiła się po pierwszym łyku.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna, czy nie poplątałam składników, zginęła mi gdzieś książka z przepisami. Ale dzięki temu się wyluzujesz.

- Chyba aż za bardzo - przestraszyła się Dee. - Wiesz, może lepiej dam sobie na razie spokój z alkoholem, wezmę jakieś wino do jedzenia... Nie chcę topić zmartwień w kieliszku, Maeve. Ostatnio robiłam to coraz częściej.

- Nie pozwól, by Gary mówił ci, jak masz postępować - nie teraz, kiedy odszedł - Maeve aż przestała się malować, żeby nadać słowom odpowiednią wagę. - Jest draniem, ale to już przeszłość. Nie przejmuj się tym, co opowiadał. Lubisz się czasem napić, co w tym złego?

Dee uznała, że błyszczący do ust to niezły pomysł, i wyrwała go Maeve z ręki.

- Akurat pod tym względem miał rację - stwierdziła. - Wiecznie się upijam na przyjęciach...

- Bo brak ci pewności siebie - Maeve wpadła jej w słowo. - Gary nie miał pojęcia, czemu tyle pijesz. Facet ma wrażliwość hipopotama.

- Właściwie wiedział. Wiedział, że brak mi pewności siebie. Ale to żadne tłumaczenie. To, że mam kompleksy, nie znaczy, że powinnam się wpędzać w jeszcze gorsze kłopoty.

Dee długo nad tym myślała. Przypomniła sobie niezliczone okazje, przy których wypijała o kilka drinków za dużo, by zapomnieć o kompleksach. Wlewanie w siebie takich ilości wódki nie pomagało, a z pewnością nie sprawiało, że chudła. Jeśli już, wprawiało ją w jeszcze gorszy humor, kiedy na kacu powracały wspomnienia flirtów z nieznanymi, gdy alkohol dodawał jej skrzydeł.

- Nie piję już dużo i muszę coś zrobić ze sobą - oznajmiła stanowczo. - Nie ma sensu się ukrywać. Muszę coś zrobić. Zapiszę się do fitness klubu. W przyszłym tygodniu mam wstępną konsultację. Będę chodziła na aerobik.

Maeve wytrzeszczyła oczy ze zdziwienia.

- Mówisz poważnie?

- Śmiertelnie.

- Bardzo mnie to cieszy, Dee. Dobrze, że zaczniesz ćwiczyć, ale powinnaś się na to zdecydować dla zdrowia, a nie żeby schudnąć w nadziei - tu Maeve się zawahała - że Gary do ciebie wróci. Przykro mi. - Usiadła na łóżku. - Chcę być prawdziwą przyjaciółką, a jako taka nie pozwolę, żebyś łądowała całą energię w ten plan. Załamiesz się, jeśli to nie wypali. - Sięgnęła po papierosa. - Powinnaś robić to dla siebie, nie dla faceta, który na to nie zasługuje. Czy powiedziałam za dużo?

Nerwowo podniosła głowę.

- Nie. Jesteś bardzo dobrą przyjaciółką, ale ja wiem, co robię. Naprawdę. - Dee przysiadła obok niej na łóżku. - Muszę zmienić moje życie. I chcę, żeby Gary wrócił. Wiem, uważasz, że po

tym co mi zrobił...

- Słuchaj, to twoje życie i twoja decyzja, nie moja. Kochasz go i pragniesz, żeby wrócił. Po prostu nie chcę, żeby cię znowu skrzywdził, i tyle.

Dee wzruszyła ramionami.

- I tak cierpię. Jestem półżywa, nie mogę się na niczym skupić, co chwila chce mi się płakać. Może być gorzej?

Maeve głęboko zaciągnęła się papierosem, zanim zdusiła niedopałek w popielniczce. - Teraz masz przynajmniej nadzieję, że Gary wróci. Co będzie, kiedy jasno da ci do zrozumienia, że tak się nie stanie?

Przez długą chwilę milczały obie.

- Zmieńmy temat - zaproponowała w końcu Dee.

Miłość wręcz wisi w powietrzu, stwierdziła Dee posepnie. Rozglądała się po włoskiej knajpce znad karty dań. Pizzeria „Luciano's” wręcz pękała w szwach, a zdecydowaną większość klientów stanowiły zakochane pary siedzące nad wielkimi pizzami przy butelce chianti. Miłośnie patrzyli sobie w oczy, a Dee niemal słyszała ich rozmowy: „Zjem pieczywo czosnkowe, jeśli ty też zjesz”, „Dobrze, podzielimy się...” „Och, jaki ty jesteś romantyczny!”

Westchnęła głośno. Sobotnia noc w restauracji w towarzystwie kobiet to jak krzyczenie na całe gardło, że jest sama. Równie dobrze mogłaby wynająć samolot, żeby latał nad Dublinem z transparentem: DEE O'REILLY JEST SAMOTNA, ZAŁAMANA i SPRAGNIONA MĘSKIEGO TOWARZYSTWA.

Nieważne, że Chloe, Evie i Geraldine również nie posiadały partnerów. Im to nie przeszkadzało. Wszystkie miały po dwadzieścia kilka lat i naprawdę wolały włóczyć się po knajpach ze znajomymi. Nie wstydziły się, że u ich boku nie ma mężczyzn.

Ale z drugiej strony nie wiedziały, jak rozkosznie jest spędzić sobotni wieczór przed telewizorem, oglądać film na wideo, zajądać kurczaka dostarczonego do domu i rozkoszować się bliskością ukochanego, przy okazji żałując tych, którym nie dane było zaznawać takiego szczęścia.

Na Boga, kiedyś Dee współczuła Maeve i jej znajomym! Wielokrotnie obserwowała, jak przyjaciółka szykuje się do wyjścia na bezowocne łowy. Wyper-fumowana, umalowana, wystrojona w najbardziej obcisłe spodnie, jakie można sobie wyobrazić, Maeve wyruszała w noc, gdzie spotykała tylko neandertalczyków, którzy wyobrażali sobie, że kilka tańców i parę drinków daje im prawo do swobodnego dysponowania jej bielizną. Istne piekło. Dee nie miała na to siły.

A teraz Maeve ma narzeczonego, który nie protestuje, kiedy ona czasami urywa się z przyjaciółkami, a Dee została sama. Czekają ją niezliczone przyjęcia, podczas których głównym zadaniem będzie ocenić każdego obecnego mężczyznę jako kandydata na potencjalnego

narzeczonego. Dlaczego Gary jej to zrobił? Chciała do domu, do znajomych czterech ścian, które stanowiły jej ochronę przed brutalnym światem. Niestety, tam jeszcze bardziej tęskniła za Garym. Brakowało jej jego kłopotów porzucanych po całym domu, brakowało porannego wołania, że czas wstawać, brakowało jego ramion w łóżku.

Droga Annie W zeszłym miesiącu wydawało mi się, że mam wszystko, o czym można marzyć, wspaniałą pracę, chłopaka, wszystko... Niespodziewanie narzeczonego mnie rzucił i całe moje życie rozsypało się na kawałki. Nigdy nie miałam zbyt wiele pewności siebie, ale teraz nie zostało z niej nic. Podał mi wiele powodów, dla których odchodzi, ale wszystko sprowadza się do tego, że jego zdaniem jestem za gruba i on się mnie wstydzi. Sama też uważam, że jestem gruba, ale on wiecznie zapewniał, że sobie to tylko wmawiam i że kocha mnie taką, jaka jestem. Kiedy się dowiedziałam, że jest inaczej, było to jak niespodziewany policzek. To tak, jakby całe nasze wspólne życie było kłamstwem.

Jestem załamana. Nikomu nie mogę powiedzieć, dlaczego tak cierpię. Mam pomagać innym uporać się z ich kłopotami, a nie daję sobie rady z własnymi. Zawiodłam na całej linii. Byłam z narzeczonego od dawna i przeraża mnie myśl o życiu w pojedynkę. Chciałam z nim porozmawiać, ale nie odpowiada na moje telefony. Co mam zrobić? Myślałam nawet, czy po prostu nie zjawić się u niego na progu. Czy powinnam zaryzykować?

Samotna - Ale wielki! - zdziwiła się Maeve, gdy kelner wyczarował skądś młynek do pieprzu wysokości co najmniej dwóch stóp.

Kobiety parsknęły śmiechem. Przystojny kelner, przyzwyczajony do takich reakcji, uśmiechnął się tylko.

- Pieprzu? - zaproponował.

Maeve skinęła głową i po chwili na jej spaghetti z owocami morza pojawiły się czarne ziarenka.

- A pani? - pomachał młynkiem w stronę Dee i przy okazji obrzucił ją spojrzeniem pełnym aprobaty.

- Poproszę. - O co mu chodzi, zastanawiała się. Czyżby noc dobroci dla starych panien? A może kelnerom płaci się ekstra za flirtowanie z samotnymi kobietami, tak jak na statkach zatrudnia się fordanserów dla starszych pań? Cóż, nie życzy sobie, żeby traktowano ją z góry. Z kamienną twarzą obserwowała, jak sypie stanowczo zbyt dużo pieprzu na jej talerz.

- Chyba proponował ci nie tylko pieprz. - Chloe znacząco szturchnęła ją pod żebro, czym wywołała nowy wybuch śmiechu.

- Mówiłam, że ten strój zdziała cuda. - Maeve wzniosła kieliszek w toaście.

- Boże, oddałabym wszystko za taki biust jak twój, Dee - jęknęła zazdrośnie Geri,

poprawiając różową bluzkę z falbankami na płaskiej klatce piersiowej. - Faceci uwielbiają duże piersi.

- Dokładnie rzecz biorąc, uwielbiają duże piersi u kobiet chudych jak patyki - poprawiła Evie - co, jak wiemy, nie występuje w naturze nigdzie poza Kalifornią.

- Fakt - zgodziła się Geraldine. - Natura daje nam deski zamiast biustu, ale wynagradza to biodrami jak tył ciężarówki.

- Zawsze możesz sobie powiększyć piersi - podsunęła Maeve. - Co ty na to, Dee?

Dee nie słuchała. Nerwowo zamrugła oczami.

- Przepraszam, myślami byłam gdzie indziej.

- Powiększanie piersi. Jesteś za czy przeciw?

Uśmiechnęła się.

- Wiesz, nigdy nie brałam tego pod uwagę - stwierdziła. - Za to nieraz myślałam o odsysaniu tłuszczu. - Wprawnie nawinęła wstążkę makaronu na widelec. - Chociaż może z zabiegów chirurgicznych wystarczyłoby mi odrutowanie szczęki, żebym nie mogła się objadać pysznym włoskim żarciem.

Na słowa „odsysanie tłuszczu” w oczach Chloe pojawił się błysk.

- Zastanawiałaś się nad tym poważnie? Chciałabym zrobić sobie coś takiego na udach.

Maeve wzdygnęła się i sięgnęła po butelkę czerwonego wina.

- Ja nawet nie chcę o tym myśleć.

- Bo nie musisz - zauważyła Chloe. - Jesteś chuda.

- Ty też!

- Mam grube uda. Na szczęście w tych spodniach nie widać.

- Nie chodzi o to, że jestem przeciwna chirurgii plastycznej - tłumaczyła Maeve. - Po prostu nie lubię bólu, zastrzyków i widoku krwi.

- Wytrzymałabym wszystko, gdybym tym sposobem miała się pozbyć zbędnego tłuszczu - upierała się Chloe.

- Odsysanie tłuszczu brzmi wręcz magicznie - włączyła się Dee. - Wyobraź sobie: w jednej chwili jesteś gruba, w następnej - smukła jak trzcina. Mimo to mam przeczucie, że jeśli kiedykolwiek będę szczupła, to muszę w tym celu cierpieć. No, wiecie, godzinami pedałowac na rowerku treningowym.

Geraldine zjadła ostatni kawałek pizzy i oblizwała palce.

- Pyszne! Ja, przyznaję się bez bicia, lubię błyskawiczne rezultaty. Strasznie mnie intrygują te programy ćwiczeń, które obiecują, że po pięciu godzinach będziesz wyglądała o pięć lat młodziej. Nie żebym miała zamiar zacząć to uprawiać, ale jeśli kiedykolwiek zdecyduję się na coś takiego, to wybiorę pięć godzin, a nie całe życie.

- Może jestem cyniczna - wtrąciła się Evie - ale moim zdaniem jedyne pięć godzin, po których będziesz o pięć lat młodsza, to godziny spędzone pod narkozą, w rękach chirurga.

- Skoro o tłuszczu mowa, kto ma ochotę na deser? - Maeve odsunęła talerz i zapaliła. - Mają tu przepyszny torcik marcepanowy.

- Dawajcie kelnera z kartą - zdecydowała Geraldine.

Kelner minął je ciągle wymachując gigantycznym młynkiem.

- Co on tak z tym młynkiem? - zdziwiła się Geraldine. - Czy to jakiś znak? Może włoscy kelnerzy licytują się, kto ma najdłuższy?

- To taki sposób na podryw - wyjaśniła Maeve. - Nie widziałas, jak nim machał na Dee?

- Jeśli tak, nie zabierzemy jej nigdy więcej - zażartowała Evie. - Jest zbyt seksowna. Dla nas nie zostanie ani jednego faceta!

Dee parsknęła śmiechem.

- Nie obawiaj się, Maeve złała mnie środkiem odstrasającym samce.

- Doskonale! - ucieszyła się Chloe. - Przyda się później, kiedy zdecydujemy, którzy nam się podobają, a których chcemy się pozbyć. Co powiecie na więcej wina?

15.

Isabel ukryła głowę pod poduszką, żeby zagłuszyć wściekłe ujadanie psa sąsiadów. Była ledwo żywa - dochodziła szósta piętnaście rano - i bardzo chciała zdrzemnąć się jeszcze na trzy kwadransy. Zwłaszcza że w nocy godzinami wpatrywała się w połyskujące zielono wskazówki budzika, które w ślimaczym tempie przesuwały się z wół do pierwszej na drugą. Dopiero wtedy usnęła.

Wszystko ze zdenerwowania. Idzie dziś na lunch z prezesem Roark International, z najwyższym szefem. Na myśl o nim czuła się jak nastolatka. W dodatku był żonaty, jak by na to nie patrzeć.

Przestań myśleć i śpij, powiedziała sobie. W twoim wieku potrzebujesz każdej chwili snu, żeby wyglądać jak człowiek.

Rudy ujadał zawzięcie. Uroczy czarny kundelek, który zawsze witał ją radosnymi płasami na tylnych łapach, miał okropny zwyczaj szczekania, ilekroć chciała się przespać.

- Błagam, Rudy, przestań - jęknęła, zbyt znużona, by sięgnąć na drugą stronę łóżka po dodatkowa poduszkę.

Swoją drogą, dlaczego on tak wściekle ujada? Jest za późno dla włamywaczy i za wcześnie dla porannych gości. Rudy zazwyczaj zaczynał koncert kwadrans po ósmej, kiedy przychodził listonosz.

Nagle ogarnęła ją panika. Listonosz! W tej chwili doszło jej uszu znajome szczęknięcie skrzynki pocztowej. Usiadła gwałtownie na łóżku i spojrzała na budzik. Była nie szósta, lecz ósma szesnaście.

- Boże, nie! Akurat dzisiaj zasnęłam! Co z tobą, ty cholerny budziku!

Wyskoczyła z łóżka, pognęła na dół, nastawiła wodę na kawę, wyjęła jogurt z lodówki i zjadła go w drodze do skrzynki. Kolejna porcja rachunków i reklamówka firmy oferującej sprzątanie domu. Jeszcze czego, pomyślała. Wolą nie myśleć o warstwie kurzu na meblach.

W ciągu tygodnia nie miała czasu na zajmowanie się domem, nie miała również pieniędzy na wynajęcie kogoś do pomocy. Dobrze chociaż, że ani ona, ani dziewczynki nie chorują na astmę. Kurz zalegał w całym domu, podłoga w kuchni aż się prosiła o porządne wyszorowanie. Isabel nie znosiła brudu. Wracając na górę przysięgła sobie, że następnego dnia zabierze się za sprzątanie.

Kwadrans później była już po porannej toalecie, z wilgotnymi włosami i w skrajnej panice.

Dopasowana bawełniana bluzeczka bez rękawów, którą chciała założyć, zniknęła z jej komody. Była święcie przekonana, że ją uprała i wyprasowała. Przecież jeszcze wczoraj ją tu widziała. Klnąc na czym świat stoi, wyrzuciła na łóżko wszystkie białe rzeczy. To śmieszne! Nie

dość, że w domu fruwać jak kłęby kurzu, na dodatek zagnieździły się w nim niewidzialni złodzieje ciuchów! Wyprostowała się gwałtownie. Nie, to nie duszki, to piętnastoletnia córka, która lubi sobie pożyczać rzeczy matki.

- Robin, widziałas gdzieś moją białą bluzkę bez rękawów? - otworzyła drzwi do pokoju córki. Wszędzie poniewierały się ciuchy.

- Co? - Robin poruszyła się nieznacznie pod kokonem z kołdry.

- Szukam białej dopasowanej bluzki bez rękawów, tej haftowanej. - Kupiła ją w małym butik w Portugalii. Bardzo skromna, niewinna, bez niczego pod spodem stawała się kobieca i kusząca. W zestawieniu z granatowym kostiumem będzie wyglądała rewelacyjnie, połączenie kobiety sukcesu i romantycznej.

Wtedy ją dostrzegła, zwiniętą w kłębek przy łóżku Robin, tuż obok brudnych dżinsów. Doskonale połączenie, zauważyła zawistnie.

- Robin, następnym razem racz zapytać, zanim weźmiesz coś z mojej szafy, dobrze?

- Nie było cię w domu - dobiegło spod kołdry. - Chciałam wczoraj włożyć coś ładnego, pojechaliśmy do Dalkey.

- A ja chciałam dzisiaj włożyć coś ładnego - mruknęła Isabel - i to miała być właśnie ta bluzka. Nie mam nic innego, już jestem spóźniona...

Żadnej odpowiedzi. Isabel ukryła twarz w dłoniach. Oby cały dzień nie okazał się równie koszmarny. Zdecydowała się na jasnoróżową jedwabną koszulkę. Nie była ani w połowie tak seksowna jak biała, ale nie było wyjścia. Do tego sznurek pereł i, zdecydowała w chwili natchnienia, czerwona szminka. Zwykła, różowa, wyglądałaby nudno.

Zanim wyszła, jeszcze raz zajrzała do pokoju Robin.

- Odkurz dzisiaj, dobrze? Przynajmniej w salonie. Niech Naomi pozmywa i podleje kwiaty. Pani McCarthy wpadnie po nią o dziesiątej, zabierze ją i Julię na obóz dzienny. Wrócą koło piątej. Bądź wtedy w domu, dobrze?

Isabel nie podobało się, że zapędza dziewczynki do pracy w czasie wakacji, ale sama nie dałaby sobie rady. Zresztą dzięki temu Robin spędza mniej czasu włączając się po Bray z koleżankami. Isabel dałaby sobie rękę uciąć, że w zeszłym tygodniu poczuła od córki papierosa. Nie chciała jednak wszczynać kłótni z wiecznie naburmuszoną Robin. Gdyby choćby słowem wspomniała o związku między paleniem a rakiem płuc, Robin bez wątpienia kupiłaby karton papierosów bez filtra i paliła jednego za drugim. Tak więc Isabel czekała na odpowiednią chwilę...

Gdy stanęła w progu, o wiele później niż zwykle, redakcja wrzała. Tanya Vernon odwróciła się na krześle. Obserwowała Isabel spod zmrużonych powiek, zajęta rozmową przez telefon.

Gdyby to ktoś inny spóźnił się pół godziny, Tanya skarciłaby go przy wszystkich, jednak wobec Isabel zachowała dystans.

- Przyniosłaś popołudniową gazetę? - zażartowała Phil.

- Niestety, wszystkie wyprzedane - odparła Isabel pogodnie. Włączyła komputer, otworzyła teczkę i zabrała się do pracy. Jackie podbiegła do niej z plikiem wiadomości.

- Super wyglądasz, Isabel - oświadczyła szczerze. - Fantastyczna szminka. Nie używałaś jej przedtem. Idziesz z kimś interesującym na lunch?

Isabel zarumieniła się.

- Właściwie nie - powiedziała to z całą niedbałością, na jaką było ją stać. - Umówiłam się ze starym przyjacielem.

Ranek minął jak z bicza strzelił. Telefon na biurku Isabel nie przestawał dzwonić, tak że ledwo zdołała wypić kawę, którą jej zrobiła Phil. Kiedy w końcu podniosła się z krzesła, miała zaledwie dwadzieścia pięć minut na dotarcie do hotelu i ani chwili, by poprawić makijaż.

- Chciałabym z tobą porozmawiać - powiedziała Tanya, gdy Isabel mijała ją w biegu, wymachując torebką.

- Później, jak wrócę - zlekceważyła dezaprobatę na twarzy Tanyi.

Na ulicach jak zwykle panowały korki, z nieba lał się upał, a wentylacja w jej samochodzie miała dwie opcje: gorąco albo bardzo gorąco. Opuściła boczne okno i miała nadzieję, że nie spoci się za bardzo. Mało brakowało, a przegapiłaby podjazd hotelu „Herbert Park”, a na parkingu o włos uniknęła zderzenia z kabrioletem.

Opanuj się, powtórzyła sobie po raz kolejny tego dnia. Zachowujesz się jak zauroczona nastolatka, Isabel. Energicznie szczotkowała włosy i dziękowała opatrności, że nie tak dawno poszła do fryzjera na strzyżenie i farbowanie, tak że po mysich odrostach nie został ślad. Włosy opadały jej na ramiona jedwabistą falą. Musnęła pudrem wystające kości policzkowe, poprawiła kontur ust. Miała naturalnie ciemne, długie rzęsy, więc rzadko używała tuszu. Także teraz ograniczyła się do odrobiny beżowego cienia na powieki. Przejrzała się w bocznym lusterku. Wygląda dobrze. A może ta czerwona szminka to przesada?

W windzie piętrowego parkingu przyglądała się sobie niepewnie. Szminka to przesada, teraz to widać. Zbyt wyzywająca na spotkanie w interesach.

Ale z drugiej strony, co to właściwie będzie za spotkanie? W interesach czy prywatne? Jack Carter nie powiedział tego, ona nie zapytała. Nie powinna sobie zbyt wiele obiecywać.

Drzwi się otworzyły. Isabel ruszyła w stronę toalety, kiedy tuż przed nią wyrósł sam Jack Carter. Był bardzo elegancki w śnieżnobiałej koszuli, granatowym garniturze i ciemnym krawacie. Wysoki, przystojny, bardzo męski. Isabel poczuła, jak jej puls przyspiesza.

- Pomyślałem, że poczekam na panią tutaj - odezwał się Jack, wyciągając silną dłoń. - Bo przypuszczałem, że przyjechała pani samochodem.

- Dzień dobry - powitała go nieśmiało. Uścisnęła mu dłoń. Czy aby nie za długo ją przytrzymała?

- Spodziewałem się, że się pani tu spodoba - zatoczył krąg ręką. - Jedzenie jest dobre i nie ma takiego tłoku jak w centrum.

Szef sali uklonił się, wymamrotał powitanie i zaprowadził ich do małego dwuosobowego stolika.

Usiadła. Przez chwilę wierciła się niespokojnie i majstrowała coś przy kołnierzyku bluzki, zanim spojrzała mu w oczy po raz drugi, odkąd się poznali.

Miał inne spojrzenie niż wtedy. Jego oczy nie były stalowoszare, jak zapamiętała z redakcji „Sentinela”, tylko ołowiane, błyszczące ciepłem i zainteresowaniem. Był jeszcze przystojniejszy niż pamiętała, charakterystyczną, silną męską urodą. Wydaje się trochę zdenerwowany, zauważyła, nawet spięty. Chociaż nie, to pewnie jej wyobraźnia. Dlaczego niby szef międzynarodowego przedsiębiorstwa miałby się nią przejmować?

- Podoba się pani tutaj? - zapytał niespokojnie, na krótką chwilę spoglądając jej w oczy. - Szukałem miejsca, gdzie nie jest zbyt tłoczno ani duszno.

Zapamiętał dokładnie, co powiedziała tamtego wieczora na przyjęciu, uświadomiła sobie ze zdziwieniem. Dopiero po chwili dostrzegła błysk w jego oczach, oznakę, że żartuje.

- Tu jest cudownie, chociaż bardzo lubię pikniki - odparła cicho. - Na dworze można doskonale wypocząć, a psy mogłyby sobie pohasać.

- Sir, wiadomość dla pana. - Kelner podał mu kopertę.

Rozerwał ją energicznie. Spochmurniał.

- Przepraszam, Isabel. Nie chciałem, by mi przeszkadzano, ale zawsze coś wyskoczy. Muszę zadzwonić, naprawdę krótko - podkreślił. - Będzie pani bardzo zła?

- Nie, skądże - machnęła ręką. - Może wolałby pan porozmawiać na osobności? - Zrobiła gest, jakby chciała wstać i odejść.

- Nie, nie, proszę poczekać. To potrwa tylko chwilę.

Wyjął telefon komórkowy z kieszeni marynarki.

Po kilku minutach było jasne, że Jack Carter poświęca całą uwagę temu, co akurat robi. Zachowywał się, jakby jej z nim nie było, jakby siedział w gabinecie swojego wieżowca i prowadził ważną rozmowę, a nie w restauracji z kobietą, którą ledwo zna.

Isabel skorzystała z okazji i przyglądała mu się ukradkiem. Przeczesał włosy silną dłonią, odgarnął z czoła niesforny brązowy kosmyk. Gdzieniedzie srebrzyły się pasma siwizny. Ściągnął brwi w namyśle. Dostrzegła ledwo widoczną srebrną bliznę od lewej brwi aż do skroni. Nie pociemniała pod wpływem opalenizny jak reszta twarzy.

Ciekawe, gdzie się tak opalił. U boku lśniącej od olejku Elizabeth na południu Francji? A

może na luksusowym jachcie, leniwie zerkając na greckie wyspy na horyzoncie?

- Przepraszam. - Wyłączył telefon. - Zdecydowała już pani, co będzie jadła?

Ulotna więź, która nawiązała się między nimi, kiedy rozmawiali o piknikach, zniknęła bez śladu. Isabela czuła się znowu tak, jakby siedziała przy stole z nieznanym.

Oboje pochylili się nad kartą dań.

- Napije się pani wina? - zapytał.

Isabel poważnie to przemyślała. Jeśli to spotkanie w interesach, powinna pozostać przy wodzie mineralnej. A może on się obrazi, kiedy odmówi wina?

- Może kieliszek czerwonego?

- Spiesz się pani do pracy? - Wpatrywał się w nią intensywnie, jakby nie widział stojącego tuż obok kelnera. Isabel miała wrażenie, że śni. Była przekonana, że jego spojrzenie mówi „Błagam, nie spiesz się”.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Właściwie nie.

- Butelkę numeru trzydzieści pięć - zdecydował. - Ja też się nie spieszę, więc równie dobrze możemy wziąć całą butelkę. Malley nie pozwala wam na długie przerwy?

- Nie mam na nie czasu - odparła. - Za dużo pracy. - Urwała, uświadomiwszy sobie, że zachowuje się jak marudna sekretarka. - To nie tak - poprawiła się. - Po prostu odkąd kieruję działem kobiecym, nie mam czasu na długie, powolne lunchy.

- Rozumiem.

Gawędzili o tym, ile powinien trwać idealny lunch, i jedli bułeczki. Dokładnie rzecz biorąc, Jack jadł, a Isabel ledwie skubnęła swój chleb pomidorowo-cebulo-wy. Niedawno umierała z głodu, teraz nie mogła przełknąć ani kęsa. Była zagubiona, zdenerwowana i podniecona, wszystko naraz. Nieważne, jakie banały plotła, Jack słuchał jej z wielką uwagą, jakby zdradzała najświętsze tajemnice. Palnęła nawet, ku swemu wstydkowi:

- Może powinniśmy wprowadzić rubrykę kulinarną i podawać przepisy na takie pyszne pieczywo.

Ani na chwilę nie spuszczał wzroku z jej twarzy, wydawał się nią zafascynowany. Ale mówił wyłącznie o interesach.

Zanim przyniesiono im przystawki, Isabel doszła do przykrego wniosku, że Jack Carter umówił się z nią po to jedynie, by dyskutować o „Sentinelu”.

Mówił tylko i wyłącznie o pracy. Przez pierwsze pół godziny omawiali rynek magazynów kobiecych w Irlandii i zmieniające się oblicze przemysłu wydawniczego. Jacka bardzo interesowały jej doświadczenia w branży, zwłaszcza praca w Anglii.

Zanim skończyła swoją sałatkę, zdążyła naszkicować profil czytelniczki magazynu, w którym pracowała w Oxfordzie, i odzyskać apetyt. Niestety podniecenie, które wcześniej płonęło jak gwiazda, opadło do marnych czterdziestu wat.

- Jak myślisz, w którą stronę będzie ewoluował dział kobiecy? - Jack miał bardzo poważną minę.

Isabel upiła łyk wina. Lubiła rozmawiać o pracy, nie wtedy jednak, gdy liczyła, że spędzi romantyczną godzinę z tak atrakcyjnym mężczyzną. Przy daniu głównym - dla niej kurczak, dla niego sola - przeszli do polityki, którego to tematu szczerze nie cierpiała. Jack uważał, że w „Sentinelu” powinno być jej więcej. Nie chcąc powiedzieć wprost, że artykuły polityczne nie mają absolutnie nic wspólnego z jej działem, Isabel grzecznie kiwała głową i zastanawiała się, dlaczego ciągle rozmawiają o pracy.

Nie, żeby ostatnio szukała okazji do randki. Po rozstaniu z Davidem nie pragnęła nowego mężczyzny. Tylko że Jack tak bardzo ją pociągał. Wierzyła, że działa na niego podobnie. A tu proszę, siedzą i rozprawiają o polityce jak para zblazowanych dziennikarzy. Dawno się tak nie pomyliła.

- Smakuje ci kurczak? - zainteresował się nagle Jack.

Zdumiona podniosła na niego wzrok. W jego głosie znowu pojawiła się troska, jakby naprawdę mu zależało, by się dobrze bawiła.

W ogrodzie, podczas przyjęcia, z psami u stóp, odprężony i swobodny, był panem sytuacji, w przeciwieństwie do obecnego spotkania.

- Pyszny. - Uśmiechnęła się ciepło. Odpowiedział tym samym. Naprawdę jest bardzo przystojny, stwierdziła z żalem. Opuściła wzrok na stół, gdzie jej uwagę zwróciły dłonie Jacka. Lubiła patrzeć na jego mocne nadgarstki, uwielbiała ciemne włoski, które kontrastowały ze srebrną bransoletką zegarka. Z rąk mężczyzny można dużo wyczytać. Jack miał ręce robotnika, silne i sprawne, a nie wymanikiurowane dłonie arystokraty. To nie w jego stylu. Z trudem oderwała od nich oczy.

- Więc kto, według ciebie, powinien zająć się rozbudową działu politycznego? - Z trudem wymyśliła sensowne pytanie związane z pracą.

- Em... - Wydawał się zmieszany. - Nie wiem właściwie. A jak ty uważasz?

Nerwowo szukała w głowie nazwisk. Nagle poczuła się jak na rozmowie wstępnej. Podchwyciła temat działu politycznego, żeby Jack nie myślał, że obchodzi ją jedynie jej dział. Kończyli powoli butelkę wina. Isabel uświadomiła sobie, że powinna zaraz wracać do redakcji. Nie chciała, by szef pomyślał, że korzysta z każdej okazji, by sobie urządzać przerwy na pół dnia.

- Było mi bardzo miło - oznajmiła energicznie, kładąc serwetkę na stół - ale muszę wracać do redakcji.

- Na pewno nie chcesz deseru? - Czyjej się zdawało, czy naprawdę słyszała w jego głosie nutę paniki? - Mają tu fantastyczny mus...

Isabel już miała podnieść torebkę z podłogi, ale zastygła w bezruchu. Jack pochylił się nad stołem, przykrył jej dłoń swoją.

- Proszę, nie idź jeszcze.

- Och, dobrze. - Wróciła do poprzedniej pozycji, a Jack skinął na kelnera.

- Chcemy wybrać deser - oświadczył. - Tak jest, sir.

Choć wcale nie była głodna, zamówiła sałatkę owocową, a Jack wybrał szarlotkę. W karcie dań nie figurował żaden mus.

- Długo się zastanawiałem... - zaczął po pierwszym kęsie szarlotki.

Serce Isabel na moment przestało bić. Co teraz powie?

- Długo się zastanawiałem, czy nie powiększyć twojego działu - powiedział w końcu.

Nie potrafiła ukryć zdumienia.

- To wspaniale, dziękuję, Jack. Czy zaprosiłeś mnie tutaj, żeby mi o tym powiedzieć?

Nabrał na łyżeczkę kawałek ciasta, ale nie podniósł go do ust. Popatrzył jej prosto w oczy, odepchnął talerzyk na bok, oparł łokcie na stole i splótł dłonie.

- Szczerze mówiąc, wcale nie planowałem powiększać twojego działu ani przydzielać ci dodatkowych pracowników, przyszło mi to do głowy w ostatniej chwili. - Głęboko zaczerpnął tchu. - Nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć, żeby cię zatrzymać. Chciałbym, żebyśmy dalej rozmawiali, ale w twoim towarzystwie zapominam języka w gębie. Isabel, nie wiem, co powiedzieć, wyobrażasz sobie?

Roześmiał się krótko, ironicznie, i przechylił do tyłu. Czekał, aż ona coś powie. Isabel odwzajemniała jego spojrzenie, nagle na nowo radosna i podekscytowana. Spodobała mu się! A więc jednak nie wymyśliła sobie tego. Nie fantazjowała, nie myliła się.

Zarumieniła się.

- Myślałam, że zaprosiłeś mnie na lunch w interesach - powiedziała powoli.

Nie zwlekał z odpowiedzią. Czują na sobie jego gorące spojrzenie.

- Zaprosiłem cię na lunch, bo nie mogłem przestać o tobie myśleć od tamtego spotkania w ogrodzie. Chciałem do ciebie zadzwonić zaraz w poniedziałek rano, ale niestety musiałem wyjechać służbowo za granicę. Dopiero dzisiaj udało mi się spotkać z tobą sam na sam. Ale gdy tylko wyszłaś z windy - wydawał się lekko zażenowany - nie wiedziałem, co powiedzieć. Byłaś taka spokojna i opanowana, nie wiedziałem, jak wyrazić, co czuję. Dopiero kiedy przed chwilą powiedziałaś, że wychodzisz, zdałem sobie sprawę, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobię, czeka mnie jeszcze więcej bezsennych nocy.

Isabel poczuła dreszcz na karku. Jej żołądek wykonał artystyczne salto i wylądował pięknie, jak akrobata po wyjątkowo trudnym ćwiczeniu, który czeka na ogłuszające oklaski publiczności.

- Naprawdę sądziłaś, że to spotkanie w interesach? - zapytał. Zwlekała z odpowiedzią. Upiła łyk zimnej kawy. Miała zamiar skłamać, jednak zmieniła zdanie, Dlaczego nie powiedzieć mu

prawdy?

- Miałam nadzieję, że nie - odparła szczerze.

Roześmieli się oboje. To rozładowało napięcie.

- Co ze mnie za potentat - zażartował Jack. - Nikt z moich partnerów w interesach nie uwierzyłby własnym oczom, gdyby mnie zobaczył minutę temu. Uchodzę za twardziela.

- Tak słyszałam. Ale trzymam cię za słowo, jeśli chodzi o dodatkowych ludzi do mojego działu - uśmiechnęła się.

- Możesz mieć wszystko, co zechcesz - zapewnił gorąco.

- Wszystko? Dobrze, poproszę o limuzynę z szoferem, gabinet z sekretarką i... żartuję tylko. - Nabiła na widelec kawałek papai. - Wydaje mi się, że byłam zbyt szczerą, ale z drugiej strony wyglądasz na faceta, który ceni otwartość.

- Masz rację, cenię otwartość, choć to nie zawsze popłaca. Z tobą jednak musiałem być szczerzy, Isabel. Wiesz, że jestem żonaty, wiesz, że nie powinienem tutaj być. Ale - spojrzał na nią bezradnie - nie mogłem nic na to poradzić.

Czuła dokładnie to samo. Pociągał ją i choć wiedziała, że to niewłaściwe, nie mogła się powstrzymać.

- Mnie również nie powinno tu być. - Odsunęła miseczkę z sałatką. - Mąż mnie zdradzał i bardzo mnie to zabolalo. Oczywiście bolałoby o wiele bardziej, gdyby mi naprawdę na nim zależało - dodała z przekąsem. - Dopiero w tym roku zdałam sobie sprawę, że go nie kocham. Nasze małżeństwo faktycznie skończyło się dawno temu, tylko że nie przyjmowałam tego do wiadomości. Mimo to pamiętam, jak strasznie się czułam jako zdradzana żona i nie podoba mi się myśl, że skazuję inną kobietę na coś takiego...

Nie wiadomo dlaczego ta szczerzość wydawała się bardzo na miejscu. Tak, jakby znała Jacka przez całe życie.

- Ja też wiem, jakie to uczucie - powiedział cicho. - Moja żona kiedyś miała romans, dawno temu, a mimo to ja pamiętam tamten ból do dzisiaj, nawet jeśli ona już nie.

Isabel milczała, zaskoczona goryczą w jego głosie. Dlaczego jego żona już nie pamięta?

Podszedł do nich kelner z bardzo ponurą miną.

- Czy desery państwu nie smakowały? - zapytał patrząc na dwie praktycznie nietknięte porcje.

- Nie, nie, były pyszne - odparł gładko Jack.

- Wyśmienite - zapewniła Isabel. Miała wyrzuty sumienia, że zostawiła tyle sałatki owocowej. - Ale nasze oczy okazały się bardziej łakome niż żołądki.

Kelner oddalił się z talerzami.

- Zazwyczaj nie wdaję się w takie rozmowy - wyznał Jack niespodziewanie. Oparł się

wygodniej, potarł brodę palcami. - Jestem znany ze skrytości.

Isabel uśmiechnęła się.

- To samo mówią o mnie w redakcji „Sentinela”. Nikt właściwie mnie nie zna.

Skoro zmienili temat, uznała, że nierozsądnie byłoby wracać do problemu partnerów, czy to byłych, czy obecnych. Zwłaszcza iż miała wrażenie, że i tak wie za dużo o Elizabeth Carter. Teraz żałowała, że Phil wspomniała cokolwiek o nałogu Elizabeth. Wolałaby tego nie słyszeć.

- Chcę wiedzieć o tobie wszystko. - Jack ujął jej rękę. Miał ciepłą skórę, jego palce delikatnie pieściły jej dłoń i nadgarstek. - Chciałbym wiedzieć wszystko o twoim życiu, o twoich córkach, co cię smuci, co cię bawi... wszystko.

- Skąd wiesz, że mam córki? - zapytała podejrzliwie. Zrobił skruszoną minę.

- Pytałem o ciebie. Ale robiłem to delikatnie...

- Jak to, pytałeś o mnie? - Wyrwała rękę z jego dłoni. - Przecież teraz każdy się domyśli...

- Nikt się nie domyśli, uwierz mi - zapewnił łagodnie. - Rozmawiałem z naczelnym o wszystkich szefach działów. Chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o tobie, ale zdawałem sobie sprawę, że to będzie zbyt podejrzane.

Isabel kamień spadł z serca.

- Przepraszam, po prostu nie chcę wywołać skandalu w redakcji. Zaraz ci opowiem o dziewczynkach.

Mówiła o słodkiej, pogodnej Naomi, która chce być dziennikarką jak jej mama, i o ślicznej, drażliwej Robin, która przechodzi trudny okres.

- Wiesz, jakie są nastolatki - zakończyła z westchnieniem.

- Nie, nie wiem, jakie są nastolatki - zaprzeczył. - Nie mamy dzieci - dodał cicho.

Isabel milczała. Czekwała, co powie dalej.

- Naturalnie, chcieliśmy mieć, kto nie chce? - Westchnął. - Jednak nigdy do tego nie doszło. Między innymi dlatego dużo się między nami zmieniło. Zmieniło się też dużo innych rzeczy - dorzucił enigmatycznie. - Tak jest od lat. Żyj i pozwól żyć.

- Czy dlatego tu jesteś? - zapytała delikatnie.

- Jestem tu z twojego powodu. Nigdy nie znałem takiej kobiety jak ty.

Utkwiła w nim pytający wzrok. Czyżby to jego sprawdzony tekst na podryw, pułapka doświadczonego Romeo? Czy zaznacza zdobycze nacięciami na wezglowiu łóżka, które teraz zapewne przypomina skomplikowaną hinduską płaskorzeźbę?

- Znałem wiele kobiet, które chciały się ze mną związać... - Jack bawił się kieliszkiem.

- I spełniłeś ich pragnienia? - zapytała cynicznie. Nie chciała słuchać o innych kobietach, choć przecież niemożliwe, żeby ich nie było. Jack mógł mieć każdą, nie tylko dlatego, że był bogaty i władczy. Miał charyzmę, był przystojny. Mężczyzna taki jak on przyciąga kobiety jak

magnes.

Co prawda chciała znać prawdę, lecz myśl o innych kobietach w jego życiu bolała ją jak rana.

- Nie, tylko raz. - Ani na moment nie przestawał patrzeć jej w oczy. - Mój pierwszy i jedyny romans miałem siedem lat temu. Oprócz tego zawsze byłem wierny żonie, co w dzisiejszych czasach musi się wydawać niemodne i archaiczne. Tamta kobieta była wyjątkowa. Przyjaźniliśmy się od lat, aż pewnej nocy poszliśmy do łóżka... - Urwał, szukając właściwych słów. - Chyba dlatego, że obojgu nam doskwierała samotność, inaczej nie umiem tego nazwać. Byliśmy razem przez pół roku.

- Kochałeś ją?

- Tak, jako kochankę i jako przyjaciółkę. Mieszkała za granicą. Mogłem z nią zamieszkać, ale nie zrobiłem tego.

- Dlaczego?

Wzruszył ramionami.

- Sam nie wiem. Kiedy zerwaliśmy i dokuczała mi samotność, codziennie zadawałem sobie to pytanie. Ale odpowiedni moment minął i nie było powrotu. Ona wyszła za mąż - dodał. - Ma dzieci, bliźniaki.

Isabel zwijała w palcach lnianą serwetkę.

- Nie opowiadam ci o niej dlatego, że nadal ją kocham - wyjaśnił Jack. - To już przeszłość. Opowiadam ci o tym, bo nie chcę, żebyś myślała, że miałem tuziny kochanek. Nie miałem. To, co do ciebie czuję, jest wyjątkowe, nigdy nie reagowałem tak na inną kobietę. - Ołowiane oczy były poważne, szczerze, dumna twarz skupiona, wrażliwa.

- Isabel, popatrz na mnie. - Jego głos był delikatny i władczy zarazem. - Jesteś piękna, fascynująca, wyrafinowana i bardzo skryta. Ale mam wrażenie, że widzę jeszcze jedną kobietę, bardzo namiętną i gwałtowną. Chcę ją również poznać. - Zaciśnął rękę na jej dłoni.

- Ja też chcę cię poznać, Jack. Ale to szaleństwo, wiesz o tym. - Mówiła spokojnie, łagodnie. - Nie przeczę temu, co do ciebie czuję, a mimo to nie mogę uwierzyć, że siedzimy tu razem, że w ogóle bierzemy cokolwiek pod uwagę. Straciliśmy rozum, czy co?

- Chyba tak.

Przy kawie i rozmowie czas upływał bardzo szybko.

Gdy Isabel w końcu spojrzała na zegarek, dochodziła czwarta.

- Boże, muszę wracać do pracy! - krzyknęła.

- Naprawdę musisz? - Jack był szczerze zmartwiony. - Kiedy cię znowu zobaczę?

Zarumieniła się. Nie uda im się spotkać podczas weekendu - nie mogłaby tego ukryć przed córkami. W sobotę idzie z wizytą do Rhony, w niedzielę do jej matki.

- Najwcześniej w poniedziałek - odparła przepraszająco. - Nie dam rady...

Pogłaskał ją po rękę.

- W porządku, nie chcę cię poganiać. Może zjemy lunch w pubie, a potem pogadamy?

- Świetnie.

W windzie na parking delikatnie pocałował ją w policzek. Gdy jej dotknął, z trudem się powstrzymała, by go nie objąć i nie pocałować gorąco.

- Zadzwoń w poniedziałek - powiedział czule. Zaledwie kilka cali dzieliło ich twarze. Odprowadził ją do samochodu i z uśmiechem patrzył, jak wsiada. Nawet kiedy wyjeżdżała, czuła na sobie jego wzrok.

Isabel była w siódmym niebie. Przez cały weekend myślała wyłącznie o Jacku, setki razy na nowo przeżywała ich rozmowę. Myślała, że poniedziałek nigdy nie nadejdzie, nie mogła się doczekać następnego spotkania.

A teraz siedzą obok siebie, na drewnianej ławie pubu „Queen’s” w Dalkey, popijają gorącą zupę, jedzą tosty z serem i kończą butelkę białego wina.

Tak, wiedziała, że spotkania z nim to szaleństwo, ale nie mogła się oprzeć.

Przy nim była całkowicie odprężona, paplała radośnie, opowiadała, co zabawnego zrobiła Naomi. Uwielbiał jej słuchać, nawet kiedy opisywała mu poszukiwania chomików idealnych.

- Naomi chciała dwie samiczki, ale nie sposób na sto procent określić ich płęć, więc obeszlśmy trzy sklepy ze zwierzętami, zanim miałyśmy pewność, że mamy dwie panienki - tłumaczyła. - Chociaż ja do tej pory nie jestem przekonana. Prawdopodobnie okaże się, że Cindy i Barbie to Sid i Ben.

- Albo Sid i Barbie - Jack uśmiechnął się pod nosem. - Będzie wam potrzebna większa klatka.

- Nie istnieje większa klatka niż ta, którą kupiłyśmy - zaprotestowała. - Mamy w domu chomiczą wersję apartamentu z widokiem na rzekę. Są tam chyba ze cztery pokoje, tunele, sprzęt do chomiczych ćwiczeń i plastikowa piłka do ćwiczeń na zewnątrz.

- Plastikowa piłka? - zadziwił się.

- Wsadzasz chomika do środka, zamykasz - w piłce są dziury, więc się nie udusi, i puszczasz na dywan. Zwierzak może sobie biegać gdzie chce, a nie ma szansy wyprowadzić się za regał.

Roześmiał się.

- Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

Isabel wpatrywała się w swój kieliszek. Udo Jacka dotykało jej nogi. Ilekroć się poruszył albo roześmiał, docierało do niej jego ciepło. Uspokój się, Isabel, powiedziała sobie. On myśli, że panujesz nad sobą.

Kiedy kelnerka zaproponowała deser, byli zbyt najedzeni. Zamówili tylko kawę.

Isabel zerknęła na zegarek.

Dochodziło wpół do drugiej. Powinna już być w redakcji. Czas wrócić do rzeczywistości.

Jack przysunął się bliżej.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytał cicho. Westchnęła.

- Same drobiazgi, ale dużo.

- Zadzwoń do redakcji i powiedz, że dzisiaj już nie przyjdiesz - zaproponował nagle. - Raz w życiu urwijmy się na wagary. Jest tak pięknie, moglibyśmy wybrać się na przejażdżkę.

Podniosła na niego wzrok. Był ożywiony, radosny. Wyglądał jak dzieciak przed długo wyczekiwaną wycieczką do Disneylandu. A, co tam! Miała do wyboru spotkanie z Tanyą Vernon, na które należała ta ostatnia, albo popołudnie z Jackiem Carterem, decyzja była oczywista.

Miała dosyć wiecznej odpowiedzialności i zdrowego rozsądku. Niech chociaż raz serce weźmie górę nad rozumem.

- Doskonały pomysł - powiedziała.

Długim ciemnym tunelem i potem w dół zbocza doszli do plaży Killiney. Powitały ich krzyki mew nad głowami. Oprócz nich było niewielu ludzi; grupka kobiet z dziećmi urządziła sobie piknik w sierpniowym słońcu, nieliczni spacerowicze przechadzali się z psami.

Rzeński zapach morza unosił się w powietrzu, przywodził wspomnienia wakacji z dzieciństwa, kiedy Isabel z piskiem biegła do wody i szukała kamyków i muszelek.

Jej buty nie nadawały się na plażę, więc zdjęła je i poszła dalej boso.

- Daj, ja poniosę. - Jack zabrał jej pantofle i wziął ją za rękę.

Isabel ogarnęło uczucie ciepła. Fakt, że spacerują po plaży trzymając się za ręce, wydawał się czymś najbardziej naturalnym pod słońcem.

Powinna była wrócić do redakcji, właściwie nadal nie mogła uwierzyć, że wzięła sobie wolne popołudnie nie uprzedziwszy o tym wcześniej. Ona, Isabel Farrell, najbardziej sumienna osoba na świecie, urwała się z pracy. Ale było jej tak dobrze w towarzystwie tego wspaniałego mężczyzny, że miała to w nosie.

Właściwie dobrze się stało, że wystawiła Tanyę Vernon do wiatru. Dobrze też by było, gdyby Tanya zobaczyła ich na plaży, trzymających się za ręce, pomyślała Isabel złośliwie. Miałaby nauczkę za to, że jest taka wredna.

Spojrzała na Jacka. Chciała, żeby wiedział, jak jej dobrze.

Mocniej uścisnął jej dłoń. Zostawił marynarkę w samochodzie, podwinął rękawy koszuli, żeby poczuć na skórze ciepłe promienie.

- Nie byłem tu od lat - wyznał. - To zabawne: mieszkasz na wyspie, a jednak na plaży

bywasz wyłącznie za granicą.

- Rodzice czasami nas tu przywozili, mnie i brata - Isabel pograżyła się we wspomnieniach. Grzebała stopą w piasku, rozkoszując się dotykiem ziarenek na skórze. - Lukę teraz jest chirurgiem w Los Angeles, kochał morze, zawsze puszczał stateczki na falach i czekał, czy nie zatoną. Ja zbierałam muszelki. Gdziekolwiek byłam, zbierałam muszelki i kamyki, to śmieszne, prawda? Zawsze niszczyłam kieszenie sukienek, wypychając je tymi skarbami. Biedną mamę doprowadzało to do szału.

Nie mogła się powstrzymać, by co chwila nie zerkać na ziemię, tak na wszelki wypadek.

- O, jaka ładna! - krzyknęła i pochyliła się, nie puszcżając jego dłoni, by podnieść kawałek muszelki. - Śliczna, zobacz! - Pokazała mu opalizujący różowo skarb. - Chciałabym pomalować sypialnię na taki kolor. Niestety, nie ma go w żadnym katalogu.

Jack mocno objął ją w talii.

- Widzisz, Isabel, właśnie to mi się w tobie podoba. Kobietom, które znam, nie wystarczyłby spacer po plaży i zbieranie muszelek. - Pocałował ją w czubek głowy. - Pytałyby, kiedy polecimy do Paryża firmowym samolotem.

- Ojej, chcesz powiedzieć, że Paryż stanowił alternatywę? - zażartowała.

- Zawsze stanowi alternatywę - odparł. - Ty po prostu nie jesteś kobietą, która się tego domaga.

- Czy to oznacza, że jestem głupia i naiwna? - Tanya pakowała się do Paryża, ledwie Jack zaprosiłby ją na lunch.

- Nie - zapewnił. - To oznacza, że jesteś jedną z nielicznych znanych mi nie zepsutych, szczerych kobiet.

Słyszając komplement poczuła lekkie zażenowanie.

- Nie wiem, jak udałoby mi się polecieć do Paryża i jednocześnie wrócić do domu na kolację z dziewczynkami - odparła. - Że już nie wspomnę o nakarmieniu nowych członków rodziny, Cindy i Barbie.

- Zobacz, jeszcze jedna muszelka do twojej kolekcji - pokazał.

Uradowana zmianą tematu poddała dokładnym oględzinom śnieżnobiałą muszelkę.

Spacerowali jeszcze przez pół godziny, rozmawiali i zbierali co ładniejsze muszelki i kamyki. Potem, zmęczeni przechadzką i winem, usiedli na murku pod klifem.

Isabel ułożyła swoje skarby między nimi. Oboje pochylili się jednocześnie, by obejrzeć ten sam kamyk, i zderzyli się głowami.

- Au! - jęknęła.

- Przepraszam. Bardzo cię boli? - Jack oparł dłoń na jej karku i pocałował ją w czoło, tam, gdzie się uderzyła.

Isabel wstrzymała oddech. Zaledwie centymetry dzieliły ich twarze, czuła zapach jego wody po goleniu i gorący oddech. Pochylił się. Jego usta dotknęły jej, najpierw delikatnie, potem namiętnie i gwałtownie.

Otoczył ją ramionami, przyciągał coraz bliżej. Isabel nie mogła, nie chciała się opierać. Przywarła do niego, oddawała pocałunki z taką samą pasją.

Miała wrażenie, że coś ją pochłania. Błądził wargami po jej oczach, kościach policzkowych, czole, szyi. Zachowywał się jakby od lat tego pragnął. Wtuliła się w Jacka, rozkoszując dotykiem jego ust na skórze. Jej palce wędrowały po jego karku i ramionach, badały i pieściły. Znowu się całowali, łapczywie i zachłannie.

- Isabel. - Odsunął się od niej dysząc ciężko. - Przepraszam.

Ujęła jego twarz w dłonie, zdziwiona i jednocześnie wcale nie zaskoczona tym, co do niego czuła.

- Nie przepraszaj. Myślałam o tym przez cały weekend.

- Ja też.

Znowu zamknął jej usta pocałunkiem równie namiętym jak poprzedni. Kiedy przestali się całować, bolały ją wargi. Na pewno będzie miała zaczerwienioną skórę od jego zarostu.

Trzymał ją za rękę.

- Musimy się znowu zobaczyć - powiedział, patrząc jej prosto w oczy. - Niedługo, nie za trzy czy cztery dni.

- To nie będzie łatwe... przez Robin i Naomi. Co mam im o tobie powiedzieć?

- Nie wiem. Przepraszam, to nie w porządku. Po prostu bardzo chcę się z tobą zobaczyć. - Muskał palcami jej dłoń, gładził niebieskawe żyły widoczne pod skórą. - Mogę jutro zadzwonić?

- Tak, ale nie pracuję. Mam dzień wolny jako rekompensatę za wszystkie przepracowane soboty. Chodźmy już. - Spojrzała na zegarek. - Robi się późno.

- Odwiozę cię do domu - zaproponował. - Wypiłaś za dużo. Nie chcesz chyba stracić prawa jazdy?

- Masz rację. - Bardzo dobrze, spędzi z Jackiem jeszcze trochę czasu, zanim oboje powrócą do swoich światów.

Oczywiście akurat tego wieczora Robin nie siedziała w pokoju słuchając muzyki. Stała przed domem, żegnając się z Susie, swoją przyjaciółką. Obie ciekawie wpatrywały się w srebrnego jaguara, który zatrzymał się przed numerem dwanaście. Isabel widziała, jak oczy Robin szeroko otworzyły się ze zdumienia, gdy dostrzegła, kto siedzi obok kierowcy.

- Robin? - domyślił się Jack patrząc na wysoką szczupłą dziewczynę w błękitnym sweterku Isabel i spranych dzinsach.

- Tak. Wolę sobie nie wyobrażać, co sobie pomyśli - mruknęła Isabel.

- W takim razie oprę się pokusie i cię nie pocałuję. - Patrzył prosto przed siebie, jakby podziwiał szeregowie domki. - Dziękuję ci za fantastyczne popołudnie.

- Cześć. - Wysiadła z samochodu. - Dzięki, że mnie podrzuciłeś. Mam nadzieję, że nie musiałeś zanadto nadłożyć drogi - powiedziała głośno i zatrzasnęła drzwiczki.

Następnie uśmiechnęła się, miała nadzieję, normalnie, i ruszyła do domu. Niełatwo przyszło jej zachować obojętną minę po takim dniu. Miała ochotę tańczyć z radości, krzyczeć na całe gardło, że się zakochała po uszy i bez pamięci. Niestety, nie mogła.

- Dzień dobry, pani Farrell - powitała ją Susie, blond aniołek w czarnej koszulce i plastikowych spodniach. - To ja już pójdę, Rob. Do jutra.

- Cześć! Gdzie samochód, mamó? - Robin pomachała przyjaciółce i spojrzała na Isabel. - Chciałam, żebyś mnie dzisiaj zawiozła do Cheryl, a ona mieszka w Monkstown.

Isabel pomyślała o samochodzie, porzuconym na parkingu przed „Queen’s”.

- Poszłam do knajpy ze znajomymi z pracy - zmyśliła na poczekaniu - więc samochód został na parkingu. Bałam się prowadzić po alkoholu. Kolega odwiózł mnie do domu, żeby nie musiała wydawać na taksówkę.

- Ale jutro obiecałaś zabrać mnie na zakupy! - obruszyła się córka. - Wiesz przecież, że potrzebne mi nowe ciuchy na jesień. A przy okazji, kto to był?

- Kolega z redakcji. Rano pojedziemy pociągiem do Dalkey, zabierzemy samochód i wyruszymy na zakupy - zaproponowała Isabel.

- Chyba mówiłaś, że poszliście po pracy na drinka? - Robin stawała się coraz bardziej podejrzliwa. - Jakim cudem samochód trafił do Dalkey?

Isabel dała za wygraną.

- Po prostu tam jest, dobrze? Boli mnie głowa. Czy możesz przygotować kolację dla ciebie i Naomi?

- Nic dziwnego, że cię boli głowa. Trochę za wcześnie, żeby się upijać. - Robin skrzywiła się z niesmakiem.

- Nie jestem pijana - obruszyła się Isabel. - Wypiłam kilka kieliszków wina do obiadu. I jeszcze jedno, Robin: jeśli jedna z nas ma się zachowywać jak matka, to ja, nie ty.

- To twoje życie. - Robin oddaliła się do kuchni.

To również miał być mój tekst, zauważyła Isabel idąc na górę.

- Cześć, mamó. - Naomi stała w drzwiach swego pokoju, ubrana w strój sportowy. Podskakiwała z emocji. - Dzisiaj wygrałam w tenisa! Przeszłam do półfinałów!

- Wspaniale, skarbie. - Isabel uściskała ją serdecznie. - Bardzo boli mnie głowa, idę się położyć. Chodź do mojego pokoju, wszystko mi opowiesz.

Ułożyła się na łóżku i słuchała, jak Naomi opisuje każde podanie.

- Trener uważa, że powinnam mieć prywatne lekcje w ciągu roku szkolnego. Czy nas na to stać, mamó? Bo na pewno będą drogie - dodała poważnie.

Isabel ścisnęło się serce. Biedna mała Naomi. Tak bardzo się martwiła kiepską sytuacją finansową, że bała się poprosić o lekcje tenisa.

Niech diabli wezmą Davida! Isabel starała się zapewnić im prawdziwy dom, ale przez jego chybione inwestycje Naomi uważała, że nie może mieć tego, co inne dziewczynki. Cóż, jeśli zechce, może brać lekcje tenisa do końca życia, choćby Isabel miała harować jak niewolnica.

- Oczywiście, że nas na to stać, Naomi - zapewniła. - Mamy teraz mnóstwo pieniędzy - skłamała. - Chcę, żebyś miała wszystko, co najlepsze. A jeśli okażesz się następczynią Martiny Hingis, tym lepiej!

- Naomi! - dobiegło ich wołanie Robin z dołu. - Kolacja! Natychmiast!

- Poprosiłam Robin, żeby ci coś przygotowała - wyjaśniła Isabel. - Przepraszam, wiem, że powinnam sama...

- Mamusiu, gotujesz co wieczór - sprzeciwiła się Naomi. - Nie musisz tego robić cały czas. Przynieść ci herbaty?

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna. Jeszcze sobie poleżę przez pół godzinki.

Ledwie córka wybiegła z pokoju, Isabel pomyślała o Jacku. Jak im się uda być ze sobą w takich okolicznościach?

Czy chce miłości, którą ograniczają godziny lunchu? Czy chce być tą trzecią, zawsze w zasięgu telefonu, nigdy nie najważniejszą w życiu swojego mężczyzny? Nie знаła odpowiedzi na żadne z tych pytań.

16.

Przytyła pięć kilo, wyobrażasz sobie? Gdybym ja tak utyła, chyba-bym się zabiła. - Dwie szczupłe kobiety w kostiumach z lycry weszły do przebieralni w fitness klubie. Niedbale rzuciły ręczniki i butelki z wodą mineralną na drewnianą ławę. Jedna z nich, ruda, usiadła i przeciągnęła się leniwie.

- Ale tak się kończy przerwanie ćwiczeń - dodała pouczająco.

- Nie chce mi się w to wierzyć. Tak bardzo o siebie dbała, niemożliwe, że aż tak się zaniedbała. - Ciemnowłosa wyplątała ramiona z białego kostiumu. Pod spodem miała sportowy stanik i szorty z lycry, ściśle przylegające do ciała.

Dee robiła wszystko, by nie patrzeć, lecz nie mogła się powstrzymać. Udawała, że wiąże sznurowadła, a w rzeczywistości zerknęła z podziwem na ciało szatynki.

Miała wrażenie, że widzi tancerkę, która pod spódniczką z gazy ukrywa ciało ukształtowane latami potu i ćwiczeń. Rudowłosa zwinnie podniosła się z ławki.

- Kiedyś przytyłam dwa kilo, bo przez miesiąc nie ćwiczyłam - wyznała, sięgając po butelkę z wodą. Przelotnie spojrzała na Dee, która ukrywała się w kącie za otwartymi drzwiczkami kilku szafek.

Dee pospiesznie utkwiała wzrok w czubkach butów. Boże, pomyśl, że na nie leci, jeśli nadal będzie się tak gapić. Nie mogła jednak nic na to poradzić. Obie były niewiarygodne - wygimnastykowane i szczupłe. Czegóż by nie oddała, byle wyglądać jak one! Mała syrenka zamieniła ogon na nogi. Dee z chęcią oddałaby dziesięć lat życia za takie ciało.

- Wychodzisz gdzieś dzisiaj wieczorem? - zapytała rudowłosa ściągając kostium.

Dee popatrzyła na nią i poczuła lzy pod powiekami. Więc to cudowne ciało to nie tylko zasługa boskiej lycry! Ruda miała naprawdę szczupłe uda i płaski brzuch, nie musiała go ścisnąć specjalną bielizną.

- Tak - odparła szatynka. - Koleżanka z pracy wychodzi za męża, idziemy się zabawić w jej paniński wieczór.

Nie wystarczy im, że wspaniale wyglądają, do tego mają jeszcze niespożytą energię, skostatowała Dee ponuro. Ledwie przyjechała tu z pracy i przebrała się w nowy sportowy strój, a już była zmęczona. Co będzie po zajęciach z aerobiku?

Gdy powłócząc nogami szła korytarzem w swoich nowiutkich adidasach, zaczęło do niej docierać prawdziwe znaczenie słowa „upokorzenie”. Być może w tym nowoczesnym fitness klubie są gdzieś także inni grubi, nieszczęśliwi ludzie, Dee jednak nigdzie ich nie widziała. Wszyscy zdawali się być szczupli i zdrowi, a nie, jak ona, czerwoni ze wstydu z powodu co najmniej dziesięciokilowej nadwagi.

Z oczami wbitymi w podłogę tęsknie minęła barek kawowy i ruszyła do sali gimnastycznej, gdzie czekała ją wstępna konsultacja. Na co mi to wszystko, zastanawiała się posepnie.

W sali tuziny szczupłych, spoconych ludzi pedałowalo, ćwiczyło, zginało się rytmicznie. Odbiorniki telewizyjne umieszczone wysoko na ścianie były włączone na różne kanały, od MTV po operę mydlaną. Dee gorąco zapragnęła znaleźć się w swoim salonie, przed swoim telewizorem. Może jeśli wyrzuci z jadłospisu batoniki Mars, schudnie? Będzie chodzić na długie spacer, zrezygnuje z czekoladowych herbatników... wcale nie musi ćwiczyć!

- Dee O'Reilly? - zapytał miły głos.

Dee odwróciła się i zobaczyła bardzo wysokiego, muskularnego mężczyznę w jasnożółtej koszulce i szortach. Miał dwadzieścia kilka lat, co najmniej dwa metry wzrostu i urodę skandynawskiego gwiazdora rocka. Na jego widok pod każdą kobietą ugięłyby się kolana. Jako że kolana Dee już były miękkie ze zdenerwowania, przyglądała mu się tylko z głupią miną.

- Nazywam się James - przedstawił się. - Będę pani konsultantem, bo Danielle zachorowała. - Uścisnął jej rękę, jakby wyciskał sto pięćdziesiąt kilo na atlasie. Uśmiechnęła się blado.

Nie dość, że zostanie upokorzona demonstrując kiepską formę, to jeszcze wobec bardzo przystojnego mężczyzny. Zanosí się na wspaniały wieczór. Może po prostu rozbierze się publicznie do bielizny i upokorzy całkowicie?

- Skąd pan wiedział, że to ja? - zapytała, zanim zdała sobie sprawę, że było to najgłupsze pytanie pod słońcem. Skąd niby miał wiedzieć, że to ona? Bo, do cholery, tylko ona w całym budynku wygląda jak śpiewaczka operowa.

- Z widzenia znam wszystkich, którzy tu dzisiaj ćwiczą. Oprócz pani - odparł pogodnie. - No, zaczynamy. To potrwa około pół godziny.

- Świetnie. W takim razie nie zdążę na aerobik - dodała z nadzieją w głosie. Przy odrobinie szczęścia ucieknie stąd po konsultacji, nawet nie widząc sali do aerobiku. W drodze do domu wpadnie do wypożyczalni po dobry film i zasiądzie przed telewizorem z tabliczką czekolady. I nigdy więcej nie zbliży się do żadnego fitness klubu.

- Nie, nie, zdąży pani w samą porę - uspokoił James.

- No, super.

Po pięciu minutach intensywnego pedałowania na rowerze treningowym uznała, że ma dosyć ćwiczeń jak na jeden dzień.

- Teraz, kiedy się pani trochę rozgrzała, zwiększę opór. Proszę pedałowac w tym samym tempie - wyjaśnił. Sprawdził przy tym, czy czujniki na jej przegubach dobrze się trzymają.

Rozgrzała, westchnęła w myślach. Była rozpalona do czerwoności! Czego on jeszcze chce?

James usiadł przy komputerze i obserwował jej puls na ekranie.

- Ile jeszcze? - wysapała. Uda bolały ją z wysiłku. Chyba nie wytrzyma dłużej.

- Tylko dziesięć minut - rzucił beztrąsko.

Dziesięć minut! Dee nagle straciła resztkę energii. Ostatnio dostała taki wycisk odkurzając schody z sierści Smudge'a. A goście mieli przyjść lada chwila.

- Dee, za wolno - ostrzegł. - Mocniej! Da sobie pani radę! Dee nie wierzyła w ani jedno jego słowo.

- Od dawna nie ćwiczyłam - wydyszała. Jej uda płonęły żywym ogniem.

- Od jak dawna? - zainteresował się opanacz.

- Nigdy. - Nagle zaświtała jej nadzieja, że przerwą test ze względów medycznych. Osoba, która nigdy nie trenowała, może zemdleć po piętnastu minutach na rowerze treningowym.

- W takim razie bardzo dobrze pani idzie, Dee - zapewnił. - Większość ludzi, którzy nigdy nie ćwiczyli, ma kłopoty z jazdą na rowerze, a pani siedzi na nim od... dziewięciu minut. Jeszcze tylko sześć!

Kiedy nadeszła pora na test zwinności, z wdzięcznością osunęła się na wykładzinę dywanową. Zastanawiała się, czy w bardzo złym guście byłoby zwinąć się w kłębek i błagać o chwilę odpoczynku. Była złana potem, miała zmierzwiłone włosy i ledwo żyła z wysiłku.

- Proszę złączyć stopy i wyciągnąć się najbardziej jak pani może - polecił.

Wyciąganie? Proszę bardzo! Jedyny problem to ryzyko, że zemdleje usiłując dotknąć palców u nóg. Następnie James zmierzył obwód jej ramion i ud, i objętość płuc.

Akurat odzyskała normalny oddech i pocieszała się, że konsultacja skończona, kiedy nadeszło najgorsze.

- Zapraszam na wagę, Dee - mruknął. Nawet nie podniósł głowy znad komputera, z takim skupieniem wpisywał jej dane.

Zastygła w bezruchu.

- Na wagę?

- Tak, to już koniec. Akurat zdąży pani na aerobik. To grupa początkująca, da pani sobie radę. Doskonale pani poszło na rowerze.

- Nie chcę się ważyć - oznajmiła zdecydowanie.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Rozumiem. Wiele osób tak reaguje, ale musimy to zrobić. To nam pomoże oszacować, jakie ćwiczenia są dla pani najodpowiedniejsze. Jest to warunek uczestnictwa w zajęciach.

Milczała. Chciało jej się płakać. Wystarczająco straszne jest ważenie się w zaciszu własnej łazienki, z dala od ciekawskich oczu. Ale ważyć się publicznie, kiedy patrzył na nią ten wspaniały facet... Uzna ją za tłustą świnię, kiedy zobaczy, ile waży. Potem wprowadzi te dane do komputera i każdy będzie mógł zobaczyć: Dee O'Reilly, Kobieta-Czołg.

Inni ćwiczący będą ją sobie pokazywać palcami. To zbyt okropne. Po co w ogóle tu

przychodziła?

- Nie musi pani patrzeć - perswadował James. - Zważę panią szybciotko i nic pani nie powiem. No, proszę. Za chwilę będzie po wszystkim i pójdzie pani na aerobik.

Miał taki miły głos. Poklepał ją po ramieniu.

- Nie wypuszczę pani z tego pokoju, dopóki nie skończymy, a jestem silny - zażartował.

Wahała się jeszcze przez chwilę. Jest taki miły, taki profesjonalny.

- Dobrze.

- Wspaniale.

Zasłonił dłonią wskaźnik wagi. Dee wpatrywała się w ścianę, nie śmiała spojrzeć na instruktora. Nie skrzywił się z niesmakiem, nie cmoknął z dezaprobatą.

- Proszę zejść - powiedział radośnie po kilku sekundach. - Widzi pani, mówiłem, że nawet pani tego nie zobaczy.

Z ulgą zeszła z wagi.

- Za dwa dni będzie gotowy profil - poinformował ją. - Zapraszam wtedy. Przygotuję dla pani specjalny program, jakie mięśnie powinna pani ćwiczyć.

- Wszystkie - rzuciła z przekąsem.

- Na początku zawsze wydaje się to przerażające, ale wcale tak nie jest - zapewnił. - Jeśli przez sześć tygodni będzie pani ćwiczyć regularnie, nie pozna się pani. W tym czasie można osiągnąć zadziwiające rezultaty. I, proszę mi wierzyć - puścił do niej oko - ani jedna kobieta nie lubi być ważona, więc nie jest pani osamotniona.

- Dzięki za dobre słowo - uśmiechnęła się. - Jest pan bardzo miły. Umierałam ze strachu. A teraz proszę mi powiedzieć, którą na aerobik?

Całe jej ciało było obolałe. Ostatkiem sił przekreśliła klucz w drzwiach i pchnęła je biodrem. Niedbale rzuciła na podłogę torbę z kostiumem gimnastycznym, torebkę i płaszcz.

Marzył jej się potężny talerz frytek z kiełbasą, żeby choć częściowo odzyskać energię, którą utraciła ćwicząc. Aerobik okazał się piekłem na ziemi. Dlaczego kobiety robią to tydzień w tydzień, całymi latami? Ledwo żyła po zajęciach dla początkujących. Wolała nie myśleć, co się dzieje w grupach bardziej zaawansowanych. Tortura zaczęła się w takt rytmicznej muzyki z głośników. Demon w ja-snoróżowym kostiumie z lycry na przedzie sali podskakiwał jak transie. Na dodatek radośnie wykrzykiwał komendy w kierunku zestresowanych początkujących.

Dobrze chociaż, że inni ćwiczący wyglądali równie okropnie. Większość kobiet miała nadwagę, którą starały się ukryć pod bezkształtnymi koszulkami i luźnymi dresami, tak samo jak Dee.

Dzięki Bogu i za to, że nie była jedyną osobą, która nie wie, jak się robi „pajacyka”. Po wykonaniu, zdawałoby się, stu tysięcy pajacyków i innych dziwacznych ćwiczeń żałowała, że

kiedykolwiek o nich usłyszała.

Dee z trudem pochyliła się, by podnieść listy z wycieraczki. Nie zainteresował jej ani prospekt nowej stacji benzynowej, ani ulotka o okolicznych złóbkach. Za to nieduża koperta wprawiała ją w niebotyczne zdumienie, aż zapomniała o zmęczeniu. Wszędzie rozpoznabyła pismo Gary'ego. Przez cztery lata odczytywała jego bazgrały na życzeniach urodzinowych i kartkach z okazji dnia świętego Walentego.

„Mojej najdroższej Dee, z miłością, na zawsze, z całego serca, Gary...”

Czyżby zmienił zdanie? Ciekawie przyglądała się kopercie. Czyżby nadal kochał ją do szaleństwa, nie mógł bez niej żyć, chciał wrócić i naprawić zło, które jej wyrządził?

Przez chwilę tuliła bezcenny list do piersi, modląc się, by zawierał słowa, na które liczyła. To musi być to, z jakiego innego powodu miałby do niej pisać?

Rozerwała kopertę, przedarła londyński stempel. Wewnątrz znalazła pojedynczy cienki arkusik, zaledwie do połowy zapisany ledwie czytelnym pismem Gary'ego.

Dee Dlaczego jeszcze nie wystawiłaś domu na sprzedaż? Wiem od matki, że do tej pory nie ma tablicy agencji handlu nieruchomościami. Chcę sprzedać moją część. Albo mnie spłacić, albo skontaktuj się wreszcie z agencją.

Jeśli ty się tym nie zajmiesz, ja to zrobię. Nie stać mnie na zamrażanie pieniędzy w nieruchomości, w której nie mieszkam. Załatw to.

Gary Zgniotła list drżącą ręką. No tak, z jakiego niby powodu miałby do niej napisać? Bo jest takim tchórzem, że bał się zadzwonić. Sukinsyn!

Po czterech latach wspólnego życia nie miał nawet dość odwagi, by z nią porozmawiać. Zasłużyła jedynie na krótki, oschły liścik bez jednego życzliwego słowa. Po wszystkim, co razem przeszli... Jedna krótka rozmowa, tylko o to jej chodziło.

I wcale nie miała zamiaru szlochać w słuchawkę czy na niego krzyczeć, co to to nie. Chciała z nim po prostu porozmawiać, i tyle. Za kogo on ją uważa? Za głupkowatą histeryczkę, która odchodzi od zmysłów z rozpacz, bo facet ją rzucił? Myśli, że z tego powodu będzie łkać rzewnymi łzami i błagać, by do niej wrócił? O, nie. Jest kobietą sukcesu, zastępcą redaktora działu kobiecego w czołowym dzienniku, ni mniej ni więcej. Nie jest idiotką. Nie rozklei się przy nim. Nie wpaśćby w taką złość, gdyby na papierze zdobył się choć na elementarną uprzejmość, ale nie. List był niemal grubiański. Co tam niemal, poprawiła się, był grubiański.

Wpadła do kuchni, otworzyła szafkę pod zlewem i cisnęła list do śmieci. Drań! Już ona pokaże cholernemu Gary'emu Redmondowi, jeśli tylko kiedykolwiek dorwie go w swoje ręce! A jeśli chodzi o tę dziwkę, jego matkę...Szpieguje, czy nie ma tablicy NA SPRZEDAŻ, dobre sobie. Dee była gotowa założyć się o dziesięć funtów, że stara krowa zaglądała przez okna, czy

aby dom nie popadł w ruinę, odkąd ukochany Gary się wyprowadził - to przecież obniżyłoby jego wartość.

Ruina groziła mu raczej, kiedy Gary tu mieszkał, zauważyła jadownicę. Gary, ten śmierdzący leń, który nigdy nawet palcem w bucie nie kiwnął.

Jednym szarpnięciem otworzyła lodówkę w poszukiwaniu otuchy. Niestety, z półek patrzył na nią tylko spory kawał żółtego sera, sześć dietetycznych jogurtów i główka sałaty, a to nie odpowiadało jej gustom. Równie niechętnym wzrokiem obrzuciła pudełka z daniami dietetycznymi w zamrażarce. Za to paczki mrożonych frytek to co innego. Tyle, jeśli chodzi o dietę diet, mruknęła pod nosem, nastawiając mikrofalówkę. Jednocześnie gorączkowo przetrząsała szafki w poszukiwaniu ketchupu.

Pochłonawszy trzy paczki frytek, cztery ciastka czekoladowe i puszkę dietetycznej coli, wydobyla list Gary'ego ze śmietnika i rozprostowała starannie. Przeczytała go kilkakrotnie, by się upewnić, czy aby sobie nie wyobraziła obraźliwe-go tonu. Nie wyobraziła sobie. „Załatw to”. Chyba w ostatniej chwili powstrzymał się przed dodaniem „bo inaczej...”. Dee zastanawiała się, co by napisał po „bo inaczej”?

Że naśle na nią matkę uzbrojoną w kij bejsbolowy, czy że dalej sprawą zajmie się jego adwokat?

Właściwie ich adwokat, jednak ponieważ był kolegą Gary'ego, nietrudno się domyślić, czyją stronę będzie trzymał. Powinna właściwie sama zorganizować sobie doradcę, na wypadek gdyby sprawy potoczyły się takim torem. Westchnęła głośno. Szkoda, że nie podpisali z Garym jakiejś umowy przedzarczynowej.

Tylko że człowiek po uszy zakochany nie myśli o rozstaniu. Myśli o piknikach na plaży, o romantycznych kolacyjkach we dwoje i życiu z ukochanym. Czasami marzy o dzieciach. Nigdy natomiast nie rozmyśla o dniu, w którym ukochany umknie do Londynu, każe sprzedać dom i będzie nasyłał matkę na przeszpiegi, czy aby wykonujesz jego polecenia.

W oknie pojawił się arystokratyczny pyszczek Smudge'a. Miauknął prosząco, więc Dee wpuściła go do domu.

- Gdzie się włóczyłeś, Smudgy? - zapytała, biorąc kota na ręce w nadziei, że da się przytulić.

Smudge nie przepadał za pieszczotami. Wyrwał się z jej objęć i jednym susem wskoczył na blat szafki. Usadowił się obok białej fajansowej miseczki ze swoim imieniem.

- Przychodzisz do domu tylko na posiłki - narzekała Dee, otwierając puszkę kociego żarcia. - Dlaczego nie jesteś jak Ronnie i Nancy? Kochają pieszczoty, wręcz uwielbiają Maeve. Do licha, nawet one lubią mnie bardziej niż ty.

Smudge skwitował jej wywód pogardliwym spojrzeniem, wyprężył grzbiet na znak, że rozmowa go nudzi i że czeka na kolację. Dee postawiła przed nim miseczkę z odpowiednio

rozdrobnionym mięsem.

Kot obwąchał jedzenie nieufnie, po czym uciekł do salonu. Dee stłumiła westchnienie. Nawet Smudge jej nie cierpi.

Zaparzyła sobie herbaty, wyjęła kilka herbatników i w ślad za kotem poszła do salonu. Ciężko opadła na wielki fotel. Natychmiast zaczęła obmyślać, co też powie Gary'emu przy ich następnym spotkaniu. I nie będzie to nic miłego, o nie.

Ubrana jak z żurnala, chuda jak modelka, chluśnie mu drinkiem w twarz, zanim się oddali w towarzystwie nowego narzeczonego, dwumetrowego osiłka, który będzie szalał na jej punkcie. Dwumetrowego osiłka, z którym będzie spędzała upojne noce, spleciona z nim tak dokumentnie, że będą mogli uchodzić za syjamskie bliźnięta.

Uśmiechnęła się pod nosem. Nowy facet... jeszcze pokaże Gary'emu. I nawet wie, jak zadbać, by się o tym dowiedział. Za kilka tygodni Millie wydaje przyjęcie i zaklinała, by Dee koniecznie na nie przyszła. Dobrze, przyjdzie - ale nie sama.

Dee usłyszała krzyki, zanim doszła do sali konferencyjnej. Głos Tanyi Ver-non niósł się po całym korytarzu. W gniewie zapomniała, że zazwyczaj mówi bez jakiegokolwiek akcentu.

- Ty sukinsynu! - wrzasnęła z najczystszy dublińskim akcentem. - Nigdy więcej nie waż się odwoływać moich poleceń!

- Nie masz prawa wydawać poleceń moim ludziom! - odciął się Chris Schri-ber, dyrektor wydawniczy działu informacyjnego. - Jak mogłaś powiedzieć dzieciakowi, że zadanie od ciebie jest ważniejsze niż to, które dostał ode mnie!

Dee przemknęła obok otwartych drzwi do bezpiecznej redakcji. Wszyscy obecni tłoczyli się przy wejściu i pilnie nadstawiali ucha.

- Cieszę się, że ktoś stawiał czoła tej dziwce - Noel, młody reporter, aż zacierał ręce. - To wredna krowa.

- Co się stało? - dopytywała się Dee, przeciskając przez zafascynowany tłumek.

- Popęłniła brzemienne w skutki błąd. Zmusiła nowego chłopaka z naszego działu, żeby napisał dla niej jakiś reportaż, a wcześniej Chris kazał mu pracować nad bardzo aktualną sprawą - wytłumaczył radośnie Noel. - Chris jest spokojny i cichy, więc myślała, że jej to ujdzie płazem. I się przeliczyła.

Głos Tanyi wzniosł się o oktawę wyżej.

- Ty skurwielu! - krzyczała.

- Zwróciliście uwagę na jej akcent? - Belinda, autorka kroniki towarzyskiej, z radości aż zacierała ręce. - Szybko zapomniała o ukrywaniu go. Ciekawe, jak długo uczyła się tak mówić?

- Mnie raczej zastanawia, czemu w ogóle zawracała sobie tym głowę? - wtrąciła Dee. - Powinna być dumna ze swojego pochodzenia, a nie je zatajać. Głupia krowa, przypomina mi

teściową mojego byłego, która zawsze udaje kogoś innego, niż jest naprawdę.

Przeszła obok szeregu pustych biurków. Isabel jako jedyna nie przysłuchiwała się pojedynkowi Vernon-Schriber. Siedziała przy biurku z bardzo skupioną miną.

- Dzień dobry, Isabel - powitała ją Dee.

Czujnie podniosła głowę.

- Och, Dee, cześć. Nie słyszałam, jak podchodzisz. Muszę skończyć ten cholerny artykuł, a wczoraj nie byłam w stanie skleić nawet zdania.

- Znam to uczucie. - Dee ze zrozumieniem kiwnęła głową. Z ulgą postawiła ciężką teczkę na biurku. Ostatnio nawet najprostszy tekst wydawał się jej przeszkodą nie do pokonania. Wpatrywanie się w pusty ekran stanowiło doskonały wstęp do ponurych rozważań o nieszczęśliwym życiu. - Chyba umiesz się koncentrować w ekstremalnych warunkach - zauważyła. - Jesteś jedyną osobą w redakcji, która nie kibicuje awanturze stulecia.

Brwi Isabel niemal dotknęły linii włosów.

- Gdybym słuchała, mogłabym stracić panowanie nad sobą i dołączyć do nich - odparła. - Przecież ta kobieta świętego wyprowadziłaby z równowagi.

Dee nie wierzyła własnym uszom.

- Nigdy nie pokazywałaś po sobie, że cię denerwuje. Zawsze jesteś taka spokojna i opanowana.

Isabel z uśmiechem odwróciła się na krześle w stronę Dee i wyciągnęła ramiona nad głową, by rozluźnić napięte mięśnie karku.

- Liczę od stu do jednego, to stara sztuczka i naprawdę pomaga. Ale pewnego dnia...

- Pewnego dnia wypalisz do niej z dubeltówki? - podsunęła Dee.

Isabel zdawała się poważnie rozważać tę propozycję.

- To niezłe rozwiązanie, ale nie uśmiecha mi się pobyt w więzieniu. Za morderstwo z premedytacją dostaje się dożywocie. Nie, pewnego pięknego dnia panna Vernon wpadnie we własne sidła. A kiedy z nią skończę, będzie żałowała, że się tu pokazała.

- Pozwolisz mi popatrzeć? - poprosiła Dee. - Będę twoją sekundantką. Nie cierpię jej z całego serca.

-I masz rację. Tanya traktuje cię paskudnie, nie mam pojęcia, dlaczego. - Isabel wstała, po chwili przysiadła na biurku Dee. - Pozwalasz jej na to, Dee. Musisz się jej przeciwstawić. Poprę cię, możesz na mnie liczyć, ale sama musisz zrobić pierwszy krok.

Nagle poważny ton rozmowy zbił z tropu Dee. Przez dłuższą chwilę nic nie mówiła.

- Ja... dzięki - wykrztusiła w końcu.

- Mówię szczerze - powtórzyła Isabel. - Nie podoba mi się, jak ciągle ci dokuczają. Nie wspominałam o tym przedtem, bo... - Zawahała się i rozejrzała dokoła. W ich części sali ciągle nikogo nie było, wszyscy tkwili przy drzwiach i słuchali kłótni. - ... bo wiedziałam, że masz do

mnie pretensję, bo dostałam tę posadę. Uznałam, że będziesz miała mi za złe wszelką interwencję. Teraz jednak się lubimy, dobrze nam się razem pracuje i uważam, że musimy załatwić pewne sprawy, między innymi z Tanya. Co ty na to?

Troska w oczach Isabel nie była udawana i Dee wiedziała, że mówi poważnie. Właściwie wcale jej nie zaskoczyły te słowa. Gdzieś w głębi serca od początku wiedziała, że Isabel to porządna kobieta. Nie chciała się z tym pogodzić, bo łatwiej było nosić do niej urazę niż uznać, że jest w porządku.

Dee poklepała ją po ramieniu.

- Dzięki - wymamrotała. - Wiem, że mówisz poważnie. - W jednej chwili jej oczy napęłniły się łzami. Łatwiej przychodziło jej uporać się z kłótniami i o-belżywymi listami od Gary'ego niż z odrobiną współczucia.

- Przepraszam - chlipnęła, po omacku szukając chusteczek. - Ostatnio przechodzę nie najlepszy okres w życiu i jestem całkiem roztrzęsiona.

- Biedactwo - rozczuliła się Isabel. - Wiem, jak to jest. - Przytuliła Dee tak, jak zwykle tuliła Robin i Naomi. - Byłam w takim samym stanie po rozstaniu z mężem. Cały czas płakałam.

- Wiesz o mnie i o Garym? - Dee ze zdziwieniem podniosła głowę.

- Maeve mi powiedziała. Pytałam ją - dodała Isabel pospiesznie. - Nie zawiodła twojego zaufania. Domyślałam się, że stało się coś złego i pytałam, czy mogę jakoś pomóc...

- Nie szkodzi, nie przeszkadza mi, że o tym wiesz. Tylko że... - Znowu zaczęła szlochać. - Wszystko się poplątało. Nie odzywał się do mnie odkąd odszedł, a wczoraj dostałam liścik, w którym pyta, czemu się jeszcze nie zajęłam sprzedażą domu - rozplakała się w głos.

- To okropne.

- Wiem. - Płakała coraz bardziej.

Drzwi zatrzęsły się z hukiem. Ludzie powoli wracali na miejsca.

- Chodźmy do mojej kabinki - zaproponowała Isabel patrząc na zapłakaną Dee. - Powstrzymam ciekawskich, a ty się uspokoisz. W innym wypadku zasypią cię pytaniami, co się stało.

Zaparzyła mocną, słodką herbatę, a Dee siedziała twarzą do okna i usiłowała naprawić spustoszenie na twarzy grubą warstwą podkładu.

- Tanyę wyniesiono na tarczy - oznajmiła Isabel, stawiając przed Dee parujący kubek. - Jest teraz w gabinecie Malley. Ledwie stamtąd wyjdzie, przybiegnie tutaj w poszukiwaniu łatwej ofiary. Udawaj, że dzwonisz z mojego telefonu i gap się w okno, dopóki nie poczujesz się lepiej. Zajmę się nią, kiedy tu wpadnie.

Lecz Tanya nie wpadła do redakcji. Po piętnastu bardzo głośnych minutach w gabinecie naczelnej wybiegła z budynku ku radości wszystkich.

- Sto lat, Chris! Gratulacje! - wrzasnął Noel, gdy Chris Schriber wyszedł ze spotkania z Malley McDonnell kwadrans później.

- Pokazałeś tej krowie! - krzyknął ktoś inny.

- Wygląda na to, że nie tylko my nie darzymy panny Vernon sympatią - mruknęła Isabel.

- Redakcyjny Klub Wrogów Tanyi liczy chyba tylu członków co fan-klub Myszki Miki. - Dee tylko częściowo żartowała.

Popijała herbatę małymi łykami i czekała, aż jej twarz odzyska normalny kolor.

- Dziękuję, Isabel - W końcu zdecydowała się wrócić na swoje miejsce pracy.

- Co dzisiaj robisz? - Isabel działała pod wpływem impulsu.

- Och, sama nie wiem. Mężczyźni mojego życia kłócą się o przywilej zawiezienia mnie do najdroższej restauracji na kolację - prychnęła z cieniem dawnej zuchowatości w głosie.

- Jeśli nie jesteś zajęta, może wpadniesz do mnie na kolację? - zaproponowała Isabel. - Zwykłą domową kolację, nic wymyślnego, i na dodatek w towarzystwie moich córek.

Dee była wzruszona.

- Bardzo chętnie.

- A więc jesteśmy umówione. Pojedziesz ze mną po pracy, napijemy się wina i wrócisz do domu taksówką.

Dee uśmiechnęła się szeroko.

- Brzmi obiecująco: jedzenie, wino i miłe towarzystwo.

Dee myszkowała po kuchni Isabel i zachwycała się różnymi drobiazgami. Delikatnie podniosła najmniejszą lalczkę z czerwono-złotej rodziny stojącej na parapecie, obok donicy z bluszczem.

- Śliczne - odezwała się. - Są takie słodkie. Rosyjskie?

- Tak. - Isabel odwróciła się od zlewu, gdzie akurat myła pieczarki. - David, mój mąż, przywiózł je z Moskwy.

Na krótką chwilę opuściła myślami kuchnię przy Eagle Terrace. Znajdowała się setki mil dalej, w starej znajomej kuchni w Oxfordzie, w kuchni z porysowanymi blatami i kaflami na podłodze. Patrzyła na rosyjskie lalczki nad ramieniem Davida, skupiała uwagę na nich, a nie na mężu, od którego chciała odejść.

Miała wrażenie, że lata całe minęły, odkąd go ostatnio widziała. Teraz nocami śniła o innym mężczyźnie. To jego ramiona otaczały ją w marzeniach, to on całował ją leniwie i doprowadzał do szaleństwa. Jack, nie David.

- Te malowane talerze też są śliczne - dodała Dee. - Doskonale pasują do wnętrza. Gdzie je kupiłaś?

Isabel z trudem wróciła do rzeczywistości.

- W Portugalii. Kiedyś często jeździliśmy tam na urlopy.

- Boże, tak bym chciała leżeć teraz na plaży w Portugalii - rozmarzyła się Dee. Usiadła na wysokim stołku przy blacie. - Wyobraź sobie: słońce na skórze, piach pod stopami i zero pracy...

Isabel przypomniła sobie, kiedy ostatnio czuła piasek pod stopami. Było to tamtego magicznego popołudnia przed trzema dniami, gdy z Jackiem pojechali na plażę Killiney. Na samą myśl o nim przeszywał ją dreszcz podniecenia. Dzwonił do niej dwukrotnie, jednak nie udało im się zobaczyć, bowiem Naomi miała zapalenie gardła i Isabel nie jadała lunchu w pracy, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Nie mogła się doczekać następnego spotkania, chciała poczuć jego objęcia i smakować pocałunki. Ciekawe, jak to jest, kochać się z nim...

- Na pewno nie chcesz, żebym ci pomogła? - Dee z niepokojem obserwowała, jak Isabel co chwila przestaje myć pieczarki i wpatruje się w przestrzeń.

- Nie. - Poczzerwieniła. - Nie po to cię zaprosiłam, żebyś sama gotowała sobie kolację. Odpocznij trochę. Zresztą to bardzo proste danie, nic specjalnego. Dziewczynki nakryją do stołu, jak wrócą z wypożyczalni. Siedź i o nic się nie martw. Doleję ci wina.

Trzasnęły drzwi wejściowe.

- Przepraszamy, że to tak długo trwało - zawołała Naomi już od progu. Zaraz wsadziła głowę do kuchni. - Myślałam już, że Robin nigdy nie przestanie rozmawiać z chłopakiem z wypożyczalni.

- Wcale tak długo z nim nie rozmawiałam! - zaprotestowała gwałtownie Robin.

- A właśnie, że tak. Jest boski - Naomi westchnęła głośno.

- O, nie - zażartowała Dee. - Zaraz się pobijecie z miłości do boskiego faceta z wypożyczalni wideo! Jednak posiadanie brata ma pewne zalety. Nigdy nie stanowił dla mnie konkurencji. - Robin i Naomi parsknęły śmiechem. - Inna rzecz, że facet w mojej wypożyczalni ani razu na mnie nie spojrzał - mruknęła po chwili.

- Na pewno, i to nie raz - pocieszyła ją Isabel. - Tylko tego nie zauważyłaś. Dziewczynki, nakryjcie do stołu!

Dee z przyjemnością jadła w towarzystwie, zwłaszcza tak smakowite danie jak to, które Isabel wyczarowała na jej oczach. Trzy kobiety Farrell rozmawiały i żartowały beztrudnie. Nawet Robin, która, jak ostrzegała Isabel, przechodzi trudny okres, była miła i zabawna.

Po kolacji dziewczynki zasiadły na starej kanapie przed telewizorem, a Isabel i Dee kończyły w kuchni butelkę różowego wina.

- Kolacja była wysmienita, Isabel - pochwaliła Dee. - Świetnie gotujesz. Ja nie przygotowałabym czegoś tak pysznego w pół godziny.

- Bardzo lubię gotować. Zazwyczaj - uściśliła. - Czasami mam po dziurki w nosie codziennego pichcenia. Mnie samej wystarczyłby tost z dżemem, ale ze względu na dziewczynki

muszę wymyślać coś zdrowego i smacznego. - Ściszyła głos. - Mam obsesję, że Robin wpadnie w anoreksję albo bulimię, więc nalegam, żebyśmy co wieczór jadały razem. Na razie nie zauważyłam żadnych objawów, ale bardzo zwraca uwagę na wygląd i ma bzika na punkcie ciuchów. Z dziewczynami w jej wieku nigdy za dużo ostrożności, kiedyś czytałam wstrząsający raport o zakłóceniach łaknienia. Martwię się, że stres spowodowany naszym rozwodem może ją do tego doprowadzić.

- Zmiotła wszystko z talerza i, o ile pamiętam, nie pobiegła natychmiast do łazienki - uspokoiła ją Dee, która dobrze znała symptomy.

- Wiem, ale i tak się martwię.

- Słuchaj - przerwała jej Dee - ja się martwię przez cały czas. Gdybym nagle nie miała się czym martwić, tobym dopiero miała powód do zmartwień!

Poszła do łazienki, a Isabel wypila resztkę wina. Odpowiadało jej towarzystwo Dee. Zapomniała już, jak dobrze jest spędzić wieczór z bliską osobą.

Odkąd wróciła do Irlandii, bardzo tęskniła za przyjaciółkami z Anglii i praktycznie odcięła się od wszystkich. To chyba instynkt samozachowawczy, zastanawiała się. Nie pozwalała innym zbliżyć się do siebie, dopóki sama nie uporała się z rozstaniem z mężem. Teraz nadszedł czas na nowe znajomości.

Gdy Naomi poszła spać, a Robin zamknęła się w swoim pokoju słuchając muzyki, Isabel i Dee przeniosły się na kanapę. Isabel otworzyła drugą butelkę wina i postawiła na stole miskę chipsów.

- Przepadam za nimi - wyznała. Zsunęła pantofle i usiadła z podkulonymi nogami.

- Ja też. Różnica polega na tym, że ty możesz jeść je bezkarnie i nadal będziesz szczupła, a ja nie. Ale - dodała Dee optymistycznie - teraz to się zmieni, bo zapisałam się do fitness klubu.

Isabel zwiłała się ze śmiechu, słuchając opowieści o przygodach Dee w tym przybytku.

- Myślałam, że umrę z wysiłku. Instruktorka wyglądała jak młodsza, szczuplejsza i ładniejsza siostra lalki Barbie, podczas gdy ćwiczący przypominali, by pozostać przy zabawkarskiej analogii, twoje rosyjskie laleczki, oczywiście w wielu warstwach ubrań. Zauważyłam wczoraj dziwną zależność: im szczuplejszy człowiek, tym mniej ma na sobie. I tak, jeśli nosisz rozmiar ósmy, wystarczą ci cztery cale lycry. Ja powinnam się zaopatrzyć w cztery metry!

Nie wiadomo dlaczego nie miała oporów przed mówieniem o swoim problemie Isabel.

- A to dziwne - powiedziała na głos, całkowicie rozluźniona po drugiej butelce wina - na początku nie cierpiałam cię za to, że jesteś taka szczupła i seksowna.

- Ja? Seksowna? - zdziwiła się Isabel. - Nikt nigdy nie powiedział, że jestem seksowna. To ty jesteś seksowna, Dee. Nie widzisz, jak faceci się na ciebie gapią, kiedy kroczysz przez redakcję? Biedny Tony Winston pewnego dnia dostanie wylewu od samego patrzenia na ciebie, zwłaszcza

kiedy nosisz tę czarną mini. Aż mu oczy z orbit wyłażą.

Dee zachichotała.

- Wygląda, jakby miał zemdleć, ilekroć znajdzie się blisko jakiegokolwiek kobiety. Ten facet to chodzący hormon. A ty, Isabel, naprawdę jesteś bardzo seksowna. Masz klasę, jesteś taka elegancka. Możesz mieć każdego mężczyznę, jakiego zapragniesz.

Isabel pomyślała o Jacku. Pragnęła tylko jego.

- Zakochałam się w żonatym facecie - wyznała rozmarzona. Przemknęło jej przez głowę, czemu właściwie mówi o tym Dee. A co tam, musi komuś powiedzieć, a Dee budziła zaufanie. - Domyślam się, że gdybym napisała do ciebie list z prośbą o radę, kazałabyś mi z nim zerwać?

Dee roześmiała się ironicznie.

- Prowadzenie rubryki z poradami a umiejętność podejmowania właściwych decyzji to dwie zupełnie różne sprawy - powiedziała. - Tłumaczę ludziom, jak mają postąpić, jakbym była jakąś cholerną wyrocznią, a tymczasem moje życie to kupa gruzów.

- Twoje odpowiedzi są bardzo trafne, udzielasz rozsądnych rad - przerwała jej Isabel. - Wszyscy są tego zdania. Byłabyś świetnym psychologiem, Dee.

- Może i tak, ale jestem beznadziejna, jeśli chodzi o moje własne problemy. Szewc bez butów chodzi. Więc nie będę ci mówiła, co masz robić, Isabel. Czy to coś poważnego?

Isabel wzruszyła ramionami.

- Cóż, między nami jeszcze do niczego nie doszło, wiesz, o co mi chodzi. Właściwie dopiero co się poznaliśmy, a ja już zwariowałam na jego punkcie. Po rozstaniu z Davidem nie sądziłam, że jeszcze kiedykolwiek stracę głowę dla mężczyzny.

Dee skinęła głową ze zrozumieniem.

- Ale teraz jest inaczej - ciągnęła Isabel. - On jest wyjątkowy.

- Uważaj, żeby cię nie skrzywdził - ostrzegła Dee. - Bardzo łatwo jest zapomnieć o przyszłości.

- Nie przestaję o niej myśleć - odparła Isabel cicho.

17.

Isabel siedziała w holu hotelu „Red Cow” i usiłowała nie gapić się bez przerwy przez szklaną ścianę na parking na zewnątrz. Jack obiecał, że będzie za dziesięć dziesiąta. Była już minuta po, a jego nigdzie nie było widać. Gdzie się podziewa?

Nie mogła się skoncentrować ani na gazecie, którą trzymała na kolanach, ani na zimnej kawie. Miała wrażenie, iż ma na twarzy wypisane, że spiskuje.

Facet naprzeciwno z pewnością tylko udaje, że przegląda gazetę. W rzeczywistości obserwuje ją ukradkiem. Może przejrzał ją na wylot i wie, że wcale nie jest kobietą interesów, czekającą na ważne spotkanie służbowe, tylko znerwicowaną, prawie czterdziestoletnią samotną matką dwóch córek, która razem z żonatym mężczyzną wyrwa się na trzy dni w środku tygodnia.

O weekendzie nie mogło być mowy, jako że Robin, nie wspominając o matce Isabel, zadawałaby masę pytań.

Isabel doskonale je sobie wyobrażała: „Konferencja? W hotelu na prowincji? W weekend? Niemożliwe”. Wszystko wypowiedziane oschłym, władcym tonem Pameli. Konferencja na temat przyszłości „Sentinela” od wtorku do czwartku brzmiała lepiej, choć i tak Isabel miała trudności ze spakowaniem się, bowiem córki wkraczały do jej pokoju w najmniej odpowiednich momentach.

- Po co ci to, mamó? - zapytała niewinnie Naomi, wyciągając z torby cytrynowy stanik z koronkami w chwilę po tym, jak Isabel wepchnęła go tam ukradkiem.

- To ja go tu wsadziłam? Zupełnie tracę głowę. - Isabel wyrwała go szybko. - Naomi, podaj mi, proszę... eee... nożyczki do paznokci. Są w łazience.

Gdy tylko córka wyszła, wrzuciła nieszczęsną bieliznę na dno torby, pod dwie koszulki.

Zaraz w drzwiach stanęła Robin. Jadła bardzo soczystą brzoskwinię, a miała na sobie jedwabny szlafrok, który Isabel starannie uprała i wyprasowała specjalnie na ten wyjazd.

Zdecydowana nie wywoływać awantury, poprosiła spokojnie:

- Robin, chciałabym zabrać ten szlafrok ze sobą.

- A po co? Kto cię będzie oglądał? - zdziwiła się.

Isabel policzyła do dziesięciu.

- Nikt, ale jakiś szlafrok jest mi potrzebny, a ten jest najłżejszy i zajmuje najmniej miejsca.

Robin posłusznie zdjęła delikatny strój, pobiegła do siebie po swój stary, różowy, i wróciła natychmiast. Nadzorowała pakowanie sokolim wzrokiem.

- Mamusiu, chcesz tampony? - zatroszczyła się Naomi, która wróciła z łazienki z nożyczkami do paznokci.

Oby nie, modliła się Isabel. Chociaż, znając jej pecha, dostanie okres już pierwszego dnia. Złośliwość losu czy zemsta opatrności za romans z mężem innej? Nie. Co innego przygotować się na wszelki wypadek, a co innego prosić się o kłopoty. Zabranie tamponów oznaczałoby to drugie.

Starannie złożyła obszerną koszulkę nocną, której nie miała zamiaru założyć w obecności Jacka. Była różowa, w paski, z wielkim misiem na przodzie. Przed laty dostała ją z okazji Dnia Matki. Taki strój stłumiłby pożądanie w najbardziej roznamiętnionym mężczyźnie. Świadoma utkwionych w nią dwóch par oczu, ostentacyjnie ułożyła ją na wierzchu torby.

Tymczasem teraz siedziała w hotelowym holu i rozmyślała o tym, co chciała zabrać: o delikatnej bieliźnie, koronkowych stanikach, które uwypukliłyby jej nieduży biust, seksownych, skąpych majteczkach, nawet o dawno zapomnianym pasie do pończoch, do którego tylko powinna dokupić pończochy.

Marzenia marzeniami, ale skoro przed wyjazdem musiała załatwić sobie trzy dni urlopu, zadbać, by dziewczynki miały czyste ubrania i posiłki na zapas, żeby nikt nie narzekał na kuchnię u dziadków, nie miała głowy do kupowania pończoch. I bardzo dobrze, stwierdziła ironicznie, bo i tak nie mogłaby ich zapakować pod nadzorem swoich dwóch bystrookich szpiegów.

Poddała się w końcu i zabrała to, w co zwykle ubierała się do pracy - spokojne, eleganckie zestawy, w tym jeden komplet wyjściowy. „Na wypadek, gdyby na zakończenie konferencji urządzili uroczystą kolację” - wyjaśniła. Dlatego też miała ze sobą drugą torbę - plastikową siatkę od Marksa i Spencera, wypchaną stanikami, majteczkami i wieczorową kreacją, srebrną, obcisłą, na cieniutkich ramionkach. Bóg jeden wie, w jakim będzie stanie, zanim dotrą do Ashford Castle.

Nie podobało jej się, że musiała okłamać Robin i Naomi. Sumienie gryzło ją ilekroć o tym pomyślała. Co z niej za matka? Oszukuje własne dzieci i nie może się doczekać trzech dni z Jackiem. Całych trzech dni...

Isabel dolała sobie kawy, poprawiła się na fotelu i utkwiała wzrok w szybie.

Nigdy dotąd się nie spóźniał. Zawsze bywał przed czasem. Ostatnio to ona się spóźniła na lunch w „Cooke’s”; utknęła w korku za zepsutym autobusem. Kiedy wpadła do restauracji dwadzieścia minut po czasie, Jack był blady ze zdenerwowania.

- Dzięki Bogu. - Gorączkowo złapał ją za rękę. - Kiedy nie pojawiłaś się na czas, bałem się, że miałaś wypadek.

Puścił jej dłoń dopiero po dziesięciu minutach.

Teraz ona wpadła w panikę. Miał wypadek, zamartwiała się, na pewno miał wypadek. Oczyma wyobraźni widziała, jak leży w kałuży krwi, w rozbitym samochodzie, cierpi, nie może się z nią skontaktować...

- Telefon do pani Isabel Farrell - oznajmił radosny głos. Pobiegła do recepcji, chciwie złapała słuchawkę:

- Halo?

- Isabel, przepraszam za spóźnienie...

- Nic ci nie jest, prawda? Nie miałaś wypadku? - Język plątał się jej ze zdenerwowania.

- Nic mi nie jest, kochanie. Przepraszam, że się przeze mnie denerwowałaś. Miałem ważne spotkanie i nie mogłem wyjść wcześniej, a potem... - Przerwał mu głos w tle, który informował, że uzyskano połączenie z Australią. Jakim cudem Jack szykuje się do telekonferencji z Australią, jeśli miał być o setki mil od biura, w sercu hrabstwa Mayo, w trzynastowiecznym zamku nad jeziorem Lough Corrib, wśród bezkresnych lasów?

Odwoła wyjazd, przestraszyła się. Nie dojdzie do wspólnego wypadu, na który tak bardzo się cieszyła. Serce w niej zamarło. Rozczarowana, wyrzucała sobie, że tak bardzo zaangażowała się w związek z żonatym mężczyzną. To musiało skończyć się kłopotami.

- Isabel - odezwał się. - Przepraszam, mam taki dzień od samego rana. Przykro mi, ale nie wyrwę się stąd jeszcze co najmniej przez godzinę.

Wiedziała, co teraz usłyszy. Nie mogę, następnym razem, obiecuję.

- Więc wpadłem na inny pomysł - mówił dalej. - Polecimy helikopterem. Możemy albo lecieć do samego Ashford Castle, albo wynająć samochód w miasteczku, to zależy od nas. Musisz tylko dojechać na lotnisko, tam się spotkamy. W porządku?

- Wspaniale! - Jej oczy na nowo rozbłysły. - Obawiałam się już, że nie będziesz mógł jechać.

- O niczym innym nie myślałem przez cały tydzień - wyznał niskim, ochryplym głosem, od którego zakręciło jej się w głowie.

- Ja też - odparła cicho, czując na sobie wzrok zaciekawionej recepcjonistki.

Isabel jechała stanowczo za szybko, jakby obawiała się, że helikopter odleci bez niej. Wręcz śmieszne, że jest podekscytowana jak nastolatka, że bezustannie wyobraża sobie, jak im będzie wspaniale. Ten wyjazd był pomysłem Jacka, ale zaplanowali go razem. Zdecydowali się po piątym wspólnym lunchu, tym razem w górach za Dublinem. Wtedy oboje zwolnili się z pracy na pół dnia.

Skonsumowawszy niewiarygodną ilość pasztetu, krakersów, bagietek i żółtego sera, czemu łakomie przypatrywały się zastępy mrówek, usadowili się na skale nad ścieżką i obserwowali miasto u stóp. Wydawało się najbardziej naturalne na świecie, że tak sobie siedzą razem, że ramię Jacka otacza jej barki, a jej dłoń spoczywa na jego udzie.

Coś małego przeleciało koło Isabel, szara kulka z czerwoną plamką.

- To na pewno gil! - Odwróciła się błyskawicznie, chcąc lepiej obejrzeć rzadko spotykanego ptaszka. Oparta o Jacka, przeczesywała wzrokiem gałęzie pobliskiego drzewa.

- Nie wiem, czy jeszcze długo wytrzymam twoją ornitologiczną pasję - powiedział dziwnie wysokim głosem.

Isabel popatrzyła na jego skrzywioną minę, po czym opuściła wzrok. Usiłując nie stracić ptaka z oczu, oparła się o Jacka. Jedna jej dłoń spoczywała na jego udzie, natomiast druga wręcz miażdżyła inne, dużo bardziej wrażliwe miejsce.

- Przepraszam! - Cofnęła dłoń jak oparzona.

- No, lepiej. Nie mam nic przeciwko takiej bliskości - powiedział cicho - ale wolałbym, by odbyło się to w bardziej przytulnym otoczeniu.

Czuła, jak ceglasty rumieniec wypełza jej na policzki. Wiedziała dobrze, jak teraz wygląda: jakby przez godzinę pochylała się nad rozgrzaną kuchnią.

- Znowu powiedziałem nie to, co trzeba - speszył się. - Przepraszam, Isabel. Co innego żartować, kiedy się denerwujesz, ale to było niewybaczalne.

Nie odzywała się. Modliła się, by rumieniec zniknął. Zazwyczaj się tak nie czerwieniła, chyba że podczas wielkich upałów. To Jack tak na nią działał.

- Naprawdę przepraszam - powtórzył. - Poganiam cię, a wcale tego nie chciałem. Nie wiem, co powiedzieć, jak postąpić, jestem beznadziejny w tych sprawach. - Nerwowym gestem przeczesał ciemne włosy.

- Nie zrobiłeś nic złego - Zdumiało ją pewne brzmienie własnego głosu. Czuła, że nie jest jej już tak gorąco. Odzyskała panowanie nad sobą. - Naprawdę. - Ucisnęła jego dłoń. - Zazwyczaj się tak nie czerwienię bez przerwy, ale z tobą wszystko wygląda inaczej. - Roześmiała się.

- To dobrze czy źle? - Jego twarz pojaśniała, kiedy się uśmiechnął.

- Dobrze. Bardzo dobrze.

Usiadł inaczej, tak, że teraz patrzył jej w oczy. Trzymał ją za ręce i pieścił je niemal odruchowo.

- Powiedz, dlaczego jest inaczej? Jak ci ze mną jest, Isabel? Chcę to usłyszeć.

Przyglądała mu się z uwagą.

- Myślałam, że nigdy nie zapragnę innego mężczyzny - zaczęła cicho, jakby bojąc się, że ktoś ich usłyszy. - Myślałam, że po Davidzie nie będzie w moim życiu nikogo. Wiem, to brzmi bardzo ponuro - zastrzegła się - ale wydawało mi się logiczne. Nasze małżeństwo nie istniało od lat, chociaż starałam się tego nie dostrzegać. Kochałam Davida i nienawidziłam go jednocześnie, wiesz, o co mi chodzi?

Skinął głową. Poczuła, jak zacisnął ręce na jej dłoniach. Cały czas masował nasadę jej kciuków, jakby wiedział, że akurat ta część dłoni wiecznie ją boli od ciągłego pisania na komputerze. Isabel przymknęła oczy, rozkoszując się ulgą, jaką przynosiły jego duże, silne palce.

- Mów - ponaglił.

- Kiedyś pisałam artykuł o małżeństwach, które nie są tylko dobre, by w nich pozostać, i nie na tyle złe, by je zakończyć. Wtedy myślałam, że sama tkwię w takim związku.

Błądziła wzrokiem po wzgórzu za jego plecami. Porastał je janowiec, krzewy były obsypane małymi żółtymi kwiatkami, lecz ona ich nie widziała. Widziała siebie sprzed roku, samotną u boku męża jak nigdy przedtem, zbyt przerażoną, by się zdecydować na rozstanie.

- Kiedy od niego odeszłam, początkowo byłam tak zafascynowana sprawami materialnymi, dziewczynkami i brakiem pieniędzy, że nie zastanawiałam się właściwie nad tym, co zrobiłam: odeszłam od męża.

- Bardzo się z tego cieszę - odezwał się nagle. - Inaczej nie poznałbym cię, a nie wyobrażam sobie nic gorszego niż życie bez ciebie.

- Gdybyśmy spotkali się na początku, miałbyś o mnie fatalne zdanie - stwierdziła. - Byłam kupką nieszczęścia. Kiedy w końcu do mnie dotarło, co zrobiłam, załamalam się.

- Ale nikt nie miał o tym pojęcia, bo nie okazywałaś bólu ani rozpacz - powiedział miękko. - Wszyscy uważają cię za wzór opanowania i zimnej krwi, ale to tylko poza. W rzeczywistości bardzo łatwo cię zranić.

Znał ją już tak dobrze, że wcale jej nie zdziwiły te słowa. Rzeczywiście wszyscy uważali ją za ostoję spokoju, podczas gdy w głębi duszy przeżywała głęboką depresję. Jack o tym wiedział, a jej najbliżsi - nie. David, jej rodzice, nawet Robin byli święcie przekonani, że Isabel nawet na Titaniku zachowałaby zimną krew.

- I wtedy poznałam cię - mówiła dalej. - Mój starannie uporządkowany świat stanął na głowie. Nie mogłam przestać o tobie myśleć. Nadal nie mogę - dodała cicho.

Jack ujął jej twarz w dłonie. Delikatnie wodził opuszkami palców po konturach jej policzków.

Patrzyła mu prosto w oczy. Po chwili mocno przytulił ją do siebie.

- Nie chciałem cię poganiać - szepnęła, ukrywając usta w jej miękkich jasnych włosach.

- Nie poganiałeś - odparła. - Ani trochę.

Odsunął się na tyle, by móc ją widzieć. Czują na policzkach jego ciepły oddech. Szukał jej wzroku, prosił o odpowiedź na pytanie, którego nie śmiał zadać na głos. Dotknęła jego policzka.

- Mimo że rumienię się jak pensjonarka, jestem gotowa - powiedziała ostrożnie. - Jeśli mnie pragniesz...

- Czy cię pragnę? - przerwał jej gorączkowo. - Nie masz pojęcia, jak bardzo. Ale chcę, żeby to się stało we właściwym czasie. Nie chcę cię ponaglać. Boję się, że ciągle robię coś złe, a tak bardzo mi zależy...

Zwilżyła suche ze zdenerwowania usta. Patrzył na nią z wyczekiwaniem. Uśmiechnęła się ciepło. Pocałował ją, aż zatraciła się zupełnie. Zamknęła oczy i oddała się emocjom. Czują tuż

przy sobie jego twarde, umięśnione ciało.

- Ja też cię pragnę, Jack - szepnęła mu do ucha.

- Wyjedziesz ze mną na kilka dni? - zapytał niskim, ochrypłym głosem. - W przyszłym tygodniu. Chciałbym cię zabrać w jakieś piękne miejsce. Moglibyśmy pojechać do Ashford Castle, słyszałaś o nim?

Oczywiście, że słyszała. Był to jeden z najbardziej luksusowych hoteli w Europie, zamczysko - pewnie są tam łoża z baldachimem, przestronne pokoje ze średniowiecznymi malowidłami i wielkie kominki, przy których można się wygrzewać, aż nadejdzie czas, by iść do łóżka i kochać się...

- Pojedziesz? - powtórzył, tym razem z niepokojem, jakby wziął jej milczenie za objaw wahania. Zabawne, słyszeć niepewność w głosie człowieka, który na co dzień rozkazuje setkom innych.

W odpowiedzi otoczyła jego szyję ramionami i pocałowała go w otwarte usta. Kiedy poczuł jej język, jęknął głośno i przyciągnął ją do siebie.

- Z wielką przyjemnością - powiedziała, kiedy w końcu odzyskała oddech po namiętym pocałunku.

Wrzuciła monetę do bramki przy wjeździe na autostradę i przycisnęła pedał gazu, ledwie światło zmieniło się na zielone. Jack zapewne nie wyszedł jeszcze z biura, ale chciała być na lotnisku przed nim. Włączyła radio i na cały głos fałszowała do wtóru Bee Gees w piosence „Tragedy”.

Opuściła okno, żeby rozkoszować się sierpniowym słońcem. Wiatr rozwiewał jej włosy. Wyprzedziła ją ciężarówka. Długowłosy młodzian za kierownicą zatrąbił radośnie i uśmiechnął się do niej z aprobatą. Pomachała mu zachwycona, po raz pierwszy nie przejmując się, że podrywał ją chłopak, który mógłby być jej synem. Dzień był piękny, cieszyła się życiem. Jeśli w bardzo poważnym kostiumie i z rozpuszczonymi włosami spodobała się dwudziestolatkowi, Jack oniemieje z zachwyty!

Czekał przy lądowisku dla helikopterów. Uśmiechnął się szeroko na jej widok.

Nie wiedziała, jak ją powita: uściskiem ręki, udając, że lecą do Ashford Castle służbowo? W końcu załoga helikoptera to pracownicy Roark International.

On tymczasem wyjął jej torbę z rąk, postawił na ziemi i porwał Isabel w ramiona.

- Ojej! - wysapała.

- To właściwe słowo - odparł. - Wyglądasz prześlicznie. - Cofnął się, żeby móc się jej lepiej przyjrzeć. Jego uwagi nie uszły ani zarumienione policzki, ani błysk w wielkich niebieskich oczach. Isabel ucieszyła się, że założyła elegancki kostium i naszyjnik z pereł, który podkreślał wysmukłość jej szyi.

Ze względu na Jacka żałowała, że finanse nie pozwalają jej na wydawanie fortuny na stroje. Chciałaby pięknie wyglądać - dla niego, nie być skazaną na stare, ciągle przerabiane rzeczy.

- Ty też nie tak źle - zauważyła.

Jack uśmiechnął się szerzej.

- Jeszcze nikt mi nigdy czegoś takiego nie powiedział. Poklepała go po ramieniu.

- Biedaczek. Cóż, kiedy naprawdę tak jest.

Faktycznie dobrze wyglądał. W niczym nie przypominał potentata przemysłowego, nie z tymi wilczymi włosami, roześmianymi oczami i ogorzałą twarzą. Zdradzał go tylko doskonale uszyty garnitur.

We wnętrzu helikoptera w podnieceniu uściśnęła jego rękę.

- Nigdy nie leciałam czymś takim - wyjaśniła. - Dla mnie to coś nowego. Przykrył jej dłoń swoją.

- Mam nadzieję, że nie tylko to.

Gdy helikopter podchodził do lądowania, niecierpliwie wyglądała przez okno, ciekawa widoku słynnego hotelu.

Podróż minęła błyskawicznie. Pod nimi przesuwały się połacie zielonej Irlandii, wiejskie drogi wiły się wśród wielobarwnych pól, nikły w miasteczkach i wioskach, oplatały miasta. Była zachwycona lotem. Jackowi udzielił się jej entuzjazm. Ochoczo pokazywał charakterystyczne budowle.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - stwierdziła, patrząc na sznur samochodów zablokowanych w korku.

- Ja też - powiedział gorąco. - Oto Cong - oznajmił, kiedy przelatowali nad małą wioską na podzamczu. Kręcili tu *The quiet man*, wiesz, z Johnem Waynem i Maureen O'Hara.

- Uwielbiam ten film - ożywiła się Isabel. - Moja babcia kochała się w Way-nie. Pamiętam, jak razem oglądaliśmy to w święta w telewizji...

W tej chwili na horyzoncie pojawił się sam zamek Ashford. Isabel umilkła w pół słowa. Nie na darmo wymieniano go na pierwszym miejscu w przewodnikach turystycznych. Zamek wznosił się majestatycznie, widoczny z daleka, potężny i toporny.

Jezioro Lough Corrib lśniło w południowym słońcu. Wiekowe dęby i buki otaczały pagórkowate pole golfowe. Gdyby nie widok luksusowych samochodów na parkingu i nie warkot helikoptera, miałyby wrażenie, że się cofnęła w przeszłość o co najmniej sto lat. Patrząc na szare kamienie i starannie przystrzyżony żywopłot pomyślała, że od tamtego czasu niewiele się zmieniło.

Helikopter powoli podchodził do lądowania nad fosą. Pilot posadził maszynę idealnie, na środku lądowiska.

- Witamy w Zamku Ashford - mruknął Jack.

To naprawdę jest podróż w czasie, stwierdziła, podziwiając stare obrazy w hotelowym holu, zbroje i zabytkowe meble. Wszystko zdawało się tonąć w ciepłym, złotym świetle, jakby nadal palono tu świece. Nawet recepcja wyglądała inaczej niż we wszystkich znanych jej hotelach. Był to niski stolik bez śladu nieśmiertelnej tabliczki z napisem: „Życzymy miłego dnia”. Każdy zakamarek emanował dobrym smakiem, bogactwem i urokiem przeszłości. Isabel zakochała się w zamku od pierwszego wejrzenia.

W swoim apartamencie znaleźli pieczołowicie odnowione antyczne meble, olbrzymie łożo z rzeźbionym wezgłowiem i kanapę obitą brokatem. Aż kusiała, by się na niej zwinąć w kłębek i zdrzemnąć. Z wysokich gotyckich okien rozciągał się widok na jezioro. Żeglowała po nim samotna mała łódka.

Isabel opadła na kanapę i przymknęła oczy.

- Kocham to miejsce - oznajmiła, wdychając zapach kwiatów z bukietu na stole. - Czuję się jak wiktoriańska dama. Właśnie przyjechałam powozem ze stacji i kazałam pokojówce podać herbatę.

- Gdybyś naprawdę była damą sprzed stu lat - zauważył trzeźwo Jack - mój lokaj musiałby szykować herbatę dla mnie w osobnym pokoju. Tak więc cieszę się, że żyjemy we współczesnych czasach. Jednak herbata to doskonały pomysł. Chodźmy, szanowna pani. - Pomógł jej wstać.

Siedzieli na wiekowej skórzanej kanapie w przytulnej salce za oszałamiająco elegancką główną salą jadalną, pili aromatyczną kawę i zajadali przepyszne kanapki z kurczakiem. Dopóki nie wzięła pierwszego kęsa do ust, Isabel nie wiedziała nawet, jak bardzo jest głodna. Pochłonęli cały półmisek kanapek i musieli zamówić następny.

Gawędzili przy tym, żartowali, śmiali się z własnych dowcipów i bawili się zgadywaniem, skąd pochodzą inni goście. Trzy kobiety przy sąsiednim stoliku, wszystkie eleganckie, zadbane i ciemnoblond, mogły pochodzić zewsząd, od Arizony po Australię, a mówiły zbyt cicho, by mogli to stwierdzić po akcencie. Liczna grupa mężczyzn w pumpach nie pozostawiała żadnych wątpliwości - byli to gracze w golfa.

- Amerykanie - stwierdził autorytatywnie Jack. Zdawało mu się, że usłyszał bostoński akcent w rozmowie o jakimś polu golfowym.

Potem rozwiązali krzyżówkę w gazecie. Ku ich zdumieniu, uporali się z tym w siedem minut.

- Nigdy nie mogę rozwiązać jolki - poskarżył się Jack.

- Ja też nie. A Phil z redakcji rozgryza ją w mniej więcej kwadrans, podczas przerwy na drugie śniadanie.

- Mądra kobieta - z uznaniem pokiwał głową. - Czy to ta, która ma dużo dzieci i koni?

- Pominąłeś wnuki i psy - uściśliła Isabel. - Phil to ucieleśnienie matki natury. Uwielbia zajmować się słabszymi stworzeniami. Zawsze mam wrażenie, że mogę jej wszystko opowiedzieć, a ona pocieszy mnie i utuli.

- Jest dobra w tym, co robi? - zapytał rzeczowo.

Isabel gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nie może rozmawiać z Jackiem o znajomych i przyjaciółach z pracy. To w ogóle nie wchodzi w grę. Nie dlatego, że przedstawiłaby w zbyt pozytywnym świetle tych, których lubi, lecz za bardzo wpłynęłaby na jego zdanie o tych, którzy nie przypadli jej do gustu, jak na przykład Tanya.

- Tak, Phil jest doskonała w tym, co robi - odparła zwięźle. Dokończyła ostatnią kanapkę. - Rozpiera mnie energia, szkoda marnować taki pogodny dzień.

Po powrocie do apartamentu wybrała rzeczy, które chciała założyć, i po chwili namysłu zniknęła w łazience. Co ty robisz, idiotko? - zapytała swego odbicia w lustrze. Uciekasz z kochankiem na romantyczne sam na sam na wsi? Akurat! To nie dla ciebie! Wstydzisz się rozebrać przy nim, a co będzie, kiedy przyjdzie czas kłaść się do łóżka? Bo w tym pokoju jest tylko jedno łóżko, choć kanapa wygląda na bardzo wygodną. Co on sobie o tobie pomyśli, kiedy tak uciekasz jak dziecko, żeby się przebrać?

Ochlapała twarz zimną wodą, zaczerpnęła tchu i wróciła do pokoju.

- Spójrz, Isabel. - Jack stał przy oknie, nagi do pasa. Jedyne jego strojem były sprane dżinsy. Isabel zapatrzyła się na silne, muskularne plecy i ramiona porośnięte ciemnymi włosami.

- Łabędzie.

Stała obok niego. Ledwie zauważyła dwa białe ptaki majestatycznie płynące po jeziorze. Czula świeży zapach jego skóry - znali się od miesiąca, a dopiero po raz pierwszy byli tak blisko. Bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła go dotykać, pieścić, poczuć jego ciało przy swoim. Chciała znaleźć się razem z nim w tym wielkim łożu, z dala od telefonów komórkowych, konferencji i terminów. Wokół tylko świeże prześcieradła...

- Nie mogę się doczekać, kiedy oprowadzę cię po terenie - powiedział. - Na pewno roi się tu od zwierzyny. - Wciągnął przez głowę szarą bluzę. - Gotowa?

Minęli wieżyczki, które strzegły fosy, i poszli na pola, cały czas rozglądając się za zwierzętami. Zobaczyli jedynie kilka ptaków i brudnego owczarka, jak przeprawiał się przez błoto na tyłach hotelu.

- Ani jednego zająca. - Jack był wyraźnie rozczarowany. Otoczył Isabel ramieniem. Wracali już do hotelu.

- To przez moje nowe perfumy - zażartowała. Otarła spocone czoło. - Eau de Pot. Kto może, ucieka gdzie pieprz rośnie.

- Pachnie cudownie. - Dotknął nosem jej karku. - Cudownie. Tu, na zewnątrz, nie rozróżniam go najlepiej. Wejźmy do środka.

Ze śmiechem dała się zaciągnąć do wieżyczki, w górę schodów, do miniaturowej komnaty.

- Myślałam, że chciałeś wejść do środka - przekomarzała się.

Bez słowa przy ciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie. Isabel odwzajemniała pieśczętę. Nie obchodziło jej, że ktoś z obsługi może zobaczyć, jak się całują na szczycie wieżyczki. Czują twarde ciało Jacka tuż przy swoim, zdawała sobie sprawę z jego podniecenia. Ugięły się pod nią nogi, jak zwykle, gdy jej dotykał.

- Wracajmy - szeptął. - Chcę się z tobą kochać na tym wielkim łożu.

W drodze powrotnej jej żołądek fikał koziołki ze zdenerwowania. Więc to zaraz nastąpi. Jack zobaczy jej niedoskonałe, prawie czterdziestoletnie ciało. Zobaczy je jako drugi mężczyzna w ciągu szesnastu lat. W dodatku jest jasno, więc nie ukryje przed nim cellulitisu ani rozstępów.

- Muszę iść do łazienki - powiedziała nagle i rzuciła się do toalety. Zamknęła drzwi i przycupnęła na skraju wanny. Głęboko zaczerpnęła tchu. Była strasznie zdenerwowana, a jednocześnie zdawała sobie sprawę, że to śmieszne.

Przecież szaleje na jego punkcie, kocha go całym sercem. Sama chciała tu przyjechać, nie musiał jej nawet namawiać. Jednak brakowało jej pewności siebie, wiary we własną atrakcyjność. Nawet Jack, choć wiedział, że jest bardzo wrażliwa i krucha, miał ją za osobę spokojną i wyważoną. Skąd mógł wiedzieć, że po jej dawnym wewnętrznym spokoju nic nie zostało i że trzymała się w garści jedynie resztkami silnej woli?

- Isabel, dobrze się czujesz? - dobiegło pytanie zza drzwi. Przez moment myślała, co mogłaby mu powiedzieć: że to pomyłka, że ma wyrzuty sumienia z powodu Elizabeth. Tylko że wcale nie chciała tego mówić.

Szalała za nim. W bezsenne noce wyobrażała sobie, jak by to było, kochać się z Jackiem, czuć jego ramiona obejmujące ją mocno... Odkąd się poznali, nie mogła przestać o nim myśleć. Nawet obecność Elizabeth nie miała dla niej znaczenia. Nie stchórzy teraz w napadzie paniki.

Otworzyła drzwi.

- Przepraszam, po prostu...

- W porządku - zapewnił miękko. - To trochę przerażające, prawda?

Skinęła głową.

- Podejdz tu - poprosił czule. Otoczył ją ramionami. - Jeśli mam być szczery, bardzo, wręcz rozpaczliwie chcę się z tobą kochać. Chcę się z tobą kochać i chcę stanowić część twojego życia, ale... ale tylko jeśli i ty tego chcesz. Najdroższa?

W odpowiedzi roześmiała się przez łzy.

- Jesteś piękna, szaleję za tobą - mówił cicho, gładząc jej włosy. - Nie chciałbym tu być z

nikim innym.

Pocałowała go i nagle umknęły wszelkie zmartwienia i obawy o cellulitis i o to, że od tak dawna się nie kochała. Stali tak przez dłuższą chwilę, rozkoszując się swoją bliskością.

- Powinnaś się bardziej odprężyć - zdecydował Jack i odsunął ją niechętnie. - Chodź, zbadajmy dokładnie to zamczysko.

Przez całe popołudnie włóczyli się po zamku, podziwiali portrety dawnych mieszkańców i europejskich monarchów, którzy tu bawili w minionych stuleciach. Z pomocą turystycznego przewodnika usiłowali ustalić, które obrazy i rzeźby to autentyki, a które odtworzono w dziewiętnastym wieku.

O siódmej zeszli na kolację do bardzo wytwornej restauracji. Isabel założyła nową srebrną sukienkę i upięła włosy na czubku głowy tak, że odsłaniały zgrabną szyję i ramiona.

- Wyglądasz przepięknie - powiedział, gdy wyszła z łazienki.

Po pysznej kolacji spacerowali po ogrodzie, wdychali zapach lasu i rozkoszowali się wieczorną ciszą.

Gdy Jack w końcu zamknął drzwi na klucz, Isabel była gotowa. Bez słów stanęli u stóp wielkiego łóża. Objęła go za szyję, on otoczył dłońmi jej talię. Pochylił głowę i pocałowali się powoli, jak dwoje nieznajomych.

Niepewność mijała. Isabel zaczęła tulić się do niego, przywierać całym ciałem. Jego silne dłonie pieściły jej plecy przez cienki jedwab sukienki.

- Isabel - szepnął ochryple - tyle na to czekałem... całe życie.

- Wiem - odpowiedziała. - Ja też.

Nie kłamała. W jego ramionach była szczęśliwa - bezgranicznie, całkowicie szczęśliwa.

Jej dłonie błądziły po jego karku, masowały napięte mięśnie. Kochała być blisko niego. Przywykła, że jest najwyższą kobietą w każdym towarzystwie, a przy nim czuła się taka mała i delikatna. Górował nad nią, zamykał obie jej dłonie w jednej. Przy nim czuła się adorowana i wielbiona, czego nie doświadczyła z żadnym innym mężczyzną. Było to nowe, upajające doznanie.

Obsypywał pocałunkami jej twarz i szyję. Usta delikatnie muskały jej obojczyki, parzyły skórę namiętnością.

Powoli rozluźniła mu krawat, dotknęła wargami jego klatki piersiowej. Mimo to nadal się powstrzymywał. Nie chciał stracić panowania nad sobą, jakby bał się, że ją przestraszy, zauważyła Isabel. Czy nie wie jeszcze, że nic jej nie przestraszy? Nie teraz. Powoli, z namysłem rozpięła jego koszulę.

Zręcznie wyjęła spinki z mankietów i zsunęła rękawy z jego ramion. Przyciągnął ją do siebie, aż poczuła przy sobie rozpaloną skórę.

- Isabel, Isabel - jęknął. - Jesteś taka zmysłowa. Boję się, że...

- Nie bój się - szepnęła, muskając oddechem jego pierś. - Nie ucieknę, Jack. Kochaj się ze mną.

Ostrożnie odpiął zamek długiej sukni. Nagle nie bała się już stanąć przed nim prawie naga, jedynie w białych jedwabnych majteczkach.

Kiedy przywarli do siebie, wiedziała, że w końcu trafiła do domu. Jack sprawił, że zapomniała o całym świecie poza nim. Odpowiadała miłością na miłość, namiętnością na namiętność, dopóki nie zasnęli wtuleni w siebie.

To były magiczne dni. Jeśli się nie kochali, spacerowali, włączyli się po malutkim, malowniczym Cong albo po prostu siedzieli i rozmawiali o dzieciństwie, rodzicach, i o wszystkich tych śmiesznych drobiazgach, które chcą o sobie wiedzieć zakochani. Ulubiony kolor, ulubione danie, pierwsza kupiona płyta, pierwsza miłość, pierwszy pocałunek. Jack bawił się doskonale malując jej paznokcie u nóg, a ona z chichotem wyrywała stopy; w efekcie pokrywał je smugami różowego lakieru.

Przez godzinę masowała mu plecy, aż pomrukiwał z zadowolenia i zapragnął odwdzińczyć się tym samym. Po jego masażu nie chciała wstać z łóżka.

- Czy brałeś kiedyś pod uwagę karierę w tej profesji? - mruknęła, nawet nie podnosząc głowy.

- Pod warunkiem, że ty będziesz moją jedyną klientką - odpowiedział, masując jej stopy.

W ostatni wspólny poranek zjedli śniadanie w łóżku. Kończyli akurat pić kawę, gdy Jack zdecydował się opowiedzieć jej o swojej żonie.

- Przez dłuższy czas nie miałem zielonego pojęcia, że bierze - przyznał ze smutkiem. - Wiem, to brzmi głupio, ale naprawdę nie zdawałem sobie z tego sprawy. Dowiedziałem się od jej siostry. Pewnego dnia zadzwoniła i powiedziała, że Elizabeth spowodowała wypadek samochodowy i jest w szpitalu. I że to cud, że nikt poza nianie został ranny, bo była tak naćpana, że mogłaby kogoś zabić. Byłem w szoku.

Isabel pogłaskała go po ramieniu. Na samo wspomnienie posmutniał.

- Nie miałem o niczym pojęcia, wyobrażasz to sobie? Brała od co najmniej dwóch lat, a ja nic nie wiedziałem.

- Kiedy był ten wypadek? - zapytała.

- Jedenaście lat temu. Wtedy byliśmy małżeństwem od czterech lat. Najadła się strachu i przestała brać. Doskonale sobie poradziła na odwyku. Kiedy chce, ma bardzo silną wolę - wyjaśnił. - Jednak przed siedmiu laty wróciła do nałogu i nie przestała do dzisiaj. Teraz jest ostrożniejsza, nie bierze co wieczór. Ale ja i tak rozpoznaję symptomy. Błyszczą jej oczy. Unika mojego wzroku, na wypadek, gdybym coś zauważył.

- Dlaczego nie wyślesz jej na leczenie?

Uniósł pytająco brew.

- Była chyba we wszystkich ośrodkach, i tu, i w Stanach. Kiedy robi się za gorąco, wypisuje się na własną prośbę. Nie wyleczysz narkomana na siłę, jeśli sam tego nie chce.

- A pieniądze? Chyba możesz odciąć ją od gotówki, żeby nie miała za co kupować?

- Elizabeth ma własny majątek, spadek po bogatym ojcu. Nie mam wpływu na to, jak wydaje swoją część.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, oboje pogrążeni w myślach o kobiecie, która ma pieniądze i możliwość, by wyjść z nałogu, ale brakuje jej chęci. Isabel zdawała sobie sprawę, z jakim trudem przychodzi Jackowi rozmowa na ten temat i w fakcie, że w ogóle go poruszył, dostrzegła dowód jego uczuć do niej.

- Czy wiesz, dlaczego zaczęła brać? - zainteresowała się.

- Dlatego, że nie mogła mieć dzieci. Wiem na pewno, bo sama to powiedziała, czy raczej wykrzyczała pewnego wieczora. Jakby to była jej wina. - Zmęczonym gestem potarł czoło. - Na początku staraliśmy się o dziecko, ale nic z tego nie wychodziło. Po prawie dwóch latach zaproponowałem badania, ale Elizabeth nie chciała o nich słyszeć. Wszyscy jej krewni mają wielkie rodziny i była przekonana, że to tylko kwestia czasu. Twierdziła, że ma tylko trzydzieści dwa lata, że nie ma co panikować. W końcu skapitulowała i poddaliśmy się badaniom.

Westchnął.

- Niemal miałem nadzieję, że wina będzie po mojej stronie. Wiedziałem, że Elizabeth bardzo źle zniosłaby fakt, że to przez nią nie mamy dzieci. Świącie wierzyła, że jest płodna. Przepada za dziećmi.

- I co?

- Badania wykazały, że ma niedorozwój macicy i bardzo mało prawdopodobne, by kiedykolwiek donosiła płód. Poza tym miała niedrożne jajowody, dlatego w ogóle nie dochodziło do zapłodnienia. „Jestem wybrykiem natury, Jack”, stwierdziła, kiedy się dowiedziała. - Uniósł dłonie do skroni. - Potem w kółko to powtarzała.

Isabel była wstrząśnięta.

- To straszne. Na pewno ją to załamało. - Nie zapomniała, co przeżywała po utracie synka, a przecież miała już dwie śliczne córeczki. O ileż gorsza musi być świadomość, że w ogóle nie będzie się miało dzieci!

- To mało powiedziane - wspominał. - Była zdruzgotana. Przez miesiąc nie trzeźwiała. A potem wydawało się, że się z tym pogodziła. Teraz wiem - dołał obojgu kawy z dzbanka - że wcale się z tym nie pogodziła, tylko zmieniła alkohol na narkotyki.

- Musiało być ciężko wam obojgu - zauważyła Isabel cicho.

- Było. Ale to już nieważne, bardzo się od siebie oddaliliśmy. Jeśli mieszkasz z narkomanem,

musisz się nauczyć być twardym. Z czasem zależy ci coraz mniej, aż miłość się wypala do cna. Nadal ją Kocham, na swój sposób - wyznał. - Jesteśmy razem od dawna. Ale niełatwo jest kochać narkomankę, Isabel. Taki człowiek bierze wszystko, co możesz mu dać, wykorzystuje to i ciska ci w twarz. Z czasem to nuży.

Odstawiła tacę, żeby nie zalać pościeli kawą, i objęła go mocno. Nie chciała więcej pytać, bo widziała, jak wiele przykrości sprawia mu ta rozmowa, lecz trzymając go w ramionach z obawą spoglądała w przyszłość.

Dee z niesmakiem cisnęła na stół dodatek o nieruchomościach. Nie było w nim nic co chciałyby kupić, albo raczej na co byłoby ją stać. Ceny domów kompletnie powariowały. Znużona wstała, żeby nastawić czajnik. Niestety, nie gotowała wody na herbatkę, którą będzie popijać czytając gazetę. Wrzątek będzie jej potrzebny do szorowania podłogi w salonie. Wysprzątała kuchnię na wysoki połysk, aż jej dłonie wyglądały niczym krewetki kilka godzin po wyjęciu z zamrażalnika. Teraz, po rozkosznej dziesięciominutowej przerwie, zabierze się za salon i przedpokój. Doskonały sposób spędzania wolnego przedpołudnia!

Nie może jednak wpuścić do domu agenta handlu nieruchomościami w nowiutkich mokasynach od Gucciego, jeśli wcześniej nie urządzi generalnego sprzątnięcia. A Gary z pewnością nie będzie zwlekał z dalszymi pogrozkami w mafijnym stylu, o ile szybko nie wystawi domu na sprzedaż.

Gdyby poziom złości wpływał na tempo sprzątnięcia, Dee uporałaby się ze wszystkim błyskawicznie. Bezustannie miotała obelgi pod adresem Gary'ego.

Cholerny idiota, wściekała się, walcząc z plamą wosku w salonie. I to niebieskiego wosku. Tylko durny Gary kupiłby niebieskie świece do pokoju z beżową wykładziną, brązową kanapą i miodowymi ścianami. Ten kretyn nie potrafił niczego dobrać. Jego koszule i krawaty tylko dlatego się ze sobą nie gryzły, że kupował w Next gotowe zestawy, chociaż nie przyznałby się do tego za żadne skarby świata. Dee natomiast z wielką chęcią podzieliłaby się teraz tą wiadomością ze wszystkimi. A inne wspaniałe cechy Gary'ego!

Przez chwilę rozkoszowała się myślą o wydawaniu specjalnego pisma, w których porzucone i porzuceni zdradzaliby najbardziej wstydlive nawyki byłych ukochanych.

„Mój chłopak nigdy nie opuszczał deski klozetowej, dłubał w zębach przy jedzeniu, a jedyna kultura, z jaką miał kontakt, to kultura bakterii w jogurcie”.

„Tak? A mój całował ziemię, po której stapała jego matka, uważał, że pościel zmienia się tylko przy pełni księżyca i sądził, że łechtaczka to archipelag wysp pod protektoratem francuskim z początków osiemnastego wieku”.

Uśmiechnęła się pod nosem i dalej szorowała zawzięcie. O dwunastej była spocona, zmęczona, zgrzana i głodna. Najchętniej wzięłaby wolne na resztę dnia. Dobrze przynajmniej, że

musi być w redakcji dopiero po południu. Napila się dietetycznej coli i postanowiła, że przed wyjściem weźmie długą kąpiel i zrobi sobie grzanki z serem. Wyjmowała właśnie produkty z lodówki, gdy zadzwonił telefon.

- Dee! - Jackie mówiła ściszym głosem, jak zwykle, gdy Tanya Vernon krążyła po biurze jak lwica polująca na zblakana gazetę. - Tanya zwołała zebranie działu na wpół do pierwszej. Masz być.

- O wpół do pierwszej! - wrzasnęła Dee. - Dlaczego wcześniej do mnie nie zadzwoniłaś?

- Przykro mi - kajała się Jackie - ale wpadła na ten pomysł przed chwilą.

- Przepraszam, że na ciebie krzyknęłam, to nie twoja wina - zmitygowała się. - Powiedz Isabel, że już jadę, ale mogę się spóźnić dziesięć minut, dobrze?

Nie było sensu uprzedzać Tanyę, że się spóźni - i tak będzie na nią czatowała przy drzwiach ze stoperem w dłoni i tryumfalnym uśmiechem na ustach.

Co z niej za wredna krowa, gorączkowała się Dee pod prysznicem. Poprzedniego wieczoru nie było mowy o żadnym zebraniu, wszyscy mieli pełne ręce roboty z poszerzonym wydaniem sobotnim. Tanya po prostu lubi przypominać wszystkim, jaka jest ważna. Chciała przy tym zdenerwować Dee, bo wiedziała, że ta ma wolne przedpołudnie, i, być może, Isabel, która miała trzydniowy urlop i było możliwe, że się spóźni. Podczas jej nieobecności Tanya rządziła się jak szara gęś. Jednak gdy Dee bez tchu wpadła do redakcji o dwunastej trzydzieści pięć, Isabel spokojnie siedziała za biurkiem. Wilgotne włosy bezładnie opadały jej na twarz.

- Jackie mówiła, że masz wolny ranek - zdziwiła się na widok swojej zastępczyni.

- Bo mam! - warknęła Dee. - Ale ta suka z piekielnych otchłani zwołała zebranie na wpół do pierwszej i Jackie mnie ściągnęła.

Isabel ściągnęła usta w zgrabne kółeczko.

- Ojej. - Pokręciła głową. - Pewnie się bardzo zmartwisz, Dee: nie ma zebrania. Tanya wołała iść na lunch z Flynnem.

- Co za wredne babsko! - wrzasnęła Dee na cały głos. - Jechałam tu dziewięćdziesiąt mil na godzinę, a ona sobie odwołuje zebranie? Zabiję ją!

- Nie jesteś pierwsza w kolejce - odezwała się Phil. Podeszła do swego biurka ze stertą papierów, na której szcycie niebezpiecznie chwiały się kubek z herbatą. - Podobno Chris Schriber domaga się jej głowy. Jak głosi plotka, tylko dlatego poszła na lunch z Flynnem, żeby go przekonać, by trzymał jej stronę, gdyby doszło do wojny między działami.

- Naprawdę? - I Isabel, i Dee były żywo zainteresowane.

- Wiecie co? - wtrąciła się Emily, ładniutka dziennikarka, która od pewnego czasu pisała wyłącznie w dziale kobiecym. - Chodźmy do „Magee’s” na wczesny lunch, a Phil podzieli się z nami tym, co wie. Co wy na to?

- Doskonały pomysł - zapaliła się Phil. - I tak nie miałam ochoty na herbatę.

Dee weszła do pubu ostatnia, bo zadzwonił jej telefon komórkowy i chciała skończyć rozmowę na zewnątrz, przekonana, że komórka w knajpie wygląda pretensjonalnie oraz głupio. Wewnątrz zmrużyła oczy, żeby przywyknąć do półmroku, wrzuciła telefon do torebki i wpadła prosto na mężczyznę, który właśnie wstał z wysokiego barowego stołka.

- Przepraszam - mruknęła.

- To moja wina, Dee - usłyszała znajomy głos. Przyjrzała się uważniej, nadal nie przyzwyczajona do mdłego światła w „Magee’s”. Facet miał co najmniej metr osiemdziesiąt wzrostu i najwyraźniej ją znał.

- Kevin Mills, fotograf - przedstawił się kpiąco. Ciemne oczy błysnęły rozbawieniem. - Zdaję sobie sprawę, że od dawna razem nie pracowaliśmy, ale nie sądziłem, że tak szybko o mnie zapomnisz.

- Przepraszam, Kevin. Nie poznałam cię w tym świetle. - Pomyślała, że akurat dzisiaj jej włosy przypominają szczurze ogony. Nie widziała go, odkąd się spotkali przy sprawie z Chazzem, piosenkarzem, który zdemolował pokój w hotelu „Conrad”.

Kevin był ubrany jak zwykle w zamszową koszulę, dzinsy i buty Timber-land. Ciemne, wyjątkowo jak na niego krótkie włosy ciasno oblepiały kształtną czaszkę. Do twarzy mu było w tej fryzurze, podkreślała jego cygańską urodę i szerokość ramion, wyćwiczonych dzięki noszeniu torby ze sprzętem fotograficznym.

- Nie widzieliśmy się od wieków - stwierdził, przesuwając wzrokiem po jej ciele.

Dee w myślach obrzuciła Tanyę Vernon stekiem obelg. Gdyby nie ona, nie wybiegłaby z domu z prędkością światła i mogłaby się ubrać w coś normalnego, a nie niebieską porfelową spódnicę i koszulę, które zakładała tylko w ostateczności.

- Teraz pracuję w dziale kobiecym - wyjaśniła. - Awansowałam.

- Na zastępcę redaktora działu - dopowiedział. - Wiem. Moje gratulacje.

Dee nie wierzyła własnym uszom. Skąd o tym wiedział? Paparazzi rzadko interesowali się strukturą personalną poszczególnych gazet. Pracowali sami i trzymali się na uboczu, więc zmiany kadrowe w „Sentinelu” nie powinny ich zbytnio interesować.

- Teraz pewnie nie będziemy już razem pracować - zauważył z nutką żalu.

- Chyba nie - zgodziła się. Miał fantastyczny głos, bardzo niski, z takim jakby pomrukiem. Ciekawe, z kim teraz chodzi? Pewnie z jakąś ślicznotką z wybiegu.

Już miał odejść, ale zatrzymał się w ostatniej chwili.

- W końcu nie poszliśmy na tamtego drinka, pamiętasz? - zapytał. - Wiesz, kiedy robiliśmy materiał o Chazzie.

Pamiętała bardzo dobrze. Pochlebiało jej jego zaproszenie. O mały włos go nie przyjęła, ale była wtedy zła na Gary’ego i obawiała się, że ulegnie pokusie będąc w towarzystwie tak

przystojnego mężczyzny. Nie wypiją tego drinka chyba nigdy, przecież mało prawdopodobne, żeby znowu razem pracowali.

- Zadzwoń do mnie któregoś dnia, a nadrobimy zaległości - powiedział. Dee zamrugła szybko. Zapraszał ją na drinka?

- Chętnie - odparła z oczami wielkimi jak spodki. Uśmiechnął się szeroko.

- To do zobaczenia, mała. - I już go nie było.

Na tacy Maeve piętrzyła się porcja *lasagne*, frytki i pół litra mleka.

- Widziałam, jak rozmawiasz z boskim Kevinem Millsem - powiedziała, czekając na wydanie reszty.

- Słuchaj, nie uwierzysz: zaprosił mnie na drinka!

- Dlaczego nie miałabym uwierzyć? - zdziwiła się przyjaciółka. - Doprawdy, O'Reilly, gdyby ktoś cię posłuchał, mógłby pomyśleć, że jesteś brzydsza od siostry dzwonnika z Notre Dame, na Boga! Jesteś bardzo ładna, ty idiotko! Tylko sama tego nie widzisz. No, ty i ten debil, twój były. Żałuję, że Kevin Mills mnie nie zaprosił na randkę.

- Nie o to mu chodziło - zaprotestowała Dee. - Po prostu kiedyś mieliśmy pójść na drinka, ale nic z tego nie wyszło.

- Boże, ratunku. - Maeve opadły ręce. - Weź sobie coś do jedzenia. Porozmawiamy o tym później. Wiesz, Dee, potrzebna ci terapia. Szkoda, że nie da się przeszczepić ci części samouwielbienia Tanyi, może wtedy obie byłybyście normalne. Ona nie zadzierałaby tak strasznie nosa, a ty dostrzegłabyś własną wartość.

- Ależ ja dostrzegam, tylko że...

- Tylko że nic! - urwała Maeve. - Masz nieustannie zaniżoną samoocenę, Dee, a to niedobrze. Jeśli nie przestaniesz opowiadać bzdur na swój temat, ludzie w końcu w nie uwierzą, choć to wcale nie prawda. Koniec kazania. Więc kiedy spotykasz się z Kevinem?

Dee zagryzła dolną wargę.

- Mam do niego zadzwonić któregoś dnia.

Maeve uniosła oczy do nieba.

- Gdyby Kevin Mills zaprosił mnie na randkę, zapytałabym gdzie i kiedy, i dopilnowała, by zapisał to w kalendarzyku drukowanymi literami. Leć za nim i umów się.

- Masz lasso pod ręką? - zapytała Dee z przekąsem.

Maeve pokazała jej język.

- Wiesz, że czasami jesteś strasznie upierdliwa? - żartobliwie trąciła ją w bok i zwędziła kilka frytek z jej talerza. - Gdyby nie to, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką, chybabym cię zamordowała.

- Nie mogłabyś - odcięła się Maeve z dumną miną. - Jestem zbyt cenna dla społeczeństwa.

Gdyby nie ja, kto łamałby koszmarnie artykuły Carol-Anne i dopinał na tobie czarny gorset wabiący mężczyzn, co?

- Punkt dla ciebie. - Dee wzięła następną frytkę. - Idę po kanapkę. Nie zaczynajcie plotkować beze mnie.

Przy zupie, kanapkach i *lasagne* Isabel, Dee, Phil, Maeve, Emily i Jackie plotkowały, żartowały i klęły ile dusza zapragnie, przy czym głównym tematem ich rozmów była Tanya Vernon, której wszystkie nie znosiły.

Każda miała coś do powiedzenia, z wyjątkiem Isabel. Ona słuchała w milczeniu, niemal nie tknęła swojej zupy pieczarkowej. Dee intrygowało, czy trzydniowy urlop Isabel miał coś wspólnego z jej tajemniczym żonatym mężczyzną. Chyba tak, uznała widząc, jak jej oczy zasnuwają się mgiełką podczas najbardziej fascynujących opowieści przy stole. Myślami była setki mil stąd.

- Podobno Tanya znacznie przekroczyła budżet swojego działu na fotografów i wolnych strzelców, i chce się dostać do kasy działu informacyjnego, co z kolei doprowadza do szału Chrisa Schribera-relacjonowała Phil, jednocześnie pokrywając kanapkę z szynką grubą warstwą musztardy.

- Widziałam, jak Tanya przed wyjściem malowała się w toalecie - zdradziła Emily. - Szorowała zęby i czyściła je nitką. Już ja się domyślam, co miała w planie, i nie był to wcale lunch.

Maeve zmrużyła oczy. Nienawidziła Tanyi.

- Pewnie chce uwieść Slashera i wydusić z niego więcej forsy - zawyrokowała.

- Nie byłabym taka pewna. - Kocie oczy Emily błysnęły złośliwie. - Gdybyście widziały, jak się mizdrzyła do naszego pana i władcy, Jacka Cartera, zgodziłybyście się ze mną, że zastawiła sidła na niego.

Gdyby Dee akurat nie sięgała po mleko, zapewne nie zwróciłyby uwagi na Isabel, która nagle zeszywniała i pobladła.

A więc to tak, pomyślała Dee, ukradkiem ją obserwując. Więc jej żonaty mężczyzna to Jack Carter. Ale z drugiej strony, jak to możliwe? Dopiero co się poznali, i do tego Jack to szef - najważniejszy i najpotężniejszy.

Dee myślała nad tym intensywnie i ciągle dochodziła do tego samego wniosku. Kiedy Emily powiedziała o Jacku i Tanyi, Isabel wyglądała, jakby umarł jej ktoś bliski. Co jeszcze mogło wywołać tak gwałtowną reakcję? Przecież nie wiadomość, że Tanya przekroczyła budżet!

Dee udawała, że je, a w rzeczywistości nie spuszczała z oka Isabel. Zauważyła, jak drży jej dłoń, gdy podnosiła łyżkę zupy do ust. Delikatny rumieniec zniknął z policzków, nawet usta pobladły. Na sto procent ma romans z Jackiem Carterem, inaczej nie reagowałaby tak

gwałtownie.

Biedactwo, rozczuliła się Dee. Jack Carter prawdopodobnie pożera takie porządne, pracujące kobiety na śniadanie.

Emily była w swoim żywiole.

- Szkoda, żeście nie widziały, jak Tanya kręciła się koło niego, kiedy przyszedł do redakcji w zeszłym miesiącu, żeby wygłosić mowę - upajała się dźwiękiem własnego głosu. - Podobno prawie siedziała mu na kolanach. W przyszłym tygodniu będzie duża impreza w klubie „K”, z okazji przejęcia gazety i natychmiastowego zwiększenia nakładu. Założę się o każdą sumę, że wtedy Tanya zaciągnie go do łóżka.

- Czy na tę imprezę wybiera się ktoś, kogo znamy? - zainteresowała się Maeve z błyskiem w oku. - Musimy mieć tam szpiega, żeby nam wszystko ze szczegółami opowiedział. To ci dopiero! Jak myślicie, zrobią zdjęcia?

- W takim razie poproszę o negatywy - zażartowała Phil. - Takie fotografie zapewnią ci superposadę u konkurencji. Prezes konkurencyjnej firmy - żonaty prezes, pozwolę sobie zauważyć - przyłapany na gorącym uczynku z piękną, choć zdzirowatą dyrektorką wydawniczą... a jego żona w tym czasie wydaje bal dobroczynny... „The Globe” rzuciłby się na to jak sęp.

Isabel pobladła do tego stopnia, że błękitne żyły na jej szyi stały się wyraźnie widoczne. Nagle Dee zapragnęła ją chronić. Nie chciała nawet myśleć jak to jest, wysłuchiwać takich rzeczy na temat ukochanego mężczyzny.

Przesunęła się, żeby kelner dolał jej kawy. Cokolwiek Isabel widzi w Jacku Carterze, musi to być coś poważnego, bowiem nie należy ona do kobiet rzucających się na łeb na szyję w romans z żonatym mężczyzną.

Isabel musiała oszaleć na jego punkcie, powiedziała to zresztą tamtego wieczora, gdy zaprosiła Dee na kolację. Wpadła po uszy, i nie ma w tym nic dziwnego, stwierdziła Dee, bo Jack Carter był przystojny, miał charyzmę i roztaczał aurę spokojnej siły, dzięki której zawróciłby w głowie każdej kobiecie. Dee rozumiała Isabel, o tak.

Była za to pewna, że Isabel nie przyszło nawet na myśl, że jej ukochany będzie tematem plotek w redakcji, jakby był gwiazdorem rockowym z moralnością podwórzowego kota. Nie zastanawiała się też, co to znaczy mieć romans z wydawcą gazety. Tu nie ma miejsca na sentymenty. Konkurencja naprawdę dużo by dała za taką historię, o czym Isabel najwyraźniej nie pomyślała.

Gdyby to Dee miała romans z Jackiem Carterem, obawiałaby się nawet na niego spojrzeć publicznie, z obawy że jakiś teleobiektyw pochwyty jej zakochany wzrok i cały świat zobaczy go na pierwszej stronie jutrzejszej gazety.

Miała tylko nadzieję, że Isabel i Jack zachowali ostrożność na randkach i żadne z nich nie

zapomniało, iż bogaci biznesmeni stanowią łakomy kąsek dla gazet.

- Jestem strasznie ciekawa, w co Tanya się ubierze na to przyjęcie - zastanawiała się na głos Emily. - Pewnie prześwitujące kreacje od Versace, w których lubuje się Liz Hurley, będą wyglądały przy jej sukni skromnie jak worek pokutny.

Zebrane parsknęły śmiechem.

Dee zerknęła na Isabel i doszła do wniosku, że musi coś zrobić, bo inaczej wszystkie zauważą reakcję tamtej i domyśla się, dlaczego tak bardzo się przejęła.

- Dajcie spokój, dziewczyny - skarciła je. - Jack Carter ma w nosie Tanyę. Ten człowiek ma dobry gust, na rany boskie. Tanya to szmata, dla korzyści przespałaby się z własnym dziadkiem i jego owczarkiem niemieckim. Zamknijcie ją w jednym pomieszczeniu z pierwszym 1 epszym wpływowym facetem, a obsypie go komplementami.

- Fakt - mruknęła Maeve.

- Jeśli Tanya naprawdę rzuciła się na Jacka Cartera na jakimś zebraniu, nie odpędził jej tylko dlatego, że jest na to zbyt dobrze wychowany - podsumowała Dee.

- Intryguje mnie, co zamierza osiągnąć idąc na lunch z Flynnem taka odstawiona - zauważyła Phil. - Przecież jego chyba podnieca wyłącznie brudny lakier.

- Zabawne, moim zdaniem to samo bierze Tanyę - Dee nie mogła powstrzymać się od złośliwego komentarza.

Emily jednak nie dała się odciągnąć od tematu Jacka Cartera. Chyba się jej podoba, domyśliła się Dee.

- Podobno Elizabeth Carter ma problem z narkotykami - odezwała się.

Phil rzuciła okiem na Isabel.

- Pani Carter nie ma problemu z narkotykami, stać ją na nie - prychnęła Maeve.

- Nie jest to chyba najbezpieczniejszy temat w knajpie o rzut beretem od redakcji - zauważyła Phil półgłosem, gdy już ucichł śmiech.

Plotkowanie w „Magee’s” było ryzykownym zajęciem, jako że nigdy nie wiadomo, kto przysłuchiwał się przy sąsiednim stoliku.

- Wszystko w porządku, rozejrzałam się, w pobliżu nie ma nikogo - uspokoiła ją Jackie.

- Słyszałam, że wciąga kokainę całymi wiadrami - szepnęła Emily. - Podobno kiedyś przyłapali ją gliniarze, ale Carter wszystko załatwił tak, że nawet nie zatrzymano jej za posiadanie narkotyków.

- Czemu właściwie nie wyśle jej na odwyk? - zdziwiła się Maeve. - Przecież ich na to stać.

- Może wygodniej mu, kiedy jest naćpana - Emily wzruszyła ramionami. - Tym sposobem może bez przeszkód zabawiać się z Tanyami Vernon tego świata.

- Muszę wracać do redakcji. - Dee zerwała się na równe nogi. - Ty też, Isabel, prawda? -

zapytała nagle.

- Tak. - Nie patrząc na nikogo, Isabel wstała nieporadnie i zahaczyła torebką o stół. Kobiety patrzyły na nią zdumione. Isabel Farrell była najmniej niezdarną osobą, jaką znały. Zazwyczaj szła przez redakcję majestatycznie a lekko.

- Isabel, znowu masz migrenę? - zapytała Dee na cały głos. - Nie trzeba było wychodzić z domu. Musisz wracać do łóżka.

Isabel posłała jej przerażone spojrzenie. Zrozumiała, do czego zmierza Dee.

- Biedactwo, zwolnij się na resztę dnia, jeśli cię boli głowa - poradziła współczująco Phil. - Zdziwiłam się, że jesteś taka milcząca. Powinnaś więcej odpoczywać. Trzy dni to za mało.

- Nic mi nie jest, to tylko lekka migrena - skłamała Isabel. Udało jej się częściowo odzyskać panowanie nad sobą. - Wróć do biura okrężną drogą, może na świeżym powietrzu poczuję się lepiej.

Wyszły razem z Dee. Ledwie odeszły kawałek, Isabel spojrzała na nią pytającym wzrokiem.

- Skąd wiesz?

Dee przytknęła palec do ust.

- Nie tutaj - mruknęła. - Ściany mają uszy.

Na dworze Isabel ciężko oparła się o ścianę.

- Musiałam coś powiedzieć, żeby odwrócić ich uwagę od Jacka - powiedziała cicho Dee. - Lada moment Emily zauważyłaby twoje zdenerwowanie. Nie twierdzę, że zaraz rozniosłaby płótkę po całej redakcji, Emily cię ubóstwia. Ale im więcej osób wie, tym większe prawdopodobieństwo, że wasz sekret się wyda. A uwierz mi, Isabel, to byłaby plotka stulecia.

- Skąd wiesz? - powtórzyła Isabel. Była blada jak ściana.

- Zobaczyłam twój aminę, kiedy Emily wspomniała o Jacku i Tanyi, i przypomniałam sobie, co mówiłaś wtedy u ciebie. Jakoś nie wydawało mi się, żebyś nagle przypomniała sobie o włączonym żelazku, więc zostawała jedna możliwość: zdenerwowałaś się tym, co powiedziała. Nie trzeba mózgu Einsteina, by dojść po nitce do kłębka. Właściwie nadal nic nie wiem na pewno - uśmiechnęła się. - Masz romans z Jackiem Carterem, prawda? Albo zupełnie straciłam rozum.

- Nie, nie, mamy romans. - Isabel westchnęła ze znużeniem. - Nie nadaję się do tego - stwierdziła. - Wszystko widać po mojej twarzy.

- No, nie dorobiłabyś się na grze w pokera - przyznała Dee. - Ale musisz się nauczyć panować nad sobą. Ludzie nie przestaną gadać o Jacku Carterze, a jeśli masz zamiar mdleć za każdym razem, ktoś się domyśli, prędzej czy później. Ja nie pisnę ani słowa, wiesz chyba - dodała - ale musisz być bardziej ostrożna. Isabel ciągle miała posępną minę. Dee wzięła ją pod rękę.

- Wracajmy do redakcji. Masz ochotę na batonik czekoladowy? Czekolada zawsze poprawia

mi humor.

Isabel wzdrygnęła się.

- Nie, nie przełknę ani kęsa.

Dee uśmiechnęła się krzywo.

- Na tym polega różnica między nami - stwierdziła. - Ja, ilekroć jestem nieszczęśliwa, szukam najbliższej lodówki albo sklepu ze słodyczami. Ty nie możesz niczego przełknąć. Oto dlaczego - poklepała Isabel po ramieniu - ty jesteś chuda jak patyk, a ja męczę się na diecie tekturowej.

- Diecie tekturowej? - Isabel nadstawiła ucha, zaintrygowana mimo wszystko.

- Tak, tekturowej. Jeśli w środku nocy chce ci się jeść, bierzesz płatki kukurydziane, takie które zawierają najwięcej błonnika i w smaku najbardziej przypominają tekturę, zalewasz je wrzątkiem i jesz potężną porcję. To paskudztwo, ale syci głód.

Isabel parsknęła śmiechem.

- Jesteś nieoceniona, Dee - stwierdziła. - I prawdziwa z ciebie przyjaciółka. Dzięki.

- Nie ma sprawy, zrobiłabyś to samo dla mnie - usłyszała w odpowiedzi. - Jeśli kiedyś zechcesz porozmawiać, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Tylko proszę, bądź ostrożna.

Doszły do redakcji.

Dee zauważyła z przykrością, że srebrna mazda Tanyi z powrotem stoi na parkingu. Najwyraźniej lunch, który miał być długi i romantyczny, okazał się krótki i rzeczowy. Tanya na pewno zachowuje się teraz jak słoń, któremu ktoś nastąpił na odcisk.

Kiedy powoli wchodziły po schodach, Dee zastanawiała się, czy nie uprzedzić Isabel, że dzisiaj powinna schodzić Tanyi z drogi, jednak przyjaciółka była już w innym świecie, pogrążona w marzeniach.

Dee również pozwoliła sobie na słodkie rozważania. Kevin Mills zaprosił ją na drinka. I to po raz drugi. Czy to miało być przyjacielskie, platoniczne spotkanie? Czy wie, że rozstała się z Garym? A może, zreflektowała się, jest jeszcze inny powód. Może Kevin ma dosyć uganiania się za znanymi osobistościami i liczy, że Dee ułatwi mu start w gazecie, na przykład załatwi zdjęcia mody albo portrety na zamówienie. Westchnęła. Tak, to na pewno to. Chciał ją wykorzystać do swoich celów i uznał, że po kilku whisky z colą będzie mu ją dał z ręki.

Niedługo trwało, a zjawiała się Tanya, ziejąc ogniem. Dee ledwie usiadła przy biurku, już usłyszała charakterystyczne stukanie jej szpilek.

- Musimy porozmawiać - warknęła Tanya.

Najgorsze w niej jest to, zauważyła Dee przyglądając się jej z niepokojem, że nawet wściekła wygląda pięknie. Ponieważ jednak z taką lubością dążyła do awantur, po dwóch minutach nikt nie zauważał jej urody.

Tego dnia jej drobna twarz ściągnęła się w złym grymasie. Oczy w kształcie migdałów

błyszczały ze złości, co jednak nie naruszało symetrii słowiańskich kości policzkowych ani kolorytu nieskazitelnej cery.

Stanęła obok Dee - Tanya nigdy nie siadała, jeśli miała okazję nad kimś górować - i zaczęła przemowę:

- Jestem ciekawa, dlaczego zatrudniasz wolnych strzelców przy zleceniach, które spokojnie mogłabyś wykonać sama? - zapytała jadownicę. - To bezczelne lenistwo. Przekroczyliśmy nasz budżet i teraz musimy oszczędzać. Nie życzę sobie żadnych zbędnych wydatków. Na przykład artykuł o gwiazdzie serialu *Coro-nation Street*, który mogłaś napisać sama, nie trzeba go było zlecać Emily.

- Nie mogłam - Dee broniła się nieśmiało. - Isabel nie było, miałam na głowie strony z modą i mój wywiad. Nie miałabym kiedy napisać jeszcze jednego tekstu. Aktorka przyleciała do Irlandii na jeden dzień. To była sytuacja: teraz albo nigdy.

- Więc trzeba było wybrać nigdy - rzuciła Tanya. - Usiłuję kierować moimi działami efektywnie i jak najmniejszym kosztem, a ty rujnujesz moje wysiłki. W przyszłości masz ze mną konsultować, ilekroć chcesz komuś zlecić jakieś zadanie.

Dee zaniemówiła. Skoro tak, będzie się uganiała za Tanya co pięć minut, bo dział kobiecy miał tragicznie mało personelu. Ona i Isabel polegały wyłącznie na grupce wolnych strzelców, czyli co dzień zatrudniały ich na nowo.

Już miała wytłumaczyć to Tanyi, ta jednak zmieniła temat, jak jastrząb, który wypatrzył tłustego królika.

- A jeśli chodzi o marnowanie pieniędzy na sprawdzanie salonów piękności, zapomnij o tym! - prychnęła pogardliwie.

- Uznałam, że to dobry temat akurat teraz, kiedy zaostorzono przepisy higieny w zakładach kosmetycznych - wyjaśniła Dee. Spojrzała przy tym tęsknie na drzwi, czy aby Isabel nie wraca z łazienki. W jej obecności Tanya by się zamknęła. Gdzie jesteś, Isabel, błagała bezgłośnie.

- Och, daruj sobie! - zachnęła się Tanya. - Pewnie wpadłaś na ten pomysł tylko dlatego, że chcesz na cudzy koszt pochodzić do kosmetyczki!

Dee nie wierzyła własnym uszom.

- Skądże - odpowiedziała zdumiona. - Nawet mi to do głowy nie przyszło.

- Nie wciskaj mi kitu! - warknęła Tanya. - Myślisz, że ci się udało, może nie, Dee? Wcale ci się nie chce pracować. Najchętniej siedziałabyś na tym tłustym tyłku i zapędzała wolnych strzelców do swoich zadań, podczas gdy tobie wyciskano by wągry na koszt firmy! Myślisz, że udało ci się załapać ciepłą posadkę, co? - Wymierzyła chudy palec w pierś Dee.

Dee nie była w stanie się odezwać. Siedziała jak ogłuszona. Nie mogła uwierzyć, że Tanya naprawdę powiedziała wszystkie te okropne rzeczy. Nagle poczuła się, jakby wróciła do szkoły

Świętej Weroniki i wszyscy znowu dokuczali jej z powodu tuszy. Wtedy również milczała, niezdolna się odezwać.

- Wy wszyscy, starzy pracownicy „Sentinela” uważacie, że to dobra posadka, dom opieki społecznej dla gryzpiórków, których nie zatrudniłby nikt inny. Ale tak nie jest. - Tanya pochyliła się tak blisko, że Dee poczuła jej kwaśny oddech. - Ludzie mojego pokroju stanowią przyszłość tego dziennika, dzięki nam czeka go rozwój, jakiego sobie nawet nie wyobrażasz i nakład, który nie mieści ci się w głowie. A ty, leniuchu, nie powstrzymasz mnie.

- Wcale nie chcę - bąknęła Dee.

- Tym lepiej dla ciebie!

Z tymi słowami Tanya oddaliła się w stronę gabinetu naczelnej. Dee kuliła się na krześle, wyczerpana jak po kilku rundach z Mikiem Tysonem.

Dlaczego ona mnie tak nie cierpi? - zastanawiała się ze łzami w oczach. Co jej zrobiłam? Nie wiedziała. Nie pocieszały jej słowa Maeve, że Tanya wyżywa się na kim tylko może, bo jest urodzoną sadystką. Wcale jej to nie poprawiło humoru.

Zresztą, Tanya nie dokuczała Maeve, tylko Dee. I jeszcze Jackie, kiedy Isabel i Phil nie było w pobliżu. Wyżywała się na tych, którzy bali się postawić, i uchodziło jej to na sucho, jak teraz. Przecież Dee siedziała jak niemowa i pozwoliła Tanyi zmieszać się z błotem. Nie powiedziała ani jednego, jedyne słowa.

Pod powiekami paliły jąłży upokorzenia. Po raz kolejny wykorzystano ją skrzywdzono, a ona nie zaprotestowała. Co więcej, praktycznie się na to zgodziła. Tchórz!

Isabel weszła do redakcji, już nie tak spięta jak przed dziesięcioma minutami. Dee najchętniej opowiedziałaby jej wszystko, powtórzyła te straszne rzeczy, które usłyszała od Tanyi, o tym, że siedzi na tłustym tyłku i że jest leniwa. Nie mogła jednak. Dotychczas Tanya atakowała ją w bardziej wyrafinowany sposób. Gdyby Isabel wiedziała, że Dee pozwoliła jej na atak bezpośredni i nie zareagowała, poczułaby do niej pogardę. Isabel była dzielna, pewna siebie i świadoma własnej wartości, a Dee tych cech nie posiadała.

- Tanya tu była, urządziła nam awanturę za zatrudnianie wolnych strzelców - powiedziała cichutko. - Twierdzi, że powinniśmy same wszystko robić.

- Bzdura - zachnęła się Isabel. - Mamy tak mało ludzi, że gdyby nie wolni strzelcy, dział kobiecy by nie istniał. Ona jest niebezpieczna. Każe nam cierpieć, bo sama przekroczyła budżet. Gdzie jest? - rozejrzała się badawczo.

- Poszła do Malley - powiedziała Dee.

- Świetnie. - Isabel wyruszyła na wojnę.

Dee w milczeniu odprowadzała ją wzrokiem.

Pięć minut później wróciła. Jej misja zakończyła się sukcesem.

- Tanya jest mocna tylko w gębie - stwierdziła. - Mięknie jak wosk, jeśli się ją przyciśnie do muru. Nie pozwól, by na tobie wyładowała swoje niepowodzenia, Dee - ostrzegła. - Gdyby nie wydała za dużo, nie kazałaby nam teraz oszczędzać.

- Masz rację - mruknęła Dee cichutko. Usiłowała coś pisać, ale robiła błędy jak zaawansowany dyslektyk. Ręce jej się trzęsły, nie mogła się skoncentrować. Pracowała w milczeniu przez całe popołudnie, nie ruszając się od biurka z obawy, że wpadnie gdzieś na Tanyę, jednak w końcu musiała iść do ubikacji.

Tanyi nie było nigdzie widać. W łazience Dee poprawiła makijaż. Niedługo skończy się jej ulubiona szminka w kolorze czekolady. Musi później pójść na zakupy. Kupowanie kosmetyków zawsze wprawiało ją w dobry humor. Sprawi sobie też nowy tusz do rzęs, wodoodporny, i może jeszcze owocowy płyn do kąpieli? Już w lepszym nastroju wracała do redakcji i mało brakowało, a wpadłaby na Tanyę, która wychodziła z gabinetu naczelnej.

Mijając Dee uśmiechnęła się zimno, jakby chciała powiedzieć: „Nie powiedziałaś nikomu, że cię nazwałam tłustą leniwą krową, prawda?”

Dee ogarnęły mdłości. Znowu zawiodła. Nie wiadomo dlaczego pozwoliła Tanyi się zastraszyć. Jeśli wkrótce czegoś nie zrobi, Tanya będzie bezustannie wykorzystywała tę przewagę. Jaki ma sens ślubowanie, że nigdy więcej nie zgodzi się, by jakiś inny Gary zniszczył jej życie, skoro przystaje na taką sytuację codziennie w pracy?

Dlaczego Tanya nie uwzięła się na Maeve? Dee знаła odpowiedź na to pytanie - przyj ciołka nie pozwoliłaby na to. Po jednej niegrzecznej odzywce Tanya Vernon leżałaby jak długa na ziemi, z pięścią Maeve artystycznie odbitą na twarzy. No, przynajmniej znokautowałaby ją werbalnie.

Tanya szanowała ludzi pokroju Isabel, Phil czy Maeve, natomiast nie miała za grosz szacunku dla Dee. A niby dlaczego miałyby mieć, skoro Dee nie była w stanie się bronić? Jesteś tchórzem bez jaj, O'Reilly, powiedziała sobie.

Isabel nawet nie zauważyła, jak cicha jest jej zastępczyni. Cały czas myślała o Jacku, o nim i o Tanyi, i dziwiła się, jak szybko Dee odkryła, kto jest jej żonatym kochankiem.

Nie wiedziała, czy się cieszyć, czy martwić. Była pewna, że Dee nikomu nie piśnie ani słówka, mimo to najadła się strachu.

Wszyscy mówili o Jacku tak spokojnie, jakby nie widzieli nic dziwnego w tym, że może flirtować z każdą napotkaną kobietą. Isabel nie wiedziała, co o tym myśleć. Może naprawdę wiedzą coś, o czym ona nie ma pojęcia? Ale czy może pytać, nie wywołując ciekawskich spojrzeń?

Wyjrzała przez okno. Dziwiło ją, że nadal nie jest pewna jego uczuć. Cudowne przekonanie

po wyjeździe do Mayo zniknęło bez śladu, jego miejsce zajęła bolesna pustka. Pustka, jaką powoduje związek z mężczyzną równie wiernym jak kot w marcu.

18.

Robin ostentacyjnie zerknęła na zegarek i westchnęła na tyle głośno, by Isabel usłyszała ją nawet z dużej odległości. Isabel, która siedziała zaledwie dwa metry dalej, puściła to mimo uszu. Bardzo bolały ją nogi po tym, jak złąziły całe centrum Dublina na piechotę w poszukiwaniu ciuchów dla Robin. Za żadne skarby świata nie zrezygnuje z wytęsknionej filiżanki herbaty ledwie pięć minut po tym, jak w końcu dane jej było usiąść. Z jeszcze głośniejszym westchnieniem Robin odepchnęła od siebie na wpół opróżnioną puszkę coli. Isabel sączyła herbatę, Naomi z namaszczeniem ugryzła ciastko z kremem. Isabel nie kupiła jej nawet w połowie tylu ubrań co wymagającej starszej córce, lecz Naomi i tak była w dobrym humorze. Pogrzyżyła się w lekturze magazynu dla nastolatek. To nie ona narzekała i dąsała się, kiedy nie znalazła dokładnie takiej plastikowej teczki na książki, jaką sobie wymyśliła. Teraz kolej na Naomi, zdecydowała stanowczo Isabel. Przez następne sześćdziesiąt minut będą szukać rzeczy dla niej. Nie będzie faworyzowała jednej z córek.

- Susie na mnie czeka przed „Oasis”! - jęknęła Robin z rozpaczą po upływie minuty.

Isabel rzuciła jej ponure spojrzenie.

- Niech czeka. Mamy jeszcze co najmniej dziesięć minut do wyjścia. Nie ruszę się stąd do tego czasu. Przez ciebie uganiałam się cały dzień za akurat takimi ciuchami, których nie będziesz się wstydzić przed przyjaciółmi. Daj mi trochę odpocząć.

- Mogę sama się z nią spotkać - odcięła się Robin. - Przecież to tylko kawałek stąd. Chyba nikt mnie nie zaatakuje między „Oasis” a Jervis Centre...

- Nie - ucięła Isabel. - Muszę się zobaczyć z Susie, żeby ustalić, kto po was dzisiaj przyjedzie na dyskotekę, ja czyjej mama-wyjaśniła, starannie wymawiając każde słowo.

- Jak chcesz. - Robin знаła ten ton. Pochyliła się nad licznymi siatkami z zakupami. Szczególną radość sprawiał jej widok tych, w których były dwie obcisłe bluzeczki i kurtka ze sztucznej skóry z „Miss Selfridge’s” kupione za czek od ojca.

Isabel najchętniej zamordowałaby Davida. Przysłał córce karygodnie wysoką sumę, z dopiskiem, by wydała to na „coś fajnego”. Czyli nie na nudny szkolny mundur, a Isabel prawie zbankrutowała kupując nudne szkolne mundurki dla obu dziewczynek. Nowy semestr zaczynał się za dziesięć dni.

Nie żeby Davidowi kiedykolwiek zdarzyło się pomyśleć o czymś równie przyziemnym. Pewnie był przekonany, że szkolne mundurki rozdają za darmo, a nie sprzedają za tak wygórowane sumy, jakby zaprojektował je sam John Galliano. Isabel gotowała się wewnętrznie namyślić, co jeszcze chciałaby mu powiedzieć. Jedynym plusem był fakt, że nie będzie musiała zbyt długo na to czekać. Wczesnym rankiem następnego dnia David miał przylecieć do Dublina, żeby spędzić weekend z Robin i Naomi.

Pomijając fakt, że będzie miała okazję powiedzieć mu kilka słów prawdy, Isabel obawiała się tego spotkania. Podczas nielicznych poprzednich wizyt David ani razu nie został na cały weekend, więc spędzał cały dzień z dziewczynkami, a ona nie widziała go na oczy. Tym razem wracał do Londynu dopiero w poniedziałek rano, a zatem przez dwa dni będzie się kręcił po jej domu, odwoził i zabierał dziewczynki. Miał nawet czelność zapytać, czy może się u niej zatrzymać, czego Isabel stanowczo odmówiła. Jej matka wpadła w szal, gdy się o tym przypadkowo dowiedziała.

- Drania należałoby rozstrzelać! Chciał u ciebie nocować? - wrzeszczała w słuchawkę. - Co za bezczelność! Im szybciej uzyskasz rozwód, tym lepiej.

Isabel wyjątkowo przyznawała jej całkowitą rację. Niestety, każda wzmianka o rozwodzie przywodziła jej na myśl Jacka Cartera i gorące pragnienie, by rozwiódł się z Elizabeth. Nie mogła myśleć o niczym innym. Nigdy nie rozmawiali na ten temat, jakżeby mogli? Jack szalał za nią, wiedziała to, ale ani razu nie padło słowo „miłość”. I ona go kochała, do szaleństwa, rozpaczliwie.

No, ale mogła robić tylko jedno - czekać.

- Mamo, już czas! - jęknęła płaczliwie Robin. Isabel dopiła herbatę. W takim nastroju Robin wykończy nerwowo i ją, i Naomi.

Susan czekała przed „Oasis”. Przeszępowała z nogi na nogę i dygotała jak osika w cieniutkiej bluzeczce, nieodpowiedniej na chłodny sierpniowy dzień. Jej ramiona pokrywała gęsia skórka. Kurczowo tuliła do siebie zamszową torbę, jakby to był termofor. Isabel intrygowało, kiedy córka i jej przyjaciółki wpadną na rozsądny pomysł umawiania się w sklepie, nie przed nim.

- Cześć, Susie! - Robin przeszła czarodziejską metamorfozę z naburmuszonej nastolatki w roześmianą i pogodną dziewczynkę. Odgarnęła włosy z twarzy i zaczęła dumnie prezentować nowe nabytki.

- Sztuczna skóra! - pisnęła Susie! - Bomba, Rob!

Chichotały obie, gdy Robin odrywała cenę i z dumą przymierzała łup.

- Susie, co z dzisiejszą dyskoteką? - Isabel nie miała ochoty stać na dworze przez cały dzień.

- Mama nie może po nas przyjechać, idzie na przyjęcie. Wie, że to jej kolej, ale bardzo panią przeprasza i dzisiaj nie może. - Susie nawet nie wyjęła głowy z torby z zakupami Robin.

Super, stwierdziła Isabel z kwaśną miną. Jeszcze jedna z bujnym życiem towarzyskim. A to oznacza, że Frajerka Farrell nie pójdzie spać do wpół do drugiej, żeby przywieźć do domu cztery spocone nastolatki, chociaż to nie jej kolej udawć się na dyskotekę w roli szofera. Wspaniale.

- Będę na was czekała o wpół do drugiej przy wejściu - oznajmiła stanowczo. - Nie spóźnijcie się.

- Dobrze, mamo. Dzięki. - Oczy Robin lśniły, jakby zapomniała, że przez ostatnie dwie

godziny dąsała się bez powodu.

- I pożycz Susie tę nową kurtkę, przecież ona jest sina z zimna. Chodźmy, Naomi - Isabel uśmiechnęła się z trudem. - Teraz poszukamy czegoś dla ciebie.

W drodze do domu rozmyślała o piątkowych wieczorach w życiu samotnych kobiet zakochanych w żonatych mężczyznach. Dzisiejszy wieczór Jack spędzi u boku Elizabeth, na balu dobroczynnym, bardzo ekskluzywnej imprezie, gdzie tylko kelnerzy nie przyjeżdżają limuzynami i gdzie podaje się naj wytworniej sze przystawki, wina i szampany.

Ona natomiast będzie siedziała w domu, w powyciąganej bluzie i legginsach, i ze znużeniem zmieniała kanały w telewizorze i rozważała, czy zabrać się za prasowanie. Dzięki matce Susie nie mogła się nawet uraczyć ginem z tomkiem i pójść spać. Z radościaposzłaby na przyjęcie, porozmawiała z nowymi ludźmi, lecz nie chciała wychodzić gdziekolwiek bez Jacka, do tego stopnia, że wołała siedzieć sama w domu i o nim myśleć niż zazdrośnie patrzeć na pary, które mogły otwarcie pokazywać się razem.

Ich związek nie był taki, jak oczekiwała. Gdyby nie kochała Jacka Cartera całym sercem, nigdy by się w coś takiego nie wpakowała.

W domu błyskawicznie upichciła szybki obiad dla siebie i Naomi, dziękując losowi za gotowe mrożone dania.

- Pyszne, mamó - Naomi jadła dwa razy szybciej niż zwykle. - Czy mogę iść do parku? Będziemy się dzisiaj bawić w podchody.

- Leć. Ale wróć najpóźniej o wpół do ósmej. - Isabel pocałowała ją w czoło na pożegnanie. - Coraz wcześniej robi się ciemno i chłodno.

Bez Naomi dom wydawał się pusty. Isabel pozmywała naczynia i zastanawiała się, czy Jack zadzwoni. Obiecał, ale jeśli szykuje się na uroczyste przyjęcie, może przecież zapomnieć.

A jeśli dzwonił, kiedy jej nie było? Uprzedzała go co prawda, że się wybiera na całodzienne zakupy, ale jeśli tylko wtedy miał ku temu okazję? Wyobraziła sobie, jak telefon żałośnie dzwoni w pustym domu, a ona, która teraz tak niecierpliwie czeka, tkwiła wtedy w korku i marzyła o Jacku.

Zdesperowana zabrała się za sprzątanie. Ostatnio bardzo się zaniedbała w pracach domowych. Wobec wizji Davida spędzającego u nich cały weekend zmobilizowała się: nie chciała, żeby pomyślał, iż mieszkają w chlewie. Nie żeby to miało dla niego jakiegokolwiek znaczenie, stwierdziła z goryczą.

Dotychczas nie dał jej ani jednego pensa na dziewczynki. Nie wiedziała, czy oksfordzki dom został sprzedany czy nie. Zapomnij o nim, poleciała sobie ostro. Jesteś teraz zdana na własne siły. Brak gotówki to integralna część życia samotnej matki.

W tym momencie wyobraźnia podsunęła jej wizję Elizabeth Carter w czerwonej sukni, która

kosztowała prawdopodobnie więcej niż miesięczny dochód Isabel, i to przed opodatkowaniem. Jak może z niąrywalizować? Jack nie zadzwoni, po co miałby to robić?

Isabel zwalczyła pokusę, by pobiec na górę i łyknąć środek antydepresyjny. Ostatnio ograniczyła ich spożycie o ponad połowę i zamierzała zrezygnować z nich całkowicie w ciągu najbliższych miesięcy. Miłość do Jacka dała jej potrzebną motywację. I zarazem miłość do Jacka sprawiała, że czasami potrzebowała ich bardziej niż kiedykolwiek...

Głęboko zaczerpnęła tchu i zabrała się za sprzątanie kuchni. Metodycznie szorowała stół, blaty szafek, zlew. Następnie umyła okno i wytarła na mokro podłogę. Ogródek na tyłach nadal przypominał najdzikszą dżunglę, ale uwagę od widoku za szybą odwracały urocze porcelanowe bibeloty, które ustawiła na parapecie. Taką przynajmniej miała nadzieję.

To w stylu Davida, wyrzec na zewnątrz, skomentować wygląd ogródka i jeszcze poradzić, żeby wzięła kogoś do strzyżenia trawnika, choć nie miała ani grosza na takie zbędne wydatki.

Kuchnia lśniła czystością, a ona zabrała się za przedpokój i schody. Jak ja usłyszę telefon przez ryk odkurzacza, martwiła się.

Półtorej godziny później mały domek był wypucowany do połysku a Isabel padała z nóg. Nie ma to jak porządne sprzątanie, żeby się oderwać od kłopotów sercowych, stwierdziła z zadowoleniem. Po pięciu minutach sam na sam z kłakami kurzu wpadasz w szał czyszczenia i zastanawiasz się, ile za taką intensywną sesję zażyczyłaby sobie siła fachowa.

Zerknęła na zegarek. Zaraz zacznie się w telewizji pierwszy odcinek nowego serialu, osadzonego w latach czterdziestych. Lubiała filmy, których akcja dzieje się w przeszłości, czuła się wówczas tak, jakby stawała się kimś innym. Może dzięki temu zapomni o swoich problemach.

Umyła się i posmarowała twarz kremem nawilżającym. Starzejesz się, Isabel, poinformowała swoje odbicie w lustrze. W przyszłym miesiącu stuknie ci czterdziestka. Czterdziestka!

Ponuro przyglądała się swojej twarzy, nie dostrzegając czystych, regularnych rysów. Nie zwracała uwagi na przejrzyste błękitne oczy, tylko na drobniutkie zmarszczki wokół nich. Nie wiadomo, czy te nowe cudowne kremy je wygładzą.

Kiedy zadzwonił telefon, sądziła, że to Robin z informacją o jakiejś zmianie planów. Tymczasem był to Jack.

- Witaj, Isabel.

Serce stanęło jej w gardle na sam dźwięk jego głosu.

- Jack. - Z przyjemnością wypowiedziała jego imię. - Miałam nadzieję, że zadzwonisz.

- Próbowałem wcześniej, ale nikt nie odbierał. Muszę z tobą porozmawiać.

- Odkurzałam - wyjaśniła. - Myślałam, że usłyszę dzwonek mimo szumu, ale jak widać...

- Tęsknię - wyznał niskim, głębokim głosem. - Przez cały dzień nie mogłem się doczekać,

kiedy cię usłyszę. Wiedziałem, że wychodzisz po południu, ale i tak dzwoniłem mając nadzieję, że może wróciłaś wcześniej...

- Kochany - Isabel przysiadła na łóżku. - Ja też cały czas o tobie myślałam.

- Chciałbym się z tobą jutro spotkać.

- Ale musisz iść do klubu K - dokończyła ponuro. Na zamknięte przyjęcie, gdzie, jak żartowały Maeve, Emily i Phil, Tanya Vernon będzie zastawiała na niego sieci. Jak to powiedziała Emily? „Założę się o dychę, że wtedy zaciągnie go do łóżka”. Chociaż w to nie wierzyła, zazdrość już kiełkowała w jej sercu, już sączyła jad i zwątpienie. Tanya i Jack, szeptał cichutki głos, Jack i Tanya...

- Wyjeżdżam z samego rana, ale wrócę w niedzielę w południe - mówił. - Może wtedy?

Miała ochotę zakląć siarczyście.

- Idę na obiad do mamy - jęknęła. - Zaprosiła mnie, bo dziewczynki będą z Davidem. A później?

Teraz on jęknął.

- O wpół do czwartej lecę do Londynu.

Przez chwilę oboje milczeli. Romans na boku to gorsza sprawa niż rozmowy pokojowe na Bliskim Wschodzie, pomyślała. Kiedy jedna strona ma czas, druga jest zajęta. A może Jackowi wcale nie zależy na spotkaniu z nią? Może tak mu wygodniej?

- Będę w redakcji w poniedziałek - powiedziała dużo chłodniej. - Możesz do mnie wtedy zadzwonić.

- Czyli mam nie telefonować do domu? - zaniepokoił się nagle.

- To bardzo skomplikowane - zaczęła powoli. - Robin jest bardzo ciekawska, a kiedy odbierze twój telefon, będzie ją intrygowało, co to za tajemniczy mężczyzna ni stąd, ni zowąd dzwoni do matki.

- Isabel, najdroższa - jego głos był jak pieścizna, dotykał ją poprzez kabel telefoniczny. - Bardzo chcę się z tobą zobaczyć, musisz mi uwierzyć, ale w ten weekend to niemożliwe. Wszystko przez tę konferencję. Sam wróciłbym jutro rano, ale lecą ze mną Malley McDonnell, Eugene Flynn i Tanya Vernon.

Isabel gwałtownie zaczerpnęła tchu. Nagle zrobiło jej się niedobrze z zazdrości.

- Możemy się spotkać we wtorek? - zaproponował.

- Nie wiem, czy mi coś nie wypadnie. Wiesz, jakieś przyjęcie, jakaś konferencja - odparła nonszalancko, żeby ukryć urazę. Leci z Tanya! Jak może? Czyżby dziewczyny z redakcji miały rację?

- Nie zachowuj się tak, Isabel - poprosił. - Wiem, że ci trudno. Na Boga, ja tracę rozum...

Oczyma wyobraźni widziała, jak przeczesuje włosy znajomym gestem. Biedny, kochany Jack. Uwielbiała bawić się jego włosami. Nagle wyobraźnia podsunęła jej obraz Tanyi Vernon,

która siedzi przytulona do niego w helikopterze, tak jak ona w drodze do May o. Widziała wąską, gorącą dłoń Tanyi na jego udzie podczas kolacji, widziała, jak posyła mu uwodzicielskie spojrzenie spod opuszczonych powiek. Takie spojrzenie, które mówi: „Chodź i weź mnie”. Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nie oprą się pokusie. David nawet nie próbował.

Na myśl o nim stwardniała. Latami robił z niej idiotkę, ale to się nie powtórzy.

- Zadzwoń do mnie do redakcji, Jack - powiedziała takim samym ostrym tonem, jakiego używała, gdy Robin coś zbroiła. -1 baw się dobrze. Jestem przekonana, że Tanya okaże się uroczą towarzyszką.

Odłożyła słuchawkę i natychmiast pożałowała tych słów. Zachowała się jak zepsuty dzieciak. Cholera! Ale nie mogła się opanować. Była zazdrosna, przerażona, cierpiąca. Czy Jack ma w ogóle pojęcie, co to znaczy siedzieć samej w domu i cały czas o nim marzyć? Czy wie, jak to jest - myśleć o kimś dniami i nocami mając świadomość, że on jest z inną osobą? Nie, nie wie. I nigdy sienie dowie.

Telefon rozdzwonił się ponownie, głośno i uporczywie. Wpatrywała się w niego i nie podnosiła słuchawki. W głębi serca chciała to zrobić, chciała usłyszeć głos Jacka, chciała, żeby powiedział, że oszalała, że rozumie, jak jej trudno.

Telefon umilkł. Po minucie zadzwonił znowu, wysoki dźwięk świdrował jej mózg. Najchętniej położyłaby się do łóżka i szlochała jak dziecko.

- Mamo, wróciłam! Przepraszam za spóźnienie, ale było tak fajnie! - Naomi zamknęła za sobą drzwi wejściowe.

- Cześć kochanie, zaraz zejdem! - odrzyknęła Isabel. - Tylko odbiorę telefon.

Niechętnie podniosła słuchawkę.

- Isabel, o co chodzi? - dopytywał Jack. - Chyba nie jesteś zazdrosna o Tany ę, to śmieszne!

- Dlaczego? - zapytała zawzięcie. - Powszechnie wiadomo, że Tanya Ver-non chce cię zaciągnąć do łóżka...

- Powszechnie wiadomo? - powtórzył z niedowierzaniem. - Po raz pierwszy o tym słyszę, Isabel. Tanya to ambitna młoda kobieta. Właściwie jej nie znam, a zabieram ją ze sobą tylko dlatego, że chcę porozmawiać z Flynnem, a on z kolei obiecał zawieźć ją na konferencję.

- Och. - Isabel zrobiło się głupio.

- A jeśli panna Vernon liczy, że zrobi karierę przez łóżko, trafiła do niewłaściwej firmy. Eugene Flynna interesują wyłącznie kobiety o koncie bankowym większym niż jego, a ja nie lubię karierowiczek jak ona. Dlaczego miałbym zawracać sobie głowę Tanyą, skoro mam ciebie, Isabel? Nie rozumiesz? Nie ufasz mi?

- Ufam - odparła powoli. Było jej strasznie głupio. Pozwoliła, by jej kompleksy wpłynęły na sytuację między nimi.

- Cholera! - zaklął. - Naprawdę chciałbym się z tobą jutro zobaczyć, Isabel. Nie podoba mi się, że cię zostawiam w takim stanie, wiem, że jest ci ciężko. Musisz jednak zrozumieć, że zawsze byłem z tobą szczery, zarówno jeśli chodzi o uczucia, jak i... - zawahał się. - To nie jest rozmowa na telefon. Musimy się spotkać, i to jak najszybciej.

Nie myliła się, jego głos był pełen emocji.

Isabel również była bardzo poruszona. Nie chciała, żeby pomyślał, że mu nie ufa. Ale to wszystko było takie skomplikowane. Gdzie jest jej miejsce? Dlaczego tak bardzo straciła dla niego głowę, skoro prawdopodobnie nie ma dla nich żadnej przyszłości?

- Jeśli nie chcesz, żebym w weekend dzwonił do domu, błagam, zadzwoń do mnie na komórkę - poprosił.

Uśmiechnęła się po raz pierwszy.

- Możesz zadzwonić do domu - uległa. - Wyglądałam się mówiąc co innego. Jego głos także się zmienił, nie był już napięty, tylko taki, jaki kochała: ciepły i niski.

- Oberwiesz za to! - zagroził. - Gdzie masz największe łaskotki; pod pachami czy na stopach?

- Połaskoczysz mnie w stopy i po tobie! - odcięła się. - Jack, muszę kończyć. Naomi właśnie wróciła do domu i zaraz przyjdzie na górę. Przepraszam za...

Nie dał jej dokończyć.

- Nie przepraszaj, Isabel. Nie masz za co mnie przepraszać. Domyślam się, że nie jest ci łatwo widząc, jak idę na przyjęcie bez ciebie. Gdybym był na twoim miejscu i miał siedzieć w domu i wyobrażać sobie, jak cię podrywają obcy mężczyźni, szalałbym z zazdrości, naprawdę. Ale nie masz powodu, żeby mi nie wierzyć, Isabel.

- Bardzo się cieszę, naprawdę. Więc do usłyszenia jutro. Do widzenia, Jack.

- Do widzenia, kochanie.

Jeszcze długo wpatrywała się w słuchawkę, zanim wyszła z sypialni. Mało brakowało, a powiedziałaaby: „Kocham cię”. Chociaż go kocha, nie może tego powiedzieć, nie, skoro on sam ani razu nie wspomniał nic na ten temat.

Jeśli jej nie kocha, dokąd zmierza ich związek? Roześmiała się gorzko. A nawet jeśli ją kocha, co to zmienia? Podwójne życie, potajemne lunche i kradzione losowi noce w pięciogwiazdkowych hotelach. Ona pragnęła spokojnych wieczorów w domowym zaciszu, poranków w tym samym łóżku, wspólnych śniadań w przyjaznym milczeniu, wspólnego życia, normalnego życia.

On jednak należy do innej kobiety, a po tym, co razem przeszli... Isabel wiedziała, jak bardzo boli zdrada męża, ale czy właściwie nadal się tym przejmowała? Nagle zdała sobie sprawę, że przestała mieć wyrzuty sumienia z powodu Elizabeth. Żona Jacka jest jak rozpuszczone dziecko, żyje zabawą i przyjemnościami i wciąga nosem tyle pieniędzy, że niejedna afrykańska wioska

żyłaby za nie miesiącami. Isabel jej nie współczuła. W pewnym sensie nienawidziła jej za zmarnowane życie, i za to, że była żoną Jacka.

Isabel go kochała, uwielbiała; niech każda kobieta walczy o swoje szczęście. - Jak się bawiłaś, Naomi? - zapytała. Zanim zeszła na dół, kilka razy głęboko zaczerpnęła tchu.

Po bezsennej nocy, spędzonej na rozważaniach, czy Jack ją kocha czy nie, Isabel usnęła dopiero kiedy świt rozjaśnił czern nieba. Obudziły ją okrzyki Robin.

- Tata przyjechał! Przyjechał!

Isabel jęknęła głośno. Czowała, jak u nasady czaszki pulsuje migrena gigant.

- Wprowadź go do środka i podaj herbatę - mruknęła przez otwarte drzwi sypialni. - Zaraz przyjdę.

Powlokła się do łazienki. Z lustra spojrzała na nią blada twarz o podkrążonych oczach. Nie było to częścią jej planu.

Miała zamiar powitać Davida przy drzwiach, pięknie ubrana, umalowana i pachnąca, z kluczykami do samochodu i torebką w dłoni, żeby dać mu do zrozumienia, że nie zaprosi go do domu.

Nocne rozmyślenia o Jacku popsły wszystko. Wyglądała, jakby przechodziła wyjątkowo ciężką grypcę, i nie wystarczy jej dziesięć minut, by doprowadzić się do ludzkiego wyglądu. David będzie miał mnóstwo czasu, by myszkować na dole. Podekscytowane córki będą go zabawiać rozmową, a on od niechcenia przejrzy jej rachunki, torebkę i wszystko, co mu wpadnie w ręce.

- Naomi! - wrzasnęła pod wpływem natchnienia. - Zaprowadź tatę do salonu! - Dopiero co skończyła go urządzić. Nie było tam nic osobistego.

- Tu mu dobrze, mamo! - dobiegła odpowiedź Naomi.

Cholera po raz drugi!

Isabel naciągnęła czepek na głowę - przecież nie pokaże się Davidowi z mokrymi włosami po raz pierwszy od miesiący - i wzięła najszybszy prysznic w życiu. Dziesięć minut później schodziła na dół, umalowana i zlana perfumami. Nie obchodziło jej, że biały kostium, którego David nigdy nie widział, to zbyt oficjalny strój na sobotni poranek. Chciała go jednak onieśmielić, żeby nie próbował żadnych sztuczek. Bo, przyznała się, zanim weszła do kuchni, była zdenerwowana. Niełatwo spotkać się z mężem kilka miesięcy po tak gorzkim rozstaniu.

- Dzień dobry, Davidzie - zwróciła się do tyłu jego głowy.

Odwrócił się od okna i posłał jej szeroki uśmiech. Córki ulokowały się po jego bokach - Robin trzymała go za rękę, Naomi parzyła kawę.

Isabel zapomniała już, jaki jest wysoki i szczupły, jak świetnie wygląda w koszuli khaki i

zielonych drelichowych spodniach. W świetle poranka jego włosy przybrały głęboki kasztanowy odcień.

Był krócej ostrzyżony i miał szczuplejszą twarz, ale poza tym stał przed nią ten sam David, rozluźniony mimo trudnej sytuacji i napięcia w kuchni. Isabel często twierdziła, że byłby przestępcą doskonałym, teraz miała na to dowody. Miał beztroską minę, jakby na kilka dni wyjechał w interesach i właśnie wrócił do stęsknionej rodzinie. Nie sprawiał bynajmniej wrażenia człowieka, który po raz pierwszy odwiedza żonę, z którą jest w separacji w jej nowym domu - domu, w którym nie jest mile widziany.

- Świetnie wyglądasz, Izzy - oznajmił ciepło.

Isabel nakazała sobie zachować spokój. Posłała mu kosę spojrzenie i zignorowała komplement.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - zapytała.

David pieszczotliwie zmierzwił włosy Robin. Nie zauważył, że pieczołowicie ułożyła je w specjalną fryzurę i teraz niszczył jej wysiłki.

- Tato! - odsunęła się i natychmiast zabrała za poprawianie jasnych kosmyków.

- Przepraszam, Robin - rzucił nonszalancko. - Za to możesz wybrać, co dzisiaj robimy. Co powiesz na kręgle i McDonald'sa?

Spojrzała na niego pogardliwie, a Isabel z trudem powstrzymała się od śmiechu. Najwyższy czas, by David się dowiedział, że podczas wakacji jego kociątko wyrosło na młodą lwicę, gotową pokazać pazury przy pierwszej okazji.

Ta Robin, która nie posiadałaby się z radości grając w kręgle i zjadając hamburgery, należała do przeszłości. Nowa Robin wołała zakupy albo kolacje w drogich restauracjach.

- Kręgle to wspaniały pomysł! - wtrąciła ochoczo Naomi. Zawsze czujny pośrednik, pomyślała Isabel z czułością.

- Na Boga, kręgle to dziecinada! - zachnęła się Robin.

- Hej! - David objął je obie. - Nie chcę, żeby moje dwie piękne córki się kłóciły.

Komplement nieco poprawił Robin humor.

- Jeśli chcesz, możemy iść na kręgle, Naomi - zgodziła się. - Pod warunkiem, że potem pójdziemy na lunch do hotelu „Clarence”. Jego właścicielami sąU2. Jedna dziewczyna z mojej klasy widziała tam Leonardo di Caprio. Dobrze, tato?

- Pewnie, Robin, gdzie tylko chcesz.

- A więc załatwione - wtrąciła energicznie Isabel. Zerknęła na zegarek i podniosła wypchaną aktówkę. - Muszę lecieć, mam spotkanie w redakcji, a potem służbowy lunch. O której przywieziesz dziewczynki? - zwróciła się do Davida.

- No, nie wiem, dziewiąta, dziesiąta...?

- Bądź łaskaw wyrażać się jaśniej. - Starła się ukryć wrogość. Na darmo.
- Wychodzisz wieczorem? - zapytał gładko.
- To nie twoja sprawa - warknęła. - Masz je przywieźć o ósmej.
- Pa, mamó! - Naomi uściskała ją serdecznie, Robin tylko pomachała: - Cześć.

David poczekał, aż wyszły z kuchni.

- Liczyłem, że wyskoczymy gdzieś razem na drinka, Izzy. Musimy porozmawiać.

Isabel najchętniej powiedziała mu, żeby uciekał gdzie pieprz rośnie, że nie ma o czym rozmawiać z facetem, który nawet nie płaci na utrzymanie córek. Nie mogła jednak tego zrobić. Jest ich ojcem. I naprawdę muszą porozmawiać.

- Jutro, kiedy je odwieziesz. Wyjdziemy gdzieś na godzinę - zaproponowała. Do niedzieli wieczór może przyzwyczai się do myśli o sam na sam z mężem.

- Świetnie, czekam niecierpliwie. - Podeszedł i pocałował ją w policzek, zanim zdążyła się cofnąć. Wściekła na siebie, że tego nie przewidziała, podniosła odruchowo rękę, by wytrzeć wilgotny ślad, a David spokojnie poszedł w ślad za córkami. Zamknęły się za nimi drzwi. Została sama. Czy naprawdę była zbyt elegancko ubrana na sobotnie zakupy?

Jagnięcy udziec był, ma się rozumieć, bez zarzutu. Pamela Mullhearn gotowała znakomicie. Ziemniaki, groszek zielony, różyczki brokułów były ugotowane jak trzeba. Pamela przestrzegала zwyczaju, żeby szykować niedzielny obiad przed wyjściem na mszę.

- Nie pochwalam wylegiwania się w łóżku - zwykła mawiać.

Isabel jednak nie miała apetytu. Nie chcąc urazić matki, grzebała widelcem w talerzu i usiłowała ukryć nie dokończony kawałek mięsa pod ziemniakami. Miała za sobą już drugą bezsenłą noc rozmyślań o Jacku. Nie mogła znieść nawet myśli o jedzeniu.

Na śniadanie zadowolili się filiżanką kawy i połówką tosta. Jadła sama, bo David zjawił się o ósmej i zabrał dziewczynki do Wexford. Bez nich poczuła się zmęczona i osłabiona. Niedzielny obiad kojarzył jej się z torturą.

- Groszku, Isabel?

- Nie, dziękuję. - Oby matka nie dostrzegła, że Isabel prawie nic nie zjadła. Po raz pierwszy chyba Pamela Mullhearn nie nalegała, żeby córka wymiotła talerz do czysta. Z ożywieniem rozprawiała o nowym aspekcie swego życia: podjęła pracę w pobliskim sklepie z używanymi ubraniami, prowadzonym przez kościelną organizację charytatywną.

- Nie mają pojęcia, jak się za to zabrać. Już mówiłam twojemu ojcu, że wszystko jest nie tak jak trzeba. Nie prowadzą księgowości z prawdziwego zdarzenia, nigdy nie wiedzą ile towaru jest na składzie, nie mają nawet żelazka na zapleczu, żeby przeprasować pogniecione rzeczy!

- Nie wiedziałam, że tak się znasz na handlu - zainteresowała się Isabel.

- Zanim wyszłam za twojego ojca, pracowałam u pewnego lekarza i między innymi

prowadziłam mu księgowość - wyjaśniła Pamela. - A w ogóle to wystarczy obejrzyć kilka programów w telewizji, żeby sobie uświadomić, jak ważna jest kontrola zapasów. Nie pojmuję, jakim cudem ten sklep jeszcze prosperuje.

Widząc, że matka nie ingeruje w jej posiłek, Isabel odsunęła talerz i usiadła wygodniej z kieliszkiem białego wina w dłoni.

- Kto prowadzi ten sklep? - zapytała.

- Kiedyś robiła to pani Jewison, podobno doskonale sobie radziła, ale odkąd złamała nogę w biodrze, zastępuje ją pani Flaherty. A uwierz mi na słowo, ta kobieta nie powinna prowadzić nawet wózka w supermarkecie - perorowała energicznie Pamela.

Była wyraźnie ożywiona, oczy za okularami błyskały pogodnie, gdy opowiadała, jakie zmiany chce wprowadzić, żeby przekształcić sklepik w najbardziej dochodowy sklep dobroczynny na wschodnim wybrzeżu Irlandii. Jej entuzjazm był zaraźliwy i atmosfera przy stole stała się prawie radosna. Ojciec Isabel nie przeżuwał, jak zwykle, w milczeniu, z czujną miną, na wypadek, gdyby wyrwało mu się westchnienie, prowokujące Pamelę do wypytywania, co mu nie odpowiada w jej gotowaniu.

Ani razu nie padły utyskiwania na twarde żylaste mięso ani żadne obelgi pod adresem „tego głupiego niezdary, syna rzeźnika, który nie ma pojęcia, jak się prowadzi taki sklep”. Ona jest odmieniona, pomyślała Isabel z niedowierzaniem.

Pamela jadła z apetytem, co więcej, nawet umoczyła usta w białym winie, które przyniosła Isabel, choć rzadko piła coś oprócz sherry.

- Moim zdaniem powinniśmy być bardziej wybredni przy przyjmowaniu towaru do sklepu - rozprawiała. - W innym wypadku klienci z wypchaniem portfela będą nas omijać szerokim łukiem, przekonani, że sprzedajemy tylko stare łachy. Mając towar lepszej jakości, przyciągniemy i lepszego klienta. A kiedy bogatsi zaczną do nas przynosić swoje rzeczy, pojawią się ubrania od znanych projektantów.

- Tobie to sprawia autentyczną przyjemność - zauważyła Isabel. Dziwiła ją, ale i cieszyła pozytywna zamiana w Pameli. - Powinnaś była zająć się tym przed laty.

Matka zawstydzona się lekko.

- Widzisz, Isabel, byłam na to zbyt dumna. Uważałam się za osobę bardzo inteligentną i praca, którą mógłby dostać każdy, uwłaczała mojej godności. Teraz, po latach, przekonałam się, że to świetna zabawa i że jestem w tym dobra. Oraz - uśmiechnęła się smutno - że organizacje dobroczynne potrzebują ludzi inteligentnych w takim samym stopniu, jak wielkie firmy.

Po raz pierwszy od lat Isabel spontanicznie uściskała matkę. Pamela nie należała do osób szczególnie wylewnych, nie przepadała za całusami i uściskami. Nawet teraz zachowywała się sztywno, jakby nie do końca wiedziała, jak zareagować na taką wylewność córki. Jednak

odpowiedziała uściskiem.

- Dobra robota, mam - zapewniła ciepło Isabel. - Jestem z ciebie dumna. Jeśli ktoś może postawić ten sklepik na nogi, to tylko ty, jestem o tym święcie przekonana.

Pamela promieniała, uśmiech rozjaśniał jej zazwyczaj posępną twarz. Poprawiła jak zwykle nieskazitelną fryzurę.

- Mam taką nadzieję. A teraz powiedz, czemu tak mało zjadłaś?

Dzień mijał boleśnie powoli. Isabel nie mogła sobie znaleźć miejsca w pustym domu. Zabrała się za porządkowanie ogrodu, jednak była to syzyfowa praca, a przy monotonnym wrywaniu chwastów miała jeszcze więcej czasu na rozmyślanie o Jacku i związku z nim. Związku, który szybko zmierzał donikąd.

Wbijając łopatkę w twardą, zbitą ziemię - zawzięła się, że wykopie z korzeniami wyjątkowo głęboko tkwiący mlecz - przez cały czas miała przed oczami uśmiechniętą twarz Elizabeth Carter. Elizabeth - bogata, uprzywilejowana, leniwa... no, nie taka znowu leniwa, poprawiła się. Udzielała się w wielu organizacjach dobroczynnych, choć Isabel nie wyobrażała sobie Elizabeth stojącej za ladą w małym sklepiku z używanymi ciuchami i sortującej rzeczy. Dobroczynność w wydaniu Elizabeth to huczne bale, suknie od najlepszych projektantów, zachwyty znajomych: „Wspaniałe przyjęcie, moja droga”, i działka kokainy w zaciszu łazienki. Oraz Jack u jej boku - przystojny, we fraku, z drobnymi zmarszczkami wokół oczu, gdy się uśmiecha.

Cisnęła łopatką w upartą roślinę. Cholerne chwasty!

David wrócił z dziewczynkami o wpół do dziewiątej. Isabel powstrzymała się, by nie skomentować faktu, że odwiózł je pół godziny później niż się umówili. Spokojnie założyła zakiet, poinformowała Robin, że w zamrażarce jest pizza, gdyby ona i Naomi były głodne, i poleciła Davidowi jechać za nią swoim samochodem do baru Harbour. Tym sposobem nie będzie miał pretekstu, by po spotkaniu przyjeżdżać na Eagle Terrace.

Wypatrzyła stolik w rogu i pozwoliła, żeby David postawił jej koktajl na białym winie.

Pub pękał w szwach od stałych bywalców, którzy zaglądali tu od lat, i turystów, którzy zachwycali się przytulną atmosferą prawdziwego irlandzkiego baru. Ładnietka dziewczyna o przepastnych czarnych oczach, w spodniach chyba namalowanych na kształtnych udach, przyglądała się Davidowi, gdy ten zamawiał drinki przy barze. Isabel obserwowała ją, widziała wzrok utkwiony w jej mężu i wiedziała, że David, choć odwrócony tyłem, wyczuwa na sobie jej spojrzenie. Miał siódmy zmysł, jeśli chodzi o kobiety.

Dziewczyna trąciła w bok towarzyszkę, szepnęła jej coś do ucha i wybuchnęły obie radosnym, beztroskim śmiechem. David odwrócił głowę w ich stronę, i dziewczyna uśmiechnęła się do niego nieśmiało. Odpowiedział tym samym.

Isabel uciekła wzrokiem w inną stronę. Nie chciała, by wiedział, że go obserwowała. Boże, przecież to jak kiepska komedia. Jest świadkiem, jak jej mąż flirtuje z inną kobietą w barze, do którego przyszedli, żeby próbować się pogodzić. A była pewna, że o to właśnie chodzi. David łudził się, że uda mu się na nowo stać się częścią życia, choćby tylko na odległość. Bo niby dlaczego wypytywał Naomi o prywatne życie matki? I dlaczego bardzo się ucieszył słysząc, że „mama rzadko gdzieś wychodzi”, jak to niewinnie ujęła Naomi?

Postawił przed nią szklanę, upił potężny łyk guinnessa.

- Tego mi było trzeba. - Otarł usta wierzchem dłoni. - To był wariacki weekend.

- O czym chciałeś ze mną porozmawiać? - Zapytała szorstko.

- O nas, o dziewczynkach, o domu...

- Nie ma nas, David. Wiesz o tym doskonale. Jeśli chodzi o dziewczynki, jestem ciekawa, kiedy zaczniesz łożyć na ich utrzymanie? Minęło już ponad pół roku, a nie dostałam od ciebie ani pensa. Jestem także ciekawa, jak wygląda sytuacja z domem w Oxfordzie? Czy nadal należy do nas, a jeśli tak, kiedy go sprzedasz? Potrzebuję pieniędzy.

Na jej bezpośredniość zareagował po staremu.

- Spokojnie, Izzy, zawsze się tak spieszysz. Nie rozmawiajmy jeszcze o sprzedaży domu...

- Dlaczego nie?

- Posłuchaj mnie, Izzy. - Odstawił szklanę i przysunął się bliżej, tak że prawie stykali się kolanami pod małym stolikiem. - Nowa agencja rozwija się doskonale. Freddie uważa, że już za kilka miesięcy będziemy mieli duże zyski. Nie przestałem myśleć o willi w Portugalii. Pamiętasz, jak o tym rozmawialiśmy? Niedaleko Lizbony, a zarazem już na wsi...

- David, naprawdę jeszcze to do ciebie nie dotarło? - przerwała mu ze zniecierpliwieniem. - Tu nie chodzi o to, czy i kiedy kupimy willę w Portugalii ani jak się rozwija twoja nowa firma. Szczerze mówiąc, nie obchodzi mnie to ani trochę, o ile tylko będziesz płacił alimenty na dziewczynki. Tu chodzi o nas. Chciałbyś, żebyśmy znowu byli razem, ale to się nie stanie, koniec, kropka. Rozumiesz?

Podczas tej przemowy podniosła głos, tak że ludzie przy sąsiednim stoliku posyłali im ciekawskie spojrzenia. Isabel zarumieniła się; nie lubiła skupiać na sobie uwagi.

- Nie owijasz w bawełnę - stwierdził David.

- Nie, po co?

- Posłuchaj... - Chciał wziąć ją za rękę, ale Isabel znała jego sztuczki. Błyskawicznie cofnęła dłoń.

- Isabel - jego głos brzmiał błagalnie.

Wiedziała, że kiedy nazywa ją Isabel, sprawy przybierają poważny obrót.

- Posłuchaj - powtórzył. Tymrazem nie próbował jej dotykać. - Nieprzerywaj mi, proszę.

Ostatnio ciągle o tobie myślałem. Chciałbym cofnąć czas. Przeżyliśmy też dobre chwile, nie uważasz? Pamiętasz, jak rok temu pojechaliśmy na tydzień do Szkocji?

Zapamiętała cudowną ciszę i spokój wiejskiego domku, w którym spędzili pięć dni, i dwa szalone dni w Edynburgu. Byli, nas pozór przynajmniej, normalną rodziną, dwoje rodziców, dwoje dzieci. To co innego niż samotna matka z jedną córką nieznośną, a drugą cudowną.

David sięgnął po jej dłoń. Tym razem nie cofnęła ręki.

Przez chwilę pomyślała, jak to miło siedzieć z mężczyzną w pubie i nie musieć się przejmować, że ktoś ich zobaczy. David nie musi wracać do domu, do żony. Nagle przypomniała sobie, jak to jest - być jego żoną. Kłótnie o rachunki, szalone, nierealne plany dorobienia się fortuny, jego brak realizmu i życie w świecie fantazji, jej próby ogarnięcia codziennych spraw i kłopotów.

I pomyślała o Jacku, drogim Jacku. Tak bardzo go kocha; czas, żeby mu o tym powiedziała. Zrobi to przy najbliższym spotkaniu. Niech on sam podejmie decyzję co do ich przyszłości, ona ze swojej strony będzie wobec niego uczciwa. A jeśli Jack nie będzie chciał jej uczucia przyjąć do wiadomości - cóż, to już jego sprawa. Isabel odejdzie wierząc, że postąpiła właściwie, choćby nawet bardzo cierpiała.

- Wiele razem przeszliśmy - powiedział miękko. - Nie chce mi się wierzyć, że przekreślasz to tak beztrąsko, Isabel.

Patrzył na nią błagalnie swoimi dużymi oczami.

Isabel przyglądała mu się uważnie i głowiła się, jak mogła choćby przez chwilę brać go poważnie. Nie uległa jego urokowi.

- Niczego nie przekreślam, David. To już przeszłość. Rozstaliśmy się. Chcę rozwodu.

Tym razem to on cofnął dłoń jak oparzony.

- Chyba nie mówisz poważnie? - zachnął się.

- Jak najbardziej. Zachowajmy się jak ludzie dorośli, ze względu na nas samych i ze względu na dziewczynki. Mają dosyć kłopotów, niepotrzebni im jeszcze rodzice skaczący sobie do gardła.

David utkwiał wzrok w dnie szklanki.

- Najlepiej, jeśli ustalimy pewne sprawy jeszcze zanim skontaktujemy się z prawnikami, na przykład twoje prawo do odwiedzin. To nam wiele ułatwi - ciągnęła rzeczowo. - Mogłyby cię odwiedzić w połowie semestru, w październiku jest długi weekend. Albo - przerwała, bo nie bardzo spodobał jej się ten pomysł - jeśli to się nie uda, na Święta Bożego Narodzenia. Ja, jak by nie było, mam je na co dzień. Ale będę za nimi strasznie tęsknić...

- Obawiam się, że w Święta to... ee... niemożliwe - zająknął się. - Mam już inne plany.

Isabel ponownie straciła panowanie nad sobą.

- Nie chce mi się wierzyć własnym uszom! Przychodzisz tu i błągasz mnie, bym do ciebie

wróciła, a tymczasem masz już plany na Święta - rzuciła gniewnie. - Jak chciałeś mi o tym powiedzieć? Poinformować mnie, kiedy już do ciebie wrócę? „Przepraszam, Izzy, przepraszam Robin, Naomi. Wyjeżdżam na Gwiazdkę. Prezenty są pod... Oj! Zapomniałem o prezentach. No, ale zawsze mamy następną Gwiazdkę za rok, prawda?”

- Nie bądź tak złośliwa, Isabel - prychnął. - To do ciebie niepodobne. Świąteczny wyjazd to podróż w interesach, na pewno będzie nudno jak u cioci na imieninach. Nie ma innego sposobu, byśmy zadowolili naszych klientów, musimy im oferować to samo, co inne agencje. Właśnie stąd pomysł podróży na Jamajkę. Nie wiem, dlaczego nigdy tego nie rozumiałaś. Nigdy nie stałaś po mojej stronie...

- Masz rację - zgodziła się chłodno. - Nie stałam po twojej stronie, nie rozumiałam cię, kiedy chodziło o podróże służbowe, na które wydawaliście zyski firmy. Za te pieniądze żyłoby się nam, twojej rodzinie, o wiele lepiej. Ale nie, woleliście tuczyć za nie klientów w pięciogwiazdkowych restauracjach.

- Jesteś bardzo krótkowzroczna, Isabel - stwierdził pogardliwie. - Nic nie rozumiesz.

- Wręcz przeciwnie. - Odepchnęła niedokończony drinka. - Patrzę w przyszłość. Nasze małżeństwo jest skończone. Skoro nie jesteśmy w stanie spędzić razem godziny nie kłócąc się, trudno myśleć o następnych kilkunastu latach, prawda? A teraz porozmawiajmy o domu. Chcę go sprzedać.

W poniedziałek rano Jack zadzwonił o wpół do dziesiątej. Isabel akurat weszła do redakcji, a Jackie podbiegła do niej z plikiem wiadomości.

- Tęsknię za tobą - powiedział.

- Naprawdę? - zapytała radośnie, nie zapominając o obecności Jackie, która ciągle stała o metr od niej.

- ...dobry - mruknęła Phil. Z ulgą cisnęła ciężką teczkę na swoje biurko. - Malley chce się z nami spotkać za pięć minut, właśnie się z nią widziałam.

Isabel skinęła głową.

- Niestety, nie mogę teraz rozmawiać...Susan - rzuciła do słuchawki.

- Susan - Jack roześmiał się na całe gardło. - Nie mogłaś chociaż udawać, że jestem mężczyzną? Juan, Philippe, Dirk-jakieś bardzo męskie imię, żeby cała redakcja się głowiła, jakiego masz egzotycznego kochanka.

Zagryzła usta, żeby się nie roześmiać.

- To nie byłoby właściwe w istniejących okolicznościach, Susan, ale jeśli chcesz, mogę dać duże ogłoszenie do gazety, wiesz przecież, że jako pracownica mam zniżkę, i wymienić twoje nazwisko na pierwszej stronie.

- Doskonały pomysł - stwierdził nagle, całkiem poważnie. - Powinniśmy właśnie tak postąpić. Mam po dziurki w nosie całej tej tajemnicy. Dobrze, skoro teraz nie możesz rozmawiać, zadzwonię wieczorem do domu. Do zobaczenia, kochanie. Miłego dnia.

Jego słowa wprawiły Isabel w takie zaskoczenie, że nie była w stanie skupić się na zebraniu.

Podczas dnia miała tyle pracy, że nie było czasu na głowienie się, co Jack miał na myśli. Dopiero w drodze powrotnej do domu, po dziesięciu godzinach w redakcji, gdzie waliło się dosłownie wszystko, analizowała ich rozmowę w myślach.

Mam po dziurki w nosie ciągłych tajemnic.

Ona też. Co chciał przez to powiedzieć? Odejdzie od Elizabeth? A może po prostu zdenerwowała go głupia, niejasna rozmowa, w której tak naprawdę uczestniczyła tylko jedna strona? Zawsze tak rozmawiali w obecności osób trzecich.

W domu Robin wstawiła do piecyka gotową *lasagne*, Naomi nakryła stół. Smakowite zapachy uświadomiły Isabel, że na lunch zjadła tylko jogurt i że umiera z głodu.

- Siadaj, zrobię ci herbaty - zaproponowała Robin wielkodusznie.

Isabel podejrzewała, że spotkanie z ojcem zawiodło oczekiwania starszej córki, ale nic nie powiedziała. Dziewczynka powie jej o tym, kiedy będzie gotowa.

Po kolacji Robin zaszyła się w swoim pokoju, a Naomi i Isabel oglądały telewizję. Kiedy zadzwonił telefon, Isabel nie miała siły wstać.

- Do ciebie, mamo! - zawołała Naomi z przedpokoju.

Isabel przysiadła na najniższym stopniu schodów i wzięła słuchawkę.

- Masz zmęczony głos - zauważył Jack. - Ciężki dzień?

- Koszmarny. Zresztą cały weekend był taki. Poszłam z Davidem na drinka - zaczęła. Delikatnie wyjęła szpilki z koka i przeczesła włosy palcami.

- Tak? - Jack był spięty.

- Mówił, że chce rozmawiać o dziewczynkach, ale skończyło się na przydługich opowieściach o nowej agencji i willi w Portugalii, którą jakoby zamierzał kupić.

- Willę w Portugalii? - Jack uniósł głos. - Chyba żartował? Mówiłaś, że zbankrutował.

- Nie we własnych oczach - odparła. - Nie pojmuje tego, ale rozprawianie o willi w Portugalii, kiedy nie ma grosza przy duszy, to w jego stylu. - Podniosła oczy do nieba. - Od lat opowiadał, że chce tam kupić dom. Często spędzaliśmy tam wakacje. Oczywiście ten pomysł to gruszki na wierzbie. Zawsze udawało mu się wydać ostatni grosz, nie starczało nawet na bieżące wydatki, co dopiero mówić o dodatkowym domu.

- A co ty na to... na tę willę? - Isabel usłyszała coś więcej niż tylko cień zazdrości w jego głosie. Uśmiechnęła się pod nosem.

- No cóż, sama nie wiem - droczyła się z nim. - Lubię jeździć na wakacje do ciepłych krajów,

gdzie przez cały dzień można chodzić w bikini, i strasznie mi się podoba w Portugalii.

- Rozumiem. - Był przygaszony.

- David może sobie kupić wszystkie domy w całej Portugalii - oznajmiła litościwie - ale i tak nie będę go tam odwiedzała. Nalegał, żebym do niego wróciła. Powiedziałam, że chcę rozwodu.

- Dzięki Bogu. - Jack odetchnął z ulgą. - Przez chwilę sądziłem, że chcesz mi powiedzieć, że do niego wracasz.

- Przepraszam. Myślałam, że wiesz, że na to nie ma szans?

- Wiem - mruknął. - Tylko że... Do licha, Isabel, nagle się przeraziłem, że mi powiesz, że masz mnie dosyć, mnie i kłamstw, i tajemnic.

- Nie wygłupiaj się - poprosiła miękko. - Przecież nawet nie spojrzę na innego mężczyznę, nie rozumiesz?

- Rozumiem... dziękuję.

- Wiesz co? - Chciała jakoś poprawić mu humor. - Chodźmy jutro na kolację. Możemy pójść do jakiejś przytulnej knajpki...

- Mamo, już skończyłaś? - Robin głośno zbiegała ze schodów. - Chcę zadzwonić do Susie.

Isabel wyprostowała się gwałtownie.

- Jeszcze moment, Robin, to Phil. Muszę kończyć - rzuciła przeproszająco do Jacka. - Zobaczymy się jutro w redakcji, wtedy o tym pogadamy, dobrze? Cześć! - dodała ze sztucznym optymizmem.

Nie było sensu ciągnąć rozmowy, kiedy Robin stała nad nią słuchała każdego słowa, jednak odkładając słuchawkę Isabel poczuła się nagle głęboko nieszczęśliwa. Nie znosiła całej tej konspiracji, nie podobało jej się, że musi okłamywać córki. Dlaczego ona i Jack nie mogą mieć normalnego, jawnego związku, jak inni? Czy prosi o zbyt wiele?

19.

Będiesz się dobrze bawiła, wiesz o tym. - Maeve z ulgą wyłączyła komputer. - Fiona ucieszy się, kiedy przyjdiesz, a wiesz, że ona zawsze urządza fantastyczne imprezy. Jakie masz plany na dziś wieczór?

- Idę na gimnastykę - odparła Dee. Przysiadła na biurku przyjaciółki. - Mam aerobik trzy razy w tygodniu, a już w środę nie poszłam.

- Nie ma sensu odchudzać się jak wariatka i żyć jak pustelnica, w ogóle nie wychodząc z domu - zauważyła Maeve.

- Po tygodniu aerobiku z pewnością jeszcze nie jestem chuda - tłumaczyła Dee - ale zrzuciłam prawie trzy kilo. - Przejechała ręką po brzuchu. - Ciekawe, czy naprawdę wyglądam szczupłej, czy tylko sobie to wmawiam?

- Wyglądasz super - zapewniła Maeve. - Prawdziwy lep na facetów. Tym bardziej powinnaś pójść i flirtować ze wszystkimi przystojniakami na urodzinach Fiony.

Wyszły z redakcji i skierowały się stronę parkingu. Dee była obładowana stertą dokumentów, artykułów i wywiadów, które zamierzała przejrzeć w wolny weekend.

- Czy Karl idzie? - zapytała. - Nie chcę psuć wam zabawy.

Nie powiedziała, że nie chce być jedyną samotną dziewczyną na imprezie, pełnej zapatrzonych w siebie par, całujących się i tulących po kątach. Nie wytrzymałaby tego.

Maeve otworzyła swojego triumpha heralda, którego naprawy kosztowały ją majątek.

- Dojdzie później, bo pracuje do wpół do dziesiątej, więc przyda mi się moralne wsparcie. Obiecuj, że pójdziesz - poprosiła. - Będzie fajnie, zobaczysz. Jeśli nie pójdziesz, Dee, to po powrocie z klubu będziesz się nudziła przed telewizorem.

To prawda, uświadomiła sobie. Czekały na nianiskokaloryczne danie rybne z zieloną sałata, dwa kieliszki kalifornijskiego wina, i specjalny przysmak na piątkowy wieczór - mus czekoladowy o drastycznie zmniejszonej zawartości tłuszczu. Do tego gazeta z programem telewizyjnym i kiepski film, na który nawet nie spojrzaliby, gdyby nadal była z Garym. Kolejny podniecający wieczór w życiu Dee O'Reilly, dziennikarki doskonałej. Jeśli już się bardzo znudzi, położy sobie maseczkę, wydepiluje brwi i polakieruje paznokcie u nóg. Hurra!

- Pójdę - oznajmiła nagle. - Pojedziemy samochodem czy taksówką?

Dostrzegła go na długo przed tym, zanim on zauważył ją. Akurat przyszły z Maeve i Dee ruszyła w ślad za przyjaciółką na dół, do kuchni. Tam go zobaczyła. Od stóp do głów ubrany w wypłowiały džins, niedbale opierał się o drzwi lodówki i zajadał lody z pudełka. Przyglądał się parze, która całowała się z entuzjazmem nastolatków na pierwszej randce.

Miał jasne włosy, chłopięce, delikatne rysy i pełne, ładnie wykrojone usta, bardziej pasujące do dziewczyny niż dwudziestokilkuletniego mężczyzny. Jednak w szczupłej, zwinnej sylwetce nie było nic kobiecego. Może to skutek butelki wina, którą przed przyjściem osuszyły w domu Maeve, może fakt, że schudła, w każdym razie Dee czuła się doskonale w czarnej welwetowej spódnicy i karmelowej bluzeczce. Miała ochotę postępować beztrąsko i dziecinnie.

Obserwując, jak mężczyzna z rozkoszą dotyka ustami lodów na łyżeczce, zapragnęła być na miejscu czekoladowej substancji.

- Dee! Maeve! W końcu! - pisnęła pani domu. Nagle stanęła w drzwiach prowadzących do ogrodu. Miała żdźbła trawy we włosach, a za nią stał przystojny ciemnoskóry mężczyzna. Był od niej o dobre trzydzieści centymetrów wyższy. Fiona, w czarnych skórzanych spodniach, obcisłej czerwonej koszulce, z burzą rudych włosów, wyglądała raczej jak prezenterka MTV niż trzydziestoletnia pani dyrektor agencji reklamowej.

- Cześć, Fiona. Przepraszamy, że tak późno, za to mamy alkohol i... - Maeve podniosła paczkę w kolorowym papierze, z wielką różową kokardą- ...twój prezent urodzinowy!

- Moje kochane! - Fiona pisnęła z zachwytem. - Dzięki! Mam nadzieję, że to seksowna bielizna! Od innych dostałam kryształowe patery na owoce i perfumy, których nie lubię. A teraz przedstawiam wam Fabio. To najwspanialszy prezent urodzinowy, jaki można sobie wymarzyć. Przynajmniej raz kochany braciszek podarował mi to, czego mi było najbardziej trzeba - mężczyznę!

Popchnęła go do przodu i objęła w talii ramionami.

- Fabio, przedstawiam ci Dee i Maeve. Z Maeve chodziłyśmy razem do college[^], Dee z nią pracuje, a obie stanowią zagrożenie dla wszystkich mężczyzn - szczebiotała, najwyraźniej już wstawiona.

- Cześć - Fabio uśmiechnął się szeroko. - Fajnie, że wpadłyście - dodał z miękkim akcentem.

- Amerykanin? - zdziwiła się Dee. Myślała, że z takim imieniem musi być Włochem.

- Moja mama miała fioła na punkcie Włoch - wyjaśnił, cierpliwie wyjmując z włosów Fiony żdźbła trawy. Ciekawe, co robili w ogrodzie, zainteresowała się Dee.

- Ojciec był za granicą, kiedy się urodziłem, więc mama sama wybierała imię. Gdyby nie to, dałoby mi Luther.

- Zdecydowanie wolę Fabio - mruknęła Fiona. Wsunęła dłoń do kieszeni jego dżinsów. - Conor, mój brat, wrócił z Ameryki Południowej - wyjaśniła Maeve i Dee.

- Był na takiej wyprawie z college'u, w Chile, Ekwadorze... no, wszędzie. Wczoraj wrócił i przywiózł czterech chłopaków, między innymi Fabia. Joey śpi w moim pokoju, dokuczają mu różnica czasu, i ciągle wrzeszczy, żebyśmy ściszyli muzykę. Che chyba siedzi w przedpokoju i szuka skręty grubości marchewek. A Daryl...

- Zerknęła nad ramieniem Dee w stronę lodówki, gdzie przystojniak zmysłowo oblizywał sobie palce. - A Daryl objada nas do kości. Usiłuję go namówić, żeby poszedł na górę, na przyjęcie, ale upiera się, że lubi siedzieć w kuchni. Chyba jest nieśmiały.

- Skąd pochodzi? - zapytała Dee z całą niedbałością, na jaką ją było stać.

- Z Teksasu - odparł Fabio. - Podczas podróży nazywaliśmy go kowbojem.

Pasuje, oceniła Dee zerkając na Daryla ukradkiem. Brakuje tylko kapelusza - miał wszystko inne, poczynając od wielkiej klamry u pasa, na zakurzonych kowbojkach kończąc.

- Fiona, trzeba to wsadzić do lodówki. - Maeve wskazała butelkę białego wina. Fiona nie słuchała, intensywnie wpatrując się w Fabia.

- A jak ciebie nazywali? - mruknęła.

- No, Dee - ponagliła Maeve - ty masz piwo.

Popchnęła ją w kierunku Daryla, który skończył lody i buszował w lodówce w poszukiwaniu czegoś innego do jedzenia.

- Niezły, co? - szepnęła Maeve do ucha Dee.

- Niezły to mało powiedziane - mruknęła. Nie mogła oderwać od niego oczu. Miał smukłe, wąskie biodra, szerokie umięśnione ramiona... - Jest boski.

- Więc bierz się za niego - syknęła przyjaciółka. - Najlepszy sposób, żeby zapomnieć o jednym facecie, to znaleźć sobie nowego. Szybki numerek z Darylem to dokładnie to, czego ci trzeba, moja droga.

- Nie wyglupiaj się, przecież on nawet na mnie nie spojrzy... - zaczęła Dee. Maeve energicznie wepchnęła jej butelkę wina pod pachę i oddaliła się pospiesznie. - Idę do łazienki - rzuciła przez ramię i już jej nie było.

Dee przez dłuższą chwilę tępo wpatrywała się w plecy Daryla, dopóki nie wydobyl z przepastnej lodówki głowy i wielkiej miski sałatki kartoflanej.

- No, no, no - odezwał się z przeciągłym południowym akcentem, gdy się odwrócił i zobaczył Dee. Popatrzył na nią z aprobatą. - Jak ci na imię, skarbie?

Pod Dee ugięły się kolana. Powiedział to w taki sposób, jakby myślał, co rozkosznie nieprzyzwoitego zrobić z nią na podłodze. Coś szalonego, za co na zacofanym Południu idzie się do więzienia, coś z użyciem truskawek i kostek lodu...

- Mam na imię Dee - bąknęła. Nie wiedziała, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

Wyciągnął ku niej opalone na złoto ręce.

- AjaDaryl.

Czeka, aż go obejmie czy co? Jego gest zbił Dee z tropu.

- Daj te puszki, wsadzimy je do lodówki - powiedział.

- Już. - Zmieszana spojrzała w dół. Rzeczywiście, cały czas tuliła do siebie karton piwa i

butelkę wina.

Kiedy upchnęli wszystko w lodówce, Daryl otworzył puszkę budweisera i podsunął Dee.

- Dzięki. - Przyjęła, chociaż rzadko pijała piwo.

Otworzył i sobie, wyciągnął widelczyk z szuflady i usiadł przy stole z miską sałatki.

- Masz ochotę? - Pomachał widelcem.

Dee zaprzeczyła ruchem głowy.

- Posiedzisz tu ze mną, póki jem? - poprosił. - Nie znam nikogo i trochę mi głupio na tej imprezie.

Dee przycupnęła na stołku obok niego. Całująca się para przerwała na chwilę i spojrzała na nich ciekawie. Na górze impreza rozkwitła w najlepsze. Słyszała dźwięki „You Sexy Thing” Hot Chocolate. Prawdopodobnie muzyka leciała na pełny regulator, lecz solidne ściany kamiennego domku skutecznie tłumili dźwięki.

Maeve siedzi na górze z koleżankami z college’u, pije, pali, tańczy i żartuje, a ona została sama w kuchni, z nieznanym i parą małych, prawdopodobnie tak napalonych, że świata za sobą nie widzą i nie zdają sobie sprawy, że grozi im szczękościsk. Dee uznała, że chyba zwariowała.

Popijała piwo i obserwowała Daryla. Cały był w kolorach słońca - nierówno podcięte włosy, opadające na oczy, włoski widoczne na szczupłych, muskularnych ramionach, skóra w rozpięciu koszuli. Jak dziecko o skórze w odcieniu miodu, które godzinami bawiło się pod palącym teksańskim słońcem i pewnie uważało, że kremy do opalania są dla mięczaków.

Daryl wsunął widelec do ust, prezentując przy tym olśniewająco białe zęby i różowy język. Dee jeszcze nie widziała, by ktoś jadł tak jak on. On właściwie nie jadł, lecz pochłaniał jedzenie, zachowywał się, jakby to było najbardziej zmysłowe doświadczenie w jego życiu.

Boże, ależ on jest seksowny! Całkowicie beztrocki, niewiarygodnie atrakcyjny kowboj, który prawdopodobnie ma wszystko, czego zapagnie. Bardzo ją pociągał. Już to było szalone, ale i podniecające. To dziwne uczucie, tak otwarcie flirtować z obcym mężczyzną, gdy ciągle czuła się związana z innym. Jakaś jej część cały czas oczekiwała, że w drzwiach stanie Gary i zabierze ją do domu, przez całą drogę pouczając o niebezpieczeństwach zadawania się z nieznanymi.

Doprawdy, Dee! Ile razy ci to mówiłem? Jesteś zbyt przyjacielska, zbyt otwarta. Jesteś ufna jak szczeniak. Nie wiadomo, co sobie ten facet pomyślał. A jeśli uznał, że go podrywasz? Przyszło ci to do głowy? Nawet na chwilę nie mogę cię spuścić z oczu...

Daryl obserwował ją spod zmrużonych powiek. Ma niebieskie oczy, zanotowała w pamięci.

- Nie jesteś zbyt rozmowna, ale to mi się podoba, wiesz?

Zadrzała.

- Na pewno nie jesteś głodna? - Podsunął jej widelec z sałatką ziemniaczaną.

Dee, która była na morderczej diecie składającej się z niskokalorycznych mrożonek, chrupkiego pieczywa i owoców, ciekła ślinka, i to nie tylko na myśl o sałatce.

Pochyliła się odrobinę, otworzyła usta i powoli zjadła sałatkę. Przez cały czas patrzyła mu w oczy.

- To lubię. - Daryl uśmiechnął się szeroko.

Dee posłała mu najbardziej uwodzicielskie spojrzenie ze swego repertuaru. Podziałało. Podsunął jej następny kąsek. Zjadła jeszcze wolniej.

Wtedy wpadła w panikę. Co ona wyprawia, do cholery? Powinna siedzieć w domu i robić to samo, co przez ostatnie dwa tygodnie, czyli sprzątać i szlochać, ilekroć usłyszy w radio smutną piosenkę. Ona tymczasem flirtuje z nieznajomym na imprezie i oblizuje jego widelec z takim zapalem, jakby starała się o rolę w erotycznym show.

A może on robi to dla żartu? Uwodzić grubaszkę, aż uwierzy, że się mu podoba, a wtedy... bum! Oddali się z wiotką pięknnością, która większość czasu spędziła w łazience poprawiając makijaż.

Daryl się uśmiechnął. Szybko zamrugła powiekami.

- Podoba mi się twoja bluzka, skarbie. Tak fajnie się układa. Co to za materiał?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Dzianina.

A co tam! Może tu siedzieć cały wieczór, zdenerwowana jak zając przed polowaniem, i głowiąc się, czy naprawdę mu się podoba, czy on tylko tak udaje z jakiegoś dziwnego powodu.

Zawsze wszystko analizuje zbyt szczegółowo, i proszę, do czego ją to doprowadziło? Donikąd. Więc przestanie, w tej chwili. Może to ucieleśnienie męskiego seksu naprawdę na nią leci. Nie powinna zmarnować swojej szansy przez głupie rozważanie, dlaczego.

Zresztą niewykluczone, że oni tam w Teksasie lubią duże kobiety. A Gary'e-go tu nie ma. Jest w Londynie, zapewne siedzi w jakimś barze na Wardour Street, zagaduje dziewczyny i opowiada każdemu, kto zechce go słuchać, że wyjazd z Irlandii był najlepszą rzeczą, jaka go dotychczas spotkała.

- Więc... czym się zajmujesz, Daryl? - zapytała inteligentnie.

- Studiuję kultury Ameryki Południowej w college'u w Nowym Meksyku - odparł przeciągając po teksańsku samogłoski. Napił się piwa i otarł usta dłonią. Dee jak zahipnotyzowana obserwowała jego wargi. Równie dobrze mógłby powiedzieć, że studiuje krowy na Plutonie.

- A ty? - zapytał.

- Jestem dziennikarką.

W jego oczach błysnęło zainteresowanie.

- Super. O czym piszesz?

- Pracuję w dziale kobiecym dużego dziennika, więc pisuję o wszystkim i o niczym: reportaże, wywiady, sprawozdania...

- Na pewno jesteś w tym dobra - znowu uśmiechnął się leniwie. - Na pewno jesteś dobra we wszystkim, co robisz.

Nie było żadnych wątpliwości, co miał na myśli, zwłaszcza że wziął Dee za rękę i gładził wnętrze jej dłoni twardymi od odcisków palcami.

- Pamiątka po wyprawie? - zapytała nerwowo. - Opowiesz mi o tym?

Do tego potrzebował następnego piwa. Poszedł do lodówki, a Dee zaczęła się martwić. Powinna była zapytać o college, ale była zbyt zdenerwowana, by myśleć o kulturach Ameryki Południowej. Nie miała o tym najmniejszego pojęcia, a nie chciała wyjść na idiotkę. Z drugiej strony on również nie zadawał szczególnie inteligentnych pytań na temat jej pracy.

Daryl wrócił na swoje miejsce. Jego kolano w spranych dżinsach co chwila muskało nogę Dee w cieniutkich rajstopach.

- Jeden z moich wykładowców z San Antonio współpracował z filmowcem, który sobie wymyślił, że nakręci film o ceremoniach religijnych w Ameryce Południowej. Mieli mały budżet, więc szukali ochotników. Uznałem, że taka okazja trafia się raz na całe życie, i się zgłosiłem. Nie żałuję.

Grupa rozbawionych gości zeszła do kuchni, głośno domagając się alkoholu i przekąsek.

- Fiona mówiła, że ma gdzieś ukryte dodatkowe chipsy - jakaś dziewczyna gorączkowo zaglądała do wszystkich szafek. - Umieram z głodu.

- Daryl, zjadłeś wszystko co do okruszka, prawda? - Dee podniosła wzrok. Szczupły ciemnooki mężczyzna usiadł na krześle naprzeciwko.

- Dee, skarbie, przedstawiam ci Che, jednego z przywódców naszej wyprawy. Zna Amerykę Południową jak własną kieszeń. Che, to Dee.

Pochylił się nad stołem, ujął jej dłoń i pocałował szarmancko.

- Jestem zachwycony, *cara* - błysnął oczami z uśmiechem. Dee zarumieniła się z zadowolenia.

- Miło cię poznać, Che.

Bawiła się coraz lepiej. Co za odmiana po wieczorach w towarzystwie kumpli Gary'ego. Komplementy słyszała jedynie wówczas, gdy wysyłali ją do sklepu po więcej piwa i chipsów.

- Jest głodny, Che?

- Bardzo.

Daryl podał mu miskę z sałatką i widelec. Wstając, wziął Dee za rękę.

- Co powiesz na mały taniec, Dee? Wcześniej byłem zmęczony, ale wraca mi energia. Chyba musiałem być głodny.

Dzięki nowo odkrytej pasji do aerobiku dała radę wbiec za nim na górę i nie sapać za bardzo.

Na górze było głośno, ciasno i duszno. Powietrze, jak na każdej imprezie, przesycił zapach alkoholu i papierosów. Goście siedzieli na schodach i na podłodze, gadali, żartowali, pili z butelek, kubków i szklanek. Dee zajrzała do saloniku w poszukiwaniu Maeve, ale przyjaciółki nigdzie nie było widać.

- Chodź - Daryl zaciągnął ją do pokoju, który przerobiono na miniaturową dyskotekę - były migające światła, lustrzana kula pod sufitem i aromatyczny dym w powietrzu. Z głośników zawodziła tęsknie Nina Simone. Na parkiecie nieliczne pary kołysały się powoli.

Dee postanowiła nie zwracać uwagi na fakt, że większość tancerzy, w tym Daryl, jest o mniej więcej osiem lat od niej młodsza. W końcu to impreza Fiony, a skoro ona, zaledwie o dwa lata młodsza od Dee, urządza imprezy jak dla dwudziestolatków, z marihuaną i tulącymi się parkami, ona, Dee, nie będzie się tym przejmować. Jak to się mówi? Masz tyle lat, ile facet, z którym jesteś.

Jako że Daryl miał mniej więcej dwadzieścia cztery, na tę noc i Dee odmłod-nieje o kilka lat. Za żadne skarby świata nie powie mu, że ma trzydzieści dwa i niedawno rozstała się z narzeczonym.

- Lubię taką muzykę - oznajmił. Objął ją i przyciągnął do siebie. Niższy od Gary'ego, właściwie był akurat w sam raz. Nawet na obcasach miała głowę na wysokości jego ramienia, tak że mogła wygodnie się do niego przytulić, a on ukrył twarz w jej włosach.

- Ładnie pachniesz - szepnął.

Dee zapomniała, że przez większość czasu uważała się za osobę grubą i niezgrabną. Zapomniała o Garym i o tym, jak szlochała, ilekroć przypomniła sobie, jak brutalnie zniszczył jej pewność siebie i ich związek. Zapomniała o wszystkim, do tego stopnia rozkoszowała się świadomością, że jest w ramionach mężczyzny. Mężczyzny, który miał na nią wyraźną ochotę. Po trzech tygodniach samotności była to bardzo przyjemna świadomość. Koszula Daryla przyjemnie laskotała ją w policzek. Zamknęła oczy i przysunęła się bliżej. Pachniał szamponem jabłkowym, świeżym męskim potem i wodą kolońską, której nie rozpoznawała.

Kołysali się powoli w rytm muzyki. Daryl przyciskał ją do siebie, wsunął jedną rękę pod sweterek i gładził jej plecy przez jedwabną koszulkę. Nina Simone ustąpiła Billie Holliday.

Dee uśmiechnęła się do siebie. Godzinę temu zalałaby się rzewnymi łzami, słysząc tę piosenkę. Teraz, w objęciach teksańskiego półboga, miała w nosie Gary'ego. Niech spadnie z krzesła w tym swoim londyńskim barze i niech sobie coś skręci.

- Dee! - syknął znajomy głos.

Otworzyła oczy i napotkała spojrzenie Maeve, która kołysała się w ramionach Karla. Przyjaciółka podniosła kciuk na znak zachęty.

- Oby tak dalej! - powiedziała bezgłośnie.

Dee uśmiechnęła się, zakłopotana jak nastolatka na pierwszej randce. Karl zerknął przez ramię i puścił do niej oko.

Po godzinie tańczenia, picia niezliczonych piw i wybierania następnych piosenek Dee była mocno wstawiona i chciała odpocząć. Daryl się zgodził.

- Usiądziemy? - Popatrzył na nią z góry sennymi, niebieskimi oczami. Para na małej ławeczce przesunęła się, żeby zdołali się jakoś wcisnąć. Siedzieli jak sardynki w puszcze, nie mogli nawet ruszyć rękami.

- Poczekaj. - Daryl wiercił się przez moment, a potem bez wysiłku objął ją w tali, podniósł i posadził sobie na kolanach. Nie mogła w to uwierzyć. Podniósł ją i nie dostał przepukliny?

I wcale nie dyszał, jakby przejechał po nim walec, co zawsze wyczyniał Gary, gdy z braku miejsca siadała mu na kolanach.

- Nie jest ci za ciężko? - zapytała niespokojnie, przekonana, że gdyby Daryl wiedział, ile waży, uciekałby przed nią gdzie pieprz rośnie. Bezskutecznie starała się opierać na stopach, żeby choć częściowo go odciążyć. - Zawsze możemy wrócić do kuchni, na pewno jest tam pełno miejsca. - Już zsuwała się z jego kolan...

- Uspokój się, skarbie. Tu jest dobrze, tak przytulnie, nie uważasz? Przyciągnął ją do siebie, tak, że w ogóle nie dotykała stopami podłogi, i poczuł cały jej ciężar. Usadził ją sobie na kolanach i mocno do siebie przytulił.

Kiedy ją pocałował w usta, Dee obawiała się, że serce wyskoczy jej z piersi, tak szybko biło. Na pewno je słyszał i domyślił się, jak bardzo jest podniecona. Daryl jednak zdawał sienie słyszeć niczego. Całował ją powoli, leniwie, namiętnie, Dee żarliwie oddawała pieśczęotę. Ich języki igrały ze sobą, a jego usta pochłaniały ją tak, jak wcześniej lody czekoladowe.

Smakował solą, miętą i piwem. Dee usiłowała sobie przypomnieć, czy umyła zęby przed wyjściem z domu, ale dała sobie spokój czując jego język w ustach.

Jedną ręką przyciągał bliżej jej głowę, a druga poznawała kontury piersi Dee przez sweterek.

- Masz fantastyczne ciało - mruknął ochryple, odrywając się od niej na krótką chwilę.

Dee ogarnęła mieszanką pożądania i wdzięczności, gdy wsunął dłoń pod karmelową dzianinę, ominął jedwabną koszulkę i dostał się do jej stanika. Delikatnie masował brodawkę, aż wyprężyła się sztywno. Podoba mu się, ma na nią ochotę i nie zemdlał, kiedy usiadła mu na kolanach. Co za facet!

Całowała go jeszcze goręcej i wsunęła dłoń w rozpięcie koszuli. Miał miękką, gładką skórę. Resztkami świadomości zauważyła, jak to dobrze, że w pokoju jest ciemno i że inne pary robią to samo, co oni. Ale, o dziwo, tak naprawę wcale jej nie obchodziło, czy ktoś zobaczy, jak obściskuje się z nieznajomym. Było jej dobrze, bardzo dobrze. Maeve miała rację; potrzebowała

rozrywki.

Daryl powoli, z rozmysłem, pieścił językiem jej ucho. Ssał delikatny płatek, aż Dee drżała z rozkoszy przy każdym ruchu.

- Och, Dee - szepnął. Błądził ustami po jej szyi, zostawiając na skórze wilgotny, gorący ślad.

Nie wytrzyma tego dłużej. Pragnie go tak bardzo, że zaraz zapłonie. Aon jest równie podniecony, to oczywiste.

Ale nie w ten sposób, zdecydowała nagle. Nie na imprezie, wśród tłumu innych ludzi. Nie mogła uwierzyć, że to robi; obmacuje się z nieznanym facetem po kilku komplementach i tyłuż piwach. Co z tego, że był najwspanialszym okazem samca, jaki zdarzyło jej się spotkać w ciągu ostatnich kilku lat. Nie, nie zgodzi się na szybki numerek z Darylem w cudzej sypialni, na stercie palt.

A jeśli natychmiast nie przestaną, tak się to skończy. Nie żeby inni goście mieli coś przeciwko temu; nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

Delikatnie wyplatała się z jego objęć, wyprostowała i odgarnęła włosy z o-czu. Głęboko zaczerpnęła tchu.

- Jezu! - wy dyszała.

- Masz rację. - Daryl obserwował ją oczami zamglonymi pożądaniem.

- Nie wiem tylko... - Urwała, nie wiedząc, jak to powiedzieć. Jak by nie było, to ona wierciła mu się na kolanach niczym wygłodzona i spragniona seksu samica. Daryl nie będzie zachwycony, gdy się dowie, że chce przerwać, choć oboje dyszeli z pożądania.

- Ja... ja... nie wiem, czy chcę, żebyśmy to zrobili tutaj - wykrztusiła, zaczerwieniona z podniecenia i ze wstydu. - Nie przywykłam do czegoś takiego. To pewnie zabrzmi strasznie staroświecko, ale jestem... przepraszam, byłam z kimś związana i byłoby mi głupio tak od razu... no wiesz.

- Wiem - pieszczotliwie zmierzwił jej włosy. - Jesteś strasznie seksowna, Dee, wiesz o tym? - Musnął palcami jej sweterek.

Dee wstrzymała oddech.

- Ale możemy się umówić, żeby się lepiej poznać - zaproponował.

- Chciałbyś? - zapytała, nie mogąc ukryć zdumienia. - Naprawdę?

- Pewnie. Jestem tu dopiero dwa dni. Pokażesz mi Dublin. Co robisz jutro wieczorem?

- Czuję się, jakbym znowu miała naście lat! - oznajmiła Dee z radością. - Właściwie jako nastolatka nigdy nie robiłam takich rzeczy. Byłam gruba, miałam kompleksy... och, nie chcę nawet myśleć o tamtych czasach. Ale dzisiaj poczułam się, jakbym dopiero teraz była nastolatką!

Tańczyła po małym saloniku Maeve, podskakując z radości.

- Więc tak to jest, kiedy całujesz się z nieznajomym? - zastanawiała się na głos. - W college'u dziewczyny często rozprawiły na ten temat. Udawałam, że wiem, o czym mówią, kiwałam głową i nawet zmyśliłam historię, jak to kiedyś obściskałam się z nowo poznanym facetem przez pół imprezy. Ale - na chwilę posmutniała - tak naprawdę to się nigdy nie zdarzyło.

- Do dzisiaj, głuptasie. - Maeve szturchnęła ją pod żebro. - Myślałam, że trzeba go będzie usuwać chirurgicznie, tak się do ciebie przyssał.

- Och, Daryl może się do mnie przyssać na długo - rozmarzyła się Dee. - Ma niewiarygodne ciało, same mięśnie, twarde jak żelazo...

- Twarde? - Maeve znacząco uniosła brwi. - Wiesz, O'Reilly, dziwiłabym się, gdyby było inaczej po tym, co z nim robiłaś. Gdyby nie był, hm... twardy po tym, jak przez godzinę tańczyłaś mu na kolanach, martwiłabym się o niego.

Dee uśmiechnęła się szeroko.

- Nie to miałam na myśli. Nie chciałam podniecić go za bardzo na pierwszej randce. Poczekam na drugą! - Jej oczy błyszczały. - Jutro idziemy do kina, a potem na kolację.

- Jeśli kupicie bilety w dalszych rzędach, weźcie lepiej jedzenie na wynos - poradziła Maeve. - Sądząc po dzisiejszym przedstawieniu, nie dotrzecie do restauracji, tylko do domu, choć nie wiem, czy dacie radę dojść do łóżka. A potem usłyszysz: „Masz coś do jedzenia, skarbie? Umieram z głodu.” - Zabawnie naśladowała akcent Daryla.

- Nie wiem, czy byłabym w stanie iść z nim do łóżka w domu moim i Gary'ego, jeszcze nie...
- Dee straciła pewność siebie.

- Do diabła z Garym. Zostawił cię - przypomniała Maeve. - Jeśli chcesz, możesz zabawiać się w waszym łóżku z pułkiem żołnierzy, a on i tak nie może nic powiedzieć. Szkoda, że już dzisiaj nie zabrałaś Daryla do domu i nie kochałaś się z nim w łóżku, w kuchni, przedpokoju i na schodach. Takie egzorcyzmy na zawsze przegoniłyby ducha Gary'ego.

- Gdybym wypila odrobinę więcej, rzeczywiście skończylibyśmy na kuchennym stole - zażartowała Dee. - Ale cieszę się, że do tego nie doszło. Jest taki słodki - dodała rozmarzonym tonem. - Cieszę się, że jutro idziemy na randkę.

- Tylko jeszcze nie dawaj na zapowiedzi - ostrzegła Maeve. - Może ucieknie przed drugą randką. I nie zapominaj, że jest tu na wakacjach. Niewykluczone, że ma dziewczynę w każdym stanie i kilka zapasowych w Teksasie.

- Wiem i nic mnie to nie obchodzi - oznajmiła Dee radośnie. - Jest boski i ja mu się podobam. - Nagle wpadł jej do głowy diabelski pomysł. - Jak myślisz, iść z nim do pubu, gdzie wiecznie przesiadują kumple Gary'ego?

Maeve roześmiała się na całe gardło.

- Bomba! Zrób to koniecznie. Mogę przyjść popatrzeć? Załóż coś seksownego i przez cały wieczór wieszaj się na boskim Darylu i wsuwaj mu język w u-cho. Założę się o dychę, że Gary

pozna wszystkie szczegóły, zanim wrócisz do domu.

- Mam lepszy pomysł - szepnęła Dee. - Przyjście u Millie...tam go zabiorę.

20.

Dee cisnęła na łóżko kolejny zestaw ciuchów. Straciła już nadzieję, że znajdzie coś seksownego na randkę z Darylem. We wszystkim wyglądała okropnie, a najgorzej w nieprzyzwoicie drogich czarnych dżinsach, które kupiła specjalnie z tej okazji. Zaprzestała poszukiwań stroju idealnego i po raz setny spojrzała w lustro. Pastelowy gorset z koralowej koronki, kolejna wyrwa w budżecie, stanowił z pewnością najpiękniejszą sztukę bielizny, jaką kiedykolwiek posiadała. Nic dziwnego, pomyślała, za taką cenę... Miseczki stanika ozdabiały malutkie różyczki z satynowej wstążki, tkany w identyczny wzór elastyczny pas ścisnął jej brzuch. Wysoko wycięte nogawki uzupełniały seksowny, ale zarazem klasyczny efekt.

Nawet Dee, której zdarzało się szlochać na widok swego odbicia w bieliź-nie, była zachwycona. Oby Daryl zareagował podobnie. Po raz pierwszy w życiu udało jej się równo rozsmarować samoopalacz, tak że nie wyglądała jak zwiędła pomarańcza i wybladła bułka zarazem.

Maeve dzwoniła wczesnym rankiem i serdecznie namawiała ją na szalony seks, po którym wreszcie zapomni o paskudnym byłym narzeczonym.

- Dobrze ci to zrobi. Nic tak nie poprawia humoru jak seks z sobowtórem Brada Pitta - kusiała. - A AIDS się nie obawiaj. Masz kapturek, masz prezerwatywy. Tylko nie pozwól skuć się kajdankami.

Dee zarykiwała się ze śmiechu, ale nie pisnęła słowem ani o kuszącej bieliź-nie, ani horrendalnie drogich nowych spodniach. Ciągle się nie zdecydowała, czy jest gotowa na seks z innym mężczyzną po tylu latach z Garym. Chciała podjąć tę decyzję sama, w ostatniej chwili.

Natarczywy dźwięk dzwonka wyrwał ją z zadumy.

- Kto tam? - wyjrzała przez okno sypialni.

- Taksówka, dziecino! - odkrzyknął kierowca w średnim wieku. - W tym pani wychodzi? - uśmiechnął się łobuzersko.

Dee porwała szlafrok z łóżka i owinęła się pospiesznie. - Przyjechał pan za wcześnie! - krzyknęła. - O kwadrans.

- Dziecino, dzisiaj jest koncert w Point - usłyszała w odpowiedzi. - Mam kurs i wtedy za żadne pieniądze nie złapiesz taksówki. Tak więc teraz albo nigdy.

- Dobrze, daj mi pan pięć minut - burknęła. Zamknęła okno z głośnym hukiem i w panice popatrzyła na stertę ciuchów na łóżku. W co ma się ubrać? Cholera, cholera, cholera! Jednak w dżinsy. Wiedziała już, co ma do nich założyć, a jeśli zdecyduje się na inną wersję, zacznie od początku przeszukiwać szafę i szuflady w poszukiwaniu idealnych rajstop czy bluzki.

Klnąc na czym świat stoi, wciągnęła dżinsy, obcisłą białą koszulkę z dużym dekoltem i czarną skórzaną kurtkę. Znalazła bezlitośnie wysokie buty za kostkę, jedyne, które nadawały się

do dzinsów, bo dodawały jej wzrostu. W biegu poprawiła włosy, spryskała się Obsession i wsiadła do taksówki zaledwie sześć minut od momentu, kiedy ta przyjechała.

Taksówkarz, siwy mężczyzna w tweedowej czapce zawadiacko przechylonej na bok, puścił do niej oko:

- Wolałem tamten strój, dziecino.

Dee prychnęła coś niezrozumiale i skupiła się na widoku za oknem. Jeszcze tego brakowało, żeby obleśny taksówkarz plótł głupoty przez całą drogę. On jednak nie miał ochoty na pogawędki. Wiózł ją do centrum w zawrotnym tempie, tak że była w hotelu „Savoy” dwadzieścia pięć minut przed umówionym spotkaniem z Darylem. Nie może tyle czasu sterczeć na ulicy, uświadomiła sobie, jeszcze ją aresztują za włóczęgostwo.

Kupiła popołudniową gazetę, weszła do „Madigan’s”, zamówiła kawę, dzielnie oparła się kuszącym zapachom frytek, które jedli chyba wszyscy inni w pubie. Kiedy wróciła do hotelu, Daryl już na nią czekał. Był w dzinsach, koszulce i olbrzymim swetrzysku. Jasne, świeżo umyte włosy opadały mu na oczy, więc co chwila odgarniał je niecierpliwie.

- Cześć, Dee. - Zamknął ją w niedźwiedzim uścisku. Rękawy swetra otulały ich oboje. Chyba go od kogoś pożyczył. - Jak się masz?

- Doskonale. - Posłała mu promienny uśmiech. - Nie mogłam się doczekać.

- Ja też.

Ręka w rękę poszli do kina, kupili bilety, kubeczek prażonej kukurydzy i w ciemności czekali na początek filmu. Dee z trudem skupiała się na ekranie, do tego stopnia absorbowała ją bliskość Daryla.

Starła się siedzieć tak, by wyglądać jak najszczupłej - wciągała brzuch i u-nosiła nogi, żeby uda nie rozplaszczwały się na siedzeniu.

Daryl zdawał sienie zauważać jej zabiegów. Początkowo tylko trzymał ją za rękę, kiedy jednak zaczęły się straszne sceny i Dee odruchowo skuliła się na fotelu, opiekuńczo otoczył ją ramieniem. Przytuliła się do niego. Choćby miał jej pęknać kręgosłup w tej niewygodnej pozycji, nie ruszy się za skarby świata. Dała sobie też spokój z wciąganiem brzucha i wyszczuplaniem ud - w końcu jest ciemno, on i tak nic nie zobaczy.

Po skończonym seansie Daryl rozplýwał się w zachwytach nad reżyserem.

- Nikt nie pozoruj e przemocy tak, j ak on - entuzj azmował się, gdy szli O’ Connell Street do „Tempie Bar”.

Dee skinęła głową. Nie powie mu, że nienawidzi horrorów. Właściwie było jej obojętne, co widzieli. Gdyby Daryl zażyczył sobie iść na najtańszy gniot, w którym wszyscy bohaterowie skończyli jako karma dla psów, proszę bardzo. To randka. Z miłości trzeba cierpieć, pomyślała pogodnie.

Dlaczego niby godzinami kibicowała drużynie Gary'ego w lodowate sobotnie poranki albo zносиła piłkę nożną w telewizji, chociaż w głębi ducha wolałaby obejrzeć romantyczną komedię na drugim kanale?

Okolice „Tempie Bar”, dubliński Lewy Brzeg, tętniły życiem, kiedy tam doszli, przytuleni jak para zakochanych.

Muzyka sączyła się z otwartych drzwi barów i pubów, ludzie wylewali się na ulice, mężczyźni powoli sączyli piwo i szacowali wzrokiem przechodzące dziewczyny. Jak zwykle w sobotnią noc, po kocich łbach ciasnych uliczek zataczało się wesołe towarzystwo - chichotali, pili irlandzkie piwo i whisky w niewiarygodnych ilościach, i mieli zamiar bawić się do białego rana.

Skutkiem tego wszystkie restauracje były zajęte do ostatniego miejsca. Zajrzeli do czterech, zanim zaczęła robić sobie wyrzuty, że nie zarezerwowała stolika.

Jeśli zawiedzie wszystko inne, weisną się jakoś do bardzo modnego pubu „Oliver St John Gogarty” i przy piwie i frytkach poczekają, aż goście z restauracji przeniosą się do klubów tanecznych i zwolnią stoliki.

- A tutaj? - Daryl zatrzymał się przed małą włoską knajpką.

Znaleźli jedyny wolny stolik. Dee z ulgą opadła na krzesło. Bardzo bolały ją nogi od wysokich obcasów, umierała z głodu, a zapach pieczywa czosnkowego napływający z kuchni wyczyniał niepojęte rzeczy z jej kubkami smakowymi.

Zamówili koszyczek pieczywa czosnkowego i danie dnia: makaron z owocami morza.

Patrząc na czyste, sprane dżinsy Daryla, wiekową koszulkę i zwykły zegarek na skórzanym pasku, doszła do wniosku, że chłopak nie grzeszy nadmiarem pieniędzy. Nie chciała narazić go na zbyt duży wydatek zamawiając coś drogiego.

Uparł się, że zapłaci za kolację.

- Ty postawiłaś mi kino i kukurydzę, teraz moja kolej - tłumaczył.

Z przyjemnością obserwowała, jak je. Najwyraźniej przepadał za kuchnią włoską. Umiejętnie nawijał długie wstążki makaronu na widelec.

- U nas w domu i mama, i babcia preferują tradycyjną amerykańską kuchnię, więc rzadko jemy coś innego. I ja, i moi bracia uwielbiamy takie jedzenie - z apetytem machał sztucami.

- Ilu masz braci? - zapytała. - Właściwie nic o tobie nie wiem, zdajesz sobie z tego sprawę? - Podczas drugiej godziny ich drugiej randki wiedziała o Garym praktycznie wszystko, począwszy od rozmiarów jego rodziny, a skończywszy na tym, jak dobrze gra w piłkę i kiedy ostatnio wygrał w bilard.

Daryl był inny. Nie mówił dużo, nie zależało mu na opowiadaniu o sobie. I nie była pewna, czy chce słuchać o niej. Dla kogoś tak ciekawskiego jak Dee było to nie do pojęcia.

Właściwie im dłużej razem siedzieli i zajadali smakowity makaron z dodatkową porcją pieczywa, tym wyraźniej docierało do niej, że ona i Daryl nie mają ze sobą nic wspólnego. Ona

jest dziennikarką, ciągle szuka nowych tematów, i aż się pali, żeby wiedzieć wszystko o przystojniaku, który siedzi naprzeciwko. On mógł spędzić z nią cały wieczór i nie zadać nawet jednego osobistego pytania. Ona jest pracowita jak pszczołka, cały czas myśli o tym, co zrobi za chwilę, i zamartwia się, jeśli nie osiąga zamierzonego celu. On bez pośpiechu kończył college, w wieku dwudziestu pięciu lat wrócił na uczelnię, by dokończyć studia. Ku swemu zdumieniu Dee odkryła, że Daryl ma dwadzieścia siedem lat. Nie miał żadnych planów życiowych poza podróżowaniem po całym świecie.

Ekspedycja do Ameryki Południowej była trzecią taką przygodą w jego życiu. Wcześniej spędził sześć miesięcy na Alasce, protestując przeciw dewastacji środowiska - „Było tam zimno i nudno, skarbie” - i prawie rok w komunie w Meksyku. Niedługo wybierał się na rok do Nepalu.

W porównaniu z nim jej życie było nieskończenie nudne.

- Poszłam do pracy zaraz po college'u i nie zmieniłam jej przez sześć lat. W porównaniu z tym, co robisz, to ponura vegetacja - stwierdziła posępnie. - Nigdy nie chciałam wyjeżdżać z Irlandii. To znaczy, na stałe. Bardzo lubię podróżować, marzy mi się podróż dookoła świata, ale nie wiem, czy zdobyłabym się na odwagę, by wyjechać i pracować tam, gdzie mnie rzuci los. Tchórz ze mnie.

- Hej, są różni ludzie i różne gusta. - Daryl odsunął pusty talerz. - Moi dwaj starsi bracia założyli rodziny, mają dzieci. Jeden mieszka w Austin, drugi w San Francisco. Nie ma w tym nic złego, po prostu mnie nie odpowiada takie życie. Ale - pochylił się i otarł jej sos z kącików ust - nie pomniejszaj wartości tego, co robisz. Masz fantastyczną pracę, dom, przyjaciół. A ja? Nie wiadomo, może za dziesięć lat będę miał tylko stary plecak i tropikalną zarazę zżerającą mnie od środka, a ty będziesz szczęśliwą mężatką z gromadką dzieci.

Dee uśmiechnęła się z przekąsem na myśl, jak skutecznie zaprzepaściła swoją szansę wyjścia za mąż i posiadania dzieci. Cztery lata w jej towarzystwie wyгнаły narzeczonego aż za granicę. Może powinna zacząć się reklamować jako osoba motywująca wahających się: „Umów się z Dee, a znajdziesz odwagę, by wyjechać z domu w szeroki świat”.

- Fiona mi mówiła, że miałaś wyjść za mąż. To prawda? - zapytał.

Dee przyglądała mu się z niedowierzaniem. Niemożliwe, żeby wypytywał o nią Fionę, to nie w jego stylu. Nie, to raczej Fiona poruszyła ten temat, kiedy się dowiedziała, że się z nią umówił. Sama nie wiedziała, czy chce mu opowiadać o Garym. To zbyt świeże, zbyt bolesne.

- Wspomniałaś wczoraj wieczorem - dodał - że byłaś z jednym facetem przez kilka lat, więc chciałem się czegoś o nim dowiedzieć. Wygląda na to, że to podły dupek.

Dee uśmiechnęła się szeroko.

- Trafiłeś w dziesiątkę.

- Chodzi o to - Daryl zdawał się nieco zmieszany po raz pierwszy tego wieczora - że nie chcę

komplikować ci życia, jeśli ciągle zależy ci na tym facecie. Nie chcę okazać się następnym dupkiem. Może potrzebny ci jakiś okres samotności.

Dee była wzruszona. Włóczył z Teksasu, na którego widok leci jej ślina i z którym prawie kochała się wczoraj wieczorem, zachowuje się jak prawdziwy dżentelmen. Przyjechał tu na kilka tygodni, a nie chciał jej poganiać, nie chciał złamać jej serca, a potem uciec. Jej narzeczony nie był na tyle troskliwy.

- Daleko ci do tamtego dupka - zapewniła go miękko.

Ich spojrzenia spotkały się nad płomieniem czerwonej świeczki. Podczas kolacji wypaliła się do połowy. Dee już wiedziała, co zrobić. Przez cały czas zastanawiała się, jak postąpić. Słodki, rozważny Daryl pokazał jej drogę.

- Jeśli chcesz, możemy wpaść na kawę do mnie. W jego oczach pojawił się łobuzerski błysk.

- No pewnie.

Zanim dojechali do jej domu uznała, że to taksówkarz powinien zapłacić im, a nie odwrotnie. Zapewnili mu doskonałą rozrywkę, bo zaledwie wsiedli, Daryl zaczął od miejsca, w którym przerwali poprzedniego wieczora. Wsunął ręce pod koszulkę Dee, a ona widziała wzrok kierowcy wlepiony w lustro.

- Ładnie tu - zauważył Daryl, gdy weszli do domu. Na chwilę oderwał usta od jej szyi, zaraz jednak wrócił do jej warg, pieścił język, jednocześnie ściągając z niej skórzaną kurtkę.

Osunęli się na schody. Na trzecim stopniu pozbyli się jego swetra, a koszulka Dee powędrowała pod szyję. Daryl całował jej brzuch.

W połowie schodów ściągnął z niej obcisłe dżinsy i buty na wysokich obcasach.

Był tak podniecony i tak pełen entuzjazmu, że nie zwracała sobie głowy martwieniem się że ma czerwone ślady po obcisłych spodniach. Znacznie bardziej zajmowało ją pozbawianie go koszuli, pod którą kryło się szczupłe, silne ciało. Wyprostowała się na moment, by podziwiać muskularny brzuch koloru masła orzechowego, zaraz jednak Daryl ponownie przyciągnął ją do siebie i całował chciwie. Miał duże, wygłodniałe usta, atakował ją językiem.

Wielniana wykładzina nieprzyjemnie drapała Dee w plecy. Wierciła się niespokojnie, chcąc znaleźć jak najwygodniejszą pozycję. Na próżno. Daryl dosłownie wciskał ją w schody swoim ciężarem. Było to miłe, ale diabelnie niewygodne.

- Chodźmy do łóżka - szepnęła mu do ucha.

Bez słowa pomógł jej wstać i poszedł za nią do sypialni. Jedną ręką trzymał jej dłoń, drugą błędził po koronkowym gorsecie.

Dee skrzywiła się widząc stertę ciuchów na łóżku. Przed wyjściem nie zdążyła posprzątać i pokój wyglądał, jakby przeszła przez niego trąba powietrzna. Daryl chyba niczego nie zauważył, do tego stopnia pochłaniało go całowanie jej karku i ściąganie z ramion ramiączek. Dee zebrała ubrania w niekształtną stertę i cisnęła na krzesło.

- Na czym skończyliśmy? - mruknął, przyciągając ją do siebie. - Jesteś piękna - stwierdził ze wzrokiem utkwionym w jej pełnych piersiach, obnażonych po raz pierwszy. Usiadł na łóżku. Przyciągnął Dee do siebie tak, że stała między jego nogami, i ukrył twarz na jej biuście.

Całował, ssał i kąsał leciutko, a Dee oplotła jego głowę ramionami i poddała się pożądaniu. Poczuli się atrakcyjna i seksowna. Daryl dotykał jej chciwie, zachłannie, jakby była zjawą, która zniknie, jeśli nie będzie się z nią kochał tak, jakby od tego zależało jego życie. Dee poczuła się piękna i upragniona; z tym afrodyzjakiem nie może się równać ani najlepszy szampan, ani ostrzygi czy truskawki.

Seks z Darylembyłjak objawienie. Przywykła do seksu w wykonaniu Gary'ego, czyli wypróbowanych, wyćwiczonych zachowań: najpierw pięć minut energicznych pocałunków, potem dziesięć minut gry wstępnej i jeszcze dziesięć seksu. Szybka, podniecająca sesja, jak akt opery, zaczynający się wolną arią, a kończący tryumfalnym finałem.

Gdyby jednak trzymać się muzycznej analogii, okazałoby się, że Gary jest wyćwiczonym rzemieślnikiem, który wykonuje szybkie, starannie opracowane ruchy cały czas patrząc na zegarek, żeby broń Boże czegoś nie przedłużyć. Daryl zaś to cała opera, którą nagrywali chyba z Pavarottim.

Zaczął łagodnie, by po dwóch godzinach doprowadzić oboje do wstrząsającego łóżkiem *crescendo*. Kiedy w końcu w nią wszedł, była spocona i wilgotna, zmęczona dwoma poprzednimi orgazmami i spragniona chwili, kiedy poczuje go w sobie. Poruszał się powoli, precyzyjnie, i czekał, aż osiągnie trzeci orgazm, zanim sam szczytował.

- Jesteś piękna, Dee, i bardzo seksowna - mruknął, opadając na poduszkę koło niej. - To dopiero było!

- Mnie to mówisz! - jęknęła. Była rozkosznie zmęczona i rozluźniona. Przywarła ustami do jego ramienia, rozkoszując się ciężarem jego ręki na swojej talii.

Zamknęła oczy i czekała, aż rozlegnie się nieuniknione chrapanie. Gary zawsze zasypiał zaraz po tym, jak się kochali. To lepsze niż najlepsze tabletki, żartował. Daryl jednak nie zasnął, nie odwrócił się na drugi bok, nie zostawił Dee samej. Przysunął się, odnalazł jej usta. Całował ją powoli, leniwie, czule pieścił dłońmi rozpaloną skórę. Dee przeciągnęła się z rozkoszą.

Zaspokojeni, wyczerpani, zasnęli koło drugiej nad ranem.

Dee obudziła się o trzeciej, było jej gorąco i suszyło ją pragnienie. Chcąc się wyplątać z kołdry i objąć Daryla, obudziła go niechcący.

- Dokąd się wybierasz, skarbie? - zapytał sennie.

- Po sok pomarańczowy, umieram z pragnienia. Przynieść ci?

- Tak. Wracaj szybko.

Przyjął ją w łóżku z zapalem marynarza, który od roku nie miał kobiety.

Dee przekonała się na własnej skórze, że sok pomarańczowy i seks to lepsze lekarstwo na kaca niż pół litra wody i dwie tabletki paracetamolu. I że budzenie się przy ciepłym, muskularnym ciele nie umywa się do wstawania przy rozpaczliwym wyciu budzika.

Millie i Dan mieszkali w sporym bliźniaku w Malahide, w okolicy idealnej dla dzieci. Na środku osiedla zielenił się wielki trawnik, na którym ulokowano doskonale wyposażony plac zabaw. Kiedy w następną sobotę Dee i Daryl powoli jechali główną uliczką osiedla, dzieciaki usuwały się im z drogi. Dochodziła ósma w ciepły sierpniowy wieczór, jeszcze przez co najmniej godzinę będzie jasno. Ledwie przejechali, podjęto przerwana grę w piłkę.

Dee przypominała sobie, jak w dzieciństwie obserwowała grające dzieciaki. Nigdy się nie dołączyła. Siedziała w swoim pokoju z nosem przyklejonym do szyby, śledziła wzrokiem chude postacie i wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby umiała grać w piłkę. Shane, jej brat, został dopuszczony do ulicznej drużyny piłkarskiej, gdy osiągnął odpowiedni wiek. Mama ciągle suszyła mu głowę o plamy z trawy i kurzu na czystych koszulkach. Jedyne plamy na ubraniach Dee pochodziły z roztopionych lodów.

- Dan umie gotować, tak? - upewnił się Daryl, gdy stanęli przed zadbanym domkiem z mosiężnym numerem przy drzwiach. - Umieram z głodu.

Dee parsknęła śmiechem.

- Ty wiecznie umierasz z głodu, Daryl. Nie wiem, gdzie się to wszystko mieści.

Uśmiechnął się szelmowsko.

- Moja mama twierdzi, że muszę mieć tasiemca, innego wyjaśnienia nie ma!

- Ohyda! - Dee skrzywiła się z niesmakiem. - Teraz nic mi nie przejdzie przez gardło.

- Super. - Uszczypnął ją w pośladek. - W takim razie możemy wracać do domu.

- O, nie. - Odwróciła się na pięcie i klepnęła go po rękę.

Dan znowu pracował w ogrodzie, pomyślała z nieczystym sumieniem, gdy szli przez miniaturowy ogródek z przystrzyżonym trawnikiem i wypielonymi grządkami. Ogródek Dee bardziej niż kiedykolwiek przypominał łąkę. Nie żeby za czasów Gary'ego sprawy miały się inaczej, ale...

Dlaczego Millie dostał się czysty, schludny i pasjonujący się ogrodnictwem egzemplarz braci Redmondów, a ona trafiła na takiego, który na samo wspomnienie prac domowych dostawał wysypki?

Millie czekała przy drzwiach. Uśmiechała się radośnie.

- Dee! Tak się cieszę, że wpadliście! - Uściskała Dee bokiem, żeby nie urazić wielkiego brzucha. W szóstym miesiącu ciąży brzuch Millie przypominał balon, jak sama żartowała. Miała na sobie czarny sweter, spod którego wyglądała błękitna sukienka. Bardzo przytyła, wyglądała,

jakby miała urodzić lada chwila. Rudozłote włosy lśniły bardziej niż zwykle, bardziej też były widoczne piegi na jej nosie - pewnie opalała się w ogródku za domem.

Dee wciągnęła Daryła do przedpokoju.

- To jest Daryl - przedstawiła go nerwowo.

- Witaj, Daryl. - Millie żartobliwie uszczypnęła go w policzek. - Mam nadzieję, że lubisz jagnię *taginel* Dan zamknął się w kuchni kilka godzin temu. Wpadnie w szal, jeśli marokańska kuchnia wam nie odpowiada.

- Uwielbiam marokańską kuchnię - zapewnił Daryl.

Millie wprowadziła ich do salonu. Przy stoliku ze szklanym blatem siedziały dwie inne pary. Dee zrobiło się słabo, kiedy się okazało, że nie zna nikogo. Modliła się, aby nikt nietaktownie nie zapytał, skąd zna gospodarzy.

- Powiedziałaś Danowi, że nie przyjdę sama? - zapytała Millie półgłosem.

- Tak - odparła niedoszła szwagierka. - Chyba przeżył mały szok.

- To nic w porównaniu z tym, co ja przechodziłam, kiedy porzucił mnie jego ukochany braciszek - mruknęła Dee, przerażona wizją przedstawiania kochanka bratu byłego narzeczonego. Cały ten wieczór to pomyłka. Skąd jej w ogóle przyszło do głowy, żeby tu przyjść? Dan prawdopodobnie będzie usiłował udusić Daryła gdzieś między jagnięciem *tagine* a deserem.

- Uspokój się - poradziła Millie. - Masz prawo przychodzić z kim zechcesz, Dee. Gary cię porzucił, nie omieszkalam przypomnieć o tym Danowi. Wszystko będzie dobrze.

Dee czuła się niedobrze ze zdenerwowania, ale zrobiło się za późno, by się wycofać, więc milczała. Ostatnio była w tym domu z Garym, na urodzinach Millie, zaledwie kilka miesięcy temu, a wydawało się, że minęły lata całe. Pamiętała wszystko doskonale. Gary upił się bimbrem i zostali na noc w pokoju gościnnym, spali na starym mosiężnym łóżku, które skrzypiało niemiłosiernie przy najmniejszym ruchu.

Następnego ranka ona, Dan i Millie mieli świetną zabawę dokuczając Gary'emu, że tyle wypił, proponując klina jako najlepsze lekarstwo na kaca. Zaśmiewali się widząc, jak zielenieje na samą myśl o alkoholu...

Millie zaprowadziła Dee na miejsce. Daryl miał w nosie etykietę, która kazała mu usiąść naprzeciwko, i zajął miejsce obok.

- Wszystko w porządku, skarbie? - zapytał. Widział, jak bardzo jest zdenerwowana.

- Tak. - Z wdzięcznością uściśnęła jego dłoń.

Millie dokonała prezentacji, poprosiła Daryła, żeby nalał wszystkim wina i zniknęła w kuchni, skąd dochodziły przedziwne zapachy, stukanie garnków i, od czasu do czasu, soczyste przekleństwa. Cokolwiek gotował Dan, wymagało to dużo czasu i uwagi.

Po dwóch kieliszkach wina wypitych duszkiem, i po przybyciu ostatnich gości, Dee niemal zapomniała, jak bardzo się denerwowała, że przyszła do Dana i Millie z nowym chłopakiem.

Chrissie i Pat, młode małżeństwo, pracowali z Millie w banku. Jedno co chwila wpadało drugiemu w słowo, gdy opowiadali, jak to Chrissie nie umie nawet zrobić grzanek i całe gotowanie spadło na Pata.

- Spaliła już jeden czajnik. - Pat czule spojrzął na żonę przez szerokość stołu.

- Mądre posunięcie - pochwaliła Jane, atrakcyjna blondynka, właścicielka sklepu z konfekcją. - Powinnam była postąpić tak samo, jak tylko razem zamieszkaliśmy. - Posłała Clive'owi, współnikowi z firmy Dana, znaczące spojrzenie. - Clive uważa, że prace domowe to jeden z tajemniczych kobiecych rytuałów, jak woskowanie nóg czy farbowanie rzęs.

Dee zachichotała pod nosem.

- Kiedyś spotykałam się z takim typem. Miał zapatrzoną w niego mamusię, od której nabral przekonania, że prace domowe są poniżej jego godności - powiedziała, zanim sobie uświadomiła, gdzie jest i o kim mówi.

W tej właśnie chwili w drzwiach stanął Dan w fartuchu, śmiesznej kucharskiej czapie na głowie i z zakłopotaną miną na twarzy.

- Witam was - odezwał się. - Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, ale w kuchni nie wszystko szło tak, jak trzeba. Mężczyzna nigdy nie ma spokoju.

Dee zbladła jak ściana i liczyła, że nie słyszał, co przed sekundą powiedziała. Dan jednak nie patrzył na nią. Utkwił wzrok w Darylu, który nonszalancko rozpierał się na krześle, sączył wino i zaborczo obejmował Dee ramieniem.

Oczy Dana zwęziły się. W olbrzymim swetrze, zielonym tym razem, czarnych niegdyś, teraz tylko szarych dzinsach, ze skórzanymi bransoletkami na przegubach, Daryl wyglądał jak uliczny grajek. Daleko mu było do elegancji Gary'ego.

- Cześć, Dan, cieszę się, że cię widzę - zaczęła Dee nieśmiało. - To Daryl.

Dan się nie odzywał.

Millie, która na wszystko miała baczenie, pogroziła mu palcem.

- Cześć, Dee. Cześć, Daryl - powiedział w końcu i obszedł stół dokoła, by sztywno uściskać Dee. Przez jedną straszliwą chwilę obawiała się, że powie, jak mu przykro, że rozstała się z Garym. Nie zrobił tego jednak. Wyprostował się i wyciągnął rękę do Daryla.

Widziała, że zacisnął usta w wąską linię. Jak matka, zauważyła machinalnie. Gary przybierał taki sam wyraz twarzy, kiedy musiał zrobić coś, na co nie miał ochoty. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym Dan zasiadł u szczytu stołu i nalał sobie wina.

- Na zdrowie - odezwała się Chrissie, jego sąsiadka po prawej stronie.

- Na zdrowie - zawtórowali pozostali i tak minął nieprzyjemny moment.

- Co gotujesz? - dopytywała się Jane. - A zresztą, nieważne, co to, po prostu zabierz Clive'a do kuchni i naucz go, jak to się robi, dobrze?

- Powinien nauczyć ciebie - odciął się Clive.

Dee skrzywiła się. Czy ona i Gary zachowywali się tak samo, czy również załatwiali porachunki wśród obcych? Prawdopodobnie tak.

O tej kolacji można było powiedzieć wszystko z wyjątkiem tego, że przeszła spokojnie. Clive i Jane dokuczali sobie bez przerwy. Choć wszyscy zdawali się uważać to za coś najnormalniejszego pod słońcem, Dee denerwowała się wyjątkowo.

Popełniłam błąd przyprowadzając tu Daryla, stwierdziła z rozpaczą. Co z tego, że to Gary ją porzucił. To nie zmienia faktu, że Dan nadal był jego starszym bratem i obserwował Daryla i Dee jak matka przełożona uczennice na pierwszej potańcówce z chłopcami.

Z czasem jednak, po kilku kieliszkach wina, odprężył się i jak zwykle stał się cudownym gospodarzem. Pomagała mu Millie, która wytrwale napełniała wszystkim kieliszki. Pierwsze danie - najróżniejsze chipsy i placuszki z sosami i di-pammi - było pyszne i bardzo ostre, więc wszyscy, poza Millie i Dee, która prowadziła, wypili stanowczo za dużo.

Jagnię *tagine* to niebo w gębie, stwierdziła Dee. Starła się zlekceważyć dłoń Daryla, która pełzła po jej nodze ku paskowi gołej skóry nad pończochami. Nieco przesadziła zakładając mini z szarego zamszu i czarne pończochy na zwykłą proszoną kolację, ale nie mogła się opanować. Przy Darylu czuła się bardzo atrakcyjna, lubiła się dla niego ładnie ubierać, a seksowna bielizna doprowadzała go do szaleństwa.

Od kiedy odkrył, co ma pod szarą spódniczką, nie mógł utrzymać rąk przy sobie. Jego palce nurkowały pod jej ubranie dokładnie co dziesięć minut.

Nie patrzył przy tym na nią, z niewinną miną wsuwał pyszne jagnię i udawał, że z zainteresowaniem słucha innych. Dee sama nie wiedziała, jak jej się udaje powstrzymać głośne jęki. Dan opowiadał zawiłą historię o swoim starym motocyklu, a palce Daryla igrały z gumką jej majtek. On nigdy nie przestaje, stwierdziła ze znużeniem, ma tylko jedno w głowie.

- Ojej! - krzyknęła z zaciekawieniem. Odepchnęła rękę Daryla i pochyliła się nad stołem, ale on zaraz umieścił dłoń na poprzednim miejscu. Poczwała, że się rumieni. To się musi skończyć. Lada moment ktoś zobaczy, że Dee siedzi koło napalonej ośmiornicy. Bara-bara w sypialni to jedno, ale Daryl chyba nie rozumie, że jest czas na wszystko. A to nie była odpowiednia chwila na takie igraszki. Odnalazła pod stołem jego kolana. Oby tylko miał łaskotki! Z wprawą zacisnęła palce na najwrażliwszych miejscach. Rezultat przeszedł jej najśmielsze oczekiwania. Daryl podskoczył i uderzył nogami w szklany blat stołu, aż zabrzęczały kieliszki.

- Nic ci nie jest, Daryl? - zaniepokoiła się Millie.

- Nie, nie, wszystko w porządku - Dee z uśmiechem waliła go po plecach. - Kęs wpadł nie tam gdzie trzeba, tak, kochanie? - Na wszelki wypadek walnęła go jeszcze raz.

- Tak - uśmiechnął się szeroko.

Przy deserze Dan był pijany, a Daryl rozsądnie zaprzestał obmacywania Dee pod stołem.

Ograniczał się do głaskania jej dłoni i ukradkowego muskania piersi.

Dee przestała go karcić i siedziała z ręką na jego udzie, widząc, że Dan jest za bardzo pijany, żeby zwracać na cokolwiek uwagę.

Clive okazał się cudownym gawędziarzem, o ile on i Jane nie dopiekali sobie wzajemnie. Wszyscy trzymali się za boki ze śmiechu słuchając jego anegdot. Dan podał deser, smakowity budyń z *creme de cassis*. Dee ledwie rzuciła okiem na swoją porcję i zaraz przysięgła sobie, że następnego dnia nie weźmie do ust nic oprócz grejpfrutów.

- Niebo w gębie, Dan - Pat z apetytem oblizywał łyżeczkę. - Chciałbym równie dobrze gotować.

- Ależ, kochanie, gotujesz - zagruchała Chrissie przez stół.

Jane pochwyciła spojrzenie Dee i uniosła wzrok do nieba.

Kiedy wszyscy przenieśli się do salonu na kawę i likiery, Dee uznała, że za dziesięć minut ona i Daryl się pożegnają.

- Nie mam nic przeciwko temu, skarbie - szepnął. - Chcę jak najszybciej znaleźć się w domu i dokładnie obejrzeć te pończochy.

- Ćśś - syknęła ze względu na bliskość Dana. Niepewnie ustawiał butelki na niskim stoliku.

- Pomóc ci? - zaproponował Daryl. Dan spojrzał na niego z ukosa.

- Chyba i bez tego masz pełne ręce roboty - wybełkotał.

Dee poczuła, jak jej serce zamiera ze strachu. Chyba nie dojdzie do kłótni? Nie znosiła awantur. Nie powinni byli tu przychodzić. To był zły pomysł.

Co innego, kiedy spotykała się z Millie i Danem jako narzeczona Gary'ego. Teraz sama prosiła się o kłopoty. Z Millie mają wiele wspólnego i szczerze się lubią. Dan jednak, mimo sympatii dla Dee, kocha brata, i prawdopodobnie zawsze na jej widok będzie się zastanawiał, co by było, gdyby.

- Dan! - wtrąciła się Millie. - Nastaw wodę, kochanie. Nie starczyło na kawę dla wszystkich. Jest nas ośmioro.

Wyszedł, a ona opadła na kanapę obok Dee i Daryla.

- Biedak, nie jest mu się łatwo z tym pogodzić - stwierdziła, odprowadzając wzrokiem szczupłą sylwetkę męża.

- To nie Dee rzuciła Gary'ego, tylko on ją - zauważył Daryl pomocnie.

- Wiem, ale nie przypominaj o tym Danowi - ostrzegła Millie. - Wybuchnie. Zazwyczaj jest bardziej na luzie, lecz w tym wypadku zawiodło go poczucie humoru. Był przekonany, że jesteście dla siebie stworzeni - wyjaśniła pod adresem Dee.

Dee westchnęła głośno.

- Czas na nas - powiedziała. - Nie chcę awantury, a wszystko zmierza w tym kierunku.

- Nie idźcie jeszcze - błagała Millie. W jasnoniebieskich oczach pojawiły się łzy. - Tak chciałam, żebyśmy spędziły miły wieczór. Nie chcę stracić z tobą kontaktu tylko dlatego, że już nie jesteś z Garym...

Dee otoczyła ją ramieniem.

- Nie stracisz - powiedziała z większą pewnością niż naprawdę czuła. Wręczyła Darylowi kluczyki. - Poczekaj w samochodzie, a ja się pożegnaj z Da-nem, dobrze?

- Jasne. - Cmoknął Millie w policzek, pożegnał pozostałych i wyszedł. Dee powoli poszła do kuchni. Nie wiedziała, co ma powiedzieć Danowi, jednocześnie nie uśmiechało jej się wysłuchiwanie pijackiego wywodu na temat tego, jak to ona i Gary muszą znowu być razem. Prędzej piekło zamarznie, pomyślała.

Dan wyglądał, jakby już mu przeszła złość. Zapatrzył się w okno, na ogród zalany blaskiem księżyca. Nie zwracał uwagi na gotującą się wodę. Dee odchrząknęła głośno.

- Idziemy, Dan - powiedziała.

- Dee - mruknął i objął ją mocno.

Poczuła gulę w gardle. Do licha, chyba się nie rozplacze. Dlaczego w ogóle o tym myśli?

- Kocham cię, wiesz o tym? - mruknął. - Jesteś moją małą siostrzyczką, której nigdy nie miałem.

Tego już było za wiele. Poczuła, jak po jej policzku spływa łza wielkości grochu.

- Ja też cię kocham, Dan - chlipnęła. - Muszę iść. - Oderwała się od niego i wybiegła do przedpokoju, dzielnie ocierając mokre policzki.

- Dlaczego zachowują się tak, jakbym to ja zerwała z cholernym Garym? - piekliła się w samochodzie. - To Gary'emu powinni suszyć głowę, nie mnie.

- Słuchaj, oni się nie zmieniają - zauważył rozsądnie. - Powinnaś przestać się z nimi spotykać. To koniec i już.

- Masz rację. - Zmieniła biegi. - Mam dosyć Redmondów.

Słoneczne światło sączyło się przez szparę w zasłonach, gdy zadzwonił telefon. Dee otworzyła jedno oko, wyciągnęła rękę na oślep i podniosła słuchawkę.

- Halo? - zachrypiła w słuchawkę, ledwo żywa ze zmęczenia. Po powrocie z przyjęcia kochali się z Darylem do drugiej nad ranem.

- Dee. - Słyszac znajomy głos, usiadła gwałtownie.

- Gary! - Po co dzwoni do niej o... - zerknęła na zegarek... - wpół do jedenastej rano? Odpowiedź nasuwała się sama - Dan zdał mu relację z wczorajszej kolacji i na pewno nie pominął milczeniem przystojnego Amerykanina, który lepił się do Dee jak mucha do miodu.

- Dzwoniłem do redakcji, ale tam cię nie było. Mam nadzieję, że w niczym nie

przeszkodziłem? - zapytał głosem ociekającym sarkazmem. Najwyraźniej nie miał pojęcia, w czym przeszkodził. - Chyba nie masz znowu kaca?

- Wzięłam sobie wolny dzień - odparła.

Nagle ponownie poderwała się jak z procy. Poczula przy sobie ciepłe, zwinne ciało Daryla. Jego język penetrował jej pępek.

- Ach - jęknęła z rozkoszy, kiedy przesunął się niżej.

- Dee, co tam się dzieje? - dopytywał się Gary.

Stłumiła chichot. Maeve będzie zachwycona: jeden mężczyzna uwodzi ją w łóżku, a były narzeczony piekli się na końcu kabla telefonicznego i pyta, co się dzieje. Gary'emu za żadne skarby świata nie przyjdzie do głowy, że jest w łóżku z Darylem; po prostu Dee nie robi takich rzeczy. Przynajmniej stara Dee. Nowa zaś rozkoszowała się całą sytuacją.

Rozzochrana głowa Daryla wynurzyła się spod kołdry. Mocno pocałował ją w usta, zanim zajął się jej biustem. Łakomie ssał twarde sutki. Dee jęknęła gardłowo i oparła dłoń na jego karku, a słuchawka opadła na poduszkę.

- Dee! - Gary był na krawędzi, tak wściekły jak wtedy, kiedy wyprała jego koszulkę sportową w zbyt gorącej wodzie. Nie wiedziała, co zrobić, żeby nie parsknąć śmiechem i nie poinformować go ze szczegółami, co akurat robi. Co za ironia!

Tydzień temu nie posiadałaby się ze zdenerwowania, gdyby zadzwonił, czekałaby aż powie, że ją kocha mimo wszystko i że wraca. Jednak cztery randki z zabójczo przystojnym, uprzejmym i zauroczonym nią mężczyzną ukazały jej wiele spraw w całkowicie nowym świetle. Gary porzucił ją bezceremonialnie i teraz był Daryl. Słodki, seksowny Daryl, który pieści ją zwinnymi, doświadczonymi palcami, Daryl, który przywrócił jej pewność siebie i sprawił, że znowu poczuła się atrakcyjną kobietą, a nie górą tłuszczu, która zbyt jaskrawo się maluje.

Co za pech, Gary, pomyślała tryumfalnie. Tak, leżę w twoim łóżku z innym mężczyzną i jest wspaniale.

Usiadła, pocałowała Daryla w czubek głowy i dała mu znać, że ma być cicho. Przysunęła słuchawkę do ucha.

- O co chodzi, Gary? - zapytała, rozkoszując się przewagą.

- Chcę wiedzieć, co się dzieje!

Rozbawiona uniosła brwi.

- Jak to: chcesz wiedzieć, co się dzieje? Leżę w łóżku. Poszłam późno spać i jestem bardzo zmęczona. Mam dzień wolny, więc mogę się wylegiwać do wieczora, jeśli mi się tak spodoba.

Daryl uśmiechnął się pod nosem i ponownie pochylił nad jej piersią. Z trudem powstrzymała jęk rozkoszy.

- W każdym razie - ciągnęła - to nie twoja sprawa, co robię.

- Z kim wychodziłaś? - zapytał.

Dee stłumiła chichot. Uprawia gierki. Przecież wiedział doskonale, z kim!

- Z facetem.

- Z facetem! Co to za jeden! - wykrzykiwał Gary.

Białe zęby Daryla drażniły sutkę Dee, aż wierciła się niespokojnie.

- Nie znasz go, to Amerykanin, znajomy brata Fiony.

- Amerykanin! - Głos Gary'ego podniósł się nienaturalnie.

- Teksańczyk, dokładnie mówiąc - uściśliła Dee. Cała sytuacja podobała się jej coraz bardziej.

- Z Austin - dodał Daryl głośno.

Dee parsknęła śmiechem.

- On tam jest w tej chwili, prawda? - Gary ryczał z wściekłości. - Jest z tobą w łóżku, w naszym łóżku. To nie do wiary! Jak mogłaś!

Dee straciła panowanie nad sobą.

- Jak to, jak mogłam? Ty sukinsynu! Rzuciłeś mnie prawie miesiąc temu, nie dałeś znaku życia poza chamską notatką, że mam sprzedać dom. Nie masz żadnego prawa mówić mi, co mam robić. Zerwaliśmy ze sobą.

- Cóż, ja nie śpiam z tłumami nieznajomych - zauważył gniewnie.

- Ja też nie! - wrzasnęła do słuchawki. Poczula na ramieniu dłoń Daryla. Pocałował ją w policzek.

- Nie pozwól mu wyprowadzić się z równowagi, skarbie - szepnął.

Skinęła głową i głęboko zaczerpnęła tchu. Dlaczego w ogóle marnuje czas na rozmowę z Garym? Nie ma prawa wypytywać co i z kim robiła. Jak śmie?

- Śpiam tylko z jednym - oznajmiła spokojnie. - Nie wstaliśmy, bo padamy z nóg. W nocy kochaliśmy się jak króliki. Zadowolony jesteś, Gary?

Przez kilka sekund słuchała potoku obelg.

- A właściwie czemu udajesz, że nie wiesz o Darylu - szczególnie mocno zaakcentowała jego imię. - Jestem pewna, że Dan już do ciebie dzwonił i zdał sprawozdanie z wczorajszego wieczora. Żałuję tylko, że zabrakło ci odwagi, by powiedzieć bratu, że to ty mnie rzuciłeś, a nie odwrotnie. Może wtedy przestaliby robić wszystko, co w ich mocy, by nas pojednać - syknęła. - Najwyższy czas, żeby Millie i Dan dowiedzieli się, jaki z ciebie skurczybyk. Może wtedy zrozumieją.

Cisnęła słuchawkę na widełki.

- Doskonale. - Daryl uśmiechnął się szeroko. - Ale mu powiedziałaś.

Dee czuła się jak niegrzeczna uczennica, przyłapaną za szkołą z nieznajomym chłopcem. Powiedziała Gary'emu o Darylu, a on szalał z zazdrości. Boki można zrywać ze śmiechu! Niech tylko Maeve się o tym dowie!

Millie poprawiła się na fotelu w saloniku Dee i naląła sobie herbaty z imbryka. Smudge pojawił się nie wiadomo skąd i ciekawie obwąchiwał stopy gościa.

- Gary nie jest zachwycony - zaczęła, szukając wygodniejszej pozycji. - Zaraz zadzwonił do Dana i wypytywał o tego Daryla.

Dee zachichotała ukryta za kubkiem kawy.

- Dan powiedział, że widział Daryla tylko raz - dodała Millie - i że to wina Gary'ego, że spotykasz się z jakimś Amerykaninem. W końcu cię porzucił.

Dee nadstawiła ucha. Dan skarcił Gary'ego, że ją zostawił? Szkoda, że tego nie słyszała.

- Wczoraj, po waszym wyjściu, wygarnęłam Danowi, co myślę o jego zachowaniu. Nie był wobec was w porządku - przyznała Millie. - A teraz opowiedz o rozmowie z Garym.

- Och, Millie, to było wspinałe. - Dee uśmiechnęła się na samo wspomnienie. - Nie posiadał się ze złości. Nadal nie mogę uwierzyć, że mu powiedziałam, że Daryl jest ze mną w łóżku.

- Dan też nie przyjął tego lekko, mówię ci - wtrąciła Millie. - Jest wściekły na Gary'ego, że z tobą zerwał, ale cały czas łudził się, że jeszcze się dogadacie.

Dee wzruszyła ramionami.

- Rozumiem, ale nie mogę przez całe życie czekać, aż Gary odzyska rozum i dojdzie do wniosku, że jednak mnie kocha. Chcę żyć swoim życiem. A Daryl był mi potrzebny.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnęła się Millie. - Przecież to ucieleśnienie seksu. Dobrze, że Gary się o nim dowiedział. Może świadomość, że ma rywala, go ocuci.

- Nie wiem, czy jeszcze tego chcę - stwierdziła Dee. - W końcu dobrze się bawię. Bo po odejściu Gary'ego wcale nie było mi do śmiechu, uwierz mi. Daryl jest dla mnie dobry. Zaczynam wątpić, czy Gary kiedykolwiek był.

Millie westchnęła.

- Wiem, o co ci chodzi - przyznała. - Tylko że Dan tak chciałby, żebyście znowu byli razem, to jego marzenie.

Dee unikała jej wzroku. Ale naiwniak z tego Dana Redmonda!

- Sama nie wiem, czy chcę, żeby Gary wrócił. Wiesz, co mi powiedział.

- Wspomniałaś coś... o twojej wadze...

- To był tylko wstęp! - wybuchnęła Dee. - Powiedział, że się ukrywam za centymetrową tapetą, że noszę wulgarne, wyzywające ubrania, nie takie, jakie pasują do zastępcy redaktora działu. Nie wiem, czy naprawdę tak uważał, czy tylko chciał mi dokuczyć. Że już nie wspomnę, co się stało z moim poczuciem własnej wartości.

- A to drań. Jak on mógł?

- Skąd ja mam to wiedzieć? - Dee oparła się wygodniej. - W każdym razie powiedz Danowi,

że tym razem mały braciszek przegiął pałę.

- Dobrze. - Millie upiła łyk herbaty. - To wina ich matki, wiesz o tym. Po śmierci ojca dorwała Gary'ego w swoje szpony. Starsi chłopcy mieli w miarę normalne życie, ale Gary stał się pupilkiem Margaret. Zepsuła go do szpiku kości.

- Więc niech go sobie teraz zabiera - stwierdziła Dee. - Jeszcze herbaty?

Po wyjściu Millie kręciła się po domu, sprzątała i wspominała pierwsze dni po rozstaniu z Garym. Jego słowa, że jest gruba, brzydka i w złym guście, dotknęły ją do żywego. Spodziewała się, że wszyscy będą ją postrzegać w ten sam sposób. Teraz docierało do niej, że jego słowa dowodziły jedynie jego podłego charakteru, a nie były świadectwem jej wad. Naprawdę lepiej jej bez niego.

21.

Isabel utkwiała wzrok w wykładzinie. Nie mogła się skupić na słowach spikera. Temat brzmiał: „Kobiety w mediach”. Jako następny mówca na konferencji w hotelu „Burlington” powinna była słuchać uważnie, co ma do powiedzenia producentka telewizyjna. Ona jednak myślała o trzech nieszczęściach finansowych, które przyniósł miniony ranek.

Najpierw zadzwonili do niej z banku. Chodziło o jej debet, który powoli przybierał rozmiary Atlantyku.

- Pani Farrell, prosimy o kontakt osobisty, żebyśmy mogli wszystko omówić - usłyszała w słuchawce. - Jest kilka możliwości w pani obecnej sytuacji, ale musimy o tym porozmawiać.

Isabel skrzywiła się na myśl o gorzkich rozmowach o debecie, zwłaszcza że był grudzień, zbliżały się święta, a Robin zażyczyła sobie komputer. Co gorsza, terma odmówiła dalszej pracy. Jej wymiana albo naprawa pochłonie setki funtów. Setki, których nie miała i których bank jej nie pożyczy. Tego ranka obudziły się w lodowatym domu bez ciepłej wody. Kiedy poszła zbadać sytuację, terma wydała jedynie żalosne kichnięcie.

Jakby tego było mało, zabrała Naomi na kontrolną wizytę u dentysty, gdzie się dowiedziała, że klamry na zęby córki to konieczność. Jęknęły obie: Naomi na myśl o szpecących klamrach, bo miała nadzieję, że jako nieliczna w klasie uniknie drucianego uśmiechu, a Isabel na myśl o rachunku.

Wiecznie krytykowałaś Davida za stan waszych finansów, a spójrz, do czego sama doprowadziłaś, stwierdziła ponuro. Przestała nawet udawać, że słucha, co się dzieje na mównicy.

Ale przynajmniej nie marnowała wszystkich oszczędności na wariackie plany dorobienia się fortuny w szybkim tempie. Z drugiej strony, kupienie tydzień temu żakietu Ralphi Laurenta i spodni do kompletu nie było najmądrzejszą decyzją finansową, jaką zdarzyło się jej podjąć. Zestaw był bardzo efektowny, a zarazem klasyczny. Gdyby był nowy, a nie ze sklepu z używanymi rzeczami, zapłaciłaby cztery razy więcej. Jednak biorąc pod uwagę oplakany stan jej konta bankowego, żałowała, że zdecydowała się na zakup pod wpływem impulsu.

A wszystko dlatego, że podświadomie konkurowała z żoną Jacka, kobietą, która nie założy nawet koszuli nocnej, jeśli nie będzie na niej metki z głośnym nazwiskiem. Elizabeth Carter nie musiała się też zaopatrywać w krem nawilżający podczas sobotnich zakupów w supermarkecie, w przeciwieństwie do Isabel, która wrzucała Oil of Ulay do wózka, na paczki jogurtów i rolki papieru toaletowego.

Isabel miała do siebie pretensje, że ciągle chce się porównywać z Elizabeth. Nie mogła się jednak powstrzymać. Ledwie usłyszała, że Elizabeth uświetniła swoją obecnością jakies przyjęcie, oczywiście od stóp do głów spowita w kreacje najlepszych projektantów, a już wątpiła

we własną atrakcyjność i rozpaczliwie przekopywała szafę w poszukiwaniu czegokolwiek drogiego i ładnego na następne spotkanie z Jackiem.

Właściwie nie mówił wiele o żonie, wspominał tylko, że akurat wyjeżdża z kraju, że organizuje koncert dobroczynny albo inną imprezę. Nigdy, ma się rozumieć, nie opowiadał, co ostatnio nosi ani ile wydała na ciuchy u Harrodsa czy Harvey Nichols. Zawsze mówił o niej spokojnym, obojętnym głosem, jakby była daleką krewną, której postępowanie niewiele go obchodzi.

Isabel tymczasem nie mogła się powstrzymać i czytała wszystko, co zawierało jej imię.

Chociaż w przeszłości nie przepadała za kronikami towarzyskimi, teraz z u-wagą studiowała je codziennie. Nazwisko żony Jacka regularnie pojawiała się w drogich magazynach i brukowcach.

Jak zwykle szalenie elegancka w sukni od Gucciego i pantoflach Manolo Blahnik, Elizabeth Carter uczestniczyła w uroczystości otwarcia...

Podczas gdy większość stałych bywalców wyścigów trzęsła się z zimna w powiewnych sukienkach, a obcasy pantofli aż do nasady tkwiły w błocie, pani Carter nie zmarzła, a zarazem imponowała doskonałym gustem w kaszmirowym płaszczu od Jaspera Conrana, do którego założyła nieco łobuzerski kapelusz Phillipa Treacy...

Artykuły zawsze ilustrowały fotografie doskonale ubranej Elizabeth, która wyglądała tak, jakby armia stylistów pracowała nad nią przez miesiąc. W porównaniu z nią Isabel wydawała się sobie brzydka i bezbarwna.

Isabel, która nigdy w życiu nikogo nie darzyła nienawiścią, zaczynała żywić to uczucie wobec żony Jacka. Gdyby miała być ze sobą szczerą, przyznałaby, że nie dlatego, że Elizabeth stać na wydanie tysięcy funtów na jedną suknię, a Isabel z bólem kupowała używany żakiet za ułamek tej sumy. Chodziło o coś więcej.

Elizabeth miała to wszystko, czego nie miała Isabel: nie musiała zaczynać od nowa, bez grosza przy duszy, bo beztroski mąż puścił całą rodzinę z torbami. Urodziła się w czepku, posiadała prywatny dochód, a to oznaczało, że nigdy nie splamiła ręk pracą. I miała wspaniałego męża, którego chyba nie doceniała.

To było najważniejsze, do tego sprowadzała się jej niechęć: Isabel nienawidziła Elizabeth za to, że ma Jacka i nawet go nie docenia. Z drugiej strony, znała wersję tylko jednej ze stron, zdawała sobie z tego sprawę. Może Elizabeth szaleje za Jackiem i bardzo przeżywa, że się od siebie oddalili. Los odmówił jej też dzieci. Isabel nie wyobrażała sobie życia bez Robin i Naomi.

Znajome poczucie winy zakradło się do jej serca. Jakże to będzie straszne, gdy Elizabeth dowie się o niewierności męża. Mimo pozornie beztroskiej egzystencji, także ona będzie miała swoje smutnienie. Dowiedzieć się, że mąż ma inną kobietę, myśli o niej poważnie, może stanowić dla kobiety śmiertelny cios...

Oklaski wyrwały ją z zadumy. Podniosła głowę. Producentka telewizyjna kończyła swoje przemówienie komentarzem, że kobiety muszą się okazać dwa razy lepsze od mężczyzn, żeby zdobywać podobne stanowiska.

Isabel zamknęła oczy, zaczerpnęła głęboko tchu i upomniała się, żeby nigdy więcej nie występować na tego typu imprezach. Zgodziła się pod wpływem impulsu i żałowała tego całego czasu.

Zaproszono również Tanyę Vernon, ale odmówiła.

- Pewnie dlatego, że nie będzie tam nikogo, z kim mogłaby iść do łóżka celem przyspieszenia kariery - rzuciła Phil z przekąsem.

Zawsze jest producentka, pomyślała Isabel złośliwie, obserwując, jak kobieta o bardzo męskim wyglądzie opuszcza podium. Reflektory odbijały się od ciemnych, krótko przyciętych włosów.

Isabel wstała, uśmiechnęła się szeroko i zaczęła mówić. Kiedy patrzyła na twarze zebranych kobiet, które zrobiły karierę w świecie zdominowanym przez mężczyzn, poczuła przypływ dumy, że zdobyła stanowisko redaktora działu kobiecego w „Sentine-lu”. Uwielbiała swoją pracę, nawet ciągłe napięcie jej nie przeszkadzało. W jej przemówieniu nie będzie żadnych utyskiwań, jak to ciężko jest być kobietą pracującą.

Po dwudziestu minutach opuszczała podium przy akompaniamencie oklasków. Dostała owację na stojąco. Zarządzono przerwę przed kolacją i sesją wieczorną. Isabel nie miała zamiaru zostawać tu ani chwili dłużej. Zanim jednak dobrnęła do drzwi, zatrzymała ją Alva, jedna z organizatorek.

- Isabel, pozwól na kieliszek wina - zaprosiła. Była bardzo efektowną siwą damą w szarym kostiumie. - Chciałabym ci przedstawić kilka innych pań.

Ponieważ nie sposób było jej odmówić, Isabel pozwoliła się zaprowadzić do grupki kobiet stojących na środku sali.

Popijała wodę mineralną, rozmawiała grzecznie i zastanawiała się, kiedy wreszcie będzie mogła sobie pójść. Dyskusja nie miała nic wspólnego z rolą kobiety w mediach. Panie z zapałem rozprawiły o biografii znanego magnata prasowego. Pewien dziennik miał ją drukować w odcinkach.

- Za żadne pieniądze nie można dostać kopii - twierdziła Alva. - Nie ma również żadnych egzemplarzy dla recenzentów. Autor bardzo rozsądnie wyjechał z kraju.

- Gdybym chciała, na pewno zdobyłabym egzemplarz - rzuciła lekceważąco inna.

Isabel rozpoznała Sophie Walker, blondynkę o posagowych kształtach, autorkę kroniki towarzyskiej w jednym z magazynów kobiecych. Miała niewiele ponad trzydzieści lat. Byłaby bardzo atrakcyjna, gdyby nie olbrzymi, zadarty nos i niesympatyczny grymas na twarzy obficie

pokrytej makijażem. Od stóp do głów była spowita w kolor bladoniebieski - od długiej spódnicy poprzez szydełkowy sweterek po sznur szklanych paciorków. Isabel podejrzewała, że jakiś stylistą przekonał ją kiedyś, iż jasnoniebieski to „jej” kolor. Nie miał racji. Tylko modelki o przepastnych oczach wyglądały znośnie z błękitnymi cieniami na powiekach.

- Z tego, co słyszałam, książka zdradza wszelkie sekrety, od tego, jak rządzi gazetą, po liczne zastępy jego przyjaciółek. - Szczególnie mocno zaakcentowała słowo „przyjaciółki”. - Podobno oburza się, że we współczesnym społeczeństwie irlandzkim panuje brak moralności, a jednocześnie wysłał jedną z kochanek za granicę, na wypadek, gdyby jego żona się dowiedziała, że mają romans. Napiszesz coś o tej książce? - zwróciła się nagle do Isabel. - To coś akurat do „Sentinela” - dodała złośliwie.

Isabel poruszyła się niespokojnie. Coś w sposobie, w jaki Sophie wypowiedziała te słowa, kazało jej przypuszczać, że nie była to tylko nic nie znacząca uwaga. Z pewnością nie.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem jeszcze - rzuciła bez troski. - To nie w moim stylu.

- Doprawdy? - Sophie patrzyła na nią z niedowierzaniem. - A ja myślałam, że przepychanki w konkurencji to młyn na wodę każdego dziennika? Wszyscy przepadają za plotkami, im bardziej soczyste, tym lepiej. A historia o żonatym magnacie prasowym, który romansuje na boku, sprawiłaby, że ludzie zapomnieliby o jedzeniu czytając gazetę przy śniadaniu.

Niepokój Isabel przeszedł w prawdziwy strach. Była przekonana, że Sophie ma na myśli konkretnego magnata prasowego. Co właściwie wie o Sophie Walker? Jest twarda jak skała i ma nos jak ogar. Zespół prawników czytał jej artykuły przez lupę, zanim je wydrukowano, żeby nikt nie oskarżył gazety o zniesławienie, a i tak pisała najbardziej skandaliczne kawałki, na jakie pozwala prawo. Słowa Sophie Walker dudniły w głowie Isabel.

Czyżby wiedziała coś o niej i o Jacku? W końcu spotykają się już od czterech miesięcy i niewykluczone, że ktoś coś zauważył. Sophie wie na pewno czy tylko zgaduje? Isabel wołała nie myśleć o konsekwencjach tej pierwszej opcji.

- Wszystkie lubimy czytać o romansach, prawda, dziewczyny? - zaszczebiotała Sophie nieszczere.

Isabel gorączkowo analizowała sytuację. Może to obrócić w żart i liczyć, że odwróci tym uwagę Sophie, albo cisnąć szklankę na ziemię i wybiec - niech plotkara myśli sobie, co chce.

Wiedziała, co jej bardziej odpowiada, ale nie ruszyła się z miejsca i przywołała na usta szeroki uśmiech. Dee powiedziała kiedyś, że wszystko po niej widać. Po dzisiejszym przedstawieniu zasłuży na Oscara.

- Nie uważam, żeby czytelników do tego stopnia interesowały romanse - stwierdziła ze znużeniem w głosie. - To takie przyziemne, takie prostackie. Zawsze uważałam, że fascynacja życiem erotycznym innych ludzi to rzecz żalonna. Myślałam, że w ciągu ostatnich kilku lat ten

kraj wzniosł się ponad poziom rozważania, kto to robi, jak i z kim. Zresztą - spojrzała na Sophie z góry - ci, którzy o tym piszą, często popełniają błędy. Musisz bardzo uważać, żeby nie przedstawiać faktów w nieprawdziwym świetle, prawda? Bo inaczej autor i gazeta lądują przed sądem. Ostatnia sprawa o zniesławienie kosztowała wydawcę setki tysięcy funtów, więc nie opłaca się drukować plotek za taką cenę.

- Nawet nie wspominaj o pozwach o zniesławienie - burknęła redaktorka dużego magazynu. - To przekleństwo mojego życia.

- Tak? - Isabel uśmiechnęła się zachęcająco. Zamieniła szklanek wody mineralnej na kieliszek białego wina i obserwowała Sophie kątem oka. Chyba się udało. Jej przeciwniczka była zaskoczona nagłym zwrotem w rozmowie. Przestała się nawet bezczelnie uśmiechać. Wdała się za to w zawiłą opowieść o mężu przyjaciółki. Isabel udawała, że słucha przydługiej relacji ze skomplikowanego procesu sądowego. Dobrze, że nikt nie patrzył jej na ręce, bo tak mocno ścisnęła kieliszek, aż jej pobiełały kłykcie.

Po dwudziestu najdłuższych minutach w jej życiu uznała, że może się oddalić nie budząc podejrzeń Sophie Walker.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam - serdecznie uścisnęła jej dłoń. - Na pewno wkrótce znowu się spotkamy.

Na zewnątrz głęboko odetchnęła mroźnym grudniowym powietrzem. Było jej niedobrze ze zdenerwowania. Instynktownie wyczuwała, że Sophie Walker wie o niej i o Jacku.

Co miała zrobić? Modlić się, żeby dziennikarka dała się zwieść jej pozie? Powiedzieć Jackowi? A może milczeć i czekać na nieuniknioną notatkę w kolumnie Sophie? Już ją widziała oczami wyobraźni: „Który magnat prasowy poświęca ostatnio wyjątkowo dużo czasu swojej gazecie, zabierając jedną z redaktorek na długie lunchy? Czy przy homarach i francuskim winie naprawdę rozprawiają o nakładzie i polityce gazety?”

Jack odebrał po trzecim sygnale. Tylko ona знаła jego prywatny numer, tylko on odbierał te telefony.

- Och, Jack, nawet sobie nie wyobrażasz, co się stało - jęknęła w słuchawkę komórki.

- Co, kochanie? - zaniepokoił się. - Coś się stało tobie? Dziewczynkom? Miałaś wypadek?

Ulga, którą poczuła słysząc jego głos, sprawiła, że nagle się rozpląkała. Z trudem opanowała szloch.

- Nie, nic mi nie jest, dziewczynkom też nie. Byłam na konferencji „Kobiety w mediach” i spotkałam tę plotkarę, Sophie Walker. Chyba pisuje do „Hype”, albo innego magazynu... w każdym razie - nabrała powietrza w płuca - myślę, że o nas wie. Nie, jestem pewna, że wie.

Wzdrygnęła się na samą myśl.

- Isabel, nie panikuj. - Jack zachował spokój. - Skąd ci to przyszło do głowy?

Isabel opowiedziała mu wszystko dokładnie.

- Słyszałem o Sophie Walker - przyznał Jack ponuro. - Pisała okropne rzeczy o moich przyjaciółkach, ale rok temu dostała po łapach, bo robiła niezbyt delikatne aluzje, że trener ma romans z podopiecznym. Magazyn musiał wybulić kilkaset tysięcy, więc teraz bardziej jej pilnują. Doskonale sobie poradziłaś - pochwalił.

- Sama nie wiem - gryzła się. - Była taka pewna siebie, wręcz bezczelna. A jeśli coś napisze?

- Nie zrobi tego. Chciała wyciągnąć z ciebie informacje. Nie udało jej się, więc nic nie napisze.

- Jesteś pewien? Obawiam się, że...

- Nie masz się czego obawiać - zapewnił. - Wszystko będzie dobrze, uwierz mi. Zapomnij o Sophie Walker. O której możemy się jutro spotkać?

Isabel wytarła ostatni talerz i schowała do szafki. Cisnęła ścierkę na krzesło i obrzuciła całą kuchnię badawczym spojrzeniem. Wszystko lśniło czystością w oczekiwaniu na wizytę Jacka. Domek przy Eagle Terrace z pewnością nie jest pałacem, nie może się równać z Tempie Isis, jednak napawał ją dumą. Pracowała ciężko, żeby okazał się prawdziwym domem, i chyba osiągnęła lepsze wyniki niż Elizabeth Carter rezydująca w lodowatym mauzoleum pełnym bezcennych antyków.

Przestań, upomniała się. Nie cierpiała w sobie tej zawiści, ale jednocześnie nie mogła się opanować. Cały czas pamiętała, że Elizabeth ma coś, czego ona pragnie... Przestań natychmiast, skarciła się.

Zdecydowana nie myśleć o Elizabeth ani chwili dłużej, zajęła się układaniem nakryć na stole po raz piąty. Jack zawsze przynosił szampana, gdy przychodził do niej na lunch, więc kupiła dwa ładne kieliszki. Trzymała je w najciemniejszym kącie kredensu ze względu na Naomi i Robin.

Nie wiedziała, co mogłaby odpowiedzieć na pytanie o tajemnicze kieliszki do szampana. Wystarczająco dużo kłopotów sprawiało jej wymyślanie wymówek dla tyłu nocnych rozmów, które prowadziła z telefonu komórkowego. Robin była bardzo ciekawa, lecz ograniczała się do posyłania znaczących spojrzeń, ilekroć zadzwonił telefon, prawdopodobnie dlatego, że i ona godzinami rozmawiała z nie-jednym młodzieńcem.

Na dźwięk dzwonka do drzwi serce Isabel zabiło szybciej. Przyszedł. Stał przy drzwiach, przystojny jak zwykle w szarej koszuli, z błyszczącymi oczami. Niemal nie było go widać zza olbrzymiego bukietu ulubionych lilii Isabel. Pod pachą trzymał butelkę szampana.

- Witaj, kochanie. Zaraz to upuszczę - oznajmił. Wpuściła go do środka, zabrała kwiaty i butelkę, położyła na stole. Natychmiast przyciągnął ją do siebie i mocno pocałował.

- Tęskniłem za tobą - mruknął.

- Ja też, Jack - zdążyła odpowiedzieć, zanim zatracili się w pocałunku.

Nagle ogarnęło ją pożądanie. Przywarła do niego całym ciałem. Nieważne, jak często się

widywali - a spotykali się przynajmniej co drugi dzień - nadal doprowadzał ją do szaleństwa jego dotyk.

Ukrył twarz na jej szyi. Pogłaskała ciemne włosy. W jej ramionach zdawało się opuszczać go napięcie.

- Jesteś cudowna. - Odsunął ją na odległość ramienia. - I śliczna. Nowa? - zapytał, wskazując bluzkę z czerwonej wełny.

- Tak. - Cóż, nowa dla niej. Pozwalała sobie na jedną jedyną słabostkę: nie mówiła mu, że kupuje ubrania w sklepie z używaną odzieżą.

- Masz doskonały gust, kochanie. Daleko mi do ciebie, ale kupiłem ci prezent. Jest w samochodzie.

Po chwili wrócił z wielkim białym pudłem.

- Mam nadzieję, że ci się spodoba - stwierdził wręczając jej paczkę.

Isabel niecierpliwie zdjęła wieko, rozsunęła liczne warstwy cienkiej bibułki i jęknęła z zachwytu. Miała w rękach najpiękniejszą suknię z kremowego jedwabiu, jaką kiedykolwiek widziała. Cieniutkie ramiączka krzyżowały się na plecach. Okiem fachowca od razu rozpoznała projektanta, nie musiała patrzeć na metkę. Ben de Lisi należał do jej ulubieńców.

Dwa tygodnie temu napisała zabawny artykuł, co można kupić, jeśli się ma zasobny portfel. Jack musiał to czytać, bo wymieniła i tę suknię. Poczula guł w gardle. Nikt nigdy nie dał jej takiego prezentu.

- Przepiękna - wykrztusiła. - Dzięki, Jack. Czule pocałował ją w czoło.

- Pomyślałem, że założysz ją w Paryżu, o ile zgodzisz się ze mną pojechać.

- W Paryżu? - powtórzyła ze zdumieniem.

- Moglibyśmy się wyrwać w przyszłym miesiącu, na trzy dni, tylko my - kusił. - Jako spóźniony prezent na twoje czterdzieste urodziny.

- Przecież na moje urodziny pojechaliśmy do Belfastu - zauważyła. Przypomniała sobie trzy cudowne dni w „Culloden”, jedynym znanym jej hotelu, gdzie nawet dorośli dostawali gumową kaczuszkę do kąpielii.

- To się nie liczy, nie musieliśmy tam lecieć - stwierdził Jack radośnie. - A Paryż na wiosnę brzmi tak romantycznie. Zgódź się, proszę!

Isabel udała, że się waha.

- Styczeń to nie wiosna, prawda? Może powinniśmy poczekać... - Posłała mu promienny uśmiech. - Tylko się z tobą droczę, kochany. Oczywiście, że się zgadzam. Paryż w styczniu. Brzmi wspaniale.

Po lunchu, na który składał się omlet, świeże pieczywo i szampan, poszli na górę, do pokoju Isabel, gdzie kochali się powoli, leniwie. Potem leżeli wtuleni w siebie pod grubą kołdrą i rozmawiali, szczęśliwi, że są razem.

Jednak Isabel co chwila kontrolnie zerknęła na zegarek. Dziewczynki kończą lekcje o czwartej, na godzinę wstępują do jej matki i o wpół do szóstej są w domu. Ilekroć ona i Jack zaszywali się w sypialni, obawiała się, że akurat tego dnia wrócą wcześniej z jakiegoś dziwnego powodu. Każdy odgłos z ulicy sprawiał, że podskakiwała nerwowo. Dlatego też jak oparzona wyskoczyła z łóżka, gdy o wpół do czwartej ktoś zadzwonił do drzwi.

- O Boże, nie! - pisnęła. - Kto to może być?

- Nie dziewczynki, mają własne klucze - zauważył przytomnie Jack.

- Rzeczywiście. - Odetchnęła z ulgą.

- To pewnie jakiś akwizytor. Nie otwieraj, a sobie pójdzie.

- Pewnie tak.

Tymczasem dzwonek rozległ się ponownie, tym razem dłużej, bardziej natarczywie. Isabel podeszła do okna, ale nie udało jej się dostrzec, kto to. Trzeci dzwonek.

- Cholera! - naciągnęła szlafrok. - Pójdę zobaczyć.

Otworzyła drzwi, układając sobie ostrą przemowę do handlarza, który tak nachalnie się dobija, jednak zamarła z otwartymi ustami, gdy zobaczyła, kto stoi na progu.

- Isabel - powitała ją bardzo elegancka kobieta po czterdziestce w drogim płaszczu z beżowej wełny i dobranym kolorem kapeluszu na prostych jasnych włosach. Była to matka Susie, najlepszej przyjaciółki Robin. - Wiedziałam, że jesteś w domu, bo twój samochód stoi na ulicy. Jesteś chora? - zapytała, patrząc na niestarannie zawiązany szlafrok. Isabel zarumieniła się.

- Nie, Amando - skłamała. - Ja... wzięłam wolne popołudnie, żeby eee... posprzątać. Strasznie szybko się wszystko brudzi. Właśnie miałam się wykapać - paplała nerwowo. Miała nadzieję, że nie widać po niej, że dopiero co wstała z łóżka po cudownym popołudniu z kochankiem.

Jeszcze tylko tego brakowało. Oczywiście Amanda powiedziałaaby wszystko Susie, ta Robin...

- Myślałam, że odkurzasz, skoro nie słyszałaś dzwonka.

- Wejdz, proszę - Isabel otworzyła drzwi na całą szerokość. Już miała zaprowadzić gościa do kuchni, ale przypomniała sobie, że na stole poniewierają się resztki romantycznego lunchu dla dwojga, więc pchnęła drzwi do salonu. Niestety, mieścił się dokładnie pod jej sypialnią. Podłoga na górze zaskrzypiała podejrzenie.

Amanda czujnie podniosła głowę.

- Co to było?

Isabel zamrugnęła.

- Połączenie starych desek i kota sąsiadów - zmyśliła na poczekaniu. - Tiddles zakrada się przez otwarte okno i śpi na łóżku.

- To okropne!

- O co chodzi, Amando? - zapytała obcesowo. - Przepraszam, że tak cię poganiam, ale kąpiel

mi wystygnie.

- Och, chciałam tylko zapytać, czy nie mogłabyś odebrać dziewczynkę jutro wieczorem? Idziemy na kolację. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale...

Isabel zacisnęła zęby. Amanda zawsze przepraszała. Tym razem jednak nie mogła odmówić.

- Nie ma sprawy.

- Świetnie. - Amanda wyszła do przedpokoju. - Nie mogę się nadziwić, jak ładnie tu wszystko urządziłaś - stwierdziła rozglądając się z aprobatą. - Moja najlepsza przyjaciółka mieszka pięć domów dalej, ale daleko jej do tego, co ty wyczarowałaś.

- Doprawdy? - zdziwiła się uprzejmie.

Coraz gorzej. Przyjaciółka Amandy na pewno zauważyła jaguara, który co najmniej raz w tygodniu parkuje przed domem Isabel. Sufit znowu zatrzęszczał.

- Cholerny Tiddles - mruknęła Isabel na oścież otwierając drzwi wejściowe. - Nie martw się o dziewczynki, Amando - zapewniła energicznie. - Pojadę po nie. No, leczę, nie znoszę zimnych kąpieli. Cześć.

- Tiddles? - zapytał rozbawiony głos z sypialni.

- Tiddles zginie śmiercią tragiczną za hałasowanie - Ze znużeniem wchodziła na górę. - Zachowywałeś się jak stado kotów, a nie jeden.

- Byłem ciekaw, kto to.

- Matka najlepszej przyjaciółki Robin - wyjaśniła. - Która, jak się domyślam, już planuje wypytać moją córkę, jakiego to kota giganta mają nasi sąsiedzi.

- Nie robi tego - pocieszył.

- Nie znasz Amandy - ponuro pokręciła głową. - A ja właściwie nie znam sąsiadów. Nie wiadomo, czy na przykład w okolicy nie mieszkają dziennikarze z konkurencyjnych gazet i nie czatują, żeby zrobić nam zdjęcie w sypialni.

Jack przyciągnął ją do siebie.

- Nie zamartwiaj się tak, Isabel - poprosił miękko.

Złe przecucie ogarnęło Isabel już kiedy wchodziła do hotelu „Clarence”, szczelnie otulona płaszczem ze względu na przenikliwy ziąb. „Clarence” był symbolem klasy i elegancji - utrzymany w stylu art deco, stanowił bardzo popularne miejsce spotkań.

Nie najlepsze miejsce na cichy lunch z żonatym kochankiem, stwierdziła podając płaszcz szatniarzowi.

Fakt, że ich romantyczne sam na sam u niej w domu skończyło się tak nieoczekiwanie, wprowadził ją w fatalny nastrój. Przez cały wieczór obawiała się, że lada chwila zadzwoni Amanda: „Ha! Kąpiel? Dobrze sobie! Moja przyjaciółka widziała, jak z twojego domu o wpół do czwartej

wychodził mężczyzna.”

- Tędy, proszę. - Kelner zaprowadził ją do stolika, przy którym już czekał Jack.

- Isabel. - Wstał na jej widok.

- Jack.

Uspokoila się przy nim. Właściwie dlaczego się tak zamartwiała? Ludzie codziennie spotykają się na lunch. To jeszcze nie świadczy o tym, że mają romans, prawda? A nawet jeśli wścibska Amanda i sąsiedzi podejrzewają, że ma kochankę? To tylko jej sprawa.

Usiadła za stołem i szeroko otworzyła usta ze zdumienia.

Kilka stolików dalej, jak zawsze spowita w jasny błękit, siedziała Sophie Walker, ta sama, która robiła pod adresem Isabel niewybredne aluzje niecały tydzień wcześniej. Nie patrzyła na nich w tej chwili, ale wystarczyło, by odwróciła głowę. Isabel poczuła, jak uginają się pod nią nogi.

- Nie uwierzysz, kto siedzi jakieś dziesięć metrów od nas - wycedziła. - Kto?

- Sophie Walker.

- Nie mówisz poważnie, prawda? - zapytał.

- Chciałabym, żeby tak było - ze sztucznym uśmiechem przyjęła od kelnera kartę dań. - Jeśli nas zobaczy - a ze swego miejsca zrobi to prędzej czy później - napisze o nas, co do tego nie ma wątpliwości.

- Udawajmy, że to spotkanie służbowe - zaproponował.

- Dobrze. - Isabel odsunęła się z krzesłem jak mogła najdalej, wyjęła dokumenty z teczki i ostentacyjnie położyła na stole między nimi.

- Możemy udawać, że rozmawiamy o interesach, jeśli tu podejdziesz - rzuciła nerwowo. W głębi duszy wiedziała, że Sophie Walker kilka dokumentów nie zmyli nawet na ułamek sekundy.

Lunch to było piekło. Isabel nie czuła smaku pysznego jedzenia, cały czas usiłując wyglądać jak na spotkaniu służbowym i uśmiechać się do Jacka uśmiechem oddanej pracownicy, a nie kochanki.

Sophie i jej towarzysz zbierali się do wyjścia. Isabel trzymała kciuki. Może w ogóle ich nie zauważyła. Jednak tuż przed wyjściem Sophie odwróciła się do Isabel, pomachała jej i uśmiechnęła się złośliwie. Isabel poczuła, jak jej żołądek staje dęba, lecz dzielnie odmachała i odpowiedziała szerokim grymasem.

- Powinna była to przewidzieć, Jack - stwierdziła cicho. - Koniec z nami. Ta kobieta rozgłosi to całemu światu.

Odprowadził ją na parking, starając się pocieszyć. Z niewiadomych powodów nie był zdenerwowany spotkaniem z dziennikarką.

- Mieliśmy dzisiaj pecha - stwierdził tylko. Objął Isabel silnym ramieniem.

- Nie - poprosiła. Pocałował ją w usta.

- Nie martw się, Isabel - poprosił. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Nie wiedziała, jak to możliwe, więc milczała. W drodze powrotnej myślała o planowanym wyjeździe do Paryża. Jeśli ludzie dowiedzą się o ich związku - a teraz to nieuniknione - może się pożegnać z romantycznymi planami.

- Mamo, mogę pożyczyć twoje kryształowe kolczyki? - Robin nie zawracała sobie głowy schodzeniem na dół, tylko darła się na całe gardło przechylona przez poręcz.

- Pewnie - mruknęła Isabel. Nic jato nie obchodzi. Robin może sobie pożyczyć wszystkie ciuchy, proszę bardzo. Zrozpaczona siedziała w fotelu i wpatrywała się w ekran telewizora nic nie widzącym wzrokiem. Naomi była w swoim pokoju z Emer, przyjaciółką, która zostawała na noc.

Robin szykowała się na dyskotekę. Ponad godzinę siedziała w łazience. Cały dom pachniał płynem do kąpieli, dezodorantem i perfumami Isabel. Za pół godziny wpadnie Amanda, żeby zawieźć Susie i Robin na dyskotekę. Isabel nie chciała jej widzieć. Poprosiła Robin, żeby otworzyła drzwi.

- Boli mnie głowa, a matka Susie na pewno będzie chciała ze mną poplotkować. Nie wytrzymam tego - wyjaśniła córce.

Trudno uwierzyć, że nie dalej jak wczoraj trzęsła się ze strachu na myśl o spotkaniu Robin z Amandą i potencjalną rozmową na temat nieistniejącego grubego kota imieniem Tiddles. Teraz to już nie miało najmniejszego znaczenia. Jack i tak wkrótce zniknie z jej życia, nie będzie musiała wymyślać żadnych wymówek.

Otarła łzy. Niespodziewana wizyta Amandy oznaczała początek końca tego, co okazało się dla niej najważniejsze. Wszystko wcześniej układało się doskonale. Teraz romans Isabel zmienił się w przegrany, skończony rozdział.

Była załamana. Spotkanie Sophie Walker postawiło jej życie na głowie. Sophie nie utrzyma języka za zębami, to jasne. Redaktor działu kobiecego „Sentine-la” jest kochanką własnego szefa! To zbyt soczysty kąsek, by się nim nie podzielić! Lada dzień doniesie o tym magazyn Sophie, a tym sposobem dowie się cały Dublin.

Wolała nie myśleć, co będzie, gdy Elizabeth dowie się o ich romansie. Postawi Jackowi ultimatum... co będzie, jeśli wybierze żonę? Głupie pytanie, oczywiście że wybierze żonę. A to znaczy, że znowu będzie zaczynała życie od nowa. Po raz kolejny.

Słyszała, jak Naomi i Emer z chichotem pędzą do pokoju Robin, zaledwie ta wyszła. Naomi ostatnio coraz bardziej interesowała się ciuchami i korzystała z każdej okazji, by przymierzać rzeczy starszej siostry. Oczywiście tylko podczas jej nieobecności, bo Robin nie była chętna do

dzielenia się swoją garderobą, chociaż sama nie gardziła kreacjami z szafy Isabel.

- Co jest twoje, to jest moje, a co moje, to tobie wara - żartowała czasami Isabel.

Mało brakowało, a nie wstałaby słysząc dzwonek telefonu w holu. To i tak nie do mnie, stwierdziła ponuro. Dopiero po chwili przypomniała sobie, że to jednak możliwe, bo bateria w komórce nie była naładowana.

Dzwonił Jack.

- Cześć - powitała go ponuro i przysiadła na schodach. - Jak się masz?

- Doskonale, ale o tobie chyba nie można tego powiedzieć. - Martwił się, poznała to po głosie.

- Masz rację. - Nie była w stanie dłużej powstrzymać łez. Pękła w niej jakaś tama. Wypłakiwała całą rozpacz, samotność i zmartwienia. - Przepraszam - chlipnęła. - Bardzo cię przepraszam.

- Coś nie tak, Isabel? - Był na serio zaniepokojony.

- Wszystko! - szlochała. - Wszystko. Ta kobieta... widziała nas dzisiaj. Napisze o nas i wtedy mnie rzucisz. - Była na siebie wściekła, bo zabrzmiało to tak bezradnie, ale nie mogła nic poradzić. - Nie mogę znieść świadomości, że nie będziemy razem, Jack - tłumaczyła. - Kocham cię, nie rozumiesz? Kocham cię.

Proszę, w końcu to powiedziała. Kocha go. Po drugiej stronie kabła panowała cisza. Boże drogi, co ona najlepszego zrobiła? Wystraszyła go. Otarła łzy rękawem i czekała.

- Isabel - powiedział nagle. - Musimy się zobaczyć. Nie chcę o tym rozmawiać przez telefon, musimy się spotkać.

Nagle wpadła w panikę. Co jej powie? Co może być na tyle istotne, że chce się z nią spotkać? Powie, że muszą zakończyć romans, zwłaszcza że wyznała mu miłość i przyciska go do ściany? Doskonale to sobie wyobrażała: „To była tylko zabawa, Isabel, chyba o tym wiedziałś? Myślałem, że czujesz to samo? Nie chciałem, żebyś się we mnie zakochała...” Serce dziko trzepotało jej w piersi. Szloch wezbrał w niej nową falą. Nie, proszę, nie...

- Kocham cię, Isabel. Szaleję za tobą. I mam dosyć ukrywania mojej miłości. Chcę być z tobą przez cały czas, chcę z tobą mieszkać, o ile mnie zechcesz...

- Czy zechcę? - szepnęła. - Marzyłam o tym, ale nigdy nie sądziłam...Nie byłam pewna...

- Teraz możesz być pewna - oznajmił energicznie. - Uświadomiłaś mi, że moje małżeństwo to farsa. Nie mogę dłużej zostać z Elizabeth, nie kocham jej tak, jak ciebie. Do tej pory byliśmy razem, bo to było łatwiejsze niż rozstanie. Ale dłużej tego nie znoję.

Isabel była w siódmym niebie. Każde słowo Jacka brzmiało w jej uszach jak najpiękniejsza muzyka.

- Zdaję sobie sprawę, że nie znamy się zbyt długo, ale dla mnie to jak całe życie - mówił.

- Wiem - przerwała mu. - Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Obawiałam się, że mi powiesz, że z nami koniec. Myślałam, że cię wystraszyłam mówiąc, że cię kocham.

Roześmiał się nisko, gardłowo.

- Sam od dawna chciałem ci to powiedzieć, ale bałem się, że uznasz, że cię poganiam. Chyba pokochałem cię już w pierwszej chwili, podczas naszego spotkania w ogrodzie. Czy to brzmi bardzo kiczowato?

- Nic mnie to nie obchodzi - odparła pogodnie. - Dopóki mówisz mi takie miłe rzeczy, możesz być tak kiczowaty jak tylko chcesz. Ja też cię kocham. Bardzo. - Szukała w kieszeniach chusteczki.

- Nie chcę, żebyśmy dłużej ukrywali nasze uczucia. Dzisiejszy lunch mi to uświadomił. Byłem wściekły, kiedy odsuwałaś się ode mnie jak najdalej, kiedy nie mogłem cię dotknąć ani pocałować z obawy, że ta kobieta nas zobaczy. To się musi skończyć.

Promieniała ze szczęścia.

- Zostało jeszcze coś, co muszę zrobić, zanim odejdę od Elizabeth - mówił. - Nakłonię ją do kuracji odwykowej. Jestem jej chociaż tyle dłużny, Isabel. To trochę potrwa, ale rozumiesz mnie, prawda?

- Oczywiście - odparła odruchowo. Zgadza się na wszystko, o ile Jack będzie jej.

- Och, Isabel, kocham cię. Kocham cię, kocham cię. Nigdy mi się nie znudzi powtarzanie tego.

- Więc nie przestawaj - szepnęła.

- Niestety, muszę kończyć - dodał z żalem. - Ciągłe siedzę w biurze, a mam kolację z dyrektorem angielskiej filii.

- Jesteś w pracy? - zapytała z niedowierzaniem. - Jest wpół do dziewiątej. Jack, zabijesz się!

- O, nie. - Roześmiał się. - Ale podoba mi się, że się o mnie troszczysz, chociaż bez powodu.

- Jak to, bez powodu? Nie powinieneś tyle pracować! - zdenerwowała się.

- Szaleję za tobą, Isabel, wiesz o tym? - zapytał ciepło.

- Tak - szepnęła.

Po odłożeniu słuchawki jeszcze długo siedziała skulona na schodach i z zachwytem rozglądała się po przedpokoju. Wszystko wydawało jej się piękne, nawet zakurzony stolik, bukiet wędnących róż i sterta butów, parasolek i piłek do tenisa. Życie jest wspaniałe, Jack jest wspaniały. Kochają, chce z nią być.

W końcu to powiedział: kochają. Odejdzie od Elizabeth. Czeka ich wspólna przyszłość, świetlana przyszłość. Oby tylko udało mu się pomóc Elizabeth uporać się z narkotykami. Zrobi wszystko, by jej pomóc. Isabel zaniepokoiła się nagle. A jeśli mu się nie uda? Co będzie, jeśli stan Elizabeth się pogorszy? Czy odejdzie od niej mimo to?

22.

Dee zamasyżycie podpisała dokumenty i oddała pióro swojemu prawnikowi. Zrobiła to! Dom w końcu należał do niej. Oczywiście czekaj ająbardzo skromne święta Bożego Narodzenia, zapowiedziała już przyjaciółom, że mogą liczyć tylko na symboliczne prezenty, następny rok też będzie chudy, ale było warto.

Odkąd Gary odszedł, męczył ją, żeby sprzedała wspólny dom. Mieli się podzielić zyskiem. Dee szybko doszła do wniosku, że wcale nie ma ochoty się wyprowadzać. Lubiła okolicę, sąsiadów, bliskość redakcji. Postanowiła więc odkupić od Gary'ego jego część.

- Załatwione - zaszczębiotała radośnie do prawnika.

- Towarzystwo budowlane musi wprowadzić zmiany w dokumentach, wystawić je wyłącznie na pani nazwisko, to może potrwać kilka tygodni, ale poza tym rzeczywiście załatwione - uściślił.

Wybiegła z jego biura w doskonałym nastroju. Zazwyczaj w takim humorze kierowała się prosto na Grafton Street, na zakupy odzieżowe, jednak nie tym razem, zapowiedziała sobie surowo. Zakupy, nawet na ukochanej wyprzedaży styczniowej, muszą poczekać, dopóki nie zorientuje się w bieżącym stanie swoich finansów. Posiadaczki nieruchomości muszą rozsądnie gospodarować gotówką.

Szybkim, sprężystym krokiem przemierzała Baggot Street. Kurier na rowerze zagwizdał z podziwem, obserwując dziewczynę z burzą kasztanowych loków w krótkim sztucznym futerku, odsłaniającym zgrabne nogi w cienkich rajstopach.

Dee pomachała mu radośnie i natychmiast skreśliła w stronę pubu „Searson's”, bo wydawało się jej, że chłopak się zatrzyma i do niej podejdzie. Musi się nauczyć miło reagować na zaczepki nieznajomych, żeby nie wpadać w tarapaty.

Rozejrzała się dokoła. Nie, kurier wcale się nie zatrzymał, może iść dalej. Postanowiła cały czas gapić się w chodnik.

Dom jest jej. Hurra! Nie musi już martwić się Garym Redmondem.

Tuż przy niej zatrzymało się srebrne porsche. Kierowca zatrąbił głośno, aż podskoczyła przerażona. Co zrobiła tym razem? Zastanawiała się, nic nie rozumiejąc. Czyżby wysyłała jakieś tajemnicze sygnały, coś w stylu: „Chodź chłopcze, poderwij mnie?” To chyba przez płaszcz. Sztuczne futro przyciągało uwagę.

Facetom wydawało się, że tanie futro oznaczało tanią dziewczynę. Odrzuciła włosy z twarzy, zadarła nosa i ruszyła swoją drogą.

- Dee! - zawołał niski, zachrypnięty głos. Wiedziała, do kogo należał. Zatrzymała się i spojrzała, kto siedzi za kierownicą porsche'a. Oczywiście Kevin Mills.

- Podrzucić cię gdzieś? - zapytał. Podeszła do krawężnika.

- Nie, dzięki - stwierdziła z żalem. - Mój samochód stoi tuż za rogiem. Oczywiście akurat dzisiaj musiała zabrać wóz, dzisiaj, kiedy Kevin Mills zaproponował, że ją podwiezie! Ciemne włosy zaczesał do tyłu, miał na twarzy kilkudniowy zarost, a w szarym swetrze przypominał bohatera jakiegoś współczesnego francuskiego filmu.

- Gdzie? - zapytał.

- Nad kanałem.

- Wsiadaj, podwiezę cię tam - zaproponował, a w ciemnych oczach błysnęły mu iskierki.

Dee uśmiechnęła się tryumfalnie. Otworzyła drzwiczki po stronie pasażera. Nie wiedziała, że w porsche siedzenia są tak nisko, i praktycznie upadła na kremową skórę fotela. Zwiwna spódniczka podniosła się, odsłaniając uda.

Kevin spojrzął na nią z nowym błyskiem w oku, i dopiero po chwili skupił się na prowadzeniu.

Dee wierciła się na siedzeniu i próbowała doprowadzić garderobę do porządku. Obciągnęła spódniczkę. Oby Kevin domyślił się, że to płaszczyk jest pękaty, nie ona! Będzie musiał nadłożyć drogi, żeby ją podwieźć do jej samochodu, stwierdziła z zadowoleniem, gdy włączyli się w strumień innych pojazdów. Zajmie im to co najmniej dziesięć minut. Na piechotę byłaby dwa razy szybciej.

Posłała mu promienny uśmiech.

- To bardzo miło z twojej strony - odezwała się. Uśmiechnął się lekko.

- Nie ma sprawy. Nie widziałem cię od wieków. Opowiedz, co u ciebie. Nie dała się dwa razy prosić.

- Odkupiłam od mojego byłego narzeczonego jego część domu, teraz cały należy tylko do mnie. Właśnie wracam od adwokata.

- Gratuluję. Nie zasługiwał na ciebie.

Dee uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

- Kiedy mnie rzucił, doszłam do wniosku, że odpowiada mi mieszkanie w pojedynkę. Chciał, żebym sprzedała dom i przesłała mu jego część pieniędzy. Jest teraz w Londynie, pewnie chce coś tam kupić. I dobrze, tym sposobem może go nigdy więcej nie zobaczę - dodała.

- Nie żałujesz? - Nie odrywał wzroku od jezdni. Przez chwilę zastanawiała się, czemu o to pyta.

- Wcale - odparła stanowczo. - A co u ciebie? Jakies ciekawe zlecenia?

- Wiadomości i polowanie na sławy. Zaproponowano mi fotografowanie gwiazd na nartach w Kitzbuhl w przyszłym miesiącu. Jeszcze się nie zdecydowałem, czy to wezmę, czy nie.

- Narty - rozmarzyła się Dee. - Zawsze chciałam nauczyć się jeździć na nartach. Wyobrażam sobie, że w górach mieszka się w przytulnych chatkach z bali, na kominku płonie ogień, na podłodze leżą miękkie dywany, a po ciężkim dniu na stoku czeka na ciebie grzane wino.

Zatrzymał samochód i znowu utkwiał w niej wzrok.

- To bardzo piękna wizja - powiedział miękko. Jego głos kojarzył się jej z gorącym miodem.

- Jest tam miejsce dla jednej osoby czy dwóch?

Zarumieniła się.

- Dla dwóch - wymamrotała, nie wiedząc, gdzie uciec spojrzeniem. Pod jego gorącym wzrokiem robiło jej się słabo.

- Czas na mnie - stwierdził z żalem, zerknąwszy na zegarek. - Inaczej spóźnię się na zdjęcia.

- Och, oczywiście. - Zmieszana, pociągnęła za klamkę.

- Jeszcze raz gratuluję kupna domu - powiedział.

Pochylił się ku niej. Spodziewała się, że cmoknie ją w policzek, on tymczasem pocałował ją w usta. Kiedy poczuła jego wargi na swoich, nie wiedziała co zrobić. Przez chwilę tylko rozkoszowała się ich smakiem i zapachem. Miał takie ciepłe, miękkie usta.

Odsunął się od niej odrobinę, tak że ich twarze dzieliły zaledwie centymetry.

- Od kilku miesięcy zapraszam cię na drinka. Czy myślisz, że niedługo uda nam się go wypić? - zapytał, unosząc brwi.

- Tak, może dzisiaj? - Najchętniej kopnęłaby się w kostkę, gdy tylko wypowiedziała te słowa. Dzisiaj! Pomyśli, że jest zdesperowana. Czy nigdy nie nauczy się opanowania? Ale Kevin skinął głową i wrócił na swoje miejsce.

- Doskonale. Przyjechać po ciebie?

- Nie! - rzuciła szybko, z przerażeniem myśląc o stercie naczyń w zlewie, które musiałyby umyć, zanim wpuściłaby kogokolwiek do domu.

- Więc umówmy się na mieście. Może o ósmej w „Magee’s”?

- Świetnie - szepnęła.

- Już się na to cieszę - powiedział.

Wysiadła i pomachała mu na pożegnanie. Coś takiego!

Dee nie bardzo pamiętała, któredy wracała do redakcji, w takiej była euforii. Ma randkę z Kevinem Millsem. Niech tylko Maeve się o tym dowie!

Dziwne, że Kevin ani razu nie zapytał o Daryla, chociaż była pewna, że słyszał o jej Amerykaninie. No, już nie jej. Daryl wrócił do domu ponad miesiąc temu. Co prawda brakowało jej seksu z nim, zwłaszcza kiedy sama kuliła się w wielkim łożu, ale ogólnie wcale za nim nie tęskniła. Był cudownym, bardzo zmysłowym epizodem w jej życiu, jak erotyczny fragment w książce - miło się go czyta, ale nie po to kupuje się powieść. Daryl był słodki, uroczy, zabawny. Niestety, seks to jedyne, co ich łączyło, i po dwóch miesiącach zaspokajania jego potrzeb Dee była, powiedzmy sobie szczerze, wyczerpana i znużona.

Mógł to robić zawsze, wszędzie, o każdej porze. Kiedy tłumaczyła to Maeve, przyjaciółka najpierw zwijała się ze śmiechu, a potem chciała wiedzieć, co w tym złego. Dee wytłumaczyła,

że nieustanny seks jest jak czekolada - z czasem masz go po uszy.

- On nigdy nie przestaje, Maeve - skarżyła się. - Chce się kochać co najmniej trzy razy dziennie, a jeśli gdzieś wychodzimy, obmacuje mnie nieustannie.

- Zauważyłam. - Maeve widziała Daryla w akcji i wiedziała, że nie panuje nad rękami, które zazwyczaj wędrowały pod ubranie Dee bez względu na to, gdzie się akurat znajdowali.

- Nigdy nie rozmawiamy, bez przerwy się kochamy, a czasami chciałabym posiedzieć sobie przed telewizorem z kawałkiem pizzy, zamiast uprawiać seksualny maraton - narzekała.

Na szczęście nie doszło do żadnych scen, kiedy nadszedł nieunikniony moment rozstania. Pewnego dnia Daryl oznajmił, że wraca do Stanów. Po nocy czułych pieszczot, gdy co chwila zapewniali się, jak im razem było dobrze, odwiozła go na lotnisko i pomachała na pożegnanie.

Oczywiście płakała rzewnymi łzami, gdy przechodził przez kontrolę paszportową z plecakiem w rękę. Przez cały wieczór chlipała żałośnie i rozważała nawet, czy nie popełniła błędu, pozwalając mu odejść. Potem jednak wrodzony optymizm wziął górę i z zapalem zabrała się za prace domowe, które zaniedbała podczas jego pobytu.

Sortując rzeczy do prania uświadomiła sobie, że przez dwa miesiące nie nosiła innej bielizny niż frywolne koronkowe cacka. Uśmiechnęła się do siebie. Daryl był cudowny, ale związek oparty wyłącznie na seksie nie miał żadnej przyszłości. Za to dokonał cudów, jeśli chodzi o jej pewność siebie. Dzięki niemu odzyskała dawno utraconą wiarę we własne możliwości. Przy nim czuła się seksowna, piękna i godna pożądania. Z radością odkryła, że to nie zniknęło po jego wyjeździe.

A teraz Kevin Mills zaprosił ją na randkę. Dzisiaj. Co ona na siebie włoży?

- Listek figowy i nic poza tym? - podsunęła Maeve. - W każdym razie, ja bym się tak ubrała. Ale z ciebie szczęściara! Znam kobiety, które zapłaciłyby każdą cenę za randkę z Kevinem Millsem!

Dee udawała, że się nad tym poważnie zastanawia.

- Ostatnio trochę u mnie krucho z gotówką, wiesz, rachunki adwokata, raty za dom... ile proponujesz?

- Nie mówiłam o sobie! - Maeve cisnęła w nią zgniecioną kartką papieru. - Jestem bardzo szczęśliwa z Karlem. Chociaż i ja snułam niewinne marzenia...

- Na pewno nie były niewinne, założę się o każdą sumę - zażartowała Dee. - Chyba że chodzi ci o niewinność typu: „Niewinne panienki w skórze zaspokajają swoich mężczyzn”.

- Dokładnie o to mi chodzi - odparła Maeve ze znaczącym uśmiechem. - Widzisz, to dlatego, że on jest fotografem. Normalnie łamiesz sobie głowę, gdzie by tu wywołać erotyczne zdjęcia, bo przecież nie zrobią tego w „Boots”. Ale fotograf, który ma własną ciemnię...

Dee odrzuciła papierowy pocisk.

- Idziemy tylko na drinka, nie na sesję zdjęciową a la Hustler!

- A szkoda - mruknęła Maeve. - Więc co założysz?

Założyła komplet z welwetu: żakiet i spodnie w kolorze rdzy. Chociaż ten zestaw wisiał w jej szafie od dawna, dotychczas nie miała odwagi wyjść w nim z domu. Oczywiście nieraz wkładała go i przechadzała się po sypialni, krytycznie przeglądała w lustrze i zastanawiała się, jaka bluzka by tu pasowała. Zawsze jednak wycofywała się w ostatniej chwili, gdy miała go założyć na wyjście, bo pod obcisłym żakiem widoczna była każda fałdka jej ciała. Jednak dzisiaj...

Kevin znał ją od lat, widział ją, kiedy była naj szczuplej sza i najgrubsza. Dzięki zajęciom z aerobiku poruszała się zwinnie niż kiedykolwiek, ale wcale nie była szczupłą, o czym informowała waga w łazience. A on umówił się z nią mimo to.

Wiedział, jak wygląda, i najwyraźniej mu się podoba - z brzuchem czy bez. Nie ma więc sensu w ukrywaniu prawdy przed pierwszą randką. Dzięki temu nastawieniu była bardziej odprężona. Spokojnie zapięła po raz trzeci górny guzik. Rozpinał się co chwila.

Właściwie nie potrzebuje szminki, stwierdziła zerkając do lustra, jednak przed wyjściem musnęła usta rdzawą pomadką i spryskała się Obsession. Była gotowa.

W ostatniej chwili cofnęła się od progu do kuchni. Na wszelki wypadek, pomyślała, szybko zmywając naczynia z trzech ostatnich dni.

Spotkanie w knajpie tuż przy redakcji nie było chyba najlepszym pomysłem, uświadomiła sobie wkraczając do „Magee’s” pięć po ósmej. Co najmniej jedna czwarta zespołu „Sentinela” tłoczyła się przy barze koło drzwi. Dee pomachała tym, którzy ją zauważyli. Tak, to był błąd. Tyle, jeśli chodzi o spokojny wieczór we dwoje.

Z uśmiechem przyklejonym do twarzy przeciskała się przez tłum, szukając wzrokiem ciemnej głowy Kevina. Nie sposób go nie zauważyć, jest taki wysoki. Właściwie za wysoki dla niej. Chociaż sztywny kark to niewielka cena za spotkanie się z nim. Z drugiej strony, może wcale nie zechce się z nim spotykać. To, że jest niewiarygodnie przystojny, to nie wszystko. Może okaże się leniwym, zaborczym, humorzastym tyranem z matką z piekła rodem i wrażliwością hipopotama. Może zaraz na pierwszej randce będzie krytykował jej ubiór, jej makijaż...

- Dee! Tutaj!

Stał przy długim kontuarze w głębi pubu, a obok niego trzy czwarte działu informacyjnego. No, ładnie.

Nie ma szans, że uda im się razem wymknąć z knajpy, nie prowokując pytań, czy idą na randkę. Albo, co gorsza, wszyscy zaczną się zakładać, kiedy wylądują w łóżku. Pracownicy „Sentinela” nie mieli szczególnego poszanowania dla cudzej prywatności, a już zwłaszcza nie dla

kolegów z pracy.

Dee nie była gotowa na kawały, jeszcze nie. Niewiele jest rzeczy bardziej zabójczych dla związku niż prowadzenie księgi zakładów ze stawką pięćdziesiąt do jednego że facet pierwszy się znudzi i zostawi dziewczynę na lodzie, co spotkało pewną parę na tyle głupią, że nie ukrywała swego romansu. Cholera!

Powiemy, że razem pracujemy, zdecydowała na poczekaniu. Powitała wszystkich bardzo, jak miała nadzieję, swobodnym uśmiechem, zdecydowana nie patrzeć na Kevina, żeby się nie zdradzić. On jednak nie miał chyba zamiaru trzymać ich randki w tajemnicy. Pociągnął ją za sobą do grupki znajomych, otoczył ramieniem jej talię i pochylił się do jej ucha. Jego oddech łaskotał ją, kiedy mówił:

- Chciałem cię pocałować, ale pomyślałem, że najpierw zapytam. Może nie chcesz, żeby wiedzieli, że się ze mną umówiłaś?

Dee zakrztusiła się z wrażenia.

- Właśnie chciałam zaproponować, żebyśmy udawali, że razem pracujemy, na wypadek gdybyś nie chciał, by ktokolwiek wiedział, że mnie zaprosiłeś - odszepnęła.

Przytulił ją mocniej.

- Myślisz, że nie chcę, żeby o tym wiedzieli? - zapytał. - Najchętniej postawiłbym wszystkim kolejkę z radości, że w końcu się zgodziłaś. Tyle to trwało, że chciałbym to teraz uczcić, ale może wolisz zachować naszą randkę w tajemnicy?

Spojrzała na niego rozpromienionym wzrokiem. Nie dość, że się cieszył z ich randki, na dodatek chciał, by wszyscy o tym wiedzieli.

- Nie.

Powoli, znacząco, pocałował ją w usta, tak że nikt nie miał wątpliwości co do celu ich spotkania tego wieczora.

- Ojej! - wrzasnął Gerry Deegan. - Barman, gaśnicę! Zaraz spłoną żywcem!

Kiedy już ucichły przyjacielskie docinki, Dee doszła do wniosku, że dawno się tak dobrze nie bawiła.

Zostali w „Magee's” jeszcze przez godzinę, rozmawiali z innymi dziennikarzami i plotkowali o wspólnych znajomych. Nagle złapała się na tym, że opiera się o Kevina, a on obejmuje ją w talię. Tak było dobrze i, w pewnym sensie, właściwie. Co kilka minut pochylał głowę i szeptał coś tylko do niej. Dee nie mogła powstrzymać tryumfalnego uśmiechu, gdy poczuła na sobie zazdrosny wzrok jednej z barmanek. On jest mój, pomyślała tryumfalnie.

Po dziewiątej zdecydowali się zmienić lokal.

- Jesteś głodna? - zapytał tłumiąc ziewnięcie.

- Umieram z głodu - przyznała. Dopiero teraz zauważyła jego podkrążone oczy i bladą cerę pod krótkim zarostem. - Jesteś bardzo zmęczony, prawda?

Skinął głową.

- Padam z nóg. Wczoraj pracowałem do trzeciej. Gdybym się z tobą nie umówił, spałbym smacznie od godziny.

Objęła go w talii, zdumiona, że tak łatwo przyszedł jej tak intymny gest. - Może wpadniemy do mnie? Zjemy pizzę przed telewizorem, a potem pójdziesz do domu, do łóżka.

Uśmiechnął się z wyraźną ulgą.

- Fantastycznie. Na nic więcej mnie dzisiaj nie stać - przyznał. - Wiem, że na pierwszej randce powinienem zabrać cię do jakiejś egzotycznej restauracji, zwłaszcza że tak ładnie się ubrałaś. - Musnęła palcami kłapy jej zakietu. - Ale jestem ledwo żywy.

- Do egzotycznej restauracji pójdziemy innym razem - zdecydowała.

- Jutro - obiecał.

Nikt nie chrząkał znacząco, gdy wychodzili, ale Dee nie miałyby nic przeciw temu. Nabrała pewności siebie. Było jej dobrze z Kevinem i, o dziwo, wierzyła, że jemu również odpowiada jej towarzystwo.

Zjedli zamówioną pizzę, przytulili się do siebie na kanapie i obejrzeni połowę filmu science fiction, zanim Dee się zorientowała, że Kevin zasnął.

Obserwowała go z uśmiechem. Miał długie, dziewczęce rzęsy, lecz był to jedyny kobiecy element jego urody. Choć nie w agresywny sposób, Kevin Mills był bardzo męski.

Zabawne, pomyślała gładząc jego krótkie ciemne włosy. Gdyby na tym miejscu był Daryl, już ściągnąłby z niej bieliznę, co na początku ich znajomości było zabawne, a pod koniec już tylko nudne.

Wieczór w towarzystwie Kevina okazał się bardzo przyjemny, a nawet nie próbował jej dotknąć. Nie potraktował również zaproszenia na pizzę równoznacznie z zaproszeniem do łóżka. Najbardziej erotycznym gestem wieczoru było wytarcie sera z kącika jej warg, ale ten czuły gest wydał jej się bardziej podniecający niż sto głębokich pocałunków Daryla. Sposób, w jaki Kevin dotknął jej ust szczupłymi długimi palcami, przyprawił ją o gęsią skórkę. Wiedziała, że kiedy pójdzie z nim do łóżka, będzie to niezapomniane przeżycie.

Nie chciała jednak, by stało się to zbyt szybko. Był kimś wyjątkowym. Nie wskoczy z nim do łóżka przy pierwszej okazji, by w ten sposób nie zepsuć ich szansy na przyszłość.

- Śpiochu - szepnęła mu do ucha. - Chyba czas na ciebie. - Pocałowała go w policzek i wstała. Poszła do kuchni zaparzyć kawy.

- Przepraszam - nieprzytomnie przecierał oczy. - Okropny ze mnie gość. Nakarmiłaś mnie, a ja zasnąłem.

Smudge, który już zdecydował, że kocha Kevina całym kocim sercem, ocierał się o niego

miłośnię i mruczał głośno. Dee nasypała kawy do filiżanek.

- Nie przejmuj się, nikt nie oczekuje, że po nieprzespanej nocy będziesz duszą towarzystwa.

Cukier?

- Poproszę. Dwie łyżeczki. Dasz się jutro zaprosić na kolację?

Udawała, że się zastanawia.

- No, nie wiem. Jeśli szejk nie zadzwoni...Tak, bardzo chętnie - powiedziała z uśmiechem, podając mu kubek mocnej kawy.

Po jego wyjściu posprzątała w kuchni i wyrzuciła pudełko po gigantycznej pizzy, cały czas szeroko uśmiechnięta. Smudge wyjątkowo zaszczycił swoją obecnością jej sypialnię.

Dee rzuciła się na łóżko i drapała kota, aż mruczał na całe gardło.

- Czyż nie jest boski? - zapytała. Smudge zamruczał jeszcze głośniej.

- Podzielimy się nim - zaproponowała.

W łóżku rozmyślała o Kevinie. O tym, jak w pubie otoczył ją ramionami, śmiał się z jej dowcipów i gawędził pogodnie. Był wspaniały - przystojny, miły, zabawny. I seksowny. Nagle przypomniała sobie, co Maeve mówiła o fotografach i zdjęciach erotycznych, i roześmiała się na całe gardło. To dopiero jest myśl.

Redakcja praktycznie świeciła pustkami, gdy Dee przybiegła do pracy następnego ranka, zdecydowana nadrobić wszelkie zaległości przed kolacją z Kevinem. Musi zredagować wywiad z nader ekscentrycznym projektantem mody, dokończyć rubrykę porad i wykonać setki telefonów, a o wpół do siódmej Kevin po nią przyjedzie. Nie mogła się doczekać!

- Gdzieś ty była? - Tanya Vernon pojawiła się przy niej jak dżin z butelki, zaledwie Dee cisnęła teczkę na biurko.

Cofnęła się napotkawszy wściekle spojrzenie Tanyi. Ubrana na czarno, z okazałych rozmiarów krucyfiksem na szyi, wyglądała wręcz złowrogo. Najwyraźniej była na kogoś wściekła. Dee głośno przełknęła ślinę. Tanya będzie chciała na niej wyładować całą złość.

- Wczoraj godzinami wydzwaniałam do ciebie na komórkę - syknęła. - Gdzie byłaś? Nigdy jej nie włączasz, ty głupia, tłusta krowo? Masz w nosie ten dział, całą tę gazetę, prawda?

Przez moment Dee słyszała tylko bicie własnego serca, paniczne i szybkie. Potem, gdy Tanya wrzeszczała, że przez nią stracili dobry temat, bo nie miał kto przeprowadzić wywiadu, Dee uświadomiła sobie, że nieliczne osoby w redakcji przestały nawet udawać, że pracują, i przysłuchiwały się im jawnie. Patrzyli na nie bez słowa, niczym turyści na safari obserwujący, jak lwica rozdziera gardło oszołomionej antylopie, którą odgoniła od stada.

- Chantal nigdy nie udziela wywiadów! Była tu przejazdem, mieliśmy wyłączność na rozmowę, tylko że nie było komu jej przeprowadzić! - piekliła się Tanya.

Dee bezradnie rozejrzała się dookoła. Czy nikt jej nie pomoże, nie ocali?

Nagle zrozumiała: nikt jej nie uratuje przed Tanya. Och, Isabel i Maeve zrobiłyby to, nie obawiały się konfrontacji z panią Vernon. Nie pozwoliłyby jej pastwić się nad Dee. Wiedziały, że nie znosi takich sytuacji i nie potrafi odpowiedzieć ciosem na cios, zwłaszcza na ciosy rozjuszonej dyrektor wydawniczej.

Niestety, nie było ich tutaj. Dee została zdana na własne siły.

- Ja... przepraszam - wyjąkała. - Miałam wolne - dodała cichutko.

- To za mało! - syknęła Tanya. Szykowała się do śmiertelnego ciosu. - Albo tu pracujesz, Dee, albo nie, a sądząc po twoim zachowaniu, niedługo tu zostaniesz. Jest wielu, którzy dużo lepiej nadają się na to stanowisko. To ludzie, którzy znają się na rzeczy.

Dee czuła, jak jej drży dolna warga. Nie rozplacze się, nie teraz. To byłaby oznaka tchórzostwa i słabości, jak przyznanie się do winy. A naprawdę miała wolne wczoraj wieczorem. Miała prawo wyłączyć komórkę. Nie jest już w dziale informacyjnym, gdzie musiała być wiecznie dyspozycyjna. W dziale kobiecym trudno się spodziewać nieoczekiwanych zleceń w środku nocy.

Przyszło jej do głowy dlaczego Tanya, skoro tak jej zależało na tym wywiadzie, nie wysłała kogoś innego? Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na jej rozwścieczoną twarz, by się przekonać, że mówienie czegokolwiek poza przepraszam byłoby błędem.

- Przepraszam - powtórzyła.

Tanya obrzuciła ją lodowatym spojrzeniem.

- To za mało - warknęła, odwróciła się na pięcie i odeszła.

- Jezu! - jęknęła Anna, która widziała i słyszała całe zajście. - Co za suka. Nic ci nie jest, Dee?

Dee nie ufała swemu głosowi. Milcząco skinęła głową. Miała nadzieję, że uda jej się nie rozplakać, dopóki wszyscy na nią patrzą. Szybko pobiegła do biurka Isabel za przepierzeniem, opadła na krzesło i wpatrywała się w swoje dłonie. Drżały jak liście na silnym wietrze. Cała się trzęsła. Była to jedna z najgorszych chwil w jej życiu. Nikomu nie życzyła takiego uczucia.

- Dzień dobry, Anno - usłyszała ciepły, przyjazny głos Isabel. Dee nagle wpadła w panikę. Nie może się z nią spotkać. Wystarczy jedno serdeczne słowo, jedno zapewnienie, że jeśli chce, Isabel udowodni Tanyi, że nie można bezkarnie wrzeszczeć na pracowników, a Dee się rozplacze. Musi stąd wyjść.

Wyskoczyła zza biurka Isabel i wpadła prosto na nią.

- Dee, co się stało? - Isabel wystarczyło jedno spojrzenie.

- Nie mogę teraz rozmawiać - szepnęła.

Wybiegła z redakcji, na parking, na ulicę. Nie wiedziała, co dalej robić. Dlaczego właściwie

uciekła, dlaczego nie ukryła się w toalecie i nie opowiedziała Isabel całego zajścia? Musiała jednak chociaż na krótko oddalić się od redakcji, i jeśli miała być ze sobą szczerą, nie mogłaby opowiedzieć Isabel, co się stało. Podziwiała i szanowała Isabel. Jak może się spodziewać, że ona będzie również ją szanowała po czymś takim?

Dee weszła do małej kawiarenki, zamówiła cappuccino z podwójną czekoladą i popijała powoli, cały czas przeżywając w myślach poranne zajście. Jakże ona nienawidzi Tanyi Vernon! Nie, nienawidzi to za mało: nie cierpi, gardzi nią, brzydzi się i do tego nienawidzi. Szkoda tylko, że nie wie, czemu Tanya żywi do niej taką wrogość.

Tanya miała wszystko to, czego Dee zabrakło: urodę, fantastyczną figurę i długie, długie nogi, dzięki którym Dee wyglądała przy niej jak jeden z siedmiu krasnoludków. Dlaczego więc tak gorąco nienawidzi niskiej, grubej Dee O'Reilly?

Czekoladowe cappuccino poprawiło jej humor. Zadzwoiła do Kevina i opowiedziała, co ją spotkało.

- Suka! - warknął. Jego głos ociekał jadem. - Zabiję tę dziwkę.

Dee zachwyliła jego reakcją. Gary powiedziałby jej, że przesadza. Daryl zaciągnąłby ją do łóżka, żeby pocieszyć. Kevin natomiast powiedział dokładnie to, co chciała usłyszeć. I wiedział również, co Dee powinna zrobić.

- Ostatnio sporo pracowałem z ludźmi od was, z działu informacyjnego. Wszyscy mówią, że ta Yernon coś ukrywa - powiedział powoli, z namysłem, kiedy skończył już obrzucać Tanyę obelgami. - Do niedawna nikt o niej nie słyszał, a tu nagle pojawia się jak diabeł z pudełka i twierdzi, że pracowała w najlepszych dziennikach na całym świecie.

- Tak? - Dee nie ukrywała zdumienia. - To i tak więcej, niż ja o niej słyszałam.

- Podobno przyjechała z Australii. Chris Schriber mówi, że coś tam robiła w koncercie prasowym w Sydney. Pytanie tylko, co? Na pewno nie była reporterką. Jest na to zbyt wielką dziwką, a ponieważ jej znajomość zarządzania jest bliska zeru, najwyraźniej posada w „Sentinelu” to jej pierwsza praca na stanowisku menadżerskim.

Dee uśmiechnęła się radośnie. Jak to miło, kiedy twój facet mówi o innej kobiecie „dziwka”. Czyli jej nogi do samego nieba i wystające kości policzkowe nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Łakomie spojrzała na czekoladowe ekierki.

- Nie daj się jej wyprowadzić z równowagi, Dee - tłumaczył. - Uspokój się. Jesteś dziennikarką, umiesz szperać. Poszukaj czegoś na jej temat. Dowiedz się, skąd pochodzi, co robiła, a może dzięki temu zrozumiesz, czemu się tak zachowuje. A zarazem zgromadzisz amunicję, żeby odeprzeć kolejny atak. - W jego głosie pojawiły się miękkie nuty. - Najchętniej sam bym jej powiedział, że jeszcze słowo pod twoim adresem, a będzie miała ze mną do czynienia, ale nie zrobię tego.

- Wiem, sama muszę się z nią uporać - mruknęła Dee bez zbytniego przekonania.

- Właśnie. Ale nie dzisiaj - dodał miękko. - Jesteś na to zbyt zdenerwowana. Wieczorem sprawię, że o wszystkim zapomnisz, obiecuję. Postawię ci najlepszą kolację w Dublinie, a jutro stawisz czoła tej suce, w porządku, Dee?

Usłyszała w tle inne głosy.

- Muszę kończyć - mruknął Kevin. - Zadzwoń przed lunchem, dobrze?

- Dobrze. Cześć.

Starając się nie myśleć o niedokończonej rubryce, Dee bez celu włóczyła się po ulicach i gapiała na wystawy. W malutkim butikiu przymierzyła obcisły karmelowy sweterek, bardzo wyszczuplający. Chociaż wiedziała, że nie powinna nawet myśleć o kupowaniu go w obecnej sytuacji finansowej, już szukała w torebce karty kredytowej. A potem zobaczyła bursztynowy naszyjnik, który doskonale wyglądałby z jej nowym nabytkiem, więc kupiła i naszyjnik. Po co komu terapia, skoro są sklepy, pomyślała wychodząc.

W butikiu obok oglądała przecenione bluzki, kiedy zadzwonił jej telefon komórkowy. To Isabel z pytaniem, czy skończyła już swoją rubrykę. Nie słyszała chyba o awanturze, bo pytała Dee, czy nie jest chora.

- Byłaś taka blada, bałam się, czy ci coś nie zaszkodziło.

- Nie, nie jestem chora - odparła Dee powoli. Chyba że na umyśle. - Musiałam wyjść na pół godziny, zaraz wrócę i dokończę.

Musi wracać. Nie ma sensu ukrywać się dłużej. Jeśli nie złoży rezygnacji z pracy przez telefon, będzie oglądała Tanyę dzień w dzień, po kilka razy. Taka jest prawda. A nie rzuci pracy, chociaż może właśnie o to chodziło Tanyi.

„Jest wielu, którzy lepiej się nadają na to stanowisko...” i Dee wiedziała, że miała na myśli swoich przyjaciół. Tanya chciała stworzyć wokół siebie małe imperium, otoczyć się potakującymi poplecznikami, pewnie tak samo pozbawionymi talentu jak ona. Kobietami, które mają dyplomy z gnębienia innych, ale nie potrafiłyby sklecić najprostszego tekstu.

W tym momencie uświadomiła sobie coś innego: jeśli Tanyi tak bardzo zależało na tym wywiadzie, dlaczego nie zrobiła go sama? Jak by nie było, w sytuacji podbramkowej każdy szef działu z prawdziwego zdarzenia podjąłby się pracy reporterskiej. Dee wiedziała, że wielu ludzi na tym stanowisku zaczynało od funkcji redaktora technicznego, czyli planowali układ stron, wymyślali nagłówki, ale rzadko pisali teksty. Tanya jednak nie była redaktorem technicznym - sama to powiedziała któregoś dnia, gdy potrzebne było zastępstwo za chorą redaktorę. Tak więc jej przeszłość zawodowa - o ile taką w ogóle posiadała - to musiało być dziennikarstwo. Więc dlaczego sama nie przeprowadziła wywiadu z Chantal? Chyba że nie jest dziennikarką?

W gazetach pracują trzy rodzaje ludzi: redaktorzy techniczni, dziennikarze i fotografowie. Jeśli Tanya nie należy do żadnej z powyższych kategorii, kim jest?

Kevin ma rację. Ona coś ukrywa, a Dee stanie na głowie, żeby poznać jej sekret.

Droga Annie Ostatnio układało mi się różnie, raz pod wozem, raz na wozie, ale teraz wszystko jest jak najlepiej. W moim życiu pojawił się nowy wspaniały mężczyzna, ucieleśnienie kobiecych marzeń, mam bardzo dobrą pracę, ale niestety jedna z przełożonych ciągle mi dokucza.

Nie wmawiam sobie tego. Ona mnie naprawdę nienawidzi. W jej oczach popełniam same błędy. Zleca mi najgorsze zadania, krytykuje moją pracę i każe przerabiać wszystko po sto razy. Dzisiaj przepełniła czarę; upokorzyła mnie przy innych, nakrzyczała na mnie za coś, czemu wcale nie byłam winna. Co gorsza, pozwoliłam jej na to. Nie powiedziałam ani słowa, nawet ja przeprosiłam, chociaż to nie była moja wina. Proszę, pomóż mi.

Zdesperowana.

Droga Zdesperowana I tak wiesz, co ci odpowiem, prawda? Ta kobieta nie przestanie cię dręczyć, dopóki nie stawisz jej czoła. Nie kto inny, tylko ty osobiście. Czasami w życiu można prosić o pomoc, ale z tego co opisałaś wynika, że w tej sytuacji musisz sobie poradzić sama. Ona nie przestanie ci dokuczać, chyba że ją do tego zmusisz. Musisz się jej przeciwstawić...

Dee westchnęła. To prawda. O ile nie zaczniesz działać, Tanya nigdy nie przestanie. Nawet jej korespondencyjne alter ego zrozumiało: teraz albo nigdy.

Wracając do pracy wrzuciła paczki z zakupami do samochodu i pomaszerowała do redakcji. Tanyi nie było w pokoju konferencyjnym. Tym lepiej, Dee chciała porozmawiać z nią przy świadkach. Głęboko zaczerpnęła tchu i weszła do głównej sali.

Nietrudno było zauważyć Tanyę. Wysoka i szczupła, z daleka widoczna w czarnej kreacji, pochylała się nad biurkiem redaktora technicznego, i sądząc po języku ciała, miała do niego o coś pretensję.

Dee podeszła do niej i odezwała się na cały głos:

- Chciałabym z tobą porozmawiać. Natychmiast. - Nie obchodziło jej, że przerywa komuś rozmowę.

Tanya zwróciła ku niej ładną, wykrzywioną pogardliwie twarz.

- Jestem zajęta. - Ponownie zapatrzyła się w ekran komputera.

- Powiedziałam, że chcę z tobą porozmawiać - powtórzyła Dee bardziej stanowczo.

Tym razem Tanya się wyprostowała.

- Jak śmiesz mi przeszkadzać...

Dee spokojnie podniosła głowę i wyprostowała się dumnie. Popatrzyła lodowato na

przeciwniczkę.

- Zamknij się, ty suko - rzuciła głosem równie zimnym jak jej wzrok. - Nigdy więcej nie odzywaj się do mnie w ten sposób. To redakcja, nie bazar.

Tanya nie wierzyła własnym uszom.

- Słuchaj...

- Nie - przerwała Dee tak głośno, żeby do wszystkich dotarły jej słowa. - To ty słuchaj. Jesteś podłą, wredną suką, która nie ma za grosz talentu. Gdyby ci naprawdę zależało na wywiadzie z Chantal, mogłaś sama go przeprowadzić. Ale nie zrobiłaś tego, bo... - przerwała. W wielkiej sali było cicho jak makiem zasiał. - ...nigdy w życiu nie napisałaś artykułu, ba, jesteś za głupia, żeby zrobić zwykły wywiad. Odkąd tu pracujesz, nie napisałaś ani słowa, a to dlatego, że nie umiesz.

Twarz Tanyi była maską wściekłości, ale Dee nie dała jej dojść do słowa z obawy, że wdadzą się w bezowocną pyskówkę.

- Wszyscy wiemy, że jesteś utalentowana tylko w jednej dziedzinie, mianowicie w tej, do której nie potrzebujesz wazeliny - dodała chłodno. - Masz jeszcze nadzieję, że ktoś o wyższej pozycji straci dla ciebie głowę do tego stopnia, że będzie cię awansował mimo braku zdolności - ale to nie jest awans, którym można się szycić. Tutaj ci się nie udało, prawda? Ponieważ nikt nie pędzi z tobą do łóżka, wyżywasz się wrzeszcząc na tych, którzy potrafią coś napisać. Jeśli już chcesz przez seks dostać się na sam szczyt, nie zaszkodziłaby odrobina talentu do pisania, na wypadek gdyby ugięły się pod tobą nogi!

Ktoś parsknął śmiechem, ale Dee jeszcze nie skończyła. Zaczynało jej się to podobać. Tanya otworzyła usta ze zdumienia.

Dee patrzyła na nią, jakby była grudką błota na jej pantoflu.

- Nikt nie będzie się tobą przejmował, Tanya, a ja najmniej. Jeśli nadal będziesz mnie prześladować, związki zawodowe staną w mojej obronie i nikt cię więcej nie zatrudni, jasne?

Dee nie miała pojęcia, czy coś takiego jest możliwe, ale brzmiało to bardzo dobrze i wywarło na Tanyi zamierzony efekt. Pobladła z wściekłości i zacisnęła szczęki, a jej słowiańskie kości policzkowe wystawały teraz bardziej niż zwykle.

- Za kogo ty się uważasz? - wrzasnęła.

Dee udało się obrzucić ją spojrzeniem tak pełnym pogardy, że Tanya cofnęła się o krok.

- Za kogoś, przed kim powinnaś mieć respekt, bo inaczej tego pożałujesz. I to bardzo - wycedzała niskim głosem.

Odrzuciła niesforny lok, odwróciła się na pięcie i podeszła do swojego biurka z uśmiechem szerokości mostu Golden Gate na twarzy. Zrobiła to, naprawdę to zrobiła!

Za jej plecami Tanya wybełkotała:

- Słyszeliście to?

- Moim zdaniem wynik jest jasny: gem, set i mecz dla panny O'Reilly - odezwał się spokojny rozbawiony głos. Chris Schriber, rozpoznała Dee. - A może nie lubisz, kiedy odwracają się role, Tanya?

Wydawało się, że jego komentarz przerwał zakłęcie. Publiczność znowu odważyła się oddychać.

- Brawo! - Maeve uściskała Dee serdecznie.

Powszechna aprobata okazywana Dee sprawiła, że Tanya uciekła pospiesznie.

Wszyscy tłoczyli się wokół biurka dziewczyny, klepali ją po plecach, Jackie ucałowała ją w oba policzki, redaktorzy techniczni ustawili się w kolejce, by uścisnąć jej dłoń.

- Tanya na to zasłużyła - stwierdziła Anna, która była świadkiem porannego zajścia. - Nie chciało mi się wierzyć własnym uszom, kiedy słyszałam, co ci mówiła.

- Co się wtedy działo? - zainteresowała się Isabel. - Zaatakowała cię, Dee?

- Zaatakowała? - zachnęła się Anna. - Mało brakowało, a wylałaby Dee z pracy, bo wczoraj wieczorem nie było komu przeprowadzić wywiadu z jakąś aktorką. Darła się na całą redakcję.

- Naprawdę? - jęknęła Maeve. - Dee, to okropne...

- Wcale nie - zauważyła Isabel z zadowoleniem. Mocno uściskała Dee. - To, co powiedziała, skłoniło cię do stawienia jej czoła. Wiem, że przysłowie: „Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” to banał, ale w tym wypadku prawdziwy.

Dee uśmiechnęła się promiennie.

- Zgadza się.

- Wiesz, że dopiero teraz Tanya będzie cię atakowała, prawda? - ostrzegła Maeve.

- Tak, ale poradzę sobie z tym.

Kiedy wszyscy wrócili do pracy, Isabel zaparzyła herbatę dla Dee i dla siebie.

- To się pewnie ciągnęło od jakiegoś czasu - zagadnęła. - Szkoda, że mi nie powiedziałaś, do jakiego stopnia Tanya cię dręczy. Postarałabym się ją powstrzymać.

- Wiem. - Dee poklepała ją po dłoni. - Ale nie chciałam ci o tym mówić - przyznała. - Upokarzała mnie świadomość, że boję się konfrontacji, znowu poczułam się jak najgrubsza dziewczyna w szkole. Byłam bezradna. I w dodatku - zamieszała herbatę - Tanya zdawała się to wyczuwać. Ciągle mówiła coś na temat mojej figury, drwiła, że jestem gruba.

W błękitnych oczach Isabel błysnęła złość. Dee nigdy nie widziała jej w takim stanie.

- Nie wierz w ani jedno jej słowo. Niewiele znam kobiet, które miałyby w sobie więcej życia, byłyby bardziej atrakcyjne. Twoja obecność ubarwia każde towarzystwo. Tanyi nigdy się to nie uda.

- Chyba że owinie się sznurem lampek choinkowych - dorzuciła Dee. - Coś takiego, nawet żartuję na ten temat. Z taką sytuacją można sobie poradzić w jeden sposób - wchodząc do jaskini

Iwa - stwierdziła po chwili namysłu. - Powinnam była zrobić to już dawno.

- Najważniejsze, że w ogóle się na to zdobyłaś. Jestem z ciebie dumna. Wiem, że nie lubisz bezpośrednich konfrontacji.

- Tak było, ale pod koniec właściwie mi się to podobało. Chyba dlatego, że byłam górą. Na początku umierałam ze strachu.

- Jednego nie rozumiem - Isabel zastanawiała się głośno. - Dlaczego Tanya tak bardzo cię nie lubi. Mam nadzieję, że nie przejęłaś się tym wszystkim co ci naplotła, Dee. Jesteś bardzo dobra w tym, co robisz, i bardzo cię cenię. Zaraz pójdę do Malley, muszę z nią o tym porozmawiać. Niech wie, co się święci.

- Teraz pewnie Tanya opowiada jej swoją wersję - stwierdziła Dee cynicznie.

- Pewnie tak. Ale pozna i moją. Maeve ma rację, Tanya będzie teraz jeszcze bardziej na ciebie cięta.

Dee uśmiechnęła się tajemniczo.

- Nie martw się, Isabel. Jeszcze z nią nie skończyłam. Jeśli myśli, że może zniszczyć moją karierę, to się grubo myli.

W żadnym z wiodących dzienników w Sydney nie słyszeli o Tanyi Vernon, w stacjach telewizyjnych też nie. Dee przestało to dziwić jeszcze zanim skontaktowała się ze wszystkimi mediami w Sydney. Ze względu na różnicę czasu i trudności ze znalezieniem właściwych osób zajęło jej to całe trzy dni.

Oczywiście Kevin jej przy tym pomógł. Jego stary znajomy, fotograf z Melbourne, prowadził dyskretne prywatne dochodzenie.

- Tom przez dwa lata siedział w Sydney - wyjaśnił Kevin. - Nadal ma tam znajomych.

Nie wiadomo, kogo Tom znał, w każdym razie jego śledztwo przyniosło efekty. Czwartego dnia Dee otrzymała od niego e-mail.

Dowiedziałem się, że przed mniej więcej czterema laty twoja kumpelka pracowała w małej stacji telewizyjnej w Nowej Południowej Walii. Zapowiadała pogodę. Wtedy jakiś magazyn opublikował jej rozbierane zdjęcia z pisma erotycznego, do których pozowała zaraz po przyjeździe do Australii. To wywołało nielichy skandal, bo kreowała się na nietykalną, cnotliwą Irlandkę. Taki znak firmowy - słodka, ale niewinna.

Dee nie wyobrażała sobie, jak zadzierająca nosa, złośliwa Tanya mogła udawać osobę słodką i niewinną.

Całkiem dobrze jej szło, podobno miała szansę zrobić karierę w dużych stacjach. Jednak

wyjechała po tym, jak wydrukowano zdjęcia i od tamtej pory nikt jej nie widział. Nie pracowała w żadnej gazecie. Za to mam coś, co może ci się przydać.

Gazeta, która wydrukowała zdjęcia, podała jej prawdziwe nazwisko: Con-cepta Gorman. Napisali, że pochodzi z Althone, miasteczka kilka mil od Dublina. W kraju wielkości Australii Althone rzeczywiście wydaje się leżeć blisko Dublina! Mam ksero z artykułu, ale jest fatalnej jakości. Przesłać ci je faksem czy zwykłą pocztą? Zdjęcia są naprawdę mocne!

Dee zrobiło się szkoda Tanyi, czy raczej Concepty. To musiało być okropne. Znalazła coś, w czym była dobra - a Tanya a na pewno była dobra, miała taki fałszywy, seksowny uśmiech - a potem straciła z powodu głupstwa z przeszłości. Nikt nie jest doskonały, stwierdziła Dee. Każdy ukrywa szkielet w szafie. Co za pech, że w przypadku Tanyi były to zdjęcia erotyczne.

Nagle uświadomiła sobie, co robi; współczuje swojej najgorszej dręczyciel-ce, która od pół roku zamienia jej życie w piekło.

Wyślij pocztą, wystukała na klawiaturze. Wielkie dzięki, Tom, jestem twoją dłużniczką.

Wystarczyło kilka telefonów i pomoc starego znajomego z czasów, gdy pracowała w dziale informacyjnym, by Dee odnalazła Conceptę Gorman w niewielkiej szkole średniej pod Althone. Obiecano przesłać jej dokumenty absolwentów z trzech kolejnych lat, w których Tanya mogła kończyć szkołę. Jeśli na zdjęciu Concepty Gorman da się rozpoznać Tanyę Yernon, Dee wygrała.

- Chciałaś się ze mną widzieć? - zapytała słodko swoją dręczycielkę. Tanya siedziała w pokoju konferencyjnym, za wielkim biurkiem zawalonym papierami.

Minął tydzień od starcia między nimi. Przez ten czas Tanya unikała Dee jak ognia, nie odzywała się do niej nawet na zebraniach.

Tego dnia, po powrocie z lunchu z Kevinem, Dee znalazła notatkę na biurku: „Po powrocie zgłoś się do pokoju konferencyjnego”. Żadnego „proszę” czy „dziękuję”, zauważyła bez zdziwienia. Tanya nigdy nie zawracała sobie głowy uprzejmościami.

- Tak. - Tanya z trudem ukrywała niechęć. - Wejdz.

Dee posłuchała i usiadła, głównie dlatego, że Tanya jej tego nie zaproponowała. Rozparła się swobodnie na krześle, położyła notes na kolanach, założyła nogę na nogę, wygładziła fałdy zamszowej spódnicy i czekała. Nie dawała po sobie poznać, jak bardzo się denerwuje.

Konfrontacja na forum całej redakcji, z olbrzymią dawką adrenaliny we krwi to jedno, a spotkanie w cztery oczy w deszczowy poranek, bez żadnego oparcia, gdyby sprawy potoczyły się nie po jej myśli, to co innego.

- Mam dla ciebie zadanie - odezwała się Tanya.

Dee uniosła pytająco brwi. Milczała.

- Niedługo odbędzie się uroczyste wodowanie nowego trawlera w Donegal. To największa tego typu jednostka na świecie. Chcemy, żebyś na dwadzieścia cztery godziny dołączyła do załogi w pierwszej podróży.

- My?

- To pomysł naczelnej. Prosiła, żebym cię tam wysłała. - Tanya dała jej jasno do zrozumienia, że każda chwila spędzona z Dee O' Reilly to dla niej zmarnowany czas.

- Dlaczego akurat ja? - zdziwiła się Dee. - To niezbyt kobiecy temat.

- Zdaniem Malley możesz napisać z tego niezły kawałek.

- Och. - Dee wyprostowała się i szeroko otworzyła oczy. - Innymi słowy, Malley podoba się mój styl i uważa, że napiszę dobry tekst? - drażyła.

- Tak - warknęła Tanya. - Pojedziesz jutro.

- Jutro! - jęknęła Dee.

Tanya uśmiechnęła się złośliwie, zadowolona, że i ona zdobyła punkt.

- Jutro. O siódmej rano. Jadą także inni dziennikarze.

- Suka! - złościła się Dee, gdy stały z Maeve w małej kuchence i parzyły kawę. - Na pewno wiedziała o tym od kilku dni, ale powiedziała mi dopiero dzisiaj. Jakim cudem mam zdążyć ze wszystkim i wyjechać jutro o siódmej?

- Mówiłam, że będzie na ciebie cięta - stwierdziła Maeve. - I tak dobrze, że ci w ogóle powiedziała. Gdyby była taka sprytna, za jaką się uważa, nie puściłaby pary z gęby, udając, że o wszystkim wiesz. Dopiero by ci się oberwało od Malley!

- Fakt - mruknęła Dee. - Coś dla mnie? - zawołała pod adresem dziewczyny, która rozwoziła pocztę.

- Tylko to. - Podała jej paczkę ze stemplem pocztowym z Althone.

- Jeśli to jest to, o czym myślę, już mam lepszy pomysł. - Dee niecierpliwie rozrywała opakowanie.

- Roczniki! - pisnęła Maeve, która wiedziała o wszystkim. Znalazły Tanyę w najstarszym tomie.

- Czyli jest co najmniej o trzy lata starsza niż podaje - zauważyła Maeve. Dee milczała. Ze zdumienia odjęło jej mowę. Wszystkie zdjęcia były raczej nieudane, większość osób prawdopodobnie nie rozpoznałaby samych siebie sprzed dwunastu lat. A Tanya Vernon, czy raczej Concepta Gorman, wyglądała jeszcze gorzej niż inni. Oczy dziewczyny niknęły pod kiepską trwałą, kreski na powiekach wcale nie dodawały jej uroku. Najbardziej jednak szokujące były jej rozmiary.

Była olbrzymia - okrągła księżycowa twarz wpatrzona w kamerę, tłuste policzki skrywające te kości policzkowe, które dzisiaj budziły powszechny zachwyty. A kształtny teraz podbródek Tanyi nikł pod wieloma warstwami tłuszczu. Zdjęcie kończyło się na wysokości ramion, ale to wystarczyło, by ukazać potężne kształty wtłoczone w brązowy sweter, którego odcień tylko pogłębiał niezdrowy kolorysty cery dziewczyny.

- To niemożliwe, to nie ona - szepnęła Maeve.

- Owszem - wykrztusiła Dee. Rozpoznałaby zawsze i wszędzie złośliwe oczy i zaciśnięte usta Tanyi. Nie zmylą jej dodatkowe kilogramy. Poza tym przywykła widzieć w lustrze grubą kobietę i wyobrazać sobie, jakby wyglądała będąc o dwadzieścia kilo szczuplejszą.

- Strasznie schudła - dziwiła się Maeve. - Może dlatego tak bardzo cię nie lubi, Dee? Jesteś śliczna, a ona nie była.

- Nie zapędzaj się w psychoanalizę tej suki - rzuciła Dee energicznie. - Mogłabyś latami zgłębiać, czemu jest wredną dziewczką, i nie doszłabyś do żadnych konstruktywnych wniosków. Sana świecie ludzie, nad którymi nie warto się zastanawiać. To suka, koniec, kropka.

Maeve parsknęła śmiechem.

- A więc kto napisze reportaż ze zjazdu psychiatrów w Galway w przyszłym miesiącu? Chyba cię to interesuje?

- Nawet bardzo - zapewniła Dee. - Ale czasami szkoda czasu na odgadywanie, jakie motywy kierują niektórymi ludźmi. Lepiej przestać zwracać sobie tym głowę i zamiast tego skupić się na opracowaniu mechanizmów obronnych.

- Przepraszam bardzo, doktor O'Reilly, popełniłam błąd. Powinnaś wziąć udział w tym zjeździe.

- Po weekendzie sama będę potrzebowała terapii - jęknęła Dee. - W sobotę odbędą się chrzciny dziecka Millie i Dana. Zgadnij, kto tam będzie?

- Kochany Gary? - domyśliła się Maeve.

- Strzał w dziesiątkę. Nie mam ochoty na spotkanie z nim - przyznała Dee. - Nie widziałam go od tak dawna, to będzie dziwne spotkanie...

- Nie będzie. Spiorunuj go wzrokiem, jeśli do ciebie podejdzie. Kevin idzie z tobą?

- Nie zaprosiłam go. To nie fair, zabierać go jako rekwizyt, na zasadzie: „Spójrzcie, mam nowego faceta”. Zrobiłam tak z Darylem na kolacji u Millie i mało brakowało, a doszłoby do katastrofy. Nie - dodała po namyśle. - Muszę iść sama.

- Ja będę ci towarzyszyć - zaoferowała się Maeve. - Mam wolne w sobotę.

Dee uśmiechnęła się krzywo.

- Znając twój stosunek do mojego eks-narzeczonego, wylądowałybyśmy na komisariacie policji, gdzie usiłowałabym wmówić gliniarzom, że wcale nie chciałaś go zadźgać widelcem.

Isabel musnęła palcami aksamitne płatki róż i uśmiechnęła się do siebie. Rozjaśniały jej biurko i jej nastrój. To cały Jack; domyślił się, że będzie za nim bardzo tęskniła wiedząc, że nie zobaczą się przez cztery dni. Po raz kolejny przeczytała bilecik.

Kochana Isabel, tylko kilka słów żeby Ci przypomnieć, że Cię kocham i że wracam w niedzielę wieczorem. Już za Tobą tęsknię, chociaż widzieliśmy się zaledwie przed kilkoma godzinami. Kocham Cię...

Bruksela wydawała się bardzo daleko. Obiecał, że będzie dzwonił kilka razy dziennie.

- Chciałbym bez przerwy słyszeć twój głos - powiedział poprzedniego wieczora.

A ona chciała słyszeć jego.

Zerknęła na zegarek. Wpół do pierwszej. Już jest na miejscu, pewnie jedzie na spotkanie.

- Co za podróż! Myślałam, że to się nigdy nie skończy! - Gwałtownie podniosła głowę. Dee stanęła koło niej. Była chyba bardzo zmęczona, nie wyglądała najlepiej; włosy związała w ciasny kok, nie miała makijażu poza smętnymi resztkami wczorajszego tuszu na rzęsach. Jej oczy były podkrążone i przekrwione.

- Jak podróż? - Isabel nie oczekiwała zbyt radosnej odpowiedzi, sądząc po minie Dee.

- Koszmarna - odparła, tłumiąc ziewnięcie. - Nie wyobrażasz sobie, co się stało. Tanya kazała mi być o siódmej na lotnisku, na lot do Donegal. Byłam, i wiesz, co się okazało? Odlecieli! Kobieta, która wszystko organizowała, mówiła, że wczoraj wysłała do Tanyi faks z nową godziną odlotu, a ta krowa nic mi o tym nie powiedziała!

- Ojej. I co zrobiłaś?

- Najpierw wpadłam w panikę. A potem - uśmiechnęła się łobuzersko - wynajęłam helikopter! Musiałam, inaczej za żadne skarby nie zdążyłabym na czas!

- Co zrobiłaś? - Isabel nie wierzyła własnym uszom. - Tanya dostanie szału.

Na myśl, w jaką furję wpadnie Tanya, gdy się o tym dowie, obie parsknęły śmiechem.

- Dostanie spazmów! - prychnęła Dee.

- Muszę to zobaczyć! - zawtórowała Isabel. Otarła oczy. - Jesteś pewna, że dasz sobie z nią radę? - zapytała poważnie.

Dee skinęła głową.

- Więc chodźmy, postawię ci lunch - zaproponowała Isabel. - Przyda ci się trochę rozpieszczania, zanim staniesz oko w oko z potworem.

- Dzięki, to bardzo miło. Umieram z głodu. - Dopiero teraz Dee zauważyła bukiet róż. - Jack? - zapytała bezgłośnie.

Isabel tylko uśmiechnęła się promiennie.

- Opowiesz mi przy lunchu. - Dee sięgnęła po torebkę.

Isabel nie powiedziała jej wszystkiego. Nie mówiła nikomu, że Jack chce odejść od Elizabeth; będzie milczała, dopóki nie stanie się to faktem. Wtedy, obiecała sobie, Dee dowie się pierwsza. Dee była dla niej bardzo dobra, odkąd się dowiedziała o Jacku. Kryła ją, kiedy urywała się na długie lunchy, służyła ramieniem i radą, gdy Isabel musiała się przed kimś wyzalić, zmęczona romanssem z żonatym mężczyzną. Opowiadała więc Dee o wyjeździe do Paryża i nowej sukni, ale nie o planach na przyszłość.

- Nowe ciuchy od najlepszych projektantów, pomyśl tylko - zażartowała. - Niedługo będę drugą Elizabeth Carter - majtki od Gucciego pod suknią Bena de Lisi.

Dee, pod koniec posiłku, nagle przycichła. Nawet nie skończyła ciastka.

- Isabel, jest coś, o czym muszę ci powiedzieć - zaczęła.

- Tak? - Isabel wyprostowała się niespokojnie. - O co chodzi? Słyszałaś w redakcji jakieś plotki na nasz temat?

Dee powoli pokręciła głową.

- Nie. Nie wiem właściwie, czy to dobra, czy zła wiadomość...

- Powiedz w końcu! - niecierpliwiła się Isabel.

- Najlepszy przyjaciel Kevina także jest fotografem. Opowiadał dzisiaj Kevinowi, jakie ma świetne zdjęcia. Zrobił je wczoraj wieczorem, w klubie nocnym w centrum. Fotografie Elizabeth Carter z młodym mężczyzną. Podobno wisiała na nim jak bluszcz.

Isabel zaniemówiła. Elizabeth z innym mężczyzną? Nie do wiary.

Dee jeszcze nie skończyła.

- Poszedł za nimi do pobliskiego hotelu. Wzięli pokój, poszli na górę i wyszli rano, w tych samych ubraniach. Kevin mówi, że to supermateriał. Chyba coś brała w tym klubie. Ten fotograf widywał ją z wieloma facetami, ale dopiero teraz zrobił zdjęcia. - Dee przerwała na chwilę. - Tym razem ją fotografował, bo facetem, który jej towarzyszył, był Mannix Delaney, wiesz, ten młody przystojniak z telewizji. Nie wiedziałam, czy ci o tym mówić, czy nie. Myślałam, że może Elizabeth dowiedziała się o tobie i Jacku, i w ten sposób chciała się na nim zemścić... A... - Dee złapała Isabel za ramię. - Cóż, słyszałaś zapewne, że faceci wracają do żon, gdy te ich zdradzają - powiedziała cicho. - Obawiałam się, że to wpłynie na wasz związek. Wiem, że go bardzo kochasz.

Isabel nie odzywała się przez dłuższą chwilę. Elizabeth z innym mężczyzną. Elizabeth z wieloma mężczyznami. Elizabeth z dwudziestoletnim prezenterem telewizyjnym, który zrobił karierę jako ulubieniec matek i córek. Robin za nim przepadała, nie opuściła ani jednej jego audycji. Był naprawdę przystojny.

- Isabel, dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Dee. - Nie chciałam cię denerwować, ale uznałam, że powinnaś wiedzieć.

Nagle Isabel roześmiała się na całe gardło. Jej radosny śmiech niósł się po całym barze. Odrzuciła głowę do tyłu i chichotała, a Dee nadal kurczowo ścisnęła ją za ramię.

- Dobrze się czujesz? - powtórzyła. Isabel przestała się śmiać.

- Doskonale. Bosko. Wspaniale. To najlepsza wiadomość od lat.

- Naprawdę?

- Tak. Widzisz - pochyliła się nad stołem - nie powiedziałam ci, że Jack planuje odejść od Elizabeth, ale obawia się, że będzie to bardzo przeżywała...

- Ale skoro znajdzie otuchę w ramionach Mannixa, czemu miałyby się martwić? - dokończyła Dee.

- Otóż to!

- Musimy to uczcić!

- Świątowałam, odkąd Jack powiedział, że chce być ze mną - wyznała Isabel z błyszczącymi oczyma. - A to jest kropka nad i. Elizabeth ma pewne kłopoty - dodała delikatnie. - Uważał się za nią odpowiedzialny i nie chciał jej skrzywdzić. Ale jeśli sama romansuje, nie powinna się mu dziwić, prawda? Pewnie się ucieszy z rozvodu, będzie mogła otwarcie uganiać się za Mannixem.

- Obawiam się tylko, że Jack przeżyje szok, gdy się o tym dowie - zauważyła Dee. - Nie wiem, kto wydrukuje te zdjęcia, ale stanie się to lada dzień. Nie mogę opędzić się od myśli, że skandal ponownie ich zbliży.

Isabel pokręciła głową.

- Ich małżeństwo się skończyło. Jack do niej nie wróci, wiem to na pewno.

Lekko wstawione po wypiciu butelki taniego szampana powoli wracały do redakcji. Chichotały i wygłupiały się jak nastolatki.

- Nie, moja droga, nie wynajmiemy helikoptera - Isabel stanowczo pokręciła głową. - Wiem że ty, Dee, przywykłaś podróżować z klasą, ale czasami doprawdy musisz zadowolić się własnymi nogami jako środkiem lokomocji.

- Och Isabel, proszę, zgódź się na helikopter! - błagała Dee. - Co to, tylko ty możesz rozbijać się z szanownym szefem po całym kraju? A my, zwykli...

Tanya Vernon, którą spotkały przy drzwiach, wcale nie chichotała, o nie. Była wściekła.

- Chcę z tobą porozmawiać - syknęła do Dee.

Zanim Dee otworzyła usta, Isabel wysunęła się do przodu i posłała Tanyi surowe spojrzenie.

- Nie odzywaj się w ten sposób do mojej zastępczyni - rzuciła zwięźle. Nikt by nie powiedział, że przed chwilą osuszyła pół butelki szampana, zauważyła Dee z podziwem.

- Od miesiący dręczysz Dee. Mam tego dosyć, Tanya.

Isabel weszła do redakcji, a Dee i Tanya deptały jej po piętach.

- Nie masz pojęcia, co zrobiła - warknęła Tanya, zaskoczona atakiem Isabel.

Dee uznała, że najwyższy czas wkroczyć do akcji. Isabel jest bardzo lojalna, ale na Tanyę działa tylko bezpośrednia konfrontacja.

- Doskonale wie, co zrobiłam - powiedziała głośno. Tanya odwróciła się na pięcie.

- Doprawdy?

- Tak. Naczelną też, gwoli ścisłości. Widzisz, Tanya, kiedy się okazało, że naumyślnie wprowadziłaś mnie w błąd co do godziny odlotu, zebrałam dowody, żeby się ubezpieczyć - Dee z radością obserwowała, jak oczy kobiety rozszerzają się ze zdumienia. - Zdobyłam kopię faksu, który dostałaś we wtorek, faksu z informacją o wcześniejszym odlocie. Przekazałam ją Malley, razem z dokładnym sprawozdaniem i rachunkiem za helikopter. Sama zdecyduje, czy postąpiłam właściwie, ale ponieważ to ona chciała, żebym napisała ten reportaż, a ty wprowadziłaś mnie w błąd, mało prawdopodobne, aby wzięła twoją stronę.

- Jak śmiesz działać za moimi plecami! - wrzasnęła Tanya.

- Śmiem, bo nie pozwolę, żebyś nadal się na mnie wyżywała. Zapamiętaj to sobie - odparła Dee pewnym, silnym głosem. - A jeśli zaczynasz się wahać, czy nadal chcesz tu pracować - dodała szeptem tak, by nie słyszał jej nikt oprócz Tanyi - słyszałam, że w małej stacji telewizyjnej w Nowej Południowej Walii szukają prezenterki pogody, chociaż o ile mi wiadomo, zależy im na dziewczynie bez bogatej przeszłości w pozowaniu... Concepto.

Przerażenie na twarzy Tanyi było sowitą zapłatą za godziny poświęcone na szperaniu w jej przeszłości.

- Co jej powiedziałaś? - Isabel ze zdumieniem patrzyła, jak Tanya wybiega z redakcji.

- Później ci wszystko wytłumaczę - odparła Dee spokojnie.

23.

Połączenie z Brukselą było fatalne. - Mam tu słaby zasięg - zazgrzytał w słuchawce głos Jacka. - Słyszysz mnie?

- Ledwo, ledwo - Isabel przycisnęła telefon do ucha. - Możesz mówić głośniej?

- Już wrzeszczę na całe gardło. Stoimy w gigantycznym korku, może to dlatego. Isabel uśmiechnęła się pod nosem. Ona również tkwiła w korku. Zazwyczaj zatłoczone popołudniami ulice doprowadzały ją do szału, ale nie dzisiaj. Dzisiaj była w siódmym niebie.

Elizabeth Carter ma romans, szalony romans z dwudziestolatkiem. To z pewnością ułatwi Jackowi zakończenie ich małżeństwa bez zbytnich wyrzutów sumienia. Oczywiście, bardzo przeżyje skandal, jaki bez wątpienia wywołają zdjęcia jego żony w ramionach młodego kochanka, ale Isabel wierzyła, że ze swoimi wpływami Jack zduś sprawę w zarodku. W świecie mediów magnaci prasowi zawsze się dogadają.

Ciekawe, czy już wie? Powiedziała mu, gdyby nie rozmawiali przez telefony komórkowe. W dodatku Jack siedział w samochodzie z szoferem i darł się na całe gardło, bo mieli słabe połączenie.

- Tęsknię za tobą - krzyknęła. - Słyszysz?

- Tak, ja też. Ale Isabel, coś się stało... - Urwał. Ma dziwny głos, dotarło do niej nagle, i to nie tylko wina jakości połączenia.

- Wszystko w porządku, Jack? - dopytywała się.

- Nie - odparł powoli. - Właśnie dowiedziałem się czegoś okropnego. Jestem załamany.

Mało brakowało, a Isabel w szoku uderzyłaby w samochód przed nią. Z całej siły nacisnęła na hamulce. Czy na pewno dobrze usłyszała? Miał okropne wieści, jest załamany.

- Isabel, nie mogę rozmawiać przez telefon... - Zawahał się. - Wiem, że mieliśmy się spotkać w poniedziałek wieczorem, ale to niemożliwe. Nie mogę tego teraz wytłumaczyć, musimy porozmawiać osobiście, wtedy zrozumiesz - dodał złowieszczo.

Słuchała bez słowa. Jej mózg błyskawicznie analizował sytuację. Nagle zrozumiała: dowiedział się o romansie Elizabeth i był załamany. Nie powiedział, że jest zdumiony albo zły na myśl o tym, że niewierność jego żony trafi na pierwsze strony gazet.

Nie, był załamany. A to oznacza, że kocha Elizabeth i nie może pogodzić się z myślą, że ona będzie z innym mężczyzną. Kocha Elizabeth. Z jakiego innego powodu byłby załamany? A chciał się spotkać z Isabel osobiście, żeby jej zakomunikować, że wraca do żony.

- Isabel, muszę kończyć - odezwał się. - To połączenie jest do niczego. Nie słyszę ani słowa, ale mam nadzieję, że chociaż ty mnie słyszysz. Zadzwoń później z hotelu.

Machinalnie skręciła na parking przed jakąś knajpą. Nie była w stanie jechać dalej. Dygotała na całym ciele. Była w strasznym stanie.

Oparła głowę o kierownicę i zamknęła oczy. Ogarnęła ją rozpacz, myślała, że umrze, a jednak nie mogła płakać. Nie, nie była nieszczęśliwa. Miała wrażenie, że nie żyje. Kocha Jacka, a on kocha żonę. Takie są fakty. Dee, mądra, rozsądna Dee miała rację. Jak ona to powiedziała? Faceci wracają do żon, kiedy się okazuje, że to im przyprawiono rogi. Miała rację. A Isabel okazała się tak beznadziejnie, żałośnie głupia i naiwna.

W przypiływie złości uderzyła pięścią w kierownicę. Ależ z niej idiotka! Kolejny facet ją wyrolował! Tylko że tym razem kochała go do szaleństwa.

Dee jechała do Dana i Millie w doskonałym humorze. Zrobiła to! W końcu powiedziała Tanyi, że nie pozwoli się dłużej dręczyć! Sądząc po jej przerażonej minie i tempie, w jakim wybiegła z redakcji, Dee nie będzie z nią miała już żadnych kłopotów.

Zdawała sobie sprawę, że wyszukiwanie brudów w przeszłości Tanyi było podłe, ale warto było.

Millie otworzyła drzwi, a Dee pogratulowała sobie, że przyniosła jej wielką butlę śmietanki do ciała i sporą bombonierkę. Millie była wyczerpana, miała podkrążone, zaczerwienione oczy, lecz bardzo się ucieszyła na widok Dee i uściskała ją serdecznie.

- Dzięki za prezenty! - szepnęła. - Zachowujemy się cicho, bo mała śpi.

- Kiedy odwiedziłam cię w szpitalu, zorientowałam się, że ubranek starczyłoby wam dla sześciornaczek, za to nikomu nie przyszło do głowy zatroszczyć się o biedną kobietę, która w tym wszystkim najbardziej się napracowała. - Dee objęła ją mocno. - Tara i tak dostała furę prezentów, a ty również na coś zasłużyłaś.

Przy herbacie Millie wykazywała gorące zainteresowanie dla wszelkich możliwych tematów innych niż jej cudowna, ale głośna córeczka.

- Od początku ciąży żyłam wyłącznie informacjami o dzieciach - Millie poprawiła ramiączko stanika. - Kocham ją nad życie, ale na świecie są też inni ludzie poza moją Tarą.

- Jest prześliczna. - Dee pochyliła się nad śpiącym maleństwem. Pogłaskała malutką rączkę.

- Kiedy śpi, jest cudowna. Kiedy się budzi, nie możesz zrozumieć, czemu producenci rockowi nie ustawiają się w kolejce, by ją zatrudnić jako chórek. Ma niewiarygodne płuca, a najbardziej aktywna staje się koło trzeciej nad ranem. Daję słowo, niedługo przestanę karmić piersią. Jest taka wymagająca.

- A czy Dan nie może jej karmić butelką, którą wcześniej przygotowujesz? Zdaje się, że tak ustaliliście? - zapytała Dee.

- Mógłby, niestety mała gardzi wszystkim, co nie jest prawdziwym biustem - jęknęła Millie. - Nie weźmie do ust niczego, co nie jest przyczepione do mnie. Chyba ma to po ojcu - dodała po chwili namysłu.

Dee roześmiała się najciszej jak umiała.

Rozmawiały po cichu przez godzinę, zanim Millie poruszyła temat Gary'ego.

- Wiedziałam, że w końcu do niego dojdziemy - zauważyła Dee.

- Cóż, w końcu będziecie rodzicami chrzestnymi Tary - Millie wzruszyła ramionami. - W sobotę go nie unikniesz.

- Wiem. Obiecuję, w kościele nie skoczę mu do oczu.

Millie prychnęła głośno.

- Nie o ciebie się martwię, Dee. Ty potrafisz się zachować. Chodzi o niego. Mówię ci - ściszyła głos jeszcze bardziej - gdyby Dan nie uparł się, żeby Gary był ojcem chrzestnym, wcale bym go o to nie prosiła. Po tym, jak cię potraktował, nie uważam, żeby stanowił dobry wzór do naśladowania dla mojej córeczki.

Dee uśmiechnęła się ciepło.

- Dzięki. Czy to znaczy, że ja się nadaję?

- Oczywiście. Problem w tym, że nie obawiam się, iż Gary będzie bezczelny i arogancki, ale wręcz przeciwnie.

- Jak to?

Millie przewróciła oczyma.

- Wczoraj zawracał mi głowę przez telefon co najmniej dwie godziny. Wypytywał o ciebie: co porabiasz, z kim się spotykasz. Zmienił się, przynajmniej we własnym mniemaniu.

- Jak to, zmienił się? - powtórzyła Dee niemądrze.

- Zmienił, i już. Bardzo za tobą tęskni, w Londynie czuje się samotny i chce wrócić do domu. Ba, nawet zrozumiał, że nie ma krasnoludków.

- Ach - mruknęła Dee bez entuzjazmu. - Wraca do domu, ma dosyć prania własnych brudów i liczy, że durna Dee przyjmie go z otwartymi ramionami.

- To chyba nie takie proste - stwierdziła Millie powoli. - Przez trzy miesiące mieszkał u Adriana i Natashy, a wiesz, jaką ona ma obsesję na punkcie czystości. Chyba do Gary'ego w końcu dotarło, jak dobrze mu było z tobą.

- To niezbyt pochlebne, nie sądzisz? - Kilka miesięcy z bratową, która zabrania rozrzucać brudną bieliznę po całym domu, i chce do mnie wrócić?

- Mówi także, że bardzo za tobą tęskni i że był głupcem, zrywając zaręczyny - dodała Millie łagodnie. - Że wróciłby w mgnieniu oka, gdybyś go tylko chciała.

Dee milczała przez chwilę, nasłuchując oddechu Tary.

- Dan cię o to prosił, prawda? - mruknęła w końcu.

Millie zawstydziła się wyraźnie.

- No, tak. Zrobiło mi się szkoda Gary'ego, kiedy zadzwonił. Myślę, że naprawdę żałuje tego, co ci nagadał. I nie podoba mi się myśl, że jesteś sama...

- Nie jestem sama - poprawiła Dee z dumą.

- Co? Daryl wrócił?

- Nie, nie zniosłabym więcej Daryla, łóżko rozpadłoby się na kawałki. W moim życiu jest nowy mężczyzna. Fotograf.

- Dlaczego mi wcześniej nie powiedziałaś? - obruszyła się Millie tak głośno, że Tara poruszyła się niespokojnie.

- Nie widziałyśmy się od narodzin małej - szepnęła Dee.

- Przyrowadzisz go na chrzciny? Chciałabym go poznać.

Dee parsknęła śmiechem.

- Przed chwilą chciałaś mnie wyswatać z byłym narzeczonym, teraz nie możesz się doczekać, aż zobaczysz mojego nowego faceta!

Millie uśmiechnęła się łobuzersko.

- Zrobiłam, co do mnie należało - stwierdziła. - Teraz Gary musi radzić sobie sam. Więc czy ten fotograf przyjdzie z tobą na chrzciny?

- Nie, Kevinnie...

- Kevin! Jakie ładne imię! - zachwyciła się Millie.

- ...ze mną na chrzciny. Powiedz - Dee zmieniła temat - czy mamuśka Red-mond odwiedza cię raz w dzień powszedni i dwa w niedzielę, żeby się upewnić, że właściwie się opiekujesz jej pierworodną wnuczką?

Millie jęknęła głośno.

- Nawet o niej nie wspominaj. Ta kobieta to potwór! Do niedawna myślałam, że doktor Spock to postać ze *Star Trek*, dopóki nie zaczęła mnie bombardować książkami o pielęgnacji niemowląt!

- Pewnie nie jest zachwycona, że będę matką chrzestną Tary?

- To mało powiedziane. - Millie zacierała ręce. - Mam nadzieję, że założysz coś bardzo seksownego i nietypowego, tylko żeby ją zdenerwować. Kto wie? Może wtedy się obrazi i wcześniej pójdzie do domu?

Oczy Dee błysnęły złośliwie.

- Tak, już wiem. Mam taką przezroczystą sukienkę bez ramiączek... Millie zachichotała, a Dee udawała obrażoną.

- Czemu się śmiejesz? Przecież mówię poważnie...

Chociaż nigdy tego nie robiła, pierwsze kroki w domu Isabel skierowała do barku. Zrobiła sobie mocny gin z tonikiem, wypła jednym haustem i przygotowała drugiego drinka. Dopiero potem zabrała się za szykowanie kolacji.

Obie córki uczyły się do zimowych egzaminów. Robin, o czym Isabel doskonale wiedziała, z o wiele mniej szym zapałem niż Naomi. Po początkowych kłopotach Naomi doskonale radziła sobie w nowej szkole i uczyła się z entuzjazmem, natomiast Robin więcej czasu poświęcała na planowanie nauki niż właściwe ślęczenie nad książkami.

W każdym razie Isabel była zadowolona, że siedzą w swoich pokojach i nie widzą, jak ich matka ze łzami w oczach szykuje makaron z proszku.

W drodze do domu zmusiła się, aby przemyśleć sprawę dalszego związku z Jackiem. Oczywiście nadal będzie chciał się z nią widywać, ona będzie cierpiała, nie mogąc mieć go stale przy sobie, a on zawsze będzie wracał do Elizabeth. Odwieczny trójkąt. Nie zniesie tego.

Musi z nim zerwać, postanowiła i poczuła ciężar na sercu, który, jak wiedziała, bardzo długo nie ustąpi. Koniec. Nie zobaczy go nigdy więcej. Nie wolno jej. Chyba postradała zmysły, wdając się w romans z żonatym mężczyzną, i to własnym szefem na dodatek. Tak więc będzie go widywała jeszcze przez długie lata. Nie może nawet dyskretnie zniknąć z jego życia.

Łza spadła na kuchenkę. Isabel obawiała się poważnie, że serce naprawdę jej pęknie. Upiła spory łyk ginu z tonikiem i na darmo starała się być silna. Da sobie radę. Musi wzbudzić w sobie złość na Jacka. Załamie się, jeśli będzie ciągle rozmyślała o tym, jak go kocha. Głęboko zaczerpnęła tchu i przypomniała sobie wszystkie miłe rzeczy, które od niego słyszała, wszystkie wyznania miłosne. A on w rzeczywistości przez cały czas kochał Elizabeth. Jak on mógł? Drań, nienawidzi go.

Cóż, stwierdziła, gdy rozpacz i gniew walczyły w niej o lepsze; nie zrezygnuje z pracy, o nie. Zazwyczaj kobiety, które wdawały się w romanse biurowe, odchodziły z pracy, ale ona nie zaryzykuje. Nieprędko znalazłaby drugą taką posadę. Za ciężko o nią walczyła, żeby tak po prostu spakować manatki i wyjść. Dziewczynki potrzebują normalnego domu i matki, która jest w stanie zapewnić im utrzymanie. Dla nich zniesie nawet widok Jacka Cartera na zebraniach.

Zdławiła szloch i dokończyła drinka. Podskoczyła, słysząc dzwonek telefonu. Wyjątkowo podbiegła do aparatu przed Robin.

- Słucham - rzuciła szorstko.

- Isabel. - Jack miał już lepszy głos, nie był tak zdenerwowany. Drań. - Witaj.

- Dzień dobry - głos jej się załamał. Teraz on zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Nie - odparła. - Nie, odkąd mi powiedziałeś, że załamały cię jakieś wieści. - Weszła z telefonem do kuchni, żeby dziewczynki jej nie słyszały. - Widzisz, Jack, myślałam, że naprawdę mnie kochasz, więc kiedy się dowiaduję, że jesteś „załamany” z powodu romansu Elizabeth... cóż, w końcu przejrzałam na oczy. Wcale mnie nie kochasz, jestem dla ciebie tylko miłą odskocznią. Zostało ci przynajmniej tyle przyzwoitości, że chcesz się ze mną zobaczyć, żeby mi to powiedzieć... Ale daruj sobie. - Histerycznie podniosła głos.

- Isabel - przerwał jej. - Nie rozumiesz...

- Nie, to ty nie rozumiesz; koniec z nami. Nasz tani, tandetny romans dobiegł końca. Nie dzwoń do mnie więcej. Nie chcę z tobą rozmawiać. Nienawidzę cię za to, że najpierw mnie w sobie rozkochałeś, a potem... Nienawidzę cię. Do widzenia, chociaż wolałabym nie oglądać cię już nigdy więcej!

Cisnęła słuchawkę na widełki, rzuciła aparat na podłogę i rozplakała się.

Zadzwonił natychmiast, natarczywy i głośny. Wpatrywała się w niego, ale nie odbierała. W głębi duszy chciała, żeby Jack powiedział, że zwariowała, że to nieporozumienie, że kochają, nie Elizabeth.

Nie mogła sobie jednak pozwolić na podniesienie słuchawki. To byłby kolejny wielki błąd. Dokonała już wyboru - teraz musi z tym żyć. Bez Jacka.

Znali się tak krótko, zaledwie cztery miesiące, a już stał się częścią jej życia. Myślała, że znalazła idealnego partnera, człowieka, z którym chciała spędzić resztę życia. A teraz jest po wszystkim. Telefon umilkł, by po chwili rozdzwonić się ponownie.

Isabel podniosła słuchawkę i natychmiast nacisnęła na widełki. Potem odłożyła słuchawkę na bok. Może kiedy nie będzie mógł się dodzwonić przez kilka godzin, da jej spokój. Albo jeszcze lepiej, wyłączy telefon z kontaktu. W holu wyrwała sznur z gniazdka i wróciła do kuchni.

Otarła łzy papierowym ręcznikiem, nałala sobie drinka i zajęła się gotowaniem. Z makaronu zrobiła się nieapetyczna masa. Jak moje życie, pomyślała.

Sobotni poranek był, jak na grudzień, wyjątkowo pogodny. Doskonale, pomyślała Dee. O ile nie będzie padać, założy obcisłe czarne body z dekoltem w serek pod swój welwetowy garnitur. Gdyby lało, miała do wyboru jeszcze szarą sukienkę w prążki, na którą namówiła ją Isabel. Była elegancka i klasyczna, jak sama Isabel, ale nie tak efektowna jak welwetowy garnitur. A Dee akurat tego dnia zależało na tym, żeby zrobić wrażenie. Zwłaszcza na Garym i jego okropnej matce.

Nie żeby Margaret Redmond miała wydać okrzyk zachwyty, rozważała Dee spryskując się perfumami. O wiele bardziej prawdopodobne, że niedoszła przyszła teściowa mruknie: „Co za szczęście, że Gary nie ożenił się z tą wywłoką!” Ale jemu szczęka opadnie z zachwyty.

W słonecznych okularach w szylkretowej oprawce, z delikatnym makijażem, który nakładała przez godzinę, wyglądała doskonale.

- Cześć, Gary - ćwiczyła przed lustrem. Wyszeptała jego imię niskim, uwodzicielskim głosem i pochyliła się przy tym, żeby zademonstrować głęboki dekolt.

Godzinę później miała okazję zrobić to naprawdę. Stała przed kościołem, pogrążona w rozmowie z matką Millie, kiedy Gary nagle wyrósł u jej boku. Jak na kogoś, kto usycha z miłości, wygląda całkiem-całkiem, zauważyła. Miał na sobie nowy garnitur, którego nigdy

wcześniej nie widziała, i ulubiony żółty krawat. Falujące włosy dotykały kołnierzyka. Chyba dalej grał w piłkę, bo wcale nie przytył.

Cmoknął matkę Millie w policzek i zwrócił się do Dee.

- Cześć, Dee - powitał ją miękko.

- Cześć, Gary - rzuciła chłodno.

Matka Millie, która z listów córki znała całą sprawę, oddaliła się dyskretnie. Gary przyglądał się Dee baczenie; jego uwagi nie uszła ani sprężystość jej ruchów, ani swoboda i pewność siebie, z jaką nosiła obcisły strój.

- Wspaniale wyglądasz, naprawdę - stwierdził z podziwem.

- Wiem. - Odrzuciła włosy do tyłu. - Ty też nieźle - dodała. - Ciągle grasz w piłkę?

- Tak.

- Zostawiłeś u mnie w domu torbę sportową. Co mam z nią zrobić? - Szczególnie mocno zaakcentowała „u mnie”.

Wzruszył ramionami.

- Jest stara, wyrzuc ją.

Już miała go zapytać, czy tak odnosi się do wszystkich rzeczy po pewnym czasie. W ostatniej chwili ugryzła się w język. Nie zacznie awantury przed ceremonią. W końcu gromnice nie służą do bicia byłych narzeczonych.

Millie przyniosła Tare, ubraną w staroświecką sukieneczkę z koronki i wrzeszczącą wniebogłosy.

- Mam nadzieję, że zabraliście zatyczki do uszu - powitała ich. - Cześć, Dee. Świetnie wyglądasz. Jak zwykle - dodała, znacząco patrząc na Gary'ego.

Nie zrozumiał aluzji.

- Cześć, Millie - uśmiechnął się. Nie zwracała na niego uwagi.

- Zaczynamy - powiedziała do Dee. - Jesteś gotowa?

Grafton Street pękała w szwach. Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy Dublina akurat tego dnia wyruszyli na świąteczne zakupy.

Isabel straciła już rachubę, ile razy podeptano jej stopy czy walnięto w bok. Dziękowała za to losowi, że nie pada, bo do listy urazów doszłyby dźgnięcia parasolami w oko.

Robin prowadziła, z wprawą przebijając się przez tłum. Isabel i Naomi posłusznie podążały za nią. Weszły do domu towarowego, gdzie miliony oszalałych kobiet kupowało ciuchy i biżuterię, jakby jutro miał być koniec świata.

- Jestem zmęczona, mam. - Naomi oparła się o schody, gdy Robin dała nura w tłum w poszukiwaniu idealnego prezentu dla Susie. Zabrała się do tego z entuzjazmem Indiany Jonesa

poszukującego zaginionej arki.

- Ja też. - Isabel otoczyła córkę ramieniem. - Półtorej godziny tego szaleństwa wykończyłoby każdego. Marzę tylko o tym, żeby usiąść.

Nie dodała, że marzy o tym, by usiąść samotnie, w ciemności, i szlochać. Nigdy nie czuła się tak bardzo samotna. Życie bez Jacka wydawało się jałową pustynią, gdzie nie ma nic wartego oglądania, nic wartego miłości.

W piątek funkcjonowała jak automat. Dwa razy odłożyła słuchawkę, gdy dzwonił do redakcji. Do domu nie mógł się dodzwonić, bo telefon nadal był wyłączony, który to fakt bardzo się nie spodobał Robin, uzależnionej od rozmów telefonicznych.

- Obsceniczne telefony - zbyła ją matka, gdy dziewczynka dopytywała się, czemu kabel leży luzem na ziemi. - Jeśli masz coś ważnego, zadzwoń z komórki, ale pamiętaj, żeby ją zaraz wyłączyć.

Nie zniosłaby rozmowy z Jackiem. Obawiała się panicznie, że uległaby mu, powiedziała, że go kocha, że nieważne, czy zostanie z Elizabeth, byle tylko mogła się z nim czasem spotykać. To byłoby uczuciowe samobójstwo. Równie dobrze może wrócić do Davida, skoro tak chce mieć życie pełne bólu i rozpacz, tłumaczyła sobie w rzadkich momentach logicznego rozumowania. A teraz włóczy się po sklepach robiąc zakupy, które obiecywała dziewczynom od wieków. Miała zamiar wypatrywać przy okazji prezentu dla Jacka.

Ileż może się wydarzyć podczas kilku dni, stwierdziła filozoficznie. W czwartek była najszcześniejszą kobietą na świecie, dzisiaj jest pogrążona w czarnej rozpacz. Oczywiście ze względu na dziewczynki udawała, że wszystko jest w porządku. Nie powinna psuć im dnia swoimi kłopotami. Córki są najważniejsze, a nie jej złamane serce.

Naomi oparła się o matkę ze znużeniem. Isabel przytuliła ją serdecznie.

- Chodź, poszukamy Robin i zaciągniemy ją na kubek gorącej czekolady - zaproponowała pogodnie. - A potem wybierzesz, na co pójdziemy do kina!

Dee uwielbiała szwedzki stół, bo mogła wybierać tylko to, co lubi, a darować sobie paskudztwa takie jak seler naciowy czy ryż curry. Tfu! Kto by coś takiego jadł? Minęła półmiski z selerem, sałatą, ogórkami i pomidorami i zatrzymała się przy sałatce jajecznej z majonezem i wstęgami makaronu błyszczącymi od oliwy. No, coraz lepiej.

Akurat nakładała sobie solidną porcję, gdy u jej boku wyrósł Gary z pustym talerzem w rękę. Natychmiast zredukowała ilość sałatki do minimum, dodała do tego kilka smętnych klusek i przywaliła wszystko stertą zieleniny. Dzielnie minęła pieczywo, chociaż umierała z głodu, i odwróciła się na pięcie.

- Witaj ponownie - uśmiechnęła się lodowato. - Czyżbyś mnie śledził?

- Nie. Chciałbym z tobą porozmawiać, ale tak szybko wyszłaś z kościoła, że nie zdążyłem.

- A czego się spodziewałeś? - zapytała z kwaśną miną. - Że wyjdziemy trzymając się za ręce, chichocząc i wspominając stare dobre czasy? - Zostawiła go i podeszła do stolika przy oknie.

Dołączył do niej, gdy napełnił swój talerz. Miał całą masę sałatki jajecznej, zauważyła zazdrośnie, żując listek zielonej sałaty. Niełatwo udawać kobietę wyrafinowaną - nie ma mowy o jedzeniu, piciu i dobrej zabawie.

Gary nabrał na widelec surówki z białej kapusty. Dee ciekła ślinka. Po jej porcji nie został nawet ślad, a nadal była głodna.

- Wina, proszę pani? - zapytał kelner.

- Tak, chętnie. - Z ulgą złapała kieliszek. Przyda jej się, zważywszy, że nie je.

- Co u ciebie? - odezwał się Gary.

- Wszystko dobrze, dziękuję - odparła pogodnie.

- Pytam, co naprawdę u ciebie słychać - powtórzył.

Spojrzała na niego twardo.

- Miałam romans z niewiarygodnie seksownym Teksaszczykiem, może pamiętasz. - Udała, że nie widzi, jak nerwowo zacisnęła szczęki. - A teraz spotykam się z kimś innym.

- Znam go? - wykrztusił.

- Nie. - Uśmiechnęła się promiennie. - W Londynie pewnie aż się roi od chudych kobiet z klasą, które odpowiednio się malują, mają doskonały gust i nie upijają się na przyjęciach?

Przynajmniej się zawstydził, zauważyła z zadowoleniem.

- Chciałbym cię przeprosić, Dee - zaczął ze smutkiem w oczach. - Powiedziałem ci dużo niedobrych rzeczy, których nie powinienem był mówić. Nie miałem prawa...

- Nie, nie miałeś - warknęła.

- Teraz chciałbym przeprosić - zauważył.

- Jak to miło z twojej strony - syknęła. - Niestety, trochę za późno. Nie zwracaj głowy Danowi i Millie i nie wciągaj ich w to. Strata czasu.

Jakby wyczuwając, że o nim mowa, pojawił się Dan z córeczką w ramionach, a kilka kroków za nim spieszył fotograf.

- Robimy pamiątkowe zdjęcia - wyjaśnił. Kucnął między Dee a Garym i podniósł Tarę w stronę obiektywu.

Dee uśmiechnęła się szeroko. Błysnął flesz.

- Jak się wam układa? - zapytał Dan nieśmiało.

- Doskonale. - Gary połaskotał Tarę w brzuszek, więc zachichotała.

Dee pocałowała chrześnicę, zanim Dan oddalił się z nią do innego stolika.

- Kocham dzieci - wyznał Gary ku jej zdumieniu. - Nasze byłyby cudowne, wiesz o tym.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Oczywiście wyobraźni widziała siebie w ciąży, i przypomniała sobie wszystkie straszne rzeczy, które jej powiedział na temat jej figury, o tym, jak chciał kupować jej seksowną bieliznę, lecz było to niemożliwe ze względu na jej rozmiary.

Jej rozmiary nie przeszkadzały Kevinowi - podobała mu się taka, jak była, przepadał za nią, lubił i jej ciało, i umysł. W jego towarzystwie nie czuła potrzeby wychylania sześciu drinków jeden za drugim tylko po to, żeby nie czuć się ostatnią paskudą. Kevin dawał jej pewność siebie.

- Nie chcesz mieć dzieci? - rozmarzył się Gary.

- Pewnie. Ale wyobrażasz sobie koszmar, jakim byłoby dla ciebie publiczne pokazywanie się ze mną podczas ciąży? - zapytała złośliwie. - Nawet gdy byłam w normalnym stanie, sprawiało ci to przykrość. Gdybym była w ciąży, musiałbyś kupić małą przyczepę i wozić mnie w niej za samochodem. Pomyśl, co za wstyd.

- To nie fair! - obruszył się. - Powiedziałem tylko, że mogłabyś schudnąć parę kilo i że masz obsesję na punkcie wagi. Dzisiaj wyglądasz fantastycznie.

- Dlatego, że jestem szczęśliwa, spokojna i nikt mi w kółko nie powtarza, że jestem brzydką grubaską. Długo trwało, Gary, zanim odzyskałam wiarę w siebie, którą ty całkowicie we mnie zniszczyłeś. Ale - pochyliła się do przodu i kłuła go palcem w klatkę piersiową przy każdym słowie - udało mi się. I jeśli myślisz, że znowu to zmienisz, mylisz się.

- Daj spokój, Dee...

Nie słuchała, myślała o Kevinie. W styczniu jadana narty, już się nie mogła tego doczekać. Jest taki cudowny, uprzejmy, i... ona mu się podoba. Ona, a nie to, jaką chciałby ją widzieć. Właśnie takiego człowieka szukała - mężczyzny, który będzie ją kochał dla niej samej, nie takiego, który nie mógł zamienić z nią kilku słów, by jej nie zdenerwować.

- Dzień dobry, mamó - usłyszała głos Gary'ego. Podniosła głowę i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Tuż przed nią stała Margaret Redmond w nietwarzowym kostiumie w kwiatki i wściekle fioletowym kapeluszu wciśniętym, o dziwo, na włosy po blond płukance!

- Deirdre. Dawno się nie widziałyśmy. Jak się masz? Nadal pracujesz w tej gazecie? - zapytała wyniośle.

- Tak, a co u pani?

- Wszystko doskonale, odkąd mam Tarę, moją pierwszą wnuczkę. - Na myśl o dziecku Margaret rozpromieniła się.

- Tara jest śliczna - zgodziła się Dee.

- Byłam zdziwiona, że jesteś matką chrzestną. - Margaret przybrała zwykłą wyniosłą minę.

- A dlaczego? - Dee miała ochotę powiedzieć coś bardzo obraźliwego, ale ugryzła się w język.

- Cóż, skoro już nie chodzisz z Garym, nie należysz właściwie do rodziny... - Margaret spojrzała na nią z góry, dokładnie mówiąc - na jej dekolt.

- Mamo! - syknął Gary.

- Nic nie szkodzi. - Dee z przyjemnością obserwowała zdziwioną twarz Margaret. Gary nigdy, przenigdy nie odezwał się do niej takim tonem. Nic dziwnego, że jest w szoku. - Twoja mama może mówić, co jej się żywnie podoba, jak zawsze zresztą.

Małe oczka Margaret zrobiły się jeszcze mniejsze.

- Nigdy cię nie lubiłam, Deirdre - syknęła.

- Mamo, przestań! - wrzasnął Gary tak głośno, że wszyscy przestali jeść i zaczęli się im przyglądać. - Jak możesz odzywać się do Dee w ten sposób?

- Gary, jak mogłeś! - pisnęła Margaret. Odeszła stukając obcasami.

Dee obserwowała całą scenę z rozbawieniem. Kiedyś matka Gary'ego była w stanie doprowadzić ją do łez. Teraz już nie.

- Przepraszam za to - pochylił głowę.

Przyglądała mu się uważnie. Nawet fakt, że w jej obronie sprzeciwił się swojej okropnej matce, niczego nie zmieniał. Gary to przeszłość. Nadal go lubiła, pewnie zawsze tak będzie. Nie sposób przeżyć z kimś czterech lat, a potem tak po prostu zapomnieć. Ale jeśli chodzi o miłość...

- To bardzo miłe z twojej strony, Gary - odezwała się. - Bardzo, bardzo uprzejme i miłe. Ale przede wszystkim spóźnione o pół roku. O pół roku i cztery lata. - Pocałowała go w policzek; był to siostrzany pocałunek, odpowiedni, jak się wydawało, w tym momencie.

Popatrzyła na jego ponurą minę. Biedny Gary. Naprawdę przypuszczał, że przeprosi ją, powie parę komplementów i wszystko będzie po staremu. Wróć do punktu wyjścia „Gary i Dee”.

- Dee - zaczął niepewnie.

Nie dała mu skończyć. Nie chciała go upokorzyć, biedaka.

- Gary, to bardzo miło, że próbowałeś - powiedziała współczująco - ale musisz zrozumieć, że między nami wszystko skończone. Jestem szczęśliwa. - Poklepała go po ramieniu. - Wierzę, że i ty spotkasz w życiu kogoś wyjątkowego. Dbaj o siebie.

Z tymi słowami wstała od stolika i wyszła, czując na sobie spojrzenia Gary'ego i zgromadzonych gości. Trudno, pomyślała radośnie. Wieczorem ma randkę z przystojnym fotografem, który szykuje dla niej kolację - małże, chociaż czyszczenie ich jest uciążliwe, i kurczaka po kijowsku. Nie musi kiwnąć palcem. Chyba, żeby rozpiąć koszulę Kevina...

Zakochani przyrzekają najgłupsze rzeczy po słońcem, stwierdziła Isabel, nakrywając do stołu. No bo dlaczego zaprosiła rodziców na sobotnią kolację wiedząc, że przez cały dzień ma biegać z dziewczynkami po sklepach i będzie, jak się nietrudno domyślić, wyczerpana? Z drugiej strony, zaprosiła ich jeszcze przed zerwaniem, gdy była pełna wewnętrznej siły i optymizmu.

Rodzice nie są temu winni, że teraz tyle w niej energii co w zdechłym halibucie.

- Mamo, przyszli dziadkowie! - wrzasnęła Naomi z przedpokoju.

- Mamo, steki się palą! - wrzasnęła Robin z kuchni.

Isabel rzuciła się ratować steki. W ciągu kilku minut, podczas których nakrywała stół, miękkie soczyste mięso zmieniło się w czarną, zwęgloną substancję. Robin, która jednocześnie szykowała piure ziemniaczane i oglądała telewizję, niczego nie zauważyła.

Isabel spojrzała na dymiące szczątki. Co ją to obchodzi? I tak wszystko, co jadła w ciągu minionych dni, smakowało koszmarnie.

- Mamo! - Naomi przeskakiwała z nogi na nogę. Nie robiła tego, odkąd skończyła dziewięć lat.

- Tak, skarbie? - Isabel gorączkowo zastanawiała się, czy ma w zamrażalniku coś takiego, co Pamela przelknie.

- Z dziadkami przyszedł jakiś mężczyzna. Powiedział, że ma na imię Jack i że musi się z tobą zobaczyć.

Głośno zaczerpnęła tchu. Jack jest tutaj! Z jej matką?

Pobiegła do przedpokoju. Jej rodzice i Jack stali grzecznie przy drzwiach. Wyglądał wspaniale we włoskim garniturze. Nawet Pamela wydawała się przy nim drobna i niepozorna.

- Isabel. - Jego twarz rozjaśniła się na jej widok.

- Isabel? - odezwała się Pamela z wyrzutem. - Nie przedstawisz nas sobie?

- Eee. Tak - wyjąkała. - Mamo, tato, to Jack Carter. Jack, to moi rodzice, Pamela i Harry Mullhearn.

Oficjalnie uścisnęli sobie ręce, jakby byli na królewskim garden party, a nie w ciasnym holu.

- Cieszę się, że pana poznałam - oznajmiła Pamela ciepło.

Isabel i Jack patrzyli sobie w oczy. Jest wyczerpany, zauważyła z przerażeniem. Błady i zmęczony. Przepracowany, pomyślała ze znużeniem, jak zwykle.

- Wchodzimy - zdecydowała Pamela. Isabel posłusznie podążyła za matką do kuchni.

- Mamo, wiem, że to dziwne. Jack jest...

- ...twoim kochankiem? - podsunęła Pamela usłużnie.

Isabel zaniemówiła.

- Myślałaś, że o niczym nie wiem? - Matka uniosła brwi. - Na Boga, Isabel, masz mnie za kompletną idiotkę? Wiedziałam, że w twoim życiu pojawił się jakiś mężczyzna. Liczyłam, że kiedy wszystko się ułoży, powiesz mi o nim. Jest bardzo miły - dodała - więc wyjaśnij te nieporozumienia. - Uciszyła ją gestem dłoni. - Robin mówi, że od dwóch dni zachowujesz się jak zombie. Zakładam, że to z jego powodu?

- Co? Robin? - pytała niemądrze Isabel. A taka była pewna, że udało jej się ukryć przed

córkami fatalne samopoczucie...

Brwi matki uniosły się o dalszych kilka milimetrów.

- Robin też nie jest głupia, Isabel. Wiedziała, że coś jest nie tak, i doszła do tego samego wniosku, co ja - kłopoty sercowe.

Isabel opadła szczęką.

- Robin wiedziała?

- Odkąd przywiózł cię do domu samochodem, jaguarem, o ile dobrze pamiętam. Isabel, ona ma prawie szesnaście lat, nie sześć. Oczywiście, że wiedziała. - Pamela urwała na chwilę. - Jaguar do niego pasuje. Taki ładny samochód. - Z niesmakiem pociągnęła nosem patrząc na smętne szczątki steków. - Mam nadzieję, że lubi omlety? O ile masz jajka?

Isabel uśmiechnęła się, uściskała matkę i pobiegła do przedpokoju. Jack czekał w milczeniu.

- Wróciłeś dzień wcześniej - zaczęła i natychmiast skarciła się, że mówi rzeczy oczywiste. - Myślałam, że miałaś jakieś ważne spotkanie?

- Miałam, ale to jest ważniejsze - powiedział cicho. - Ty jesteś ważniejsza niż wszystko inne. - Przynurzył się bliżej.

Natychmiast cofnęła się w stronę kuchni. Czego chce? Jeśli podejdziesz jeszcze bliżej, nie zapanuje nad sobą. Zapomni o wszelkich rozsądnych postanowieniach, rzuci mu się na szyję i będzie błagała, żeby nie odchodził. Nie, nie zrobi tego. Zerwała z nim. Na zawsze odszedł z jej życia. Zamknęła oczy.

- Isabel. - Jego głos był jak pieszczota. - Musiałem wrócić, żeby wszystko wyjaśnić. Kiedy nie odbierałaś telefonów, nie miałem pojęcia, co się dzieje. W czwartek byłem załamany, nic do mnie nie docierało.

Isabel, która tęskniła wpatrywała się w jego szerokie barki, dumnie wyprostowała ramiona.

- Byłeś załamany, tak? - Ból przeszywał ją na wylot. - Ciekawe dlaczego? Nie, nie mów, i tak wiem.

- Właśnie że nie. - Stał tak blisko, że czuła zapach jego wody po goleniu, jego skóry. Mężczyzna, o którym śniła od dwóch nocy, że jest przy niej, tuli ją mocno i zapewnia, że nigdy nie odejdzie.

- Isabel, czy wierzyłaś, kiedy mówiłem, że cię kocham? Czy uwierzyłaś, że dla ciebie odejdę od Elizabeth?

- Tak. - Był to ledwo słyszalny szept. Chciała krzyknąć, żeby sobie poszedł, żeby dał jej spokój, lecz nie mogła. Chciała przebywać z nim choć kilka minut dłużej.

- Jak mogłaś pomyśleć, że cię okłamałem? - zapytał miękko. - Tuż przed naszą rozmową w czwartek dowiedziałem się, że człowiek, który pomógł mi na początku kariery, nie żyje. William James... jestem jego dłużnikiem. Miał wylew, wszystko stało się tak nagle. Nie widzieliśmy się od paru miesięcy, obaj byliśmy bardzo zajęci, a potem... już go nie było. - Wychwyciła nutę

rozpaczy w jego głosie. - Czasami życie bywa okrutne.

Patrzyła na niego uważnie. Nagle zrozumiała, co mówi, co naprawdę stało się w tamten straszny czwartek, dlaczego był taki przejęty.

- Myślałaś, że się zmartwiłem wiadomościami o Elizabeth? - roześmiał się ochryple. - Wtedy nawet o tym nie wiedziałem. Dopiero następnego dnia, kiedy jak szalony próbowałem się do ciebie dodzwonić... To był szok, nie przeczę, i godzinę zajęło mi zatuszowanie tego skandalu, ale nie byłem załamany, o nie. Myślałaś, że cię zostawię? - pytał z wyrzutem. - Myślałaś, że kłamałem, kiedy mówiłem, że cię Kocham i że chcę z tobą być?

- Och, Jack. - Zarzuciła mu ręce na szyję, przywarła do niego całym ciałem. Trzymał ją mocno.

- Isabel, to były najgorsze dni w moim życiu. Nie rozumiałem, co się dzieje, dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać. Odkładałaś słuchawkę albo nie odbierałaś, a ja odchodziłem od zmysłów. Myślałem, że stało się coś okropnego. Dopiero kiedy dowiedziałem się o Elizabeth, wszystko stało się jasne.

Z twarzą ukrytą na jego ramieniu mówiła:

- Myślałam, że dowiedziałeś się o niej i tym mężczyźnie, i dlatego jesteś załamany. - Nie do wiary, to tak cudownie znowu być w jego ramionach. - Kocham cię, i bardzo się przejęłam. Myślałam, że Kochasz Elizabeth, że...

- Rozumiem. - Odsunął ją na tyle, by spojrzeć jej w oczy. Jego wzrok był pełen miłości. - Isabel, Kocham cię.

- Wiem. Przepraszam, że zwątpiłam. - Nie wiedziała, czy się śmieje czy płacze.

- Jest tylko jeden problem - powiedział.

- Poradzimy sobie ze wszystkim, cokolwiek to jest - zapewniła radośnie.

Z uśmiechem wskazał na niedużą torbę u swoich stóp.

- Czy mogę zostać na dobre? Wiem, postawiłem cię przed faktem dokonanym, ale uznałem, że najwyższy czas zacząć działać. Myślisz, że dziewczynkom bardzo się to nie spodoba?

Isabel przechyliła głowę na bok i zastanawiała się przez chwilę.

- Pamiętasz, co powiedziałeś podczas naszego pierwszego lunchu? Że nie masz pojęcia o nastolatkach?

- Tak. - Przyciągnął ją bliżej.

- Więc musisz się dużo nauczyć...